

DAVID EDDINGS

PROROKINI Z KELL

KSIĘGA PIĄTA MALLOREONU

SCAN-DAL

PROLOG

Wyjątki z „Księgi Wieków”, Księga Pierwsza Ewangelii Malloreańskich:

Albowiem takie są wieki Człowieka:

W Pierwszym Wiekus został stworzony człowiek i zbudził się on zdumiony i oniemiały, kiedy ujrzał otaczający go świat. A ci, co go stworzyli, przyjrzeni mu się baczenie i wybrali spośród mu podobnych, którzy im się spodobali, a reszta została wypędzona. I niektórzy udali się na poszukiwanie ducha zwanego UŁem, a ci opuścili nas i podążyli na zachód i więcej oczy nasze ich nie oglądały. A niektórzy przeczyli istnieniu bogów i poszli na daleką północ, aby zmagać się z demonami. A inni zwrócili się ku sprawom doczesnym i poszli na wschód, gdzie potężne miasta wzniesli rękami swemi.

My zaś oddaliśmy się rozpaczys i usiadłszy na ziemi w cieniu gór Korim z goryczą oddaliśmy się lamentom nad losem naszym, żeśmy najpierw stworzeni, a później wygnani zostali.

A stało się, że spośród tego zawodzenia jedna z niewiast naszego plemienia wpadła w nagły zachwyt i jakby potrząsała nią jakaś potężna ręka. I wstała z ziemi, na której siedziała, i przewiązawszy oczy sukmem jako znak, iż ujrzała co żadnemu ze śmiertelników ujrzeć nie było dane, jako że była to pierwsza prorokini na świecie całym. I mając jeszcze swą wizję przed oczyma przemówiła do nas takimi słowys:

- Ujrzyjcie! Uczta została wydana na cześć Tych, co nas stworzyli, a będziecie nazywać święto Ucztą Życia. A ci, co nas stworzyli, wybrali to, co ich raduje, a to, co ich nie raduje, nie zostało wybrane. My jesteśmy Świętem Życia i smućcie się, iż żaden Gość ze Święta nie wybrał was. Nie rozpaczajcie jednak, albowiem jeden Gość jeszcze nie przybył na ucztę. Inni Goście już się pożywili, lecz wielka Uczta Życia oczekuje wciąż na Ukochanego Gościa, który przybędzie później i zapowiadam, wszystkim ludziom, że to On nas wybierze.

Oczekujcie więc jego nadejścia, jako że pewne jest ono. Odrzućcie wszelki smutek i zwróćcie twarze ku niebu i ku ziemi, aby dane wam było odczytać znaki tam zapisane, jako że mówię to wszystkim ludziom. Na was spoczywa brzemię oczekiwania. Zaprawdę powiadam, iż On nie może was wybrać dopóty wy nie wybierzecie Jego. Takie jest Przeznaczenie, Los dla którego nas stworzono. A zatem powstańcie i nie siedźcie już nadaremnie na ziemi lamentując jeno. Podejmijcie zadanie i przygotujcie drogę dla Tego,

który na pewno nadejdzie.

Zdumiały nas owe słowa i dokładnie je rozważyliśmy. Zadaliśmy pytania prorokini, lecz odpowiedzi zawile były i niejasne. Tak też się stało, że zwróciliśmy nasze twarze ku niebu i nachyliliśmy swe uszy na szepty, które dochodziły z ziemi, aby widzieć, słyszeć i uczyć się. A kiedy nauczyliśmy się czytać z księgi niebios i słuchać szeptów między skałami, znaleźliśmy niezliczone mnóstwo znaków mówiących, iż przybędą dwa duchy, z których jeden dobry a drugi zły będzie. Pracowaliśmy wytrwale, nieustannych zmartwień doznając, albowiem nie było wśród nas mędrca co by zdecydować umiał, który duch zły a który dobry. Jako że po prawdzie, zło jest przebrane za dobro w Księdze Niebios i w mowie ziemi, a nie ma takiego mędrca co by potrafił słusznego wyboru dokonać.

Wyszliśmy zatem z cienia gór Korim i udaliśmy się na ziemie leżące za nimi, gdzie zaczęliśmy wyczekiwać. Odłożywszy na bok wszelkie troski człowiecze, skupiliśmy wszystkie wysiłki na zadaniu, które mieliśmy wypełnić. Czarodziejki i wieszczki nasi poszukali pomocy w świecie duchów, a nekromanci radzili się zmarłych, a wróżbici nasi udali się po radę do ziemi. Lecz na nieszczęście nikt nie wiedział więcej niżli my sami.

Wtedy zeszliliśmy się na żyznej równinie, ażeby zebrać wszystko czego się dowiedzieliśmy. A oto są prawdy, jakie poznaliśmy z gwiazd, od kamieni, z serc ludzkich i umysłów duchów:

Wiedźcie wy, że wszystko od początku czasów doznawało szpecącego rozdziału, jako że i podział począł się w istocie stworzenia. Niektórzy mówili, że jest to naturalne i że będzie tak aż po dni kres, lecz zaprawdę mylili się. Gdyby podział z przeznaczenia wiecznym miał być, wówczas celem stworzenia stałoby się jego doznawanie. Wszelako gwiazdy i duchy, i głosy pośród kamieni mówią o dniu, kiedy rozdziałowi nadejdzie kres, a wszystko stanie się jednością, jako że samo stworzenie wie o nadejściu owego dnia.

Wiedźcie, iż dwa duchy rywalizują ze sobą pośrodku czasu, a duchy jeno dwoma obliczami są tego, co podzieliło stworzenie. W czasie, co nadejść ma, owe duchy spotkają się na świecie naszym, a wtedy nadejdzie czas Wyboru. A jeśli Wybór nie zostanie dokonany, świat cały zniknie, a Ukochany Gość, o którym mówiła prorokini, nigdy nie przybędzie. Zaprawdę taką treść niosły jej słowa prorocze: - Ujrzyjcie! On nie może wybrać was dopóty wy nie wybierzeć Jego. - Wybór, jakiego mamy dokonać, jest wyborem między dobrem i złem, i rozdziałem między dobro i zło, a rzeczywistość, jakowa zaistnieje po dokonaniu wyboru, będzie rzeczywistością dobra albo rzeczywistością zła i będzie panowała aż po dni kres.

Ujrzyjcie prawdę: skały tego świata jako i wszystkich innych światów mruczą

nieustająco o dwóch kamieniach, co leżą pośrodku podziału. Onegdaj owe kamienie były jednym i stały w środku stworzenia, lecz tak jako wszystko inne zostały one podzielone i w momencie podziału oderwane od siebie z mocą, która zniszczyła całe słońca. Tam gdzie kamienie spotkają się ponownie, dojdzie do ostatecznego spotkania między dwoma duchami. I nadejdzie dzień, kiedy wszystko na powrót stanie się jednym, z wyjątkiem owych dwóch kamieni, jako że podział ich jest tak wielki, iż nigdy nie mogą zostać połączone. W dniu, kiedy skończy się podział, jeden z kamieni przestanie istnieć na wieki i w owym dniu jeden z duchów odejdzie na zawsze.

Takie zatem były prawdy, jakie zebraliśmy, a nasze odkrycie tychże znaczyło koniec Wieku Pierwszego.

Drugi Wiek człowieka zaczął się od grzmotów i trzęsienia ziemi, jako że ziemia się rozszczepiła, a szczelinę zapełniło morze, aby rozdzielić lądy i ludzi, tak jak stworzenie jest podzielone. Góry Korim zatrzęśły się, jęknęły i wydały z siebie ciężkie westchnienie, kiedy połknęły je wód bezmiary. My jednak wiedzieliśmy, że to nadejdzie, jako że nasi prorocy ostrzegli nas, że tak będzie. Poszliśmy zatem swoją drogą i znaleźliśmy bezpieczne schronienie, zanim świat pękł, a morze pierwiej odpłynęło, potem wróciło i nigdy już się cofnęło.

W dniach, jakie nastąpiły po wplynięciu morza, dzieci Boga Smoka uciekły z wód i zamieszkały na północ od nas za górami. Nasi prorocy powiedzieli, że dzieci Boga Smoka pewnego dnia przyjdą do nas jako zdobywcy. Naradziliśmy się między sobą, rozważając jak nie obrazić dzieci Boga Smoka, kiedy przybędą, ażeby nie przeszkadzały w dziełach naszych. W końcu uradziliśmy, że naszych wojowniczych sąsiadów najmniej zainteresują prości ludzie uprawiający glebę, żyjący we wspólnotach prostych, i tak też ułożyliśmy swe życie. Zburzyliśmy miasta nasze i odnieśliśmy kamienie i wróciliśmy do ziemi, żeby nie wzbudzać czujności ani zazdrości naszych sąsiadów.

Mijały lata i stawały się wiekami, a te również mijały. I jak się spodziewaliśmy, przybyły dzieci Angaraku i ustanowiły swe panowanie narzucając prawa i zwyczaje swoje. Nazwali ziemie, które zamieszkali, Dalazją, a my robiliśmy co nam kazali i nadal prowadziliśmy nasze badania i rozwijali nauki.

Na dalekiej północy zdarzyło się wówczas, iż uczeń Boga Aldura przybył wraz z innymi, aby odzyskać rzecz, którą Bóg Smok skradł Aldurowi. Czyn ten był tak ważny, że kiedy się dokonał, Drugi Wiek skończył się i zaczął Trzeci.

W Trzecim Wieku kapłani Angaraku, których ludzie nazywają Grolimami, przyszli do nas, aby prawić o Bogu Smoku i jego głodzie naszej miłości, a my rozważyliśmy ich słowa,

tak jak rozważaliśmy słowa wszystkich ludzi. Zajrzeliśmy do Księgi Niebios i wyczytaliśmy, iż Torak był inkarnacją boskiego aspektu jednego z duchów, co rywalizują w środku czasu. Gdzież zatem był drugi? Jak ludzie mogli wybierać, skoro przybył do nich jeden duch? Wtedy to świadomość straszliwej odpowiedzialności dotarła do umysłów naszych. Duchy przybędą do nas, każdy w swoim czasie i każdy będzie głosił swą dobroć i zło tego drugiego. Wybór należał do człowieka. Radziliśmy się między sobą i zdecydowaliśmy, iż pochylimy głowy, do czego Grolimowie tak usilnie nas nakłaniali. To da nam możliwość zbadania natury Boga Smoka i lepszego przygotowania do Wyboru, kiedy drugi bóg się pojawi.

I wydarzenia dziejące się na świecie przeszkodziły nam; Angarakowie łączyli się z wielkimi budowniczymi miast ze wschodu, jakowi zwali się Melcenami i wzniesli imperium, co siadło okrakiem na całym kontynencie.

I stały się ludy Angaraku wykonawcami czynów, albowiem Melcenowie byli wykonawcami zadań. Czyn raz dokonany pozostaje dokonany, wszelako zadanie powraca z każdym dniem. I przybyli do nas Melcenowie szukając tych, którzy mogli im pomóc w ich nie kończących się zadaniach. Zdarzyło się, że jeden z naszego rodu pomógł Melcenom i przemierzył ziemie północy, aby wykonać zadanie. Przybył on do miejsca zwanego Ashaba szukając tam schronienia przed burzą, co go w drodze zastała. A panem domu w Ashabie nie był ani Grolim, ani Angarak, ani jakikolwiek inny człowiek, jako że był to Dom Toraka.

Toraka ciekawili nasi ludzie i posłał po wędrowca i wszedł on, aby ujrzeć Boga Smoka. W chwili kiedy spojrzał w twarz Toraka, skończył się Wiek Trzeci, a zaczął Czwarty Wiek, jako że Bóg Smok Angaraku nie był jednym, na którego czekaliśmy. Znaki, jakowe były na nim, nie prowadziły poza niego i brat nasz natychmiast dostrzegł, iż wiecznie potępiony ów bóg stał się i umrze wkrótce.

Wtedy poznaliśmy omyłkę naszą i dziwiliśmy się temu, czego wcześniej nie wiedzieliśmy, iż nawet bóg bywa jeno narzędziem przeznaczenia. Zaprawdę zważcie, iż Torak był jednym z dwóch przeznaczeń, lecz nie był całym przeznaczeniem.

Zdarzyło się, że na dalekim krańcu świata został uśmiercony król, a wraz z nim cała rodzina, z wyjątkiem jednego. A król był strażnikiem jednego z owych kamieni mocy i kiedy doniesiono o tym Torakowi, Bóg Smok zatriumfował, albowiem uwierzył, iż odwieczny wróg jego unicestwiony na zawsze został. Następnie rozpoczął Torak przygotowania do wojny z Królestwami Zachodu. Wszakże znaki na niebiosach i szepty w skałach powiedziały nam, że nie było jak sądził Torak. Kamień nadal był strzeżony, a Unia strażników pozostała nieprzerwana. Wojna Toraka miała przynieść mu smutek.

Przygotowania trwały długo, a zadania jakie nałożył na swe ludy były zadaniami dla

pokoleń całych. Podobnie jak my, Torak patrzył w niebo, aby czytać znaki, które wskazałyby mu dzień wyprawy. Ale Torak szukał na niebie tylko tych znaków, jakowe pragnął dojrzeć, i nie czytał całego przesłania zapisanego w gwiazdach. A widząc jeno część znaków popchnął swe siły w najgorszy z możliwych dni.

I nieszczęścia spadły na wojowników Toraka na rozległej równinie przed miastem Vo Mimbre na dalekim Zachodzie, a Bóg Smok zapadł w sen, aby oczekiwać przyjścia swego wroga.

Wtedy do naszych uszu dotarły szepty z innym imieniem.

Szept ów stawał się dla nas coraz bardziej wyraźny i w dzień narodzin szept przemienił się w krzyk wielki, i oto przyszedł na świat Belgarion, Zabójca Boga.

Bieg wydarzeń nabrał teraz większego tempa, a pęd ku straszliwemu spotkaniu stał się tak oszałamiający, że litery na stronicach Księgi Niebios zamazały się od pędu owego. W dzień, w którym ludzie świętują stworzenie świata, kamień mocy został dostarczony Belgarionowi. A w chwili kiedy dłoń jego zacisnęła się na kamieniu, Księga Niebios napelniła się światłem, a dźwięk imienia Belgariona dochodził z najdalszej nawet gwiazdy.

I udał się Belgarion do Mallorei dzierżąc kamień mocy i czuliśmy jak Torak budzi się ze snu. I nastąpiła owa noc straszliwa. Patrzyliśmy bezradnie, a ogromne stronicie Księgi Niebios wicher dziejów przekładał tak szybko, iż nie mogliśmy odczytać znaków na nie naniesionych. Aż wreszcie karty zatrzymały się i odczytaliśmy jeden wers straszliwy - „I nastał kres żywota Toraka”, i księgą wstrząs targnęła i światło ponad wszelakim stworzeniem zgasło. W owej straszliwej chwili ciemności i ciszy skończył się Wiek Czwarty i zaczął Wiek Piąty.

U zarania Wieku Piątego znaleźliśmy tajemnicę w Księdze Niebios. Albowiem pierwiej wszystko zmierzało do spotkania między Belgarionem a Torakiem, jednako owe wydarzenia były jeno zapowiedzią innego spotkania. I były znaki pomiędzy gwiazdami, jakowe powiedziały nam, iż Przeznaczenia wybrały dwie drogi ostatecznego spotkania, i czuliśmy obecność tych, których nie znaleźliśmy imienia, jako że stronicie Księgi Niebios były ciemne i niewyraźne. Zaprawdę czuliśmy obecność odzianą w ciemność, a owa obecność poruszała się między ludźmi, i księżyc mówił wyraźnie, iż niewiasta jest posłańcem ciemności.

I w wielkim, zamęcie, jaki przesłonił nam wersy Księgi Niebios, ujrzeliśmy rzecz jedną: wieki człowieka stawały się coraz krótsze w miarę jak mijały i Wydarzenia, co były spotkaniem między dwoma przeznaczeniami, zbliżały się coraz bardziej do siebie. I minął czas kontemplacji, i teraz musimy się śpieszyć, aby ostatnie z Wydarzeń nie zastało nas nie

przygotowanych.

I stało się, iż uradziliśmy prowadzić uczestników ostatecznego Wydarzenia, ażeby przybyli oboje w wyznaczone miejsce o wyznaczonym czasie.

Wysłaliśmy podobieństwo Tej, Która Musi Dokonać Wyboru, ku zakapturzonej posłannicze ciemności i Belgarionowi, Zabójcy Boga, a ona wskazała im ścieżkę, która zaprowadzi ich do miejsca Wyboru.

I zabraliśmy się za przygotowania, jako że wiele zostało do zrobienia, i wiedzieliśmy, iż owo Wydarzenie ostatnim będzie. Podział stworzenia trwał zbyt długo i podczas spotkania dwóch Przeznaczeń dobiegnie jego kres i wszystko na powrót jednym się stanie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Kell

Rozdział I

Wodne powietrze silnie wypełniała woń drzew, które nie zrzuciły liści, lecz stały ciemnozielone, żywiczne aż po kres swych dni. Promienie słońca odbijające się od pokrytych śniegiem pól oślepiały blaskiem, a w uszach podróżnych nieustannie dźwięczało szemranie wody spływającej korytami górskich strumieni, karmiących opasłe rzeki wijące się wiele mil dalej na równinach Darshivy i Gandaharu. Temu szemraniu, a nierzadko rykowi kipieli pędzącej na spotkanie wielkiej rzeki Magan towarzyszyły delikatne, melancholijne westchnienia wszechobecnego wiatru owiewającego ciemnozielone, sosnowe, świerkowe i jodłowe lasy porastające bujnie wzgórza, które sięgały tęsknie ku niebu.

Szlak, jaki obrali Garion i jego przyjaciele, wznosił się nieustannie i wił wzdłuż potoków torując sobie drogę wśród górskich zboczy. Dotarłszy na jeden szczyt dostrzegali kolejny, a ponad wszystkimi majaczyły niewyraźnie w dali szczyty wyższe ponad wszelkie wyobrażenie - wystrzeliwały ku górze, by dotknąć samego sklepienia niebios; szczyty pierwotne i dziewicze, otulone okrywą wiecznego śniegu.

Garion był już wcześniej w górach, lecz nigdy nie widział tak wysokich i choć wiedział, że te sięgające nieba wieżycy wznosiły się wiele mil przed nimi, przejrzyste górskie powietrze sprawiało, że odnosił wrażenie, iż mógłby ich dotknąć wyciągając rękę.

Dokoła panował niezmacony spokój; spokój, który zmył wszelki zamęt i obawy towarzyszące podróżnym na równinach leżących poniżej, a jednocześnie uspił uwagę i nawet myśli. Każdy zakręt i grzbiet górski odsłaniały nowe, niesamowite widoki, urzekające jeszcze bardziej niż poprzednie, tak że oczarowani jechali w ciszy i głębokim uniesieniu. Niemożliwym wydawało się, by kiedykolwiek wcześniej człowiek dotknął stopą tych wiecznych gór.

Panowało lato i długie, ciepłe dni wypełnione były słońcem. Nie opodal krętego traktu śpiewały wesoło ptaki, a zapach ogrzanych promieniami słonecznymi, wiecznie zielonych roślin urozmaicała delikatna woń dzikich kwiatów porastających rozległymi kobiercami strome łąki. Od czasu do czasu dziki, przesywający krzyk orła odbijał się dźwięcznym echem od skał.

- Czy myślałeś kiedykolwiek o przeniesieniu swej stolicy? - spytał Garion jadącego obok cesarza Mallorei. Mówił ściszym głosem. Czuł instynktownie, że głośna rozmowa w pewien sposób profanowałaby otaczające ich piękno.

- Nie. Raczej nie, Garionie - odparł Zakath. - Mój rząd nie mógłby tutaj

funkcjonować. Biurokracja to domena Melcenów, którzy sprawiają wrażenie rozsądnych, nieskłonnych do uniesień ludzi, lecz w istocie nimi nie są. Obawiam się, że moi urzędnicy spędziliby połowę czasu rozkoszując się tą scenerią, a drugą połowę straciliby na pisanie kiepskiej poezji. Nie byłoby mowy o żadnej pracy. Poza tym, nie masz najmniejszego pojęcia, jak tu jest zimą.

- Śnieg?

Zakath skinął głową.

- Ludzie zamieszkujący te tereny nie zadają sobie trudu, by mierzyć grubość pokrywy w calach. Mierzą ją w stopach.

- Czy są tu jacyś ludzie? Nikogo jak na razie nie widziałem.

- Jest ich trochę; głównie traperzy, poszukiwacze złota i im podobni. - Zakath uśmiechnął się słabo. - Prawdę mówiąc, myślę, że ich profesja to tylko pretekst. Niektórzy ludzie po prostu wolą samotność.

- To wymarzone miejsce.

Cesarz Mallorei zmienił się znacznie od czasu, gdy opuścili enklawę Ateski na brzegu rzeki Magan. Wyszczupłał znacznie, a z jego oczu zniknął martwy wyraz. Jechał ostrożnie, podobnie jak Garion i reszta, bacznie obserwując otoczenie. W Zakacie nie nastąpiła jednak tylko zewnętrzna przemiana. Cesarz należał do ludzi zadumanych, nawet melancholijnych, popadających często w głęboką depresję, lecz zawsze kierujących się ambicją. Garion nierzadko odczuwał, że malloreńska ambicja i widoczna żądza władzy nie wynikały tak bardzo z jakiejś wewnętrznej potrzeby tkwiącej w tym człowieku, lecz były sposobem nieustannego sprawdzania samego siebie, a prawdopodobnie na głębszym poziomie wywodziły się z dążenia do samounicestwienia. Często zdawało się, że Zakath rzucił samego siebie oraz wszelkie zasoby swego imperium do wprost niemożliwej do wygrania walki, potajemnie licząc na to, że w końcu napotka kogoś, kto okaże się dość silny, by go zabić, a co za tym idzie, wyswobodzić od ciężaru życia, który stał się dla niego nie do zniesienia.

Ten okres należał już do przeszłości. Spotkanie Cyradis na brzegu rzeki Magan odmieniło go. Świat, który do tej pory wydawał mu się płaski i zjedziały, nabrał nowego kolorytu. Czasami Garionowi wydawało się, że dostrzega na obliczu przyjaciela słaby blask nadziei, jaka nigdy wcześniej nie gościła na twarzy cesarza.

Na szerokim zakręcie Garion dostrzegł wilczycę, którą znalazł onegdaj w martwym darshivańskim lesie. Siedziała cierpliwie, najwyraźniej ich oczekując. Zachowanie zwierzęcia coraz bardziej zdumiewało Gariona. Teraz, kiedy okaleczona łapa wygoiła się zupełnie, wilczyca czasem przepadała gdzieś w pobliskich lasach w poszukiwaniu stada, lecz zawsze

wracała, wyraźnie nie przejmując się faktem, że nie udało jej się zlokalizować swych towarzyszy. Przebywanie z nowymi przyjaciółmi zdawało się napawać ją szczególnym zadowoleniem. Póki przemierzali lasy i niezamieszkałe górskie tereny, jej szczególne zachowanie nie sprawiało żadnych kłopotów, lecz wiedzieli, że nie zawsze będą wędrowali przez dziczą, a pojawienie się nieoswojonego i nerwowego wilka na zatłoczonej ulicy sporego miasta z pewnością przyciągnęłoby uwagę jego mieszkańców.

- Co u ciebie, mała siostrze? - spytał grzecznie Garion językiem wilków.

- Dobrze - odparła.

- Znalazłaś ślady swego stada?

- Dookoła dużo wilków, lecz nie należą do mego stada. Zostanę jeszcze z wami. Gdzie moje młode?

Garion spojrział przez ramię na niewielki, dwukołowy pojazd toczący się z tyłu.

- Siedzi koło mojej partnerki w tej rzeczy z okrągłymi stopami.

Wilczyca westchnęła.

- Jeśli dalej będzie tak siedział, niedługo zapomni, jak się biega, nie mówiąc już o polowaniu - stwierdziła z dezaprobatą - a jeśli twoja partnerka dalej będzie go tak karmiła, szczenię rozepchnie sobie brzuch i nie przetrwa później chudego okresu, kiedy jest mało jedzenia.

- Porozmawiam z nią.

- Posłucha?

- Prawdopodobnie nie, ale mimo wszystko porozmawiam z nią. Ona bardzo lubi małego i cieszy się, kiedy ma go przy sobie.

- Wkrótce powinnam nauczyć go polować.

- Tak, wiem. Wytlumaczę to mojej partnerce.

- Jestem wdzięczna. - Przerwała rozglądając się uważnie. - Miejcie się na baczności - ostrzegła. - Mieszka tu pewne stworzenie. Poczulałam kilka razy jego zapach. Jest dość duży.

- Jak duży?

- Większy niż ta bestia, na której siedzisz. - Spojrzała wymownie na Chretienne. Wielkiego szarego ogiera mniej już denerwowała obecność znajomej wilczycy, lecz Garion podejrzewał, że wolałby, żeby nie podchodziła aż tak blisko.

- Powiadomię przewodnika stada - obiecał Garion. Z jakiejś przyczyny wilczyca unikała Belgaratha. Garion domyślał się, że jej zachowanie mogło wynikać z jakiegoś niezanego mu punktu wilczej etykiety.

- Będę szukała dalej - powiedziała stając na cztery łapy. - Może natrafię na bestię, a

wtedy dowiemy się co zacz. - Umilkła. - Jej zapach mówi mi, że jest niebezpieczna. Żywi się wieloma rzeczami, nawet takimi, których my byśmy się wystrzegali. - Po tych słowach odwróciła się i zagłębiła w las poruszając się szybko i bezszelestnie.

- To niesłychane - zauważył Zakath. - Słyszałem już wcześniej, jak ludzie rozmawiali ze zwierzętami, ale nigdy ich językiem.

- Taka rodzinna osobliwość. - Garion uśmiechnął się. - Z początku również nie mogłem uwierzyć. Ptaki ciągle przylatywały, aby porozmawiać z Polgarą, zwykle o swoich jajkach. Ptaki uwielbiają rozprawiać o jajkach. Czasami są dość głupawe. Wilki są dużo bardziej dostojne. - Przerwał na chwilę. - Nie musisz się chwalić cioci Pol, że ci o tym mówiłem - dodał.

- Strach, Garionie? - roześmiał się Zakath.

- Ostrożność - poprawił Garion. - Muszę porozmawiać z Belgarathem. Miej oczy otwarte. Wilczyca twierdzi, że czai się tu jakieś zwierzę. Mówi, że jest większe od konia i do tego bardzo niebezpieczne. Sugerowała, że to ludojad.

- Jak wygląda?

- Nie wie. Wywęszyła bestię i widziała jej ślady.

- Będę uważał.

- Dobrze. - Garion odwrócił się i pojechał w kierunku rozmawiających Belgaratha i Polgary.

- Durnik potrzebuje wieży w Vale - mówił Belgarath.

- Nie rozumiem po co, ojczu - odparła Polgara.

- Wszyscy uczniowie Aldura mają wieże, Pol. To zwyczaj.

- Stare zwyczaje nieźle się trzymają, jak widzę, nawet gdy już niczemu nie służą.

- Będzie musiał się uczyć, Pol. W jaki sposób to zrobi, kiedy będziesz ciągle przy nim?

Obdarzyła go długim, chłodnym spojrzeniem.

- Mogę wyrazić swe myśli innymi słowami.

- Nie śpiesz się, ojczu. Chętnie poczekam.

- Dziadku - odezwał się Garion wstrzymując swego wierzchowca. - Właśnie rozmawiałem z wilczycą. Mówi, że w lesie jest jakieś duże zwierzę.

- Może niedźwiedź?

- Nie sądzę. Wywęszyła je kilka razy, a prawdopodobnie rozpoznałaby woń niedźwiedzia.

- Raczej tak.

- Nie powiedziała tego wprost, lecz odniosłem wrażenie, że to coś nie wybrzydza jeśli chodzi o jedzenie. - Przerwał. - Czy to tylko moja wyobraźnia, czy rzeczywiście jest ona dziwnym wilkiem?

- Co konkretnie masz na myśli?

- Mówi tyle, ile może przekazać mową wilków, a ja czuję, że ma do powiedzenia dużo więcej.

- Jest po prostu bystra. To wszystko. To rzadka cecha u samic, ale słyszałem o takich przypadkach.

- Rozmowa zaczyna przybierać fascynujący kierunek - zauważyła Polgara.

- Och - zdziwił się starzec - wciąż tu jesteś, Pol? Sądziłem, że do tej pory znalazłaś sobie coś do roboty.

Zmroziła go lodowatym spojrzeniem, lecz zdawał się zupełnie tym nie przejmować. - Lepiej ostrzeż pozostałych - zwrócił się do Gariona. - Wilk minąłby zwyczajne zwierzę bez słowa komentarza. Bez względu na to, co to za stwór, jest on niezwykle, a niezwykle zazwyczaj oznacza niebezpieczny. Powiedz Ce'Nedrze, żeby dołączyła do reszty. Wystawia się na niebezpieczeństwo wlokąc się w ogonie. - Zastanowił się chwilę. - Nie mów nic, co mogłoby ją przerazić, lecz każ Liselle usiąść z nią na wozie.

- Liselle?

- Ta płowowłosa, z uroczyimi dołeczkami w policzkach.

- Wiem, kto to Liselle, dziadku. Czy nie lepiej byłoby posadzić tam Durnika, albo Totha?

- Nie. Gdyby któryś z nich dołączył do Ce'Nedry, natychmiast domyśliłaby się, że coś nie tak, i mogłaby się przerazić. Zwierzę na łowach z łatwością wyczuje strach. Nie wystawiamy jej niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Liselle jest świetnym wojownikiem i prawdopodobnie ma gdzieś ukryte dwa lub trzy sztylety. - Wyszczrzył zęby w chytrym uśmiechu. - Sądzę, że Silk powiedziałby ci, gdzie dokładnie się znajdują - dodał.

- Ojczy! - wysapała Polgara.

- Chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiedziałaś, Pol? Wielkie nieba, cóż za brak spostrzegawczości!

- Punkt dla ciebie - podsumował Garion.

- Cieszę się, że ci się podobało. - Belgarath uśmiechnął się szelmowsko do Polgary. Garion odwrócił Chretienne tak, żeby ciocia nie widziała uśmiechu, którego nie mógł powstrzymać.

Tej nocy z większą niż zazwyczaj ostrożnością rozbili obóz, wybierając do tego celu

niewielki osinowy zagajnik położony między stromym urwiskiem z jednej strony a głębokim potokiem górskim z drugiej. Kiedy słońce zatopiło się w wiecznych śniegach ponad nimi i zmrok wypełnił wąwozy i przełomy lazurowymi cieniami, powrócił Beldin. - Czy trochę nie za wcześnie na postój? - spytał przybrawszy uprzednio ludzką postać.

- Konie są zmęczone - Belgarath rzucił ukośne spojrzenie na Ce'Nedre. - To wyjątkowo stromy szlak.

- Poczekaj, poczekaj - zamruczał Beldin kuśtykając w kierunku ognia. - Dalej robi się jeszcze bardziej stromy.

- Co ci się stało w nogę?

- Trochę posprzeczałem się z orłem. Co za głupie ptaszyska z tych orłów. Nie potrafił odróżnić jastrzębia od gołębia. Musiałem dać mu lekcję. Dziobnął mnie, kiedy wyszarpywałem mu pióra z ogona.

- Wujku - odezwała się z wymówką Polgara.

- Sam zaczął.

- Czy widziałeś jakieś oddziały? - spytał go Belgarath.

- Trochę Darshivan. Są jakieś dwa lub trzy dni drogi za nami. Armia Urvona wycofuje się. Teraz, kiedy zabrakło jego i Nahaza nie widzą sensu, żeby pozostać.

- Dzięki temu pozbyliśmy się chociaż części wojska, które deptało nam po piętach - powiedział Silk.

- Nie popadaj zbyt szybko w euforię - odparł Beldin. - Kiedy nie ma już Strażników i Karandów, Darshivanie skoncentrują się wyłącznie na nas.

- To prawda. Sądysz, że wiedzą, że tu jesteśmy?

- Zandramas na pewno, a chyba nie będzie ukrywała takiej wiadomości przed swoimi żołnierzami. Jutro późnym rankiem prawdopodobnie natraficie na śnieg. Dobrze by było pomyśleć, w jaki sposób zatrzeć ślady. - Rozejrzał się dokoła. - Gdzie twój wilk? - spytał Gariona.

- Poluje i szuka śladów swego stada.

- Zaraz, zaraz - odezwał się cicho Belgarath upewniając się, że Ce'Nedra nie usłyszy jego słów. - Wilk powiedział Garionowi, że na tym terenie poluje jakieś duże zwierzę. Pol wybierze się dziś w nocy na zwiad, lecz nie zaszkodzi, żebyś i ty trochę jutro powęszył. Nie jestem w nastroju do niespodzianek.

- Zobaczą co da się zrobić.

Sadi i Velvet siedzieli z drugiej strony ogniska. Ustawili przy nim małą glinianą butelkę i próbowali wywabić Zith i jej potomstwo podsuwając pod otwór naczynia kawałki

sera. - Szkoda, że nie mamy mleka - odezwał się kontraltem Sadi. - Mleko jest wyśmienite dla małych węży. Wzmacnia ich zęby.

- Postaram się nie zapomnieć - powiedziała Velvet.

- Czy planujesz zrobić karierę jako piastunka węży, margrabino?

- To miłe, małe stworzonka - odparła. - Są czyste i ciche. Nie jedzą zbyt dużo. Poza tym, okazują się niezwykle pożyteczne w nagłych wypadkach.

Uśmiechnął się do niej tklawie.

- Jeszcze zrobimy z ciebie Nyissanke, Liselle.

- Ja do tego ręki nie przyłożę - mruknął posępnie Silk do Gariona.

Wieczera składała się z upieczonego na ruszcie pstrąga. Durnik i Toth skończywszy rozbijanie obozowiska przenieśli się na brzeg potoku, zabierając ze sobą kije i przynęty. Durnik stając się Uczniem zmienił się pod paroma względami, lecz w żadnym stopniu nie zmniejszył się jego apetyt na ulubione spędzanie wolnego czasu. Nie musiał już umawiać się ze swym przyjacielem niemową na podobne wycieczki. Za każdym razem kiedy obozowali w pobliżu jakiegoś jeziora czy strumienia, reagowali identycznie i niemalże bezwiednie.

Po posiłku Polgara, przeistoczywszy się w śnieżnobiałą sowę, odleciała w otulony mrokiem las. Nie odnalazła jednak nawet śladów bestii, przed którą ostrzegala wilczyca.

Ranek powitał ich chłodem. Oddechy koni malowały mroźne powietrze kłębamii pary, a Garion i pozostali opatuliwszy się szczelnie pelerynami jechali powoli, wstrzymując rwące się do biegu wierzchowce.

Jak przewidział Beldin, późnym popołudniem dotarli do linii śniegu. Z początku szlak pokrywała cienka warstwa lodu, lecz dalej przed sobą ujrzeli głębsze zaspv. Wieczorem rozbili obóz poniżej wiecznej zmarzliny i jak zwykle wyruszyli wczesnym rankiem. Silk wymyślił rodzaj kabłąka dla jednego z jucznych koni. Na linach za jarzmem wlokło się kilkanaście okrągłych kamieni, wielkości głowy. Mały człowieczek krytycznym wzrokiem ocenił bruzdy robione przez kamienie na śniegu i po chwili wszyscy ruszyli pod górę zagłębiając się w krainę wiecznej zimy.

- Całkiem dobre - pochwalił sam siebie.

- Nie do końca rozumiem celowość twego wynalazku, książę Kheldarze - wyznał Sadi.

- Kamienie zostawiają ślady, które wyglądają mniej więcej tak, jak ślady wozu - wyjaśnił Silk. - Ślady koni wzbudziłyby podejrzenia idących za nami żołnierzy. Ślady wozu na szlaku karawan nie będą niczym niezwykłym.

- Sprytnie pomyślane - przyznał eunuch - ale czemu nie pościnać krzaków i nie

ciągnąć ich za sobą?

Silk potrząsnął przecząco głową.

- Zatarcie wszystkich śladów na śniegu wyglądałoby jeszcze bardziej podejrzanie. To dość uczęszczany trakt.

- Zawsze o wszystkim pomyślisz, co?

- Kręctwo było jego ulubioną dziedziną podczas studiów na Akademii - odezwała się Velvet z małego powozu, który dzieliła z Ce'Nedrą i młodym wilczkiem. - Czasami kręci, żeby nie wyjść z wprawy.

- Nie wiem, czy posunąłbym się aż tak daleko, Liselle - sprzeciwił się zboląłym głosem mały człowieczek.

- Czyżby?

- Tak sądzę, lecz nie musisz wyjawiać tego całemu światu. A poza tym „kręctwo” wywołuje wyjątkowo nieprzyjemne skojarzenia.

- Przychodzi ci do głowy lepsze określenie?

- No cóż, „wybiegi” brzmi nieco lepiej, nieprawdaż?

- Skoro znaczy dokładnie to samo, po co się sprzeczać nad terminologią? - Uśmiechnęła się szelmowsko ukazując parę uroczych dołeczków na policzkach.

- To kwestia stylu, Liselle.

Szlak karawan piął się po coraz większej stromiźnie, a zasypane śniegiem po obu stronach drogi stawały się coraz głębsze. Długie na milę pióropusze śnieżnego puchu zwiewał z górskich szczytów wzmagaający się wiatr, wzbogacony teraz o szczypiący policzki, suchy chłód.

Około południa skaliste szczyty zostały nagle zasłonięte przez groźnie wyglądającą, olbrzymią chmurę nadciągającą nieubłaganie z zachodu. Wilczyca wróciła duktem sadząc wielkie susy.

- Radzę poszukać schronienia - powiedziała ze szczególnym niepokojem w głosie.

- Czyżbyś znalazła stworzenie, które zamieszkuje te tereny? - spytał Garion.

- Nie. To jest o wiele bardziej niebezpieczne. - Spojrzała wymownie do tyłu w kierunku zbliżającej się chmury.

- Powiem przewodnikowi stada.

- Dobrze. - Wskazała pyskiem na Zakatha. - Każ temu podążyć za mną. Niedaleko są drzewa. On i ja znajdziemy odpowiednie miejsce.

- Chce, żebyś z nią poszedł - Garion zwrócił się do Mallooreanina. - Nadciąga burza i wilczyca twierdzi, że powinniśmy schronić się wśród pobliskich drzew. Znajdźcie dobre

schronienie, a ja pojedę ostrzec pozostałych.

- Burza śnieżna? - spytał Zakath.

- Tak przypuszczam. Jeśli chodzi o pogodę, to jedynie coś bardzo poważnego może zaniepokoić wilka. - Garion zawrócił Chretienne i ruszył galopem, by powiadomić resztę grupy o zbliżających się kłopotach. Stroma, śliska droga utrudniała pośpiech, a lodowaty wichur ciskał klującymi sopelkami w twarze jeźdźców zmierzających w stronę zbawczych zarośli, do których wilczyca poprowadziła Zakatha. Wjechali w gęsty las młodych sosen. W niezbyt odległej przeszłości przeszła tędy lawina usypując pod stromym, skalnym urwiskiem mieszaninę konarów i połamanych pni. Durnik wraz z Tothem natychmiast zabrali się do pracy, mimo że wiatr wzmógł się, a śnieg sypał coraz gęściej. Dołączyli do nich pozostali i po niedługim czasie, wspólnymi siłami, wzniesli solidne rusztowanie wsparte o ścianę klifu. Pokryli je płótnem namiotowym przywiązując dokładnie materiał i w kilku miejscach obciążając pniakami drzew. Następnie oczyścili wnętrze i kiedy burza uderzyła z ogromną siłą, wprowadzili konie do niższej części prostego schroniska.

Wichur zawodził szaleńczo i zdawało się, że gąszcz zniknął zupełnie w kołującym śniegu.

- Czy Beldinowi nic się nie stanie? - spytał lekko zaniepokojony Durnik.

- Nie martw się o Beldina - odparł Belgarath. - Przeżył już wiele burz. Albo wzniesie się powyżej, albo powróci do swej normalnej postaci i zagrzebawszy się w zaspie przeczeka nawałnicę.

- Zamarznie na śmierć! - krzyknęła Ce'Nedra.

- Pod śniegiem nie - zapewnił ją Belgarath. - Beldin nie dba o warunki pogodowe. - Spojrzał na wilczycę, która siedziała na zadzie w wejściu do prowizorycznej przybudówki wpatrując się w kołujący śnieg. - Jestem ci wdzięczny za ostrzeżenie, mała siostrze - powiedział oficjalnie.

- Należę teraz do twego stada, czcigodny przewodniku - odparła równie oficjalnie. - Wszyscy ponoszą odpowiedzialność za jego los.

- Mądrze powiedziane, mała siostrze. Zamerdała ogonem.

Śnieżnica szalała przez resztę dnia i nie ustąpiła również w nocy. Wędrowcy usiedli wokół zbudowanego przez Durnika ogniska. Około północy wiatr ustał niemal tak szybko jak się zrodził. Śnieg sypał jeszcze do rana pokrywając świat całunem sięgającym Garionowi do kolan.

- Obawiam się, że będziemy musieli usunąć śnieg z drogi - odezwał się trzeźwo Durnik. - Od szlaku dzieli nas jakieś ćwierć mili, a pod świeżym śniegiem znajduje się całe

mnóstwo różnych rzeczy. Nie jest to odpowiedni czas, ani miejsce, aby narażać konie na łamanie nóg.

- A co z moim pojazdem? - spytała Ce'Nedra.

- Obawiam się, że będziemy go musieli zostawić, Ce'Nedro. Śnieg jest po prostu zbyt głęboki. Nawet jeśli udałoby się nam sprowadzić powóz z powrotem na drogę, żaden koń nie mógłby pociągnąć go poprzez zaspę.

Westchnęła.

- Taki powóz. - Spojrzała na Silka poważnie. - Chcę ci podziękować, Kheldarze, że mi go użyczyłeś - powiedziała. - Mnie on już nie będzie potrzebny, więc możesz go teraz zabrać.

Tohowi udało się wykopać wąski rów w śniegu pokrywającym strome zbocze. Pozostali podążali za nim poszerzając ścieżkę i badając stopami, czy pod śniegiem nie ukrywają się jakieś pnie czy gałęzie. Wiele wysiłku i czasu kosztowało ich dobrnięcie do szlaku karawan, gdy w rozrzedzonym powietrzu na tak dużej wysokości trudno było oddychać.

Zawrócili do prowizorycznego szałasu, gdzie czekały kobiety pilnujące koni, lecz mniej więcej w połowie drogi wilczyca nagle skuliła uszy i warknęła ostrzegawczo.

- O co chodzi? - spytał Garion.

- Stworzenie - zawarczała. - Poluje.

- Przygotujcie się! - zakrzyknął do pozostałych Garion. - To zwierzę jest w lesie! - Sięgnął przez ramię i wyciągnął z pochwy Miecz Rivańskiego Króla.

Wychynęło z zarośli na drugim krańcu szlaku wyżłobionego przez lawinę. Gęste, zmierzwione futro gotującego się do skoku stworzenia pokrywały grube płatki śniegu. Przeróżająca twarz wydawała się przejmująco znajoma. Świńskie oczka skrywały się pod ciężkimi brwiami. Z wystającej dolnej szczęki wyrastały dwa masywne, pożółkłe kły, które zakrzywiały się niczym dwa sierpy niemalże dotykając wyraźnie zarysowanych kości policzkowych. Otworzyło pysk i zaryczało przeraźliwie wyprostowując muskularne ciało na całą wysokość i waląc potężnymi kulkami w klatkę piersiową. Miało jakieś dziesięć stóp wysokości.

- Niesamowite! - wykrzyknął Belgarath.

- Cóż za dziwo? - zdumiał się Sadi.

- Eldrak - wyjaśnił Belgarath. - A Ulgoland jest jedynym miejscem, gdzie można spotkać Eldraki.

- Chyba się mylisz, Belgaracie - sprzeciwił się Zakath. - Tak właśnie nazywają małponiedźwiedzia, a w okolicznych górach jest ich kilka.

- Czy nie sadszicie panowie, że problemy tego gatunku lepiej będzie przedyskutować innym razem? - spytał Silk. - W tej chwili należałoby się raczej zastanowić czy uciekać, czy walczyć.

- Nie możemy uciekać w takim śniegu - zauważył posępnie Garion. - Będziemy musieli stawić mu czoło.

- Obawiałem się, że możesz coś takiego powiedzieć.

- Najważniejsze to trzymać go z dala od kobiet - stwierdził Durnik. Spojrzał na eunucha. - Sadi, czy trucizna na twoim sztylecie jest wystarczająco silna, by go uśmiercić?

Sadi popatrzył z powątpiewaniem na kudłatą bestię.

- Jestem tego pewien - odezwał się po chwili - ale ten stwór jest wyjątkowo wielki. Trucizna zaczęłaby działać dopiero po jakimś czasie.

- A zatem dobrze - zdecydował Belgarath. - Pozostali odwrócą jego uwagę umożliwiając Sadiemu zejście bestii od tyłu. Gdy już ugodzi ją sztyletem, cofniemy się czekając, aż trucizna zrobi swoje. Rozproście się i nie ryzykujcie niepotrzebnie. - Wypowiedziawszy ostatnie słowo, migocząc przeistoczył się w wilka.

Ustawili się w półkole trzymając broń w pogotowiu, a tymczasem stojący na skraju drzew potwór nieustannie ryczał i walił się w piersi wprowadzając się w szal. Nagle ruszył do przodu wyrzucając spod ogromnych stóp tumany śniegu. Sadi pobiegł ku wierzchołkowi wzgórza trzymając nisko swój niewielki sztylet. Dwa szare wilki rzuciły się z wyszczerzonymi kłami na potężną bestię.

Umysł Gariona pracował niezwykle jasno, gdy król przedzierał się przez zasy wymachując nad głową ogromnym mieczem. Zauważył, że stworzenie ustępowało szybkością Eldrakowi Grulowi. Nie potrafiło odpowiedzieć na błyskawiczne ataki wilków i śnieg dookoła szybko zabarwił się ciemnym szkarłatem. Z gardzieli zwierza wydobył się ryk niezadowolenia, po czym kudłata istota rzuciła się desperacko na Durnika. Tuż przed nią wyłonił się jak spod ziemi Toth. Zamachnął się szeroko i końcem ciężkiej maczugi grzmotnął prosto w pysk bestii. Zawyla z bólu i rozpostarła potężne ramiona, by zmiażdżyć olbrzymiego niemowę w druzgoczącym uścisku, lecz Garion ciął ją przez ramię swym mieczem, a Zakath zanurkował pod drugie włochate ramię zatapiając raz po raz ostrze miecza w brzuchu i piersiach bestii, podczas gdy wilki niezmordowanie kąsały jej grube jak konary nogi. Sadi zbliżył się ostrożnie od tyłu do rozszalałej bestii, która desperacko wymachiwała ramionami próbując pozbyć się natrętów. Wtem, z wielką precyzją wilczyca skoczyła i rozpruła kłami potężne udo zwierza. Rozległ się niemal agonalny ryk, tym bardziej straszliwy, że wydawał się dziwnie ludzki. Kudłatac runął na grzbiet chwytając się za okaleczoną nogę. Garion

wzniósł wielki miecz i ścisnąwszy mocno rękojeść stanął okrakiem nad wijącym się cielskiem. Przygotował się do zadania ostatecznego ciosu.

- Nie! - zawołało stworzenie, a okropna twarz wykrzywiła się w agonii i strachu. -
Proszę, nie zabijaj mnie!

Rozdział II

Był Grolimem. Olbrzymia bestia leżąca w zbroczonym krwią śniegu rozmyła się, zmieniając postać, zanim przyjaciele Gariona zdążyli nadbiec z bronią gotową do zadania ciosów.

- Zaczekajcie! - krzyknął ostro Durnik. - To człowiek! Znieruchomieli patrząc na straszliwie zranionego kapłana leżącego na śniegu.

Garion przytknął ostrze miecza pod brodę Grolima. Z całej jego postaci emanowała wściekłość.

- Dobrze - powiedział zimnym głosem - gadaj teraz i naprawdę powinieneś być bardzo przekonujący. Kto cię w to zmienił?

- Naradas - wyjęczał Grolim. - Arcykapłan Świątyni Hemil.

- Ten pacholek Zandramas? - upewnił się Garion. - Ten z białymi oczami?

- Tak. Robiłem tylko co mi rozkazał. Proszę, nie zabijaj mnie.

- Dlaczego kazał ci nas zaatakować?

- Miałem zabić jednego z was.

- Kogo?

- Było mu wszystko jedno. Powiedział tylko, że musi mieć pewność, iż jeden z was zginie.

- A zatem nic się nie zmieniło - zauważył Silk wkładając do pochwy swoje sztylety. - Grolimowie są wyjątkowo pozbawieni wyobraźni.

Sadi spojrzał pytająco na Gariona, unosząc wymownie wąski mały nóż.

- Nie! - wtrącił ostro Eriond. Garion zawahał się.

- On ma rację, Sadi - powiedział w końcu. - Nie możemy go zabić z zimną krwią.

- Alornowie - westchnął Sadi wznosząc oczy ku niebu. - Przecież zdajecie sobie sprawę, że jeśli go tutaj zostawimy w takim stanie, i tak umrze. Jeśli natomiast zabierzemy go ze sobą, będzie opóźniał marszrutę, nie wspominając już o tym, że w ogóle trudno mu ufać.

- Eriondzie - odezwał się Garion - może poszedłbyś po ciocię Pol? Powinniśmy opatrzyć mu rany, zanim wykrwawi się na śmierć. - Spojrzał na Belgaratha, który ponownie zmienił postać. - Jakieś sprzeciwy? - spytał.

- Nic nie mówiłem.

- Doceniam to.

- Powinniście byli go zabić, zanim zdążył się przeistoczyć. - Z gęstwiny doszedł ich

znajomy głos. Na pniaku siedział Beldin ogryzając coś, co najwyraźniej nie było ugotowane i nadal miało jeszcze trochę piór.

- Jak przypuszczam, nie przyszło ci do głowy, żeby nam pomóc? - spytał kwaśno Belgarath.

- Dobrze sobie radziliście. - Karzeł wzruszył ramionami i beknąwszy rzucił resztki śniadania wilczycy.

- Jestem wdzięczna - powiedziała grzecznie, zatapiając kły w na pół zjedzonej padlinie. Garion nie mógł być pewien czy Beldin zrozumiał, lecz przypuszczał, że pokrzywiony, mały człowiek wiedział o co chodzi.

- Co Eldrak robi tu w Mallorei? - spytał Belgarath.

- To nie dokładnie Eldrak, Belgaracie - odparł Beldin wypluwając kilka wilgotnych piór.

- No dobrze, ale skąd malloreański Grolim wiedział, jak wygląda Eldrak?

- Nie słuchałeś mnie, stary człowieku. W tych górach zamieszkuje kilka podobnych stworów. Są jedynie spokrewnione z Eldrakami. Nie są tak duże, a poza tym ustępują im inteligencją.

- Sądziłem, że wszystkie potwory żyją w Ulgołandzie.

- Użyj swego rozumu, Belgaracie. W Chereku są Trolle, w Arendii Algrothowie, a w południowej Tolnedrze Driady. Jest jeszcze ta smoczyca, lecz nikt nie zna dokładnie miejsca jej pobytu. Potwory są wszędzie. W Ulgo jest ich po prostu nieco więcej.

- Chyba masz rację - stwierdził Belgarath. Spojrzał na Zakatha. - Jak nazwałeś to coś?

- Małponiedźwiedz. Nie jest to pewnie najbardziej odpowiednia nazwa, lecz ludzie zamieszkujący te tereny nie są zbyt błyskotliwi.

- Gdzie teraz przebywa Naradas? - spytał Silk rannego Grolima.

- Widziałem go w Balsa - odparł Grolim. - Nie wiem, dokąd stamtąd się udał.

- Czy była z nim Zandramas?

- Nie widziałem jej, lecz to nie znaczy, że jej tam nie było. Święta Prorokini nie pokazuje się teraz zbyt często.

- Z powodu światła pod skórą? - spytał wprost mały człowieczek o szczurzej twarzy.

Twarz Grolima pobladła jeszcze bardziej.

- Nie wolno nam o tym rozmawiać, nawet między sobą - odparł przerażonym głosem.

- Wszystko w porządku, przyjacielu. - Silk uśmiechnął się do niego wyciągając jeden ze sztyletów. - Masz moje pozwolenie.

Grolim z trudem przełknął ślinę, po czym skinął głową.

- Roztropny z ciebie człek. - Silk poklepał go po ramieniu. - Kiedy te światła zaczęły się pojawiać?

- Nie jestem pewien. Zandramas długo bawiła na Zachodzie z Naradasem. Światła zaczęły się pokazywać po jej powrocie. Jeden z kapłanów w Hemil rozsiewał różne plotki twierdząc, że to rodzaj zarazy.

- Rozsiewał?

- Dowiedziała się i kazała wyciąć mu serce.

- Taką właśnie Zandramas znamy i kochamy.

Ścieżką nadeszła Polgara, a za nią, brnąc w śniegu, Ce'Nedra i Velvet. Czarodziejka bez słowa komentarza opatrzyła rany Grolima, podczas gdy Durnik wraz z Tothem wrócili do przybudówki i wyprowadzili konie. Następnie odwiązali płótno namiotowe i połamali ramę. Podprowadzili konie do miejsca, gdzie leżał ranny Grolim. Sadi podszedł do swego siodła i otworzył czerwoną, skórzaną torbę.

- To dla bezpieczeństwa - wymamrotał do Gariona, wyciągając mały flakonik.

Garion uniósł brwi.

- Nic mu nie będzie - zapewnił go eunuch. - Stanie się tylko bardziej uległy. A poza tym, skoro masz dziś taki humanitarny nastrój, wiedz, że ten specyfik powinien również złagodzić ból.

- Nie podoba ci się to, prawda? - spytał Garion. - Mam na myśli fakt, że go nie zabiliśmy.

- Myślę, że to nieroztropne, Belgarionie - powiedział poważnie Sadi. - Martwy wróg jest nieszkodliwym wrogiem. Żywi mogą powrócić i sprawiać kłopoty. Decyzja jednak należy do ciebie.

- Pójdę na ustępstwo - odezwał się Garion. - Trzymaj się blisko niego. Jeśli zacznie wymykać się spod kontroli, zrób to, co uważasz za słuszne.

Sadi uśmiechnął się słabo.

- Teraz lepiej - pochwalił. - Nauczymy cię jeszcze podstaw praktycznej polityki.

Poprowadzili konie w górę po stromym zboczu do szlaku karawan i dopiero tam wskoczyli na siodła. Zawodzący wichur, który towarzyszył śnieżycy, oczyścił większą część szlaku ze śniegu, chociaż w osłoniętych miejscach, gdzie droga mknęła za ścianą lasu i sporymi skałami, napotykali głębokie zasy znacznie opóźniające ich podróż i dopiero na otwartej przestrzeni nadrabiali stracony czas. Promienie słoneczne odbijały się od świeżego śniegu osłepiając swym blaskiem. Garion mrużył oczy prawie je zamykając, lecz mimo to po jakimś czasie zauważył, że głowa zaczyna mu pękać z bólu.

Silk ściągnął wodze.

- Myślę, że nadszedł czas, by przedsięwziąć pewne środki ostrożności - odezwał się. Z głębi przepastnej peleryny wyciągnął cienką chustkę i zawiązał ją zasłaniając sobie oczy. Garionowi przypomniał się Relg i to, jak zrodzony w jaskini fanatyk zawsze zakrywał oczy wychodząc na otwartą przestrzeń.

- Przepaska na oczy? - spytał Sadi. - Czyżbyś nagle stał się prorokiem, książę?

- Nie jestem jednym z tych, co miewają wizje, Sadi - odparł Silk. - Ta chusta jest wystarczająco cienka, by przez nią widzieć. Ma po prostu chronić oczy przed blaskiem słonecznych promieni odbijających się od śniegu.

- Rzeczywiście jest dość jasno - zgodził się Sadi.

- W istocie. Popatrz sobie dłużej, a oślepniesz, przynajmniej na jakiś czas. - Silk poprawił opaskę na oczach. - Wymyślili to poganiacze reniferów w północnej Drasnii. Sprawdza się bez zarzutu.

- Lepiej nie ryzykować - stwierdził Belgarath, również zakrywając oczy kawałkiem materiału. Uśmiechnął się. - Może właśnie w ten sposób Dalowie oślepiali Grolimów, kiedy ci próbowali dostać się do Kell.

- Byłabym wielce rozczarowana, gdyby okazało się to tak proste - rzekła Velvet zawiązując chustę na oczach. - Lubię magię za to, że jest tajemnicza, niewyjaśniona. Oślepienie blaskiem słońca byłoby zbyt prozaicznym rozwiązaniem.

Przedzierali się przez zasy wspinając się mozolnie w kierunku wysokiej przełęczy, wciśniętej między dwa strzeliste szczyty. Dotarli tam po południu. Szlak wił się pośród olbrzymich głazów, lecz kiedy wspięli się na szczyt, ich oczom ukazała się prosta droga. Zatrzymali się, by dać odpocząć koniom i popatrzeć na rozległy dziki krajobraz roztaczający się za przełęczą.

Toth odsłonił oczy i zagestykulował w stronę Durnika. Kowal również ściągnął ochronną przepaskę i spojrział w kierunku wskazywanym przez olbrzymiego niemowę. Na jego twarzy odmalowała się trwoga.

- Patrzcie! - wymówił zdławionym szeptem. Pozostali również odsłonili oczy.

- Belar! - wysapał Silk. - Nic innego nie mogłoby być tak wielkie!

Szczyty dookoła nich, które wydawały się olbrzymie, skurczyły się do nicości. Przed nimi wyrastała samotna, wyniosła góra, której ogrom trudno było objąć rozumem. Wydawała się perfekcyjnie symetryczna; stromy, biały stożek o ostrych zboczach. Jej podstawa była przeogromna, a wierzchołek wystrzelał tysiące stóp ponad pobliskie szczyty. Zdawało się, że otacza ją niezmacony spokój; tak, jakby osiągnąwszy wszystko, co tylko góra może osiągnąć,

oddała się czystej egzystencji.

- To najwyższy szczyt świata - powiedział cicho Zakath. - Uczni na uniwersytecie w Melceni oszacowali jej wysokość i porównywali z wysokościami szczytów na zachodnim kontynencie. Jest tysiące stóp wyższa od najwyższej góry.

- Proszę, Zakacie - odezwał się Silk ze zboląłym wyrazem twarzy - nie mów, jak wysoka.

Zakath spojrzał zdumiony.

- Jak już może zauważyłeś, ja nie jestem zbyt wysokim człowiekiem. Ogrom przyprawia mnie o depresję. Przyznaję, że twoja góra jest większa ode mnie. Po prostu nie chcę wiedzieć o ile.

Toth ponownie wykonał kilka gestów w kierunku Durnika.

- Mówi, że Kell leży w cieniu tej góry - przekazał kowal.

- Trochę mało dokładne, gospodarzu - skrzywił się Sadi. - Przypuszczam, że połowa kontynentu leży w cieniu tego kolosa przed nami.

Nadleciał Beldin.

- Wielka, co? - odezwał się łypiąc na olbrzymi, biały szczyt jaśniejący na tle błękitnego nieba.

- Zauważyliśmy - odparł Belgarath. - Co mamy przed sobą?

- Sporo schodzenia w dół, przynajmniej zanim dotrzecie do zboczy tego tam olbrzyma.

- To sam widzę.

- Moje gratulacje. Znalazłem miejsce, gdzie moglibyście się uwolnić od waszego Grolima. Właściwie to kilka takich miejsc.

- Co dokładnie rozumiesz przez „uwolnić się”, wujku? - spytała podejrzliwie Polgara.

- Na drodze w dół wzdłuż szlaku jest kilka stromych urwisk - odparł bez ogródek. - Rozumiecie sami, wypadki chodzą po ludziach.

- Absolutnie się nie zgadzam. Nie opatrywałam jego ran po to, żeby mógł iść dopóki nie znajdziesz odpowiedniego miejsca, by go zepchnąć w dół.

- Polgaro, wiesz, że jestem człowiekiem głęboko religijnym. Uniosła brwi.

- Sądziłem, że wiesz. Pierwsze przykazanie mojej religii brzmi: Zabij każdego napotkanego Grolima.

- Mógłbym nawet przemyśleć pomysł nawrócenia się na tę religię - wtrącił Zakath.

- Czy jesteś całkowicie pewny, że nie urodziłeś się Arendem? - spytał go Garion.

Beldin westchnął.

- Rozumiem, że pozostaniesz nieugięta w tej kwestii, Pol. Poniżej linii śniegu dostrzegłem grupę pastuchów owiec.

- Pasterzy, wujku - poprawiła.

- Myślmy o tym samym. Jak się dobrze przyjrzeć, to prawie to samo słowo.

- Pasterz ładniej brzmi.

- Ładniej. - Zachnął się. - Owce są głupie, paskudnie śmierdzą, a smakują jeszcze gorzej. Ktoś, kto spędza całe życie na doglądaniu ich, jest albo przygłupi, albo zdegenerowany.

- Jesteś dzisiaj w szczególnym nastroju - zauważył Belgarath.

- Dziś był wspaniały dzień do latania - wyjaśnił Beldin szczerząc zęby. - Czy macie pojęcie, ile ciepła się wytwarza, gdy na świeży śnieg pada słońce? Raz wleciałem tak wysoko, że aż pojawiły mi się plamki przed oczami.

- To głupota, wujku - warknęła Polgara. - Nigdy nie powinieneś wznosić się w tak rozrzedzone powietrze.

- Wszyscy powinniśmy zakosztować pewnej dozy głupoty. - Wzruszył ramionami. - A nurkowanie z takiej wysokości jest czymś niewypowiedzianym. Może dotrzymasz mi towarzystwa, a pokażę ci, jak to się robi?

- Czy ty kiedykolwiek wydorosłeś?

- Wątpię, a osobiście mam nadzieję, że nieprędko. - Spojrzał na Belgaratha. - Myślę, że dobrze by było, gdybyście zeszli jakąś milę i rozbili obóz.

- Jest jeszcze wcześniej.

- Nie. Szczerze mówiąc jest dość późno. To popołudniowe słońce całkiem mocno grzeje, nawet tu na górze. Cały ten śnieg zaczyna mięknąć. Widziałem już trzy lawiny. Jeśli źle ocenicie sytuację, możecie znaleźć się na dole szybciej niż zamierzacie.

- Ciekawe spostrzeżenie. Zejdziemy z tej przełęczy i rozbijemy obozowisko.

- Udam się przodem. - Beldin kucnął i rozpostarł ramiona. - Czy jesteś pewna, Pol, że nie chcesz lecieć ze mną?

- Nie wygłupiaj się.

Odlatując pozostawił za sobą upiorny chichot.

Na noc rozbili obóz na grzbiecie wzgórza. Byli wprawdzie narażeni na nieustanny wiatr, jednak nie zagrażała im lawina. Tej nocy Garion nie spał zbyt dobrze. Chłostający odkryty łańcuch górski wicher targał płótnem namiotu, który Garion dzielił z Ce'Nedrą, a dźwięk ten wciskał się bezlitośnie w jego uszy, udaremniając wszelkie próby zaśnięcia. Niespokojnie poruszył się na legowisku.

- Ty też nie możesz spać? - rzuciła Ce'Nedra w chłodną ciemność.
- To przez ten wiatr - odparł.
- Postaraj się o nim nie myśleć.
- Nie muszę o nim myśleć. To jak próba zaśnięcia wewnątrz wielkiego bębna.
- Dziś rano wykazałeś się niezwykłą odwagą, Garionie. Przeraziłam się, kiedy usłyszałam o tym potworze.

- Już wcześniej rozprawialiśmy się z potworami. Po pewnym czasie można do tego przywyknąć.

- Jejku, do czego to doszło!

- To wrodzona cecha, jaką posiadamy my bohaterowie. Walka z jednym czy dwoma potworami przed śniadaniem wpływa na zaostrenie apetytu.

- Zmieniłeś się, Garionie.

- Chyba nie.

- O, tak. Kiedy spotkałam cię po raz pierwszy, nigdy byś czegoś takiego nie powiedział.

- Kiedy po raz pierwszy mnie spotkałaś, brałem wszystko bardzo poważnie.

- Czy nie traktujesz poważnie tego, co teraz robimy? - Wypowiedziała te słowa niemal oskarżycielskim tonem.

- Oczywiście, że podchodzę do tego poważnie. Po prostu lekceważę pewne drobne, przypadkowe sprawy zdarzające się po drodze. Nie ma przecież sensu martwić się czymś, co mamy już za sobą, prawda?

- No cóż, skoro żadne z nas nie może usnąć... - Przyciągnęła go do siebie i pocałowała całkiem poważnie.

W nocy temperatura spadła, więc rankiem śnieg, który poprzedniego popołudnia wydawał się niebezpiecznie mokry, zamarzył na tyle, by zapominając o groźbie lawiny mogli ruszyć w dalszą drogę. Posuwali się całkiem szybko po zasłoniętym od wiatru szlaku karawan, jako że nawietrzna strona zbocza przyjęła na siebie największy impet wiatru i szalejącej śnieżycy. Wczesnym popołudniem minęli granicę wiecznego śniegu i podążywszy w dół wpadli prosto w ramiona tryskającej życiem wiosny. Soczyste zielone łąki otulały strome zbocza naznaczone dzikimi kwiatami kłoniącymi się przed górskim wiatrem. Wypływające prosto ze ścian lodowca potoki burzyły się i tańczyły wesoło nad połyskującymi kamieniami, a łoś o łagodnym spojrzeniu z wyraźnym zdziwieniem przyglądał się mijającej go grupie dziwnych stworzeń.

Kilka mil poniżej linii śniegu zaczęli napotykać stada owiec pasących się w

bezmysłnym skupieniu, z jednakowym apetytem skubiących trawę i polne kwiaty. Doglądający ich pasterze w prostych, białych chałatach siedzieli zadumani na skałkach lub głazach, podczas gdy psy pasterskie wykonywały za nich całą pracę.

Wilczyca biegła spokojnie u boku Chretienne, od czasu do czasu strzygąc uszami i obserwując bacznie owce.

- Odradzam ci, mała siostró - odezwał się do niej Garion mową wilków.

- Nie zastanawiałam się nad polowaniem - odparła. - Spotkałam już wcześniej te bestie i pilnujących je ludzi i psy. Nietrudno jest schwycić jedną z nich, lecz psy denerwują się i szczekaniem przeszkadzają w posiłku. - Wywaliła wilgotny jęzor uśmiechając się po wilczemu. - Można jednak rozgonić bestie. Wszyscy powinni wiedzieć, do kogo należy las.

- Obawiam się, że przewodnik stada nie pochwaliby tego.

- No dobrze - zgodziła się. - Prawdopodobnie przewodnik stada traktuje swoją rolę zbyt poważnie. Zauważyłam u niego tę cechę już wcześniej.

- Co ona powiedziała? - spytał z zaciekawieniem Zakath.

- Chciała pogonić owce - odparł Garion. - Niekoniecznie, żeby zabić którąś, lecz żeby się rozbiegły. Myślę, że to ją bawi.

- Bawi? To dziwne słowo, jeśli chodzi o wilka.

- Raczej nie. Wilki często się bawią i odznaczają się niezwykle subtelnym poczuciem humoru.

Na twarzy Zakatha odmalowała się zaduma.

- Wiesz co, Garionie? - powiedział. - Człowiek sądzi, że posiada świat na własność, ale tak naprawdę to dzielimy świat z innymi istotami, które podchodzą obojętnie do naszego panowania. Mają własne społeczeństwa i jak przypuszczam, własną kulturę. Zupełnie nie zwracają na nas uwagi, prawda?

- Chyba że wchodzimy im w drogę.

- To druzgoczący cios dla ego władcy. - Zakath uśmiechnął się krzywo. - Jesteśmy dwoma najpotężniejszymi ludźmi na ziemi, a w oczach wilków nie jesteśmy niczym więcej, niż przeszkodą na ich ścieżce.

- To uczy pokory - zgodził się Garion. - Pokora jest dobra dla duszy.

- Być może.

Wieczorem dotarli do obozowiska pasterzy. Takie miejsca zwykle lepiej nadają się do odpoczynku niż pośpiesznie wznoszone obozowiska podróżnych. Naciągnięte na solidne drewniane stelaże namioty wydawały się naprawdę solidne. Między płóciennymi domostwami biegła osobliwa uliczka wykonana z ułożonych ściśle obok siebie pniaków.

Zagrody dla koni znajdowały się na odległym krańcu uliczki, a drewniana zapora spiętrzała górski potok tworząc małe, falujące jezioro, które dostarczało wody dla owiec i koni. Cienie wieczoru osiadały z wolna na niewielkiej dolince, a błękitne słupy dymu wyrastały z ognisk wprost ku niebu rozplywając się w spokojnym, bezwietrznym powietrzu.

Kiedy Garion i Zakath wstrzymali konie tuż przed obozem, z jednego z namiotów wyszedł wysoki, szczupły jegomość o śniadej cerze i śnieżnobiałych włosach. Odziany był w prosty, biały chałat, zwykły strój tutejszych pasterzy.

- Powiadomiono nas o waszym przybyciu - oznajmił głębokim, spokojnym głosem. - Czy zechcecie zjeść z nami wieczerzę? - Garion przyjrzał się dokładnie mężczyźnie i uderzyło go niezwykle podobieństwo do Varda, człowieka, którego spotkali na Wyspie Verkat, pół świata stąd.

Nie podlegało kwestii, że Dalowie i ludzie z Cthol Murgos byli ze sobą spokrewnieni.

- To dla nas zaszczyt - odpowiedział na zaproszenie Zakath. - Nie chcielibyśmy jednak się narzucać.

- Nie ma mowy o żadnym narzucaniu. Nazywam się Burk. Każę moim ludziom zająć się waszymi końmi.

Pozostali jeźdźcy zatrzymali się przy rozmawiających mężczyznach.

- Witam was wszystkich - pozdrowił ich Burk. - Proszę, zsiądźcie z koni. Wieczerza już prawie gotowa. Rozstawiliśmy również namiot. Dla was. - Spojrzał poważnie na wilczycę i pochylił przed nią głowę. Najwyraźniej jej obecność nie zaskoczyła go.

- Twoja uprzejmość jest ujmująca - przyznała Polgara zsiadając z wierzchowca - a gościnność niespodziewana, szczególnie że mieszkacie tak daleko od cywilizacji.

- Człowiek nosi cywilizację wraz z sobą, pani - odparł Burk.

- Mamy rannego - powiedział Sadi. - Biednego podróżnego, którego napotkaliśmy po drodze w górach. Pomogliśmy mu w miarę naszej mocy, lecz śpieszymy się, a obawiam się, że jego obecność opóźni naszą podróż.

- Możecie zostawić chorego u nas, a otoczmy go odpowiednią opieką. - Burk popatrzył krytycznie na odurzonego kapłana siedzącego bezwładnie w siodle. - Grolim - zauważył. - Czy zmierzacie może do Kell?

- Musimy się tam zatrzymać - odparł ostrożnie Belgarath.

- A zatem ten Grolim nie będzie mógł wam towarzyszyć.

- Słyszeliśmy już o tym - odezwał się Silk zeskakując z konia. - Czy rzeczywiście tracą wzrok próbując dostać się do Kell?

- W pewnym sensie tak. Mamy takiego w naszym obozie. Znaleźliśmy go podczas

przepędzania owiec na letnie pastwiska. Wałęsał się bezradnie po lesie.

Oczy Belgaratha zwięzły się nieznacznie.

- Czy mógłbym z nim porozmawiać? - spytał. - Zajmowałem się badaniem podobnych przypadków i zawsze chętnie zbieram dodatkowe informacje.

- Oczywiście - zgodził się Burk. - Znajdziesz go w ostatnim namiocie po prawej stronie.

- Garionie, Pol, chodźcie ze mną - polecił starzec i ruszył drewnianą uliczką. Nie wiedzieć czemu wilczyca podążyła ich śladem.

- Skąd ta nagła ciekawość, ojczy? - spytała Polgara, kiedy znaleźli się poza polem słyszenia.

- Chcę dowiedzieć się, jak skuteczne jest to przekleństwo, które Dalowie nałożyli na Kell. Jeśli można je złamać, to pewnie natkniemy się na Zandramas, kiedy tam dotrzemy.

Grolim siedział w namiocie na zasłanej skórą podłodze. Ostre rysy twarzy złagodniały, a niewidzące oczy straciły ognisty fanatyzm, jakim zwykle płonęły oczy Grolimów. Na jego obliczu malowała się zaduma i ekstaza.

- Jak się czujesz, przyjacielu? - zapytał delikatnie Belgarath.

- Jestem szczęśliwy - odparł Grolim. Były to osobliwe słowa jak na kapłana Toraka.

- Dlaczego próbowałeś dotrzeć do Kell? Nie wiedziałeś o klątwie?

- To nie klątwa. To błogosławieństwo.

- Błogosławieństwo?

- Z rąk Prorokini Zandramas. Próbowałem dotrzeć do świętego miasta Dalów - kontynuował Grolim. - Powiedziała mi, że zostanę wyniesiony, jeśli mi się powiedzie. - Uśmiechnął się delikatnie. - Sądzę, że jej zamysłem było sprawdzenie siły zaklęcia, aby stwierdzić, czy sama będzie mogła bezpiecznie przejść przez bramy świętego miasta.

- Jak mniemam, wynik nie jest pozytywny.

- Trudno powiedzieć. Gdyby spróbowała, znalazłaby szczęście.

- Ciężką ślepotę nazwać szczęściem.

- Przecież ja nie jestem ślepy.

- Sądziłem, że o to chodziło w zaklęciu.

- O nie. Nie widzę otaczającego mnie świata, lecz dzieje się tak dlatego, że widzę coś innego, coś co przepełnia me serce radością.

- Och? Cóż to takiego?

- Widzę twarz boga, mój przyjacielu, i będę ją widział aż po kres mych dni.

Rozdział III

Była wszechobecna. Nawet gdy przemierzali głębokie, chłodne lasy, czuli ją królującą ponad ich głowami. Nieruchoma, biała i spokojna. Góra wypełniała ich oczy, myśli, a nawet sny. Rozdrażnienie Silka rosło w miarę jak dzień po dniu zbliżali się do lśniącego, białego kolosa.

- Jak można cokolwiek zrobić w tej części świata, skoro to coś wypełnia połowę nieba? - wybuchnął pewnego słonecznego popołudnia.

- Może po prostu nie zwracając na nią uwagi, Kheldarze - powiedziała słodko Velvet.

- Czy można nie zwracać uwagi na coś tak ogromnego? - zripostował. - Ciekaw jestem, czy ona zdaje sobie sprawę, że jest ostentacyjna, a nawet wulgarna.

- Jesteś nierozsądny - powiedziała. - Ta góra nie dba o nasze opinie. Będzie tu jeszcze długo po tym, jak nasze ciała zmieszają się z solą tej ziemi. - Przerwała. - Czy to właśnie cię martwi, Kheldarze? Spotkanie czegoś wiecznego pośrodku przemijającego życia?

- Gwiazdy są wieczne - zauważył. - Jak również brud. One jednak nie stoją na naszej drodze jak ten ogrom. - Spojrzał na Zakatha. - Czy jakiś śmiałek dotarł kiedykolwiek na jej szczyt? - spytał.

- Po co miałyby to robić?

- Żeby ją pokonać. Zmniejszyć. - Silk roześmiał się. - To chyba jeszcze bardziej nierozsądne.

Zakath patrzył zamyślony na ogrom wypełniający południowe niebo.

- Nie wiem, Kheldarze - odezwał się. - Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad możliwością pokonania góry. Łatwo jest pokonać człowieka. Jednak pokonać górę... to coś zupełnie innego.

- Czy ona miałaby coś przeciwko? - spytał Eriond. Młody człowiek odzywał się tak rzadko, że czasami sprawiał wrażenie niemowy. Ostatnio wydawał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie. - Ta góra mogłaby nawet powitać cię ciepło. - Uśmiechnął się delikatnie. - Wyobrażam sobie, że czasem może czuć się samotna. Może zechciałaby nawet podzielić się tym, co sama widzi, z kimś na tyle dzielnym, by wspiąć się i wraz z nią spojrzeć w dół.

Zakath i Silk wymienili długie, zdradzające ich myśli spojrzenie.

- Potrzebne byłyby liny - powiedział obojętnym tonem Silk.

- I prawdopodobnie jakieś narzędzia - dodał Zakath - które zagłębiłyby się w lodzie i trzymałyby podczas dalszej wspinaczki.

- Durnik mógłby dla nas coś takiego wyszukać.

- Możecie przestać? - odezwała się ostro Polgara. - Mamy teraz na głowie inne sprawy.

- Tylko spekulujemy, Polgaro - powiedział delikatnie Silk. - Nasze sprawy nie będą ciągnęły się w nieskończoność, a kiedy się skończą... no cóż, kto wie?

Góra zmieniała w pewien sposób każdego z nich. Mowa wydawała się coraz mniej potrzebna. Oddawali się długim rozmyśleniom, a swymi spostrzeżeniami i odczuciami dzielili się podczas spokojnych wieczorów, wpatrując się w igrające płomienie obozowego ogniska. Te wieczory stały się czasem oczyszczenia i uzdrowienia, czasem, który zbliżał ich do siebie w miarę jak oni zbliżali się do samotnego olbrzyma.

Pewnej nocy Garion obudził się z oczami świecącymi jaśniej niż światło dnia. Wyślizgnąwszy się spod kocy odsunął płótno zasłaniające wejście do namiotu. Idealnie okrągły księżyc wypełniał świat bladą poświatą. Góra królowała nieugięta i biała na tle czarnego, nocnego nieba promieniując chłodnym, zdawałoby się żywym blaskiem.

Nagle wprawne oko Gariona dostrzegło lekkie poruszenie i po chwili ujrzał Polgarę wyłaniającą się z namiotu, który dzieliła z Durnikiem. Miała na sobie białą tunikę, zdającą się być istnym odbiciem góry skąpanej w księżycowym świetle. Przez chwilę stała nieruchomo oddając się cichej kontemplacji, a następnie odwróciła się lekko.

- Durniku - mruknęła miękko - chodź tu i popatrz.

Durnik wychynął z namiotu z obnażonym, wspaniałym torsem. Srebrny amulet zawieszony na jego szyi błyszczał w księżycowym świetle. Jedną ręką objął Polgarę i w ciszy rozkoszowali się pięknem doskonałej nocy.

Garion już miał do nich zawołać, lecz powstrzymała go jakaś niewidzialna siła. Te chwile były zbyt osobiste, by je przerywać. Po jakimś czasie Polgara szepnęła coś do męża i obydwójce uśmiechając się i trzymając się za ręce wrócili do namiotu.

Garion delikatnie zasunął połę swojego namiotu i zagłębił się w ciepłe koce.

W miarę jak podążali na południowy zachód, wygląd lasu stopniowo ulegał zmianie. Wysoko w górach napotykali zagajniki wiecznie zielonych drzew iglastych poprzetykane od czasu do czasu kruchymi osikami. Na niższych położonych terenach, u podnóża ogromnej góry, coraz częściej oglądali soczyste gaje buków i wiązów, aż wreszcie zagłębili się w las pradawnych dębów.

Jadąc pod rozłożystym baldachimem dębowych gałęzi w nakrapianym słońcem cieniu Garion przypomniał sobie Las Driad w południowej Tolnedrze. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz jego drobnutkiej żony, by przekonać się, że ona również dostrzegła podobieństwo.

Ogarnęło ją rozmarzone zadowolenie i zdawało się, że słucha głosów, które jedynie ona mogła usłyszeć.

Około południa tego pięknego, letniego dnia napotkali człowieka z białą brodą, odzianego w ubiór wykonany ze skóry łosia. Narzędzia, które wystawały z juków dźwiganych przez silnego muła, zdradzały, iż mają do czynienia z poszukiwaczem złota, jednym z tych wędrownych pustelników, którzy przemierzają dzikie, nieznane bezmiary świata. Jechał na kudłatym górskim koniku, tak krępym i niskim, że stopy jeźdźca prawie dotykały ziemi.

- Zdawało mi się, że słyszę, jak ktoś nadjeżdża z tyłu - rzekł poszukiwacz złota, gdy odziani w kolczugi i hełmy Garion i Zakath zrównali się z nim. - Mało kogo widuje się w tych lasach, chyba przez to przekleństwo.

- Myślałem, że zaklęcie działa tylko na Grolimów - powiedział Garion.

- Większość ludzi jest zdania, że nie opłaca się ryzykować. Dokąd zmierzacie?

- Do Kell - odparł Garion. Nie było sensu zatajać celu ich wędrówki.

- Mam nadzieję, że zostaliście zaproszeni. Ci w Kell niechętnie witają nieznanym, którzy sami decydują się tam dotrzeć.

- Wiedzą o naszym przybyciu.

- A zatem w porządku. Dziwne to miejsce, Kell, i dziwni tam mieszkają ludzie. Oczywiście życie w cieniu tej góry każdego by niebawem uduziwiło. Jeśli nie macie nic przeciwko, pojedę z wami kilka mil do zakrętu w Balsa.

- Nie ma sprawy - zachęcił Zakath. - Czy nie zmarnujesz jednak zbyt dużo czasu, który mógłbyś poświęcić na poszukiwanie złota?

- Utknąłem zeszłej zimy w tych górach - odparł starzec. - Skończyły mi się zapasy. Poza tym, od czasu do czasu cknę mi się za rozmową. Koń i muł słuchają dość chętnie, ale nie bardzo wychodzą im odpowiedzi, a wilków tu tyle, że często trudno nawet rozpocząć konwersację. - Popatrzył na wilczycę i ku ogólnemu zaskoczeniu przemówił do niej w jej języku. - Jak tam, matko? - spytał. Miał fatalny akcent i mówił przerywając co chwila, lecz niezaprzeczalnie używał mowy wilków.

- Niesamowite - odezwała się nieco zaskoczona. Następnie odpowiedziała rytualnym powitaniem. - Jestem zadowolona.

- Miło mi to słyszeć. Jak to się dzieje, że podążasz z ludźmi?

- Na jakiś czas dołączyłam do ich stada.

- Aha.

- W jaki sposób nauczyłeś się mowy wilków? - spytał lekko zdumiony Garion.

- A zatem rozpoznałeś ją. - Starzec zdawał się być z tego zadowolony. Odchylił się do

tyłu w siodle. - Większość życia spędziłem w pobliżu wilków - wyjaśnił. - Grzecznie jest nauczyć się mowy swoich sąsiadów. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Szczerze mówiąc, z początku zupełnie sobie nie radziłem, ale jeśli się mocno wsłuchiwać, zaczyna, wpadać w ucho. Około pięciu lat temu spędziłem z jednym stadem całą zimę w ich norze, wtedy zrobiłem spore postępy.

- Pozwoliły ci mieszkać w ich norze? - Zakath jakoś nie mógł w to uwierzyć.

- Trochę czasu minęło, zanim się przyzwyczyli - przyznał starzec - ale okazałem się całkiem użyteczny, więc w pewnym sensie mnie zaakceptowały.

- Użyteczny?

- W norze było dość ciasno, więc wykorzystałem swoje narzędzia. - Wskazał kciukiem w kierunku jucznego muła. - Poszerzyłem ją, a one chyba doceniły mój wysiłek. Po jakimś czasie wziąłem się za opiekę nad szczeniakami, podczas gdy reszta polowała. Dobre to były szczenięta. Zabawne jak kociaki. Później próbowałem przyłączyć się do niedźwiedzia, nigdy mi się jednak nie udało. Niedźwiedzie trzymają ze sobą, a łosie są zbyt płochliwe, żeby próbować się z nimi zaprzyjaźnić. Wilki nadają się najlepiej.

Konik starego poszukiwacza złota nie poruszał się zbyt zwawo, więc pozostali szybko dołączyli do rozmawiającej trójki mężczyzn.

- Szczęście dopisuje? - spytał Silk kręcąc z ciekawości nosem.

- Co nieco - odparł wymijająco białobrody człowiek.

- Przepraszam - dodał Silk. - Nie chciałem wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

- Już dobrze, przyjacielu. Widzę, że jesteś uczciwym człowiekiem.

Velvet z trudem stłumiła śmiech.

- Życie nauczyło mnie takiej odpowiedzi - kontynuował jegomość. - Niezbyt to mądre jeździć i rozpowiadać każdemu dookoła, ile się znalazło złota.

- W zupełności rozumiem.

- Nie mam przy sobie zbyt dużo, kiedy zjeżdżam w nizinne tereny. Tylko tyle, by móc zapłacić za to, czego mi trzeba. Resztę zakopuję i zostawiam w górach.

- Czemu zatem parasz się tym zajęciem? - zapytał Durnik. - To znaczy, po co spędzasz cały swój czas na poszukiwaniu złota. Nie wydajesz go, więc po co się trudzić?

- Zawsze to jakieś zajęcie. - Jegomość wzruszył ramionami. - Poza tym, mam wymówkę, żeby przebywać w górach. Człowiek czuje się wolny. - Ponownie wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Co więcej, znalezieniu złota na dnie strumienia zawsze towarzyszy pewne podekscytowanie. Jak to niektórzy powiadają, znaleźć jest o wiele przyjemniej niż wydać, a poza tym miło popatrzeć sobie na złoto.

- Och, z pewnością - zgodził się z zapalem Silk. Poszukiwacz złota popatrzył na wilczycę, a następnie na Belgaratha.

- Ze sposobu, w jaki się zachowuje, wnioskuję, że ty jesteś przewodnikiem stada - zauważył.

Belgarath przytaknął lekko zdziwiony.

- Nauczył się wilczej mowy - wyjaśnił Garion.

- Niesamowite - powiedział Belgarath, nieświadomie powtarzając komentarz wilczycy.

- Właśnie zamierzałem przekazać pewną wiadomość tym dwóm jegomościom, lecz to ty prawdopodobnie powinieneś usłyszeć ją pierwszy.

- Zamieniam się w słuch.

- Dalowie to szczególnie naród, przyjacielu, i nie są wolni od pewnych przesądów. Nie posunę się aż tak daleko, by stwierdzić, że uważają te lasy za święte, lecz bardzo silnie są z nimi związani. Odradzałbym ścinanie drzew. Pod żadnym pozorem nie zabijacie niczego, ani nikogo. - Wskazał na wilczycę. - Ona już o tym wie. Prawdopodobnie już zauważyłeś, że tutaj nie poluje. Dalowie nie chcą, żeby krew wsiąknęła w ziemię tego lasu. Na waszym miejscu uszanowałbym ich pragnienie. Dalowie mogą być pomocni, lecz jeśli obrazicie ich wierzenia, mogą wam bardzo utrudnić życie.

- Doceniam te informacje - przyznał Belgarath.

- Nigdy nie zaszkodzi, gdy człowiek przekaze dalej wiedzę, jaką sam posiadał - powiedział stary człowiek. Spojrzał przed siebie na szlak. - No cóż - odezwał się. - Nie jadę dalej. Droga przed nami prowadzi do Balsa. Miło się z wami gawędziło. - Zdjął uprzejmie podniszczony kapelusz przed Polgarą, po czym spojrzął na wilczycę. - Bądź zdrowa, matko - rzekł uderzając obcasami w boki konika, który wszedł w drobniutki kłus i po chwili zniknął za zakrętem drogi do Balsa.

- Co za rozkoszny staruszek - stwierdziła Ce'Nedra.

- Użyteczny - dodała Polgara. - Lepiej skontaktuj się z wujkiem Beldinem, ojciec - zwróciła się do Belgaratha. - Powiedz mu, by zostawił w spokoju zające i gołębie zamieszkujące te lasy.

- Zupełnie zapomniałem - powiedział. - Zaraz się tym zajmę. - Uniósł twarz i zamknął oczy.

- Czy ten starzec rzeczywiście potrafi rozmawiać z wilkami? - spytał Silk Gariona.

- Zna ich mowę - odparł Garion. - Nie mówi zbyt dobrze, lecz zna język wilków.

- Jestem pewna, że dużo lepiej rozumie niż mówi - wtrąciła wilczyca.

Garion popatrzył na nią lekko zdumiony, że rozumiała ich rozmowę.

- Nietrudno jest nauczyć się mowy ludzi - powiedziała. - Tak jak rzekł człowiek z białym futrem na twarzy, można bardzo szybko poznać obcy język, jeśli tylko słucha się go uważnie. Nie będę jednak próbowała mówić w waszym języku - dodała krytycznie. - Wasza mowa naraziłaby mnie na odgryzienie sobie języka.

Garionowi nagle wpadła do głowy myśl, której towarzyszyła absolutna pewność wykluczająca pomyłkę.

- Dziadku - powiedział.

- Nie teraz, Garionie. Jestem zajęty.

- Poczekam.

- Czy to coś ważnego?

- Myślę, że tak.

Belgarath otworzył oczy wyraźnie zaciekawiony.

- Cóż to takiego? - zapytał.

- Pamiętasz rozmowę, jaką przeprowadziliśmy w Tol Honeth, w ten poranek, kiedy sypał śnieg?

- Chyba sobie przypominam.

- Mówiliśmy o tym, że wszystko, co się zdarza, zdawało się wydarzyć już wcześniej.

- Tak, teraz pamiętam.

- Powiedziałeś, że doszło do rozdzielenia dwóch przepowiedni, że wszystko się jakby zatrzymało, że przyszłość nie może nastąpić, dopóki one ponownie się nie złączą. Potem mówiłeś, że dopóki się tak nie stanie, wciąż będziemy musieli przeżywać te same wydarzenia.

- Czy naprawdę tak mówiłem? - Starzec wyglądał na zadowolonego. - To takie głębokie, prawda? Ale o co chodzi? Dlaczego wspominasz o tym właśnie teraz?

- Ponieważ sądzę, że właśnie coś zdarzyło się ponownie. - Garion spojrzał na Silka. - Czy pamiętasz tego starego poszukiwacza złota, którego spotkaliśmy w Gar og Nadrak, kiedy w trójkę zmierzaliśmy do Cthol Mishrak?

Silk skinął głową z lekkim powątpiewaniem.

- Czyż ten starzec, z którym przed chwilą rozmawialiśmy, nie wyglądał identycznie jak tamten?

- Teraz, kiedy o tym wspomniałeś... - Oczy Silka zwięzły się. - No dobrze, Belgaracie, co to oznacza?

Belgarath popatrzył na pokryte liśćmi, poskręcane gałęzie zwieszające się ponad ich głowami.

- Niech chwilę pomyślę - rzekł. - To prawda, że istnieje pewne podobieństwo - przyznał. - Obydwaj wyglądali podobnie i obydwaj przed czymś nas ostrzegli. Chyba powinienem sprowadzić tutaj Beldina. Nasze odkrycie może okazać się niezwykle ważne.

Po jakimś czasie błękitnopióry jastrząb wyłonił się z jasnego nieba i migocząc przeistoczył się w garbatego czarodzieja. - Co cię tak zaniepokoiło? - spytał gniewnie.

- Właśnie kogoś spotkaliśmy - odparł Belgarath.

- Moje gratulacje.

- Sądzę, że to poważna sprawa, Beldinie. - Belgarath czym prędzej wyjaśnił swoją teorię powtarzających się zdarzeń.

- Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego - mruknął Beldin. - Zresztą jak zwykle w przypadku twych hipotez. - Spojrzał z ukosa. - Prawdopodobnie jednak ta teoria jest całkiem trafna.

- Dzięki - odezwał się oschle Belgarath. - Po czym przeszedł do opisu dwóch spotkań, jednego w Gar og Nadrak, a drugiego tutaj. - Podobieństwo jest uderzające, nieprawdaż?

- Zbieg okoliczności?

- Traktowanie rzeczy jako zbieg okoliczności jest najlepszym sposobem, jaki znam, na wpędzenie się w kłopoty.

- W porządku, dla dobra polemiki. Załóżmy, że nie mamy do czynienia ze zbiegiem okoliczności. - Karzeł przykucnął na ziemi z wyrazem intensywnego myślenia na twarzy. - A może posunęlibyśmy twoją teorię krok dalej? - zaproponował. - Zastanówmy się, dlaczego powtórzenia zachodzą w znaczących momentach biegu zdarzeń.

- Podobnie jak znaki na drodze? - zasugerował Durnik.

- Dokładnie. Sam nie znalazłbym lepszego określenia. Przypuśćmy, że te znaki na drodze wskazują rzeczywiście istotne sprawy, które akurat mają się zdarzyć, że w pewnym sensie spełniają rolę ostrzeżeń.

- Słyszę tu mnóstwo „określeń” i „przypuszczeń” - stwierdził sceptycznie Silk. - Sądzę, że wkraczacie w sferę czystej spekulacji.

- Chylę czoła przed twą odwagą, Kheldarze - odezwał się sardonicznie Beldin. - Coś mogłoby próbować cię ostrzec przed potencjalnym nieszczęściem, a ty mimo to decydujesz się zignorować ostrzeżenie. Świadczy to o odwadze albo o głupocie. Oczywiście daję ci możliwość zastanowienia się używając słowa „odważny”, a nie tego drugiego.

- Punkt dla Beldina - mruknęła Velvet. Silk spłonął się lekko.

- Ale skąd wiemy, co ma się zdarzyć? - sprzeciwił się.

- Nie wiemy - odrzekł Belgarath. - Okoliczności po prostu nakazują dodatkową

czujność. To wszystko. Zostaliśmy ostrzeżeni. Reszta zależy od nas.

Tego wieczora podczas rozbijania obozowiska przedsięwzięli specjalne środki ostrożności. Polgara pośpiesznie przygotowała wieczerzę i natychmiast po skończeniu posiłku ugasili ognisko. Pierwsi objęli wartę Garion i Silk. Stanęli na szczycie pagórka, tuż za obozem, wpatrując się w otaczającą ich ciemność.

- Nie cierpię tego - szepnął Silk.

- Nie cierpisz czego?

- Wiedzy, że coś się ma zdarzyć, przy braku wiedzy, co to będzie. Szkoda, że ci dwaj starcy nie zachowali dla siebie tych spekulacji.

- Naprawdę lubisz niespodzianki?

- Niespodzianka jest dużo lepsza niż życie w strachu. Nie mam już tak stalowych nerwów jak niegdyś.

- Czasami wydajesz się zbyt przewrażliwiony. Pomyśl o radości, jaką się czerpie z oczekiwania.

- Strasznie mnie rozczarowałeś, Garionie. Sądziłem, że jesteś miłym, rozsądnym chłopcem.

- Co ja takiego powiedziałem?

- Oczekiwanie. W tej sytuacji chodzi o „martwienie się”, a zmartwienia nikomu nie wychodzą na dobre.

- To tylko sposób na przygotowanie się na wypadek jakiejś niespodzianki.

- Ja zawsze jestem przygotowany, Garionie. Tylko dzięki temu udało mi się przeżyć tak długo, obecnie jednak czuję się niemal tak napięty jak struna lutni.

- Postaraj się o tym nie myśleć.

- Oczywiście - odparł z sarkazmem Silk - lecz czyż to nie jest sprzeczne z celem ostrzeżenia? Czyż nie powinniśmy właśnie myśleć o tym?

Słońce nie zdążyło jeszcze rozjaśnić mroków nocy, kiedy Sadi powrócił do obozu. Niemal bezszelestnie chodził od namiotu do namiotu.

- Tam ktoś jest - ostrzegł drapiąc w płótno namiotu Gariona. Garion wygrzebał się spod kocy, bezwiednie sięgając po miecz. Nagłe znieruchomiał. Poszukiwacz złota ostrzegał ich przed rozlewem krwi. Czyżby czekali właśnie na to wydarzenie? Czy powinni posłuchać zakazu, czy też przekroczyć go ze względu na jakąś wyższą potrzebę? Nie było jednak czasu na rozmyślanie. Z mieczem w dłoni Garion wypadł na zewnątrz.

Jak zwykle przed wschodem słońca bezbarwne niebo rozjaśniała osobliwa, stalowa poświata, która nie rodziła żadnego cienia, a pod szerokimi, rozłożystymi konarami dębów

czaiło się niezwykle słabe światło budzącego się poranka. Garion poruszał się szybko, a stopy same unikały nadeptnięcia na przyzmy zasuszonych liści, opadłe gałązki czy konary, które tworzyły swoisty kobierzec w tym pradawnym lesie.

Zakath stał na szczycie pagórka trzymając przed sobą obnażony miecz.

- Gdzie oni są? - Głos Gariona przypominał raczej delikatny oddech.

- Nadchodzą z południa - odszepnął Zakath.

- Ilu?

- Trudno powiedzieć.

- Czy próbowali nas podejść?

- Prawdę mówiąc nie sprawiali takiego wrażenia. Ci, których widzieliśmy, po prostu szli otwarcie przez las, nie kryjąc się za drzewami.

Garion wyteżył wzrok starając się przeniknąć resztki ciemności. Wtem dojrzał ich wyraźnie. Wszyscy mieli na sobie białe szaty, togi lub długie chałaty i nie próbowali się skrywać. Ich ruchy były przemyślane i zdawały się charakteryzować stanowczym, niespiesznym spokojem. Szli jeden za drugim utrzymując między sobą dystans około dziesięciu kroków. Ze sposobu, w jaki poruszali się w gęstym lesie, emanowało coś niesamowicie znajomego.

- Brakuje im tylko pochodni - odezwał się Silk stojąc za plecami Gariona. Mały człowieczek nie próbował nawet ściszać głosu.

- Cicho! - syknął Zakath.

- Po co? Wiedzą o naszej obecności. - Silk zachichotał lekko. - Pamiętasz wyspę Verkat? - zwrócił się do Gariona. - Spędziliśmy obaj jakiś czas czołgając się w mokrej trawie za Vardem i jego ludźmi, a jestem całkowicie pewny, że zdawali sobie sprawę, że ich śledzimy. Mogliśmy iść otwarcie za nimi i oszczędzić sobie niewygody.

- O czym ty mówisz, Kheldarze? - spytał Zakath szorstkim szeptem.

- To kolejne z powtórzeń Belgaratha. - Silk wzruszył ramionami. - Garion i ja już wcześniej przeżyliśmy. - Westchnął ze smutkiem. - Życie stanie się okrutnie nudne, jeśli nic nowego się już nie wydarzy. - Po tych słowach zakrzyknął ku białym postaciom w lesie: - Jesteśmy tutaj!

- Oszalałeś? - warknął Zakath.

- Prawdopodobnie nie, lecz szaleńcy nigdy nie zdają sobie sprawy ze swego obłądu, prawda? Ci ludzie to Dalowie, a szczerze mówiąc, wątpię, czy jakikolwiek Dal skrzywdził kogokolwiek od początku pradziejów.

Człowiek kroczący na czele przedziwnego orszaku zatrzymał się u podnóża pagórka i

zjął z głowy biały kaptur. - Oczekiwaliśmy waszego przybycia - oświadczył. - Święta Prorokini wysłała nas, byśmy doprowadzili was bezpiecznie do Kell.

Rozdział IV

Tego ranka Król Drasni Kheva był najwyraźniej rozdrażniony. Ubiegłego wieczoru podsłuchał rozmowę między swoją matką a posłańcem Anhega, króla Chereku, i jego poirytowanie wynikało z moralnego dylematu. Nie brał nawet pod uwagę zdradzenia się przed matką, że podsłuchiwał, więc pozostawało mu jedynie czekać, aż sama przedstawi mu zaistniały problem. Wydawało się jednak mało prawdopodobne, że to uczyni, więc Kheva znalazł się w meczącym impasie.

Należy wspomnieć, że król Kheva nie należał do chłopców, którzy w ten sposób wkraczają w prywatne życie swych matek. Był to całkiem przyzwoity młodzian, w którego żyłach płynęła po prostu drasańska krew. Drasanie zaś charakteryzują się powszechną cechą, którą, z braku lepszego określenia, można nazwać ciekawością. We wszystkich ludziach bez wyjątku kołacze się większe lub mniejsze ziarno ciekawości, lecz w przypadku Drasan ta cecha z czasem stała się zdecydowanie dominująca. Niektórzy twierdzili, że to właśnie wrodzona ciekawość uczyniła ze szpiegostwa ich narodowe zajęcie. Inni z równym wigorem utrzymywali, że wiele generacji szpiegostwa wyostrzyło do perfekcji naturalną drasańską ciekawość. Debata przypominała nie dokończoną sprzeczkę nad kurą i jajkiem i była w równym stopniu bezcelowa. W dość młodym wieku Kheva włóczył się, nie wadząc nikomu, za jednym z oficjalnych nadwornych szpiegów i w ten sposób odkrył komnatę ukrytą za wschodnią ścianą komnaty gościnnej swej matki. Od czasu do czasu wślizgiwał się do tego pomieszczenia, aby być na bieżąco ze sprawami państwa i innymi interesującymi go rzeczami. Mimo wszystko był królem, co dawało mu niezaprzeczone prawo do rzetelnych informacji. Doszedł do wniosku, że szpiegując mógł te wiadomości otrzymać łatwo, oszczędzając przy tym swej matce sytuacji związanych z osobistym mu ich przekazywaniem. Kheva był roztropnym chłopcem.

Narada o której mowa dotyczyła tajemniczego zniknięcia księcia Trelleimu wraz z jego statkiem „Morskim Ptakiem” i wieloma innymi indywidualnościami włącznie z synem księcia Unraka.

Jarl Trelleimu Barak uważany był w pewnych kręgach za dość nieodpowiedzialnego człowieka. Jeszcze gorszą opinią cieszyli się towarzysze, którzy zniknęli wraz z nim. Królowie Alornu czuli się wyraźnie zaniepokojeni potencjalnym nieszczęściem, jakie mogła spowodować wyprawa Baraka i jego kohorty.

Młodego króla Khevę nie tyle obchodziły nieszczęścia co fakt, że jego przyjaciel

Unrak został zaproszony do wzięcia udziału w tym niecodziennym wydarzeniu, podczas gdy jego osoba została wyraźnie pominięta. Ta jawna niesprawiedliwość bolała. Fakt, że był królem zdawał się wykluczać go ze wszystkiego, co nawet z daleka wiązało się z ryzykiem. Wszyscy wychodzili z siebie, żeby zapewnić Khevie bezpieczeństwo, lecz Kheva wcale tego nie pragnął. Bezpieczeństwo nieodłącznie kojarzyło się z nudą a Kheva wszedł właśnie w wiek w którym jest się gotowym posunąć bardzo daleko, by uniknąć nudy. W zimowy poranek Kheva odziany w czerwone szaty ruszył marmurowym korytarzem pałacu w Boktor. Zatrzymał się przed olbrzymim arrasem udając że ogląda go uważnie. Następnie, pewny, że nikt go nie obserwuje - mieszkał przecież w Drasni - wślizgnąwszy się za arras wszedł do małej ukrytej komnaty.

Jego matka rozmawiała właśnie z Vellą i odzianym w wyświechtane szaty współnikiem księcia Kheldara, Yarblekiem. Vella zawsze irytowała księcia Kheve. Wzbudzała w nim pewne uczucia, z którymi nie potrafił sobie poradzić więc po prostu starał się jej unikać. Z drugiej strony Yarblek bywał zabawny. Posługiwał się prostą mową często, osobiście barwną, przetykana przekleństwami, których znaczenia Kheva nie powinien się nawet domyślać.

- Powrócą, Porenn - Zapewniał Yarblek matkę Khevy. - Barak po prostu się znudził. To wszystko.

- Nie przejmowałabym się, gdyby sam się nudził - odparła królowa Porenn. - Martwi mnie jednak, że ta jego nuda zdaje się przybierać charakter epidemii. Kompani Baraka nie uchodzą za ludzi statecznych.

- Poznałem ich. - Yarblek chrząknął. - Możliwe, że masz rację. - Przez chwilę przechadzał się w tę i z powrotem. - Każę swoim ludziom ich poszukać.

- Yarbleku, dysponuję najlepszym wywiadem na świecie.

- Być może, Porenn, lecz Silk i ja mamy więcej ludzi. Posiadam też biura i magazyny w miejscach, o których Javelin nawet nie słyszał. - Spojrzał na Vellę. - Czy chcesz wrócić ze mną do Gar og Nadrak? - spytał.

- Zimą? - sprzeciwiła się Porenn.

- Nałożymy na siebie więcej ubrań. To wszystko. - Yarblek wzruszył ramionami.

- Co zamierzasz tam robić? - zapytała Vella. - Nie bardzo uśmiecha mi się siedzenie i słuchanie, jak rozmawiasz o handlu.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać do Yar Nadrak. Zdaje się, że ludzie Javelina mają kłopoty z ustaleniem, co knuje Drosta. - Przerwał i popatrzył uważnie na Porenn. - Chyba że ostatnio wpadli na coś, o czym jeszcze nie słyszałem - dodał.

- Czy taiłabym coś przed tobą, Yarbleku? - spytała z pogardliwą niewinnością.

- Prawdopodobnie tak. Jeśli coś masz, Porenn, podziel się tym ze mną. Nie chcę na próżno robić wycieczek, a Yar Nadrak to smutne miejsce zimą.

- Póki co, nie mogę pomóc - odparła poważnie. Yarblek chrząknął.

- Nie spodziewałem się tego. Drasanie są zbyt charakterystyczni, by poruszać się po Yar Nadrak nie zwracając uwagi. - Spojrzał na Vellę. - A więc? - spytał.

- Czemu nie? - zgodziła się. - Nie bierz sobie moich słów zbyt do serca, Porenn, lecz twoje działania zmierzające do tego, by zamienić mnie w damę, chyba zaczynają mnie nieco rozpraszać. Możesz sobie wyobrazić, że wczoraj wyszłam z pokoju zabierając ze sobą tylko jeden sztylet? Myślę, że potrzebuję trochę świeżego powietrza i trochę nieświeżego piwa, by odzyskać jasność umysłu.

Matka Khevy westchnęła.

- Postaraj się nie zapomnieć wszystkiego, czego cię nauczyłam, Vello.

- Mam szczególnie dobrą pamięć i mogę z łatwością odróżnić Boktor od Yar Nadrak. Z pewnością Boktor ładniej pachnie.

- Jak długo was nie będzie? - spytała Porenn Yarbleka.

- Sądzę, że jakiś miesiąc czy dwa. Myślę, że udamy się do Yar Nadrak okrężną drogą. Nie chcę uprzedzać Drosty, że przybywam.

- A zatem dobrze - zgodziła się królowa, po czym coś przyszło jej do głowy. - Jeszcze jedna sprawa, Yarbleku.

- Tak?

- Bardzo lubię Vellę. Nie popełnij tego błędu i nie sprzedaj jej podczas waszego pobytu w Gar og Nadrak. Byłabym bardzo niepokieszona, gdybyś coś takiego uczynił.

- A kto by ją kupił? - odparł Yarblek. Następnie wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i odskoczył czym prędzej, gdy Vella sięgnęła po jeden ze swych sztyletów.

Wieczna Salmissra popatrzyła z lekkim niesmakiem na jej obecnego Głównego Eunucha, Adissa. Oprócz tego, że okazał się niekompetentny, był również niechlujny. Na jego mieniącej się wszystkimi barwami tęczy todze widniały plamy jedzenia, a na jego głowie i twarzy widać było kilkuniedniowy zarost. Stwierdziła, że nigdy wcześniej nie był oportunistą i dopiero kiedy objął stanowisko Szefa Eunuchów i poczuł się w miarę pewnie, zaczął oddawać się wszelkim rodzajom rozpusty. Pochłaniał ogromne ilości najbardziej szkodliwych narkotyków, jakie tylko były dostępne w Nyissie, i bardzo często przychodził do niej z wyrazem kompletnej bezmyślności w oczach, powłócząc nogami niczym lunatyk. Rzadko

zażywał kąpieli, a kombinacja klimatu panującego w Sthiss Tor oraz przeróżnych narkotyków, jakie zażywał, sprawiała, że jego ciało cuchnęło i w krąg rozchodził się odór wprost nie do zniesienia. Jako że królowa testowała powietrze swym ruchliwym języczkiem, nie tylko wyczuwała jego woń, ale również smakowała.

Padł na marmurową podłogę przed podwyższeniem i pojękującym, nosowym głosem zdawał relację z jakiejś nieistotnej sprawy; jednej z wielu, jakie wypełniały dni Głównego Eunucha. Poświęcił się drobnostkom, ponieważ sprawy znaczącej wagi przerastały jego umiejętności. Z bezrozumnym skupieniem człowieka o mocno ograniczonych zdolnościach, wyniósł błahostkę ponad wszelkie proporcje. Salmisra podejrzewała, że w przeważającej mierze był absolutnie nieświadom spraw, które w rzeczywistości powinny przyciągać jego największą uwagę.

- To wszystko, Adissie - odezwała się świszczącym szeptem, wijąc się niespokojnie na tronie przypominającym bardziej wzorzysty dywanik.

- Ależ, moja królowo - zaprotestował na wpół odurzony, bądź nazbyt ośmielony narkotykami, jakie zażył tuż po przebudzeniu - to niezwykle pilna sprawa.

- Może dla ciebie. Dla mnie jest obojętna. Wynajmij mordercę, żeby ściął głowę Satrapa, i skończ z tym.

Adiss patrzył skonsternowany.

- A... ale, Wieczna Salmisro - pisnął przerażony - Satrap przedstawia niezwykłą wagę dla bezpieczeństwa państwa.

- Satrap jest mało ważnym oportunistą, który daje ci łapówki, by nie spaść ze swego stołka. Nie służy żadnemu celowi. Usuń go i przynieś mi jego głowę jako dowód twego absolutnego oddania i posłuszeństwa.

- Je-jego głowę?

- To ta część, która zawiera oczy, Adissie - syknęła z sarkazmem. - Nie pomył się i nie przynieś mi stopy. A teraz wyjdź.

Chwiejnym krokiem zaczął wycofywać się ku drzwiom, padając co chwila na twarz przed swoją królową.

- Och, Adissie - dodała - nawet nie próbuj wchodzić do komnaty tronowej bez wcześniejszej kąpieli.

Wpatrywał się w nią z głupkowatą konsternacją.

- Cuchniesz, Adissie. Twój smród wykręca mi żołądek. A teraz wynoś się.

Uciekł.

- Och, mój Sadi - westchnęła do siebie - gdzie jesteś? Dlaczego mnie opuściłeś?

Urgit, Król Cthol Murgos, odziany w błękitny kubrak i podobnej barwy rajtuzy, siedział wyprostowany na swym jaskrawym tronie w pałacu Drojim. Javelin osobiście podejrzewał, iż nowa żona Urgita miała dużo wspólnego ze zmianą ubioru, tudzież zachowania króla. Urgit nie radził sobie dobrze w nowej roli małżonka. Na jego obliczu malowało się lekkie zdumienie, jak gdyby coś ważnego wkroczyło nagle w jego życie i pomieszało mu szyki.

- Oto najświeższa ocena sytuacji, wasza miłość - zakończył raport Javelin. - Kal Zakath zredukował swe siły w Cthol Murgos, do tego stopnia, że z łatwością mógłbyś je zmieść do morza.

- Łatwo ci mówić, margrabi Khendonie - odparł Urgit urażonym tonem - lecz nie widzę, żebyście wy, Alornowie, zbyt gorąco pragnęli uczestniczyć w tym zmiataniu.

- Wasza miłość podnosisz dość delikatną kwestię - powiedział Javelin myśląc szybko. - Chociaż na początku doszliśmy do porozumienia i ustaliliśmy, iż w cesarzu Mallorei mamy wspólnego wroga, to wieki wzajemnej wrogości między Alornami i Murgosami nie mogą zostać wymazane z pamięci w ciągu jednej nocy. Czy naprawdę chcesz pozbyć się chereckiej floty ze swego wybrzeża lub może algarskiej konnicy z równin Cthan i Haggi? Królowie Alornów i królowa Porenn oczywiście wydadzą odpowiednie rozkazy, lecz dowódcy interpretują zwykle królewskie rozkazy tak, by pasowały do ich własnych koncepcji. Twoi murgoscy generałowie mogą również mylnie odebrać twoje polecenia, kiedy ujrzą, jak bieży na nich horda Alornów.

- Zgadza się - stwierdził Urgit. - Co zatem z legionami Tolnedran? Między Tolnedrą a Cthol Murgos zawsze panowały poprawne stosunki.

Javelin odkaszlnął lekko i rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzał, czy w komnacie nie ma niepowołanych słuchaczy. Wiedział, że musi teraz postępować nadzwyczaj ostrożnie. Urgit okazał się o wiele bardziej bystry, niż Javelin mógł się spodziewać. Czasami rzeczywiście bywał śliski niczym węgorz i zdawało się, że instynktownie podąża za tokiem rozumowania subtelnego, drasańskiego umysłu Javelina. - Ufam, że to, co teraz powiem, nie wydobędzie się poza te mury, wasza miłość - powiedział półszepem.

- Masz na to moje słowo, margrabi - odszepnął Urgit. - Chociaż ten, kto ufa słowu Murga i członkowi dynastii Urgów, nie okazuje zbyt wiele roztropności. Cieszymy się złą sławą. Poza tym wszyscy z tego rodu, jak wiesz, są szaleni.

Javelin ssął opuszek palca podejrzewając, iż jego rozmówca przewyższył go sprytem.

- Otrzymaliśmy z Tol Honeth pewną niepokojącą informację.

- Czyżby?

- Wiesz, jacy są Tolnedranie; zawsze czujni i gotowi, by wykorzystać nadarzącą się okazję.

- Och, wielkie nieba, wiem dobrze. - Urgit roześmiał się szczerze. - Najbardziej tkliwe wspomnienia z mego dzieciństwa pochodzą z okresu, gdy Taur Urgas, mój nie oplakiwany przez nikogo ojciec, zaczął gryźć meble otrzymawszy propozycję od Rana Boruny.

- Nie zrozum mnie źle, wasza miłość - kontynuował Javelin - nie sugeruję, że sam cesarz Varana jest w to w jakiś sposób wmieszany, lecz kilku wysokich rangą tolnedrańskich arystokratów utrzymuje kontakt z Mal Zeth.

- To niepokojące, nieprawdaż? Varana ma jednak kontrolę nad legionami i dopóki on jest przeciwko Mal Zeth, nam nic nie grozi.

- To prawda, dopóki Varana żyje.

- Czy sugerujesz możliwość tak śmiałego posunięcia?

- Niewykluczone, wasza mość. Twoje własne królestwo daje na to dowody. Wielkie rodziny w północnej Tolnedrze wciąż są wstrząśnięte bezczelnością, z jaką Borunesi i Anadilowie wtargnęli na ich tereny i posadzili Varanę na tronie cesarskim. Jeśli coś stanie się Varanie, a następcą jego zostanie Vordue, Honeth czy Horbite, wszystkie zapewnienia tracą swą wartość. Przymierze między Mal Zeth i Tol Honeth mogłoby stać się totalną katastrofą zarówno dla Murgów jak i Alornów. Co więcej, gdyby takie przymierze było utrzymywane w tajemnicy, tolnedrańskie legiony stacjonujące w Cthol Murgos otrzymałyby nagle rozkaz zmiany stron i zostałyby schwyty między dwie armie: tolnedrańską i malloreańską.

Urgit wzdrygnął się.

- W tych okolicznościach, wasza miłość - kontynuował gładko Javelin - doradzałbym przyjęcie następującego stanowiska. - Zaczął wyliczać punkt po punkcie na palcach. - Po pierwsze: siły malloreańskie w Cthol Murgos zostały zredukowane do minimum. Po drugie: wojska Alornów w obrębie twych granic nie są ani konieczne, ani pożądane. Dysponujesz dostatecznymi siłami, by wypędzić Mallorean, i lepiej, żeby nie ryzykować przypadkowych konfrontacji między twoimi a moimi ludźmi. Po trzecie: dość nieciekawa sytuacja polityczna w Tolnedrze sprawia, że sprowadzanie tutaj ich legionów jest niesłychanie ryzykowne.

- Poczekaj chwilę, Khendonie - sprzeciwił się Urgit. - Przyjeżdżasz do Rak Urga z całą gamą zachwycających pomysłów w kwestii przymierzy i wspólnoty interesów, a teraz, kiedy nadszedł czas, by wypuścić wojsko w pole, robisz odwrót. Po co zajmowałeś mi czas?

- Od chwili gdy zaczęliśmy negocjacje, sytuacja uległa zmianie, wasza miłość - wyjaśnił Javelin. - Nie spodziewaliśmy się tak masowego wycofania się oddziałów

malloreańskich, a już z całą pewnością nie spodziewaliśmy się niestabilnej sytuacji w Tolnedrze.

- Co ja będę z tego miał?

- Co najprawdopodobniej uczyni Kal Zakath, jak tylko dowie się, że maszerujesz na jego twierdze?

- Zawróci i wyśle całą swoją śmierdzącą armię z powrotem do Cthol Murgos.

- Najpierw musiałyby pokonać cherecką flotę? - zauważył Javelin. - Próbował już to zrobić po Thull Mardu, pamiętasz? Król Anheg i jego szaleni wojownicy zatopili większość jego statków i puszczali na dno jego wojsko regiment za regimentem.

- Zgadza się - stwierdził Urgit. - Sądzisz, że Anheg miałby ochotę na zablokowanie wschodniego wybrzeża, aby uniemożliwić powrót armii Zakatha.

- Przypuszczam, że byłby zachwycony. Cherekowie z wielką przyjemnością zatapiają łodzie nieprzyjaciół.

- Potrzebowałyby jednak map morskich, by okrążyć południowy przylądek Cthol Murgos - powiedział Urgit myśląc intensywnie.

Javelin zakasłał.

- Hm... mamy je, wasza miłość - oznajmił. Urgit wałnął pięścią w poręcz tronu.

- Do kroćset, Khendonie! Przybyłeś tu w roli ambasadora, a nie szpiega.

- To tylko, żeby nie wyjść z wprawy, wasza miłość - odparł otwarcie Javelin. - Teraz - kontynuował - oprócz floty chereckiej na Morzu Wschodnim, jesteśmy gotowi wysłać algarską kawalerię i drasańskich włóczników na północną i zachodnią granicę Goska oraz północno-zachodnią granicę Araga. Ten manewr skutecznie odciąłby drogę ucieczki Malloreanom „zamkniętym” w Cthol Murgos, zablokował ulubiony szlak inwazji Kal Zakatha przez Mishrak ac Thull oraz zapieczętował legiony tolnedrańskie na wypadek kompromisu między Tol Honeth i Mal Zeth. W ten sposób wszyscy ochronią swe terytoria, a Cherekowie wypędzą Mallorean z kontynentu, abyśmy mogli zasiedlić go wedle naszych upodobań.

- Ten, jak to nazwałeś, manewr spowoduje również całkowitą izolację Cthol Murgos. - Urgit zwrócił uwagę na jedyny fakt, co do którego Javelin miał nadzieję, iż pominie go bez komentarza. - Ja wyczerpuję swoje królestwo wyciągając z ognia twoje kasztany, a potem Alornowie, Tolnedranie, Arendowie i Sendarowie z powodzeniem eliminują Angaraków na zachodnim kontynencie.

- Wasza miłość ma sprzymierzeńców w Nadrakach i Thullach.

- Pohandluję z tobą - odezwał się oschle Urgit. - Daj mi Arendów i Rivan, a ja chętnie

dam ci Thullów i Nadraków.

- Chyba nadszedł czas, bym skontaktował się z moim rządem, wasza miłość. I tak już przekroczyłem granice swoich kompetencji. Muszę otrzymać zgodę z Boktor, abym mógł podjąć pewne decyzje.

- Przekaż Porenn moje pozdrowienia - rzekł Urgit - i powiedz jej, że łączę się z nią w życzeniach dla naszego wspólnego krewnego.

Javelin wychodząc czuł się dużo mniej pewny siebie.

Tego ranka Dziecko Ciemności roztrzaskało wszystkie lustra w swych komnatach w świątyni Grolimów w Balasa. Obecnie już nawet na twarzy pojawiły się bladoniebieskie świetliki. Gdy ujrzała kołujące światełka pod skórą na policzkach i czole, potłukła zwierciadło, które ukazało jej rzeczywistość. Wkrótce podobny los spotkał pozostałe lustra. Skończywszy popatrzyła z przerażeniem na głęboką szramę na dłoni. Światełka migotały również we krwi. Z goryczą przypomniała sobie dziką radość, która napełniła ją, gdy po raz pierwszy przeczytała prorocze słowa: „Ujrzyjcie: Dziecię Mroku będzie wyniesione ponad wszystkich i gloryfikowane światłem gwiazd.” Lecz światło gwiazd nie było żadną aureolą ani płonącym nimbem, lecz okazało się pełznącą chorobą, która pożerała ją cal po calu.

Nie tylko migotliwe światła zaczęły ją pochłaniać. Coraz częściej myśli, wspomnienia, a nawet sny nie były już jej własnymi. Raz po raz budziła się z krzykiem na ustach, nawiedzana przez ten sam sen. Zdawało się jej, że wisi bezcielesna i obojętna w jakiejś niewyobrażalnej pustce obserwując wszystko beznamiętnie niczym olbrzymia gwiazda wirująca i wibrująca na swym kursie, pęczniejąca i coraz intensywniej czerwieniejąca, zmierzająca ku nieuniknionej zagładzie. Pulsowanie gwiazdy znajdującej się poza centrum nie było przedmiotem zmartwienia, lecz kiedy stało się zauważalne, bezcielesna i bezpłciowa świadomość dryfująca w próżni poczuła ukłucie zainteresowania, a potem rosnące przerażenie. Coś było nie tak. Tego nie zaplanowano. I nagle wybuch. Ogromna, czerwona gwiazda eksplodowała, tam gdzie nie powinno dojść do eksplozji, a ponieważ stało się to w niewłaściwym miejscu, inne gwiazdy zostały ogarnięte potężnym wybuchem. Olbrzymia, powiększająca się kula płonącej energii falując posuwała się do przodu ogarniając słońce po słońcu, by ostatecznie pochłonąć całą galaktykę.

Bezielesna świadomość w próżni poczuła wewnątrz swego jestestwa straszliwe szarpnięcie, gdy galaktyka eksplodowała, i przez chwilę krótszą niż mgnienie wydawało się, że istnieje w więcej niż jednym punkcie. Potem przestała być jednością.

- To niemożliwe - odezwała się świadomość bezdźwięcznym głosem.

- To prawda - odpowiedział inny bezdźwięczny głos. Właśnie to przerażające uczucie sprawiało, że Zandramas noc w noc siadała z krzykiem na łóżku; poczucie innej obecności wtargnęło w istniejącą od zawsze idealną samotność odwiecznej jedności.

Dziecko Ciemności próbowało wygnać te myśli, czy też może wspomnienia, ze swego umysłu. Rozległo się pukanie do drzwi komnaty, więc naciągnęła kaptur grolimskiej szaty, aby ukryć twarz.

- Tak - odezwała się ostro.

W otwartych drzwiach stanął arcykapłan świątyni.

- Naradas odjechał, Święta Prorokini - oznajmił. - Chciałaś, żeby cię o tym powiadomić.

- Dobrze - odparła stanowczym głosem.

- Przybył posłaniec z Zachodu - kontynuował arcykapłan. - Przywiózł wieści, że Hierarcha Zachodu wylądował na jałowym, zachodnim wybrzeżu Findy i podąża teraz przez Dalazję w kierunku Kell.

Zandramas poczuła słaby przyływ satysfakcji.

- Witaj w Mallorei, Agachaku - zamruczała. - Czekałam na ciebie.

Tego ranka południowy kraniec wyspy Verkat tonął we mgle, lecz Gart był rybakiem i znał te wody lepiej niż swoją dziurawą kieszeń. Wyłynął o pierwszym brzasku kierując się zapachem łądu, który pozostawił za sobą, tudzież wycuciem głównego prądu. Od czasu do czasu przerywał wiosłowanie, wciągał sieć i wysypywał walczące zaciekle ryby o srebrnych bokach do dużej skrzyni stojącej u jego stóp. Następnie ponownie zarzucał sieć i kontynuował wiosłowanie do momentu, kiedy zaczynał odczuwać ciężar złowionych ryb.

Był wyśmienity ranek na połów. Gartowi nie przeszkadzała mgła. Wiedział, że wyłynęły również inne łodzie, lecz mgła stwarzała złudzenie, że miał cały ocean dla siebie. Gartowi bardzo się to podobało.

Ostrzegła go nieuchwytna zmiana w prądzie, który napierał na łódź. Błyskawicznie wciągnął wiosła do łodzi, pochylił się w przód i począł dzwonić w dzwon umieszczony na dziobie, aby powiadomić o swojej obecności nadpływający statek.

Wtedy go ujrzał. Nie przypominał żadnego statku, jakie Gart do tej pory widział. Wysoki bukszpryt wielkiego, długiego kadłuba pokrywały dekoracyjne płaskorzeźby. Kilkanaście wiosła poruszało się miarowo raz po raz uderzając w spokojną toń. Nie można było się mylić co do celu, w jakim zbudowano ten statek. Gart zadrzał, gdy złowieszczy okręt niemalże otarł się o burty jego łodzi.

Przy sterze stał, wychylając się przez reling, potężny, rudobrody mężczyzna odziany w kolczugę.

- Szczęście dopisuje? - zawołał do Garta.

- Niezgorzej - odparł ostrożnie Gart. Nie miał zamiaru zachęcać tak licznej załogi do rzucenia kotwicy i zabrania się za wciąganie jego ryb.

- Czy jesteśmy u południowego wybrzeża wyspy Verkat? - spytał rudobrody olbrzym.

Gart wciągnął nosem powietrze łapiąc słaby zapach łądu.

- Ani chybi właśnie je mijacie - powiedział. - Mniej więcej w tym miejscu linia brzegowa skręca w kierunku północno-wschodnim.

Do stojącego przy balustradzie dołączył mężczyzna odziany w lśniąca zbroję. Pod pachą trzymał hełm, a na odsłonięte czoło opadały czarne kędziory. - Zaiste twa wiedza o onych wodach zdaje się być ze wszech miar głęboka, przyjacielu - rzekł w archaicznym języku, jaki Gart bardzo rzadko miał okazję słyszeć - a twa ochota, by dzielić się ową wiedzą z prawymi ludźmi, świadczy o jakowejś nadzwyczajnej kurtuazji. Czy zechciałbyś, przypadkiem, doradzić nam najkrótszy kurs do Mallorei?

- To zależały od tego, panie, gdzie dokładnie chcielibyście dotrzeć - odparł Gart.

- Najbliższy port - rzekł rudobrody.

Gart zamrugał próbując sobie przypomnieć szczegóły mapy, którą trzymał na półce w domu.

- To będzie Dal Zerba w południowo-zachodniej Dalazji - odparł. - Na waszym miejscu popłynąłbym na wschód przez jakieś dziesięć czy dwadzieścia mil, a potem obrał północno-wschodni kurs.

- A jak długa podróż czeka nasze umęczone ciała, by spocząć mogły w porcie, jakowy wspomniałeś? - spytał uzbrojony mężczyzna.

Gart popatrzył na długi, wąski statek.

- To zależy od tego, jak szybko porusza się wasz statek - odparł. - Będzie z jakieś trzysta pięćdziesiąt mil, lecz musicie zawrócić na pełne morze, aby ominąć rafę Turim. Powiadają, że jest bardzo niebezpieczna, i omijają ją nawet najtężsi żeglarze.

- Być może my będziemy pierwsi, szlachetny panie - powiedział wesoło człowiek w zbroi do swego kompana.

Olbrzym westchnąwszy zakrył oczy wielką ręką.

- Nie, Mandorallenie - odezwał się ponurym głosem. - Jeśli rozprujemy dno mego statku na rafie, będziemy musieli resztę drogi płynąć wplaw, a nie jesteś do tego celu odpowiednio ubrany.

Olbrzymi statek zaczął znikać we mgle.

- Co to za statek? - zawołał Gart za znikającym kolosem.

- Cherecki okręt wojenny - doszła go tubalna odpowiedź, w której słychać było nutę dumy. - Największy statek na ziemi.

- Jak się zowie? - zakrzyknął Gart przystawiając dłonie do twarzy.

- „Morski Ptak” - doleciała go upiorna odpowiedź.

Rozdział V

Miasto nie było zbyt duże, lecz jego wyszukana architektura zadziwiła Gariona. Przycupnięte w płytkiej dolinie sięgało aż do podnóża olbrzymiego, białego szczytu, jakby spoczywało na kolanach góry. W mieście dominowały wysmukłe, białe wieże i marmurowe arkady. Dookoła niskich budynków o szklanych ścianach rozciągały się szerokie trawniki i gaje drzew rzucających cień na liczne marmurowe ławki. Na zielonych kobiercach rozkwitały urzekające żywością barw ogrody; schludne żywopłoty i rabaty kwiatów otoczone niskim białym murem. W ogrodach i na dziedzińcach wesoło tryskały fontanny krystalicznej wody. Zakath patrzył zahipnotyzowany na miasto Kell.

- Nawet nie przypuszczałem, że to tu znajdziemy Kell! - wykrzyknął.

- Nie wiedziałeś, gdzie jest? - spytał Garion.

- Wiedziałem, lecz nie miałem pojęcia, że tak właśnie wygląda. - Zakath skrzywił się.

- Przy nim Mal Zeth wygląda jak kolekcja ruder, nieprawdaż?

- Również Tol Honeth, a nawet Melcene - zgodził się Garion.

- Nie sądziłem, że Dalowie wiedzą, jak wznieść normalny dom - stwierdził Malloreanin - a tu nagle przed oczami pojawia się taki widok.

Toth gestykulował zawzięcie do Durnika.

- Mówi, że to najstarsze miasto na świecie - przekazał im kowal. - Zostało zbudowane na długo przed pęknięciem świata. Nie zmieniło się od prawie dziesięciu tysięcy lat.

Zakath westchnął.

- A zatem prawdopodobnie zapomnieli, jak to się robi. A już zamierzałem skorzystać z usług tutejszych architektów. Przydałoby się nieco upiększyć Mal Zeth.

Toth ponownie wykonał kilka szybkich gestów i Durnik zmarszczył brwi.

- Musiałem źle zrozumieć - wymamrotał.

- Co on powiedział?

- Z tego co rozumiałem, nic co Dalowie kiedykolwiek zrobili nie zostało nigdy zapomniane. - Durnik spojrział na swego przyjaciela. - Czy to miałeś na myśli? - zapytał.

Toth skinął głową i zaczął znowu gestykulować.

- Mówi, że każdy żyjący Dal posiada wiedzę wszystkich Dalów, jacy stąpali kiedykolwiek po ziemi.

- A zatem muszą mieć bardzo dobre szkoły - stwierdził Garion.

Toth uśmiechnął się na te słowa, a osobliwy uśmiech był lekko naznaczony żalem.

Następnie zagestykulował krótko do Durnika, zeskoczył z konia i odszedł.

- Gdzie on idzie? - spytał Silk.

- Zobaczyć się z Cyradis - odparł Durnik.

- Czy nie powinniśmy iść z nim? Durnik potrząsnął przecząco głową.

- Przyjdzie do nas, kiedy będzie gotowa.

Podobnie jak wszyscy Dalowie, jakich widział Garion, mieszkańcy Kell nosili proste, białe szaty z dużymi kapturami opadającymi na plecy. Spacerowali lub siedzieli w ogrodach najczęściej w dwu- lub trzyosobowych grupkach, rozprawiając żywo. Niektórzy trzymali pod pachą oprawione w skórę księgi lub podłużne zwoje pergaminu. Garionowi przyszły na myśl uniwersytety w Tol Honeth i w Melcene. Ogarniało go jednak przekonanie, że ta społeczność naukowców zajmowała się o wiele poważniejszymi, głębszymi studiami, pomijając błahe badania, jakie wypełniały życie egzaltowanych profesorów w tamtejszych instytucjach.

Grupa Dalów poprowadziła ich wijącymi się uliczkami do prostego domu na dalekim krańcu jednego z ogrodów. Wiekowy, odziany w białe szaty człowiek stał w wejściu wspierając się na długiej lasce. Miał wyjątkowo błękitne oczy i śnieżnobiałe włosy.

- Od dawna oczekiwaliśmy waszego przybycia - przemówił trzęsącym się głosem - jako że Księga Wieków przepowiadała, iż w Piątym Wieku Dziecko Światła i jego przyjaciele przybędą do Kell w poszukiwaniu przewodnictwa.

- A Dziecko Ciemności? - spytał Belgarath zsiadając z konia. - Czy ona również przybędzie?

- Nie, Przedwieczny Belgaracie - odparł starszy człowiek. - Nie przybędzie, aczkolwiek odnajdzie swą drogę gdzie indziej i innymi sposobami. Jam jest Dallan i mam was powitać.

- Czy sprawujesz tutaj rządy, Dallanie? - zapytał Zakath, również zsiadając ze swego wierzchowca.

- Nikt nie rządzi w onym miejscu, cesarzu Mallorei - odparł Dallan. - Ty też nie.

- Zdaje się, że nas znasz - zauważył Belgarath.

- Znamy was wszystkich od czasu, gdy księga niebios została po raz pierwszy nam otwarta, jako że wasze imiona wypisane są dużymi zgłoskami w gwiazdach. A teraz zabiorę was do miejsca, gdzie możecie odpocząć w oczekiwaniu na Świętą Prorokinię. - Spojrzał na dziwnie spokojną wilczycę stojącą u boku Gariona i na rozdokazywanego szczeniaka. - Jak ci się wiedzie, mała siostrze? - spytał oficjalnym tonem.

- Jestem zadowolona, przyjacielu - odparła językiem wilków.

- Cieszę się - odparł w jej mowie.

- Czy wszyscy na świecie oprócz mnie jedyne go znają wilczą mowę? - spytał nieco opryskliwie Silk.

- Chciałbyś wziąć kilka lekcji? - zapytał Garion.

- Nie kłopotz się.

Chwiejnym krokiem białowłosa mężczyzna poprowadził ich soczystozielonymi trawnikami do dużego, marmurowego budynku o szerokich, połyskujących stopniach.

- Ten oto dom został przygotowany dla ciebie na początku Trzeciego Wieku, Przedwieczny Belgaracie - wyjaśnił starzec. - Pierwszy kamień położono w dniu, w którym wydostałeś Klejnot twego pana z Miasta Nie Kończącej Się Nocy.

- To miało miejsce dość dawno temu - zauważył czarownik.

- Wieki były długie na początku - zgodził się Dallan. - Jednakże obecnie stają się coraz krótsze. Odpoczywajcie dobrze. Zajmiemy się waszymi końmi. - Po tych słowach obrócił się i podpierając laską skierował się do swego domu.

- Nadejdzie dzień, kiedy Dal wyjdzie i powie wprost, co ma na myśli bez całej tej tajemniczej paplaniny, a świat wtedy dobiegnie swego kresu - mruknął Beldin. - Wejźmy do środka. Jeśli ten dom stoi tu tak długo, jak twierdzi ów zacny starzec, możemy się spodziewać kurzu po kolana i trzeba go będzie dokładnie pozamiatać.

- Porządek, wuju? - roześmiała się Polgara, gdy zaczęli wchodzić po marmurowych schodach. - W twoich ustach?

- Nie przeszkadza mi pewna ilość brudu, Pol, ale kurz przyprawia mnie o kichanie.

Wnętrze domu powitało ich nieskazitelną czystością. Z okien zwieszały się cienkie jak pajęczyna zasłonki poruszane lekkim wietrzykiem niosącym słodki zapach letniego kwiecia, a meble, choć osobliwie ukształtowane i obce dla oczu przybyszów, okazały się nadzwyczaj wygodne. Wewnętrzne ściany zdobiły osobliwe rzeźbienia. Ze zdziwieniem spostrzegli, że pomieszczenie zostało zbudowane z pominięciem wszelkich kątów.

Chodzili po tym przedziwnym domu próbując się do niego przyzwyczaić. Następnie zebrali się w obszernym, centralnym pokoju o sklepieniu w kształcie kopuły. Na środku niewielka fontanna grała cichutko swoją wieczną pieśń pozostawiając na ścianach krople wody.

- Nie ma żadnych tylnych drzwi - zauważył krytycznie Silk.

- Planowałeś opuścić to miejsce, Kheldarze? - spytała Velvet.

- Niekoniecznie, lecz lubię mieć do dyspozycji tylne wyjście, jeśli zajdzie taka konieczność.

- Zawsze możesz wyskoczyć oknem.

- To amatorszczyzna, Liselle. Tylko początkujący żaczek na akademii decyduje się nurkować przez okno.

- Wiem, ale czasami trzeba improwizować.

Garion posłyszał szczególny odgłos szemrania. Z początku sądził, że dźwięk ten pochodził od fontanny, lecz nie przypominał on płynącej wody.

- Czy myślisz, że mieliby coś przeciwko, gdybyśmy wyszli i rozejrzeli się trochę? - zwrócił się do Belgaratha.

- Zaczekajmy chwilę. Po coś przecież umieszczono nas tutaj. Jeszcze nie wiem, czy oznacza to, że mamy zostać, czy może coś innego. Najpierw wyczuźmy sytuację, potem możemy podjąć ryzyko. Ci Dalowie, a w szczególności Cyradis, mają coś, czego potrzebujemy. Nie możemy ich urazić. - Spojrzał na Durnika. - Czy Toth dał ci do zrozumienia, kiedy ona tu przyjdzie?

- Właściwie nie, ale odniosłem wrażenie, że wkrótce.

- Niewiele nam to daje, mój bracie - odezwał się Beldin. - Dalowie hołdują dość specyficznej teorii czasu. Odmierzają go wiekami, a nie latami.

Zakath bardzo dokładnie badał ściany kilka kroków od tryskającej fontanny.

- Czy zdajecie sobie sprawę, że nie ma w tej ścianie ani trochę zaprawy murarskiej?

Durnik podszedł do niego, wyjął nóż z pochwy i sprawdził wąską szczelinę między dwiema marmurowymi płytami. - Gniazdo czopa na trzpień - powiedział myśląc intensywnie.

- Bardzo ściśle ułożone. Zbudowanie takiego domu musiało trwać wiele lat.

- A całego miasta wiele wieków, jeśli wszystkie budowle są skonstruowane w ten sam sposób - dodał Zakath. - Gdzie się nauczyli takiej techniki? I kiedy?

- Prawdopodobnie w ciągu Pierwszego Wieku - odparł Belgarath.

- Przestań, Belgaracie - warknął zirytowany Beldin. - Mówisz dokładnie tak samo jak oni.

- Zawsze staram się postępować wedle miejscowych zwyczajów.

- Nadal nie wiem więcej niż przedtem - poskarżył się Zakath.

- Pierwszy Wiek to okres od stworzenia człowieka aż do momentu, gdy Torak doprowadził do pęknięcia świata - poinformował go Belgarath. - Początek jest dość trudny do ustalenia. Nasz Pan nigdy dokładnie nie określił, kiedy wraz ze swymi braćmi stworzyli świat. Wydaje mi się, że nikt z nich nie chce o tym mówić, ponieważ nie uzyskali aprobaty ojca. Pęknięcie świata jest jednak stosunkowo dokładnie umiejscowione w czasie.

- Czy ty już byłeś na świecie, gdy to się wydarzyło, lady Polgaro? - spytał z zaciekawieniem Sadi.

- Nie - odparła. - Moja siostra i ja urodziłyśmy się nieco później.

- A mianowicie?

- Mniej więcej dwa tysiące lat temu, prawda, ojcze?

- Coś koło tego.

- Mrozi mi krew w żyłach, gdy słyszę, jak sobie szafujecie tymi wiekami. - Sadi wzdrygnął się.

- Z czego wnioskujesz, że nauczyli się tego stylu budowania przed pęknięciem świata?

- spytał Zakath Belgaratha.

- Czytałem fragmenty Księgi Wieków - odparł starzec. - Odtwarza ona całkiem wiernie historię Dalów. Kiedy świat pękł i w powstałą szczelinę wdarło się Morze Wschodu, wy Angarakowie uciekliście do Mallorei. Dalowie wiedzieli, że w końcu będą musieli dojść z wami do porozumienia, więc zdecydowali się udawać prostych farmerów i rozebrali swoje miasta. Wszystkie oprócz tego jednego.

- Dlaczego zostawili Kell nietknięte?

- Nie było potrzeby rozbierać go. Tak naprawdę obawiali się tylko Grolimów, a Grolimowie nie mogą tu dotrzeć.

- Lecz mogą to uczynić inni Angarakowie - zauważył bystro Zakath. - Jak to możliwe, że żaden jeszcze nie zdał relacji biurokratom o tym mieście?

- Prawdopodobnie zachęca się ich, by o tym zapominali - zauważyła Polgara.

Popatrzył na nią ostro.

- To nie takie trudne, Zakacie. Jedna czy druga wskazówka zwykle dobrze oczyszcza pamięć. - Przez jej twarz przebiegł wyraz zirytowania. - Cóż to za szemrzący odgłos? - zapytała zniecierpliwiona.

- Nic nie słyszę - odezwał się Silk sprawiając wrażenie zdziwionego.

- Musisz mieć zatem zatkane uszy, Kheldarze.

Tuż przed zachodem słońca kilka młodych kobiet odzianych w miękkie, białe szaty przyniosło im kolację na przykrytych tacach.

- Widzę, że na całym świecie panują podobne zwyczaje - rzekła kwaśno Velvet do jednej z młodych kobiet. - Mężczyźni siedzą i rozmawiają, a kobiety odwalają całą robotę.

- Och, nie przeszkadza to nam - odparła szczerze dziewczyna. - Służenie jest zaszczytem. - Miała niezwykle duże, ciemne oczy i lśniące, brązowe włosy.

- Tym gorzej - stwierdziła Velvet. - Najpierw każą nam pracować, a potem przekonują nas, że to lubimy.

Dziewczyna obdarzyła ją zdumionym spojrzeniem, po czym zachichotała. Następnie

rozejrzała się dokoła z poczuciem winy, a na policzki wystąpił jej szkarłatny rumieniec.

Natychmiast po wejściu młodych kobiet do ich komnaty Beldin schwycił kryształowy dzban, napełnił kielich i opróżnił go głośno, po czym zaczął się krztusić rozpryskując dokoła purpurowy płyn.

- Cóż to takiego? - zapytał oburzony.

- Sok owocowy, panie - zapewniła go szczerze młoda, ciemnowłosa kobieta. - Zaprawdę jest świeży. Wyciśnięto go dziś rano.

- Nie zostawiacie go na dłużej, żeby sfermentował?

- To znaczy, aż się zepsuje? Och, nie. Wtedy natychmiast go wylewamy.

Jęknął.

- A piwo?

- Cóż to za napój?

- Wiedziałem, że coś przykrego spotka nas w tym miejscu - mruknął karzeł do Belgaratha.

Oblicze Polgary rozjaśniał promienny uśmiech.

- O co w tym wszystkim chodziło? - Silk zwrócił się do Velvet po wyjściu usługujących kobiet. - To znaczy w tej cichej szemraninie?

- To cała osnowa - odparła tajemniczo. - Nigdy nie zaszkodzi otwierać nowe kanały komunikacji.

- Kobiety. - Westchnął i wywrócił oczami w kierunku sufitu.

Garion i Ce'Nedra wymienili szybkie spojrzenie, pamiętając, jak często na początku małżeństwa oboje wypowiadali te same słowa, tym samym tonem, po czym wybuchnęli śmiechem.

- Co was tak śmieszy? - spytał podejrzliwie Silk.

- Nic, Kheldarze - odparła Ce'Nedra. - Absolutnie nic.

Garion kiepsko spał tej nocy. Wszzechobecne szemranie wystarczało, by odpędzić upragniony sen. Nazajutrz wstał z piaskiem w oczach i wyraźnie nie w humorze.

W dużej, centralnej komnacie spotkał Durnika. Kował stał przytykając ucho do ściany w pobliżu fontanny.

- W czym problem? - spytał Garion.

- Próbuję zlokalizować ten odgłos - powiedział Durnik. - Może mieć związek z kanalizacją. Woda w tej fontannie musi skądś wypływać. Prawdopodobnie jest doprowadzana rurami, które przebiegają pod podłogą lub w ścianach.

- Czy woda płynąca przez rurę mogłaby czynić taki hałas? Durnik roześmiał się.

- Nigdy nie wiadomo, jakie odgłosy mogą pochodzić od kanalizacji, Garionie. Kiedyś byłem świadkiem wyludnienia całego miasta. Wszyscy sądzili, że było to nawiedzone miejsce. Okazało się, że dźwięki dochodziły z miejskiej dostarczalni wody.

Do pokoju wszedł Sadi w mieniącej się wszystkimi barwami tęczy tunice.

- Kolorowa - zauważył Garion. Od kilku miesięcy eunuch nosił na sobie tunikę, rajtuzy i sendarskie półbuty.

Sadi wzruszył ramionami.

- Z jakiejś przyczyny ogarnęła mnie dziś nostalgia za rodzinnym domem. - Westchnął.
- Myślę, że mógłbym przeżyć życie w pełnym zadowoleniu, gdybym nigdy nie ujrzał innej góry. Co robisz, gospodarzu Durniku? Nadal badasz tę konstrukcję?

- Nie. Próbuje zlokalizować źródło tego hałasu.

- Jakiego hałasu?

- Na pewno go słyszysz. Sadi przechylił głowę.

- Słyszę na zewnątrz ptaki - powiedział - i strumień gdzieś niedaleko, lecz nic poza tym.

Garion i Durnik wymienili długie, pełne niepokoju spojrzenie.

- Silk również tego wczoraj nie słyszał - przypomniał sobie Durnik.

- Może obudzimy wszystkich? - zaproponował Garion.

- To może niektórych unieszczęśliwić, Garionie.

- Przejdzie im, a myślę, że to dość ważne.

Niektórzy z nowo przybyłych rzucali na Gariona niezadowolone spojrzenia.

- Co to ma znaczyć, Garionie? - spytał rozniewanym głosem Belgarath.

- Można to nazwać eksperymentem, dziadku.

- Wykonuj swe eksperymenty tracąc na nie własny czas.

- Jejku, czyż nie jesteśmy trochę zdenerwowani od rana? - rzekła Ce'Nedra do starca.

- Nie spałem zbyt dobrze.

- Dziwne. Ja spałam jak niemowlę.

- Durniku - rzekł Garion - mógłbyś tu stanąć? - Wskazał na jedną stronę pokoju. - A ty, Sadi, tam. - Wskazał na przeciwległą stronę. - Nie zajmę wam dużo czasu - odezwał się do wszystkich. - Zamierzam szeptem zadać każdemu z was pytanie i chcę, żebyście odpowiedzieli tak lub nie.

- Czyż to nie egzotyczne? - zachnął się Belgarath.

- Nie chcę zepsuć eksperymentu dając wam wszystkim możliwość przedyskutowania go.

- To podstawowa zasada nauki - pochwalił Beldin. - Zastosujmy się do jego wskazówek. Wzbudził moją ciekawość.

Garion podchodził do każdego szepcząc proste pytanie:

- Czy słyszysz odgłos szemrania? - Zależnie od odpowiedzi prosił, żeby dołączali do Sadiego albo do Durnika. Nie trwało to długo, a rezultat potwierdził podejrzenia Gariona. Przy Durniku stali Belgarath, Polgara, Beldin, oraz ku pewnemu zaskoczeniu - Eriond. Po stronie Sadiego znaleźli się Silk, Velvet, Ce'Nedra i Zakath.

- A teraz, czy mógłbyś już wyjaśnić tę zagadkę? - spytał Belgarath.

- Wszystkim zadałem to samo pytanie, dziadku. Ci, którzy stoją koło ciebie, słyszą ten dziwny odgłos. Pozostali nie.

- Muszą go słyszeć. Całą noc przez niego nie spałem.

- Może dlatego jesteś dziś taki nie w sosie - mruknął Beldin. - Dobry eksperyment, Garionie. Może wyjaśnisz go teraz naszemu skwaszonemu przyjacielowi?

- To nietrudne, dziadku - oznajmił Garion. - Prawdopodobnie jest tak proste, że trudno sobie to uzmysłwić. Ten dźwięk słyszą jedynie ludzie obdarzeni czymś, co nazywasz talentem. Zwykli ludzie nie słyszą go.

- Mówię szczerze, Belgaracie - odezwał się Silk. - Nie słyszę żadnego dźwięku.

- A ja usłyszałem go w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzeliśmy Kell - dodał Durnik.

- Czyż to nie interesujące? - Beldin zwrócił się do Belgaratha. - Idziemy dalej, czy chcesz wracać do łóżka?

- Nie wygłupiaj się - odparł bezwiednie Belgarath.

- A zatem dobrze - kontynuował Beldin. - Mamy odgłos niesłyszalny przez zwykłych ludzi, lecz słyszany przez nas. Od razu przychodzi mi do głowy inny odgłos, a wam?

Belgarath skinął głową.

- Odgłos używania magii.

- A zatem nie jest to naturalny dźwięk - stwierdził Durnik i roześmiał się nagle. - Cieszę się, że to rozpracowałeś, Garionie. O mały włos nie zacząłem zrywać podłogi.

- Po co? - zapytała Polgara.

- Sądziłem, że odgłos pochodzi od rury wodnej.

- Nie mamy jednak do czynienia z magią - rzekł Belgarath. - Brzmi nieco inaczej i nie czuje się tego w ten sam sposób.

Beldin drapał się po brudnej brodzie myśląc usilnie.

- A co myślisz o tym - zwrócił się do Belgaratha - że tutejsi ludzie mają dość skoncentrowanej siły, aby rozprawić się z każdym Grolimem czy grupą Grolimów, więc po

cóż zadawać sobie trud nakładania jakiegoś zaklęcia?

- Nie całkiem rozumiem.

- Wielu Grolimów to czarodzieje, zgadza się? Więc powinni również słyszeć ten dźwięk. Może to zaklęcie istnieje, aby trzymać Grolimów z dala, tak żeby nie słyszeli odgłosu?

- Czy nie posuwasz się zbyt daleko w tych zawiłościach, Beldinie? - zapytał sceptycznie Zakath.

- Raczej nie. Szczerze mówiąc upraszczam. Klątwa zaaranżowana, by odganiać ludzi, których się nie obawiasz, nie ma specjalnie sensu. Wszyscy od dawien dawna sądzili, że ta klątwa istnieje, aby ochraniać Kell, a to już samo w sobie nie miało większego sensu. Czyż nie prościej jest założyć, iż znajduje się tu coś o wiele bardziej ważnego, co wymaga ochrony?

- Cóż takiego niesie ten odgłos, że Dalowie tak obawiają się, żeby ktoś obcy go nie dosłyszał? - spytała Velvet lekko zdumiona.

- No dobrze - powiedział Beldin. - Czym jest dźwięk?

- No nie. Ten znowu swoje - westchnął Belgarath.

- Nie mówię tu o odgłosach leśnych. Dźwięk jest po prostu hałasem, o ile nie niesie w sobie jakiegoś znaczenia. Jak nazywamy znaczące dźwięki?

- Mową, prawda? - odezwał się Silk.

- Dokładnie.

- Nie rozumiem - wyznała Ce'Nedra. - Cóż takiego mówią Dalowie, co chcieliby utrzymać w tajemnicy? I tak przecież nikt nie rozumie, co mówią.

Beldin rozłożył bezradnie ręce, lecz Durnik spacerował to w jedną, to w drugą stronę, a wyraz jego twarzy świadczył o wielkim skupieniu.

- Może nie jest ważne, co mówią, lecz jak to robią.

- A ty oskarżasz mnie, że mówię niejasno - zwrócił się Beldin do Belgaratha. - Do czego zmierzasz, Durniku?

- Szukam po omacku - przyznał kowal. - Hałas czy dźwięk, bez względu na to jakiej użyjemy nazwy, nie jest oznaką, że ktoś zamienia ludzi w żaby. - Zatrzymał się. - Czy naprawdę potrafimy to robić? - zapytał.

- Tak - odparł Beldin - lecz nie jest to warte zachodu. Żaby rozmnażają się w zastraszającym tempie. Wolałbym być skazany na towarzystwo jednej osoby, która stale wyprowadza mnie z równowagi, niż miliona oślizgłych żab.

- A zatem dobrze - kontynuował Durnik. - Ten hałas nie ma nic wspólnego z magią.

- Prawdopodobnie nie - zgodził się Belgarath.

- I jak sądzę, Ce'Nedra miała rację. Rzeczywiście nikt nie rozumie, co mówią Dalowie, z wyjątkiem samych Dalów. Czasami nie mogę nadążyć za tokiem myśli Cyradis.

- Cóż to oznacza? - zapytał żywo Beldin błyskając oczami.

- Nie jestem pewien. Odnoszę jednak wrażenie, że „jak” jest tu bardziej istotne niż „co”. - Nagle Durnik przybrał zakłopotany wyraz twarzy. - Zbyt dużo mówię - wyznał. - Jestem przekonany, że niektórzy z was mają ważniejsze rzeczy do powiedzenia.

- Nie sądzę - odparł Beldin. - Myślę, że jesteś na krawędzi rozwikłania tej zagadki. Nie zmarnuj tej okazji.

Durnik pocił się. Jedną ręką zakrył oczy próbując pozbierać myśli. Garion dostrzegł, że wszyscy w komnacie wstrzymali oddechy obserwując wysiłek starego przyjaciela, który borykał się z konceptem, którego zrozumienie znajdowało się prawdopodobnie daleko poza możliwościami reszty grupy.

- Musi istnieć coś, co Dalowie próbują ochronić - kontynuował kowal - i musi to być coś niezwykle prostego, przynajmniej dla nich, lecz nie chcą, by ktokolwiek inny zrozumiał. Szkoda, że nie ma z nami Totha. Może on mógłby wyjaśnić tę zagadkę. - Wtem otworzył szeroko oczy.

- Co się dzieje, kochanie? - spytała Polgara.

- To niemożliwe! - wykrzyknął podekscytowany. - To nie mogło być to!

- Durniku! - oburzyła się.

- Czy pamiętasz, jak Toth i ja po raz pierwszy zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, mam na myśli gesty? - Durnik zaczął wyrzucać z siebie słowa prawie nie łapiąc oddechu. - Pracowaliśmy wspólnie, a człowiek, który pracuje z kimś innym, zaczyna dokładnie wiedzieć, co robi ta druga osoba, a nawet co myśli. - Popatrzył na Silka. - Ty, Garion i Polgara używacie języka palców - powiedział.

- Tak.

- Widzieliście gesty, które wykonuje Toth. Czy tajemny język mógłby powiedzieć aż tak wiele za pomocą tylko kilku machnięć rękami, tak jak to w istocie czyni?

Garion już znał odpowiedź. Głos Silka wyrażał zdumienie.

- Nie - rzekł. - To byłoby niemożliwe.

- Lecz ja wiem dokładnie, co on próbuje mi przekazać - powiedział Durnik. - Gesty nic nie znaczą. Wykonuje je, aby dać mi racjonalne wyjaśnienie tego, co naprawdę robi. - Na twarzy Durnika odmalował się strach. - Wkłada te słowa prosto do mego umysłu, bez użycia mowy. Musi tak postępować, bo nie potrafi mówić. Co wy na to, jeśli tym właśnie jest

szemranie, które słyszymy? Jeśli to dźwięk rozmawiających pomiędzy sobą Dalów? A co jeśli potrafią komunikować się nie dbając o barierę przestrzeni?

- I również czasu - dodał Beldin zdumionym głosem. - Pamiętasz, co powiedział ci twój potężny przyjaciel niemowa, gdy tylko tu przybyliśmy? Powiedział, że nic z tego, co Dalowie kiedykolwiek zrobili, nie zostało nigdy zapomniane i że każdy żyjący obecnie Dal posiada wiedzę wszystkich Dalów kroczących kiedykolwiek po tym świecie.

- Sugerujesz absurd, Beldinie - zgromił go Belgarath.

- Wcale nie. Mrówki tak robią. I pszczoły.

- My nie jesteśmy mrówkami ani pszczołami.

- Potrafię zrobić prawie wszystko, co potrafi pszczoła. - Garbus wzruszył ramionami. - Z wyjątkiem miodu, a ty prawdopodobnie potrafiłbyś wnieść całkiem przyzwoite mrowisko.

- Czy któryś z was mógłby wreszcie wytłumaczyć, o czym właściwie mówicie? - spytała rozgniewana Ce'Nedra.

- Sugerują możliwość istnienia zbiorowego umysłu, kochanie - powiedziała spokojnie Polgara. - Nie robią tego zbyt składowo, ale do tego mniej więcej zmierzają. - Obdarzyła dwóch starców pobłażliwym uśmiechem. - Istnieją pewne stworzenia, zwykle owady, które indywidualnie nie cechują się zbyt dużą inteligencją, lecz jako grupa są niezwykle mądre. Pojedyncza pszczoła nie jest zbyt bystra, lecz ul wie wszystko, co wcześniej się wydarzyło.

Do komnaty wbiegła wilczyca stukając pazurami po marmurowej posadzce. Tuż za nią podskakiwał szczeniak.

- Wilki również tak czynią - odezwała się zdradzając, że przysłuchiwała się rozmowie.

- Co powiedziała? - zapytał Silk.

- Powiedziała, że wilki robią tak samo - przetłumaczył Garion i nagle coś sobie przypomniał. - Kiedyś rozmawiałem z Hettarem i powiedział mi, że konie postępują podobnie. Nie myślą o sobie jako o indywidualnościach, lecz jako częściach stada.

- Czy to możliwe, żeby ludzie również tak myśleli? - spytała z niedowierzaniem Velvet.

- Istnieje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać - odparła Polgara.

- Nie, Pol - rzekł stanowczo Belgarath. - Istnieje zbyt duże niebezpieczeństwo. Mogłabyś zostać w to wciągnięta na zawsze.

- Nie, ojciec - odparła z całkowitym spokojem. - Dalowie mogą mnie nie wpuścić, lecz nie zrobią mi krzywdy ani nie będą mnie zatrzymywać, jeśli zechcę wrócić.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. - Powiedziawszy to zamknęła oczy.

Rozdział VI

Obserwowali uważnie, gdy uniosła swą nieziemsko piękną twarz. Koncentrowała się z zamkniętymi oczami. Wtem na jej obliczu pojawił się dziwny grymas.

- No i co? - spytał Belgarath.

- Cicho, ojcie. Słucham.

Stał bębniąc niespokojnie palcami w oparciu krzesła, podczas gdy pozostali przyglądali się z zapartym tchem.

Wreszcie, z lekkim westchnieniem żalu, Polgara otworzyła oczy.

- Jest niezmierny - odezwała się bardzo łagodnie. - Posiada w sobie każdą myśl, jaka kiedykolwiek przysła tym ludziom do głowy i każde wspomnienie. Pamięta nawet sam początek. Każdy z nich jest jego częścią.

- Ty też nią byłaś? - zapytał Belgarath.

- Przez chwilę, ojcie. Pozwolili mi spojrzeć na wszystko. Istnieją jednak fragmenty dla mnie niedostępne.

- Mogliśmy się tego domyślać - powiedział Beldin zagniewanym tonem. - Nie dopuszczają nas do niczego, co przyniosłoby nam jakąkolwiek korzyść. Siedzą na tym ogrodzeniu od początku świata.

Polgara westchnęła raz jeszcze, po czym usiadła na niskiej otomanie.

- Czy dobrze się czujesz, Pol? - spytał nieco przejęty Durnik.

- Wszystko w porządku, Durniku - odparła. - Przez chwilę widziałam coś, czego nigdy w życiu nie doświadczyłam, a potem poprosili, żebym odeszła.

Oczy Silka zwęziły się nieznacznie.

- Czy sądzisz, że mieliby coś przeciwko, gdybyśmy wyszli z domu i rozejrzeli się nieco?

- Nie. Na pewno nie.

- Powiedziałbym zatem, że poczyniliśmy kolejny duży krok do przodu - zasugerował mały człowieczek. - Wiemy, że to Dalowie mają dokonać ostatecznego wyboru, a przynajmniej Cyradis, lecz ta ich ponaddusza prawdopodobnie dostarczy jej wskazówek.

- To interesujące określenie, Kheldarze - zauważył Beldin.

- Jakie?

- Ponaddusza. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Zawsze lubiłem gry słowne.

- Może jest dla ciebie jakaś nadzieja. Pewnego dnia będziemy musieli odbyć długą rozmowę.

- Jestem do twojej dyspozycji, Beldinie - rzekł Silk wykonując dworski ukłon. - W każdym razie - kontynuował - ponieważ Dalowie będą decydować, sądzę, że powinniśmy ich lepiej poznać. Jeśli skłaniają się w nieodpowiednim kierunku, może uda się nam ich odkręcić.

- Przebiegle - zamruczał Sadi - lecz prawdopodobnie to niezły pomysł. Powinniśmy się jednak rozdzielić, by w ten sposób ogarnąć większy obszar.

- Niezwłocznie po śniadaniu - zgodził się Belgarath.

- Ależ dziadku - zaprotestował Garion niecierpliwiąc się, by wyruszyć natychmiast.

- Jestem głodny, Garionie, a w takiej sytuacji źle mi się myśli.

- To mogłoby wiele wyjaśniać - zauważył otwarcie Beldin. - Kiedy byłeś młody, trzeba było cię lepiej karmić.

- Zdajesz sobie sprawę, że czasami potrafisz być straszliwie zgryźliwy?

- No cóż, prawdę mówiąc tak.

Ta sama grupa młodych kobiet przyniosła im śniadanie. Velvet odciągnawszy na bok dziewczynę o wielkich oczach i lśniących brązowych włosach odbyła z nią krótką rozmowę, po czym dziewczyna wróciła do stołu.

- Ma na imię Onatel - poinformowała przyjaciół Velvet - i zaprosiła mnie wraz z Ce'Nedrą do miejsca, gdzie pracuje z innymi kobietami. Młode kobiety dużo mówią, więc może uda nam się dowiedzieć czegoś ciekawego.

- Czy ta prorokini, którą spotkaliśmy na wyspie Verkat, nie nazywała się właśnie Onatel? - spytał Sadi.

- To często spotykane imię pośród dalazjańskich kobiet - rzekł Zakath. - Onatel była jedną z wielce poważanych przez nich prorokiń.

- Ale wyspa Verkat znajduje się w Cthol Murgos - zauważył Sadi.

- To nie takie dziwne - odezwał się Belgarath. - Mamy pewne podstawy, by sądzić, że Dalowie i lud, który poznaliśmy w Cthol Murgos, są ściśle ze sobą spokrewnieni i pozostają w stałym kontakcie. To po prostu kolejne potwierdzenie.

Rankiem wyszli z domu i otuleni ciepłymi promieniami jasnego słońca rozeszli się w różnych kierunkach. Garion i Zakath zdjęli swe ciężkie, niewygodne zbroje i zostawili również miecze, chociaż Garion rozważnie zabrał ze sobą Klejnot schowany w wiszącym u pasa woreczku. Ruszyli po lekko zroszonym trawniku, kierując się w stronę grupy większych budynków położonych w pobliżu centrum miasta.

- Obchodzisz się niezwykle ostrożnie z tym kamieniem, nieprawdaż Garionie? - spytał

Zakath.

- Nie jestem pewien, czy „ostrożnie” jest odpowiednim słowem - odparł Garion - ale może w szerszym jego znaczeniu. Widzisz, Klejnot potrafi być bardzo niebezpieczny, a nie chcę, by przypadkiem wyrządził komuś krzywdę.

- Co takiego może zrobić?

- Nie jestem całkiem pewny. Nigdy nie widziałem, by komuś coś zrobił, z wyjątkiem Toraka, lecz i wtedy to mógł być miecz, nie działanie Klejnotu.

- A ty jesteś jedynym człowiekiem, który może go dotknąć?

- Prawie. Eriond nosił go przez kilka lat. Starał się dawać go ludziom. Większość z nich była Alornami, więc wiedzieli, że lepiej go nie dotykać.

- A zatem wraz z Eriondem jesteście jedynymi ludźmi, którzy mogą go dotknąć?

- Jest jeszcze mój syn - powiedział Garion. - Tuż po jego narodzinach położyłem jego dłoń na Klejnocie. Był niezmiernie szczęśliwy z tego spotkania.

- Kamień? Szczęśliwy?

- Nie jest podobny do innych kamieni. - Garion uśmiechnął się. Od czasu do czasu może zachowywać się trochę głupio. Daje się ponieść własnym emocjom. Czasami muszę bardzo uważać na swoje myśli. Jeśli on stwierdza, że ja naprawdę czegoś chcę, podejmuje czasami zupełnie niezależne ode mnie, własne działanie. - Roześmiał się. - Kiedyś, gdy myślałem o czasach, kiedy Torak spowodował pęknięcie świata, on opowiedział mi, jak zespolić świat.

- Nie mówisz poważnie!

- Ależ jak najbardziej. Dla niego nie istnieje słowo „niemożliwe”. Prawdopodobnie gdybym naprawdę zapragnął, wypisałby moje imię na gwiazdach. - Poczul lekkie poruszenie w woreczku zwieszającym się u pasa. - Przestań - powiedział ostro do Klejnotu. - To był tylko przykład, a nie prośba.

Zakath wytrzeszczał na niego oczy.

- Czy nie wyglądałoby to groteskowo? - spytał kwaśno Garion. - „Belgarion” przebiegające po nocnym niebie od horyzontu po horyzont?

- Wesz co, Garionie - rzekł Zakath. - Zawsze wierzyłem, że pewnego dnia dojdzie między nami do wojny. Czy byłbyś strasznie zawiedziony, gdybym nie pojawił się na polu bitwy?

- Myślę, że mógłbym to znieść. - Garion wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Gdyby nic innego nie stało na przeszkodzie, zawsze mógłbym zacząć bez ciebie. Ty mógłbyś pojawiać się od czasu do czasu, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają. Ce’Nedra przygotowałyby ci

wieczerzę. Oczywiście nie jest zbyt dobrą kucharką, ale wszyscy musimy czasami się poświęcać.

Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym wybuchnęli gromkim śmiechem. Proces, jaki rozpoczął się w Rak Urga z Urgitem, został właśnie zakończony. Z pewną dozą satysfakcji Garion zdał sobie sprawę, że poczynił pierwsze kroki w kierunku zakończenia pięciu wieków bezlitosnej nienawiści między Alornami a Angarakami.

Mieszkańcy Kell nie zwracali uwagi na mijających rozśpiewane fontanny mężczyzn, oddając się ze spokojem swym codziennym czynnościom. Ich oczy zdradzały głęboką zadumę. Rozmawiali niewiele, jako że mowa nie była dla nich koniecznym instrumentem.

- Przedziwne miejsce, nieprawdaż? - zauważył Zakath. - Nie jestem przyzwyczajony do widoku miast, gdzie nikt nic nie robi.

- Ależ oni coś robią.

- Wiesz, o co mi chodzi. Nie ma żadnych karczm, i nawet nikt nie zamiata ulic.

- Rzeczywiście trochę dziwne. - Garion rozejrzał się dookoła. - A co dziwniejsze, od czasu naszego przybycia nie spotkaliśmy żadnego proroka. Myślałem, że tu mieszkają.

- Może nie wychodzą z domów.

- To możliwe.

Poranny spacer nie przysporzył im wielu informacji. Od czasu do czasu próbowali zagaić odzianych w białe szaty napotykanym przechodniów, lecz pomimo swej nienagannej uprzejmości Dalowie nie wydawali się zbyt rozmowni. Odpowiadali na zadawane im pytania i na tym się zwykle kończyło.

- Irytujące, prawda? - stwierdził Silk, kiedy wrócili wraz z Sadim do przydzielonego im domu. - Nigdy nie spotkałem ludzi tak mało zainteresowanych rozmową. Nikt nie chciał nawet rozmawiać o pogodzie.

- Czy przypadkiem nie zauważyłeś, w którą stronę udały się Ce'Nedra i Liselle? - spytał Garion.

- Gdzieś na drugą stronę miasta. Sądzę, że powrócą, gdy te młode kobiety przyniosą nam obiad.

Wzrok Gariona przesunął się po twarzach przyjaciół.

- Czy ktoś z was widział przypadkiem jakiegoś proroka? - spytał.

- Nie ma ich tutaj - odezwała się Polgara. Siedziała przy oknie cerując jedną z tunik Durnika. - Pewna stara kobieta powiedziała mi, że przebywają w szczególnym miejscu, które znajduje się poza miastem.

- W jakim sposób udało ci się wydobyć z niej odpowiedź? - spytał Silk.

- Byłam po prostu stanowcza. Kiedy chce się uzyskać od Dalów jakieś informacje, należy ich trochę przycisnąć.

Zgodnie z przewidywaniami Silka, Velvet i Ce'Nedra wróciły wraz z młodymi kobietami, które przyniosły smaczkowy posiłek.

- Masz wspaniałą żonę, Belgarionie - powiedziała Velvet po wyjściu Dalazjanek. - Sprawiała wrażenie, jakby w jej głowie nie było żadnego mózgu. Cały ranek spędziła na paplaninie.

- Paplaninie? - sprzeciwiła się Ce'Nedra.

- Nazwałabyś to inaczej?

- No cóż, paplanina jest mało pochlebnym określeniem.

- Przypuszczam, że robiłaś to celowo? - zasugerował Sadi.

- Oczywiście - odparła Ce'Nedra. - Dość szybko zorientowałam się, że te dziewczęta nie są zbyt gadatliwe, więc sama wypełniałam luki w rozmowie. Wkrótce zaczęły się rozluźniać. Mówiłam tak, żeby Liselle mogła obserwować ich twarze. - Uśmiechnęła się przebiegle. - Zadziało całkiem dobrze.

- Czy cokolwiek z nich wyciągnęłaś? - spytała Polgara.

- Kilka informacji - odparła Velvet. - Nic szczególnego, jedynie kilka wskazówek. Myślę, że po południu uda nam się dowiedzieć czegoś więcej.

Ce'Nedra rozejrzała się dookoła.

- Gdzie podział się Durnik? - spytała. - I Eriond?

- A jak sądzisz? - westchnęła Polgara.

- Jak znaleźli miejsce do wędkowania?

- Durnik wyczuje wodę na kilka mil - wyjaśniła Polgara zrezygnowanym tonem - i powie, jakie ryby można tam spotkać, ile i prawdopodobnie jak się nazywają.

- Sam nigdy nie przejmowałem się aż tak bardzo rybami - rzekł Beldin.

- Nie sądzę, by Durnik się przejmował, wujku.

- Czemu więc je tak nęka? Rozłożyła bezradnie ręce.

- Skąd mogę wiedzieć? Motywy kierujące rybakami są niesłychanie niejasne. Jedno wiem na pewno.

- Co takiego?

- Wiele razy mówiłeś, że chciałbyś prowadzić z nim długie dysputy.

- W istocie.

- Powinieneś zatem nauczyć się łowić ryby. W przeciwnym razie nie będziesz miał ku temu okazji.

- Czy pojawił się już ktoś z wieściami od Cyradis? - spytał Garion.

- Nie było tu żywego ducha - odparł Beldin.

- Szczerze mówiąc, nie mamy czasu na zbyt długi postój - irytował się Garion.

- Może uda mi się wyciągnąć od kogoś odpowiedź - zaofiarował się Zakath. - Rozkazała mi, żebym spotkał się z nią tutaj w Kell - skrzywił się lekko na twarzy. - Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałem. Nikt mi nie rozkazywał od czasu, gdy przestałem być ośmioletnim chłopcem. W każdym razie wiecie, co mam na myśli. Mógłbym nalegać, by ktoś zabrał mnie do niej, jako posłusznego jej rozkazowi.

- Myślę, że z łatwością mógłbyś się zakrztusić wymawiając te słowa, Zakacie - powiedział wesoło Silk. - Powiedzieć „posłuszny rozkazowi”, to nie lada sztuka dla kogoś noszącego tytuł cesarza.

- Niezwykle irytujący mały człowieczek, nieprawdaż? - Zakath zwrócił się do Gariona.

- Zauważyłem.

- Ależ wasze wysokości - wtrąciła niewinnie Velvet - jak można czynić takie insynuacje.

- A czyż taki nie jest? - spytał otwarcie Zakath.

- Oczywiście, lecz nie jest miło poruszać ten temat. Silk sprawiał wrażenie lekko obrażonego.

- Czy chcecie, bym odszedł, żebyście mogli sobie porozmawiać w spokoju?

- Och, nie wydaje mi się to konieczne, Kheldarze - stwierdziła Velvet, a na jej policzkach pojawiły się charakterystyczne dołeczki.

Tego popołudnia nie udało im się zdobyć wiele więcej informacji i frustracja spowodowana bezowocnymi poszukiwaniami wprowadziła ich w stan głębokiego rozdrażnienia.

- Chyba powinniśmy wykorzystać twój pomysł - odezwał się Garion do Zakatha po skończonej wieczery. - Jutro z samego rana udamy się na spotkanie z tym starcem Dallanem. Powiemy mu wprost, że masz się stawić przed obliczem Cyradis. Chyba najwyższa pora, byśmy zaczęli ich trochę ponaglać.

- Dobrze - zgodził się Zakath.

Dallan okazał się jednak równie niekomunikatywny jak reszta mieszkańców Kell.

- Uzbrój się w cierpliwość, cesarzu Mallorei - poradził. - Święta prorokini przyjdzie do ciebie we właściwym czasie.

- Kiedy to nastąpi? - spytał Garion.

- Cyradis wie, a to chyba najważniejsze, prawda?

- Gdyby nie był tak stary i wąły, wytrzymałbym z niego odpowiedzi na nasze pytania - mruknął Garion, gdy wraz z Zakathem wracali do domu.

- Jeśli to się przeciągnie, może zignoruję jego wiek i słabość - stwierdził Zakath. - Nie przywykłem do tego, by ktoś uchylał się od odpowiedzi.

Dotarłszy do szerokich, marmurowych schodów dostrzegli nadchodzące z przeciwka Velvet i Ce'Nedre. Obie młode niewiasty poruszały się szybkim krokiem, a na twarzy Ce'Nedry malował się wyraz tryumfu.

- W końcu udało nam się dowiedzieć czegoś pożytecznego - odezwała się Velvet. - Wejźmy do środka, żeby podzielić się nowinami z pozostałymi.

Zebrałi się ponownie w komnacie o kopułowym sklepieniu i płowowłosa dziewczyna przemówiła dość poważnym głosem.

- Nie są to zbyt dokładne informacje - przyznała - lecz sądzę, że nic więcej nie uda nam się wydobyć z tych ludzi. Dziś rano wraz z Ce'Nedre wróciliśmy do domu, w którym pracują te młode kobiety. Przędły, a czynność ta, jak ogólnie wiadomo, usypia czujność. W każdym razie, nie zauważyliśmy tam tej dziewczyny o wielkich oczach, Onatel, i Ce'Nedra przybrała swój najbardziej bezmyślny wyraz twarzy, i...

- Na pewno tego nie zrobiłam - oburzyła się Ce'Nedra.

- Ależ zrobiłaś, kochanie, i to wręcz wyśmienicie. Niewinnie, z szeroko otwartymi oczami spytała młode kobiety, gdzie możemy znaleźć naszą „drogą przyjaciółkę”, a wtedy jednej z nich wymknęło się z ust zdanie, które nie powinno się wyniknąć. Powiedziała, że Onatel została wezwana, aby służyć w Miejscu Proroków. Oczy Ce'Nedry nabrały, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej pustego wyrazu i spytała, gdzie to jest. Co prawda nie uzyskała odpowiedzi, lecz jedna z dziewczyn mimowolnie spojrzała na pobliską górę.

- Jak można uniknąć spoglądania na tego olbrzyma - zachnął się Silk. - Mam pewne wątpliwości, Liselle.

- Ta dziewczyna przędła, Kheldarze. Sama robiłam to kilka razy i wiem, że trzeba nieustannie skupiać się na swojej pracy. W odpowiedzi na pytanie Ce'Nedry oderwała wzrok od kołowrotka, po czym szybko spuściła wzrok próbując zatuszować swój błąd. Ja również przesłam przez akademię, Silku, i potrafię wyciągać wnioski z zachowania ludzi niezgorzej od ciebie. Dziewczyna mogła równie dobrze wykrzyknąć to na cały głos. Prorocy przebywają gdzieś tam, na zboczach góry.

Silk skrzywił się.

- Wiecie co, ona chyba ma rację - przyznał. - To jedna z umiejętności, na którą kładzie

się nacisk w akademii. Jeśli wiesz czego szukasz, większość ludzkich twarzy wydaje się otwartymi księgami. - Wyprostował się. - No cóż, Zakacie, wygląda na to, że będziemy musieli wspiąć się na ten szczyt nieco wcześniej niż przypuszczaliśmy.

- Nie sądzę, Kheldarze - odezwała się stanowczo Polgara. - Włóczenie się po lodowcach mogłoby zająć wam pół życia, a i tak nie znaleźlibyście proroków.

- Masz lepszy pomysł?

- Właściwie kilka. - Wstała. - Chodź, Garionie - powiedziała. - Ty też, wujku.

- Do czego zmierzasz, Pol? - spytał Belgarath.

- Udamy się na górę i rozejrzemy się trochę.

- To już proponowałem - sprzeciwił się Silk.

- Jest jednak jedna różnica, Kheldarze - odezwała się słodko. - Nie potrafisz latać.

- No cóż - odparł urażonym tonem - skoro taka jesteś.

- Silku, to jedna z zalet bycia kobietą. Mogę robić różne niesprawiedliwe rzeczy, a ty musisz je zaakceptować, ponieważ jesteś zbyt uprzejmy, by postąpić inaczej.

- Punkt dla niej - mruknął Garion.

- Ciągłe to powtarzasz - rzekł zdumiony Zakath. - Dlaczego?

- To żart Alornów - odparł Garion.

- Czemu nie zostawisz sobie więcej czasu, Pol? - spytał Belgarath. - Zanim odleczisz, spróbuj się zorientować, czy uda ci się zdobyć potwierdzenie od tego grupowego umysłu.

- Bardzo dobry pomysł, ojczy - zgodziła się, po czym zamknęła oczy i uniosła twarz.

Po chwili pokręciła przecząco głową. - Nie wpuszczą mnie ponownie. - Westchnęła.

- To samo w sobie jest potwierdzeniem. - Beldin zachichotał.

- Nie do końca rozumiem - przyznał Sadi drapiąc się po świeżo ogolonej głowie.

- Możliwe, że Dalowie są mądrzy - powiedział garbus - ale nie są zbyt bystrzy. Nasze dwie dziewczyny zdobyły pewną informację. Gdyby informacja okazała się błędna, nie mieliby powodu, żeby nie wpuścić Pol. Ich zachowanie wskazuje jednak, że jesteśmy na dobrym tropie. Udajmy się poza miasto - zaproponował Polgarze - abyśmy nie zdradzili żadnych sekretów.

- Nie latam zbyt dobrze, ciociu Pol - stwierdził powątpiewająco Garion. - Czy jesteś pewna, że będę potrzebny?

- Nie ryzykujmy, Garionie. Jeśli Dalowie robią wszystko, żeby uczynić to miejsce niedostępnym, możemy potrzebować Klejnotu. Zaoszczędzimy sporo czasu, jeśli weźmiesz go ze sobą.

- Och - rzekł - może masz rację.

- Bądźcie w kontakcie - powiedział Belgarath, gdy cała trójka ruszyła ku drzwiom.

- Naturalnie - chrząknął Beldin.

Kiedy znaleźli się na trawniku, karzeł rozejrzał się dookoła.

- Sądzę, że tam - odezwał się wskazując kierunek. - Te zarośla na skraju miasta powinny ukryć nas przed wzrokiem ciekawskich.

- Dobrze, wujku - zgodziła się Polgara.

- Jeszcze jedna sprawa, Pol - dodał - i nie próbuję cię obrażać.

- To jakaś nowość.

- Jesteś dzisiaj w dobrej kondycji. - Wyszczrzył zęby. - W każdym razie, tego typu góra ma swoją własną pogodę, a w szczególności, własne wiatry.

- Tak, wujku, wiem.

- Wiem, jak bardzo lubisz śnieżne sowy, lecz ich pióra są zbyt miękkie. Jeśli dostaniesz się w wysoki wiatr, możesz skończyć wracając całkiem goła.

Obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem.

- Czy chcesz, żeby wywiało ci wszystkie pióra?

- Nie, wujku, szczerze mówiąc, nie bardzo.

- Może więc zrobisz to po mojemu? Mogłoby się nawet okazać, że lubisz być jastrzębiem.

- Jak przypuszczam błękitnopióрым.

- No cóż, wybór należy do ciebie, lecz naprawdę do twarzy ci w niebieskim, Pol.

- Jesteś niemożliwy. - Roześmiała się. - No dobrze, wujku, zrobimy to po twojemu.

- Ja zmienię się pierwszy - zaoferował. - Potem możesz użyć mnie jako modelu, żeby być pewną, że myślisz o odpowiednim kształcie.

- Wiem, jak wygląda jastrząb, wujku.

- Oczywiście, że wiesz, Pol! Po prostu próbuję ci pomóc.

- Jesteś wyjątkowo miły.

Dziwnie było tworzyć kształt inny niż wilka. Garion obejrzał się dokładnie porównując się z Beldinem, który spoglądał ognistym wzrokiem, siedząc w całej swej jastrzębiej wspaniałości na gałęzi.

- Całkiem niezłe - ocenił Beldin - ale następnym razem zapewnij sobie większy pióropusz skrzydeł na ogonie. Potrzebne ci będą do sterowania.

- No dobrze, panowie - odezwała się Polgara z pobliskiego drzewa - ruszajmy.

- Ja poprowadzę - odezwał się Beldin. - Mam większe doświadczenie. Jeśli natrafimy na prąd powietrza idący ku dołowi, odsuńcie się jak najdalej od góry. Nie chcecie chyba

roztrzaskać się o skały. - Rozpostarł skrzydła, zamachał kilkakrotnie i odleciał.

Garion jedynie raz szybował w przestworzach; tuż po porwaniu Gerana, gdy lecieli z Jarviksholmu do Rivy. Wówczas przybrał postać plamistego sokoła. Błękitnopióry jastrząb był dużo większym ptakiem, a górzysty teren okazał się trudniejszy do szybowania niż otwarty bezmiar Morza Wiatrów. Prądy powietrzne wirowały dookoła skał sprawiając, że lot stawał się jeszcze bardziej niebezpieczny.

Trzy jastrzębie spiralnym lotem wzbijały się w górę unoszone na fali ciepłego powietrza. Ten sposób latania nie wymagał od nich żadnego wysiłku i Garion zaczął rozumieć niesłychaną radość, jaką Beldin czerpał z przebywania w przestworzach.

Odkrył również, że ma niewiarygodnie ostry wzrok. Dostrzegał najmniejszy szczegół na zboczach góry, tak jakby znajdował się tuż przed nim. Widział owady i pojedyncze płatki dzikich kwiatów. Jego szpony zamykały się bezwiednie na widok małych górskich gryzoni przemykających wśród ostrych skał.

- Nie zapominaj, po co tu jesteśmy, Garionie. - W ciszy swego umysłu usłyszał głos Polgary.

- Ale... - Pragnienie, by runąć w dół z rozpostartymi szponami, stawało się prawie nie do powstrzymania.

- Nie ma żadnego ale, Garionie. Jadłeś już śniadanie. Zostaw w spokoju to biedne, małe stworzonko.

- Pozbawiasz go całego uroku zabawy. - Garion usłyszał protest Beldina.

- Nie jesteśmy tu dla zabawy, wujku. Prowadź dalej. Nagły wstrząs całkowicie zaskoczył Gariona; gwałtowny, ściągający w dół prąd powietrzny cisnął nim w kierunku skalistego zbocza i ledwie w ostatniej chwili Król Rivy zdołał uniknąć niechybnej katastrofy. Powietrzny prąd miotał nim na wszystkie strony szarpiąc skrzydła. Na domiar złego, znikąd, pojawiła się burza i olbrzymie lodowate krople uderzały w pierzastych szybowników niczym grad kamieni.

- To nie jest naturalne, Garionie! - doszedł go ostry głos Polgary. Rozejrzał się zdesperowany, lecz nigdzie nie mógł jej dostrzec.

- Gdzie jesteś! - zawołał.

- To nie ma znaczenia! Użyj Klejnotu! Dalowie próbują nas powstrzymać.

Garion nie był do końca przekonany, czy Klejnot usłyszy go w tym dziwnym miejscu, w jakim znalazł się po tym, jak zmienił postać, lecz nie miał innego wyboru i musiał spróbować. Szalejący deszcz i wyjący wichry uniemożliwiały wylądowanie na ziemi i powrót do własnego kształtu.

- Powstrzymaj to! - zawołał do kamienia. - Ten wiatr, ten deszcz, to wszystko!

Przyływ woli, jaki poczuł, kiedy Klejnot uwolnił swoją moc, sprawił, że zatoczył się w powietrzu i trzepocząc skrzydłami desperacko próbował utrzymać równowagę. Powietrze dookoła nagle rozbłysło błękitem.

Wtem wszystko ucichło; zniknął deszcz i towarzyszące mu turbulencje. Pozostała jedynie kolumna ciepłego powietrza unosząca ich swobodnie w przyjaznej przestrzeni.

Podczas wichury stracił jakieś tysiąc stóp i teraz ujrzał Polgarę i Beldina, o jakąś milę oddalonych od siebie. Kiedy ponownie zaczął nabierać wysokości, dostrzegł, że oni również zaczynają unosić się coraz wyżej, przybliżając się ku niemu.

- Bądź w pogotowiu - powiedział głos Polgary. - Użyj Klejnotu, by odeprzeć każdy następny atak.

Bardzo szybko odzyskali straconą wysokość i kontynuowali lot w górę ponad lasami i skalnymi półkami, aż dotarli do obszarów leżących pomiędzy linią drzew a wiecznymi śniegami. Ujrzeni pod sobą urokliwy obszar stromych turni porośniętych trawą i dzikimi kwiatami pochylonymi pod wpływem uderzeń górskiego wiatru.

- Tam! - Głos Beldina zdawał się trzeszczeć. - Widzę szlak.

- Czy jesteś pewien, że to nie jest jedynie ścieżka wydeptana przez zwierzęta?

- Jest zbyt prosty, Pol. Jeleń nie szedłby taką prostą drogą, zwierzęta kluczą. To ścieżka wydeptana przez człowieka. Zobaczmy, dokąd prowadzi.

Przechylił się i poleciał w dół w stronę uczęszczanego szlaku, przecinającego łąkę w kierunku olbrzymiej szczeliny w skalistym grzbiecie góry. Znalazłszy się na krańcu łąki zamachał skrzydłami.

- Chodźmy - powiedział. - Może będzie lepiej, jeśli resztę drogi pokonamy piechotą.

Polgara wraz z Garionem podążyli za nim i cała trójka migocząc przybrała ludzkie postacie.

- Przez chwilę nasze życie wisiało na włosku - odezwał się Beldin. - Jeszcze kilka stóp i pokrzywiłbym sobie dziób o skałę. - Popatrzył krytycznie na Polgarę. - Chciałabys zrewidować swoją teorię o Dalach, którzy jakoby nikomu nie wyrządzają krzywdy?

- Zobaczmy.

- Żałuję, że nie mam przy sobie miecza - stwierdził Garion. - Gdybyśmy wpadli w tarapaty, byłibyśmy całkiem bezbronni.

- Nie wiem, czy twój miecz przydałby się w tarapatach, jakie niewątpliwie nas oczekują - powiedział Beldin. - Nie trać jednak kontaktu z Klejnotem. Zobaczmy, dokąd prowadzi ta ścieżka. - Ruszył stromym szlakiem w kierunku górskiego grzbietu.

Szczelina okazała się wąskim przejściem pomiędzy dwoma olbrzymimi głazami. Pośrodku szlaku, w ciszy, stał Toth blokując im przejście.

Polgara popatrzyła mu chłodno w twarz.

- Dotrzemy do Miejsca Proroków, Toth, jako że takie jest przeznaczenie.

Oczy Totha na moment zaszyły mgłą. Następnie skinął głową i usunął się na bok.

Rozdział VII

Wewnątrz olbrzymiej jaskini znajdowało się miasto. Wyglądem przypominało leżące tysiące stóp niżej Kell. Nigdzie jednak nie dostrzegli trawników i ogrodów. Dookoła panowała wieczna mgła i półmrok, jako że prorocy z opaskami na oczach nie potrzebowali światła, a oczy ich niemych przewodników, jak domyślił się Garion, przywykły do słabej poświaty.

Na zacienionych ulicach nie spotkali wielu ludzi, a ci, których ujrzeli, gdy Toth prowadził ich do miasta, nie zwracali na nich uwagi. Beldin mruczał do siebie idąc zamaszystym krokiem.

- O co chodzi, wuju? - spytała Polgara.

- Czy kiedykolwiek zwróciłaś uwagę, jak często niektórzy ludzie stają się niewolnikami pewnych konwencji?

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

- To miasto znajduje się wewnątrz jaskini, a mimo to domostwa mają dachy. Czyż nie jest to w pewnym sensie absurd? Tutaj przecież nie będzie padać.

- Tak, ale czasami nadchodzi chłód, szczególnie zimą. Jeśli dom nie ma dachu, trochę trudno zatrzymać w nim ciepło, nie uważasz?

Zmarszczył brwi.

- Chyba o tym nie pomyślałem - przyznał.

Dom, do którego poprowadził ich Toth, znajdował się w samym środku tego osobliwego, podziemnego miasta. Chociaż nie różnił się niczym szczególnym od otaczających go budynków, lokalizacja wskazywała, że jego mieszkaniec należał do ważnych osobistości. Toth wszedł bez pukania i zaprowadził ich do surowego pokoju, w którym oczekiwała Cyradis. Pojedynczy płomień świecy oświetlał jej bladą twarz.

- Dotarliście tu szybciej, niżli się spodziewaliśmy - powiedziała. Jej głos w pewien szczególny sposób różnił się od głosu, jaki słyszeli podczas poprzednich spotkań. Garion z niepokojem odczuł, że prorokini nie przemawia jednym głosem, rezultatem czego był zadziwiający chór.

- Wiedziałaś zatem, że przyjdziemy? - zapytała Polgara.

- Oczywiście. Ukończenie potrójnego zadania jawiło się jeno kwestią czasu.

- Zadania?

- Była to jeno próba dla kogoś tak potężnego jako tyś jest, Polgaro, lecz był to

konieczny test.

- Nie bardzo sobie przypominam...

- Jakom ci rzekła, było ono tak proste, iż bez wątpienia uleciało z twej pamięci.

- Przypomnij nam - odezwał się burkliwie Beldin.

- Oczywiście, zacny Beldinie. - Uśmiechnęła się. - Odnalazłeś owo miejsce. Pokonałeś wszelakie przeciwności, uciszyłeś żywioły, aby dotrzeć do niego, a Polgara wymówiła właściwie słowa, jakowe zdobyły twe uznanie.

- Więcej zagadek - powiedział kwaśno.

- Zagadka bywa jednakoż sposobem najpewniejszym, by zapaść głęboko w otchłani umysłu.

Chrząknął.

- Zagadki musiały zostać rozwiązane, a zadania wykonane, bym mogła ujawnić wam to, co ujawnione być musi. - Wstała. - Opuśćmy owo miejsce i podążmy do Kell. Mój przewodnik i drogi przyjaciel poniesie wielką księgę, jakowa do rąk Przedwiecznego Belgaratha dostarczona być musi.

Niemy olbrzym podszedł do półki zawieszanej w odległym końcu mrocznego pokoju i zdjął z niej dużą księgę oprawioną w czarną skórę. Wsadził ją pod pachę, ujął dłoń swej pani i razem opuścili skromne pomieszczenie.

- Po co ta tajemniczość, Cyradis? - spytał Beldin dziewczyny z przepaską na oczach. - Czemu prorocy chowają się na tej górze zamiast mieszkać w Kell?

- Ależ właśnie przebywasz w Kell, zacny Beldinie.

- Czym zatem jest to miasto w dolinie?

- Jednakoż Kell. - Uśmiechnęła się. - Tak było od prawieków. W przeciwieństwie do innych miast, nasze społeczności wychodzą naprzeciw żywota w różnorodnych miejscach. To jest miejsce proroków. Na onej górze istnieje wiele innych miejsc: miejsce czarodziejów, miejsce nekromantów, miejsce wróżbitów, a wszystkie one są jeno częścią Kell.

- Można być pewnym, że Dal zawsze bardziej skomplikuje wszelkie wyjaśnienia.

- Miasta wznosi z różnorodnych powodów, Beldinie. Niektóre dla handlu, niektóre dla obrony. Nasze miasta buduje się dla nauki.

- Jak można się uczyć, jeśli od najbliższych mieszkańców dzieli cię cały dzień drogi.

- Wszak przestrzeń dla nas nie istnieje, Beldinie. Możemy ze sobą rozmawiać, kiedy tylko zechcemy. Czyż nie w takowy sposób porozumiewasz się z Przedwiecznym Belgarathem?

- To co innego - mruknął.

- Azaliż...

- Nasze rozmowy są raczej osobiste.

- Wśród naszego ludu nie istnieje potrzeba prywatności. Myśli jednej osoby są myślami nas wszystkich.

Tuż przed południem wyszli z jaskini wpadając prosto w ciepłe ramiona słonecznych promieni. Spełniający rolę przewodnika Cyradis, Toth poprowadził ich w kierunku szczeliny w górskim grzbiecie i dalej w dół stromą ścieżką, która przecinała wysoko położone turnie. Przez jakiś czas schodzili po stromych zboczach, aż w końcu dotarli do granicy zielonego lasu i zagłębili się w jego chłodzie, gdzie wśród wierzchołków drzew rozlegał się przejrzysty śpiew ptaków, a owady na podobieństwo ognistych iskierek igrały w ukośnych promieniach słonecznego światła.

Szlak wiódł stromo w dół i Garion wkrótce odkrył jedną z wad schodzenia przez długi okres czasu. Na palcu u lewej nogi utworzył mu się ogromny, bolesny pęcherz, a ciągły ból emanujący z jego prawej stopy wskazywał, że wkrótce będzie miał już parę pęcherzy. Zgrzytając zębami pokuśtykał jednak dalej.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy dotarli do lśniącego miasta ukrytego w dolinie. Idąc marmurową ulicą prowadzącą do domu, w którym zakwaterował ich Dallon, Garion z pewną satysfakcją zauważył, że Beldin również utyka.

Gdy weszli do środka, wszyscy podnieśli głowy znad zastawionego stołu. Garion patrzył akurat na twarz Zakatha, gdy ten zauważył obecność Cyradis. Oliwkowa twarz cesarza pobladła lekko, co jeszcze bardziej podkreślała krótka, czarna broda, jaką zapuścił, by ukryć swą tożsamość. Zerwał się na równe nogi i skłonił lekko.

- Święta Prorokini - rzekł z szacunkiem.

- Cesarzu Mallorei - odparła. - Jako ci obiecałam w spowitej chmurami Darshivie, poddam się tobie jako twój zakładnik.

- Nie ma potrzeby mówić o zakładnikach, Cyradis - odparł z lekkim rumieńcem na policzkach. - W Darshivie powodował mną pośpiech, zanim jasno zrozumiałem, co mam czynić. Teraz przyjmuję na siebie to zobowiązanie.

- Mimo to jestem twą zakładniczką, jako że takie jest przeznaczenie i muszę towarzyszyć ci do Miejsca, Którego Już Nie Ma, by stanąć w obliczu zadania, jakowe mnie oczekuje.

- Chyba jesteście bardzo głodni - odezwała się Velvet. - Usiądźcie przy nas i posilcie się.

- Pierwej muszę wypełnić jedno z zadań, Łowczyni - powiedziała Cyradis.

Wyciągnęła rękę, a Toth wręczył jej ciężką księgę, którą trzymał przy sobie. - Przedwieczny Belgaracie - odezwała się swym osobliwie chóralnym głosem - w takowy sposób powierzamy w twe ręce tę świętą księgę, jako polecily nam gwiazdy. Zapoznaj się z nią uważnie, jako że twe przeznaczenie jest odkryte na jej stronicach.

Belgarath wstał czym prędzej, podszedł do niej i drżącymi z przejęcia rękoma ujął ciężką księgę.

- Dzięki ci, Cyradis. Wiem, że drogocenna jest to księga i będę o nią dbał, jak długo będzie się ona znajdować w mych rękach, i zwrócę ją, gdy tylko znajdę w niej to, czego potrzebuję. - Po tych słowach podszedł do niewielkiego stolika przy oknie i otworzył ciężki wolumin.

- Przesuń się - powiedział Beldin podchodząc do stołu i przystawiając sobie drugie krzesło. Dwaj mężczyźni pochyłili głowy nad trzeszczącymi, niezrozumiałymi dla innych stronicami.

- Czy posiliz się teraz, Cyradis? - spytała Polgara dziewczyny z przepaską na oczach.

- Jesteś niezwykle uprzejma, Polgaro - odparła Prorokini z Kell. - Pościłam od czasu waszego przybycia przygotowując się do tego spotkania i głód osłabia teraz me ciało.

Polgara delikatnie poprowadziła ją do stołu i posadziła między Ce'Nedrą i Velvet.

- Czy moje dziecko czuje się dobrze, święta prorokini? - spytała z niepokojem Ce'Nedra.

- Czuje się dobrze, królowo Rivy. Chociaż pragnie powrócić w twe ramiona.

- Dziwię się, że w ogóle mnie pamięta. - W głosie Ce'Nedry pojawiła się nuta gorzkości. - Był jeszcze niemowlęciem, kiedy Zandramas go wykradła. - Westchnęła. - Tak wiele rzeczy mi umknęło, tak wiele spraw, których nigdy nie zobaczę. - Jej dolna warga zaczęła wyraźnie drżeć.

Garion podszedł do żony i objął ją opiekuńczo.

- Wszystko będzie dobrze, Ce'Nedro - zapewnił.

- Czy naprawdę tak będzie, Cyradis? - spytała bliska łez. - Czy naprawdę wszystko będzie jak dawniej?

- Zaprawdę tego nie mogę wyjawić, Ce'Nedro. Przed nami rozstaje dróg, i nawet gwiazdy nie wiedzą, na której z nich postawimy swe stopy.

- Jak udała się eskapada? - spytał Silk, jak Garion sądził, bardziej by odwrócić uwagę od niezręcznej sytuacji niżli tylko z czystej ciekawości.

- Kosztowała nas sporo nerwów - odparł Garion. - Nie latam zbyt dobrze, a natrafiliśmy na kiepską pogodę.

Silk spochmurniał.

- Przecież mieliśmy jasny dzionek.

- Nie tam, gdzie my byliśmy. - Garion spojrzał na Cyradis i zdecydował się nie wspominać o prądach powietrznych. - Czy mogę im powiedzieć o miejscu twego zamieszkania? - zwrócił się do drobnej dziewczyny.

- Oczywiście, Belgarionie. - Uśmiechnęła się. - Są twymi przyjaciółmi i nie powinieneś nic przed nimi skrywać.

- Pamiętasz górę Kahsha w Cthol Murgos? - spytał Garion swego przyjaciela.

- Staram się o niej zapomnieć.

- No więc prorocy mieszkają w mieście podobnym do tego, jakie Dagashowie zbudowali w Kahsha. Znajduje się ono wewnątrz ogromnej jaskini.

- A zatem cieszę się, że tam nie poszedłem.

Cyradis zwróciła ku niemu swą twarz, a na jej czole pojawiła się niewielka zmarszczka zmartwienia. - Czyżby wciąż nie udało ci się zapanować nad twym nierozsądnym strachem, Kheldarze?

- Nie bardzo, ale nie nazywałbym go nierozsądnym, wierz mi Cyradis, mam swoje powody, a raczej mnóstwo powodów. - Wzdrygnął się.

- Musisz zebrać całą swą odwagę, Kheldarze, jako że z pewnością nadejdzie czas, kiedy będziesz musiał wejść do jakowegoś miejsca, które napawać cię będzie trwogą.

- Jeżeli nie będę mógł przełamać strachu, to nie wejdę.

- Będziesz musiał, Kheldarze. Nie masz innego wyboru. Jego twarz była ponura, lecz nic nie odrzekł.

- Powiedz mi, Cyradis - odezwała się Velvet - czy to ty wstrzymałaś rozwój ciąży Zith?

- Fakt, że dostrzegłaś przerwę w tym najbardziej naturalnym z wydarzeń, Liselle, świadczy o twej nadzwyczajnej bystrości - powiedziała prorokini - lecz to nie ja. Czarodziej Vard na wyspie Verkat kazał jej czekać, aż wypełni swe zadanie w Ashabie.

- Vard jest czarodziejem? - spytała z pewnym zaskoczeniem Polgara. - Zwykle potrafię ich wykrywać, lecz w tym przypadku nic nie wyczułam.

- Niezmierna subtelność cechuje jego charakter - zgodziła się Cyradis. - Rzeczy tak się mają w Cthol Murgos, iż nasza sztuka używana być może jeno z wielką ostrożnością. Grolimowie na ziemi Murgów są nieprzerwanie czujni na wszelkie zakłócenia, jakie nieuniknienie powoduje działanie magii.

- Wprowadziłaś nas w zakłopotanie na wyspie Verkat - rzekł do niej Durnik. - Wtedy

nie znaleźliśmy powodu, dla którego to zrobiłaś. Obawiam się, że przez jakiś czas bardzo źle traktowałem Totha. Lecz nie na tyle źle, by mi nie przebaczył.

Potężny niemowa uśmiechnął się do niego i wykonał kilka gestów.

Durnik roześmiał się.

- Nie musisz tego więcej robić, Toth - zwrócił się do swego przyjaciela. - Wreszcie domyśliłem się, w jaki sposób się porozumiewaliśmy.

Toth opuścił ręce.

Zdawało się, że Durnik słucha przez moment.

- Tak - zgodził się. - W ten sposób jest dużo łatwiej i szybciej, ponieważ nie musimy wymachiwać do siebie rękami. Och, przy okazji, Eriond i ja znaleźliśmy staw, kawałek drogi za miastem. Są w nim wspaniałe pstrągi.

Toth wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Tak myślałem - Durnik odwzajemnił uśmiech.

- Obawiam się, że zepsuliśmy twego przewodnika, Cyradis - odezwała się Polgara.

- Nie, Polgaro. - Prorokini uśmiechnęła się. - Owa pasja nie opuszczała go od dzieciństwa. Często w naszych podróżach znajdował wymówkę, by spędzić jakiś czas nad jeziorem czy strumieniem. Aczkolwiek nie łąję go za ową słabostkę, jako że lubię ryby, a on przygotowuje je wyśmienicie.

Skończywszy posiłek usiedli i rozmawiali cicho, żeby nie przeszkadzać Belgarathowi i Beldinowi, którzy zagłębiali się w treści Ewangelii Malloreańskich.

- W jaki sposób Zandramas dowie się, dokąd wszyscy zmierzamy? - spytał Garion prorokini. - Jest Grolimką, więc nie może tu przyjść.

- Tego nie mogę ci wyjawić, Dziecko Światła. Przybędzie ona jednak o wyznaczonym czasie w wyznaczone miejsce.

- Z moim synem?

- Jako zostało przepowiedziane.

- Oczekuję z niecierpliwością tego spotkania - powiedział ponuro. - Jest wiele spraw, które musimy załatwić z Zandramas.

- Niechaj nienawiść nie przesłoni ci twego zadania - rzekła poważnym tonem.

- Jakie zadanie muszę wykonać, Cyradis?

- Dowiesz się, albowiem staniesz w obliczu jego.

- Nie wcześniej?

- Nie. Zadanie mogłoby zostać zaprzepaszczone, gdybyś rozważał jego wykonanie zbyt długo.

- A jakie jest moje zadanie, Święta Prorokini? - zapytał Zakath. - Powiedziałaś, że udzieliś mi wszelkich wyjaśnień tutaj w Kell.

- Muszę wyjawić ci owe wieści na osobności, cesarzu Mallorei. Wiedz jednak, że twe zadanie rozpocznie się, kiedy twoi przyjaciele wypełnią swoje zadania, i pochłonie ono równowagę twego życia.

- Skoro już rozmawiamy o zadaniach - wtrącił Sadi - może mogłabyś wyjaśnić mi moje.

- Już je rozpoczęłaś, Sadi.

- Czy wypełniam je nienagannie? Uśmiechnęła się.

- W miarę poprawnie.

- Mogłbym wykonywać je lepiej, gdybym wiedział, na czym polega.

- Nie, Sadi. Podobnie jak zadanie Belgariona, twoje również byłoby zaprzepaszczone, gdybyś wiedział, co masz czynić.

- Czy daleko znajduje się miejsce, do którego zmierzamy? - spytał Durnik.

- Wiele mil stąd, i wiele jest jeszcze do zrobienia.

- Zatem muszę porozmawiać z Dallanem o zapasach i sprawdzić kopyta końskie, zanim ruszymy. Może jest odpowiedni czas, by podkuć konie.

- To niemożliwe! - wybuchnął nagle Belgarath.

- Co się stało, ojczu? - spytała Polgara.

- To Korim! Spotkanie ma się odbyć w Korim!

- Gdzie leży ów Korim? - spytał zdziwiony Sadi.

- Nigdzie - mruknął Beldin. - Nie ma już tego miejsca. Było to pasmo górskie, które zostało pochłonięte przez morze, kiedy Torak doprowadził do pęknięcia świata. Księga Alornów wspomina je jako „Wysokie Miejsca Korim, Których Już Nie Ma”.

- Czy właśnie to miały na myśli przepowiednie mówiąc o Miejscu, Którego Już Nie Ma? - zapytał Silk.

Beldin podrapał się w zadumie za uchem.

- Jest coś jeszcze - zauważył. - Pamiętacie historię, którą Senji powiedział nam w Melcene? O uczonym, który skradł Sardion? Ostatnio widziano jego statek, kiedy okrążył południowy kraniec Gandaharu i nigdy nie powrócił. Senji sądził, że zatonął on podczas burzy u wybrzeży Dalazji. Zdaje się, że miał rację. Musimy udać się tam, gdzie jest Sardion, a mam niepokojące przeczucie, że spoczywa on na szczycie góry, która pogrążyła się w morzu ponad pięć tysięcy lat temu.

Rozdział VIII

Królowa Rivy była w melancholijnym nastroju, gdy wyruszyli z lśniącego, marmurowego miasta Kell. Kiedy jechali wąskim duktem przez las na zachód od Kell, ogarnęła ją szczególna ospałość; senność, która wzrastała z każdą mijaną milą. Nie brała udziału w ogólnych rozmowach zadowolając się jedynie słuchaniem.

- Nie rozumiem, jak możesz zachowywać taki spokój, Cyradis - mówił Belgarath do prorokini z przepaską na oczach. - Twoje zadanie nie zostanie wypełnione, zresztą podobnie jak nasze, jeśli Sardion leży na dnie morza. Po co też robimy tę dodatkową wycieczkę do Perivoru?

- Wskazówka, jakową dojrzały twe oczy w Świętej Księdze, zostanie ci wyjaśniona, Przedwieczny Belgaracie.

- Czyż nie możesz sama mi tego wytłumaczyć? Czas trochę nas nagli, sama rozumiesz.

- Tego nie mogę uczynić. Nie mogę udzielać ci żadnej pomocy, jakowej nie udzielam Zandramas. Rozwikłanie owej zagadki jest twoim i jej zadaniem. Pomoc jeno jednemu z was zakazana jest srodze.

- W pewnym sensie spodziewałem się, że możesz tak do tego podchodzić - powiedział posepnie.

- Gdzie leży Perivor? - Garion spytał Zakatha.

- To wyspa u południowego wybrzeża Dalazji - odparł Malloreanin. - Tamtejsi mieszkańcy są bardzo dziwni. Ich legendy głoszą, że są potomkami ludów z zachodu, których statek zabłądziwszy na morzu rozbił się u wybrzeży wyspy jakieś dwa tysiące lat temu. Wyspa nie przedstawia dużej wartości, a tamtejsi ludzie to przerażający wojownicy. W Mal Zeth panowała powszechna opinia, że to miejsce nie jest warte wysiłku, jaki trzeba by włożyć w jego opanowanie, i Urvon nawet nie zadał sobie trudu, by wysłać tam Grolimów.

- Skoro są tacy dzicy, czyż wyprawa w tamte strony nie niesie ze sobą zbyt dużego ryzyka?

- Nie. W rzeczywistości są cywilizowani i gościnni, o ile tylko nie próbuje się wylądować tam z wojskiem. Wtedy sprawy przybierają znacznie gorszy obrót.

- Czy naprawdę mamy dość czasu, żeby tam jechać? - Silk zwrócił się do Prorokini Kell.

- Aż nadto, książę Kheldarze - odparła. - Gwiazdy powiadały od wieków, że Miejsce,

Którego Już Nie Ma, oczekuje przybycia twego i twych przyjaciół oraz że ty i twoi przyjaciele przybędziecie tam w dniu wyznaczonym na spotkanie.

- I również Zandramas, jak przypuszczam? Uśmiechnęła się delikatnie.

- Jak mogłoby dojść do spotkania, skoro nie byłoby tam Dziecka Ciemności? - spytała.

- Myślę, że odczułem tu słaby przebłysk humoru, Cyradis - zażartował. - Czy żartobliwość leży w charakterze proroków?

- Jakże mało nas znasz, Kheldarze. - Ponownie się uśmiechnęła. - Często zwijaliśmy się ze śmiechu z powodu jakiegoś przesłania zapisanego w gwiazdach i z absurdów, do jakich uciekają się ludzie, by zlekceważyć lub uniknąć tego, co im pisane. Poddaj się poleceniom niebios, Kheldarze. Zaoszczędź sobie zamętu związanego z próbami ucieczki przed przeznaczeniem.

- Tak lekko szafujesz słowem przeznaczenie, Cyradis - powiedział z dezaprobatą.

- Czyż nie przybyłeś tu w odpowiedzi na przeznaczenie nałożone na ciebie na początku dni? Twa uwaga i przejęcie związane z handlem i szpiegostwem były jedynie odwróceniem uwagi, zajęciem, które zaprzętało cię aż do wyznaczonego dnia.

- To uprzejma forma powiedzenia komuś, że do tej pory zachowywał się jak dziecko.

- Wszyscyśmy dziećmi, Kheldarze.

Nadleciał Beldin kołując nad skąpanym w promieniach słońca lasem, zręcznymi ruchami skrzydeł unikając rozłożystych konarów i grubych pni drzew. Osiadłszy na ziemi zmienił kształt.

- Jakież kłopoty? - spytał Belgarath.

- Nie tyle, ile się spodziewałem. - Karzeł wzruszył ramionami. - I to mnie trochę martwi.

- Czyż nie brak tu konsekwencji?

- Konsekwencja jest obroną małuczkich umysłów. Zandramas nie mogłaby dotrzeć do Kell, prawda?

- Z tego co wiemy, to nie.

- A zatem musi podążać naszym tropem do miejsca spotkania, tak?

- Chyba że wpadła na inny sposób, by dowiedzieć się, gdzie ono jest.

- To właśnie mnie martwi. Gdyby nas śledziła, czyż nie wpuściłaby do lasu setek Grolimów, żeby odnaleźć nasz trop?

- Brzmi rozsądnie.

- No cóż, nie zauważyłem tam żadnej armii, a tylko kilka nielicznych patroli. -

Belgarath zmarszczył brwi. - Co ona knuje?

- Myślę dokładnie o tym samym. Zgaduję, że trzyma dla nas w zanadrzu niespodziankę.

- Miej zatem oczy szeroko otwarte. Nie chcę, żeby czaiła się gdzieś za moimi plecami.

- Gdyby tak postąpiła, ułatwiłaby nam sprawę.

- Wątpię. Jeszcze nic w tej całej sprawie nie okazało się łatwe, a nie spodziewam się, żeby coś się zmieniło.

- Udam się na zwiady. - Karzeł przeistoczył się w pięknego ptaka i odleciał.

Tego wieczoru rozbili obóz w pobliżu źródła tryskającego z pokrytej mchem skały. Belgarath zdawał się być w kiepskim nastroju, więc pozostali unikali go wykonując czynności, do których przywykli na tyle, że traktowali je niemalże jak zwyczajowe.

- Jesteś dziś bardzo cicha - rzekł Garion do Ce'Nedry, kiedy po posilnej wieczery usiedli przy ognisku. - Co się stało?

- Po prostu nie mam ochoty na rozmowę. - Szczególna ospałość, jaka ogarnęła królową, nie ustąpiła w ciągu dnia i w istocie złapała się na tym, że późnym popołudniem podczas jazdy kilkakrotnie zapadła w drzemkę.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył.

- Bo trochę jestem. Podróżujemy już dość długo i myślę, że mogę zaczynać odczuwać rezultaty tej wędrówki.

- Może udaj się na spoczynek. Po całej nocy tęgiego snu na pewno poczujesz się lepiej.

Ziewnęła i wyciągnęła do niego rękę.

- Zanieś mnie - powiedziała.

Popatrzył zdumiony. Ce'Nedra lubiła zaskakiwać męża, który zawsze wtedy otwierał szeroko oczy, a jego twarz przybierała chłopięcy wyraz.

- Nie czujesz się dobrze? - spytał.

- Wszystko ze mną w porządku, Garionie. Jestem po prostu senna i pragnę, by zaopiekowano się mną jak dzieckiem. Zanieś mnie do namiotu, połóż na pościeli i otul kocami.

- No cóż, skoro tego właśnie chcesz... - Wstał, podniósł ją delikatnie i przeniósł przez obozowisko w kierunku namiotu.

- Garionie - wymamrotała sennie, gdy delikatnie okrywał ją kocami.

- Tak, kochanie?

- Proszę, zdejmij tę kolczugę, zanim wejdiesz do łóżka. Sprawia, że pachniesz jak

stary, żelazny garnek.

Tej nocy Ce'Nedra śniła. Zdawało jej się, że widzi ludzi i miejsca, których nie widziała i ludzi o których nie myślała od wielu lat. Ujrzała legionistów strzegących pałacu jej ojca i Lorda Morina - pałacowego szambelana, śpieszącego marmurowym korytarzem. Potem zdawało się jej, że jest w Rivie i odbywa długą, niezrozumiałą rozmowę z Brandem Strażnikiem Rivy, podczas gdy jego jasnowłosa siostrzenica siedzi przy oknie przędąc len. Arell zdawała się nie przejmować rękojeścią sztyletu wystającą z jej pleców. Ce'Nedra poruszyła się niespokojnie na posłaniu, mamrocząc coś niezrozumiale, po czym ponownie zaczęła śnić.

Zdawało jej się, że jest Rheonką we wschodniej Drasni. Jakby nigdy nie wyciągnęła sztylet z za pasa Velli, nadrackiej tancerki, i jakby od niechcenia wepchnęła go po samą rękojeść w brzuch czarnobrodego Ulfgara, przywódcy kultu Niedźwiedzia. Ulfgar przemawiał szyderczo do Belgaratha, kiedy Ce'Nedra zatapiała w nim nóż i nawet nie zwrócił uwagi, gdy powoli przekręcała ostrze w jego wnętrznościach.

Ponownie znalazła się w Rivie, gdzie siedzieli wraz z Garionem nadzy przy spienionym leśnym stawie z tysiącami motyli unoszącymi się bezgłośnie nad ich głowami.

W swym niespokojnym śnie odbyła podróż do starożytnego miasta Val Alorn w Chereku, skąd udała się do Boktor na pogrzeb króla Rhodara. Ponownie ujrzała pole bitwy w Thull Mardu oraz twarz wybranego przez siebie opiekuna, syna Branda, Olbana.

W śnie nie było żadnej spójności. Bez najmniejszego wysiłku przenosiła się z miejsca na miejsce, poruszając się w czasie i przestrzeni, szukając czegoś, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, co zgubiła.

Kiedy zbudziła się nazajutrz, czuła się równie zmęczona jak zeszłego wieczoru. Każdy ruch wydawał się ogromnym wysiłkiem. Nie przestawała również ziewać.

- Co się dzieje? - spytał Garion, gdy zakładali podróżne ubiory. - Czy nie spałaś dobrze?

- Raczej nie - odparła. - Ciągłe męczyły mnie przedziwne sny.

- Chcesz o nich porozmawiać? Czasami jest to najlepsza metoda, by przestały przychodzić.

- Nie miały żadnego sensu, Garionie. Po prostu przelatowały niepokojąc mnie. Czułam się prawie tak, jakby ktoś przesuwiał mnie z miejsca na miejsce z własnego, zrozumiałego tylko przez nią powodu.

- Przez nią? Czy to była kobieta?

- Powiedziałam „przez nią”? Nie wiem dlaczego. Nigdy nie widziałam tej osoby. -

Ce'Nedra ponownie ziewnęła. - Mam nadzieję, że kimkolwiek była, przestanie nawiedzać mój umysł. Wolalabym nie spędzać w ten sposób kolejnej nocy. - Obdarzyła go chytrym spojrzeniem spod długich rzęs. - Pewne fragmenty snu były jednak całkiem miłe - odezwała się. - W pewnym momencie siedzieliśmy nad tym stawem w Rivie. Chcesz wiedzieć, co robiliśmy?

Powoli policzki Gariona oblał purpurowy rumieniec.

- Och, nie, Ce'Nedro, nie sądzę.

Mimo wszystko opowiedziała mu z najdrobniejszymi szczegółami, aż wreszcie wybiegł sploniony z namiotu.

Niespokojna noc pogłębiła szczególną ospałość, która zawładnęła nią od wyjazdu z Kell, i tego ranka jechała w pół drzemiac i nie mogąc otrząsnąć się z osobliwego letargu. Garion kilkakrotnie z nią rozmawiał ostrzegając, że pozwala zbaczać z drogi swemu koniowi. W końcu zauważył, że nie potrafi utrzymać oczu otwartych, wziął wodze z jej rąk i poprowadził wierzchowca małej królowej.

Późnym rankiem dołączył do nich Beldin.

- Myślę, że lepiej będzie, jak się ukryjecie - odezwał się lapidarnie do Belgaratha. - Nadjeżdża darshivański patrol.

- Czy szukają nas?

- Kto wie? Jeśli tak, to nie traktują zbyt poważnie swego zadania. Wjedźcie kilkaset kroków w las. Będę miał ich na oku i powiadomię was, gdy przejadą.

- Dobrze. - Belgarath skręcił ze szlaku i poprowadził całą grupę w gęstwinę.

Zsiedli z koni i czekali w napięciu. Wkrótce usłyszeli pobrzękiwanie zbroi żołnierzy przejeżdżających kłusem leśnym duktem.

Nawet w tej niebezpiecznej sytuacji Ce'Nedra nie mogła otworzyć oczu. Jak przez sen dolatywały do niej urywki szeptanej rozmowy przyjaciół. W końcu zapadła w prawdziwie głęboki sen.

Nagle przynajmniej częściowo odzyskała świadomość. Szła samotnie lasem z przyćmionym umysłem. Wiedziała, że powinien przerażać ją fakt odłączenia się od pozostałych, lecz dziwnie nie czuła strachu. Szła dalej podążając za jakimś trudnym do określenia, delikatnym wezwaniem.

W końcu dotarła do porośniętej trawą polany, na której ujrzała wysoką, jasnowłosą dziewczynę stojącą pośród polnych kwiatów i trzymającą w ramionach owinięte w koc zawiniątko. Warkocze płowowłosej dziewczyny zwinięte były w przemyślne spirale przy skroniach, a jej cera barwą przypominała świeże mleko. Była to siostrzenica Branda, Arell.

- Witaj, wasza wysokość - pozdrowiła królową Rivy. - Czekałam na ciebie.

Coś w głębi umysłu Ce'Nedry próbowało krzyczeć, że ta wysoka, rivańska dziewczyna nie mogła tam rzeczywiście stać. Ce'Nedra szybko jednak zapomniała o nękających ją wątpliwościach.

- Witaj, Arell - powiedziała do swej drogiej przyjaciółki. - Co ty tu robisz?

- Przybyłam, żeby ci pomóc, Ce'Nedro. Spójrz, co znalazłam. - Odkryła rąbek koca ukazując drobniutką twarz.

- Moje dziecko! - krzyknęła Ce'Nedra przepełniona radością. Pobiegła do przodu wyciągając łakomie ręce i wzięła śpiące dziecko od swej przyjaciółki, przytuliła je do siebie dotykając policzkiem jego miękkich loczków. - Jak go znalazłaś? - spytała. - Tak długo go szukaliśmy.

- Podróżowałam samotnie tym lasem - odparła Arell - i zdawało mi się, że czuję zapach dymu z ogniska. Chciałam sprawdzić i natknęłam się na namiot przy niewielkim strumieniu. Zajrzałam do środka i znalazłam księcia Gerana. W pobliżu nikogo nie było, więc wzięłam go na ręce i poszłam cię szukać.

Umysł Ce'Nedry wciąż próbował krzyczeć, lecz była zbyt szczęśliwa, żeby zwracać na uwagę na ten szczegół. Trzymała swe dziecko kołysząc je delikatnie i nucąc mu do snu.

- Gdzie król Belgarion? - spytała Arell.

- Gdzieś tam. - Ce'Nedra wykonała niejasny gest.

- Powinnaś pójść do niego i powiadomić go, że jego syn jest bezpieczny.

- Tak. Bardzo się ucieszy.

- Muszę załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę, Ce'Nedro - rzekła Arell. - Czy sądzisz, że odnajdziesz sama drogę?

- Och, jestem pewna, że tak, ale nie mogłabyś mi towarzyszyć? Jego wysokość niewątpliwie chciałby cię nagrodzić odzyskawszy syna.

Arell uśmiechnęła się.

- Szczęście na twojej twarzy jest dla mnie wystarczającą nagrodą, a sprawa, którą muszę się zająć, jest niezwykle ważna. Może dołączę do ciebie nieco później. W którą stronę zmierzacie?

- Chyba na południe - odparła Ce'Nedra. - Musimy dostać się na wybrzeże.

- Och?

- Tak. Podążamy na wyspę Perivor. Chyba tak się nazywa.

- Wkrótce ma się odbyć spotkanie, nieprawdaż? Czy właśnie na Perivor?

- Och, nie. - Ce'Nedra roześmiała się tuląc swe maleństwo. - Zmierzamy do Perivor,

by otrzymać pewne informacje o miejscu spotkania. Stamtąd udamy się bezpośrednio do celu naszej podróży.

- Chyba nie uda mi się dołączyć do was w Perivor - stwierdziła Arell lekko marszcząc brwi. - Może powiesz mi, gdzie ma się odbyć spotkanie. Jestem pewna, że będę mogła się tam z tobą spotkać.

- Zaraz, zaraz - zamyśliła się Ce'Nedra. - Jak je nazywali? Och, już sobie przypominam. Miejsce zwane Korim.

- Korim?! - zawołała zdumiona Arell.

- Tak. Belgarath zdawał się być niezwykle zdenerwowany, kiedy to odkrył, lecz Cyradis powiedziała mu, że wszystko będzie dobrze. Dlatego musimy jechać do Perivor. Cyradis twierdzi, że jest tam coś, co wyjaśni wszelkie wątpliwości. Zdaje mi się, że mówiła coś o jakiejś tabeli czy czymś takim. - Roześmiała się nieco trzpiotowato. - Szczerze mówiąc, Arell, od kilku dni byłam tak śpiąca, że prawie nie dochodziły do mnie słowa innych ludzi.

- Oczywiście - odezwała się nieobecnie Arell marszcząc twarz od natłoku myśli. - Dlaczego Perivor miałby być kluczem? - zapytała samą siebie. - Cóż mogłoby się tam znajdować? Czy jesteś w zupełności pewna, że to słowo to Korim? Może źle zrozumiałaś.

- Tak usłyszałam, Arell. Sama tego nie przeczytałam, lecz Belgarath i Beldin mówili ciągle o „Wysokich Miejscach Korimu, Których Już Nie Ma”, a czyż spotkanie nie ma się odbyć w Miejscu, Którego Już Nie Ma? A zatem, to wszystko całkiem do siebie pasuje, nieprawdaż?

- Tak - odparła Arell dziwnie pochmurniejąc. - Teraz kiedy o tym myślę, rzeczywiście pasuje do siebie. - Po tych słowach wyprostowała się wygładzając swe szaty. - Teraz muszę cię opuścić, Ce'Nedro - rzekła. - Zabierz dziecko do swego męża. Przekaż mu moje pozdrowienia. - Zdawało się, że jej oczy błysnęły w słońcu. - Przekaż również najlepsze życzenia Polgarze - dodała i w tych słowach zdawała się skrywać nuta złośliwości. Następnie odwróciła się i odeszła przemierzając ukwieconą łąkę w kierunku ciemnego skraju lasu.

- Żegnaj, Arell - zawołała za nią Ce'Nedra. - Jestem ci niezmiernie wdzięczna za odnalezienie mego dziecka.

Arell nie odwróciła się ani nie odpowiedziała.

Gariona ogarnął straszny niepokój. Kiedy odkrył, że nie ma wśród nich jego żony, wskoczył na siodło i popędził Chretienne galopem do lasu. Zanim Belgarath go dogonił, zdążył ujechać jakieś trzysta kroków.

- Garionie! Stój! - zawołał starzec.

- Ależ, dziadku! - odkrzyknął Garion. - Muszę znaleźć Ce'Nedre!

- Gdzie zaczniesz poszukiwania? A może zamierzasz jeździć dookoła licząc na łut szczęścia?

- Ale...

- Użyj umysłu, chłopcze! Znamy inny sposób, który jest o wiele szybszy. Pamiętaj jej zapach, prawda?

- Oczywiście, ale...

- A zatem musimy skorzystać z naszych nosów. Zejdź z konia i odeślij go z powrotem. Zmienimy postacie i podążymy jej śladem. To szybszy i pewniejszy sposób.

Garion poczuł się nagle bardzo głupio.

- Chyba straciłem głowę - wyznał.

- Niewątpliwie. Zsiadaj z konia.

Garion ześliznął się z wierzchowca i mocno klepnął Chretienne w zad. Olbrzymi, szary ogier ruszył pędem w kierunku kryjówek pozostałych.

- Co ona sobie myśli? - zawrzał Garion.

- Mam wątpliwości, czy to były jej myśli - mruknął Belgarath. - Od kilku dni dziwnie się zachowywała. Ruszajmy. Im szybciej ją znajdziemy, tym szybciej dołączymy do pozostałych. Twoja ciocia z pewnością dowie się, co to było. - Starzec już przeistaczał się w ogromnego, srebrnego wilka. - Prowadź - warknął do Gariona. - Jej woń jest ci bardziej znajoma.

Garion zmienił postać i biegał to tu, to tam, zanim jego nos złapał znajomy zapach Ce'Nedry.

- Poszła tędy - rzucił myśl Belgarathowi.

- Czy to świeży ślad? - spytał stary wilk.

- Raczej tak - odparł Garion biegnąc coraz szybciej.

- Dobrze. Zatem znajdziemy ją. - Obaj pędzili przez las z nosami nisko przy ziemi, tak jak polujące wilki.

Znaleźli ją, gdy wracała szczęśliwa lasem nucąc delikatnie do zawiniątka, które tuliła tkliwie w ramionach.

- Nie przestrasz jej - ostrzegł Belgarath. - Coś mi się tu bardzo nie podoba. Przyjmuj wszystko, cokolwiek ci powie. - Obydwaj migocząc powrócili do swych normalnych postaci.

Ce'Nedra na ich widok wydała z siebie okrzyk radości.

- Och, Garionie! - krzyknęła biegnąc ku nim. - Spójrz! Arell znalazła nasze dziecko!

- Arell? Przecież Arell...

- Niech mówi! - warknął stłumionym głosem Belgarath. - Nie wprowadzaj jej w

histerię!

- Cóż, to... to wspaniale, Ce'Nedro - odezwał się Garion próbując zachować naturalny ton głosu.

- Tyle minęło czasu - powiedziała Ce'Nedra, a oczy jej wypełniły się łzami - a on wygląda tak samo jak wtedy. Spójrz, Garionie. Czyż nie jest piękny?

Odśloniła koc i Garion dostrzegł, że przytulała czule zawiniątko łachmanów.

CZEŚĆ DRUGA

Perivor

Rozdział IX

Tego ranka Wieczna Salmisra uwolniła się od usług Adissa, Szefa Eunuchów. Otepiały zapomnieniem spowodowanym wielką dawką jednego ze swych ulubionych narkotyków Adiss wtoczył się do sali tronowej, aby zdać codzienny raport. Kiedy znalazł się jakieś kilkanaście stóp od podwyższenia, Salmisra wyczuła po odorze, że nie posłuchał jej rozkazu, i stanął przed jej obliczem nie zażywszy uprzednio kąpieli. Obserwowała zimnym wzrokiem, jak eunuch pada na twarz na marmurową posadzkę przed tronem i bełkotliwym głosem składa raport. Nie dane mu było jednak dokończyć. Na syczący rozkaz królowej spod tronu w kształcie otomanki wychynął mały, zielony wąż mrucząc cicho i Adiss otrzymał odpowiednią nagrodę za swoje nieposłuszeństwo.

Wieczna Salmisra spoczęła melancholijnie na tronie kontemplując swe odbicie w lustrze. Miała przed sobą kłopot wyboru nowego Szefa Eunuchów, a naprawdę nie była w odpowiednim ku temu nastroju. W końcu zdecydowała się odłożyć tę nieprzyjemną decyzję na później, by umożliwić eunuchom przedstawienie się z jak najlepszej strony. Takie starania zwykle kończyły się sporą liczbą trupów, a w pałacu naprawdę było zbyt wielu eunuchów.

Spod tronu rozległo się rozdrażnione chrząknięcie. Jej ulubiony zielony wąż wyraźnie był z czegoś niezadowolony.

- O co chodzi, Ezahhu? - spytała.

- Czy nie możesz kazać, by ich umyło, zanim poprosisz mnie, bym któregoś ukąsił, Salmisro? - odparł żałośnie Ezahh. - Przynajmniej mogłaś mnie uprzedzić, czego się mam spodziewać. - Chociaż Ezahh i Salmisra należeli do różnych gatunków, ich mowy były w pewnym stopniu zbliżone.

- Przykro mi, Ezahhu. Chyba postąpiłam nierozważnie. - Wężowa Królowa odznaczała się wyjątkową uprzejmością w stosunku do innych gadów, szczególnie jadowitych, co kontrastowało ostro z jej ogólnym podejściem do ludzi, które charakteryzowało się co najmniej wzgardliwym stosunkiem. Takie postępowanie uznawane jest w świecie węży za mądrość.

- To nie była do końca twoja wina, Salmisro. - Ezahh był również wężem i wykazywał również wielką uprzejmość. - Po prostu chciałbym znaleźć jakiś sposób, by pozbyć się tego fatalnego smaku.

- Mogę posłać po spodek mleka. Mogłoby ci pomóc.

- Dziękuję, Salmisro, lecz ten smak mógłby sprawić, że mleko by się zsiadło.

Chciałbym natomiast miłą, tłustą, najlepiej żywą mysz.

- Natychmiast się tym zajmę, Ezahhu. - Odwróciła swą trójkątną twarz na smukłej szyi. - Ty - syknęła do jednego z eunuchów, na klęczkach adorujących ją po jednej stronie chóru. - Złap mysz. Mój mały zielony przyjaciel jest głodny.

- Natychmiast, Boska Salmissro - odparł służalczo eunuch. Zerwawszy się na równe nogi wycofał się ku drzwiom, co krok padając na twarz.

- Dziękuję, Salmissro - zamruczał Ezahh. - Ludzie to takie trywialne istoty, nieprawdaż?

- Reagują jedynie na strach - zgodziła się - i żądze.

- To mi o czymś przypomina - zauważył Ezahh. - Czy miałaś czas, by rozważyć prośbę, którą przedstawiłem ci kilka dni temu?

- Wysłałam ludzi na poszukiwanie - zapewniła go - należysz do niezwykle rzadkiego gatunku, więc znalezienie ci samicy może trochę potrwać.

- Mogę czekać, jeśli to konieczne, Salmissro - zamruczał. - Jesteśmy bardzo cierpliwi.

- Umilkł. - Nie chciałbym cię obrazić, lecz gdybyś nie wypędziła Sadiego, nie miałabyś tego kłopotu. Jego mała żmijka i ja byliśmy w bardzo dobrych stosunkach.

- Miałam okazję to zauważyć. Teraz mógłbyś nawet być ojcem.

Zielony wąż wychylił główkę spod tronu i popatrzył na nią. Podobnie jak wszystkie węże tego gatunku, na zielonym grzbiecie miał jasnoczerwoną smugę.

- Cóż to takiego ojciec? - spytał wyraźnie znudzony.

- To trudne pojęcie - odparła. - Z jakiejś przyczyny dla ludzi posiada ogromne znaczenie.

- Czy jakiegokolwiek stworzenie dba o perwersyjne osobliwości ludzi?

- Na pewno nie ja, a przynajmniej już nie.

- Zawsze w głębi serca byłaś żmiją, Salmissro.

- Hm, dziękuję ci, Ezahhu - syknęła uradowana. Przerwała wijąc się niespokojnie. - Muszę wybrać nowego Naczelnego Eunucha - odezwała się. - To kłopotliwa sprawa.

- Po co się przejmować? Wybierz wszystko jedno którego. Ludzie są przecież tak podobni do siebie.

- Większość z nich tak. Próbowалаm zlokalizować Sadiego. Chciałabym przekonać go, by powrócił do Sthiss Tor.

- On jest inny - zgodził się Ezahh. - Można by nawet pomyśleć, że w pewnym sensie jest z nami spokrewniony.

- Rzeczywiście posiada pewne cechy gadów, prawda? Jest złodziejem i kundlem, ale

prował pałac lepiej niż ktokolwiek inny. Gdyby nie to, że popadł w niełaskę akurat, gdy zrzucalam skórę, mogłabym mu nawet przebaczyć.

- Zrzucanie skóry zawsze bywa dokuczliwe - zgodził się Ezahh. - Jeśli nie masz nic przeciwko, to dam ci dobrą radę, Salmisso. Powinnaś wtedy trzymać ludzi z dala od siebie.

- Zawsze potrzebuję kilkoro z nich. Poza wszystkim innym, zawsze mam kogo ukąsić.

- Zadowol się myszami - poradził. - Lepiej smakują i przynajmniej można je połknąć.

- Jeśli uda mi się przekonać Sadię do powrotu, rozwiąże to obydwie nasze problemy - syknęła sucho. - Każę mu zajmować się pałacem nie kłopotując mojej osoby, a ty dostaniesz na powrót swą małą towarzyszkę.

- Interesujące określenie, Salmisso. - Rozejrzył się dokoła. - Czy ta ludzka istota, którą wysłałaś po mysz, dopiero ją rodzi? - spytał.

Późnym wieczorem, podczas śnieżnej zadymki Yablek i Vella wślizgnęli się chyłkiem do Yar Nadrak tuż przed zamknięciem bram. Vella pozostawiła w Boktorze lawendowe, satynowe szaty przywdziewając swój tradycyjny obcisły, skórzany ubiór. By uchronić się przed zimnem, na ramiona zarzuciła długie sobolowe futro, które w Tol Honeth kosztowałoby całą fortunę.

- Dlaczego tu zawsze tak okropnie cuchnie? - spytała swego właściciela, gdy przemierzali zasypane śniegiem ulice kierując się ku brzegowi rzeki.

- Prawdopodobnie dlatego, że Drosta powierzył budowę kanalizacji ściekowej jednemu ze swoich kuzynów. - Yablek wzruszył ramionami podnosząc kołnierz podniszczonego płaszcza. - Mieszkańcy płacili ogromne podatki, by powstał ten system, lecz kuzyn Drosty okazał się lepszym malwersantem niż konstruktorem. Myślę, że to rodzinna cecha. Drosta okrada nawet własny skarbiec.

- Czyż to nie absurdalne?

- Mamy takiego absurdalnego króla, Vello.

- Sądziłam, że pałac jest w tamtym kierunku. - Wskazała w stronę centrum miasta.

- O tej porze nie zastalibyśmy Drosty w pałacu - wyjaśnił Yablek. - Po zachodzie słońca odczuwa wszechogarniającą samotność i zwykle wychodzi w poszukiwaniu towarzystwa.

- A zatem może być wszędzie.

- W to wątpię. W Yar Nadrak jest tylko kilka miejsc, gdzie byłby mile widziany w ciemności. Nasz król nie cieszy się powszechną sympatią. - Yablek wskazał na zaśmieconą aleję. - Pójdźmy tędy. Zatrzymamy się przy biurze naszego faktora, gdzie znajdziesz dla

siebie jakiś odpowiedni ubiór.

- Co jest złego w tym, który mam na sobie?

- W tej części miasta, którą zamierzamy odwiedzić, sobolowe futro przyciąga uwagę, Vello, a nie chcemy zbyt rzucić się w oczy.

Biuro rozległego imperium handlowego Silka i Yarbleka mieściło się na poddaszu ponad przepastnym magazynem wypełnionym belami futer i stertami malloreańskich dywanów. Stanowisko faktora zajmował zezowaty Nadrak imieniem Zelmit, i prawdopodobnie był tak niegodny zaufania, jak na to wyglądał. Vella nigdy go nie lubiła i odruchowo poluzowywała sztylety w pochwach, kiedy tylko znajdowała się w jego obecności, upewniając się, że obleśny typ widzi jej gest, wykluczający wszelkie niejasności. Z teoretycznego punktu widzenia Vella stanowiła jedną z własności Yarbleka, a Zelmit posiadał reputację człowieka, który na luzie podchodzi do wszystkich rzeczy należących do jego pracodawcy.

- Jak idzie handel? - spytał Yarblek, kiedy wraz z Vellą znaleźli się w zagraconym, małym biurze.

- Jakoś dajemy sobie radę - odparł Zelmit zgrzytliwym głosem.

- Szczegóły, Zelmicie - rzekł wprost Yarblek. - Ogólniki przyprawiają mnie o ból zębów.

- Znaleźliśmy drogę, by objeżdżać Boktor i omijać drasańską kontrolę celną.

- Użyteczne osiągnięcie.

- Teraz zajmuje to więcej czasu, lecz możemy dostarczać nasze futra do Tol Honeth nie uiszczając drasańskich opłat celnych. Nasze profity na rynku futrzanym wzrosły o sześćdziesiąt procent.

Yarblek rozpromienił się.

- Jeśli Silk kiedykolwiek tu powróci, nie sądzę, żebyś musiał go o tym informować - ostrzegł. - Czasami miewa napady patriotyzmu, a Porenn jest mimo wszystko jego ciotką.

- Prawdę mówiąc nie miałem zamiaru mu powiedzieć. Nadal musimy przewozić malloreańskie dywany przez Drasnię. Najlepszym dla nich rynkiem jest wciąż wielki targ w środkowej Arendii, a nie udaje nam się znaleźć chętnego, żeby zafrachtował nam je przez Ulgoland. - Zmarszczył brwi. - Ktoś nam podcina ceny i dopóki nie dowiemy się, o co chodzi, może uszczuplenie naszego importu nie będzie wcale najgorszym pomysłem.

- Czy udało ci się sprzedać te klejnoty, które sprowadziłem z Mallorei?

- Naturalnie. Przemyciliśmy je i sprzedaliśmy tu i ówdzie, jadąc na południe.

- Dobrze. Pojawienie się z koszem pełnym towaru w pewnym miejscu nie jest dobre

dla rynku. Czy Drosta przebywa dziś wieczorem w swoim ulubionym miejscu?

Zelmit skinął głową.

- Udał się tam tuż przed zachodem słońca.

- Velli będzie potrzebna nie rzucająca się w oczy peleryna - powiedział Yarblek.

Zelmit rzucił ukośne spojrzenie w kierunku dziewczyny. Vella odsłoniła poły futra kładąc dłonie na rękojeściach sztyletów.

- Może teraz spróbujesz, Zelmicie? - rzekła. - Miejmy to wreszcie za sobą.

- Szczerze mówiąc niczego nie planowałem, Vello - odezwał się niewinnie. - Mierzyłem cię tylko wzrokiem. To wszystko.

- Zauważyłam - odparła sucho. - Czy zacięcie na twych plecach już się zagoiło?

- Jeszcze pobolewa, kiedy jest wilgotna pogoda - poskarżył się.

- Trzeba było trzymać ręce przy sobie.

- Chyba mam starą pelerynę w sam raz dla ciebie. Jest jednak trochę podniszczona.

- Tym lepiej - odezwał się Yarblek. - Idziemy do Jednookiego Psa, więc chcielibyśmy skutecznie wmieszać się w tłum.

Vella zdjęła swoje sobolowe futro i przewiesiła je przez krzesło.

- Niech się nigdzie nie zapodzieje, Zelmicie - ostrzegła. - Bardzo je lubię, a jestem pewna, że obojgu nam nie podobałoby się to, co by się stało, gdyby przypadkowo wmieszało się ono w rzeczy wiezione do Tol Honeth.

- Nie musisz mu grozić, Vello - powiedział łagodnie Yarblek.

- To nie była groźba, Yarbleku - zripostowała. - Po prostu chciałam się upewnić, że się z Zelmitem rozumiemy.

- Pójdę po tę pelerynę - mruknął Zelmit.

- Zrób to - rzekła.

Peleryna nie była tyle podniszczona, co postrzępiona i śmierdziała, jakby nigdy jej nie prano. Vella z pewną niechęcią naciągnęła ją na ramiona.

- Nałóż kaptur na głowę - polecił jej Yarblek.

- Jeśli to zrobię, będę musiała umyć włosy.

- Więc?

- Czy wiesz, ile czasu potrzeba, żeby takie włosy jak moje wyschły zimą?

- Zrób to, Vello. Dlaczego zawsze się ze mną przekomarzasz?

- Dla zasady. Westchnął ponuro.

- Zaopiekuj się naszymi końmi - powiedział do Zelmita. - Resztę drogi przejdziemy pieszo. - Po tych słowach wyprowadził Vellę z biura. Kiedy znaleźli się na ulicy, z bocznej

kieszeni płaszcz wyjął długi, pobrzękujący łańcuch zakończony skórzaną obrozą. - Załóż to - powiedział.

- Od lat nie nosiłam łańcucha czy obroży - sprzeciwiła się.

- To dla twojego dobra, Vello - rzekł zmęczonym głosem. - Wkraczamy do bardzo burzliwej części miasta, a Jednooki Pies to najbardziej niebezpieczne miejsce. Jeśli będziesz na łańcuchu, nikt nie będzie cię zaczepiał, chyba że zechce ze mną walczyć. Jeśli będziesz luzem, niektórzy mężczyźni w karczmie mogą wyciągnąć błędne wnioski.

- Po to mam sztylety, Yableku.

- Proszę, Vello. Tak się dziwnie składa, że naprawdę cię lubię i zależy mi, żeby nikt cię nie skrzywdził.

- Uczucie, Yableku? - Roześmiała się. - Myślałam, że naprawdę lubisz tylko pieniądze.

- Nie jestem skończonym łotrem, Vello.

- No dobrze - powiedziała zapinając obrozę na szyi. - Szczerze mówiąc ja również cię lubię.

Jego oczy rozjaśniły się i uśmiechnął się szeroko.

- Nie aż tak bardzo - dodała.

„Jednooki Pies” był prawdopodobnie najbardziej parszywą karczmą, w jakiej kiedykolwiek w swoim życiu Vella postawiła swą stopę, a zwiedziła już wiele paskudnych spelunek i knajp. Od ukończenia dwunastu lat zawsze polegała na swych sztyletach odpierając niechciane umizgi. Chociaż rzadko uciekała się do zabijania, i miała na sumieniu zaledwie kilku zagorzałych wielbicieli, wypracowała sobie reputację dziewczyny, której żaden rozsądny mężczyzna nie spróbuje tknąć, co czasami wprawiało ją w rozgoryczenie, szczególnie gdy od czasu do czasu napotykała człowieka, którego umizgów wcale nie chciała odrzucać. Jakiś wyjątek czy dwa w jakimś zapomnianym miejscu z płomiennym absztyfikantem nie pozostawiłyby skazy na jej honorze, a potem... kto wie?

- Nie pij tu piwa - ostrzegł Yablek, gdy weszli do karczmy. - Kadź jest ciągle otwarta i zwykle pływa w niej kilka utopionych szczurów. - Obwiązał sobie łańcuch dookoła dłoni.

Vella rozejrzała się.

- Naprawdę odrażające miejsce, Yableku - oceniła.

- Zbyt wiele czasu spędziłaś z Porenn - odparł. - Zaczynasz być zbyt delikatna.

- Co byś powiedział, jakbym wypruła ci flaki? - zaproponowała.

- Moja krew. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Chodźmy na górę.

- Co tam jest?

- Dziewczynki. Drosta nie przychodzi tu na piwo o smaku szczurów.

- To obrzydlistwo.

- Nigdy nie spotkałaś Drosty, prawda? Obrzydliwość to tylko pierwsze słowo niezbędne do jego opisu. Nawet mnie przyprawia o mdłości.

- Czy zamierzasz po prostu wejść do niego? Nie chcesz najpierw trochę powęszyć?

- Zbyt długo przebywałaś w Drasni - odparł, kiedy zaczęli wchodzić po schodach. - Drosta i ja znamy się dobrze. Wie, że nie ma sensu kłamać przede mną. Od razu przejdę do sedna sprawy, a potem możemy wyjeżdżać z tego cuchnącego miasta.

Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, a dwaj nadraccy żołnierze stojący po obu stronach świadczyli o obecności króla Drosty lek Thuna.

- Ile do tej pory? - zapytał ich Yablek, gdy wraz z Vellą zatrzymali się przed drzwiami.

- Trzy, tak? - spytał żołnierz swego kompana.

- Straciłem rachubę. - Drugi żołnierz wzruszył ramionami. - Wszystkie wyglądają dla mnie tak samo. Trzy czy cztery. Nie pamiętam.

- Czy teraz jest zajęty? - zapytał Yablek.

- Odpoczywa.

- Chyba się starzeje. Nigdy nie odpoczywał po trzech. Czy zechcesz go powiadomić, że tu jestem? Mam dla niego propozycję. - Yablek potrząsnął wymownie łańcuchem Velli.

Jeden z żołnierzy zmierzył Vellę od stóp do głowy.

- Możliwe, że uda się jej go przebudzić. - Rzucił pożądlive spojrzenie.

- Mogę równie szybko go uspić - rzekła Vella odsłaniając zniszczoną pelerynę, by pokazać sztylety.

- Jesteś jedną z tych dzikich, leśnych kobiet, co? - spytał drugi żołnierz. - Prawdę mówiąc nie powinniśmy wpuszczać cię do niego z tymi sztyletami.

- Chciałbyś spróbować mi je odebrać?

- Ja nie, dziewczyno - odparł ostrożnie żołnierz.

- Dobrze. Ponowne ostrzenie sztyletu jest niezwykle nudne, a ostatnio robiłam to dość często.

Drugi żołnierz otworzył drzwi.

- To znowu ten jegomość Yablek, wasza miłość - powiedział. - Ma dziewczynę, którą chce ci sprzedać.

- Właśnie kupiłem trzy - odparł ostry głos przy wtórze nieprzyzwoitego chichotu.

- Nie takie, wasza miłość.

- Miło być docenianą - mruknęła Vella. Żołnierz uśmiechnął się do niej.

- Wejdz, Yarbleku! - rozkazał wysoki głosik króla Drosty.

- Już, wasza miłość. Chodź, Vello. - Yarblek szarpnął łańcuchem i wprowadził ją do pokoju.

Drosta lek Thun, król Gar og Nadrak leżał na wpół rozebrany na zmierzwionym łóżku. Był niewątpliwie najbrzydszym mężczyzną, jakiego Vella widziała. Nawet karłowaty garbus, Beldin, wydawał się przy nim przystojny. Kościsty człowiek miał wybałuszone oczy, twarz obsypaną dziobami po ospie i poszarpaną brodę.

- Ty idioto! - warknął do Yarbleka. - Yar Nadrak jest zalane przez malloreańskich agentów. Wiedzą, że jesteś partnerem księcia Kheldara i że praktycznie mieszkasz w pałacu Porenn.

- Nikt mnie nie widział, Drosta - powiedział Yarblek - a nawet gdyby, mam dobry powód, by tu przebywać. - Potrząsnął łańcuchem Velli.

- Czy naprawdę chcesz ją sprzedać? - spytał Drosta mierząc dziewczynę wzrokiem.

- Raczej nie, lecz możemy powiedzieć ciekawskim, że nie mogliśmy się zgodzić co do ceny.

- Po co więc tu przyjechałeś?

- Porenn ciekawią twoje poczynania. Javelin ma w twym pałacu kilku szpiegów, lecz jesteś dość przebiegły, by ukryć przed nimi swoje poczynania. Pomyślałem, że zaoszczędzę trochę czasu i udam się bezpośrednio do źródła.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że coś knuję?

- Zwykle to robisz. Drosta roześmiał się ostro.

- Chyba masz rację, ale czemu miałbym cię o tym informować?

- Bo jeśli tego nie zrobisz, rozbiję obóz w pałacu i Malloreanie pomyślą, że krzyżujesz im plany.

- To szantaż, Yarbleku - oskarżył go Drosta.

- Niektórzy ludzie tak to nazywają. Drosta westchnął.

- Dobrze, Yarbleku - powiedział - lecz jest to przeznaczone wyłącznie dla uszu Porenn i nie chcę, żebyście ty i Silk z tego skorzystali. Od pewnego czasu próbuję naprawić stosunki z Zakathem. Rozzłościłem go, gdy przeszedłem na drugą stronę w Thull Mardu. Ujarzmienie Cthol Murgos jest dla niego jedynie kwestią czasu i nie chcę, by wpadł mu do głowy pomysł wyruszenia na północ w poszukiwaniu mej osoby. Ciągle prowadzę negocjacje z Bradorem, szefem biura spraw wewnętrznych, i prawie doszliśmy do porozumienia. Muszę chronić swą skórę, jeśli pozwolę szpiegom Bradora przejść przez Gar og Nadrak i przeniknąć na zachód.

Zakath jest wystarczająco pragmatyczny, żeby powstrzymać się od przyjemności obdarcia mnie żywcem ze skóry, jeśli okaże się użyteczny. Yablek popatrzył na niego sceptycznie.

- Dobrze, Drosta, co jeszcze? To raczej nie wystarczy, by powstrzymać Zakatha od obrania cię niczym jabłko.

- Czasami jesteś zbyt bystry, Yableku.

- Daj spokój, Drosta. Nie chciałbym spędzać incognito kolejnego miesiąca w Yar Nadrak.

Drosta poddał się.

- Obciąłem cła importowe na malloreańskie dywany. Zakath potrzebuje dochodów z podatków, by kontynuować wojnę w Cthol Murgos. Malloerańscy kupcy mogą sprzedawać po niższej cenie niż ty i Silk na rynkach położonych na zachód. Cały plan zmierza do uczynienia mnie tak niezastąpionym wobec jego cesarskiej mości, że zostawi mnie w spokoju.

- Zastanawiałem się, dlaczego nasze profity ze sprzedaży dywanów zaczynają drastycznie maleć - odezwał się Yablek. - Czy to wszystko? - spytał.

- Przysięgam, że tak, Yableku.

- Twoje przysięgi okazują się mało wiarygodne, mój królu. Drosta patrzył na Vellę z nie ukrywanym uznaniem.

- Czy jesteś całkowicie przekonany, że nie chcesz sprzedać tej dziewczyny? - zapytał.

- Tak naprawdę nie byłoby cię na mnie stać, wasza miłość - rzekła Vella - i prędzej czy później twój apetyt stałby się nie do wytrzymania i musiałabym podjąć odpowiednie kroki.

- Chyba nie wyciągnęłabyś noża na swego własnego króla, co?

- Chcesz się przekonać?

- Och, jeszcze jedna sprawa, Drosta - dodał Yablek. - Od tego momentu Silk i ja będziemy płacić takie same cła importowe, jakimi obciążasz Malloreań.

Oczy Drosty zaokrągliły się jeszcze bardziej.

- To nie podlega żadnej dyskusji! - wrzasnął niemalże. - A co jakby się Brador o tym dowiedział?

- Po prostu zrobimy tak, by się nie dowiedział, prawda? Oto moja cena za trzymanie języka za zębami. Jeśli nie obniżysz tych opłat, będę zmuszony rozpowiedzieć wszem i wobec, że je obniżyłeś. Wówczas przestaniesz być dla Zakatha tak niezastąpiony, prawda?

- Toż to istny rabunek, Yableku.

- Interes jest interesem, Drosta - rzekł bez ogródek Yablek.

Król Chereku Anheg udał się w podróż do Tol Honeth, aby porozmawiać z cesarzem Varaną. Kiedy został przyjęty na cesarskie komnaty, od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Mamy pewien problem, Varano - powiedział.

- Czyżby?

- Znasz mego kuzyna, jarla Trelleimu?

- Baraka? Tak.

- Znikł jakiś czas temu. Wraz z przyjaciółmi wypłynął na swym ogromnym statku.

- Nie musi mieć niczyjego pozwolenia, jak przypuszczam. Kim są ci przyjaciele?

- Syn Cho-Haga Hettar, Mimbrat Mandorallen, Asturianin Lelldorin. Towarzyszą mu również jego syn Unrak i ulgoski fanatyk Relg.

Varana zmarszczył brwi.

- To niebezpieczna kompania - zauważył.

- Po stokroć się zgadzam. To tak, jakby naturalna katastrofa szukała sobie miejsca, by się wydarzyć.

- Przychodzi ci do głowy, co zamyślają?

- Gdybym wiedział, w jakim zdążają kierunku, mógłbym poczynić kilka domysłów.

Rozległo się uprzejme pukanie do drzwi.

- Jest tu jakiś Cherek, wasza cesarska mość - zaanonsował jeden ze strażników. - Jest żeglarzem, jak sądzę, i mówi, że musi rozmawiać z królem Anhegiem.

- Wprowadź go - polecił cesarz.

Do komnaty wszedł lekko pijany Greldik.

- Myślę, że rozwiązałem twój problem, Anhegu. Po tym jak zostawiłem cię na molo, powąłęsałem się trochę po dokach w poszukiwaniu informacji.

- Rozumiem, w karczmach.

- Żeglarzy nie ma co szukać w herbaciarniach. W każdym razie, napotkałem przypadkiem kapitana tolnedrańskiego statku handlowego. Zabrał ładunek malloreańskich towarów i zmierzał na południe przez Morze Wschodu w kierunku południowego krańca Cthol Murgos.

- Zaiste interesujące, ale nie bardzo wiem, do czego zmierzasz.

- Widział on pewien statek, a kiedy opisałem mu „Morskiego Ptaka”, zgodził się, że mówimy o tym samym.

- To już jakiś początek. Dokąd płynie Barak?

- A dokąd może płynąć? Oczywiście do Mallorei.

Po tygodniu rejsu „Morski Ptak” zawinął do portu w Dal Zerba na południowo-zachodnim wybrzeżu kontynentu malloreńskiego. Barak zadał kilka pytań, a następnie poprowadził swych przyjaciół do biura faktora Silka.

Faktor był bardzo szczupłym mężczyzną, nie tyle niedożywionym co zmizerowanym.

- Próbujemy ustalić miejsce pobytu księcia Kheldara - odezwał się do niego Barak. - To dość pilna sprawa i będziemy wdzięczni za każdą informację, jakiej nam udzielisz.

Faktor spochmurniał.

- Ostatnim razem słyszałem, że bawił w Melcene po drugiej stronie kontynentu, lecz to miało miejsce ponad miesiąc temu, a księżę Kheldar jest niezwykle ruchliwym człowiekiem.

- Cały Silk, to prawda - wymamrotał Hettar.

- Czy nie domyślasz się, dokąd mógł udać się z Melcene? - zapytał Barak.

- To biuro jest stosunkowo nowe - odparł faktor - i jestem jakby w ogonie na szlaku kurierów. - Skrzywił się. - Faktor w Dal Finda był trochę niezadowolony, gdy Kheldar i Yarblek założyli to biuro. Sądzę, że obawiał się współzawodnictwa z mojej strony. Czasami zapomina przekazywać mi informacji. Jego biuro prosperuje już od jakiegoś czasu, więc kurierzy zawsze się tam zatrzymują. Jeśli ktokolwiek w tej części Dalazji wie coś na temat miejsca pobytu Kheldara, to na pewno on.

- Dobrze. A zatem gdzie jest owa Dal Finda?

- Jakieś czterdzieści mil w górę rzeki.

- Dziękuję za pomoc, przyjacielu. Czy przypadkiem posiadasz mapę tej części Mallorei?

- Chyba uda mi się dla ciebie taką znaleźć.

- Bardzo byłbym ci wdzięczny. Nie znamy tej części świata.

- A więc płyniemy w górę rzeki? - odezwał się Hettar, kiedy faktor Silka wyszedł poszukać mapy.

- Skoro jedynie tam możemy się dowiedzieć, gdzie są Garion i reszta, będziemy musieli tak zrobić - odparł Barak.

Rzeka Finda toczyła powoli masy wody i wiosłarze radzili sobie całkiem dobrze pokonując leniwy prąd. Późnym popołudniem następnego dnia dotarli do miasta i natychmiast skierowali swe kroki do biur Silka.

Tamtejszy faktor okazał się niemalże odwrotnością człowieka w Dal Zerba. Opasły jegomość miał duże pulchne ręce i rumianą twarz. Nie okazał się też szczególnie

kooperatywny.

- Skąd mogę wiedzieć, że jesteście przyjaciółmi księcia? - zapytał podejrzliwie. - Nie mam zamiaru ujawniać miejsca jego pobytu nieznajomym.

- Czy próbujesz utrudniać sprawę? - spytał Barak. Faktor popatrzył na potężnego, rudobrodego mężczyznę i z trudem przełknął ślinę.

- Nie, lecz czasami ksiązę życzy sobie, żeby nie wyjawiać gdzie jest.

- Prawdopodobnie gdy próbuje coś ukraść - dodał Hettar.

- Ukraść? - zaprotestował faktor zaskoczonym głosem. - Ksiązę jest szanowanym kupcem.

- Jak również kłamcą, oszustem, złodziejem i szpiegiem - powiedział Hettar. - A teraz mów, gdzie on jest. Słyszeliśmy, że jakiś czas temu przebywał w Melcene. Dokąd stamtąd wyruszył?

- Czy potrafisz go opisać? - skontrolował faktor.

- Niski - odparł Hettar. - Raczej szczupły. Ma szczurzą twarz i długi, spiczasty nos. Jest bystry w mowie i uważa, że jest zabawny.

- To dobry opis księcia Kheldara - podsumował faktor.

- Doszły nas słuchy, że nasz przyjaciel stanął w obliczu niechybnego niebezpieczeństwa - rzekł Mandorallen. - Przepłynęliśmy wiele długich mil, aby zaoferować mu siłę naszych ramion i mądrość naszych umysłów.

- Prawdę mówiąc zastanawiałem się, dlaczego większość z was ma na sobie zbroję. Ostatnio słyszałem, że przebywa w miejscu zwanym Kell.

- Pokaż mi - powiedział Barak rozwijając mapę.

- To tutaj - odparł faktor.

- Czy na tej rzece da się żeglować?

- Aż na północ do Balsy.

- Dobrze. Możemy płynąć dokoła południowego krańca kontynentu i pożeglować w górę tej rzeki. Jak daleko od głównego koryta leży Kell?

- Około mili od wschodniego brzegu. Leży u podnóża bardzo dużej góry. Na waszym miejscu zachowałbym jednak ostrożność. Kell posiada szczególną reputację. Żyją tam prorocy i niezbyt ochoczo witają nieznajomych.

- Będziemy musieli zaryzykować - odezwał się Barak. - Dziękujemy za pomoc, przyjacielu. Przekażemy Kheldarowi pozdrowienia od ciebie, kiedy do niego dotrzemy.

Nazajutrz z samego rana wyruszyli w dół rzeki. Wiał lekki wiatr wypełniając żagle i wspomagając poruszających rytmicznie wiosłami wiosłarzy, co sprawiało, że statek mknął do

przodu zaledwie muskając dostojne nurty wijące się szmaragdowej wstęgi. Tuż przed południem do ich uszu doleciał odgłos grzmotów rozlegających się gdzieś przed nimi.

- Mniemam, iż niebawem wpłyniemy w sam środek burzy - odezwał się Mandorallen.

Barak zachmurzył się.

- Niebo jest idealnie czyste, Mandorallenie - nie zgodził się - a ten odgłos nie przypomina mi piorunów. - Podniósł głos. - Wiosła na pokład i zwinąć żagle - rozkazał żeglarzom skręcając ostro rumplem i „Morski Ptak” zwrócił dziób w kierunku brzegu.

Hettar, Relg i Lelldorin wychynęli spod pokładu.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - zapytał Hettar.

- Przed nami dzieje się coś dziwnego - odparł Barak. - Myślę, że lepiej będzie rozejrzeć się nieco, zanim niepotrzebnie w coś wdepniemy.

- Chcesz, żebym poszedł po konie?

- Nie. To niedaleko, a ludzie na koniach bardziej rzucają się w oczy.

- Jakbym słyszał Silka.

- Spędziliśmy ze sobą trochę czasu. Unraku! - zawołał na swego syna, który znajdował się na dziobie. - Zamierzamy dowiedzieć się, co to za hałas. Przejmiesz dowodzenie, dopóki nie powrócimy.

- Ależ, ojcze! - zaprotestował rudowłosy chłopak.

- To rozkaz, Unraku! - zagrmiał Barak.

- Tak, panie. - W głosie Unraka dało się słyszeć posępną nutę. „Morski Ptak” zakręcił z wolna z prądem i delikatnie uderzył w porośnięty krzakami brzeg rzeki. Barak i pozostali wyskoczyli na brzeg i ruszyli z zaciekawieni w głąb lądu.

Usłyszeli kolejne, dziwne detonacje, coraz mniej przypominające grzmoty.

- Cokolwiek to jest, dochodzi bezpośrednio z wnętrza - powiedział ściszym głosem Hettar.

- Skryjmy się, zanim nie dowiemy się, co się dzieje - rzekł Barak. - Słyszeliśmy już kiedyś podobny dźwięk, w Rak Cthol w trakcie walki Belgaratha i Ctuchika.

- Azaliż mniemasz, iż to czarodzieje? - zasugerował Mandorallen.

- Nie jestem przekonany, lecz zaczynam mieć co do tego pewne podejrzenia. Myślę, że powinniśmy pozostać w ukryciu, dopóki nie przekonamy się na własne oczy, kto lub co tam jest.

Podczołgali się na skraj gęsto rosnących drzew i wyjrżeli na otwarte pole.

Na torfowisku leżało wiele odzianych na czarno, dymiących postaci. Pozostali przyglęli strachliwie do ziemi na skraju pola.

- Murgowie? - Hettar zdawał się być zdziwiony.

- Mniemam, iż nie są nimi, szlachetny panie - odezwał się Mandorallen. - Jeśli spojrzysz dokładniej, ujrzysz, iż kaptury ich peleryn mają przeciwstawne barwy. Te barwy wskazują rangę wśród Grolimów. Wykazałeś niezwykłą mądrość, panie Trelleimu, doradzając ostrożność.

- Co sprawia, że tak dymią? - szepnął Lelldorin nerwowo dotykając swego łuku.

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie ubrana na czarno i zakapturzona postać stanęła na szczycie wzgórka i wykonała prawie wzdychający gest. Kula ognia mieniąca się wszystkimi barwami tęczy zdawała się wyskoczyć z dłoni tajemniczej istoty. Skwierząc przeleciała przez otwarte pole i uderzyła jednego z przerażonych Grolimów w klatkę piersiową wydając przy tym odgłos przypominający wybuch małego wulkanu. Grolim wrzasnął przeraźliwie i chwyciwszy się za piersi padł na ziemię.

- Chyba znaleźliśmy wytłumaczenie - zauważył Relg.

- Baraku - wyszeptał Hettar - na szczycie tego pagórka stoi kobieta.

- Jesteś pewien?

- Mam bardzo dobry wzrok, Baraku, i mogę odróżnić kobietę od mężczyzny.

- Ja też, lecz nie wówczas, gdy są opatuleni w te peleryny.

- Gdy ponownie uniesie ramiona, zwróć uwagę na jej łokcie. Kobięce łokcie wyglądają nieco inaczej niż nasze. Adara mówi, że jest to wynikiem noszenia dzieci.

- Czy obawiałeś się przybyć samotnie, Agachaku? - zapytała ze wzdychaniem kobieta stojąca na wierzchołku małego wzgórka. Następnie rzuciła kolejną ognistą kulę i kolejny Grolim padł na ziemię.

- Niczego się nie boję, Zandramas. - Wśród drzew na skraju pola rozległ się głęboki głos.

- Teraz już wiemy, kim są - stwierdził Hettar. - Lecz dlaczego ze sobą walczą?

- Zandramas jest kobietą? - spytał zdumiony Lelldorin. Hettar skinął głową.

- Królowa Porenn dowiedziała się o tym jakiś czas temu. Poinformowała o tym alornowskich królów, a Cho-Hag powiedział mnie.

Zandramas jakby nigdy nic posłała na ziemię trzech pozostałych Grolimów.

- No i co, Agachaku? - odezwała się. - Czy teraz wyjdiesz z ukrycia? Czy muszę pójść i poszukać cię?

Wysoki, trupio wyglądający Grolim wyłonił się spomiędzy drzew.

- Twoje ogniste kule nie robią na mnie wrażenia, Zandramas - rzekł idąc ku zakapturzonej kobiecie.

- Nie myślałam o ogniu, Agachaku - zamruczała. - Oto co stanie się twym przeznaczeniem. - Postać rozmyślała i zamigotała, a w jej miejscu pojawiła się olbrzymia, potworna bestia. Miała długą, węzową szyję i ogromne skrzydła nietoperza.

- Na Belara! - zaklął Barak. - Zmieniła się w smoka! Smok rozpostarł skrzydła i uniół się w powietrzu. Trupi Grolim skurczył się, po czym podniósł ręce. Rozległ się straszliwy huk i smok został nagle zamknięty w osłonę zielonego ognia. Głos, który wydobył się rykiem z pyska smoka, nadal był głosem Zandramas.

- Powinieneś być bardziej przykładać się do nauki, Agachaku, a wtedy wiedziałbyś, że Torak uodpornił smoki na magię. - Monstrualna bestia przeleciała nad przerażonym Grolimem. - A tak przy okazji, Agachaku - powiedziała - z radością dowiesz się, że Urvon nie żyje. Pozdrów go ode mnie, jak się z nim spotkasz.

Wtedy uderzyła zatapiając stalowe szpony w piersiach Agachaka. Zdołał jeszcze krzyknąć, zanim z pyska smoka buchnął płomień purpurowego ognia i pochłonął mu twarz. Smok odgryzł mu głowę.

Lelldorin wydał z siebie odgłos, jakby zebrało mu się na wymioty.

- Wielki Chamdarze! - wysapał głosem pełnym obrzydzenia. - Ona go je!

Uczcie smoka towarzyszył okropny odgłos chrupania. W końcu, z przenikliwym okrzykiem triumfu, potwór rozpostarł ogromne skrzydła i poszybował na wschód.

- Czy bezpiecznie będzie teraz wyjść? - spytał drżący głos.

- Lepiej, żebyś to zrobił - rzekł złowieszczo Barak wyciągając miecz.

Z gęstych zarośli wychynął młody, chudy jak tyczka, ciemnowłosy Thull. Jego obwisłe usta drżały lekko.

- Cóż Thull robi w Mallorei? - spytał nieznajomego Lelldorin.

- Przeprowadził mnie Agachak - odparł Thull trzęsąc się coraz bardziej.

- Jak cię zowią? - spytał Relg.

- Jestem Nathel, król Mishrak ac Thull. Agachak powiedział, że uczyni mnie władcą Angaraku, jeśli pomogę mu w wykonaniu jakiegoś zadania. Proszę, nie zostawiajcie mnie samego. - Po policzkach płynęły mu łzy.

Barak spojrział na swych towarzyszy. Na ich twarzach malowało się współczucie.

- No dobrze - rzekł. - Chodź z nami.

Rozdział X

- Co z nią jest, ciociu Pol? - Garion patrzył na siedzącą Ce'Nedrę, która nuciała do zawiniętego w koc kłębowiska szmatek.

- Tego właśnie muszę się dowiedzieć - stwierdziła Pol. - Sadi, potrzebuję trochę oretu.

- Czy aby na pewno, lady Polgaro? - spytał eunuch. - W stanie, w jakim się znajduje...

- Rozłożył wymownie ręce.

- Jeśli istnieje jakieś niebezpieczeństwo, ciociu Pol... - zaczął Garion.

- Oret jest stosunkowo nieszkodliwy - ucięła stanowczo. - Trochę pobudza krążenie, lecz Ce'Nedra ma silne serce. Z odległości pół kontynentu słyszę, jak bije. Musimy natychmiast dowiedzieć się, co się zdarzyło, a oret pomoże nam w tym najszybciej.

Sadi otworzył swoją czerwoną, skórzaną sakwę i wręczył Polgarze niewielki flakonik. Zręcznie odmierzyła trzy krople żółtego płynu, po czym napełniła kubek wodą.

- Ce'Nedro, kochanie - odezwała się do małej królowej - z pewnością jesteś spragniona. Wypij, a ukoisz pragnienie. - Podała kubek dziewczynie.

- Hm, dziękuję, lady Polgaro. - Ce'Nedra wypila łąpczywie. - Szczerze mówiąc, właśnie miałam poprosić o wodę.

- Świetnie, Pol - szepnął Beldin.

- Elementarne, wujku.

- Czy wiesz, o czym oni mówią? - zwrócił się Zakath do Gariona.

- Polgara zasiała w umyśle Ce'Nedry uczucie pragnienia.

- Naprawdę potraficie to robić?

- Jak powiedziała, to elementarna sprawa.

- Czy ty potrafiłbyś uczynić coś podobnego?

- Nie wiem. Nigdy nie próbowałem. - Uwaga Gariona była jednak skupiona na jego błogo uśmiechającej się drobniutkiej żonie.

Polgara czekała cierpliwie.

- Myślę, że możesz zaczynać, lady Polgaro - powiedział po chwili Sadi.

- Sadi - odezwała się nieobecnie - znamy się już na tyle długo, że możemy darować sobie te formalności. Nie mam zamiaru krztusić się w stosunku do ciebie „waszą ekscelencją”, więc udław się swoją „lady Polgarą”.

- Hm, dziękuję, Polgaro.

- A teraz, Ce'Nedro - rzekła Polgara.

- Tak, ciociu Pol? - odparła mała królowa z lekko rozbieganymi oczami.
- Nazwała ją tak po raz pierwszy - powiedział Silk do Beldina.
- Już dość długo mieszka z Garionem - odparł karzeł. - Po jakimś czasie pewne czynności czy słowa wchodzą w nawyk.
- Ciekaw jestem, co zrobiłaby Polgara, gdybym ja ją tak nazwał?
- Nie polecam takich eksperymentów - stwierdził Beldin. - Decyzja należy jednak do ciebie... hmm... byłaby z ciebie osobliwie wyglądająca rzodkiewka.
- Ce'Nedro - rzekła Polgara - może opowiesz mi dokładnie, w jaki sposób odzyskałaś swe dziecko?
- Arell go znalazła. - Ce'Nedra uśmiechnęła się. - Teraz mam jeszcze więcej powodów, żeby kochać Arell.
- Wszyscy kochamy Arell.
- Czyż on nie jest piękny? - Ce'Nedra odsłoniła rąbek koca odkrywając szmaty.
- Jest cudowny, kochanie. Czy miałyście okazję porozmawiać?
- O, tak, ciociu Pol. Ona jest zajęta czymś niezwykle ważnym. Dlatego nie mogła teraz do nas dołączyć. Powiedziała, że może spotka się z nami w Perivor albo później w Korim.
- A zatem wiedziała, dokąd jedziemy?
- Och, nie, ciociu Pol. - Ce'Nedra roześmiała się. - Musiałam jej powiedzieć. Ona naprawdę bardzo chce być z nami, lecz ma tę ważną sprawę do załatwienia. Spytała mnie, dokąd zmierzamy, i opowiedziałam jej o Perivor i o Korim. Zdawała się jednak być zdumiona tym Korimem.
- Oczy Polgary zwęziły się nagle.
- Rozumiem - odezwała się. - Durniku, rozstaw namiot, proszę. Myślę, że Ce'Nedra i jej dziecko potrzebują odpoczynku.
- Już się robi, Pol - zgodził się rzucając szybkie spojrzenie w jej stronę.
- Kiedy już o tym wspomniłaś, ciociu Pol - rzekła uradowana Ce'Nedra - rzeczywiście czuję zmęczenie i jestem przekonana, że Geranowi również przyda się drzemka. Niemowlęta potrzebują dużo snu. Nakarmię go piersią i zaśnie od razu. Zawsze zasypia, jak napije się matczyne mleka.
- Spokojnie - powiedział cicho Zakath do Gariona, widząc, jak oczy rivańskiego króla napęniają się łzami. Cesarz Mallorei stanowczym ruchem położył rękę na ramieniu przyjaciela.
- Co się stanie, gdy się przebudzi?

- Polgara już o to zadba.

Gdy Durnik rozstawił namiot, Polgara zaprowadziła odurzoną dziewczynę do środka. Po chwili Garion odczuł lekki przyływ woli i usłyszał nikły szept. Polgara wyszła z namiotu niosąc zawiniątko Ce'Nedry.

- Pozbądź się tego - powiedziała podając je Garionowi.

- Czy wszystko będzie z nią dobrze? - spytał.

- Teraz śpi. Wkrótce się przebudzi, a wtedy nie będzie pamiętała, że coś podobnego się w ogóle zdarzyło. Nikt z nas nie wspomni jej o tym ani słowem i będzie po wszystkim.

Garion zabrał zawiniątko do lasu i ukrył je pod rozłożystym krzakiem jeżyn. Powróciwszy do obozowiska podszedł do Cyradis.

- To była Zandramas, prawda? - zapytał.

- Tak - odparła Cyradis.

- A ty wiedziałaś, że to się zdarzy, prawda?

- W istocie.

- Czemu nas nie ostrzegłaś?

- Gdybym to uczyniła, wmieszałabym się w wydarzenie, które musiało nastąpić.

- To okrutne, Cyradis.

- Wszelako takim żywot nasz bywa. Powiadam ci, Belgarionie, Zandramas nie mogła dotrzeć do Kell tak jak wy. Musiała zatem dowiedzieć się o miejscu spotkania od jednego z twych przyjaciół. W przeciwnym razie nie znalazłaby się w Miejscu, Którego Już Nie Ma, w odpowiednim czasie.

- Ale dlaczego akurat Ce'Nedra?

- Zandramas, jeśli cię pamięć nie zwodzi, już onegdaj spętała swą wolą małą królową. Nie jest jej trudno odnawiać te więzi.

- Nie wybaczę ci tego, Cyradis.

- Garionie - powiedział Zakath - daj spokój. Ce'Nedrze nic się nie stało, a Cyradis uczyniła jedynie tak jak należało. - Malloreatin ze szczególną stanowczością bronił prorokini.

Garion odwrócił się na pięcie i odszedł nie kryjąc gniewu.

Po przebudzeniu Ce'Nedra nie pamiętała spotkania w lesie i zdawała się powrócić do normalnego stanu. Durnik złożył namiot i czym prędzej wyruszyli w dalszą drogę.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy dotarli do skraju lasu i rozbili obóz na noc. Garion rozmyślnie unikał Zakatha nie ufając sobie, że zachowa się spokojnie w stosunku do przyjaciela po tym, jak ten zdecydowanie bronił stanowiska prorokini. Zakath i Cyradis odbyli ze sobą długą rozmowę, zanim opuścili Kell, i teraz cesarz zdawał się całkowicie

opowiadać po jej stronie. W jego wzroku czasami czaiło się zmartwienie i często odwracał się w siodle patrząc w jej kierunku.

Tej nocy razem pełnili wartę i Garion nie mógł w żaden sposób uniknąć towarzystwa swego przyjaciela.

- Garionie, czy wciąż jesteś na mnie zły? - spytał Zakath. Garion westchnął.

- Nie, chyba nie - powiedział. - Nie sądzę, bym naprawdę pałał gniewem. Może byłem nieco poirytowany. Przede wszystkim jestem zły na Zandramas, nie na ciebie czy Cyradis. Nie lubię, gdy wyrządza się krzywdę mojej żonie.

- Wiesz, to naprawdę musiało się zdarzyć. Zandramas musiała się dowiedzieć, gdzie ma się odbyć spotkanie. Ona również musi tam być.

- Prawdopodobnie masz rację. Czy Cyradis opowiedziała ci o jakichś szczegółach dotyczących twego zadania?

- O kilku. Nie powinienem jednak o tym z nikim rozmawiać. Mogę ci tylko powiedzieć, że nadchodzi ktoś bardzo ważny, a ja mam mu pomóc.

- I to zajmie ci resztę życia?

- Jak również życia wielu innych ludzi.

- Mojego też?

- Nie sądzę. Myślę, że twoje zadanie zostanie wypełnione po spotkaniu. Cyradis zasugerowała, że już dość zrobiłeś.

Wyruszyli nazajutrz wczesnym rankiem i wyjechali na pofałdowaną równinę ciągnącą się wzdłuż zachodniego brzegu rzeki Balasa. To tu, to tam dostrzegali rolnicze osady, których zabudowania charakteryzowały się niezwykle solidną i przemyślaną konstrukcją. Dalazjańscy wieśniacy pracowali w polu używając najprostszyc narzędzi.

- To wszystko podstęp - rzekł kwaśno Zakath. - Ci ludzie stoją prawdopodobnie na wyższym stopniu cywilizacji niż Melcenowie i zadali sobie wiele trudu, żeby ten fakt zataić.

- Czy twoi ludzie lub kapłani Toraka pozostawiliby ich w spokoju, gdyby znali prawdę? - zapytała Cyradis.

- Prawdopodobnie nie - przyznał. - Szczególnie Melcenowie zapędziliby większość Dalów do pracy w biurach.

- To przeciwstawiałoby się naszym zadaniom.

- Teraz już rozumiem. Po powrocie do Mal Zeth dokonam zmian w polityce cesarstwa wobec Protektoratów Dalazjańskich. Wasi ludzie robią dla reszty Mallorei coś znacznie ważniejszego niż uprawianie buraków i rzodkwi.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nasza praca zostanie wykonana, gdy tylko spotkanie

dobiegnie końca, cesarzu Zakacie.

- Lecz będziesz kontynuować swe badania, prawda? Uśmiechnęła się.

- Niewątpliwie tak. Wiekowym przyzwyczajeniom trudno jest umrzeć.

Belgarath podjechał do nich i powstrzymał konia u boku Cyradis.

- Czy mogłabyś dokładniej wytłumaczyć, czego mamy szukać po dotarciu do Perivoru? - spytał.

- Tak jako ci rzekłam w Kell, Przedwieczny Belgaracie, w Perivor musicie odnaleźć mapę, która poprowadzi was do Miejsca, Którego Już Nie Ma.

- Jak to możliwe, że ludzie z Perivor wiedzą na ten temat więcej niż reszta świata?

Nie odpowiedziała.

- Domyślam się, że to kolejne pytanie, na które nie udzielisz mi odpowiedzi.

- Teraz nie mogę, Belgaracie.

Nad głowami ujrzeli kołującego Beldina. - Lepiej się przygotujcie - odezwał się. - Przed wami patrol darshivańskich żołnierzy.

- Ilu? - zapytał szybko Garion.

- Kilkunastu. Mają ze sobą Grolima. Nie chciałem się zbyt zbliżyć, lecz sądzę, że to Białooki. Czekają na czatach w gaju koło następnej wioski.

- Skąd wiedziałby, że tędy jedziemy? - spytała Velvet w roztargnieniu.

- Zandramas wie, że zdążamy do Perivoru - odparła Polgara. - A to najkrótsza droga.

- Kilkunastu Darshivan nie przedstawia większego zagrożenia - powiedział spokojnie Zakath. - Jaki mają więc cel?

- Opóźnić naszą podróż - odparł Belgarath. - Zandramas chce nas tu przetrzymać, by dotrzeć do Perivoru przed nami. Potrafi komunikować się z Naradasem na sporą odległość. Możemy się spodziewać, że będzie zastawiać na nas pułapki co kilka mil na drodze do Lenghy.

Zakath podrapał się po swej krótkiej brodzie marszcząc brwi w skupieniu. Następnie otworzył jeden z juków przy siodle, wyjął mapę i popatrzył na nią wnikliwie.

- Od Lenghy dzieli nas jakieś piętnaście mil - powiedział. Spojrzał na Beldina. - Jak szybko możesz pokonać ten dystans?

- Dość szybko. Dlaczego pytasz?

- Jest tam cesarski garnizon. Dam ci opatrzoną moją pieczęcią wiadomość dla dowódcy garnizonu. Wyruszy z silnym oddziałem i zaskoczy ich od tyłu. Jak tylko połączymy się z tym oddziałem, Naradas przestanie nas niepokoić. - Nagle coś mu się przypomniało. - Święta prorokini - rzekł do Cyradis - w Darshivie powiedziałaś mi, że bym

pozostawił swe oddziały, kiedy udam się do Kell. Czy ten zakaz nadal obowiązuje?

- Nie, Kal Zakacie.

- Dobrze. Napiszę zatem wiadomość.

- A co z patrolem, który właśnie czai się przed nami? - zwrócił się Silk do Gariona. - Będziemy tu czekać bezczynnie na przybycie oddziałów Zakatha?

- Nie sądzę. Co myślisz o małym ćwiczeniu fizycznym? W odpowiedzi Silk wyszczerzył złowieszczo zęby.

- Jest jednak pewien problem - odezwała się Velvet. - Skoro Beldin wyruszy do Lenghy, nie będziemy mieli nikogo, kto ostrzegałby nas przed innymi zasadzkami.

- Powiedz tej z żółtymi włosami, żeby się nie przejmowała - rzekła wilczyca do Gariona. - Potrafię poruszać się niepostrzeżenie, a gdyby nawet ktoś mnie spostrzegł, nie zwróci na mnie specjalnej uwagi.

- Wszystko w porządku, Liselle - powiedział Garion. - Wilczyca pobiegnie na zwiady.

- Pożytecznie mieć przy sobie taką osobę. - Velvet uśmiechnęła się.

- Osobę? - spytał Silk.

- A nie jest nią? Zmarszczył brwi.

- Wiesz, chyba masz rację. Ona ma przecież określoną osobowość, prawda?

Wilczyca zamachała wesoło ogonem i puściła się pędem przed siebie.

- A więc dobrze - odezwał się Garion poluzowując w pochwie miecz Rivy Żelaznopalcego - złożmy wizytę tym przyczajonym Darshivanom.

- Czy Naradas nie będzie robił żadnych problemów? - spytał Zakath wręczając pismo Beldinowi.

- Mam nadzieję, że spróbuje - odparł Garion.

Okazało się jednak, że Naradasa nie było wśród ukrytych w zaroślach żołnierzy. Walka była krótka, ponieważ większość przeciwników sprawiała wrażenie, iż lepsi są w bieganiu niż w walce.

- I oni mienią się wojownikami - ocenił ze wzgardą Zakath, wycierając ostrze miecza o pelerynę jednego z poległych.

- Radzisz sobie z tym coraz lepiej - pochwalił Garion.

- Zdaje się, że nauki, jakie nabyłem w młodości, nie poszły na marne - odparł skromnie Zakath.

- Wywija tym mieczem równie dobrze jak Hettar, nieprawdaż? - zauważył Silk wyciągając jeden ze swych sztyletów z piersi Darshivanina.

- Bardzo podobnie - zgodził się Garion - a Hettar pobierał nauki od samego Cho-Haga,

najlepszego miecznika w Algarii.

- O czym w nieprzyjemny sposób przekonał się Taur Urgas - dodał Silk.
- Dałbym wiele, żeby obejrzeć tę walkę - powiedział ze smutkiem Zakath.
- Ja również - przyznał Garion - lecz byłem wówczas zajęty gdzie indziej.
- Śledząc Toraka? - spytał Zakath.
- Nie sądzę, że „śledząc” jest odpowiednim określeniem. Wiedział, że nadjeżdżam.
- Pójdę po damy i Belgaratha - zaproponował Durnik.

- Właśnie rozmawiałem z Beldinem - zakomunikował Belgarath, kiedy zrównał się z nimi. - Naradas odleciał z tych zarośli, zanim tu dotarliście. Beldin zastanawiał się, czy go nie zabić, lecz trzymał w szponach ten pergamin, więc nie bardzo miał jak.

- Czyją przybrał postać? - spytał Silk. - Mam na myśli Naradasa.

- Kruka - odparł z niesmakiem Belgarath. - Grolimowie z jakiejś przyczyny lubują się w krukach.

Silk roześmiał się nagle.

- Pamiętacie, kiedy Murgo Ashrak zamienił się w kruka na równinach Arendii, a Polgara zawołała orła, żeby się nim zajął? Czarne pióra sypały się niczym czarne płatki śniegu.

- Kim jest Murgo Ashrak? - zapytał Zakath.

- Był jednym ze sługusów Ctuchika - odparł Belgarath.

- Czy orzeł go zabił?

- Nie - powiedział Silk. - Garion zrobił to później.

- Swym mieczem?

- Nie. Rękoma.

- To musiał być mocarny cios. Murgowie to potężni ludzie.

- Szczerze mówiąc, zaledwie go klepnałem - wyjaśnił Garion. - Podpaliłem go. - Od wielu lat nie myślał o Ashraku. - Ku swemu zdziwieniu zauważył, że nieprzyjemne wspomnienie przestało go przejmować.

Zakath patrzył na niego z przerażeniem.

- Zabił moich rodziców - powiedział Garion. - Wydawało mi się, że postępuję właściwie. Spalił ich żywcem, więc ja zrobiłem mu to samo. Ruszamy?

Niestrudzona wilczyca biegła przodem i przed zachodem słońca zlokalizowała jeszcze dwie grupy czające się w ukryciu. Ci, którzy przeżyli pierwsze starcie, rozesłali jednak wici i jak tylko Darshivanie dostrzegli pędzących na nich Gariona i jego przyjaciół, czmychnęli w popłochu niczym stado psów.

- Rozczarowali mnie - stwierdził Sadi, gdy rozpierzchła się druga grupa. Ostrożnie schował swój mały, zatruty sztylet do pochwy.

- Spodziewam się, że Naradas porozmawia sobie poważnie z nimi, jak tylko dowie się, że na próżno zadał sobie tyle trudu - dodał wesoło Silk. - Prawdopodobnie zrobi z wielu z nich ofiary, gdy tylko znajdzie jakiś ołtarz.

Następnego dnia w południe napotkali żołnierzy z cesarskiego garnizonu Zakatha zdążających z Lenghy.

Dowódca oddziału pojechał przodem i przyjrzał się Zakathowi z pewnym zdziwieniem.

- Wasza cesarska mość - wybąkał. - Czy mnie oczy nie mylą?

Zakath podrapał się po czarnej brodzie.

- Och, o to ci chodzi, pułkowniku? - Roześmiał się. - Zasugerował mi to ten starzec. - Wskazał na Belgaratha. - Nie chcieliśmy, by rozpoznawali mnie napotykanymi ludźmi, a mój wizerunek widnieje na każdej monecie w Mallorei. Czy mieliście jakieś problemy po drodze na północ?

- Nic wartego wspomnienia, wasza miłość. Spotkaliśmy kilkanaście darshivańskich oddziałów, zwykle kryjących się wśród drzew. Otaczaliśmy ich i poddawali się prawie natychmiast. Są bardzo dobrzy w poddawaniu się.

- Zauważyliśmy również, że świetnie biegają. - Zakath uśmiechnął się.

Pułkownik popatrzył z wahaniem na cesarza.

- Mam nadzieję, że wasza miłość nie obrazi się, jak powiem, że zmienił się od czasu, gdy ostatni raz widziałem waszą wysokość w Mal Zeth.

- Czyżby?

- Nigdy nie widziałem waszej cesarskiej mości w zbroi, to pierwsza przemiana.

- Ciężkie czasy, pułkowniku. Niespokojne czasy.

- I jeśli wasza miłość wybaczy, nigdy wcześniej nie widziałem, żeby wasza miłość się śmiał, albo nawet uśmiechał.

- Poprzednio miałem ku temu niewiele powodów, pułkowniku. Ruszamy do Lenghy?

Kiedy przybyli na miejsce, Cyradis w asyście Totha poprowadziła ich bezpośrednio do portu, gdzie czekał na nich statek o dziwnym kształcie.

- Dziękuję, pułkowniku - zwrócił się Zakath do dowódcy garnizonu. - Jestem bardzo wdzięczny za ten statek.

- Wybacz, wasza miłość - odparł pułkownik - lecz nie mam nic wspólnego z tym statkiem.

Zakath obdarzył Totha zdumionym spojrzeniem, a potężny olbrzym uśmiechnął się krótko do Durnika. Durnik lekko zmarszczył brwi.

- Nabierz animuszu, Zakacie - powiedział. - Ten statek został skonstruowany kilka tysięcy lat temu.

Twarz Belgaratha wykrzywił szeroki uśmiech.

- Zdawałoby się więc, że przybyliśmy akurat na czas. Tak nie cierpię spóźniać się na umówione spotkania.

- Doprawdy? - spytał Beldin. - Pamiętam, jak raz pojawiłeś się pięć lat później, niż miałeś się pojawić.

- Coś musiało mi wypaść.

- Często coś ci wypada. Czy to nie było wtedy, kiedy spędzałeś czas z dziewczętami w Maragorze?

Belgarath odkaszlnął i rzucił pełne skruchy spojrzenie w kierunku swej córki.

Polgara uniosła brwi, lecz nie odezwała się ani słowem.

Załoga statku składała się z tego samego rodzaju niemej załogi, jaka przewoziła ich z wybrzeża Gorut w Cthol Murgos na wyspę Verkat. Gariona trochę irytowało nawiedzające go poczucie powtarzania się historii. Gdy tylko znaleźli się na pokładzie, żeglarze odcumowali statek i postawili żagle.

- Dziwne - zauważył Silk. - Wiatr wieje od morza, a my płyniemy pod wiatr.

- Zauważyłem - zgodził się Durnik.

- Tak sądziłem. Okazuje się, że Dalowie mają swoje własne prawa przyrody.

- Czy ty, Belgarionie, i twój przyjaciel Zakath moglibyście towarzyszyć mi do kajuty? - spytała Cyradis, gdy wypłynęli z portu.

- Oczywiście, Święta Prorokini - odparł Garion. Ze dziwieniem spostrzegł, że Zakath delikatnie ujął dłoń prorokini, prawie bezwiednie naśladowując Totha. W tym momencie szczególna myśl przeszła przez głowę rivańskiego króla. Przyjrzał się bacznie swemu przyjacielowi. Twarz Zakatha emanowała dziwną łagodnością, a jego oczy nabrały osobliwego wyrazu. Myśl była absurdalna, lecz Garion wiedział, że była prawdziwa, tak jakby dokładnie mógł wejrzeć wprost w serce malloreańskiego władcy. Z trudem powstrzymał cisnący mu się na twarz uśmiech.

W kabinie na rufie ujrzeli dwie lśniące zbroje do złudzenia przypominające zbroje rycerzy pod Vo Mimbre.

- W Perivor będziecie musieli przywdziać owe stroje - powiedziała Cyradis.

- Jest ku temu jakiś powód, jak sądzę - odezwał się Garion.

- Zaiste tak. Kiedy nasze stopy dotkną łądu, opuścicie przyłbice i pod żadnym warunkiem nie podniesiecie ich podczas pobytu na wyspie, jeśli wam takowego zezwolenia nie wydam.

- Nie powiesz nam, jaka jest tego przyczyna, prawda? Uśmiechnęła się delikatnie kładąc mu rękę na ramieniu.

- Wiedzcie jeno, iż takowa istnieje potrzeba.

- Przypuszczałem, że może tak postąpić - odezwał się Garion do Zakatha i skierował się ku drzwiom kabiny. - Durniku - zawołał - będzie nam potrzebna pomoc.

- Nie musimy ich teraz zakładać, prawda? - spytał Zakath.

- Czy kiedykolwiek miałeś na sobie pełną zbroję?

- Nie.

- Przyzwyczajenie się zajmie nam trochę czasu. Nawet Mandorallen narzekał trochę, kiedy po raz pierwszy założył swoją.

- Mandorallen? Ten twój mimbracki przyjaciel? Garion skinął głową.

- Jest rycerzem Ce'Nedry.

- Sądziłem, że ty nim jesteś.

- Ja jestem jej mężem. Inne reguły dotyczą jednego i drugiego. - Popatrzył krytycznie na miecz Zakatha, dość lekką broń o cienkim ostrzu. - Będzie potrzebował większego miecza, Cyradis - odezwał się do prorokini.

- Skieruj swe kroki ku onej komodzie, Belgarionie.

- Myśli o wszystkim - rzekł kwaśno Garion otwierając komodę. Wewnątrz ujrzał ogromny, sięgający do ramion miecz o szerokim ostrzu. Uniósł go oburącz. - Twój miecz, wasza wysokość - powiedział podając rękojeścią Zakathowi.

- Dziękuję, wasza miłość. - Zakath wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kiedy ujął miecz w dłonie, jego oczy nagle rozwarły się szeroko. - Na zęby Toraka! - zaklął, nieomal upuszczając ogromną broń. - Czy ludzie rzeczywiście używają takiej broni przeciwko sobie?

- Często. To główna rozrywka w Arendii. Jeśli myślisz, że ten jest ciężki, powinieneś spróbować podnieść mój. - Garion przypomniał nagle o czymś. - Zbudź się - powiedział apodyktycznym tonem do Klejnotu.

Odgłos, jaki wydał z siebie kamień, przypominał pomruk obrażonego wulkanu.

- Nie przesadz - polecił Garion - ale miecz mojego przyjaciela jest trochę dla niego za ciężki. Uczyńmy go lżejszym, po trochu za każdym razem. - Patrzył, jak Zakath mocował się, by podnieść miecz. - Jeszcze trochę - poinstruował Klejnot.

Miecz z wolna zaczął odrywać się od drewnianej podłogi.

- Jak teraz? - spytał Garion.

- Może jeszcze trochę - jęknął Zakath.

- Zrób to - zwrócił się Garion do Klejnotu.

- Teraz lepiej... - Zakath westchnął - lecz czy bezpiecznie jest mówić w ten sposób do tego kamienia?

- Trzeba być stanowczym. Czasami reaguje jak pies czy koń... a nawet jak kobieta.

- Nie zapomnę ci tej uwagi, królu Belgarionie - powiedziała Cyradis uszczypliwym tonem.

Wyszczrzył się do niej w uśmiechu.

- Nie sądziłem, że mi zapomnisz, Święta Prorokini - odezwał się łagodnie.

- Punkt dla ciebie - stwierdził Zakath.

- Widzisz, jakie to pożyteczne wyrażenie? - Garion roześmiał się. - Jeszcze zrobię z ciebie Alorna.

Rozdział XI

Statek płynął uparcie, drwiąc najwyraźniej z przeciwnego wiatru. W odległości jakichś trzech mil od brzegu ujrzeli dumnego albatrosa, który szybował ponad nimi nie poruszając skrzydłami. Z jego gardzieli wydobył się okrzyk i Polgara skłoniła głowę w odpowiedzi. Następnie wieczny lotnik zajął pozycję tuż przed bukszprytem, jakby prowadził statek.

- Czyż to nie dziwne? - spytała Velvet. - Wygląda jak ten, którego widzieliśmy w drodze na wyspę Verkat.

- Nie, kochanie - odparła Polgara. - To dokładnie ten sam.

- Niemożliwe, lady Polgaro. Tamtego spotkaliśmy pół świata stąd.

- Odległości nie mają znaczenia dla ptaków z takimi skrzydłami.

- Co on tu robi?

- Ma swoje zadanie do wykonania.

- Och. Jakie?

- Nie zdecydował się mi tego wyjawić, a byłoby wielką nieuprzejmością z mojej strony zapytać go o to.

Zakath spacerował w tę i z powrotem po pokładzie próbując dojść do ładu ze swą zbroją.

- Wygląda się imponująco, lecz jest bardzo niewygodnie, prawda?

- Nie aż tak niewygodnie jak w chwili, gdy jej na sobie nie masz, a naprawdę potrzebujesz - odparł Garion.

- Po jakimś czasie można się przyzwyczać, prawda?

- Raczej nie.

Chociaż od wyspy Perivor dzieliła ich jeszcze spora odległość, osobliwy statek z niemą załogą pruł fale stosunkowo szybko i około południa następnego dnia wylądowali na zalesionym wybrzeżu.

- Jeśli mam być szczery - odezwał się Silk do Gariona, gdy wyprowadzali konie - jestem niezwykle szczęśliwy, że opuszczam ten pokład. Statek, który płynie pod wiatr, i żeglarze, którzy nie klną, jakoś wyprowadzają mnie z równowagi.

- Wiele rzeczy związanych z całą tą sprawą wyprowadza mnie z równowagi - odparł Garion.

- Jedyna różnica polega na tym, że ja jestem zwykłym człowiekiem, ty zaś bohaterem.

- Co z tego wynika?

- Bohaterom nie wolno się denerwować.

- Kto wymyśli taką zasadę?

- To fakt powszechnie uznany. Co stało się z tym albatrosem?

- Odleciał, jak tylko ujrzeliśmy ląd. - Garion opuścił przyłbicę.

- Nie dbam o to, co twierdzi o nich Polgara - odezwał się Silk wzdrygając się. - Znałem wielu żeglarzy, lecz nie słyszałem jeszcze, żeby któryś z nich wyrażał się pochlebnie o tych ptakach.

- Żeglarze są przesądni.

- Garionie, szczerze mówiąc, każdy przesąd ma jakąś podstawę. - Mały człowieczek łypnął na ciemne lasy porastające wysoki brzeg. - Niezbyt zachęcające wybrzeże, co? Zastanawiam się, dlaczego kapitan nie wysadził nas w jakimś porcie?

- Nie wiem, czy ktokolwiek w ogóle wie, dlaczego Dalowie postępują w taki, a nie inny sposób.

Gdy niespokojne wierzchowce zostały wyprowadzone na brzeg, Garion wraz z przyjaciółmi dosiedli ich i czym prędzej pokonując dość strome wzniesienie zagłębili się w cienistym lesie.

- Myślę, że lepiej będzie, jak wytnę dla ciebie i Zakatha porządne lance - zwrócił się Durnik do Gariona. - Cyradis nie bez powodu przecież zaopatrzyła was w zbroje, a zauważyłem, że zbrojny jeździec bez lancy wygląda jakby niekompletnie ubrany. - Zsiadł z konia, wziął swój topór i wszedł między drzewa. Chwilę później powrócił niosąc dwa tęgie drągi. - Nałożę na nie końcówki na wieczornym postoju - obiecał.

- Trochę mi będzie niezręcznie - stwierdził Zakath borykając się z lancą i tarczą.

- Tak się to robi - zademonstrował Garion. - Przymocuj tarczę do lewego ramienia i trzymaj wodze w lewej ręce. Następnie umieść koniec lancy w strzemieniu obok prawej stopy trzymając ją przy tym wolną ręką.

- Czy kiedykolwiek walczyłeś używając lancy?

- Kilkakrotnie. Jest całkiem skuteczna, gdy przeciwnik ma na sobie zbroję. Kiedy już wyrzucisz go z siodła, nieprędko udaje mu się pozbierać z powrotem na nogi.

Beldin, który jak zwykle wypatrywał czyhających niebezpieczeństw, nadleciał zataczając kręgi nad drzewami i bezszelestnie niczym upiór osiadł na ziemi.

- Nie uwierzysz - odezwał się do Belgaratha, kiedy przybrał swą postać.

- O co chodzi?

- Przed nami jest zamek.

- Co?

- Taki duży budynek, zwykle zaopatrzone w mury obronne, fosy i mosty zwodzone.

- Wiem co to zamek, Beldinie.

- Dlaczego więc pytasz? No nic, ten przed nami wygląda, jakby został żywcem przeniesiony z Arendii.

- Czy mogłabyś nam to wyjaśnić, Cyradis? - spytał Belgarath.

- Żadna to przecie tajemnica, Przedwieczny Belgaracie - odparła. - Bodaj ze dwa tysiące lat wstecz statek z grupą wędrowców z Zachodu rozbił się u wybrzeży onej wyspy. Nie widząc możliwości naprawienia uszkodzeń osiedlili się na onych ziemiach, biorąc za żony miejscowe niewiasty. Zachowali jednak zwyczaje, a nawet swą rodzimą mowę.

- Wszystkie te „szlachetny panie”, „szlachetni rycerze?” - spytał Silk.

Skinęła głową.

- I zamki? Ponownie skinęła głową.

- I wszyscy mężczyźni noszą zbroje? Takie same jak Garion i Zakath?

- Jako rzekłeś, książę Kheldarze. Jęknął.

- W czym problem, Kheldarze? - spytał go Zakath.

- Przebyliśmy tysiące mil jedynie po to, żeby znów spotkać Mimbratów.

- Raporty, jakie otrzymałem z pola bitwy pod Thull Mardu, zgodnie twierdziły, że odznaczają się niezwykłą odwagą. To mogłoby wyjaśniać reputację tej wyspy.

- W istocie, Zakacie - odparł mały człowieczek. - Mimbraci są najmężniejszymi ludźmi na świecie, prawdopodobnie dlatego, że są zbyt nierozsądni, by się czegokolwiek obawiać. Przyjaciel Gariona, Mandorallen, jest całkowicie przekonany, że jest niewyciężony.

- Bo jest - odezwała się Ce'Nedra, instynktownie stając w obronie rycerza. - Kiedyś widziałam, jak gołymi rękami zabił lwa.

- Słyszałem o jego reputacji - powiedział Zakath. - Sądziłem, że to przesada.

- Jeżeli, to bardzo niewielka - wyjaśnił Garion. - Kiedyś słyszałem, jak proponował Barakowi i Hettarowi, żeby w trójkę zaatakowali cały tolnedrański legion.

- Może żartował.

- Mimbraccy rycerze nie znają się na żartach - rzekł Silk.

- Nie mam zamiaru tu siedzieć i wysłuchiwać, jak obrażacie mojego rycerza - powiedziała z zapalem Ce'Nedra.

- Nie obrażamy go, Ce'Nedro - stwierdził Silk. - Opisujemy go jedynie. Jest tak dostojny, że przyprawia mnie o zawrót głowy.

- Sądę, że dostojęństwo jest nieznanym terminem dla Drasanina - zauważyła.

- Nie nieznanym, Ce'Nedro. Niepojętym.

- Może przez dwa tysiąclecia zmienili się choć trochę - stwierdził Durnik z nadzieją w głosie.

- Nie liczyłbym na to - chrząknął Beldin. - Z własnego doświadczenia wiem, iż ludzie żyjący w izolacji przejawiają skłonności do kamienienia.

- Muszę was wszelako ostrzec przed czymś - odezwała się Cyradis. - Mieszkańcy onej wyspy stanowią osobliwą mieszanicę. Pod wieloma względami są tacy, jako ich opisałeś, lecz posiadli dziedzictwo Dalów i są dobrze obeznani z naszymi umiejętnościami.

- Och, świetnie - odezwał się sardonicznie Silk - Mimbraci, którzy używają magii. Zakładając oczywiście, że potrafią się domyślić, w którą stronę ją skierować.

- Cyradis - rzekł Garion - czy to dlatego wraz z Zakathem nosimy te zbroje?

Skinęła głowę.

- Dlaczego nam tego nie powiedziałaś?

- Sami musieliście się dowiedzieć.

- No dobrze, a zatem chodźmy się rozejrzeć - powiedział Belgarath. - Już wcześniej mieliśmy do czynienia z Mimbratami i zwykle udawało nam się uniknąć kłopotów.

Jechali przez las skąpany w złotawych promieniach popołudniowego słońca, a kiedy dotarli do skraju drzew, ujrzeni budowlę o której wspominał Beldin. Wznosiła się na wysokim wzgórku otoczona obronnym murem zwieńczonym solidnymi blankami.

- Groźnie wygląda - mruknął Zakath.

- Nie ma sensu czaić się wśród drzew - rzekł Belgarath. - I tak nie możemy przedostać się niepostrzeżenie przez otwartą przestrzeń. Garionie, wraz z Zakathem ruszycie przodem. Zbrojni są zwykle witani z kurtuazją.

- Mamy najzwyczajniej w świecie podjechać do bram tego zamku? - spytał Silk.

- W rzeczy samej - odpowiedział Belgarath. - Jeśli nadal rozumują tak jak Mimbraci, będą się czuć niemal zobligowani, by zaoferować wam gościnę na noc, a potrzebujemy sporo informacji.

Wyjechali na odsłoniętą łąkę i podążali stępą w kierunku ponurego zamczyska.

- Lepiej, jak pozwolisz mi prowadzić dysputę, gdy już się tam znajdziemy. - Garion zwrócił się do Zakatha. - W pewnym sensie znam ten dialekt.

- Przedni pomysł - zgodził się Zakath. - Prawdopodobnie zakrztusiłbym się tymi wszystkimi „szlachetnymi panami i rycerzami”.

Z wnętrza zamku doszedł ich uszu odgłos rogu obwieszczający, że zostali zauważeni.

Chwilę później kilkunastu rycerzy w połyskujących zbrojach przejechało po zwodzonym moście prowadząc konie miarowym kłusem. Garion wysunął się na Chretienne nieco do przodu.

- Wstrzymaj rumaka, szlachetny rycerzu - zakrzyknął przywódca niewielkiego oddziału. - Jam jest rycerz Astellig, baron i władca tegoż zamczyska. Czy mogę zapytać szlachetnych rycerzy o wasze imiona oraz imiona waszych kompanów, a także o cel waszego przybycia do bram mej warowni?

- Mego imienia rzecz nie mogę, szlachetny rycerzu - odparł Garion. - Istnieją pewne przyczyny, jakowe ujawnię ci, panie, w odpowiednim czasie. Wraz z moim zbrojnym towarzyszem oraz resztą przyjaciół poszukujemy czegoś niezmiernie dla nas ważnego i przybyliśmy tutaj, aby schronić się przed nocą w tej gościnnej warowni. Przed nocą, jakowa otuli nas swymi czarnymi skrzydłami, jak myślę, już niebawem. - Garion wydawał się raczej dumny ze swej poetyckiej przemowy.

- Szlachetny panie, wystarczy jeno twe jedno słowo - powiedział baron - jako że honor i kurtuazja wszelakich prawych rycerzy nakazuje udzielić pomocy i schronienia każdemu szlachetnemu rycerzowi kroczącemu ścieżką poszukiwań.

- Nie potrafię wdzięczności swej wyrazić słowami, rycerzu Astelligu. Jak sam możesz zauważyć, towarzyszą nam zacne damy, które są niezmiernie umęczone trudami naszej wędrówki.

- Udajmy się zatem prosto do mej warowni, szlachetni rycerze. Służenie wytwornym damom jest największą z powinności dobrze urodzonych. - Zawrócił z gracją swego wierzchowca i poprowadził ich pod górę w stronę wrót potężnego zamczyska. Pozostali jeźdźcy trzymali się tuż za nim.

- Podoba mi się - skomentował z podziwem Zakath.

- Spędziłem trochę czasu w Vo Mimbre - rzekł Garion. - Po jakimś czasie można nauczyć się ich mowy. Jedyńm większym problemem jest zbytńa kwiecistość języka, w wyniku czego zdania zatracają swój sens, zanim dojdzie się do sedna sprawy.

Baron Astellig poprowadził ich przez zwadzony most i gdy znaleźli się na kamiennym dziedzińcu pod olbrzymim proporcem, zsiadli z koni.

- Słudzzy zaprowadzą ciebie i twych towarzyszy do odpowiednich komnat, szlachetny rycerzu - zakomunikował - gdzie wszyscy możecie się odświeżyć, dając ulgę utrudzonym ciałom. Następnie, jeśli mogę prosić, przybądźcie do wielkiej sali i ujawnijcie mi, w jaki sposób mogę służyć pomocą w onych zacnych poszukiwaniach.

- Twa kurtuazja jest nadzwyczajna, szlachetny panie - powiedział Garion. - Bądź

pewny, iż ten oto mój zbrojny towarzysz i ja dołączymy do ciebie, jako tylko zadbamy o wygodę dla dam naszych.

Podążyli za jednym ze sług barona, który zaprowadził ich do wygodnych komnat położonych na drugim piętrze głównej warowni.

- Jestem wielce zdumiona, Garionie - odezwała się Polgara. - Nie sądziłam, że masz jakiegokolwiek pojęcie o cywilizowanym języku.

- Wielkie dzięki - odparł.

- Może ty i Zakath powinniście sami porozmawiać z baronem - Belgarath zwrócił się do Gariona. - Bardzo zręcznie wytłumaczyliście swoją potrzebę anonimowości, lecz jeśli reszta z nas będzie wam towarzyszyć, baron może poprosić, byśmy się przedstawili. Postarajcie się go ostrożnie wy badać. Zapytajcie o miejscowe zwyczaje i tym podobne rzeczy. Spytajcie także, czy w pobliżu nie toczą się jakieś wojny. - Spojrzał na Zakatha. - Jak nazywa się stolica wyspy?

- Dal Perivor, o ile pamiętam.

- A zatem w tamtym kierunku wiedzie nasz szlak. Gdzie to jest?

- Z drugiej strony wyspy.

- Można się było spodziewać - westchnął Silk.

- Powinniście już iść - powiedział Belgarath do odzianych w zbroje mężczyzn. - Nie kaźcie naszemu gospodarzowi na siebie czekać.

- Kiedy to wszystko już się skończy, czy nie rozważyłbyś propozycji wynajęcia go dla mnie? - spytał Zakath Gariona, gdy obaj ruszyli wysokim korytarzem. - Mógłbyś zyskać niezłe profity, a ja miałbym najskuteczniejszy rząd na całym świecie.

- Czy naprawdę chcesz, żeby człowiek, który będzie żył wiecznie, stał na czele twego rządu? - spytał zaskoczony Garion. - Nie wspominając już o tym, iż jest on prawdopodobnie bardziej zepsuty niż Silk i Sadi razem wzięci. To bardzo zły starzec, Zakacie. Jest mądrzejszy niż całe pokolenia i ma mnóstwo obrzydliwych przyzwyczajzeń.

- Jest twoim dziadkiem, Garionie - zaprotestował Zakath. - Jak możesz o nim mówić w ten sposób.

- Prawda jest prawdą, wasza wysokość.

- Wy Alornowie jesteście niezwykle dziwnymi ludźmi, przyjacielu.

- Nigdy nie próbowaliśmy tego ukrywać, przyjacielu.

Za ich plecami rozległ się odgłos stukania pazurów po kamiennej posadzce i szara wilczyca wcisnęła się pomiędzy nich. - Zastanawiam się, dokąd zmierzacie - zwróciła się do Gariona

- Ja i mój przyjaciel idziemy porozmawiać z panem tego domu, mała siostró - odparł.
- Będę wam towarzyszyć - zakomunikowała. - Jeśli zajdzie potrzeba, mogę pomóc. W niebezpieczeństwie.

- Co powiedziała? - spytał Zakath.

- Idzie z nami, by powstrzymać nas od popełnienia jakichś poważnych błędów - odparł Garion.

- Wilk?

- Ona nie jest zwykłym wilkiem, Zakacie. Zaczynam mieć w stosunku do niej pewne podejrzenia.

- Cieszy mnie, że nawet szczenię może okazać pewne pozory percepcji. - Wilczyca powęszyła.

- Dziękuję - powiedział. - Jestem szczęśliwy, że zyskałem aprobatę kogoś tak bardzo kochanego.

Machnęła ogonem.

- Proszę jednak, abyś zachował swe odkrycie dla siebie.

- Oczywiście - obiecał.

- O co w tym wszystkim chodziło? - spytał Zakath.

- Takie tam wilcze sprawy - powiedział Garion. - Nie da się do końca przetłumaczyć.

Baron Astellig zdjął swą ciężką zbroję i siedział teraz na masywnym krześle tuż przed wesoło trzaskającymi płomieniami sporego paleniska.

- Właśnie tak to jest, szlachetni rycerze - powiedział. - Kamień dostarcza ochrony przed wrogami, jednakże zawsze zionie chłodem, a chłód zimy powoli ustępuje z jego twardej powierzchni. Dlatego też musimy podtrzymywać płomienie, nawet kiedy lato kąpie naszą wyspę w delikatnym cieple.

- Jest, szlachetny panie, jako rzeczesz - odparł Garion. - Nawet potężne mury Vo Mimbre trzymają w swych wnętrzach przejmujący chłód.

- A ty, szlachetny rycerzu, widziałeś Vo Mimbre? - spytał zdziwiony baron. - Dałbym wszystko co posiadam lub będę kiedykolwiek posiadał, aby ujrzeć owo osławione miasto. Jak ono naprawdę wygląda?

- Jest przeogromne, szlachetny panie - powiedział Garion - a jego złociste kamienie odbijają słoneczne światło, jakoby chciały zawstydzić swą wspaniałością niebo.

Oczy barona wypełniły się łzami.

- Błogosławiony ów dzień, szlachetny rycerzu - powiedział zdławionym z przejęcia głosem. - Owo niespodziewane spotkanie z rycerzem wykonującym tak zacne zadanie i o

takoż wyszukanej elokwencji jest ukoronowaniem mego żywota, jako że pamięć o Vo Mimbre odbijająca się echem przez nie kończący się upływ lat podtrzymuje nas na onym samotnym wygnaniu, choć jego echa z każdą mijającą porą roku stają się coraz bardziej odległe, jako i twarze ukochanych, jakowi onegdaj odeszli, wspominamy jeno we śnie, który blednie i zamiera, gdy okrutne przemijanie ogarnia żywoty nasze.

- Szlachetny panie - odezwał się nieco nieudacznie Zakath - twe słowa mocno wzruszyły me serce. Jeśli posiadę władzę, a takową posiadę, zabiorę cię kiedyś w przyszłości do Vo Mimbre i postawię cię przed tronem w tamtejszym pałacu, ażebyśmy mogli zjednoczyć cię z twymi braćmi.

- Widzisz - mruknął Garion do swego przyjaciela. - To zaczyna wchodzić w krew.

Baron wytarł oczy bez cienia zażenowania.

- Dostrzegam twego ogara, szlachetny rycerzu - zwrócił się do Gariona, by ułatwić im wyjście z niezręcznej sytuacji. - Jak widzą me oczy, sukę...

- Spokojnie - Garion odezwał się stanowczo do wilczycy.

- To bardzo obraźliwe określenie - mruknęła.

- On tego nie wymyślił. Nie jest niczemu winien.

- Jest szczupłej budowy - kontynuował baron - a jej złote oczy emanują inteligencją dużo wyższą od tej, jaką posiadają biedne kundły panoszące się w onym królestwie. Czy mógłbyś, szlachetny rycerzu, określić jej rasę?

- Jest wilkiem, szlachetny panie - odparł Garion.

- Wilkiem! - wrzasnął baron zrywając się na równe nogi. - Musimy umykać, zanim ta straszliwa bestia rozszarpie nasze gardła.

Jego zachowanie wydawało się nieco przesadne, lecz czasami spotkanie z wilkiem wywołuje u ludzi podobne reakcje. Garion podrapał wilczycę za uchem.

- Jesteś dzielny ponad wiarę, szlachetny rycerzu - ocenił baron z wyraźnym zdumieniem.

- Jest mą przyjaciółką, szlachetny panie - odparł Garion. - Łączą nas więzi wykraczające ponad twe wyobrażenie.

- Radzę ci zaprzestać - rzekła wilczyca - chyba że masz o jedną łapę za dużo.

- Nie zrobiłabyś tego! - odparł, gwałtownie cofając rękę.

- Nie jesteś jednak do końca pewien, prawda? - Obnażyła zęby w niemych uśmiechu.

- Przemawiasz językiem bestii? - Baron otworzył usta ze zdziwienia.

- Kilkoma, szlachetny panie - odparł Garion. - Każda z nich posługuje się własną mową. Nie opanowałem jednak jeszcze mowy węża. Myślę, iż ma to związek z kształtem

mego języka.

Baron roześmiał się nagle.

- Niebawem z ciebie żartowniś, szlachetny rycerzu. Dajesz mi wiele powodów do zdziwienia i zachwytu jednak. A teraz wróćmy do naszej sprawy. Co mógłbyś mi ujawnić w materii twego poszukiwania?

- Zachowaj ostrożność - ostrzegła Gariona wilczyca. Belgarion zastanowił się przez chwilę.

- Jak zapewne wiesz, szlachetny panie - zaczął - na świecie panoszy się ogromne zło. - Było to całkiem bezpieczne stwierdzenie, gdyż na świecie od niepamiętnych czasów panoszyło się jakieś zło.

- Prawdziwie rzeczesz - zgodził się gorączkowo baron.

- Zaprzysiężonym obowiązkiem moich przyjaciół i moim jest walka z owym złem. Wiedz jednak, iż pogłoska niczym szczekliwy pies biegłaby przed nami rozgłaszając o naszych poczynaniach podłemu niegodziwcowi, któremu chcemy wypowiedzieć wojnę. Gdyby ten straszliwy wróg został uprzedzony o naszym przybyciu, jego pachołkowie niechybnie zastawiliby na nas pułapkę. Oto i powód, dla którego musimy skrywać się za przyłbicami i powstrzymywać od ogłaszania przed całym światem naszych imion. - Garionowi zaczynała się coraz bardziej podobać własna przemowa. - Nie czujemy trwogi, przed jakąkolwiek żyjącą istotą. - Sam Mandorallen nie wypowiedziałby tych słów z większą pewnością siebie. - Towarzyszą nam, wszelako, w owym poszukiwaniu najdrożsi przyjaciele, których życia nie ośmielilibyśmy się wystawiać na niebezpieczeństwo. Co więcej, nasze poszukiwanie obfituje w groźne zaklęcia, które chwalą nasze męstwo. A zatem, chociaż nie godzi się do tego przyznawać, mus z przebiegłością złodzieja podejść zniechęconego łotra, abyśmy mogli odpowiednio ukarać onego. - Ostatnie słowa wypowiedział, jakby wygłaszał je na sędzie ostatecznym.

Baron zrozumiał od razu.

- Mój miecz i rycerze są do twojej dyspozycji, szlachetny panie. Wykorzeńmy owo zło raz na zawsze. - Od razu było widać, że baron jest Mimbratem do szpiku kości.

Garion wznosił z żalnością rękę.

- Nie, lordzie Astelligu - rzekł. - Nie może się tak stać, choć serce me rade jest przyjąć pomoc z rąk twoich i twych kompanów. Owo zadanie zostało przypisane mnie i moim drogim przyjaciołom. Gdybym przyjął pomoc z rąk twoich, rozgniewałbym srodze sługi świata duchowego, jakowi nie mniej od nas biorą udział w tym przedsięwzięciu. Wszyscyśmy śmiertelnicy, a świat duchowy nieśmiertelnych wszelako jest. Przeciwwstawienie się rozkazom

duchów mogłoby pokrzyżować cele tych przyjaznych duchów, które stają po naszej stronie w ostatecznej bitwie.

- Chociaż rani to me serce, szlachetny rycerzu - powiedział ze smutkiem baron - muszę przyznać, iż argumenty twe niosą w sobie moc przekonywania. Wiedz jednak, iż krewny mój właśnie przybył ze stolicy, z Dal Perivor i oznajmił o niepokojącym obrocie wydarzeń na dworze. Nie więcej niżli kilka dni temu w królewskim pałacu pojawił się czarodziej. Niewątpliwie za pomocą zaklęć, o których wspominałeś, omamił naszego króla zyskując jego posłuch i stając się jego najbliższym doradcą. Teraz on sprawuje absolutną władzę w królestwie. Strzeżcie się, szlachetni rycerze. Gdyby przypadkiem owy czarodziej okazał się jednym z pachołków waszego wroga, posiada on teraz moc, i krzywdę jakąś wyrządzić wam może. - Baron skrzywił się. - Myślę, iż omamienie króla nie było dlań trudnym zadaniem. Może nie powinienem tego mówić, lecz jego królewska mość nie jest człowiekiem o nadzwyczaj jasnym umyśle.

Takie słowa w ustach Mimbrata?

- Ony czarodziej - kontynuował baron - nikczemnością dorównuje łotrom największym i doradzam wam w duchu prawdziwej przyjaźni, abyście ze wszech miar go unikali.

- Dziękuję ci, szlachetny panie - odezwał się Garion - lecz przeznaczenie i cel poszukiwania kieruje kroki nasze ku Dal Perivor. Jeśli zajdzie potrzeba, staniemy twarzą w twarz z onym czarownikiem i oczyścimy królestwo.

- Niech bogowie i duchy prowadzą twą ręką - rzekł z zapalem baron, a następnie wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Życzyłbym sobie i wam, abym mógł oglądać jak ty i twój dzielny, aczkolwiek małomówny kompan, nakładacie karę, jaką uważać będziecie za sprawiedliwą.

- Zaszczyt wszakże wielki byłby to dla nas, szlachetny panie - zapewnił go Zakath.

- Z widokiem takiego zakończenia sprawy, szlachetni panowie - powiedział baron - wiedzcie, iż w kompanii pewnych zacnych rycerzy wybieram się nazajutrz do królewskiego pałacu w Dal Perivor, aby wziąć udział w wielkim turnieju, jaki zorganizował nasz król. Wybrani mistrzowie królestwa zajmą się zaiste kłopotliwym problemem, jakowy nęka nas od dłuższego czasu. Wiedzcie wszelako, iż w onym czasie z wielowiekowej tradycji waśnie i tarcia wszelakie zostają zawieszane na mocy ogólnego rozejmu, więc możemy się spodziewać spokojnej podróży na zachód. Czy mogę zaprosić was, szlachetni panowie, abyście towarzyszyli mi w drodze do stolicy?

- Mój panie - powiedział Garion kłaniając się przy wtórze chrzęstu zbroi - twa

propozycja i łaskawe zaproszenie nie mogłyby w parze podążać z celem naszym. A teraz, jeśli można, oddalimy się, aby poczynić odpowiednie przygotowania.

Gdy wracali długim korytarzem, pazury wilczycy wydawały prawie metaliczny odgłos stukając o kamienną posadzkę.

- Jestem zadowolona - oceniła. - Nie poszło wam najgorzej... jak na parę szczeniaków.

Rozdział XII

Perivor okazała się nad wyraz przyjemną wyspą o szmaragdowozielonych wzgórzach, na których wypasały się stada owiec i o ciemnych, zaoranych polach, gdzie bujnie rozkwitały równe rzędy roślin uprawnych. Baron Astellig rozejrzał się z widoczną dumą.

- Zaczne ziemie - zauważył - choć bez wątplenia nie tak zacne jako odległa Arendia.

- Wedle mnie czułbyś się niechybnie rozczarowany, szlachetny panie - powiedział Garion. - Choć zacne to ziemie, królestwo wypełnione jest wewnętrznym zamętem, wrzawą i niedolą niewolników.

- Czyż owa smutna instytucja ostała się na onych ziemiach? Tutaj zniesiono ją wiele wieków temu.

Garion zdziwił się słysząc te słowa.

- Ludzie zamieszkujący oną wyspę na długo przed naszym przybyciem byli łagodnego usposobienia i nasi przodkowie wybierali żony spośród tutejszych niewiast. Z początku owi pospolicci ludeczkowie byli związani więzami niewolnictwa, jako że takowa praktyka od wieków panowała w Arendii, ale nasi przodkowie wkrótce dostrzegli, jakże wielka to niesprawiedliwość, jako że ci sami niewolnicy ziomkami swymi byli wedle swych małżeństw. - Baron lekko zmarszczył brwi. - Czyż owy społeczny dysonans, o jakim rzekłeś, prawdziwie pustoszy ojczyznę naszych przodków?

Garion westchnął.

- Żywimy nadzieję, iż zamęt osłabnie lada dzień. Troje możliwych ksiąząt od wieków toczyło ze sobą wojny, aż w końcu jeden z nich wreszcie zapanował nad pozostałymi. Wszelako duch rebelii przeniknął pod powierzchnię, co więcej baronowie południowej Arendii toczą ze sobą krwawe wojny z najbardziej trywialnych pobudek i przyczyn.

- Wojny? Prawdziwie rzeczesz? Takowe zamęty powstają również na Perivor, lecz dołożyliśmy starań, aby załagodzić konflikt do tego stopnia, iż trup już nie ściele się tak gęsto.

- Co masz na myśli mówiąc „załagodzić”, szlachetny panie?

- Podobne swary, z wyjątkiem przypadków najcięższej obrazy, zwyczajowo rozwiązywane są na turniejach. - Baron uśmiechnął się. - W rzeczy samej znam wiele waśni preparowanych wzajemną pomysłowością jeno jako wymówka dla odbycia się owych turniejów, jakowe przynoszą jednaką pożywkę dla wysoce urodzonych i pospółstwa.

- Toż to przejaw wielkiego umysłu, szlachetny panie - odezwał się Zakath.

Wysiłek tworzenia skomplikowanych zdań zaczynał męczyć Gariona. Poprosił barona o wybaczenie tłumacząc się koniecznością rozmowy ze swymi przyjaciółmi i odjechał czym prędzej.

- Jak wam idzie dyskurs z baronem? - spytał Silk.

- Całkiem nieźle. Małżeństwa z Dalami wyplenily szczególnie irytujące przywary Arendów.

- Jakie na przykład?

- Po pierwsze bezdenną głupotę. Znieśli niewolnictwo i zwykle rozwiązują waśnie za pomocą turniejów, a nie otwartej wojny. - Garion spojrział na drzemiącego Belgaratha. - Dziadku.

Belgarath uniósł powieki.

- Czy sądzisz, że udało nam się wyprzedzić Zandramas?

- Tego nie możemy być pewni.

- Mógłbym ponownie użyć Klejnotu.

- Chyba będzie lepiej, jeśli o tym zapomnisz. Jeśli rzeczywiście jest na wyspie, nie mamy możliwości dowiedzieć się, gdzie zeszła na ląd. Może wcale tędy nie przechodziła, więc Klejnot nie odnalazłby jej tropu. Jestem pewien, że ona wyczuwa moc kamienia. W ten sposób wskazałibyśmy jej miejsce naszego pobytu. Poza tym Sardion znajduje się w tej części świata. Nie budźmy go jeszcze.

- Mógłbyś zapytać swego przyjaciela barona - zasugerował Silk. - Jeśli ona tu jest, możliwe, że o niej słyszał.

- Wątpię - powiedział Belgarath. - W przeszłości zwykle zadawała sobie wiele trudu, ażeby nie rzucać się w oczy.

- To prawda - stwierdził Silk - i sądzę, że tym razem zada sobie jeszcze więcej trudu. Miałyby spore problemy z wyjaśnieniem natury tych światełek pod skórą.

- Zaczekajmy, aż dotrzemy do Dal Perivor - zdecydował Belgarath. - Chcę tam wyjaśnić pewne sprawy, zanim zrobimy coś, od czego nie będzie już odwołania.

- Czy nie sądzisz, że dobrze byłoby zasięgnąć porady Cyradis? - spytał cicho Garion spoglądając na prorokinię jadącą we wspaniałym powozie, którego baron użyczył damom.

- Nie - odrzekł Belgarath. - Nie wolno jej udzielić mu odpowiedzi.

- Widzę pewne zalety tej sytuacji - zauważył Silk. - Cyradis ma dokonać wyboru, a fakt, iż podróżuje z nami, a nie z Zandramas, jest dość pozytywny, nie uważacie?

- Jestem innego zdania - sprzeciwił się Garion. - Sądzę, że dotrzymuje nam towarzystwa bardziej po to, by mieć oko na Zakatha. Ma on jakieś niezwykle ważne zadanie

do wykonania, a ona nie chce, żeby zszedł na manowce.

Silk chrząknął.

- Od jakiego miejsca proponujesz rozpocząć poszukiwania mapy? - spytał Belgaratha.

- Prawdopodobnie od biblioteki - odparł starzec. - Ta mapa jest jedną z tajemnic, a właśnie w bibliotekach rozwiązywałem najwięcej takich tajemnic. Garionie, spróbuj przekonać barona, by zabrał nas na dwór królewski w Dal Perivor. Pałacowe biblioteki zawierają zwykle najwięcej pozycji.

- Oczywiście - zgodził się Garion.

- Mimo wszystko chcę przyjrzeć się temu czarodziejowi. Silku, masz jakieś biuro w Dal Perivor?

- Obawiam się, że nie, Belgaracie. Nie ma tu nic, czym warto by handlować.

- No cóż, nic nie szkodzi. Jesteś kupcem, a w mieście znajdzie się więcej ludzi twojej profesji. Porozmawiaj z nimi o interesach. Powiedz, że chcesz sprawdzić szlaki handlowe. Przypatruj się każdej mapie, która wpadnie ci w ręce. Wiesz przecież, czego szukamy.

- Oszukujesz, Belgaracie - mruknął Beldin.

- O co ci chodzi?

- Cyradis powiedziała ci, że to ty masz znaleźć mapę.

- Ja tylko wysyłam mego posłańca, Beldinie. To zupełnie zgodne z prawem.

- Nie sądzę, żeby ona tak pojęła twój postępek.

- Możesz jej to wyjaśnić. Potrafisz być dalece bardziej przekonujący niż ja.

Podróżowali miarowym tempem, jak przypuszczał Garion, głównie z uwagi na odciążenie koni. Konie na Perivor nie należały do największych, a musiały nosić ciężar mężczyzn w pełnej zbroi. Minęło więc kilka dni, zanim wspięli się na wzgórze i ujrzeli w dole portowe miasto, stolicę wyspy Perivor.

- Ujrzyjcie Dal Perivor - ogłosił baron - koronę i serce wyspy. Garion natychmiast dostrzegł, że arendyjscy rozbitkowie, którzy postawili swe stopy na wybrzeżu jakieś dwa tysiące lat temu, zrobili wielki, świadomy wysiłek, aby zbudować duplikat Vo Mimbre. Potężne, żółtawe mury wznosiły się wysoko ku niebu, a proporce o jaskrawych barwach powiewały z niezliczonych wież królujących ponad miastem.

- Skąd oni wzięli żółte kamienie, szlachetny panie? - spytał Zakath barona. - Me oczy nie dostrzegły takowych skał po drodze.

Baron zakasłał ze skruchą.

- Owe mury zostały pokryte słonecznym mazidłem, szlachetny rycerzu - wyjaśnił.

- Z jakowej przyczyny?

- Ażeby służyły jako wspomnienie Vo Mimbre. - Z głosu barona przebiegał smutek. - Nasi przodkowie odczuwali niezmierną tęsknotę za Arendią. Vo Mimbre stanowi klejnot domu naszych przodków i jego złote mury przemawiają do naszej krwi poprzez bezmiar przestrzeni.

- Aha - powiedział Zakath.

- Jakem ci obiecał, szlachetny rycerzu - zwrócił się baron do Gariona - z wielką radością zabiorę ciebie i twych przyjaciół do królewskiego pałacu, gdzie niewątpliwie przyjmą was z należnymi honorami i oferują wam gościnę.

- Po raz wtóry dłużnikami twymi się stajemy - odparł Garion.

Baron uśmiechnął się przebiegle.

- Wyznaję ja ci, szlachetny rycerzu, iż motywy, jakowe mną kierują, nie wywodzą się jeno z mej wielkoduszności. Wprowadzenie na dwór zacnych, nieznanym rycerzy uwikłanych w szlachetne poszukiwania doda mi jeno splendoru w oczach mego króla.

- Rozumiem, przyjacielu - Garion roześmiał się. - W takowy sposób każdy z nas ciągnie z tego jakoweś korzyści.

Pałac wyglądał identycznie jak ten w Vo Mimbre; twierdza okalająca niniejszą fortecę, wysokie mury z flankami i potężne wrota prowadzące do wnętrza tego tajemniczego miejsca.

- Przynajmniej tym razem mój dziadek nie będzie musiał sadzić drzewa - mruknął Garion do Zakatha.

- Czego robić?

- Kiedy po raz pierwszy pojechaliśmy do Vo Mimbre, strażnik przy bramie pałacowej nie uwierzył Mandorallenowi, kiedy przedstawił dziadka jako Czarodzieja Belgaratha, więc dziadek wyciągnął z końskiego ogona małą gałązkę i sprawił, że na dziedzińcu przed pałacem wyrosła piękna jabłoń. Następnie rozkazał sceptycznemu rycerzowi, by przez resztę życia opiekował się tym drzewem.

- Czy ten rycerz rzeczywiście zastosował się do zalecenia?

- Przypuszczam, że tak. Mimbraci z niezwykłą powagą traktują tego rodzaju rozkazy.

- Dziwni ludzie.

- W istocie. Musiałem zmusić Mandorallena, by poślubił dziewczynę, którą kochał od dzieciństwa, a żeby było ciekawiej, musiałem z tego powodu przerwać trwającą wojnę.

- Jak się przerywa wojnę?

- Groźbą. Myślę, że potraktowali me słowa bardzo poważnie. - Zastanowił się chwilę.

- Burza spotęgowana błyskawicami, jaką wtedy rozpętałem, chyba trochę pomogła - dodał. -

W każdym razie Mandorallen i Nerina miłowali się od wielu lat i cierpieli w ciszy przez ten cały czas. W końcu zmęczyła mnie ta sytuacja, więc nakłoniłem ich, by załatwili tę sprawę. Poczyłem więcej grózb. Mam jeszcze ten duży nóż. - Wskazał kciukiem do tyłu. - Czasami przyciąga uwagę.

- Garionie! - Zakath roześmiał się. - Jesteś groźnym swatem.

- Tak. Chyba tak - przyznał Garion. - Lecz to w końcu ja skłoniłem ich do małżeństwa. Teraz oboje są niezwykle szczęśliwi, a jeśli coś się nie uda, zawsze winę mogą zrzucić na mnie.

- Różnisz się od innych ludzi - rzekł Zakath bardzo poważnym głosem.

- Zgadza się. - Garion westchnął. - Prawdopodobnie się różnię, a jednak chciałbym być do nich podobny. Świat spoczywa na moich i twoich barkach, Zakacie, nie pozostawiając nam czasu dla nas samych. Nie chciałbyś po prostu wyjechać konno pewnego letniego poranka, nacieszyć oczy widokiem wschodzącego słońca i zobaczyć, co znajduje się za następnym wzgórzem?

- Sadziłem, że to właśnie robimy.

- Niezupełnie. Robimy to wszystko, ponieważ taka jest nasza powinność. Chodziło mi o to, by zrobić to dla przyjemności, dla zabawy.

- Od lat nie robiłem niczego dla zabawy.

- Czy nie czerpałeś radości z groźby ukrzyżowania Gethela, króla Thullów? Ce'Nedra powiedziała mi o tym.

Zakath roześmiał się.

- Nie było najgorzej - przyznał. - Oczywiście nie zrobiłbym tego. Gethel był idiotą, ale w pewnym sensie istniała wówczas taka konieczność.

- Zawsze do tego dochodzi, nieprawdaż? Ty i ja robimy to co konieczne, a nie to co wolelibyśmy robić. Żaden z nas nie szukał wyniesienia, zaszczytów, lecz będziemy robić to co jest konieczne i czego się od nas oczekuje. W przeciwnym razie ten świat zginie, a wraz z nim dobrzy, uczciwi ludzie. Zrobię wszystko, by do tego nie dopuścić. Nie zdradzę tych dobrych uczciwych ludzi i ty również tego nie uczynisz. Sam jesteś zbyt dobrym człowiekiem.

- Dobrym, ja?

- Nie doceniasz się, Zakacie, lecz sądzę, że wkrótce pojawi się ktoś, kto nauczy cię nie nienawidzić siebie samego.

Zakath popatrzył na niego.

- Nie sądziłeś, że wiedziałem? - spytał Garion. - Lecz już prawie po wszystkim. Twoje

cierpienie i ból dobiegają końca i jeśli potrzebujesz pouczeń, jak być szczęśliwym, patrz na mnie. Pomimo wszystko po to właśnie są przyjaciele, prawda?

Zakath lekko zakrztusił się pod maską przyłbicy. Szara wilczyca stanęła między ich wierzchowcami patrząc uważnie na Gariona.

- Dobra robota - przyznała. - Być może źle cię oceniłam, młody wilku. Może nie jesteś wcale szczeniędem.

- Staram się jak mogę - odparł Garion w języku wilków. - Mam nadzieję, że nie rozczarowałem cię zbytnio.

- Czuję, że rokujesz pewne nadzieje, Garionie. Ostatnie słowa potwierdziły podejrzenia Gariona.

- Dziękuję, babciu - odparł, wreszcie pewny, z kim rozmawia.

- Tak długo trwało, zanim to powiedziałeś.

- Mogłaś odebrać to jako brak uprzejmości.

- Sądzę, że zbyt długo przebywałeś z moją najstarszą córką. Nadmierną wagę przywiązuje do konwenansów. Zakładam jednak, że zachowasz swe odkrycie dla siebie?

- Jeśli takie jest twoje życzenie.

- Tak będzie najrozsądniej. - Spojrzała na bramy pałacu. - Cóż to za miejsce?

- Królewski zamek.

- Kimże są królowie wobec wilków.

- Istnieje zwyczaj między ludźmi, żeby oddawać im cześć, babciu. Ten szacunek okazuje się bardziej ze względu na tradycję niż na człowieka z koroną na głowie.

- Bardzo ciekawe - powęszyła dookoła.

Wreszcie, przy wtórze skrzywienia i pobrzękiwania łańcuchów, most zwodzony połączył oba brzegi głębokiej fosy i baron Astellig wraz ze swymi rycerzami poprowadził ich w kierunku zamkowego dziedzińca.

Komnata tronowa w Dal Perivor, podobnie jak ta w Vo Mimbre, była wielką salą o kopułowym sklepieniu, które wspierały bogato rzeźbione kolumny. Przez zdobne okienne witraże sączyły się smugi światła rozjaśniające ulotny półmrok tego okazałego pomieszczenia. Marmurowa posadzka lśniła czystością, a na jej końcu, na kamiennym podwyższeniu pokrytym czerwonym grubym sukniem stał tron Perivoru, za którym zwieszały się ciężkie, purpurowe kotary. Na drapowanych ścianach wisiały masywne, antyczne okazy broni sprzed dwóch tysięcy lat. Lance, piki i olbrzymie miecze, przewyższające największego człowieka, wisiały pośród postrzępionych chorągwi zapomnianych królów.

Oszołomiony podobieństwem, Garion prawie spodziewał się, że wyjdzie im na

spotkanie Mandorallen w swej lśniącej zbroi, a u jego boku będą kroczyli rudobrody Barak i Hettar z rozwianą końską grzywą. Po raz kolejny uderzyło go dziwne poczucie powtarzalności zjawisk. Zaskoczony uświadomił sobie, że zdając Zakathowi relację z minionych zdarzeń, w rzeczywistości przywracał je do życia. W pewien niezrozumiały sposób miał wrażenie, że oczyszcza się przed nieuniknionym spotkaniem w Miejscu, Którego Już Nie Ma.

- Szlachetni rycerze - zwrócił się baron Astellig do Gariona i Zakatha - zbliżmy się do tronu króla Oldorina, ażebym mógł przedstawić was jego wysokości. Pierwej powiadomię go o restrykcjach, do jakowych zmuszają was owe tajemne poszukiwania.

- Niezmierzona jest twa kurtuazja i roztropność, panie Astelligu - odparł Garion. - Z wielką radością powitamy króla.

Cała trójka podążyła po marmurowej posadzce w kierunku wyściełanego podwyższenia. Król Oldorin, jak zauważył Garion, wyglądał na bardziej krzepkiego człowieka niż król Arendii Korodullin, lecz jego oczy wykazywały zastraszający brak czegokolwiek przypominającego myśli.

Wysoki, potężnie zbudowany rycerz wyszedł naprzeciw Astelligowi.

- Tak się nie godzi, mój panie - odezwał się. - Poleć swym kompanom, aby podnieśli przyłbice, ażeby król ujrzał, kto przybywa przed jego oblicze.

- Wyjawię jego królewskiej mości przyczynę owego maskowania, szlachetny panie - odparł dość sztywno Astellig. - Azaliż zapewniam cię, iż owi rycerze, których ośmielam się nazwać mymi przyjaciółmi, nie czynią tak z braku szacunku dla naszego władcy.

- Przykro mi, baronie Astelligu - odrzekł rycerz - lecz nie mogę się na to zgodzić.

Ręka barona powędrowała ku rękojeści miecza.

- Spokojnie - rzekł Garion kładąc rękę na ramieniu Astelliga. - Jak powszechnie wiadomo, na całym świecie nie godzi się chwytać za miecze w obecności króla.

- Wielcem rad, żeś tak doskonale wyćwiczon w konwenansach, szlachetny rycerzu - powiedział człowiek zagrządzający im drogę, tracąc nieco pewności siebie.

- Nie obca mi obecność królów, szlachetny panie, i znam się na obyczajach. Zapewniam ja cię jednak, iż nie uchybimy czci królewskiej podchodząc do tronu pod osłoną przyłbic. Zmusza nas do tego poważny obowiązek, jaki został na nas nałożony.

Rycerz sprawiał wrażenie coraz mniej pewnego siebie.

- Zaiste pięknie przemawiasz, szlachetny rycerzu - przyznał otwarcie.

- Szlachetny panie - kontynuował Garion - czy byłbyś łaskaw towarzyszyć baronowi Astelligowi, memu kompanowi i mnie w drodze do tronu? Człek tak waleczny i dzielny, jako

tyś jest, z łatwością zapobiegnie wszelkim uchybieniom, jakowe zrodzić by się mogły. - Garion wiedział, że drobne pochlebstwa nigdy nie szkodziły w trudnych sytuacjach.

- Stanie się jako rzeczesz, szlachetny rycerzu - zdecydował człowiek w błyszczącej zbroi.

Czterej zbrojni zbliżyli się do tronu i skłonili dość sztywno.

- Mój królu - rzekł Astellig.

- Baronie - odparł nieobecnie Oldorin skinąwszy głową.

- Mam zaszczyt przedstawić ci dwóch szlachetnych rycerzy, jakowi przybyli tu z daleka uwikłani w zacne poszukiwania.

Król spojrział z zainteresowaniem. Słowo poszukiwanie wzbudzało zwykle ciekawość w Mimbratach.

- Jako zauważyłeś, wasza wysokość - kontynuował Astellig - moi przyjaciele pozostają w opuszczonych przyłbicach. Zaiste nie odbieraj tego, królu, jako wyrazu braku szacunku, lecz jako konieczność narzuconą wymogami onych poszukiwań. Na świecie panoszy się cuchnące zło, a oni podróżują wraz z przyjaciółmi, aby stanąć mu twarzą w twarz. Każdy z nich ma na swym koncie zaszczyty na świecie wychodzące poza granice tej wyspy i gdyby ujawnili swe oblicza, natychmiast zostaliby rozpoznani, a zło, jakowego poszukują, zostałoby powiadomione o ich nadejściu i jeno z takiej przyczyny ich przyłbice pozostać opuszczone muszą.

- Rozsądny środek ostrożności - zgodził się król. - Witam was zatem, szlachetni rycerze, i z serca całego pozdrawiam.

- Szlachetna twa uprzejmość rozjaśnia oblicza najsroźszych wojowników, wasza wysokość - powiedział Garion - i wdzięczność przepelnia serca nasze za łaskawe zrozumienie niecodziennej sytuacji. Na drodze naszych poszukiwań częstokroć stykamy się z czarną magią i lękam się, iż gdybyśmy ujawnili swe oblicza, skończyłoby się to jeno porażką i w rezultacie cały świat by na tym ucierpiał.

- W pełni rozumiem, szlachetny rycerzu, i nie będę nalegał na wyjawienie dalszych szczegółów. Ściany mego pałacu mają uszy i znajdują się i tu sprzymierzeńcy owego łotra, jakowego szukacie.

- Rozumnie rzeczesz, królu - doszedł ich ochryply głos z dalekiego krańca komnaty tronowej. - Jak wiem, moc zaklęcia jest ogromna i nawet waleczność tych dwóch dzielnych rycerzy może okazać się zbyt wątła, by im sprostać.

Garion odwrócił się i ujrzał wpatrzony w siebie białe oczy.

- To ony czarodziej, o jakowym wam wspominałem - szepnął Astellig Garionowi. -

Strzeżcie się go, szlachetny rycerzu, jako że trzyma on w ryzach samego króla.

- Ach, Erezelu - odezwał się król promieniejąc na twarzy - zbliż się do tronu. Czyż w mądrości swojej doradzić możesz onym dwóm rycerzom, w jakowy sposób mogą ustrzec się niebezpieczeństw niesionych przez magię, jakową z pewnością napotkają na swej drodze?

- Z największą przyjemnością, królu - odparł Naradas.

- Wiesz, kto zaszczyc, prawda? - mruknął Zakath do Gariona.

- Tak.

Naradas podszedł do tronu.

- Ośmielę się coś zasugerować, szlachetni rycerze - powiedział. - Niebawem ma się odbyć wielki turniej. Gdybyście nie wzięli w nim udziału, mogłoby to wzniecić podejrzenia wśród sług, jakie ten, którego szukacie tu wysłał. Przystąpcie zatem do turnieju i zniwelujcie wszelkie podejrzenia.

- Przednia propozycja, Erezelu - pochwalił pustogłowy król. - Szlachetni rycerze, oto Erezel, wielki mag i najbliższy doradca tronu. Dobrze rozważcie jego słowa, jako że niosą one ze sobą wielką mądrość. Co więcej, będziemy zaszczyceni, jeśli dwaj tak potężni rycerze wezmą udział w zbliżającym się turnieju.

Garion zazgrzytał zębami. Tą jedną, na pozór niewinną propozycją Naradas skutecznie opóźnił ich wędrówkę, do czego zmierzał od wielu tygodni. Nie było jednak wyjścia. - Zaszczyc to dla nas ogromny towarzyszyć twym walecznym rycerzom w onych rozgrywkach, wasza wysokość - odparł. - Kiedy ma odbyć się turniej?

- Za dziesięć dni, szlachetny rycerzu.

Rozdział XIII

Komnaty wydawały się im dziwnie znajome. Arendowie, których przyniosło tu morze wiele wieków temu, z najdrobniejszymi szczegółami odtworzyli królewski pałac z Vo Mimbre, nie zapominając również o wszelkich niedociągnięciach. Zawsze praktyczny Durnik natychmiast je dostrzegł.

- A sądziłoby się, że skorzystali z okazji, by udoskonalić pewne rzeczy - zauważył.

- Z archaizmem wiąże się pewien osobliwy wdzięk, kochanie - uśmiechnęła się Polgara.

- Może jest w tym sporo nostalgii, Pol, ale kilka nowoczesnych rozwiązań nie popsułoby zbyt wiele. Zauważyłaś, że łazienki znajdują się w piwnicy, prawda?

- Ma rację, lady Polgaro - zgodziła się Velvet.

- W Mal Zeth było dużo wygodniej - skontrolowała Ce'Nedra. - Łazienka w komnacie daje mnóstwo możliwości do zabawy i figlowania.

Uszy Gariona zapłonęły intensywną czerwienią.

- Zdaje się, że umykają mi najciekawsze kawałki rozmowy - powiedział chytrze Zakath.

- Nie masz czego żałować - uciął krótko Garion.

Weszli krawcy i Polgara wraz z pozostałymi damami wymknęły się, aby oddać się zajęciu, które, jak zauważył Garion, zawsze zdaje się napelniać kobiece serca rozmarzoną błogością.

Krawcy z wyraźną determinacją starali się sprawić, by nowo przybyli wyglądali jak najbardziej staromodnie. Beldin oczywiście stanowczo odmówił skorzystania z ich usług, posuwając się tak daleko, że pokazał jednemu upierającemu się jegomościowi sękatą, wielką pięść, co miało oznaczać, że był całkowicie zadowolony ze swego wyglądu.

Garion i Zakath mając na uwadze słowa prorokini Kell pozostali w swych zbrojach.

Kiedy wreszcie znaleźli się sami, na twarzy Belgaratha odmalowała się posępna zaduma.

- Chcę, żebyście obaj wykazali najwyższą ostrożność podczas tego turnieju - zwrócił się do mężczyzn przyodzianych w zbroje. - Naradas zdaje sobie sprawę, kim jesteśmy, i już udało mu się opóźnić naszą podróż. Może posunąć się jeszcze dalej. - Popatrzył ostro w kierunku drzwi. - Dokąd to? - spytał Silka.

- Pomyślałem sobie, że warto by trochę powęszyc - odrzekł niewinnie mały złodziejasek. - Nigdy nie zaszkodzi wiedzieć, z czym ma się do czynienia.

- Dobrze, ale bądź ostrożny i nie pozwól, żeby cokolwiek wślizgnęło ci się przez omyłkę do kieszeni. Poruszamy się po niepewnym gruncie i jeśli ktoś przyłapie cię na kradzieży, możemy wpaść w niezłe tarapaty.

- Belgaracie - odparł Silk urażonym tonem - nikt nigdy nie przyłapał mnie na kradzieży. - Po tych słowach wyszedł mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem.

- Czy on próbuje powiedzieć, że nie kradnie? - zapytał Zakath.

- Nie - odparł Eriond. - Tylko, że nikt nie widzi, jak to robi. - Uśmiechnął się delikatnie. - Ma kilka złych nawyków, ale próbujemy je wyplenić. - Garion ze zdziwieniem zauważył, że jego młody przyjaciel wreszcie przemówił. Eriond zrobił się nadzwyczaj milczący, by nie powiedzieć zamknięty w sobie, co trochę martwiło króla Rivy. Zawsze był dziwnym chłopcem; zdawało się, że widzi rzeczy, których inni nie byli w stanie dostrzec. Gariona przebiegł dreszcz, gdy przypomniał sobie prorocze słowa, jakie Cyradis wypowiedziała w Rheon: „Twe poszukiwania będą obfitowały w wielkie niebezpieczeństwa, Belgarionie, i jeden z twych kompanów rozstanie się ze swym żywotem”.

Nagle, jakby w odpowiedzi na jego myśli, z pokoju, w którym kobiety konferowały z krawcami, wyłoniła się postać Prorokini Kell. Tuż za nią podążała Ce'Nedra odziana w niezwykle krótką koszulę.

- Ależ Cyradis, to doskonała szata - protestowała.

- Może dla ciebie, królowo Rivy - odparła prorokini - lecz nie godzi się mnie takowe stroje przywdziewać.

- Ce'Nedro! - krzyknął zdumiony Garion. - Jesteś prawie naga!

- No proszę! - syknęła mała królowa. - Wszyscy tu zgromadzeni widzieli już wcześniej rozebrane kobiety. Próbuję właśnie przekonać moją mistyczną, młodą przyjaciółkę. Cyradis, jeśli nie włożysz na siebie tej szaty, bardzo się na ciebie rozzłoszczę. Poza tym musimy coś zrobić z twoimi włosami.

Prorokini wzięła małą królową w ramiona i przytuliła ją czule.

- Kochana, droga Ce'Nedro - odezwała się delikatnie - twe serce jest dużo większe niżli ty sama i zaprawdę dostrzegam twą troskę o mnie. W zupełności jednak zadowala mnie ten oto prosty ubiór. Może za jakiś czas me upodobania ulegną jakowej przemianie, a wtedy z radością posłucham twych rad.

- Absolutnie nie można z nią dojść do porozumienia - rzekła Ce'Nedra wyrzucając ręce w górę, po czym zarzuciwszy wdzięcznie rąbkiem skąpej sukienki podążyła z powrotem do komnaty, z której przed chwilą obie wyszły.

- Powinieneś lepiej ją karmić - zwrócił się Beldin do Gariona. - Jest wyjątkowo

koścista.

- W pewnym sensie taka mi się właśnie podoba - odparł Garion. Spojrzał na Cyradis. - Raczysz spocząć, Święta Prorokini?

- Jeśli można.

- Oczywiście. - Prawie instynktownie wykonał ruch Totha i pomógł dziewczynie podejść do wygodnego krzesła.

- Dzięki ci, Belgarionie - powiedziała. - Twa odwaga podąża w parze z grzecnością. - Uśmiechnęła się promiennie rozjaśniając komnatę niczym wschodzące słońce. Jedną ręką dotknęła swych włosów. - Czyż zaprawdę wyglądają tak brzydko? - spytała.

- Są ładne, Cyradis - odparł. - Ce'Nedra czasami przesadza i jest ogarnięta pasją przerabiania ludzi, szczególnie mnie.

- Masz coś przeciwko jej staraniom, Belgarionie?

- Chyba nie. Prawdopodobnie brakowałoby mi ich, gdyby przestała.

- Wpadłeś w sidła miłości, królu Belgarionie. Jesteś potężnym czarodziejem, lecz mniemam, iż twa mała królowa posiada magię po stokroć potężniejszą, jako że trzyma cię w swej drobnutkiej garści.

- Przyznam, że nie przeszkadza mi to zbytnio.

- Jeśli usłyszę coś jeszcze, to chyba zwymiotuję - odezwał się Beldin.

Na szczęście rozmowę przerwał powrót Silka.

- No i co? - zapytał Belgarath.

- Naradas uprzedził cię w bibliotece. Zatrzymałem się tam, a człowiek odpowiedzialny za...

- Bibliotekarz - poprawił nieobecnie Belgarath.

- Wszystko jedno. W każdym razie powiedział, że Naradas, jak tylko się pojawił, splądrował całą bibliotekę.

- A więc tak - mruknął Belgarath. - Zandramas nie ma na wyspie. Wysłała Naradasa, żeby pomyszkował w jej zastępstwie. Czy nadal czegoś tam szuka?

- Najwidoczniej nie.

- Oznacza to, że już znalazł.

- I prawdopodobnie zniszczył to coś, żeby nie wpadło w nasze ręce - dodał Beldin.

- Nie, łagodny Beldinie - odezwała się Cyradis. - Tablica, jakowej poszukujecie, nadal istnieje, lecz nie znajduje się tam, gdzie wiodą was wasze umysły.

- Przypuszczam, że nie możesz dać nam żadnych wskazówek? - spytał Belgarath.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Tak myślałem.

- Powiedziałaś „tablica” - rzekł Beldin podchodząc do tematu z innej strony. - Czy oznacza to, że istnieje tylko jedna kopia?

Skinęła głową.

Karzeł wzruszył ramionami.

- No, tak - odezwał się. - Poszukiwania przysporzą nam dodatkowej pracy, podczas gdy nasi dwaj bohaterowie będą zajęci wyszczerbieniem kilku zbroi.

- Przypomniałeś mi o czymś istotnym - rzekł Garion i spojrzał na Zakatha. - Nie jesteś zbyt mocny we władaniu lancą, prawda?

- Nie, raczej nie.

- A zatem jutro z samego rana udamy się do jakiegoś miejsca, gdzie będę mógł udzielić ci kilku cennych wskazówek.

- To brzmi rozsądnie.

Nazajutrz wczesnym rankiem dwaj mężczyźni dosiedli koni i opuścili pałac.

- Lepiej jak wyjedziemy poza miasto - powiedział Garion. - W pobliżu pałacu znajduje się pole do ćwiczeń, lecz będą tam inni rycerze. Nie chcę być uszczypliwy, ale kilka pierwszych prób zwykle wychodzi bardzo niezdarnie. Mamy uchodzić za znamienitych rycerzy, więc lepiej, by nikt nie zauważył, że jesteś zupełnie zielony.

- Dzięki - rzucił sucho Zakath.

- Czy lubisz odczuwać zażenowanie przed publicznością?

- Nie bardzo.

- A zatem uczynimy tak, jak powiedziałem.

Gdy znaleźli się poza obrębem potężnych murów, udali się w kierunku oddalonej o kilka mil łąki otoczonej ze wszech stron drzewami i gęstymi krzakami.

- Masz dwie tarcze - zauważył Zakath. - Czy taki jest zwyczaj?

- Druga jest dla naszego przeciwnika.

- Przeciwnika?

- Jakiegoś pniaka albo drzewa. Potrzebny nam jest cel. - Garion wstrzymał konia. - A teraz - zaczął - staniemy się uczestnikami oficjalnego turnieju. Nie chodzi o to, żeby kogoś zabić. Prawdopodobnie będziemy używać tępych lanc, co w dużej mierze ograniczy liczbę ofiar.

- Czasami jednak ktoś ginie, prawda?

- Słyszałem o takich przypadkach. Głównym celem pojedynku jest zrzucenie przeciwnika z konia. Jedziesz na niego celując lancą w sam środek jego tarczy.

- A on robi dokładnie to samo.

- Dokładnie tak.

- To chyba bolesne.

- Niestety tak. Po kilku próbach będziesz prawdopodobnie obsypany siniakami od głowy do bioder.

- Robią to dla zabawy?

- Nie do końca. To swoista forma współzawodnictwa. Chcą wyłonić spośród siebie najlepszego.

- To potrafię zrozumieć.

- Przypuszczałem, że takie wytłumaczenie może lepiej do ciebie przemówić.

Zatknęli dodatkową tarczę na nisko zwieszanej gałęzi cedrowego drzewa.

- Mniej więcej na takiej wysokości - odezwał się Garion. - Najpierw ja kilka razy spróbuję. Obserwuj mnie dokładnie. Potem kolej na ciebie.

Garion biegle posługiwał się lancą i za drugim nawrotem uderzył tarczę dokładnie tam gdzie trzeba.

- Dlaczego w ostatnim momencie stajesz w strzemionach? - spytał Zakath.

- Nie tyle staję, co pochylam się do przodu. Trzeba mocno trzymać nogi w strzemionach, pochylić się do przodu i usztywnić ciało. W ten sposób dociążasz konia.

- To sprytne. Spróbuję.

Za pierwszym razem Zakath nie trafił w tarczę.

- Co zrobiłem źle? - spytał.

- Kiedy uniosłeś się i pochyliłeś w przód, końcówka lancy opadła w dół. Musisz namierzyć cel.

- Aha, rozumiem. Spróbuję raz jeszcze. - Za następnym przejazdem walnął w tarczę z taką siłą, że obróciła się dokoła konaru. - Lepiej? - zapytał.

Garion pokręcił przecząco głową.

- Zabiłbyś go na miejscu. Jeśli uderzysz w ten sposób w górną część tarczy, twoja lanca pójdzie w górę zmierzając prosto w przyłbicę przeciwnika i najzwyczajniej przetrącis mu kark.

- Spróbuję raz jeszcze.

Do południa Zakath poczynił spore postępy.

- Dostyc na dzisiaj - rzekł Garion. - Zaczyna się robić gorąco.

- Mnie jest dobrze - sprzeciwił się Zakath.

- Myślałem o twoim koniu.

- Och, trochę się spienił, prawda?

- Więcej niż trochę. Poza tym, zaczynam być głodny.

W dzień turnieju powitał ich jasny i słoneczny poranek. Tłumy mieszkańców odzianych w jaskrawokolorowe stroje płynęły jak rzeka ulicami Dal Perivor w kierunku placu, na którym miały odbywać się uroczystości.

- Właśnie przyszło mi coś na myśl - Garion zwrócił się do Zakatha, gdy opuścili pałac.

- Ani ja, ani ty nie jesteśmy specjalnie zainteresowani tym, kto zostanie zwycięzcą turnieju, prawda?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Mamy coś znacznie ważniejszego do zrobienia, a policzone kości prawdopodobnie utrudniałyby nam zadanie. Powalimy na ziemię kilku rycerzy, po czym pozwolimy, żeby nas ktoś wysadził z siodła. W ten sposób wypełnimy honorowe wymogi nie narażając się na poważne niebezpieczeństwo.

- Czy sugerujesz, byśmy świadomie przegrali? - spytał z niedowierzaniem Zakath.

- Mniej więcej.

- Przez całe życie nie przegrałem w żadnym turnieju.

- Coraz bardziej zaczynasz mi przypominać Mandorallena - westchnął Garion.

- Poza tym - kontynuował Zakath - myślę, że zapominasz o czymś. Mamy być potężnymi rycerzami uwikłanymi w szlachetne poszukiwania. Jeśli nie odegramy swoich ról najlepiej jak potrafimy, Naradas nadal będzie napelniał uszy króla różnymi insynuacjami i podejrzeniami. Jeśli jednak wygramy, zrobimy z nim porządek.

- Wygramy? - zachnął się Garion. - Bardzo szybko nauczyłeś się władać lancą, lecz rycerze, którzy staną z nami w szranki, ćwiczyli się w tym rzemiośle przez całe swoje życie. Nie sądzę, żeby naprawdę groziła nam jakaś wygrana.

- A zatem kompromis? - spytał chytrze Zakath.

- O co ci chodzi?

- Jeśli wygramy turniej, król przyzna nam prawie wszystko co tylko zechcemy, zgadza się?

- Tak zwykle bywa.

- Czy nie byłby szczęśliwy pozwalając Belgarathowi spojrzeć na tablicę? Jestem pewien, że wie, gdzie się ona znajduje, lub zmusi Naradasa, żeby ją pokazał.

- Chyba masz rację.

- Ty jesteś czarodziejem. Możesz sprawić, żebyśmy wygrali, prawda?

- Czy to nie pachnie oszustwem?

- Jesteś bardzo niekonsekwentny, Garionie. Najpierw sam sugerujesz, żebyśmy świadomie spadli z koni. A to przecież też zakrawa na oszukaństwo, nieprawdaż? Powiem ci coś, mój przyjacielu. Jako cesarz Mallorei daję ci cesarskie pozwolenie na oszukiwanie. A teraz, czy wiesz już jak tego dokonać?

Garion zamyślił się i nagle w jego umyśle pojawiło się wyraźne wspomnienie.

- Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że muszę zakończyć wojnę, aby Mandorallen i Nerina mogli się bez przeszkód pobrać?

- Tak.

- Oto w jaki sposób tego dokonałem. Większość lanc prędej czy później się łamie. Przed końcem tego turnieju plac będzie po kostki usiany kawałkami drewna. W dniu kiedy kończyłem wojnę, moja lanca nie złamała się. W pewien sposób otoczyłem ją czystą mocą, co okazało się niezwykle skuteczne. Nikt, nawet najlepsi rycerze w całym Mimbrenie, nie zdołali wówczas utrzymać się na koniu.

- Wydaje mi się, że mówiłeś, iż wyczarowałeś burzę z piorunami.

- To później. Dwie armie stały naprzeciw siebie na otwartym polu. Nawet Mimbraci nie zdecydowałiby się szarżować poprzez pole, na którym błyskawice wrywały ogromne dziury w torfie. Nie są aż tacy głupi.

- Masz imponujące doświadczenie, mój młody przyjacielu. - Zakath roześmiał się.

- Tamtego dnia naprawdę dobrze się bawiłem - przyznał Garion. - Nieczęsto jednemu człowiekowi udaje się zastraszyć dwie wrogie armie. Później jednak miałem z tego powodu wiele kłopotów. Kiedy manipulujesz pogodą, nigdy nie możesz być pewnym, jakie przyniesie to konsekwencje. Belgarath i Beldin spędzili potem sześć miesięcy na bieganiu dookoła świata i naprawianiu wszystkich anomalii. Dziadek był okropnie zły, kiedy wrócił. Wyzywał mnie przeróżnymi wyzwiskami, a jełop było najłżejszym określeniem.

- Wspominałeś coś o szrankach. Cóż to takiego?

- Wbijają w ziemię słupy, a do ich wierzchołków przywiązują długi, ciężki drąg sięgający mniej więcej do barków siedzącego na koniu jeźdźca. Rycerze jadą jeden na drugiego po przeciwnych stronach drąga. Myślę, że chodzi o to, żeby konie nie wbiegły na siebie. Dobre wierzchowce są w cenie. Och, to przypomniało mi o czymś ważkim, co przechyła szalę zwycięstwa jeszcze bardziej na naszą stronę. Nasze wierzchowce są większe i silniejsze od tutejszych..

- To prawda. Mimo wszystko czułbym się lepiej, gdybyś oszukiwał.

- Prawdopodobnie tak zrobię. Gdybyśmy mieli postępować wedle przyjętych reguł, oberwalibyśmy tyle siniaków, że żaden z nas nie mógłby wstać z łóżka przez tydzień, a

przecież mamy umówione spotkanie. Jeśli kiedykolwiek uda nam się dowiedzieć, gdzie ma się ono odbyć.

Plac przeznaczony na miejsce potyczek bogato przystrojono jasnokolorowymi flagami i trzepoczącymi na lekkim wietrze proporcami. Wzniesiono platformę dla króla, dam dworu i rycerzy już zbyt wiekowych, aby mogli brać czynny udział w turnieju. Pospólstwo stało na dalekim końcu szranek przypatrując się wszystkiemu z zaciekawieniem. Para wesoło ubranych kuglarzy zabawiała tłum, podczas gdy rycerze czynili ostatnie przygotowania. Pomalowane w jaskrawe pasy, obszerne namioty stały po obu stronach szranek. W ich zaciszu rycerze mogli naprawić swą broń, a ranni cierpieć z dala od ciekawskich gapiów, jako że widok jęczących i wijących się z bólu zwykle nie wpływa dobrze na nastroje tłumu.

- Zaraz wracam - Garion zwrócił się do swego przyjaciela. - Chcę przez chwilę porozmawiać z dziadkiem.

Zsiadł z konia i stąpając ciężko po jasnozielonej darni dotarł do końca platformy, gdzie siedział Belgarath. Starzec miał na sobie śnieżnobiałą togę. Na jego twarzy malowało się wyraźne niezadowolenie.

- Pełna elegancja - odezwał się Garion.

- Ktoś to uważa za dobry żart - odparł Belgarath.

- Antyczność wręcz promienieje z twego oblicza, stary przyjacielu - powiedział zuchwale Silk do starca. - Ludzie instynktownie chcą zrobić z ciebie możliwie jak najbardziej dostojnego.

- Wybaczysz? O co chodzi, Garionie?

- Zamierzamy z Zakathem trochę pooszukiwać. Jeśli wygramy, zyskamy przychyłność króla, który na ten przykład zezwoli ci spojrzeć na tablicę.

- To całkiem możliwe.

- Jak się oszukuje na turnieju? - zapytał Silk.

- Są sposoby.

- Jesteś pewny, że wygracie?

- Niemalże mogę to zagwarantować. Silk skoczył na równe nogi.

- Dokąd się wybierasz? - zainteresował się Belgarath.

- Chcę postawić kilka zakładów. - Mały człowieczek natychmiast zniknął z pola widzenia.

- Zawsze taki sam - zauważył Belgarath.

- Jedna sprawa: jest tu Naradas. To Grolim, a więc będzie wiedział o naszych poczynaniach. Proszę, dziadku, trzymaj go z dala ode mnie. Nie chcę, żeby w decydującym

momencie pokrzyżował mi plany.

- Poradzę sobie z nim - odparł posępnie Belgarath. - Idźcie i dajcie z siebie wszystko, ale zachowajcie ostrożność.

- Tak, dziadku.

Garion odwrócił się i ruszył w kierunku czekającego przy koniach Zakatha.

- Staniemy w drugim albo trzecim rzędzie - rzekł Garion. - Wedle zwyczaju, zwycięzcy poprzednich turniejów potykają się pierwsi. Będzie to o nas dobrze świadczyć i umożliwi ci zorientowanie się, jak podejść do szranek. - Rozejrzył się. - Będziemy musieli oddać nasze lance i dadzą nam po jednej z tych tępych z tamtego stojaka. Zajmę się nimi, jak tylko weźmiemy je w swoje ręce.

- Przebiegły z ciebie młodzieniec, Garionie. Co robi Kheldar? Biega po tych straganach niczym jakiś złodziejaszek.

- Jak tylko dowiedział się, co planujemy, natychmiast zaczął obstawiać zakłady.

Zakath wybuchnął gromkim śmiechem. - Szkoda, że nie wiedziałem. Dałbym mu pękata sakiewkę, żeby postawił dla mnie.

- Odzyskanie jej mogłoby okazać się nie lada problemem. Baron Astellig został wysadzony z siodła za drugim przejazdem.

- Czy nic mu nie jest? - zapytał przejęty Zakath.

- Jeszcze się rusza - odparł Garion. - Prawdopodobnie ma złamaną nogę.

- Przynajmniej nie będziemy musieli z nim walczyć. Nienawidzę wyrządzać krzywdy przyjaciółom. Oczywiście, nie mam ich zbyt wielu.

- Prawdopodobnie masz ich więcej, niż sobie wyobrażasz. Po trzecim przejeździe wzdłuż przedniego rzędu Zakath powiedział:

- Garionie, czy kiedykolwiek ćwicyłeś szermierkę?

- Alornowie nie używają lekkich mieczy, Zakacie. Wyjątkiem są Algarowie.

- Wiem, lecz teoria jest podobna. Jeśli skręcisz nadgarstkiem lub łokciem w ostatnim momencie, możesz odbić lancę przeciwnika. Następnie, kiedy jego lanca nie znajduje się we właściwej pozycji, namierzasz cel i walisz w sam środek tarczy. Wówczas jegomość nie ma najmniejszych szans, prawda?

Garion rozważył słowa przyjaciela.

- To wielce trudne zadanie - stwierdził powątpiewająco.

- Podobnie jest z magią, nieprawdaż? Udałoby się?

- Zakacie, posługujesz się lancą o długości piętnastu stóp, która wazy około dwóch funtów na stopę. Musiałbyś mieć mięśnie ze stali, żeby tak szybko nią wywijać.

- Niekoniecznie. Nie trzeba poruszać nią aż tak daleko w tył, a potem w przód. Wystarczyłoby lekkie uderzenie. Mogę spróbować?

- To twój pomysł. Będę w gotowości, żeby cię pozbierać, jakby się nie udało.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - W głosie Zakatha słychać było niemal chłapiące podekscytowanie.

- Och, bogowie - mruknął Garion na granicy desperacji.

- Coś nie tak? - spytał Zakath.

- Nie, chyba nie. Idź i spróbuj, jeśli czujesz taką potrzebę.

- Cóż to za różnica? To niemożliwe, żebyśmy odniósł jakieś obrażenia, prawda?

- Aż tak daleko bym się nie posuwał. Widzisz tego tam? - Garion wskazał na rycerza, który właśnie został wysadzony z siodła i przeleciawszy przez odgradzający drog runął na plecy przy wtórze chrzęstu rozpadającej się zbroi.

- Nic mu się nie stało, prawda?

- Jeszcze się rusza, ale będą potrzebowali kowala, żeby wydobyć go z tego żelastwa.

Wtedy dopiero zajmie się nim medyk.

- Nadal uważam, że mogłoby się udać - upierał się Zakath.

- Wyprawimy ci wspaniały pogrzeb, jeśli się mylisz. No dobrze, teraz kolej na nas. Chodźmy po lance.

Końcówki tępych lanc okręcono kilkoma warstwami baranich kozuchów, i dodatkowo zawinięto w płótno. W rezultacie na końcu lancy wyrastały miękkie kule, które wyglądały całkiem niegroźnie. Garion wiedział jednak, że taka broń może wyrzucić człowieka z siodła z ogromną siłą i to nie lanca łamała kości, lecz gwałtowny kontakt z ziemią. Miał rozproszone myśli, kiedy zaczął skupiać wolę, i najlepszym wyrażeniem, jakie mógł wymyślić na jej uwolnienie, było: „Zrób to w ten sposób”. Nie miał pewności, że stanie się tak, jak zaplanował. Pierwszy przeciwnik został wyrzucony z siodła jakieś pięć stóp, zanim lanca Gariona dotknęła jego tarczy. Garion dopasował aurę mocy do swej lancy. Technika Zakatha, co Garion zauważył z pewnym zdziwieniem, sprawdzała się bez najmniejszego zarzutu. Jeden prawie niezauważalny skręt przedramienia odbijał lancę przeciwnika, a wtedy jego własna tępa broń godziła prosto w środek tarczy rycerza. Mężczyzna wyrzucony z impetem z szarżującego konia zataczał w powietrzu szeroki łuk, a odgłos zetknięcia z ziemią przypominał dźwięk, który mógłby towarzyszyć zawałającej się kuźni. Obydwaj nieprzytomni przeciwnicy zostali natychmiast zniesieni z pola. Ten dzień okazał się co najmniej fatalny dla dumy Perivoru. W miarę jak król Rivy i cesarz Mallorei nabierali doświadczenia we władaniu tego typu bronią, coraz śmielej dokazywali wśród odzianych w

stał rycerzy Perivoru zapelniając pole jęczącymi rannymi. Dla rycerzy z wyspy było to coś więcej niż druzgocząca klęska. Było to coś, co zaczęło przybierać rozmiary katastrofy. W końcu uświadomili sobie, że mają do czynienia z parą niepokonanych mężów. Wówczas rycerze Perivoru zebrali się na wspólną naradę, po czym wszyscy pochyłili głowy przed zwycięzcami.

- Jaka szkoda - powiedział z żalnością w głosie Zakath. - Zaczynałem się dobrze bawić.

Garion puścił mimo uszu spostrzeżenie swego przyjaciela.

Kiedy mistrzowska dwójka ruszyła w kierunku platformy, aby oddać zwyczajowy pokłon królowi, białooki Naradas wyszedł im naprzeciw ze służalczym uśmiechem na twarzy.

- Wyrazy uznania, szlachetni rycerze - przemówił. - Ludzie z was wielkiego męstwa i niebywałych umiejętności. Zwyciężyliście na onym polu zbierając laury dzisiejszego dnia. Wszelako do uszu waszych dotarła już wieść o wielkiej nagrodzie i glorii, jakowa należna jest mistrzom tegoż turnieju?

- Nie - odparł krótko Garion. - Przyznaję, iż nie słyszeliśmy.

- Zwyciężyliście dzisiaj, aby dostąpić zaszczytu pokonania bestii, jakowa od jakiegoś czasu mąci spokój zacnego królestwa.

- Jakiej bestii? - spytał podejrzliwie Garion.

- No jakże to, szlachetny rycerzu, oczywiście smoka.

Rozdział XIV

- Znowu nas przechytrzył, co? - mruknął Beldin, kiedy po zakończonym turnieju powrócili do swych komnat. - Białooki zaczyna mnie odrobinę drażnić. Chyba podejmę odpowiednie kroki.

- Za dużo hałasu - stwierdził Belgarath. - Tutejsi ludzie nie są w pełni Mimbratami. - Zwrócił się do Cyradis. - Magia wywołuje pewien szczególny dźwięk.

- W istocie - odparła. - Wiem o tym.

- Czy ty go słyszysz? Skinęła głową.

- Czy są na wyspie inni Dalowie, którzy również go słyszą?

- Jako i rzekłeś, Przedwieczny Belgaracie.

- A ci nieprawdziwi Mimbraci? Są przynajmniej w połowie Mimbratami. Czy możliwe, żeby niektórzy z nich też go słyszeli?

- W zupełności.

- Dziadku - rzekł Garion zmartwionym głosem - to oznacza, że połowa mieszkańców Dal Perivor słyszała, co zrobiłem z lancami.

- Nie poprzez odgłosy tłumu. To wykluczone.

- Nie sądziłem, że hałas powoduje jakąś różnicę.

- Oczywiście, że tak.

- No cóż - odezwał się posępnie Silk. - Ja nie będę używał magii i gwarantuję, że nie narobię żadnego hałasu.

- Lecz pozostawisz sporo dowodów, Kheldarze - zauważył Sadi - a ponieważ jesteśmy jedynymi nieznanymi w pałacu, mogą pojawić się pewne kłopotliwe pytania, jeśli znajdą Naradasa z twoim sztyletem wystającym z pleców. Może pozwolisz, że ja się rym zajmę? Potrafię sprawić, że wszystko wygląda dużo naturalniej.

- Sadi, mówisz o zabójstwie z zimną krwią - oskarżył go Durnik.

- Doceniam twą wrażliwość, gospodarzu Durniku - odparł eunuch - lecz Naradas już dwukrotnie nas przechytrzył, za każdym razem opóźniając naszą wyprawę. Musimy usunąć go z drogi.

- Ma rację - powiedział Belgarath.

- Zith? - podsunęła Sadiemu Velvet. Pokręcił przecząco głową.

- Nie opuści swych maleństw, nawet dla przyjemności ukąszenia kogoś. Mam kilka innych pomysłów, które są równie skuteczne, choć może nie są tak szybkie.

- Zakath i ja musimy zmierzyć się z Zandramas - powiedział poważnie Garion - i tym razem, z powodu tego głupiego turnieju, musimy stawić jej czoło sami, na oczach tłumu.

- To nie będzie Zandramas - odezwała się Velvet. - Podczas gdy wy dwaj okrywaliście się splendorem, ja wraz z Ce'Nedrą rozmawialiśmy z pewnymi młodymi damami dworu. Powiedziały nam, że ta „straszliwa bestia” pojawia się tu od wielu wieków, a Zandramas przecież działa od kilkunastu lat, prawda? Sądzę, że będziecie walczyć z prawdziwym smokiem.

- Nie jestem taka pewna, Liselle - sprzeciwiła się Polgara. - Zandramas może przyjąć postać tego smoka, kiedy tylko zechce. Jeśli prawdziwy smok śpi w swej pieczarze, istnieje duże prawdopodobieństwo, że to Zandramas nawiedzała od jakiegoś czasu te tereny, co mogło być częścią planu mającego na celu sprowokowanie konfrontacji, zanim dotrzemy do miejsca spotkania.

- Będę wiedział, z kim mam do czynienia, jak tylko ujrzę tę bestię - powiedział Garion.

- W jaki sposób? - zapytał Zakath.

- Za pierwszym razem, kiedy się spotkaliśmy, odciąłem jej około czterech stóp ogona. Jeśli ta bestia, z którą się spotkamy, będzie miała kikut ogona, możemy być pewni, że to Zandramas.

- Czy rzeczywiście musimy wziąć udział w tym wieczornym święcie? - spytał Beldin.

- Oczekuje się tego od nas, wujku - powiedziała Polgara.

- Toć nie mam nijakiej, jedniusięńskiej choćby odświętnej szaty, wiecie sami - rzekł szelmowsko przechodząc na gwarę Feldegasta.

- Zadbamy o ciebie, wujku - odparła złowieszczo.

Przygotowania do wieczornej fety trwały od wielu tygodni.

Podczas uroczystego zakończenia turnieju przewidziano między innymi tańce, w których Garion i Zakath nie mogli wziąć udziału, jako że nadal mieli na sobie ciężkie zbroje. Nie mogli również uczestniczyć czynnie w wystawnej uczcie z uwagi na opuszczone przyłbice. Wznoszono wiele kwiecistych toastów za „onych potężnych mistrzów, jakowi swą obecnością dodali splendoru naszej zapomnianej wyspie”. Arystokraci na dworze króla Oldorina rywalizowali ze sobą wymyślając coraz to bardziej ekstrawaganckie pochwalne przemowy na cześć Gariona i Zakatha.

- Jak długo to jeszcze potrwa? - mruknął Zakath do Gariona.

- Do samego rana.

- Tego się obawiałem. Oto i nadchodzą damy.

Polgara mając po bokach Ce'Nedre i Velvet weszła do sali tronowej w taki sposób, jakby cały zamek był jej własnością. Cyradis, co dziwne, lub właśnie nie, pozostała w swojej komnacie. Polgara jak zwykle przywdziała królewsko błękitną, aksamitną suknię ozdobioną srebrną lamówką. Wyglądała wspaniale. Ce'Nedra miała na sobie kremową szatę przypominającą jej suknię ślubną, nieco skromniejszą ze względu na brak drogocennych pereł. Bogactwo kasztanowych włosów spływało kaskadami spiralnych loków otulając jedno z ramion królowej. Velvet wdziała zmysłową lawendową suknię. Wszyscy młodzi rycerze Perivoru - ci, którzy byli w stanie chodzić po wydarzeniach minionego dnia, stali bezradnie nie mogąc oderwać oczu od przepięknych bogiń, jakie nawiedzały ich barwne sny.

- Myślę, że nadszedł czas na pewne zdawkowe przedstawienia - wymamrotał Garion do Zakatha.

Z konieczności zachowania anonimowości, panie od czasu przyjazdu nie opuszczały swych komnat. Garion podprowadził je do tronu.

- Wasza wysokość - zwrócił się do króla Oldorina wykonując lekki ukłon - choć nie wolno mi, z racji lub potrzeby zachowania tajemnicy, wyjawić ci ze wszelakimi szczegółami nazw krain, z jakowych pochodzą owe zacie niewiasty, wykazałbym się brakiem kurtuazji wobec ciebie i wobec samych dam, gdybym nie wyjawiał ich szlachetnych imion. Mam zaszczyt przedstawić jej miłość, księżnę Eratu. - Garion chrząknął; nikt w tej części świata nie mógł mieć najmniejszego pojęcia, gdzie znajdował się Erat.

Polgara dygnęła z najwyższą gracją.

- Wasza miłość - pozdrowiła króla dźwięcznym głosem.

Wstał skwapliwie.

- Wasza miłość - odparł z głębokim ukłonem. - Twa obecność dodaje blasku jaśniejszego niżli słoneczny owemu skromnemu siedlisku, w jakowym przyszło nam pędzić żywot.

- Wasza wysokość - kontynuował Garion - jej miłość, księżna Xera. - Ce'Nedra spojrzała na niego pytająco. - Twoje prawdziwe imię może okazać się zbyt znane - szepnął do niej.

Ce'Nedra przybrała poważną minę.

- Wasza wysokość - powiedziała z dygnięciem nie ustępującym gracją ukłonowi Polgary.

- Wasza miłość - odparł król. - Twa uroda odbiera mi mowę, jako że niegodzien jestem słowami oną wysławiać.

- Czyż nie jest miły? - mruknęła Ce'Nedra.

- I wreszcie, wasza wysokość - powiedział na zakończenie Garion - margrabina Turii - przedstawił Velvet wymyślając na poczekaniu nowe imię.

Velvet dygnęła.

- Wasza wysokość - odezwała się. Podnosząc głowę uśmiechnęła się oczarowując go urokiem swych dołeczków.

- Pani... - król zawahał się i uklonił raz jeszcze - twój uśmiech wstrzymuje bicie mego serca. - Rozejrzał się dookoła lekko zdziwiony. - Wydaje mi się, iż oczy me dostrzegły niegdyś jeszcze jedną damę pośród twych przyjaciół, szlachetny rycerzu - zwrócił się do Gariona.

- Biedna niewidoma, wasza wysokość - odparła szybko Polgara - która niedawno do nas dołączyła. Rozrywki dworu, obawiam się, nie mogłyby być docenione przez kogoś, kto żyje otoczony wieczną ciemnością. Znajduje się pod opieką olbrzyma, jednego z wiernych sług jej rodziny, który prowadzi ją i ochrania od czasu, kiedy to światło dnia na zawsze skryło się przed jej oczyma.

Dwie wielkie łzy współczucia spłynęły po policzkach króla. Arendowie, nawet ci przesiedleni, pozostali mimo wszystko uczuciowymi ludźmi.

Do sali weszli pozostali przyjaciele Gariona i dzielny rycerz cieszył się, że przyłbica skutecznie maskuje jego szeroki uśmiech. Twarz Beldina przypominała burzową chmurę. Odziany w błękitną togę niczym nie ustępującą białej todze Belgaratha, z umyтыми i ufryzowanymi włosami i gęstą brodą prezentował się znakomicie. Garion dokonał dalszej prezentacji, równie fałszywej co poprzednie, kończąc słowami: „A oto, wasza wysokość, szlachetny Feldegast, wyjątkowego talentu, jego osobliwe żarty rozjaśniają długie, męczące dni naszej wędrówki”.

Beldin rzucił mu gniewne spojrzenie, po czym skłonił się lekko.

- Ach, wasza wysokość, jakem ujęty znakomitością onego miasta i twego precudownego pałacu. Równać się z nim jeno przystało takowym siedliskom jak Tol Honeth, Mal Zeth czy Melcene. Wszystkie zwiedziłem, kunszt mój ukazując niepoślednim ludeczkom, wiecie sami.

Krół śmiał się szeroko.

- Szlachetny Feldegaście - odezwał się pochylając głowę. - Na świecie pełnym zmartwień, tacy jako ty są rzadkością wielce drogą sercom naszym.

- Ach, czyż to nie dostojne słowa, wasza miłość?

Po zakończeniu oficjalnej części przybysze wmieszali się w tłum. Pewna młoda kobieta o zdeterminowanym wyrazie twarzy podeszła do Gariona i Zakatha.

- Najwięksi z was rycerze na świecie, szlachetni panowie - powitała ich z lekkim dygnięciem - a majestat waszych przyjaciół świadczy lepiej niżli słowa, iż w waszych żyłach płynie szlachetna, a może nawet królewska krew. - Obdarzyła Gariona wnikliwym spojrzeniem. - Czyż nie jesteś przez przypadek zaręczony, szlachetny rycerzu?

Kolejne powtórzenie historii, jęknął w duchu Garion.

- Poślubiony, moja pani - odparł. Tym razem wiedział, jak sobie radzić w takiej sytuacji.

- Ach - odparła z wyraźnym rozczarowaniem w oczach, po czym zwróciła się do Zakatha. - A ty, mój panie? - spytała. - Czyś ty również jest poślubiony, albo zaręczony?

- Nie, moja pani - odpowiedział Zakath wyraźnie zdumionym głosem.

Jej oczy rozświeciły się promiennym blaskiem. W tym momencie wtrącił się Garion.

- Nadszedł czas, mój przyjacielu, ażebyś zażył kolejną dawkę eliksiru o obrzydliwym smaku.

- Dawkę? - spytał zaskoczony Zakath. Garion westchnął.

- Twa choroba postępuje, jak widzę - powiedział przybierając współczujący ton. - Obawiam się, iż owe zaniki pamięci są jeno zaczątkiem jeszcze gorszych symptomów, jakowe nieuniknienie nadchodzą. Módl się do wszystkich siedmiu bogów, abyśmy zakończyli nasze poszukiwania, zanim całkowicie zawładnie tobą to dziedziczne obłąkanie, przekleństwo twojej rodziny.

Młoda kobieta o zdeterminowanym wyrazie twarzy wycofała się czym prędzej z szeroko rozwartymi oczami przepelnionymi strachem.

- O czym ty mówisz, Garionie? - wymamrotał Zakath.

- Już tego kiedyś doświadczyłem. Ta dziewczyna szukała męża.

- Toż to absurd.

- Nie dla niej.

Zaczęły się tańce i dwaj zakuci w stal mężczyźni odeszli na bok, by przyjrzeć się pląsającym tancerzom.

- To głupi sposób spędzania wolnego czasu, nieprawdaż? - zauważył Zakath. - Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego normalni ludzie decydują się w ten sposób marnować czas.

- Ponieważ damy uwielbiają tańczyć - wyjaśnił Garion. - Nigdy nie spotkałem żadnej, która nie lubi. Myślę, że mają to we krwi. - Spojrzał w kierunku tronu i zauważył, że król akurat nie był zajęty. Siedział uśmiechając się i przytupując nogami do rytmu. - Poszukajmy Belgaratha i chodźmy porozmawiać z królem. To może być dobry moment, aby spytać go o tablicę.

Belgarath opierał się o jedną z przypór obserwując tańczących z lekko znudzonym wyrazem twarzy.

- Dziadku - odezwał się Garion - nikt teraz nie rozmawia z królem. Może spytamy go o mapę?

- Dobry pomysł.

Podeszli do tronu i pochylili z szacunkiem głowy.

- Czy zechciałbyś poświęcić nam okrucz swego drogiego czasu, wasza miłość? - zapytał Garion.

- Oczywiście, szlachetny rycerzu. Ty i twoi przyjaciele jesteście moimi mistrzami i byłoby grubiańskim postępkiem z mej strony, gdybym nie posłuchał, co macie do powiedzenia. Jakaż to sprawa zaprzęta wasze umysły?

- Nic ważkiego, wasza wysokość. Obecny tu szlachetny Garath... - Garion pominął „Bel” przedstawiając starca - ...jako już wcześniej wspomniałem, jest mym najstarszym doradcą i nauczał mnie stawiać pierwsze kroki. W dodatku, jest on uczonym wysokiej miary i ostatnimi czasy zaprzęta swój wybitny umysł tajnikami geografii. Od długiego czasu istnieje spór między geografami dotyczący konfiguracji świata antycznego. Przez najczystszy przypadek szlachetny Garath dowiedział się o starożytnej tablicy, jakowa, jak zapewniał go ów człek co przekazał mu ona wieść, jest przechowywana w pałacu w Dal Perivor. O władnięty wszechogarniającą ciekawością, szlachetny Garath ubłagał mnie, abym cię spytał, czy wiesz coś o istnieniu takowej tablicy, a jeśli byłaby to prawda, czy pozwoliłbyś łaskawie rzucić na nią okiem.

- W rzeczy samej, szlachetny Garacie - odparł król - zapewniam ja cię, iż twój informator nie mylił się wcale. Mapa, jakowej poszukujesz, należy do naszych najcenniejszych reliktyw, jako że jest to ta sama mapa, jakowa wieki temu doprowadziła naszych przodków do wybrzeży onej wyspy. Gdy tylko znajdziemy chwilę wolnego czasu, z największą radością udostępnię ci ją, ażeby mogła przysłużyć się w twych zacnych badaniach.

Wtem zza purpurowej zasłony znajdującej się z tyłu tronu wyłonił się Naradas.

- Obawiam się, wasza wysokość, że nie będzie zbyt dużo czasu na oglądanie - powiedział chytrym głosem. - Przebacz mi, królu, lecz przypadkiem posłyszałem twoją ostatnią uwagę, kiedy właśnie śpieszyłem, aby przynieść ci rozpaczliwe wieści. Ze wschodu przybył posłaniec głoszący, iż straszliwy smok pustoszy wioskę Dal Esta położoną nie dalej jak trzy mile stąd. Nie sposób przewidzieć zachowania się bestii, która może zagłębić się w lesie na wiele dni, aby wyłonić się ponownie w najmniej oczekiwanym miejscu. Dobrze się

składa, że potwór pojawił się właśnie teraz, jako że w obecnej chwili jesteśmy najlepiej przygotowani, aby uderzyć. Czyż istnieje lepsza okazja dla naszych dwóch szlachejnych gości, aby ruszyć na bestię i uwolnić nas od tej przykrości? A jak sądzę, owi potężni rycerze bardzo liczą się ze słowem onego wiekowego doradcy i będzie dobrze, gdy podaży z nimi pomagając opracować najprzedniejszą strategię.

- Ładnie powiedziane, Erezelu - zgodził się przepelniony entuzjazmem monarcha. - Obawiałem się wszakże, iż wypędzenie bestii z ukrycia może zająć całe tygodnie, a tu dokonało się to w ciągu jednej nocy. A zatem ruszajcie, wielcy mistrzowie i ty szlachejny Garacie. Uwolnijcie me królestwo od smoka, a żaden bonus, o jakowy poprosicie, nie będzie wam odmówiony.

- Odkryłeś to w samą porę, szlachejny Erezelu - stwierdził Belgarath wypowiadając wydawałoby się beznamyennie słowa, lecz Garion natychmiast domyślił się ich implikacji. - Jak zaznaczył jego wysokość, oszczędziłeś nam tej nocy dużo czasu. Gdy tylko znajdę wolną chwilę, pomyślę, jak należycie odwdzięczyć ci się za tę przysługę. Naradas lekko skurczył się w sobie.

- Nie kłopotz się z podziękowaniami, szlachejny Garacie - odparł. - Spełniłem jeno swój obowiązek wobec mego króla i jego królestwa.

- Ach, tak - odrzekł Belgarath - obowiązek. Wszyscy mamy swoje obowiązki, prawda? Pozdrów ode mnie Dziecko Ciemności, kiedy następnym razem będziesz się do niej modlił. Przekaż jej, że jak zostało przepowiedziane, wkrótce się spotkamy.

Po tych słowach odwrócił się i wraz z Garionem i Zakathem przeszli przez tłum roztańczonych gości i opuścili komnatę tronową. Dopóki Belgarath znajdował się pośród nieznanomych, wyraz jego twarzy był obojętny. Kiedy jednak znaleźli się w opustoszałym korytarzu, zaczął przeklinać siarczyście.

- Już prawie miałem mapę w ręku! - ryknął wzburzony. - Naradas znów mi to zrobił.

- Czy mam pójść po pozostałych? - spytał Garion.

- Nie. Wszyscy chcieliby pójść z nami, a to tylko sprowokuje kłótnię. Zostawimy im wiadomość.

- Znowu?

- Te powtórzenia stają się coraz bardziej regularne, prawda?

- Miejmy nadzieję, że Polgara tym razem nie zareaguje w ten sam sposób.

- O czym wy mówicie? - zapytał Zakath.

- Silk, dziadek i ja wyslizgnęliśmy się z Rivy, kiedy wyruszyliśmy na spotkanie z Torakiem - wyjaśniał Garion. - Zostawiliśmy wiadomość, lecz ciocia Pol opacznie ją

zrozumiała. Pamiętam mnóstwo przekleństw i sporo wybuchów.

- Lady Polgara? Jest przecie uosobieniem delikatności.

- Nie daj się omamić, Zakacie - rzekł Belgarath. - Wstrętny charakter Pol ujawnia się, kiedy sprawy nie układają po jej myśli.

- To chyba cecha rodzinna - odparł szczerze Zakath.

- Próbujesz być zabawny? Idźcie obydwaj do stajni. Każcie parobkom osiodłać konie i dowiedzcie się, gdzie znajduje się ta wioska. Zanim wyruszymy, chcę porozmawiać z Cyradis. Zamierzam wydobyć od tej dziewczyny kilka jasnych odpowiedzi. Za chwilę dołączę do was na dziedzińcu.

Wkrótce dosiedli koni. Garion i Zakath wzięli swe długie lance ze stojaka w stajni, po czym cała trójka opuściła teren pałacu.

- Powiodło ci się z Cyradis? - Garion zwrócił się do Belgaratha.

- W pewnym sensie. Powiedziała mi, że ten smok to nie Zandramas.

- A zatem to prawdziwy smok?

- Prawdopodobnie tak. Potem zrobiła się tajemnicza. Powiedziała, że jakiś inny duch opętał tego smoka, co oznacza, że obaj musicie zachować niesłychaną ostrożność. Smoki zwykle są bardzo głupie, lecz jeśli ich umysły są we władaniu jakiegoś ducha, mogą okazać się bardziej nieprzewidywalne.

Z bocznej uliczki wyłonił się zwinny kształt i w ciemności zamigotały zielone oczy wilczycy.

- Co słyhać, mała siostró? - powitał ją oficjalnie Garion. W ostatnim momencie powstrzymał się od nazwania jej babcią.

- Jestem zadowolona - odparła. - Wyruszać na łowy. Będę wam towarzyszyć.

- Muszę cię przestrzec, że stworzenie, którego szukamy, nie nadaje się do jedzenia.

- Poluję nie tylko po to, by jeść.

- A zatem radzi jesteśmy z twego towarzystwa.

- Co ona powiedziała? - spytał Zakath.

- Chce iść z nami.

- Ostrzegłeś ją, że będzie niebezpiecznie?

- Myślę, że sama o tym wie.

- To jej sprawa. - Belgarath wzruszył ramionami. - Próżno próbować nakazać coś wilkowi.

Przejechali przez bramę i ruszyli drogą wskazaną przez jednego z giermków.

- Powiedział, że to jakieś osiem mil - odezwał się Garion. Belgarath spojrzął na nocne

niebo.

- Dobrze - rzekł - jest pełnia. Pogalopujemy, wstrzymując wierzchowce jakąś milę przed tą wioską.

- Skąd będziemy wiedzieć, że jesteśmy tak blisko? - spytał Zakath.

- Będziemy wiedzieć - odparł posępnie Belgarath. - Ujrzymy różne rodzaje płomieni.

- One tak naprawdę nie zioną ogniem, prawda?

- Prawdę mówiąc, zioną. Obydwaj macie na sobie zbroje, więc będziecie dość bezpieczni. Boki smoka i brzuch są nieco delikatniejsze niż grzbiet. Spróbujcie ugodzić go lancami, a potem dokończcie dzieła mieczami. Nie przeciągajmy sprawy. Chcę wrócić do pałacu i dostać w swe ręce tę mapę. Jedźmy.

Po pewnym czasie ujrzeli przed sobą ognistą lunę. Belgarath wstrzymał konia.

- Teraz ostrożnie - powiedział. - Zanim zaatakujemy, musimy go dokładnie zlokalizować.

- Pobiegnę się rozejrzeć - rzekła wilczyca i sadząc wielkie susy zagłębiła się w otaczającej ich ciemności.

- Cieszę się, że jest z nami - przyznał Belgarath. - Z jakiejś przyczyny lepiej się czuję mając ją u boku.

Żelazna przyłbica skryła uśmiech Gariona.

Wioska Dal Esta usytuowana była na wierzchołku wzgórza i widzieli dokładnie potężne jężory czerwonych płomieni wystrzelające z płonących stodół i drewnianych zabudowań. Pokonali pierwszą pochyłość wzgórza i ujrzeli czekającą na nich wilczycę.

- Widziałam stworzenie, którego szukacie - odezwała się. - Dokarmia się właśnie po drugiej stronie tego wzgórza, gdzie są zagrody ludzi.

- Czym się dokarmia? - spytała zaciekawiony Garion.

- Bestią taką jak ta, na której siedzisz.

- No i co? - spytał Zakath.

- Smok jest po drugiej stronie wioski - oznajmił mu Belgarath. - Właśnie pożera konia.

- Konia? Belgaracie, nie czas na żarty. Jak duży jest smok?

- Mniej więcej wielkości domu, oczywiście nie licząc skrzydeł. Zakath głośno przełknął ślinę.

- Może rozważymy to ponownie? Jeszcze do niedawna czerpałem z życia bardzo niewiele radości. Chciałbym, w pewnym sensie, trochę się nim pocieszyć.

- Obawiam się, że nie mamy wyboru - odrzekł Garion. - Nie lata on zbyt dobrze i poderwanie się z ziemi zajmie mu trochę czasu. Jeśli zaskoczmy go podczas jedzenia, może

uda nam się go zabić, zanim zdoła odeprzeć atak.

Ostrożnie objechali pokaźne wzgórze dostrzegając spustoszone pola i szczątki na wpół zjedzonych krów. Znajdowały się tam również inne zwłoki, na które Garion starał się nie patrzeć.

Wtedy go dostrzegli.

- Na zęby Toraka! - zaklął Zakath. - Jest większy od słonia! Smok trzymał przednimi łapami martwego konia i nie tyle się nim karmił, co uctował pożerając z widocznym apetytem ociekające krwią mięso.

- Spróbujcie - powiedział Belgarath. - Zwykle nie zachowują należytej ostrożności podczas jedzenia. Uważajcie jednak na siebie. Skończcie z nim, gdy tylko zatopicie w jego cielsku lance. Nie pozwólcie koniom upaść, bo wówczas je zabije. Walka ze smokiem na własnych nogach może skończyć się dla człowieka tragicznie. Nasza mała siostra i ja zajdziemy go od tyłu i zaatakujemy ogon. To bardzo wrażliwe miejsce i kilka ugryzień może rozproszyć jego uwagę. - Zsiadł z konia, odszedł kawałek i zmienił się w wielkiego srebrnego wilka.

- Taki widok wciąż rozstraja me nerwy - przyznał Zakath. Garion przypatrywał się bacznie uczującemu smokowi.

- Zauważcie, że ma podniesione skrzydła - powiedział cicho. - Ponieważ opuścił głowę, skrzydła zasłaniają widok na to, co dzieje się z tyłu. Ty skieruj się w tę stronę, a ja pójde w tamtą. Kiedy obydwaj zajmiemy odpowiednie pozycje, zagwizdę. Wtedy zaatakujemy. Pędź najszybciej jak potrafisz i postaraj się pozostawać za tym wzniesionym skrzydłem. Zatop w cielsku lancę najgłębiej jak możesz i zostaw ją. Dwie lance wystające z ciała powinny utrudnić mu nieco poruszanie się. Kiedy już wbijesz lancę, zawróć i uciekaj stamtąd.

- Rozważasz to z zimną krwią, Garionie.

- W takich sytuacjach należy zachować zimną krew. Gdybyś zaczął się zastanawiać, nigdy byś nie zrobił pierwszego kroku. To nie jest najrozsądniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiliśmy. Życzę szczęścia.

- Ja również.

Rozdzielili się i wolno odjechali na pewną odległość od obzerającego się smoka, aż znaleźli się po obydwu jego stronach. Zakath zamachał dwukrotnie lancą, aby pokazać, że zajął dogodną pozycję. Garion wziął głęboki oddech. Zauważył, że ręce drżą mu lekko. Odsunął od siebie wszystkie zbędne myśli i skoncentrował się na miejscu tuż za barkiem smoka. Zagwizdał przenikliwie.

Ruszyli do ataku niczym dwa gniewne anioły zemsty.

Strategia okazała się nadzwyczaj skuteczna, łuski smoka były jednak twardsze, niż przypuszczał, i lance nie zagłębiły się w muskularne cielsko tak głęboko, jak Garion tego oczekiwał. Zawrócił Chretienne i odjechał najszybciej jak mógł.

Smok zaskrzeczał przeraźliwie i zionąc ogniem próbował odwrócić się w kierunku Gariona, lecz wystające z boków lance utrudniały każdy ruch. Wtedy właśnie do walki przystąpili Belgarath i wilczyca zajadle gryząc i rozdzierając łuskowaty ogon. W desperackiej obronie smok spróbował zatrzepotać ogromnymi niczym żagle skrzydłami. Uniósł się w powietrze rycząc i buchając ogniem.

- Ucieka! - Garion posłał myśl do swego dziadka.

- Wróci. Ta bestia pała żądzą zemsty.

Garion przejechał obok martwego konia i dołączył do Zakatha.

- Rany, jakie mu zadaliśmy, są chyba śmiertelne, prawda? - zapytał Mallooreanin z nadzieją w głosie.

- Myślę, że płonne twe nadzieje - odparł Garion. - Obawiam się, że nie wbiliśmy lanc wystarczająco głęboko. Trzeba się było cofnąć jeszcze sto kroków dalej, by zyskać odpowiedni rozpęd i siłę. Dziadek mówi, że możemy się spodziewać jego powrotu.

- Garionie - zabrzmiał w jego umyśle głos Belgaratha. - Zamierzam coś zrobić. Powiedz Zakathowi, żeby nie wpadł w panikę.

- Zakacie - odezwał się Garion. - Belgarath zamierza użyć magii. Nie przeraż się.

- Co chce uczynić?

- Nie wiem. Nie powiedział mi. - Garion poczuł znajomy przypływ woli i towarzyszący mu szelest. Powietrze dookoła nich nabrało bladolazurowej barwy.

- Kolorowo - powiedział Zakath. - Co to ma zdziałać? - W jego głosie wyczuwało się wyraźne zdenerwowanie.

Belgarath wyłonił się z ciemności.

- No, dobrze - odezwał się mową wilków.

- Co to takiego? - spytał Garion.

- Rodzaj tarczy. Ochroni was przez ogniem, przynajmniej częściowo. Zbroja powinna dopełnić reszty. Możecie się nieco osmalić, lecz ogień nie wyrządzi wam krzywdy. Nie cieszcie się jednak przedwcześnie, smok ma jeszcze pazury i kły.

- To pewnego rodzaju tarcza - zwrócił się Garion do Zakatha. - Ochroni nas przed płomieniami.

Wtem na wschodzie ujrzeni ogromny słup ognia i usłyszeli przenikliwy skrzek.

- Przygotuj się! - rzucił ostro Garion. - Wraca! - Ostrzegając Klejnot, wyciągnął miecz Rivy Żelaznopalcego. Zakath również wyjął z pochwy swój szeroki miecz. - Odjedź trochę dalej - polecił Garion. - Na tyle daleko, żeby mógł zaatakować tylko jednego z nas. Jak ruszy na ciebie, ja zaatakuję go od tyłu. Jeśli rzuci się na mnie, ty zrób to samo. Spróbuj dostać się do ogona. Traci głowę, gdy atakuje się ogon. Będzie próbował się odwrócić, żeby go ochronić. Wówczas jednemu z nas powinno się udać zadać mu cięcie w szyję.

- Rozumiem - odezwał się Zakath.

Rozjechali się ponownie, w napięciu oczekując ataku smoka.

Garion zauważył, że pokryta łuskami bestia zdążyła odgryźć wystające drzewca lanc i jedynie krótkie ich kikuty sterczały teraz z jej boków. Natarła na Zakatha, a siła jej uderzenia wysadziła cesarza z siodła. Koziółkując w powietrzu runął na ziemię, lecz niemalże w tej samej chwili zerwał się, by stanąć na nogi. Smok bluznął w niego ognistymi jęzorami płomieni.

Zakath próbował wstać, instynktownie jednak cofał się przed każdą falą gorąca, a szpony smoka dosięgały go nieustannie, uniemożliwiając odzyskanie równowagi. Smok węzowym ruchem wyrzucił w przód swą głowę i ociekające syczącą posoką kły zaskrzypiały na zbroi Zakatha.

W tym momencie Garion zrezygnował z ustalonej wcześniej strategii działania. Jego przyjaciel potrzebował natychmiastowej pomocy. Pomimo ciężkiego pancerza Król Rivy zwinnie zeskoczył z siodła i ruszył na odsiecz. .

- Potrzebuję ognia! - warknął do Klejnotu i jego wielki miecz natychmiast rozkwitł jasnoblękitnym płomieniem. Wiedział, że Torak, który niewątpliwie stworzył tę bestię, uczynił ją nieczułą na zwyczajne czary, lecz miał nadzieję, że smok okaże się nieodporny na siłę Klejnotu. Zasłoniwszy Zakatha własnym ciałem, trzymając miecz oburącz, dwoma potężnymi cięciami zmusił smoka do cofnięcia się. Gdy miecz dotykał smoczej skóry, rozlegało się głośnie nieprzyjemne skwierczenie, a potwór skowyczał z bólu pod każdym ciosem. Nie uciekał jednak.

- Wstawaj! - zawołał Garion do Zakatha. - Wstawaj na nogi! - Usłyszał za plecami pbrzękiwanie zbroi, gdy Malloreanin próbował się podnieść. Nagle ignorując ból, jaki sprawiały mu ciosy Gariona, smok rzucił się na niego z rozczapierzonymi szponami i król Rivy zachwiał się pod silnym uderzeniem masy cielska. Zatoczywszy się do tyłu upadł na Zakatha. Smok zaryczał zwycięsko i ruszył do przodu. W desperacji Garion ugodził mieczem w bezmyślne oko gada, wykluwając je przy wtórze syku i skwierczenia. Próbował za wszelką cenę wstać. Przez głowę przebiegła mu dziwna myśl. To było to samo oko. Lewe oko Toraka

zostało zniszczone mocą Klejnotu, a teraz to samo przytrafiło się smokowi. Pomimo wielkiego niebezpieczeństwa Garion poczuł nagle, że jest pewny zwycięstwa.

Smok runął na ziemię rycząc z bólu i szału. Garion wykorzystując bezsilność potwora z trudem wstał na nogi i pomógł podnieść się Zakathowi.

- Zajdź go z lewej strony! - rzucił. - Teraz jest ślepy na to oko! Celuj w szyję!

Rozdzielili się pędząc na swoje pozycje, by zaatakować, zanim smok dojdzie do siebie. Garion ciął olbrzymim, jarzącym się mieczem przez pysk smoka. Ze straszliwej rany bluznęły strumienie brunatnej posoki opryskując mu zbroję. Smok odpowiedział na cios zalewając wroga kaskadą płomieni. Król Rivy nie zwracając większej uwagi na ogień szedł do przodu tnąc raz po raz w ogromny łeb. Widział, jak Zakath zadawał potężne ciosy w węzową szyję smoka trzymając oburącz swoją broń, lecz ciężkie, nachodzące na siebie łuski udaremniały jego wysiłki. Garion zaatakował z jeszcze większym impetem. Na wpół oślepiiony smok rzucił się na niego z wyciągniętymi szponami. W rozpaczliwej obronie Garion ugodził pokrytą łuskami łapę odrabując ją w połowie. Zraniony smok zaczął się wycofywać.

- Rób swoje! - wrzasnął Garion do Zakatha. - Nie daj mu odetchnąć!

Dwaj rycerze krok po kroku zmuszali ohydny bestię do odwrotu traktując ją naprzemiennie uderzeniami mieczy. Kiedy uderzał Garion, smok odwracał głowę, by skapać go w poździe płomieni. Wówczas Zakath ciął w tył smoczej głowy. Potwór odwracał głowę, aby odeprzeć jego atak, a wtedy Garion ponownie atakował. Zdezorientowany i rozwścieczony tą śmiertelną taktyką smok bezradnie miotał głowę w przód i w tył, a jego płonący oddech trawił krzaki i darń, nie wyrządzając jednak żadnej szkody napastnikom. Wreszcie nie mogąc już znieść potwornego bólu bestia zaczęła rozpaczliwie trzepotać skrzydłami, niezdarnie próbując wznieść się w powietrze.

- Nie zwalnij! - zawołał Garion. - Spychaj go dalej! - Kontynuowali swój morderczy atak. - Spróbuj trafić w skrzydła! - wołał Garion. - Nie pozwól mu odlecieć!

Przenieśli siłę ataku na nietoperzowe skrzydła, lecz w tym momencie smok ociężale podniósł się z ziemi i nie przestając ryczeć, zionąc ogniem i brocząc krwią odleciał na wschód.

Belgarath powrócił do swej postaci i podbiegł do nich rozwścieczony.

- Czyście oszaleli? - wrzasnął na nich. - Mówiłem, że macie uważać!

- W takich chwilach sprawy zaczynają wymykać się spod kontroli, Belgaracie - wysapał Zakath. - Nie mieliśmy specjalnego wyboru. - Popatrzył na rivańskiego króla. - Ocaliłeś mi życie, Garionie - powiedział. - Zaczyna ci to wchodzić w nawyk.

- Wypadało tak postąpić - odparł wyczerpany Garion siadając na ziemi. - Musimy go ścigać. W przeciwnym razie powróci.

- Nie sądzę - odezwała się wilczyca. - Mam spore doświadczenie z rannymi bestiami. Wsadziliście jej patyki w ciało, wykluliście oko i ogniem cięliście jej pysk i łapę. Powróci do swej nory i pozostanie tam, aż wylizze się z ran, lub umrze.

Garion szybko przetłumaczył jej słowa Zakathowi.

- Pojawia się jednak pewien problem - rzekł z powątpiewaniem cesarz Mallorei. - W jaki sposób przekonamy króla, że wypędziliśmy potwora na dobre? Gdybyśmy zabili smoka, nie mielibyśmy żadnych zobowiązań wobec tutejszego władcy, lecz król, wspierany podszeptami Naradasa, może nalegać, żebyśmy tu zostali, aż upewni się, że smok nie powróci.

Belgarath zmarszczył brwi.

- Myślę, że Cyradis miała rację - powiedział. - Smok nie zachowywał się normalnie dla swego rodzaju. Za każdym razem, kiedy Garion uderzał go płonącym mieczem, natychmiast się cofał.

- A ty byś tego nie robił? - zapytał Zakath.

- To trochę inna sprawa. Smok jest nieczuły na ogień. Coś więc nim kierowało, coś co Klejnot potrafi ranić. Przedyskutuję to z Beldinem po powrocie. Jak tylko odzyskacie oddech, wsiadamy na konie i wracamy. Chcę dotrzeć do Dal Perivor i przyjrzeć się tej mapie.

Rozdział XV

Wczesnym świtem wrócili do pałacu i ku swojemu zdziwieniu zauważyli, że prawie wszyscy już nie spali. Kiedy Garion i Zakath weszli do sali tronowej, wśród zebranych rozległy się westchnienia i sapania. Zbroja Gariona była w wielu miejscach osmalona i zboczona krwią smoka. Opończa Zakatha była zwęglona, a na napierśniku widniały ślady wielkich kłów. Stan ich zbroi świadczył najlepiej o zaciekłości walki, jaką stoczyli z potworem.

- Moi zacni mistrzowie! - zawołał król, gdy weszli do komnaty. Z początku Garionowi wydawało się, że król doszedł do wniosku, iż skoro wracają żywi, na pewno udało im się zabić smoka. - W ciągu minionych lat, kiedy bestia owa pustoszyła nasze królestwo - powiedział jednak król - po raz pierwszy zmuszono ją do odwrotu. - Zauważając zdumienie Belgaratha dodał: - Tuż przed świtaniem dostrzegliśmy smoka, jakowy szybował nad miastem rycząc z bólu i trwogi.

- W jakim kierunku odleciał, wasza wysokość? - zapytał Garion.

- Widziano go, jako umykał w kierunku morza, szlachetny rycerzu, a jak wszyscy szlachetni wiecie, jego legowisko znajduje się na zachodzie. A zatem męstwo twoje i twego walecznego towarzysza wypędziło bestię poza granice naszego królestwa. Wątpię, iżby szukał schronienia w onej pieczarze i tam lizał swe rany. A teraz raczcie, szlachetni rycerze, zaspokoić ciekawość naszą relacją owego wydarzenia.

- Wybacz, wasza wysokość - mruknął Belgarath wychodząc naprzód - lecz mistrzowie twoi są nadzwyczaj skromnymi ludźmi. Obawiam się więc, że opisując swój czyn przemilczeliby wiele szczegółów pragnąc nic chełpić się zbyt swymi osiągnięciami. Może będzie więc lepiej, gdy ja opiszę to zdarzenie, ażeby wasza wysokość i zebrani tu dworzanie usłyszeli bliższą prawdy wersję tego, co nie tak dawno się zdarzyło.

- Prawdę rzeczesz, szlachetny Garacie - odparł król. - Prawdziwa pokora bywa koroną człeka wysokiego urodzenia, lecz czasami, jak to ująłeś, przesłania prawdę o wydarzeniu, takim na ten przykład, w jakowym pierwsze struny grali stojący przed nami rycerze. Błagam cię przeto, rzecz śmiało.

- Od czego tu zacząć? - Belgarath udawał, że się namyśla. - No, cóż. Jak wasza wysokość zapewne wie, ostrzeżenie szlachetnego Erezela, że smok pustoszy wioskę Dal Esta, przyszło w samą porę. Kiedy tylko opuściliśmy tę komnatę, popędziliśmy do koni i spieszenie ruszyliśmy w kierunku wspomnianej wioski. Ujrzyliśmy buchające płomienie, niezbite świadectwo ognistego oddechu smoka. Wiele bydła, a także wielu mieszkańców wioski

zostało bestialsko zabitych i częściowo pożartych przez bestię, dla której każdy rodzaj mięsa stanowi pożywienie.

- Żałosne - westchnął król.

- Jego współczucie jest godne pochwały - mruknął Zakath do Gariona - lecz ciekaw jestem, czy będzie chętny wspomóc swymi skarbami wieśniaków w odbudowie domostw.

- Oddać z powrotem część podatków po tym, jak zadał sobie tyle trudu, by je wyciągnąć od ludzi? - spytał Garion ze wzgardliwym zdziwieniem. - Cóż za szokująca propozycja.

- Twoi mistrzowie ostrożnie zbliżyli się do wioski - kontynuował Belgarath - i wkrótce zlokalizowali smoka, który właśnie pożerał stado koni.

- Widziałem tylko jednego - szepnął Zakath.

- Czasami wyolbrzymia pewne sprawy, żeby urozmaicić opowieści - odszepnął Garion.

Belgarath rozgrzewał się coraz bardziej.

- Doradziłem im - powiedział skromnie - ażeby zatrzymali się i ocenili sytuację. Natychmiast wszyscy dostrześliśmy, iż uwaga smoka całkowicie była skupiona na odrażającym ucztowaniu. Oczywiście zważywszy na rozmiary bestii i jej krwiożerczość, nie miała powodu, aby zachowywać ostrożność. Mistrzowie rozdzielili się i otoczyli ucztującego smoka tak, żeby mogli zaatakować go z dwóch stron mając nadzieję przebić jego wnętrzości swymi lancami. Ostrożnie, krok po kroku ruszyli do przodu, jako że są oni najdzielniejszymi rycerzami, lecz nie naiwnymi.

W komnacie tronowej panowała absolutna cisza. Cały królewski dwór słuchał wstrzymując oddech z fascynacją, jaką niegdyś Garion widział w jadalni na farmie Faldora.

- Czy on trochę nie przesadza? - szepnął Zakath.

- Chyba odczuwa taki wewnętrzny przymus - odszepnął Garion. - Dziadek nigdy nie pozwolił, żeby dobra opowieść opierała się jedynie na równie dobrych faktach. Zawsze czuje potrzebę artystycznego jej wygładzenia i udoskonalenia.

Przekonany, iż posiadał uwagę całej widowni, Belgarath zaczął teraz wykorzystywać wszelkie delikatne sztuczki wytrawnego gawędziarza. Zmieniał wysokość i natężenie głosu. Zmieniał intonację i rytm opowiadania. Czasami ściszał głos do szeptu. Najwyraźniej bawił się w najlepsze. Z dbałością o najmniejszy szczegół barwnie przedstawił szarżę na smoka. Powiedział o początkowym odwrocie smoka, dodając całkowicie fikcyjny triumf, jaki zagościł wówczas w sercach obu rycerzy. Powiedział o tym, jak wierzyli, że zadali bestii śmiertelne rany swymi lancami. Chociaż nie było to prawdą, wzmogło napięcie wśród

słuchaczy.

- Szkoda, że nie widziałem tej walki - mruknął Zakath. - Nasza była dużo bardziej prozaiczna.

Starzec przeszedł następnie do opisu pełnego zemsty powrotu bestii i, dla jeszcze większego zainteresowania zebranych, wyolbrzymił śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie czyhało na Zakatha.

- I wtedy - kontynuował - nie dbając o swe własne życie, jego mężny towarzysz rzucił się mu na pomoc. Chory z obawy, że przyjaciel mógł już otrzymać śmiertelną ranę, przepełniony szałem rzucił się w samą paszczę bestii zadając straszliwe cięcia trzymanym oburącz potężnym mieczem.

- Czy rzeczywiście to robiłeś? - spytał Zakath Gariona.

- Mniej więcej.

- A wtedy - rzekł Belgarath - chociaż mogło to być migotanie światła dochodzące od płonącej wioski, zdawało mi się, że ujrzałem, jak ostrze miecza naszego bohatera stanęło w ogniu. Uderzał raz za razem, a każdy cios powodował nowe strumienie brunatnej krwi i coraz głośniejsze wrzaski agonii. A wtedy stała się rzecz straszliwsza od najstraszliwszych, przypadkowy cios potężnych szponów smoka odrzucił naszego bohatera w tył. Zachwiał się i upadł na ciało swego towarzysza, który wciąż nadaremnie próbował się podnieść.

Przez tłum zgromadzony w sali tronowej przebiegły jęki przerażenia, mimo że obecność dwóch mistrzów niezbitcie świadczyła, iż przetrwali morderczą walkę.

- Przyznaję otwarcie - kontynuował Belgarath - że w swym sercu poczułem czarną rozpacz. Kiedy jednak rozszalały smok rzucił się, by pożreć naszych bohaterów, jeden z nich, nie muszę wspominać jego imienia, zatopił swój płonący miecz w oku obrzydliwej bestii.

Rozległ się powszechny aplauz.

- Rycząc z bólu smok zachwiał się i cofnął. Nasi bohaterowie skorzystali z tej okazji, aby wstać na nogi. Wtedy doszło do wspaniałej walki. - Belgarath w najmniejszych szczegółach opisał walkę, przesadzając co najmniej dziesięciokrotnie.

- Gdybym tyle razy machnął tym mieczem, ręce dawno by mi odpadły - zauważył Zakath.

- Nic nie szkodzi - odparł Garion. - Dziadek dobrze się bawi.

- Wreszcie - zakończył Belgarath - nie mogąc dłużej wytrzymać okrutnego ataku smok, który nigdy wcześniej nie znał uczucia trwogi, odwrócił się i ociężale odleciał z pola boju mijając następnie, jak wasza miłość rzekł, wasze miasto i udając się do swej pieczary. Bardziej będzie w niej rozpamiętywał strach, którego doznał tej nocy, niżli rany, jakie

otrzymał. Ufam, że nie powróci już więcej do tego pięknego królestwa, wasza wysokość, ponieważ jaki by nie był głupi, nie powróci do miejsca, w którym zadano mu tyle bólu. I oto, wasza miłość, co się stało.

- Wspaniale! - odezwał się z zachwytem król. Ze strony zebranych w komnacie tronowej Belgarath odebrał gromki aplauz. Starzec odwrócił się i uklonił dając znak Garionowi i Zakathowi, że powinni uczynić to samo.

Dworzanie, niektórzy ze łzami w oczach, podchodzili, by pogratulować całej trójce; Garionowi i Zakathowi ich męstwa, a Belgarathowi niezwykle barwnego opisu zdarzeń. Naradas, jak zauważył Garion, stał u boku króla, a z jego oczu promieniowała nienawiść.

- Uważajcie - ostrzegł Garion przyjaciół. - Naradas coś knuje. Kiedy wrzawa przycichła nieco, białooki Grolim wystąpił na przód podwyższenia.

- Ja również dołączam się do głosów zgromadzonych tu dworzan, aby śpiewać pieśni pochwalne na chwałę owych męźnych bohaterów i ich wspaniałego doradcy. Nasze królestwo nigdy nie widziało takiego męstwa. Uważam jednak, że trzeba zachować ostrożność. Szczerze się obawiam, że szlachetny Garath, mając świeżo przed oczami scenę owej niebywalej walki i zrozumiałe podekscytowany, mógł okazać się zbyt optymistyczny w ocenie obecnego stanu smoka. To prawda, że większość normalnych stworzeń stroniłaby od miejsca, w którym poniosły tak sromotną klęskę, lecz ten obrzydliwy, przerażający kolos nie należy do istot zwyczajnych. Czyż nie wydaje się bardziej prawdopodobne, że zżerał go będzie szal, głód i żądza zemsty? Gdybyż owi potężni mistrzowie zdecydowali się teraz opuścić nasze ukochane, praworządne królestwo, zostałyby ono wystawione na potworną zemstę bestii owładniętej niepohamowaną nienawiścią.

- Wiedziałem, że to powie - wycedził przez zęby Zakath.

- Serce i honor nakazują mi zatem - dodał Naradas - doradzić waszej miłości i zebranych tu dworzanom, żeby długo i dobrze zastanowić się nad możliwością pozostania onych rycerzy i nie podejmować pochopnych decyzji. Zauważyliśmy, że ci dwaj są prawdopodobnie jedynymi ludźmi na ziemi, którzy mogą stawić czoło bestii z nadzieją zasłużonego zwycięstwa. O jakich innych rycerzach moglibyśmy coś podobnego powiedzieć?

- To, coś rzekł, prawdą jest, szlachetny Erezelu - rzekł król z zadziwiającym chłodem - lecz jak samolubnym gestem byłoby z mej strony trzymanie tutaj onych zacnych rycerzy wbrew ich woli w obliczu świętego poszukiwania, w które są uwikłani. Już i tak opóźniliśmy ich działania. Oddali nam wystarczające przysługi. Naleganie na kolejne byłoby niewdzięcznością z naszej strony. A zatem dzień jutrzejszy ogłaszam świętem ku czci i chwale naszych zacnych gości, jakowych na ucztę wspaniałą zaprosić się ośmielam. Ona

uczta jednakże świętem jako i pożegnaniem się stanie. Wydaje mi się, jakoby słońce już wstało, a nasi bohaterowie są niewątpliwie wyczerpani wczorajszym turniejem oraz walką z krwiożerczą bestią. Zatem dzisiejszy dzień będzie dniem przygotowań, a jutrzejszy dniem zabawy i dziękczynienia. Udajmy się do naszych sypialni, aby się odświeżyć, by tym bardziej ochoczo zabrać się do wypełniania codziennych obowiązków.

- Nie sądziłem, że jest do tego zdolny - powiedział Zakath, kiedy w trójkę przedzierali się przez tłum. - Swoją drogą chyba mógłbym zasnąć na stojąco.

- Proszę, nie rób tego - odezwał się Garion. - Masz na sobie zbroję i upadając narobiłbyś niezgorszego hałasu. Jestem równie zmęczony jak ty.

- Przynajmniej masz z kim spać.

- Dwóch ktosów, licząc szczeniaka. Zauważyłem, że szczenięta szczególnie interesują się palcami u nóg.

Zakath roześmiał się.

- Dziadku - rzekł Garion - aż do tego momentu król robił dokładnie to, co podszeptował mu Naradas. Czy manipulowałeś teraz jego umysłem?

- Poczyłem kilka własnych sugestii - przyznał Belgarath. - Zwykle nie lubię tego robić, lecz sytuacja była niecodzienna.

Naradas dogonił ich w korytarzu.

- Jeszcze nie zwyciężyłeś, Belgaracie - syknął.

- Nie, prawdopodobnie nie - przyznał Belgarath - lecz ty również nie i jak sędzę, Zandramas, chyba słyszałeś już to imię, będzie trochę zła na ciebie, kiedy się dowie, jak bardzo ci się tu nie powiodło. Może, jeśli od razu zaczniesz uciekać, uda ci się przed nią umknąć, przynajmniej na jakiś czas.

- To jeszcze nie koniec, Belgaracie.

- Nigdy nie sądziłem, że to jakiś koniec, stary druhu. - Belgarath wyciągnął rękę i obraźliwie poklepał Naradasa po policzku. - A teraz biegnij, Grolimie - poradził - póki jeszcze ci zdrowie pozwala. - Umilkł. - Chyba że miałbyś ochotę wyzwać mnie na pojedynek. Rozpatrując twe ograniczone umiejętności, szczerze tego odradzam, lecz decyzja należy do ciebie.

Naradas umknął rzucając zdumione spojrzenie w kierunku Wiecznego Człowieka.

- Lubię zabawiać się w ten sposób z ludźmi jego pokroju - roześmiał się Belgarath.

- Jesteś okropnym starcem, wiesz? - powiedział Zakath.

- Nigdy nie udawałem, że nim nie jestem, Zakacie - wyszczerzył się jeszcze bardziej Belgarath. - Chodźmy porozmawiać z Sadim. Naradas zaczyna przeszkadzać. Chyba

najwyższy czas, żeby nam dał spokój.

- Zrobisz wszystko, co tylko będziesz mógł, prawda? - spytał Zakath, kiedy szli korytarzem.

- Żeby załatwić tę sprawę? Oczywiście.

- Kiedy sprzeciwiłem ci się w Rak Hagga, mogłeś mnie obrócić w pył, prawda?

- Prawdopodobnie tak.

- Jednak nie uczyniłeś tego. Dlaczego?

- Ponieważ sądziłem, że mogę cię jeszcze potrzebować. Poza tym widziałem w tobie więcej niż pozostali.

- Więcej niż cesarza połowy świata?

- To nic ważnego, Zakacie - rzekł wzgardliwie Belgarath. - Twój przyjaciel jest Władcą Zachodu, a ma kłopoty, żeby włożyć swe wysokie buty każdy na właściwą nogę.

- Wcale, że nie! - sprzeciwił się zapalczywie Garion.

- Prawdopodobnie tylko dzięki Ce'Nedrze, która pomaga ci rozwiązywać podobne problemy. Tego tak naprawdę potrzebujesz, Zakacie. Żony. Kogoś, kto zadba, żebyś wyglądał w miarę reprezentacyjnie.

- Obawiam się, że to wykluczone, Belgaracie. - Zakath westchnął.

- Zobaczymy - powiedział Wieczny Człowiek. Powitanie w komnatach pałacu Dal Perivor nie było tak serdeczne.

- Ty stary głupcze! - zaczęła Polgara zwracając się do swego ojca. Od razu poczuli się mali.

- Ty ośle! - wrzasnęła Ce'Nedra do Gariona.

- Proszę, Ce'Nedro - rzekła Polgara cierpliwie - pozwól, że ja skończę.

- Ależ oczywiście, lady Polgaro - zgodziła się uprzejmie rivańska królowa. - Wybacz. Twoje zdenerwowanie jest owocem wielu lat doświadczeń. Poza tym, ja poradzę sobie z moim delikwentem w łóżku. Przemówię mu do rozsądku.

- Chciałeś, żebym się ożenił? - spytał Zakath Belgaratha.

- Małżeństwo ma również swoje słabe strony - odparł spokojnie Belgarath. Rozejrzał się dookoła. - Widzę, że ściany nadal stoją na miejscu, i nie mogę dojrzeć żadnych śladów wybuchów. Może w końcu dorośniesz, Pol.

- Kolejna wiadomość? - prawie wrzasnęła. - Żałosna wiadomość?

- Czas nas naglił.

- Sami wybraliście się na tego smoka?

- Mniej więcej. Towarzyszyła nam wilczyca.

- Zwierzę? Tak pojmujesz ochronę?

- Okazała się bardzo pomocna.

W tym momencie Polgara zaczęła przeklinać w kilku różnych językach.

- Pol - sprzeciwił się łagodnie - chyba nawet nie wiesz, co oznaczają te słowa.

Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Nie doceniasz mnie, starcze. To jeszcze nie koniec. No dobrze, Ce'Nedro, teraz kolej na ciebie.

- Myślę, że wolałabym przeprowadzić dyskusję z jego wysokością na osobności, gdzie mogę być bardziej bezpośrednia - powiedziała lodowatym głosem drobniutka królowa.

Garion skrzywił się.

Wtedy, ku zdumieniu wszystkich zebranych, przemówiła Cyradis.

- Postąpiłeś wysoce lekkomyślnie, cesarzu Mallorei, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo bez wcześniejszej rozmowy ze mną.

Okazało się, że Belgarath, jak zwykle, niezbyt jasno przedstawił jej całą sprawę, zanim udali się na pojedynek ze smokiem, świadomie nie wspominając o swoich zamiarach.

- Błagam o przebaczenie, Święta Prorokini - przeprosił Zakath, nieświadomie starając się posługiwać archaicznym językiem. - Pilność sprawy była tak wielka, iż zbrakło nam czasu na wszelkie konsultacje.

- Ładnie powiedziane - mruknęła Velvet. - Nauczymy go jeszcze dobrych manier.

Zakath podniósł przyłbicę i wyszczerzył zęby w nadzwyczaj chłopcym uśmiechu.

- Wiedz jednak, Kal Zakacie - kontynuowała ostro Cyradis - iż pałam gniewem, widząc twe czyny jako spieszny i bezmyślny postęp.

- Smutek rozdziera me serce, Święta Prorokini, że cię obraziłem, i żywię głęboką nadzieję, iż potrafisz mi wybaczyć mój błąd.

- Och - westchnęła Velvet. - Kheldarze, czy zapisujesz?

- Ja? - zdziwił się Silk.

- Tak, ty.

Utrudzony ostatnimi wydarzeniami Garion znajdował się na skraju wyczerpania.

- Durniku - powiedział płaczliwie - czy możesz mi pomóc? - Postukał kłykciami w napierśnik.

- Jak sobie życzysz. - Nawet w głosie Durnika czuć było wyraźny chłód.

- Czy on naprawdę musi z nami spać? - poskarżył się późnym rankiem Garion.

- Jest ciepły - odparła Ce'Nedra uszczypliwym tonem - czego nie można powiedzieć o innych. Poza tym, w pewien sposób wypełnia pustkę, jaką noszę w sercu, oczywiście

wypełnia w niewielkim stopniu.

Wilcze szczenię zawzięcie lizało pod kocem palce u nóg Gariona, po czym usnęło mlaskając słodko.

Przespał większą część dnia i dopiero około popołudnia otworzył zaspane oczy. Wysłali służącego do króla prosząc, aby wybaczył im nieobecność na wieczornych uroczystościach, tłumacząc się ogromnym wyczerpaniem.

- Czy nie byłby to odpowiedni moment, aby spytać o mapę? - spytał Beldin.

- Nie sędzę - odparł Belgarath. - Naradas popada w coraz większą desperację. Wie, że Zandramas nie potrafi wybaczać, więc robi teraz przypuszczalnie wszystko, aby nie dopuścić nas do mapy. Nadal ma posłuch u króla, i wymyśli cokolwiek, by tylko nas powstrzymać. Może pozwolimy mu się trochę pozastanawiać, co knujemy. To powinno wyprowadzić go nieco z równowagi, przynajmniej do czasu, aż Sadi trafi na okazję, by go uśpić.

Eunuch skłonił się trochę wzgardliwie.

- Jest jeszcze inne wyjście, Belgaracie - odezwał się nagle Silk. - Mógłbym trochę powęszyć. Jeśli uda mi się dowiedzieć, gdzie znajduje się mapa, małe włamanko załatwiłoby całą sprawę.

- A jeśli cię schwytają? - spytał Durnik.

- Proszę, Durniku - rzekł zbolalym głosem Silk - nie obrażaj mnie.

- Może nawet - stwierdziła Velvet - Kheldar potrafiłby ukraść człowiekowi ząb, nawet gdyby ów człowiek miał zamknięte usta.

- Lepiej nie próbować - odezwała się Polgara. - Naradas jest Grolimem i możliwe, że zastawił wokół tej mapy kilka pułapek. Zna nas wszystkich, przynajmniej z reputacji, i jestem pewna, że zdaje sobie sprawę z wyjątkowych umiejętności Silka.

- Czy naprawdę musimy go zabijać? - spytał ze smutkiem Eriond. - To znaczy Naradasa?

- Nie sędzę, żebyśmy mieli inny wybór, Eriondzie - odparł Garion. - Dopóki żyje, będziemy się o niego potykać przy każdym kroku. - Zmarszczył brwi. - Może to moja wyobraźnia, lecz Zandramas wydaje się bardzo niechętna, by pozostawić wybór Cyradis. Jeśli uda jej się nas zatrzymać, odniesie zwycięstwo.

- Twe spostrzeżenie nie jest na wskroś opaczne, Belgarionie - odezwała się Cyradis. - Zandramas w istocie uczyniła wszystko co w jej mocy, aby udaremnić me zadanie. - Uśmiechnęła się. - Zaprawdę powiadani wam, przysporzyła mi wiele utrapień i gdybym miała dokonywać wyboru pomiędzy nią a tobą, czułabym pokusę, aby dokonać przeciwnego jej wyboru jako zapłatę.

- Nigdy nie sądziłem, że usłyszę podobne słowa z usta proroka - rzekł Beldin. - Czy naprawdę decydujesz się stanąć po naszej stronie, Cyradis?

Ponownie się uśmiechnęła.

- Drogi, zacny Beldinie - powiedziała czule - nasza bezstronność nie jest rezultatem kaprysu, lecz obowiązku, obowiązku nałożonego na nas, zanim się jeszcze urodziłeś - odparła osobliwym w jej ustach współczesnym językiem.

Ponieważ przepali większą część dnia, w nocy prowadzili długą dysputę. Nazajutrz Garion obudził się świeży, wypoczęty i gotowy do uczestnictwa w uroczystościach.

Dworzanie króla Oldorina poświęcili cały poprzedni dzień i prawdopodobnie pół nocy na przygotowywaniu długich, kwiecistych i męczących przemów na chwałę „onych bohaterskich mistrzów”. Ukryty pod osłoną przyłbicy Garion często zapadał w drzemkę, spowodowaną nie zmęczeniem, lecz wszechogarniającą nudą. W pewnym momencie otworzył oczy słysząc lekki szczełk swego zbroi.

- Auć! - pisnęła Ce'Nedra masując swój łokieć.

- Co się stało, kochanie?

- Czy musisz nosić to żelastwo?

- Tak, lecz co cię opętało, żeby próbować mnie dźgnąć w żebro wiedząc, że mam zbroję na sobie?

- To chyba z przyzwyczajenia. Nie zasypiaj, Garionie.

- Nie spałem - skłamał.

- Doprawdy? To czemu chrapałeś?

Po długich przemowach król popatrzył na swój wpół zasypiający dwór i zawołał „szlachetnego Feldegasta”, aby rozweselił całe towarzystwo.

Beldin tego dnia wspiął się na wyżyny błazeńskiego kunsztu. Chodził na rękach, wykonywał zaskakujące salta w tył, żonglował z niesłychaną wprost zręcznością, a wszystko to robił opowiadając równocześnie dowcipy, posługując się swą charakterystyczną gwarą.

- Mniemam, iż ubarwiłem nieco dzisiejsze uroczystości, wasza miłość - zakończył przedstawienie, po czym uklonił się zamasyście w odpowiedzi na pełen entuzjazmu aplauz zebranych.

- Prawdziwy z ciebie wirtuoz, szlachetny Feldegaście - pochwalił go król. - Wspomnienie twego przedstawienia będzie ogrzewać wiele smutnych, chłodnych zimowych wieczorów w tej komnacie.

- Ach cóż za uprzejme słowa raczą płynąć z ust waszej miłości. - Beldin skłonił się raz jeszcze.

Zanim uroczystości dobiegły końca, Garion i Zakath powrócili do swych komnat na lekki posiłek, ponieważ nie mogli pożywić się w głównej sali jadalnej nie podnosząc przyłbic. Należało jednak do dobrego tonu, by jako goście honorowi byli obecni.

- Nigdy nie bawiłem się zbytnio patrząc tylko, jak inni jedzą - odezwał się cicho Zakath do Gariona, gdy powrócili do sali i zajęli swe miejsca.

- Jak chcesz rozrywki, popatrz na Beldina - odparł Garion. - Ciocia Pol odbyła z nim stanowczą rozmowę wczorajszego wieczoru. Powiedziała mu, żeby zachowywał się dzisiaj przyzwoicie. Widziałeś chyba, w jaki sposób zwykle je. Teraz o mało nie wyjdzie z siebie próbując zachować dobre maniere przy stole.

Naradas siedział po prawej stronie króla. W jego białych oczach zagościła niepewność, a nawet zdumienie. Był zdezorientowany faktem, że Belgarath nie czynił żadnych prób, by dostać w swe ręce drogocenną mapę.

Służący zaczęli wносить potrawy. Różne zapachy sprawiły, że w kącikach ust Gariona pojawiły się strumyczki śliny, i żałował, że wcześniej zjadł tak niewiele.

- Zanim wyjedziemy, muszę porozmawiać z kuchmistrem - powiedziała Polgara. - Zupa jest wyśmienita.

Sadi zachichotał chytrze.

- Czy powiedziałam coś zabawnego, Sadi?

- Tylko obserwuj, Polgaro. Nie chciałbym popsuć ci zabawy. Wtem w głównej części stołu nastąpił nagły ruch. Naradas próbował wstać chwytając się obiema rękami za gardło. Jego białe oczy prawie wyszły na wierzch, gdy dławił się i dusił.

- Krztusi się! - zawołał król. - Niech ktoś mu pomoże! Kilku dworzan zerwało się na równe nogi i zaczęło walić Grolima w plecy. Naradas jednak nie przestawał się dławić. Nabrzmiały język wysunął mu się z ust, a twarz zaczęła przybierać sinoniebieską barwę.

- Ratujcie go! - krzyczał król.

Naradasa nie dało się jednak uratować. Wygiął się w pałąk, zeszywniał i padł bez życia na podłogę.

Na sali rozległy się głosy konsternacji i przerażenia.

- W jaki sposób to zrobiłeś? - mruknęła do Sadiego Velvet. - Przysięgłabym, że nie zbliżyłeś się do jego potraw.

Sadi uśmiechnął się nikczemnie.

- Nie musiałem się zbliżać do jego jedzenia, Liselle - powiedział. - Dokładnie zapamiętałem, gdzie siedzi przy stole. Zawsze zasiadał po prawej stronie króla. Udałem się tam tuż przed ucztą i posmarowałem jego łyżkę czymś, co sprawia, że gardło puchnie tak, że

nie pozostawia najmniejszego otworu. - Umilkł. - Mam nadzieję, że smakowała mu zupa - dodał. - Mnie na pewno.

- Liselle - rzekł Silk - kiedy dotrzemy do Boktor, może porozmawiasz ze swoim wujem? Sadi jest obecnie bez pracy, a Javelinowi przydałby się człowiek z takimi uzdolnieniami.

- W Boktor pada śnieg, Kheldarze - stwierdził z pewnym niesmakiem Sadi - a ja nie bardzo przepadam za tym białym, wilgotnym puchem.

- Nie musiałbyś mieszkać w Boktor, Sadi. Co powiesz o Tol Honeth? Musiałbyś jednak zapuścić włosy.

Zakath pochylił się do przodu chichocząc.

- Wspaniale, Sadi - pogratulował - i bardzo stosownie. Naradas otruł mnie w Rak Hagga, a ty odwdzięczyłeś mu się tym samym tutaj. Coś ci powiem, podwajam każde wynagrodzenie, które zaproponuje ci Javelin, jeśli zgodzisz się pracować dla mnie w Mal Zeth.

- Zakacie! - krzyknął Silk.

- Zdaje się, że otwierają się przede mną możliwości we wszystkich częściach świata - zauważył Sadi.

- Trudno znaleźć odpowiedniego człowieka, mój przyjacielu - odezwał się Zakath.

Drżącego i pobladłego króla odprowadzano do komnaty. Kiedy przechodził koło ich stołu, Garion usłyszał, że płacze. Belgarath zaczął kłąć pod nosem.

- O co chodzi, ojczy? - spytała Polgara.

- Ten osioł okryje się żałobą na wiele tygodni. Nigdy nie dostanę tej mapy w swoje ręce.

Rozdział XVI

Belgarath klął nieprzerwanie po powrocie do komnaty. - Chyba przechytrzyłem samego siebie - krzyczał wzburzony. - Powinniśmy byli wyjawić prawdę o Naradasie, zanim go zabiliśmy. Straciliśmy możliwości zdyskredytowania go w oczach króla.

Cyradis siedziała za stołem spożywając prosty posiłek. Toth stał tuż przy niej.

- Cóż wznieciło w tobie gniew, Przedwieczny? - spytała.

- Nie ma już wśród nas Naradasa - odparł - a król boleje nad tą stratą pograżając się w głębokiej żałobie. Zanim dojdzie do siebie i pokaże mi tę mapę, mogą upłynąć długie tygodnie.

Twarz prorokini wyrażała oddalenie i Garionowi zdawało się, że słyszy szemranie dziwnego, grupowego umysłu.

- Wolno mi przyjść ci z pomocą, Przedwieczny - rzekła. - Dziecię Mroku pogwałciło nakaz, jakowy nań nałożono onegdaj, gdy wyznaczyliśmy jej zadanie. Posłużyła się swym sługą, a nie przybyła samotrzeć, aby odnaleźć mapę. Zatem pewne pętające me dłonie ograniczenia zostały rozluźnione. - Odchyliła się do tyłu na krześle i odbyła krótką rozmowę z Tothem. Olbrzym skinąwszy głową cicho wyszedł z pokoju. - Posłałam po kogoś, kto nam pomoże - wyjaśniła.

- Co dokładnie zamierzasz uczynić? - spytał Silk.

- Postąpiłabym nieroztropnie wyjawiając ci wcześniej me zamierzenia, księżę Kheldarze. Mógłbyś wszelako dowiedzieć się, gdzie znajdują się zwłoki Naradasa?

- Nie powinienem mieć większych trudności - odparł. - Popytam tu i ówdzie. - Powiedziawszy te słowa opuścił pokój.

- A kiedy księżę Kheldar powróci z wieścią o onym miejscu ty, rivański władco, i ty, cesarzu Mallorei, udacie się do króla i sprawicie, by o północy wyruszył z wami do owego miejsca, jako że zostaną tam wyjawione pewne prawdy, jakowe pokryją łagodnym całunem jego boleść.

- Cyradis - westchnął Beldin - dlaczego zawsze musisz wszystko komplikować?

Uśmiechnęła się prawie nieśmiało.

- To jedna z rzeczy sprawiających mi przyjemność, łaskawy Beldinie. Niejasna mowa sprawia, iż słuchacze dogłębniej zastanawiają się nad sensem onych słów. Poświata zrozumienia raduje me serce.

- Nie wspominając już o tym, że jest to irytujące.

- To chyba również część przyjemności - zgodziła się.

- Wiesz co - zwrócił się Beldin do Belgaratha - ja myślę, że mimo wszystko ona jest istotą ludzką.

Niebawem powrócił Silk.

- Mam go - odezwał się przebiegle. - Kazali go położyć na marach w kaplicy Chamdar na głównym piętrze pałacu. Przyjrzałem mu się. Wygląda o wiele przyjemniej z zamkniętymi oczami. Pogrzeb zaplanowano na jutro. Jest lato i prawdopodobnie nie wytrzymałby dłużej.

- Jak myślisz, gospodarzu, cóż to za pora się zbliża? - spytała Cyradis Durnika.

Kowal podszedł do okna i popatrzył na gwiazdy.

- Według mnie niedługo północ - odparł.

- A zatem, Belgarionie i ty Zakacie, ruszajcie bez zwłoki. Niechże dane wam będzie użycie wszelkich sił perswazji, jakowymi dysponujecie. O północy król musi być w owej kaplicy.

- Przyprowadzimy go, Święta Prorokini - obiecał Zakath.

- Nawet gdybyśmy go musieli zaciągnąć siłą - dodał Garion.

- Chciałbym wiedzieć, do czego ona zmierza - mruknął Zakath, kiedy wraz z Garionem przemierzali oświetlony płomieniami pochodni korytarz. - Łatwiej byłoby przekonać króla, gdybyśmy mogli mu powiedzieć, czego może się spodziewać.

- To mogłoby również uczynić go bardziej sceptycznym - sprzeciwił się Garion. - Myślę, że Cyradis planuje coś całkiem egzotycznego, a niektórzy mają trudności z przełknięciem czegoś takiego.

- Masz rację. - Zakath wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jego wysokość nie życzy sobie, by mu przeszkadzano - odezwał się jeden ze strażników stojących przy drzwiach, kiedy zaanonsowali swoje przybycie.

- Powiedz mu, proszę, iż przybywamy ze sprawą nie cierpiącą zwłoki - rzekł Garion.

- Spróbuję, szlachetny rycerzu - bąknął z powątpiewaniem strażnik - lecz król pogrążon w wielkiej rozpacz po śmierci swego przyjaciela.

Strażnik powrócił w chwilę później.

- Jego wysokość przychylnie ustosunkował się do waszej prośby i raczy przyjąć ciebie i twego przyjaciela, szlachetny rycerzu, lecz prosi uprzejmie, byście pośpiesznie wyjawili mu ową sprawę. Jego cierpienie sięga najgłębszych głębin.

- Oczywiście - mruknął Garion.

Prywatne komnaty króla swym przepychem dorównywały komnatom najmożniejszych tego świata. Monarcha siedział w miękko wyściełanym, wysokim krześle i czytał księgę oświetlaną blaskiem jednej tylko świecy. Jego twarz, na której malowała się

niezmierna boleść, nosiła ślady długiego płaczu. Usłyszawszy słowa powitania podniósł księgę do góry.

- Księga pocieszenia - odezwał się. - Nie daję mi go jednak zbyt wiele. Czym mogę służyć, szlachetni rycerze?

- Po części przybyliśmy, aby złożyć waszej wysokości kondolencje - zaczął roztropnie Garion. - Wiedz, iż pierwsza fala goryczy odczuwana jest najsilniej. Czasu mijanie uśmierzy wszelako twą boleść.

- Azaliż nigdy nie wygna jej całkowicie z mego serca, szlachetny rycerzu.

- Niewątpliwie prawda to, wasza miłość. To, o co przybyliśmy cię prosić, może ci się wydać okrutne w świetle obecnych okoliczności i nie wtargnęlibyśmy w zacisze twej kontemplacji, gdyby sprawa pilnością osobliwą w umysłach naszych nie pałała, pilnością, jakowa nie tyle nas co ciebie dotyczy.

- Kontynuuj, szlachetny rycerzu - powiedział król, a w jego oczach pojawił się słaby ogień zainteresowania.

- Istnieją pewne niezbite prawdy, jakowe muszą ci zostać wyjawione tej właśnie nocy, wasza miłość - kontynuował Garion - a mogą one zostać wyjawione wyłącznie w obecności twego dawnego przyjaciela.

- Nie dopuszczam do umysłu swego takowej myśli, szlachetny rycerzu - odezwał się nieugięcie król.

- Ktoś, kto ujawni owe prawdy, zapewnił nas solennie, iż w pewnym stopniu złagodzą one twą żalność. Erezel jako twój najbliższy przyjaciel z pewnością nie pragnąłby, byś cierpiał nadaremnie.

- Zaiste prawdę rzeczesz - zakończył król. - Człek był wielkiego serca.

- Jestem pewien - odparł Garion.

- Istnieje jeszcze jeden, bardziej osobisty powód dla twej wizyty w kaplicy, gdzie szlachetny Erezel obecnie spoczywa, wasza miłość - dodał Zakath. - Jak nam mówiono, jego pogrzeb odbędzie się jutro. Na ceremonii obecna będzie większość członków dworu. Noc daje ci ostatnią okazję, aby odwiedzić go i zachować drogie twemu sercu rysy twarzy głęboko w pamięci. Mój przyjaciel i ja strzec będziemy kaplicy, by twe zjednoczenie z jego duchem przebiegało bez zakłóceń.

Król rozważył usłyszane słowa.

- Może być jako rzeczesz, szlachetny rycerzu - podsumował. - I choć serce niechybnie pięknie mi z rozpacz, zaiste powinnością mą jest spojrzenie ostatnie na jego oblicze. A zatem, podążmy ku kaplicy. - Wstał i wyprowadził ich z komnaty.

W kaplicy Chamdara, boga Arendów, drżał smutno niebiesko-żółty płomycek pojedynczej świecy stojącej przy marach u wezgłowia, rozświetlając mgliście zimny półmrok panujący w chłodnym pomieszczeniu. Złociste sukno przykrywało nieruchomą postać Naradasa aż do piersi, a na jego twarzy zagościł spokój. Garionowi, znajdującemu przeszłość Grolima, łagodność malująca się na jego obliczu zdawała się grubym szyderstwem.

- Będziemy strzec drzwi kaplicy, wasza miłość - rzekł Zakath - i pozostawimy cię teraz sam na sam z twym przyjacielem. - Wraz z Garionem wycofał się na korytarz zamykając za sobą drzwi.

- Bardzo gładko ci poszło - powiedział Garion.

- Tobie też nie najgorzej. Przynajmniej przyprowadziliśmy go tutaj.

Stali przy drzwiach oczekując przybycia Cyradis i pozostałych. W końcu przybyła cała grupa.

- Czy on tam jest? - zwrócił się Belgarath do Gariona.

- Tak. Musieliśmy się trochę wysilić, lecz jednak się zgodził. Obok Cyradis stała postać w czarnych szatach i w kapturze.

Okazało się, że to kobieta, najprawdopodobniej Dalka, lecz Garion po raz pierwszy w życiu widział kogoś tej rasy ubranego w inny kolor niż biały.

- Ta niewiasta udzieli nam pomocy - wyjaśniła prorokini. - Chodźmy do króla, gdyż zbliża się ustalona pora.

Garion otworzył drzwi i weszli do środka. Król spojrzał zdziwiony.

- Pozbądź się lęku, królu Perivoru - odezwała się Cyradis - jako że tak jak powiedzieli ci twoi mistrzowie, przybyliśmy, by ujawnić przed tobą prawdy, jakowe złagodzą twój żal.

- Wdzięcznym za twe wysiłki, pani - odparł król - lecz smutek mój większym jest, niżli przypuszczasz. Żalność ostanie w mym sercu po kres dni. Tu oto spoczywa przyjaciel mój najdroższy, a me serce spoczywa na onej zimnej marze wraz z nim.

- W twych żyłach po części płynie krew Dalów, wasza miłość - rzekła - a zatem świadomość, iż wielu z nas obdarzonych pewnymi talentami zostało. Są otóż mgliste tajemnice, o jakowych ten co mienił się Ezelem nie powiedział ci przed śmiercią. Wezwałam tu kogoś, kto zada mu kilka pytań, zanim jego duch zstąpi w krainę ciemności.

- Nekromanta? Prawdziwie rzeczesz? Doszły mnie słuchy o onej sztuce, azaliż nigdy takowych magów ujrzyć nie miał sposobności.

- Wiesz zatem, iż ten, kto posiada podobne talenty, słyszy mowę duchów?

- Zaiste prawda to.

- Na los świata zapewniam cię, iż słowa me przesycone jeno prawdą zostały. A zatem

zagłębmy się w umysł Erezela i obaczmy, jakowe prawdy ma nam do przekazania.

Odziana w czarną szatę zakapturzona nekromantka podeszła do mar i położyła blade, szczupłe dłonie na piersi Naradasa. Cyradis zaczęła zadawać pytania.

- Ktoś jest? - zapytała.

- Nazywam się Naradas - odparła postać w czerni zaskakująco głuchym głosem. - Jestem grolimskim kapłanem świątyni Toraka w Hemil w Darshivie.

Król popatrzył osłupiały najpierw na Cyradis, a potem na ciało Naradasa.

- Komuś służył? - spytała Cyradis.

- Służyłem Dziecku Ciemności, kapłance Grolimów, Zandramas.

- Z jakowej przyczyny przybyłeś do onego królestwa?

- Moja pani wysłała mnie tutaj, abym znalazł pewną mapę oraz opóźnił wędrówkę Dziecka Światła do Miejsca, Którego Już Nie Ma.

- Cóżeś uczynił, aby osiągnąć te cele?

- Omamiłem króla tej wyspy, próżnego i głupiego człowieka. Pokazał mi mapę, której szukałem, a mapa wyjawiała mi cud, który mój cień przekazał natychmiast mej pani. Teraz wie ona dokładnie, gdzie ma się odbyć ostateczne spotkanie. Wykorzystywałem łatwowierność króla i dzięki temu udało mi się kilkakrotnie dokonać czynów, które opóźniły wędrówkę Dziecka Światła i jego kompanów tak, aby moja pani mogła przybyć do Miejsca, Którego Już Nie Ma przed nimi i w ten sposób zapobiec, by ostateczna decyzja należała do pewnej prorokini, której moja pani nie ufa.

- Dlaczegoż to twoja pani sama nie wykonała owego zadania, jakowe nałożone na nią zostało, a nie na ciebie? - głos Cyradis tchnął nagłą surowością.

- Zandramas ma co innego do zrobienia. Wszystko, co czyniłem jako jej prawa ręka, było jej własnymi poczynaniami.

- Duch zaczyna wymykać się spod kontroli, Święta Prorokini - rzekła nekromantka głosem bardziej zbliżonym do normalnego. - Pytaj szybko, bo niebawem nie będę mogła uzyskać od niego żadnych odpowiedzi.

- Jakież to sprawy powstrzymały twą panią od poszukiwania odpowiedzi na ostatnią zagadkę samotrzeć, tak jako brzmiał nakaz?

- Pewien grolimski hierarcha z Cthol Murgos o imieniu Agachak przybył do Mallorei poszukując Miejsca, Którego Już Nie Ma, w nadziei, że zajmie miejsce należne mojej pani. Był ostatnim człowiekiem naszej rasy posiadającym dość mocy, by rzucić jej wyzwanie. Wyszła mu na spotkanie nie opodal jałowych pustkowi Findy i tam go zabiła. - Głuchy głos załamał się i zmienił w rozpaczliwe łkanie. - Zandramas! - zawołał głos. - Powiedziałaś, że

nie umrę! Obiecałaś, Zandramas! - Ostatnie słowo zdawało się wpaść do jakiejś niewyobrażalnej otchłani.

Głowa nekromantki w czarnym kapturze wysunęła się do przodu drgając gwałtownie.
- Jego duch odszedł, Święta Prorokini - powiedziała znużonym głosem. - Północ minęła i nie da się już do niego dotrzeć.

- Dziękuję - powiedziała krótko Cyradis.

- Mam nadzieję, Święta Prorokini, że okazałam się choć trochę pomocna w tym przerażającym zadaniu. Czy mogę teraz odejść? Jako że kontakt z chorym umysłem rozstroił mnie ponad miarę.

Cyradis skinęła głową i nekromantka szybko opuściła kaplicę.

Król Perivoru z twarzą poszarzałą, lecz stanowczą podszedł do mar. Ujął w dłonie złociste sukno pokrywające ciało Naradasa i zrzucił je na podłogę. - Dawać mi tu jakąś ścierkę, a chyżo - wycedził przez zaciśnięte zębów. - Po raz ostatni mój wzrok spoczął na twarzy onego cuchnącego Grolima.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć, wasza wysokość - powiedział ze współczuciem Durnik i wyszedł na korytarz.

Pozostali stali w milczeniu, a król odwrócony plecami do zwłok zaciskał i rozluźniał szczęki wpatrując się z uporem w tylną ścianę kaplicy.

Po chwili powrócił kowal niosąc podarty, poplamiony kawałek jutowego worka.

- Przy końcu korytarza znalazłem magazyn, wasza wysokość - rzekł. - To zatykało szczerzą dziurę. Czy mniej więcej o coś takiego ci chodziło?

- Wyśmienicie, przyjacielu. Racz wyręczyć mnie i rzuć to na tę padlinę. Oświadczam wszem i wobec, iż nie będzie pogrzebu tej kreatury. Jakiś dół i kilka garści ziemi wystarczą mi za grób.

- Chyba więcej niż kilka garści, wasza wysokość - zasugerował rozważnie Durnik. - Już dość zepsuł twe królestwo. Nie chcielibyśmy, żeby zanieczyścił je jeszcze bardziej, prawda? Zajmę się tym.

- Podobasz mi się, przyjacielu - rzekł król. - Jeśli możesz, pogrzeb tego Grolima twarzą ku bramie królestwa ciemności.

- Dobrze, wasza miłość - obiecał Durnik. Skinął na Totha i obydwaj bez odrobiny szacunku podnieśli ciało Naradasa za ramiona i wyciągnęli je z kaplicy. Stopy obute w sandały podskakiwały bezwładnie, objijając się o nierówności podłogi.

Silk podszedł do Zakatha.

- A więc teraz wiemy, że Agachak nie żyje - powiedział cicho do Malloleanina. -

Urgit będzie zachwycony słysząc te wieści, lecz nie sędzę, że chciałbyś wysłać posłańca, aby zawiadomił go o tym?

- Napięcia między twoim bratem i mną nie opadły aż tak bardzo, Kheldarze.

- Kimże jesteście? - zażądał król. - Czyż owe tak zwane poszukiwania były jedynie fortelem?

- Nadszedł czas, byśmy wyjawili nasze pochodzenie i prawdziwe imiona - zaczęła poważnie Cyradis. - Potrzeba skrytości odeszła wraz ze śmiercią onego człeka, jako że pozostali szpiedzy wysłani bez wiedzy Naradasa przez Zandramas nie mogą się z nią porozumieć bez jego pomocy.

- Cała Zandramas - stwierdził Silk. - Nawet sama sobie nie ufa.

Garion i Zakath z uczuciem ulgi podnieśli stalowe przyłbice.

- Wiem, że twe królestwo jest odizolowane, wasza wysokość - powiedział Garion zwyczajnie, zaniechawszy kwiecistej mowy. - Jak dużo wiesz jednak o świecie zewnętrznym?

- Czasami żeglarze zawijają do portu - odparł król. - Przynoszą nam wieści oraz wszelakie dobra.

- A wydarzenia, które ukształtowały świat w dawnych czasach?

- Nasi przodkowie przywieźli ze sobą wiele ksiąg, szlachetny rycerzu, jako że czas spędzony na morzu dłuży się niezmiernie. Pośród owych ksiąg były i takowe, co przypominały o historii, i treść owych rękopisów nie jest mi obca.

- A zatem nie jest najgorzej - zaopiniował Garion. - To powinno trochę ułatwić sprawy. Jestem Belgarion, król Rivy - przedstawił się.

Oczy króla rozszerzyły się.

- Zabójca Boga? - spytał zatrwożonym głosem.

- Widzę, że słyszałeś o tym - odparł kwaśno Garion.

- Cały świat słyszał ona legendę. Czyś rzeczywiście uśmiercił Boga Angaraku?

- Obawiam się, że tak. Mój przyjaciel to Kal Zakath, cesarz Mallorei.

Król zaczął drżeć.

- Cóż za ważka sprawa ukoła waszą odwieczną wrogość?

- Zaraz do tego dojdziemy, wasza miłość. Ten uczynny jegomość, który grzebie teraz ciało Naradasa, to Durnik, najmłodszy Uczeń Boga Aldura. Ten niski to Beldin, również Uczeń, jak i ten z bokobrodami, sławny Czarodziej Belgarath.

- Wieczny Człowiek? - Król o mało się zakrztusił.

- Lepiej, żebyś tak dużo nie wyjawiał, Garionie - odezwał się zbolalym tonem Belgarath. - Czasami ludzie gubią się wśród nadmiaru wrażeń.

- Oszczędza to jednak czas, dziadku - odparł Garion. - Ta wysoka dama z kosmykiem białych włosów to córka Belgaratha, Czarodziejka Polgara. Ta mała z bujnymi kasztanowatymi lokami to moja żona, Ce'Nedra. Jasnowłosa dziewczyna to margrabina Drasni, Liselle, siostrzenica szefa drasańskiego wywiadu, a ta dziewczyna z przepaską na oczach, która ujawniła prawdę o Naradasie, to Prorokini Kell. Ten potężny mężczyzna, który pomaga Durnikowi, to Toth, jej przewodnik, a ten tutaj to książę Drasni, Kheldar.

- Najbogatszy człowiek świata?

- Ta reputacja jest nieco przesadzona, wasza miłość - odparł skromnie Silk - ale dążę do tego.

- Młody człowiek o jasnych włosach nazywa się Eriond i jest naszym bliskim przyjacielem.

- Trwoga ogarnia me serce na myśl, iż otaczają mnie tak czcigodne osoby. Które z was jest Dziecięciem Światła?

- Ja noszę na sobie ów ciężar, wasza miłość - odezwał się Garion. - A teraz, chociaż to w dużej mierze część historii i przepowiedni Alornów, może wiadomym ci jest, że od czasu do czasu w przeszłości miały miejsce spotkania między Dzieckiem Światła i Dzieckiem Ciemności. Zmierzamy na ostateczne z takich spotkań. Zdecyduje ono o losach świata. Nasz problem tkwi w tym, że nie wiemy, gdzie ma odbyć się to spotkanie.

- Wasze poszukiwania wzbudzają zatem jeszcze większą trwogę, królu Belgaronie. Pomogę wam przeto z całego serca. Ów cuchnący Grolim Naradas wprowadził mnie w błąd i przeszkodziłem wam wielce. Niechże ten niewielki wkład, jaki włożę w wasze zacne poszukiwania, stanie się częściową rekompensatą za mą głupotę. Roześlę me statki od plaż Ebalu aż po rafę Korim, ażeby szukały miejsca spotkania.

- Jaką rafę? - krzyknął Belgarath.

- Korim, Przedwieczny Belgaracie. Rozciąga się na północny zachód od onej wyspy. Jej lokalizację wskazuje dokładnie mapa, jakowej szukaliście. Udajmy się do mej komnaty, a ujrzycie ją na własne oczy.

- Mam wrażenie, że zbliżamy się do końca, Belgaracie - powiedział Beldin. - Jak tylko popatrzysz na mapę, będziesz mógł wrócić do domu.

- O czym ty mówisz?

- Wypełnisz swoje zadanie, starcze. Oczywiście bardzo doceniamy twe wysiłki.

- Chyba nie mielibyście nic przeciwko, gdybym pojechał z wami?

- To oczywiście zależy od ciebie, lecz nie chcielibyśmy odciągać cię od ważnych spraw, które zaniedbujesz od długiego czasu. - Uśmiech Beldina był istic szelmowski.

Robienie przytyków Belgarathowi należało do jego ulubionych rozrywek. Odwróciwszy się ku drzwiom kaplicy Garion dostrzegł wilczycę siedzącą w wejściu. Wywaliwszy na wierzch w wilczym uśmiechu długi czerwony język wpatrywała się bacznie swymi żółtymi, pełnymi wesołych iskerek oczami.

Rozdział XVII

Podążyli za królem ciemnymi i opustoszałymi korytarzami zamku w Dal Perivor. Była północ. Garion odczuwał pełne podekscytowania napięcie. Odnieśli zwycięstwo. Wygrali mimo przeszkód, jakie Zandramas stawiała na ich drodze. Odpowiedź leżała kilka kroków dalej, a kiedy już rozwiążą trapiącą ich od dawna zagadkę, poznają miejsce i czas spotkania. Żadna siła na ziemi nie mogła temu zapobiec.

Prześtań - usłyszał głos w swym umyśle. - Musisz teraz zachować spokój, wielki spokój. Postaraj się myśleć o farmie Faldora. Zdaje się, że ten widok zawsze przynosił ci ukojenie.

Gdzie ty... - zaczął Garion, lecz przerwał.

Gdzie ja co?

Nieważne. To pytanie zawsze cię irytuje.

Zadziwiająca. Pamiętałeś moje słowa. Farma Faldora, Garionie. Farma Faldora.

Zrobił, jak mu powiedziano. Chociaż zdawało się, że upływające lata unosiły ze sobą coraz mniej wyraźne wspomnienia, te nagle powróciły z zadziwiającą przejrzystością. Ujrzał zarys pięknej zagrody: szopy, stodoły, kuchnię, kuźnię, jadalnię na parterze, galerię na piętrze, gdzie mieściły się sypialnie - to wszystko znajdowało się na głównym podwórzu. Słyszał wyraźnie dźwięczny brzęk młota Durnika dochodzący z kuźni i czuł ciepłą woń świeżo wypieczonego chleba z kuchni ciotki Pol. Ujrzał Faldora i starego Cralto, a nawet Brilla. Dostrzegł Doroon i Rundoriga i wreszcie Zubrette, ładną, niesamowicie podstępą dziewczynę o jasnych włosach. Spłynął na niego błogi spokój, podobny do tego, jaki zawładnął nim dawno temu, kiedy stał w grobowcu jednookiego boga w Mieście Nie Kończącej się Nocy.

Już lepiej - rzekł głos. - Spróbuj tak trzymać. Przez kolejne kilka dni będziesz musiał intensywnie myśleć, a nie uda ci się to, jeśli nie potrafisz się skoncentrować. Gdy wszystko się skończy, możesz rozplynać się na kawałki.

Oczywiście jeśli nadal będę żył.

Możemy mieć taką nadzieję. - Po tych słowach głos umilkł.

Strażnicy pilnujący wejścia do komnaty króla rozstąpili się pochylając z szacunkiem głowy. Władca wyspy skierował się prosto do sekretarzyka, otworzył go i wyjął stary, wysuszony pergamin.

- Obawiam się, iż bardzo wyblakł - wyjaśnił. - Próbowaliśmy chronić go przed światłem, lecz jest bardzo stary. - Podeszedł do stołu i ostrożnie rozwinął mapę przyciskając

rogi ciężkimi woluminami. Stojący nieco z tyłu Garion ponownie poczuł pełne napięcia podekscytowanie, więc sięgnął myślami wstecz, do farmy Faldora, aby ukoić wzburzony umysł.

Król Perivoru wskazał palcem.

- Tutaj leży Perivor - rzekł - a tu rozciąga się rafa Korim.

Garion wiedział, że gdyby patrzył zbyt długo na to decydujące miejsce na mapie, dzikie podekscytowanie i poczucie triumfu powróciłoby, więc spojrział raz a szybko, po czym omiół wzrokiem pozostałą część mapy. Pismo wyglądało na stare jak świat. Instynktownie odszukał swoje królestwo i zauważył, że napisano „Ryva”. Ujrzał również „Aryndię”, „Kherech”, „Tol Nydrę” oraz „Draksnyę” i „Cthall Margose”.

- To jest źle napisane - zauważył Zakath. - Właściwa nazwa brzmi Rafa Turim.

Beldin zaczął wyjaśniać, lecz Garion już zawczasu znał odpowiedź.

- Wszystko się zmienia - mówił karzeł - a między innymi zmienia się sposób, w jaki wymawiamy pewne słowa. Dźwięki w wyrazach ulegają przekształceniom w ciągu mijających stuleci. Nazwa tej rafy uległa zmianie prawdopodobnie kilka razy w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat. To powszechne zjawisko. Gdyby Belgarath chciał używać języka, jakim posługiwali się mieszkańcy wioski, w której dorastał, żaden z nas nie mógłby go zrozumieć. Przypuszczam, że ta rafa przez jakiś czas była nazywana Torim czy coś takiego, aż wreszcie zmieniła się na Turim. Ta nazwa może jeszcze parę razy ulec zmianie. Widzicie, dzieje się tak...

- Możesz przestać? - zapytał w uniesieniu Belgarath.

- Nie jesteś zainteresowany poszerzaniem wiedzy?

- Nie w tej chwili. Beldin westchnął.

- W każdym razie - kontynuował - to, co nazywamy pisaniem, jest po prostu sposobem uchwycenia dźwięku słowa. W miarę jak zmienia się dźwięk, zmienia się sposób literowania. Różnicę łatwo jest wyjaśnić.

- Twa odpowiedź na pytanie była niezwykle przekonująca, łaskawy Beldinie - powiedziała Cyradis - wszakże w tym szczególnym przypadku zmiana dźwięku została narzucona.

- Narzucona? - odezwał się Silk. - Przez kogo?

- Przez dwie przepowiednie, księżę Kheldarze. Wspomagając swoją igraszkę zmieniły dźwięk słowa, ażeby ukryć jej położenie przed Przedwiecznym Belgarathem i Zandramas. Tych dwoje musiało rozwiązać zagadkę przed ostatecznym spotkaniem.

- Igraszkę? - spytał z niedowierzaniem Silk. - One bawiły się czymś tak istotnym?

- Owe dwie wieczne świadomości nie są podobne do nas, książę Kheldarze. Współzawodniczą ze sobą w przeróżny sposób. Czasami jedna próbuje zmienić bieg gwiazdy, podczas gdy druga zмага się, żeby zatrzymać ją w miejscu. Innym razem jedna próbuje przesunąć ziarno piasku, podczas gdy druga wykorzystuje swą energię, by owo ziarno pozostało nieruchome. Potrafią tak rywalizować nie oglądając się na upływające wieki. Gra zagadek z Belgarathem i Zandramas jest przeto jedną z form owego współzawodnictwa. I jak długo jest jeno igraszką i ruchami ziaren piasku, nic złego światu nie grozi. Gdyby wszak kędyś w odległym czasie i przestrzeni doszło do bezpośredniej konfrontacji, świat rozpadłby się na kawałki.

Garion nagle przypomniał sobie widok, jaki pojawił się w jego umyśle w sali tronowej w Vo Mimbre tuż przed zdemaskowaniem Murga Nachaka przed królem Korodullinem. Zdawało mu się wówczas, że widzi dwóch graczy bez twarzy siedzących przy grze, w której ruchy były tak niezmiernie skomplikowane, że jego umysł nie potrafił za nimi nadążyć. Z całkowitą pewnością zdał sobie sprawę, że wówczas udało mu się na okamgnienie ujrzeć wyższą rzeczywistość, którą właśnie opisała Cyradis.

Czy zrobiłeś to celowo? - spytał głosu w swym umyśle.

Naturalnie. Potrzebowałeś zachęty, żebyś się zabrał do zrobienia czegoś co jest konieczne. Lubisz rywalizację, więc pomyślałem, że obraz wielkiej gry pomoże ci ruszyć do działania. Wtem coś innego przyszło Garionowi na myśl.

- Cyradis - odezwał się - dlaczego jest nas tak wielu, skoro wydaje się, że Zandramas jest całkowicie osamotniona w tej rozgrywce?

- Azaliż nie było tak od wieków, Belgarionie? Dziecię Ciemności jest osamotnione, na podobieństwo Toraka opętanego samotnością swej niezmierzonej dumy. Tyś jest pokorny i pycha nie znaną ci przywarą, jako że znałeś swą prawdziwą wartość. Wszelako to jest ujmujące w tobie, Dziecię Światła, jako żeś nie przepelnień ważkością swą. Przepowiednia Ciemności wybrała zaprawdę jednego i tylko jednego i natchnęła go całą swą mocą. Wyrocznia Światła zdecydowała rozproszyć swą siłę pośród wielu. Choć na twych barkach spoczywa główny ciężar, wszyscy twoi przyjaciele pomagają go dźwigać. Różnica przeto pomiędzy dwiema wyroczniami tchnie zarówno prostotą jako i głębią..

Beldin zmarszczył brwi.

- Mówisz, że jest to różnica pomiędzy absolutyzmem a wspólną odpowiedzialnością?

- W dużej mierze jest jako rzekłeś. Ta różnica jest wszelako bardziej skomplikowana.

- Próbowałem jedynie zwięźle to ująć.

- A teraz - odezwał się Belgarath i spojrział na króla Perivoru - czy możesz nam opisać

tę rafę, wasza wysokość? - spytał. - Na mapie nie jest zaznaczona zbyt dokładnie.

- Z ogromną radością, Przedwieczny Belgaracie. W latach mej młodości żeglowałem w owych stronach, jako że rafa stworzona na podobieństwo cudu intrygowała wielce mój umysł. Żeglarze twierdzą, iż nie ma drugiej takiej na świecie. Zbudowana jest ze skalnych sterczyn wystających z morza. Same sterczyny łatwo jest dojrzeć, a co za tym idzie uniknąć. Pozostałe niebezpieczeństwa czyhają wszelako pod powierzchnią. Dzikie prądy i przyływy pędzą przez szczeliny w rafie, a pogoda zmienniejszą jest niżli niewiasta. - Uśmiechnął się w stronę słuchających kobiet. - Z racji onych niebezpieczeństw nikomu nie udało się jak dotąd zaznaczyć jej na mapie. Wszyscy rozważni żeglarze omijają ją z daleka.

Do komnaty weszli Durnik i Toth.

- Zrobione, wasza miłość - oznajmił Durnik. - Naradas leży parę piędzi pod ziemią. Nie będzie już sprawiał tobie ani nam kłopotu. Chcesz znać miejsce jego pochówku?

- Raczej nie, przyjacielu. Ty i twój potężny towarzysz oddaliście mi wielką przysługę tej nocy. Błagam was, jeśli kiedyś dane mi będzie odplacić wam serdeczną wzajemnością, nie wahajcie się prosić o co tylko zechcecie.

- Cyradis - odezwał się Belgarath - czy to ostatnia część zagadki? Czy są jeszcze inne, o których nie dane nam było się dowiedzieć?

- Nie, Przedwieczny. Gra zagadek została zakończona. Obecnie rozpoczyna się gra czynów.

- Wreszcie - rzekł z ulgą Belgarath, a następnie wraz z Beldinem zabrali się za wnikliwe studiowanie mapy.

- Czy znaleźliśmy to? - zwrócił się Durnik do Silka. - To znaczy, czy mapa pokazuje dokładnie położenie Korim?

Silk zaprowadził go do stołu.

- Tutaj - odezwał się wskazując palcem. - To bardzo stara mapa. Współczesne mapy źle literują nazwę. Dlatego właśnie musieliśmy tu dotrzeć.

- Tyle biegania i uganiania się za skrawkiem pergaminu - zauważył kowal.

- To prawda, przyjacielu. Według Cyradis, to wszystko stanowiło część gry między jegomościem, który zamieszkuje w głowie Gariona, a drugim takim znajdującym się prawdopodobnie w głowie Zandramas.

- Nie cierpię gier.

- Ja nie mam nic przeciwko.

- Ponieważ jesteś Drasaninem.

- Na pewno ma to po części wpływ.

- Leży mniej więcej w pobliżu gór Korim, Belgaracie - rzekł Beldin mierząc odległości za pomocą palców. - Prawdopodobnie przesunęły się nieco, gdy Torak doprowadził do pęknięcia świata.

- Jak sobie przypominam, nastąpiło wówczas wiele podobnych przesunięć.

- Och, tak - zgodził się gorączkowo Beldin. - Miałem trudności z utrzymaniem równowagi, a jestem tak zbudowany, że znajduję się bliżej ziemi niż wy.

- Wiesz co? Sam to zauważyłem. Wasza miłość - starzec zwrócił się do króla - czy mógłbyś dokładniej opisać rafę? Niezwykle trudnym i niebezpiecznym przedsięwzięciem mogłaby okazać się próba wylądowania na sterczynie w rozkołysanej łodzi podskakującej na falach przyboju.

- Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, Przedwieczny Belgaracie, zdaje się, że jest tam kilka skalistych plaż usianych głazami, jakowe bez wątpienia runęły ze stromych zboczy, rozbijając się na mniejsze. Kiedy przyływ jest niski, owe tłucznie, gromadzone od wieków, wyrastają ponad powierzchnię morza umożliwiając tym samym łatwe poruszanie się z jednej sterczyny na drugą.

- Podobnie jak ten most lądowy z kraju Morindimów do Mallorei - przypomniał sobie z niesmakiem Silk. - Nie była to zbyt przyjemna podróż.

- Czy są tam jakieś punkty orientacyjne? - naciskał Belgarath. - Ta rafa rozciąga się na dość dużym obszarze. Poszukiwanie miejsca, które mamy znaleźć, mogłoby zająć nam sporo czasu.

- Zaprawdę ma wiedza o onym zakątku nie jest wystarczająca - zaczął ostrożnie król - ale pewni żeglarze zapewniali, iż na północnej stronie najwyższej sterczyny znajduje się wejście do jaskini. Zdarzało się, że żądni przygód śmiałkowie schodzili na brzeg, aby zbadać jej głębokość, jako że wiadomo wszem i wobec, iż niedostępne groty częstokroć służą jako składownie nieprawych zdobyczy piratów i korsarzy. Ta sterczyna jednak zawsze udaremniała najmężniejsze wysiłki. Za każdym bowiem razem, gdy mężczyźni żeglarze lądowali w onym tajemnym miejscu, w morze wstępował zły duch i z bezchmurnego nieba trzaskały nagle błyskawice, a po nich nadchodziły straszliwe ulewy i burze.

- Zgadza się, Belgaracie - zarechotał w uniesieniu Beldin. - Coś tam stara się trzymać z dala przypadkowych badaczy.

- Wydaje mi się, że dwa „cosie” - zgodził się Belgarath. - Masz jednak rację. Wreszcie zlokalizowaliśmy dokładne miejsce spotkania. Ma się ono odbyć w owej jaskini.

Silk jęknął.

- Jesteś niezdrów, książę Kheldarze? - zapytał król.

- Jeszcze nie, wasza wysokość, ale chyba będę.

- Księżę Kheldar cierpi na pewne dolegliwości związane z jaskiniami, wasza miłość - wyjaśniła Velvet uśmiechając się przekornie.

- Żadne dolegliwości, Liselle - sprzeciwił się człowiek o szczurzej twarzy. - To bardzo proste. Za każdym razem na widok jaskini wpadam po prostu w panikę.

- Doszły mnie słuchy o takowej dolegliwości - przyznał król. - Zastanawiam się jeno, cóż może być jej tajemnym źródłem.

- W moim przypadku nie ma nic tajemnego, wasza miłość - rzekł sucho Silk. - Dokładnie wiem, skąd to się wzięło.

- Jeśli nosisz się z zamiarem stawienia czoła niebezpiecznej rafie, Przedwieczny Belgaracie - ozwał się król - dam ja tobie i twoim kompanom przedni statek, jakowy na swym pokładzie zanieś was mknąc chyżo po falach do onej rafy. Wydam rozkazy, by statek ów stał w pogotowiu w porze porannego przypływu.

- Wasza wysokość jest niezmiernie łaskaw.

- Niewielka to zapłata za przysługę, jakową wyświadczyliście mi tej nocy. - Król umilkł, a na jego twarzy odmalowało się zamyślenie. - Może nawet jest tak, jak stwierdził duch śmierdzącego Naradasa - rzekł. - Może zaprawdę próżny i głupawy ze mnie człek, lecz potrafię wyrażać swą wdzięczność. Poczyńcie zatem pierwsze przygotowania. Nie będę opóźniał już więcej waszej wędrówki. Spotkamy się nazajutrz, zanim wypłyniecie.

- Dziękujemy ci, wasza miłość - odparł Garion, a jego zbroja zaskrzypiała, gdy wykonywał zamaszysty ukłon. Następnie wyprowadził pozostałych z komnaty. Nie zdziwił się wcale widząc siedzącą przed drzwiami wilczycę.

- Czas się dokładnie zgadza, prawda, Cyradis? - rzekła Polgara do prorokini, kiedy znaleźli się na korytarzu. - W Ashabie powiedziałaś, że od spotkania dzieli nas dziewięć miesięcy. Z wyliczeń wynika, że stanie się to pojutrze.

- Nie mylisz się w twych wyliczeniach, lady Polgaro.

- A zatem wszystko odbywa się według planu. W ciągu jednego dnia powinniśmy dotrzeć do rafy, a do jaskini nazajutrz następnego dnia. - Polgara uśmiechnęła się krzywo. - Cały czas obawialiśmy się, że przybędziemy za późno, a teraz okazuje się, że dotrzemy dokładnie o czasie. - Roześmiała się. - Po cóż były te wszystkie zmartwienia i obawy?

- No cóż, wiemy teraz gdzie i kiedy - powiedział Durnik. - Musimy jedynie tam dotrzeć i załatwić tę sprawę raz na zawsze.

- Na to wygląda - zgodził się Silk.

Eriond westchnął i Garion poczuł chłodne podejrzenie, że nie było to takie pewne.

Czy to będzie on? - spytał tajemnego głosu. - Czy to Eriond ma zginąć?

Głos jednak nie odpowiedział.

Powrócili do swych komnat, a wilczyca dreptała tuż za nimi.

- Dużo czasu zajęło nam dotarcie na tę wyspę - powiedział zmęczonym głosem Belgarath. - Robię się chyba za stary na takie długie wyprawy.

- Stary? - zachnął się Beldin. - Ty się urodziłeś stary. Myślę jednak, że masz jeszcze siłę na pokonanie kilku mil.

- Po powrocie do domu spędzę w wieży jakiś wiek czy coś koło tego.

- Niezły pomysł. Mniej więcej tyle samo zabrałoby ci jednak jej sprzątanie. Och, jeszcze jedna sprawa, Belgaracie. Może byś w końcu naprawił ten luźny schodek?

- Zajmę się tym.

- Czyż wszyscy nie zakładamy, że zwyciężymy? - zauważył Silk. - Myślę, że robienie planów na przyszłość w tym akurat momencie jest nieco przedwcześnie. Chyba że Święta Prorokini udzieli nam jednej czy dwóch wskazówek na temat wyniku spotkania? - Spojrzał na Cyradis.

- Nie wolno mi tak uczynić, księżę Kheldarze, i nie zrobiłabym tego nawet gdybym znała odpowiedź.

- Twierdzisz zatem, że jej nie znasz? - spytał z niedowierzaniem.

- Wybór nie został jeszcze dokonany - rzekła - I nie zostanie dokonany, aż stanę przed obliczem Dziecka Światła i Dziecka Ciemności. Do tego momentu wynik zawieszony jest na Szali Przeznaczenia.

- Co za pożytek z bycia prorokinią, skoro nie możesz przewidzieć przyszłości?

- To szczególnie wydarzenie nie jest możliwe do przewidzenia, Kheldarze - odparła szorstko.

- Chyba wszyscy powinniśmy się trochę przespać - stwierdził Belgarath. - Następne dni mogą być nieco gorączkowe.

Wilczyca podążyła za Garionem i Ce'Nedrą do ich komnaty. Ce'Nedra spojrzała nieco zdumiona, lecz wilczyca skierowała się prosto do łoża i wsparłszy się o nie przednimi łapami popatrzyła krytycznie na szczenię, które spało na grzbiecie z czterema łapkami dyndającymi w powietrzu.

Wilczyca obdarzyła Gariona pełnym wyrzutu spojrzeniem.

- Widzę, że zrobił się tłusty - powiedziała. - Twoja towarzyszka zepsuła go przekarmianiem i rozpieszczaniem. Nie nadaje się na wilka. On już nawet nie pachnie jak wilk.

- Moja towarzyszka kąpie go od czasu do czasu - wytłumaczył Garion.

- Kąpie - parsknęła wilczyca pogardliwym tonem. - Wilk powinien kąpać się jedynie w deszczu lub przepływając rzekę. - Usiadła. - Poproszę twoją towarzyszkę o pewną przysługę.

- Chętnie przekażę jej twoją prośbę.

- Mam taką nadzieję. Spytaj, czy nadal będzie opiekowała się młodym. Myślę, że nie musisz dodawać, że zepsuła go tak bardzo, że szczeniak przypomina już bardziej salonowego pieska.

- Przekażę twą prośbę.

- Co ona powiedziała? - spytała Ce'Nedra.

- Chce wiedzieć, czy chciałabyś zająć się na stałe szczeniakiem.

- Oczywiście. Zawsze chciałam się nim opiekować. - Następnie uklękła i impulsywnie zarzuciła ręce na szyję wilczycy. - Będę o niego dbała - obiecała.

- Zauważyłam, że jej zapach nie jest niemiły - rzekła wilczyca do Gariona.

- Również to zauważyłem.

- Nie dziwię się. - Wilczyca wstała i cichutko wyszła z pokoju.

- Opuści nas teraz, prawda? - spytała ze smutkiem Ce'Nedra. - Będzie mi jej brakowało.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Czemu pozbywałaby się swego dziecka?

- Myślę, że wiąże się to z czymś innym. Ona przygotowuje się do czegoś.

- Jestem bardzo zmęczona, Garionie. Chodźmy spać. Później, kiedy leżeli w łóżku otoczeni ciemnością, Ce'Nedra westchnęła.

- Za dwa dni zobaczę moje dziecko. Minęło tak wiele czasu, tak wiele.

- Nie myśl o tym teraz, Ce'Nedro. Potrzebujesz odpoczynku, a podobne myśli odgonią sen.

Nie tylko Cyradis musi dokonać wyboru - powiedział głos w jego umyśle. - Ty i Zandramas również musicie dokonać wyboru.

Nie rozumiem.

Musicie wybrać swoich następców. Zandramas już swego wybrała. Ty powinieneś głęboko zastanowić się nad swym ostatnim zadaniem. Będzie to niezwykle istotne. Przystaniesz być Dzieckiem Światła.

Tak przypuszczam. Będzie mi brakowało tego ciężaru, lecz z drugiej strony z wielką ulgą się go pozbędę. Znow stanę się zwykłym człowiekiem.

Nigdy nie byłeś zwykłym człowiekiem. Od chwili narodzin byłeś Dzieckiem Światła.
Będzie mi cię brakowało.

Proszę, nie popadaj w melancholię, Garionie. Od czasu do czasu może zatrzymam się i wpadnę zobaczyć, co u ciebie słychać. A teraz prześpij się trochę.

Kiedy obudził się nazajutrz, przez czas jakiś leżał w łóżku z otwartymi oczami. Od długiego już czasu próbował nie myśleć o czymś, lecz teraz nie miał innego wyboru jak stanąć temu twarzą w twarz. Miał wszelkie powody, aby nienawidzić Zandramas, lecz...

W końcu wyslizgnął się z łóżka, ubrał się i wyszedł na poszukiwanie Belgaratha.
Znalazł starca dotrzymującego towarzystwa Cyradis w głównej komnacie.

- Dziadku - zagał. - Mam pewien problem.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Co tym razem zaprzęta twój umysł?

- Jutro spotkam się z Zandramas.

- Co ty powiesz. No cóż, chyba masz rację.

- Proszę, przestań. To poważna sprawa.

- Przepraszam, Garionie. Jestem dziś w kiepskim nastroju.

- Obawiam się, że tylko śmierć może ją powstrzymać, a nie wiem, czy będę w stanie tego dokonać. Torak to inna sprawa, Zandramas jest kobietą.

- No cóż, była nią. Myślę, że teraz sprawa płci już jej nie dotyczy.

- Mimo to nie sądzę, bym potrafił to zrobić.

- Wszelako nie zaistnieje takowa potrzeba, Belgarionie z Rivy - zapewniła go Cyradis.

- Odmienny los zapisano w gwiazdach dla Zandramas, bez względu na wybór, jakowego dokonam. Nie musisz przelewać jej krwi.

Garion poczuł, jak spływa na niego błogie uczucie ulgi.

- Dziękuję ci, Święta Prorokini - odezwał się. - Obawiałem się, że mnie czeka konieczność zabicia Zandramas. Dobrze wiedzieć, że nie jest to jedno z oczekujących mnie zadań. Och, przy okazji, dziadku, mój przyjaciel ten tutaj... - Poklepał się w czoło. - ...znów mnie odwiedził. Ubiegłej nocy powiedział mi, że moim ostatecznym zadaniem będzie wybór mego następcy. Przypuszczam, że nie możesz mi w tym pomóc, prawda?

- Nie, Garionie. Obawiam się, że nie. Myślę, że nie powinienem tego robić, prawda, Cyradis?

- Nie, Przedwieczny Belgaracie. To zadanie spoczywa na barkach Dziecka Światła.

- Obawiałem się, że tak będzie - powiedział ponuro Garion.

- Och, jeszcze jedna sprawa, Garionie - odezwał się Belgarath. - Twój wybraniec ma duże szansę stania się bogiem. Nie wybieraj mnie; chyba nie nadaję się na to stanowisko.

Pozostali wchodzili do komnaty pojedynczo bądź parami. Za każdym razem Garion patrzył wnikliwie w ich twarze, próbując wyobrazić sobie każdego z przyjaciół jako istotę boską. Ciocia Pol? Nie. Nie pasowała, co wykluczało od razu Durnika. Nie mógł pozbawić jej męża. Silk? Ten pomysł sprawił, że Garion omal nie popłakał się ze śmiechu. Zakath? Tu istniały pewne możliwości, jako że w żyłach Zakatha płynęła krew Angaraków, a nowy bóg będzie bogiem tego narodu. Zakath był jednak zbyt mało przewidywalny. Jeszcze do niedawna owładnięty był obsesją władzy. Nagła boskość mogłaby rozstroić jego umysł i sprawić, że powróciłby do swych poprzednich dążeń. Garion westchnął. Musiał przemyśleć całą sprawę dużo bardziej wnikliwie. Służący przynieśli śniadanie i Ce'Nedra pamiętając o obietnicy złożonej poprzedniej nocy przygotowała miskę dla szczeniaka, na której znalazły się jajka, mięswo i sporo powidel. Wilczyca popatrzyła na przygotowane potrawy i wzdrygnęła się gwałtownie.

Podczas posiłku świadomie unikali tematu jutrzejszego spotkania. Było nieuniknione, więc nie widzieli sensu, by o nim rozmawiać.

Belgarath odsunął talerz z wyrazem zadowolenia na twarzy.

- Nie zapomnij podziękować królowi za jego gościnność - powiedział do Gariona.

Wtedy wilczyca zbliżyła się do starca i położyła głowę na jego kolanach. Belgarath wyglądał na zdumionego. Wilczyca zwykle go unikała.

- O co chodzi, mała sestro? - spytał.

Wilczyca, ku zdumieniu wszystkich, roześmiała się i przemówiła wyraźnie językiem ludzi.

- Twój umysł chyba usnął, stary wilku - rzekła do Belgaratha. - Sądziłam, że rozpoznasz mnie wiele tygodni temu. Czy to ci pomoże zrozumieć? - Nagle otoczył ją błękitny nimb. - A może to? - Zamigotała i w miejsce wilka pojawiła się kobieta w brązowej sukni o złociście brązowych włosach.

- Matko! - krzyknęła Polgara.

- Jesteś bardziej spostrzegawcza niż twój ojciec, Polgaro - odezwała się Poledra. - Natomiast Garion wiedział już od dość dawna.

Belgarath nie odrywał jednak przerażonego wzroku od szczeniaka.

- Och, nie wygłupiaj się, starcze - powiedziała żona. - Wiesz, że nic nas nie rozdzieli, do samego końca. Sfóra porzuciła go, ponieważ był chory i słaby. Zaopiekowałam się nim. To wszystko.

Prorokini Kell uśmiechała się łagodnie.

- To Kobieta, Która Obserwuje, Przedwieczny Belgaracie - odezwała się. - Obecnie

wasza grupa scalała się niczym stygnąca lawa. I wiedza w umyśle twym zakwitnąć musi, i z serca twego umiłowanie będzie z tobą tak, jako zawsze było.

CZEŚĆ TRZECIA
Wysokie miejsca Korim

Rozdział XVIII

W swoim życiu Garion widział kilkakrotnie Poledrę, lub jej wyobrażenie, lecz podobieństwo do Polgary wydawało się teraz co najmniej niesamowite. Oczywiście były pewne różnice. Włosy Polgary, oprócz białego loka nad brwiami, spływały ciemną, prawie czarną kaskadą na ramiona, a jej oczy emanowały wyrazistym błękitem. Włosy Poledry dorównywały długością płowym włosom Velvet, a jej oczy były złociste niczym oczy wilka. Wyglądem prawie nie różniła się od siostry Polgary, Beldaran, której wyobrażenie Garion widział tylko jeden jedyny raz. Belgarath wraz z żoną i córką przeszedł w odległy kraniec komnaty, a Beldin ze łzami w oczach usadowił się dokładnie pośrodku pokoju pomiędzy nimi a pozostałymi, ażeby chronić ich prywatność podczas radosnego zjednoczenia.

- Kto to jest? - zapytał zdumiony Zakath.

- Moja babcia - odparł Garion. - Żona Belgaratha.

- Nie wiedziałem, że jest żonaty.

- A myślałeś, że skąd się wzięła ciocia Pol?

- Chyba w ogóle o tym nie pomyślałem. - Zakath rozejrzał się dookoła i dostrzegł, jak Ce'Nedra i Velvet ocierają oczy chusteczkami.

- Dlaczego wszyscy są tacy rozrzewnieni? - spytał.

- Sądziliśmy, że umarła podczas porodu, kiedy rodziła ciocię Pol i jej siostrę Beldaran.

- Jak dawno temu?

- Ciocia Pol ma teraz jakieś trzy tysiące lat. - Garion wzruszył ramionami.

Zakath zamrugał powiekami w zdumieniu.

- I przez cały ten czas Belgarath pozostawał w żałobie?

- Tak. - Garion nie miał ochoty na rozmowę. Pragnął jedynie cieszyć oczy radosnym widokiem swojej rodziny. To słowo pojawiło się w jego umyśle spontanicznie i nagle przypomniał sobie ponury okres po tym, jak dowiedział się po raz pierwszy, że ciocia Pol nie była, dokładnie mówiąc, jego ciocią. Czuł wówczas straszliwą samotność, czuł się sierotą w najstraszliwszym znaczeniu tego słowa. Przyzwyczajenie się zabrało mu długie lata, lecz teraz wszystko powróciło do normalnego stanu. Jego rodzina znajdowała się prawie w komplecie. Belgarath, Poledra i Polgara wpatrywali się w siebie w milczeniu, jako że mowa była całkowicie zbędna. Siedzieli po prostu na krzesłach blisko siebie i patrząc sobie głęboko w oczy trzymali się za ręce. Garion w niewielkim stopniu odczuwał intensywność ich uczuć. Również jednak nie czuł się odizolowany i szczerze podzielał ich radość.

Durnik przeszedł dostojnie przez pokój i dołączył do reszty. Nawet oczy praktycznego, mocno stojącego na ziemi Durnika zasłaniała delikatna mgielka łez.

- Może zostawimy ich samych? - zaproponował. - Najwyższy czas, byśmy przygotowali się do podróży. Musimy zdążyć na statek.

- Powiedziała, że wiedziałeś - odezwała się Ce'Nedra z wymówką w głosie, kiedy wraz z Garionem wrócili do swojej komnaty.

- Tak - przyznał.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- Prosiła, żebym zachował to dla siebie.

- Prośba taka nie dotyczy twojej żony, Garionie.

- Nie? - spytał z udawanym zdziwieniem. - Kiedy wprowadzono tę zasadę?

- Ja ją wymyśliłam - przyznała. - Och, Garionie - rzekła zarzucając mu ręce na szyję i całując czule - naprawdę cię kocham.

- Mam nadzieję. Zaczynamy pakowanie?

W korytarzach królewskiego zamku w Dal Perivor panował chłód. Garion i Ce'Nedra powrócili do głównej komnaty. Łukowate okna wpuszczały złote promienie porannego słońca rozjaśniające swym blaskiem wnętrze komnaty i wydawało się, że nawet martwe przedmioty dawały swe błogosławieństwo w ten szczególny, odświętny dzień.

Kiedy zebrali się ponownie, Belgarath wraz z żoną i córką dołączyli do pozostałych.

- Czy chcesz, bym ci wszystkich przedstawiła, matko? - spytała Polgara.

- Znam wszystkich, Polgaro - odparła Poledra. - Jestem z wami od jakiegoś czasu, pamiętasz?

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Chciałam zobaczyć, czy uda się wam to odgadnąć. Trochę mnie rozczarowałaś, Polgaro.

- Matko - zaprotestowała Polgara - nie na oczach dzieci. Obydwie roześmiały się tym samym ciepłym, dźwięcznym śmiechem.

- Panie i panowie - rzekła Polgara - oto moja matka Poledra.

Otoczyli legendarną postać. Silk szarmancko ucałował jej dłoń.

- Przypuszczam, lady Poledro - odezwał się chytrze - że powinniśmy pogratulować Belgarathowi. Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności sądzę, że na tobie spocznie największy ciężar. Twoja córka od mniej więcej trzech wieków próbuje go zreformować, lecz bez zauważalnego efektu.

Poledra uśmiechnęła się.

- Mam chyba więcej możliwości pod ręką niż moja córka, księżę Kheldarze. -
Nieświadomie przeszła na mowę wilków.

- No dobrze, Poledro - mruknął Beldin, wysuwając się naprzód - co naprawdę się
zdarzyło? Po urodzeniu dziewczynek nasz Pan przyszedł do nas i obwieścił, że już nie ma cię
wśród nas. Wszyscy sądziliśmy, że umarłaś. Bliźniaki płakały przez całe dwa miesiące, a ja
próbowałam jakoś sobie radzić z tymi niemowlakami. Co się naprawdę zdarzyło?

- Aldur cię nie okłamał, Beldinie - odparła spokojnie. - W dokładnym tego słowa
znaczeniu nie było mnie wśród was. Widzisz, wkrótce po narodzinach dziewczynek pojawili
się u mnie Aldur i UL. Powiedzieli, że mają dla mnie niezwykle ważne zadanie, lecz będzie
ono wymagało równie niezwykle poświęcenia, a mianowicie pozostawienia was
wszystkich, abym mogła przygotować się do owego zadania. W pierwszej chwili odmówiłam,
lecz kiedy wytłumaczyli mi, na czym miało polegać zadanie, nie miałam innego wyboru jak
tylko się zgodzić. Odwróciłam się plecami do Vale i podążyłam z ULeM do Prolgu, aby
otrzymać polecenia. Od czasu do czasu pozwalał mi niepostrzeżenie odwiedzać ten świat,
abym zobaczyła, jak żyje moja rodzina. - Popatrzyła dość stanowczym wzrokiem na
Belgaratha. - Mamy z sobą wiele do porozmawiania, stary wilku - rzekła.

Belgarath skrzywił się wyraźnie.

- Przypuszczam, że nie możesz oświecić nas wyjawiając co nieco na temat tego
niebываłego zadania? - spytał łagodnie Sadi.

- Obawiam się, że nie.

- Tak sądziłem - mruknął.

- Eriondzie - odezwała się Poledra pozdrawiając jasnowłosego młodzieńca.

- Poledro - odpowiedział. Eriond, jak zwykle, zdawał się zupełnie nie być
zaskoczonym obrotem spraw. Garion zauważył już wcześniej, że Eriond nigdy nie okazywał
zdziwienia.

- Zmężniałeś od czasu, gdy widzieliśmy się ostatnim razem - zaopiniowała.

- Chyba tak - zgodził się.

- Jesteś gotów?

Pytanie sprawiło, że Gariona przebiegł chłodny dreszcz, i przypomniał sobie dziwny
sen, jaki przyśnił mu się w noc poprzedzającą wyjawienie jego prawdziwej tożsamości.

Jego rozmyślenia przerwało uprzejme pukanie do drzwi. Durnik kazał wejść i w
wejściu pojawił się rycerz w zbroi.

- Jego wysokość przysłała mnie, abym rzekł tobie i twym przyjacielom, iż statek
oczekuje w porcie, szlachetny panie - odezwał się rycerz.

- Nie jestem... - zaczął Durnik.

- Daj spokój, Durniku - rzekł do niego Silk. - Szlachetny rycerzu - zwrócił się do człowieka przy drzwiach - gdzież dane nam będzie odnaleźć jego miłość? Pragniemy wyrazić przed obliczem jego szlachetnym wdzięczność, jakowa wypełnia serca nasze, i pokłonić się do ziemi, dzięki wielkie składając za gościnę zacną.

- Jego wysokość oczekuje ciebie i twych kompanów w porcie, szlachetny panie. Pożegna was i odprowadzi ku wielkiej przygodzie, jakowa zapewne was oczekuje.

- A zatem się pospieszmy, szlachetny rycerzu - obiecał mały człowieczek. - Azaliż wielkim brakiem kurtuazji okrylibyśmy hańbą honor nasz każąc na siebie czekać jednemu z największych monarchów świata. Wykonałeś swe zadanie w sposób, jakowy zasługuje na pochwałę, szlachetny rycerzu, i wdzięczniśmy ci niewymownie.

Rycerz skłonił się promieniejąc na twarzy, po czym odwrócił się na pięcie i podążył zatopionym w lekkim półmroku korytarzem.

- Gdzie się nauczyłeś mówić w ten sposób, Kheldarze? - spytała lekko zdumiona Velvet.

- Ach, droga pani - odparł Silk z nadmierną egzaltacją - azaliż nie wiesz o tym, że dusza poety skrywa się pod najbardziej zwyczajną powierzchownością? Okraszę komplementami twą tajemną i jakże niesamowitą część ciebie. - Wymownie zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy.

- Kheldarze! - krzyknęła oblewając się rumieńcem.

- To żarty, moja miła - odparł Silk mając na myśli archaiczną mowę, a przynajmniej Garion miał nadzieję, że Silk miał to na myśli. - Kiedy już raz się człowiek nauczy, jak oplatać swój język w te wszystkie azaliż, niżli, jakowaś, zaczyna to nabierać pewnego uroku, prawda?

- Otaczają nas szarlatani, matko - westchnęła Polgara.

- Belgaracie - powiedział poważnie Durnik - nie ma chyba sensu brać koni, prawda? Chodzi mi o to, że kiedy już dotrzemy na rafę, będziemy tam chodzić po skałach i brodzić w nabrzeżnych falach. Konie chyba nie będą konieczne?

- Prawdopodobnie masz rację, Durniku - zgodził się starzec.

- Pójdę więc do stajni - powiedział kowal. - Wy ruszajcie czym prędzej. Dołączę do was. - Odwrócił się i wyszedł z komnaty.

- Nadzwyczaj praktyczny człowiek - zauważyła Poledra.

- Dusza poety skrywa się jednak pod najbardziej praktyczną powierzchownością, matko... - Polgara uśmiechnęła się - ...a wyobraźnia twa ogarnąć nie zdoła, jakową

przyjemność z onego aspektu czerpać potrafię.

- Chyba najwyższy czas opuścić tę wyspę, stary wilku - rzekła sucho Poledra. - Jeszcze dwa dni, a wszyscy zaczną tworzyć kiepską poezję.

Przybyli służący, aby zabrać juki do portu. Garion z przyjaciółmi podążył kamiennymi korytarzami i chwilę później znaleźli się na ulicach Dal Perivor. Chociaż powitał ich jasny i słoneczny poranek, na zachodzie zaczęły gromadzić się ciemne chmury; ciężkie, purpurowe chmury, które świadczyły niezbitcie o złej pogodzie nad Korimem.

- Chyba powinniśmy się byli tego domyślać - westchnął Silk. - Chciałbym choć raz, raz jedyny, ujrzeć, jak jedno z tych nadzwyczajnych wydarzeń ma miejsce podczas sprzyjającej aury.

Garion zrozumiał w pełni, co kryje się za tym pozornie błahym żartem. Wszyscy oczekiwali jutra z pewną obawą. Przepowiednia Cyradis z Rheon, że jeden z nich nie przeżyje spotkania, ciążyła boleśnie w sercach wędrowców i w sposób tak stary jak sama ludzkość próbowali skrywać trwogę za mgiełką utoczoną z lekkiej kpiny. Garion przypomniał sobie o czymś i został z tyłu, aby porozmawiać z prorokinią z Kell.

- Cyradis - zwrócił się do dziewczyny z przepaską na oczach - czy ja i Zakath powinniśmy mieć na sobie zbroje, kiedy dotrzemy do rafy? - Poklepał się z przodu swego kubraka, który założył rano z uczuciem ulgi w nadziei, że może nie będzie już musiał okuwać się w stal. - Chodzi mi o to, że jeśli spotkanie będzie całkowicie duchowe, nie ma chyba potrzeby uzbrajać się po zęby, prawda? Lecz jeśli istnieje możliwość walki, prawdopodobnie powinniśmy być przygotowani.

- Twa dusza przezrocza tafli szklanej równa, Belgarionie z Rivy - odezwała się delikatnie go strofując. - Uciekasz się do podstępów, by wyłudzić ode mnie słowa odpowiedzi, jakowych zakazano mi tobie udzielać. Czyń wszakże jako zechcesz, królu Rivy. Roztropność wszelako nakazuje, by odrobina stali nie ostała jeno we wspomnieniach twych, jako że owo zdarzenie może zrodzić wiele niespodzianek.

- Ty mnie poprowadzisz. - Garion wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Twa roztropna rada zdaje się mi niesłychaną mądrością.

- Czyżbyś otoczył swe słowa nieśmiałą woalką żartu, Belgarionie?

- Czyżbym ośmielił się to uczynić, Święta Prorokini? Uśmiechnął się do niej i pomaszerował do trzymających się za ręce Belgaratha i Poledry, którzy szli tuż za Zakathem i Sadim.

- Dziadku, wydaje mi się, że właśnie uzyskałem odpowiedź od Cyradis - pochwalił się.

- To może być coś - odparł starzec.

- Myślę, że kiedy dotrzemy do rafy, możemy spodziewać się walki. Spytałem, czy Zakath i ja powinniśmy założyć zbroje, kiedy tam dopłyniemy. Nie odparła wprost, ale powiedziała, że może to nie najgorszy pomysł. Tak na wszelki wypadek.

- Chyba będzie lepiej, jak powiadomisz pozostałych. Lepiej, żeby nie wpakowali się w coś niepotrzebnie.

- Powiem im czym prędzej.

Król, w otoczeniu wytwornie odzianych dworzan, oczekiwał ich na długim nabrzeżu ciągnącym się aż po lekko wzburzone wody portu. Pomimo ciepłego poranka król miał na sobie gronostajowe futro i ciężką, złotą koronę.

- Z radością wielką witam ciebie i twych towarzyszy, Belgarionie z Rivy - zadeklamował - i w żalości serca oczekuję waszego odjazdu. Wielu z owych szlachetnych person zebranych wkoło błagało, bym zezwolił im przemówić z tejże okazji, lecz w waszym imieniu niezwłocznie odmówiłem, mając w pamięci pilność i ważkość waszych poszukiwań.

- Zaczny z ciebie i prawy przyjaciel, wasza wysokość - odparł Garion, szczerze wdzięczny za oszczędzenie im spędzenia większej części poranka na wysłuchiwanie kwiecistych przemów. Serdecznie objął króla. - Wiedz jednak, iż jeśli bogowie uraczą nas możliwością zwycięstwa, jutro powrócimy na oną szczęśliwą wyspę, byśmy mogli wyrazić wdzięczność naszą, jakową słowami oddać trudno, za szlachetne przyjęcie i błogą gościnę okraszona nie lada kurtuazją, jakowej trudno na świecie szerokim szukać. - W gruncie rzeczy musieli przecież wrócić po konie. - A teraz, wasza wysokość, los nas wzywa. Musimy zatem, żegnając się krótko i zdawkowo, wejść na onego żaglowca pokład i wyruszyć ze śmiałością w sercach na spotkanie Przeznaczenia. A jeśli zechcą tak bogowie, oczekuj rychłego powrotu. Żegnaj, przyjacielu.

- I ty żegnaj, Belgarionie z Rivy - rzekł król bliski łez. - Niechaj bogowie dadzą tobie i twym przyjaciółom zwycięstwo.

- Módlcie się, ażeby tak się stało. - Garion zrobił zwrot dramatycznie zakręciwszy peleryną i poprowadził swych przyjaciół po mostku. Spojrzawszy przez ramię zobaczył, jak Durnik toruje sobie drogę wśród tłumu, i gdy tylko kowal dotknął stopami desek pokładu, Garion wydał rozkaz podniesienia trapu unikając konieczności wysłuchiwania kwiecistych pożegnań wykrzykiwanych przez balustradę statku.

Wraz z Durnikiem przybyły powozy wiozące ich rzeczy. Pakunki sprawnie przeniesiono na statek i Garion poszedł na rufę, aby porozmawiać z kapitanem, starym żeglarzem, na którego twarzy morskie wiatry wyłobiły głębokie bruzdy.

W przeciwieństwie do zachodnich jednostek, których drewniane pokłady szorowano do białości, nadbudówkę i otaczające ją relingi przyciemniono wodoodpornym pokostem, a śnieżnobiałe liny poukładane w idealnie równe zwoje zwieszały się z wypolerowanych do błysku kołków. Statek lśnił czystością i widać było, że stanowi chlubę swego właściciela. Sam kapitan nosił, jak na starego wilka morskiego przystało, nieco zniszczony, błękitny kubrak, a posiwiałe włosy skrywał pod aksamitną czapką zawadiacko naciągniętą na jedno ucho.

- Sądzę, że to wszystko, kapitanie - powiedział Garion. - Możemy odbijać i opuścić port, zanim odwróci się odpływ.

- Widzę, że morze nie jest ci obce, młody panie - rzekł z aprobatą kapitan. - Mam nadzieję, że twoi przyjaciele również nie są żółtodziobami. To zawsze wielka próba mieć na pokładzie szczury lądowe. Zdaje się, że nigdy nie mogą pojąć, że rzucanie się naprzeciw wiatru nie jest najlepszym pomysłem. - Podniósł głos do przenikliwego ryku. - Rzucić cumy! Przygotować się do postawienia żagli!

- Twoja mowa nie przypomina języka tej wyspy, kapitanie - zauważył Garion.

- Byłbym zdziwiony, gdyby przypominała, młody panie. Pochodzę z Wysp Melceńskich. Jakies dwadzieścia lat temu rozeszły się paskudne pogłoski o tym, że mam żeglować gdzieś w pobliżu domu, więc pomyślałem, że postąpię roztropnie znikając na jakiś czas. Przybyłem tutaj. Nie uwierzyłybyś, co ci ludzie nazywali statkiem, kiedy tu przybyłem.

- Coś przypominającego zamek unoszący się na wodzie? - spróbował Garion.

- A zatem już je widziałeś?

- W innej części świata.

- Postawić żagle! - ryknął powtórnie kapitan do swej załogi. - Tam, młody panie - uśmiechnął się szeroko do Gariona - znajdziemy się poza zasięgiem słuchu. To zaoszczędzi nam całej tej elokwencji. Na czym to skończyłem? Och, tak. Kiedy tu przybyłem, statki w Perivor były tak wysokie i ciężkie, że dobre kichnięcie mogło je wyrzucić stępką do góry. Uwierzyłybyś, że wytłumaczenie tego tym ludziom zabrało mi jedynie pięć lat?

- Musiałeś wykazywać się niezwykłą elokwencją, kapitanie - roześmiał się Garion.

- Jedna kolejka czy dwie przed rzuceniem cum liny trochę pomogły - podsumował kapitan. - Wreszcie musiałem rzucić prawdziwe wyzwanie. Żaden z tych twarogłowych nie potrafi odmówić wyzwania, więc zaproponowałem wyścig dookoła wyspy. Wyłynęło dwadzieścia statków i jedynie mój ukończył wyścig. Od tego czasu zaczęli słuchać. Następne pięć lat spędziłem na nadzorowaniu budowy nowych żaglowców. W końcu król pozwolił mi powrócić na morze. Zyskałem tytuł baroneta. Nie wielce znaczącego. Chyba posiadam

również na własność jakiś zamek.

Od strony nabrzeża doszedł ich dźwięczny odgłos trąb, kiedy to wedle mimbrackiego zwyczaju rycerze z królewskiego dworu oddali im cześć dmąc w potężne trąby.

- Czyż to nie żalosne? - stwierdził kapitan. - Nie sądzę, żeby na całej wyspie znajdował się choć jeden człowiek, który nie fałszuje melodii. - Popatrzył na Gariona taksując go wzrokiem. - Słyszałem, że zmierzacie w kierunku rafy Turim.

- Rafy Korim - poprawił nieświadomie Garion.

- Widzę, że nasłuchałeś się bajdurzeń szczurów lądowych. Oni nawet nie potrafią właściwie wymówić tej nazwy. W każdym razie, gdy zdecydujesz się, gdzie chcesz wylądować, daj mi znać. Rafę otaczają niezwykle paskudne wody. W takim miejscu można popełnić błąd, a ja posiadam całkiem dokładne mapy.

- Król powiedział nam, że nie ma żadnych map rafy. Kapitan zamrugał chytrze oczami.

- Pogłoski, o których wcześniej wspominałem, zachęciły pewne stare wygi do śledzenia mnie - przyznał - chociaż „pogoń” byłaby chyba trafniejszym określeniem. Czasami nagrody wywołują w ludziach niezdrowe emocje. W każdym razie, przepływałem kiedyś obok rafy podczas dobrej pogody i zdecydowałem się przesondować dno morza. Nigdy nie zaszkodzi mieć jakąś kryjówkę w miejscu, gdzie inni obawiają się pływać.

- Jak cię nazywają, kapitanie? - spytał Garion.

- Kresca, młody panie.

- Sprawisz mi przyjemność nazywając mnie Garionem.

- Jak sobie życzysz, Garionie. A teraz zabieraj się z mostka, żebym mógł wymanewrować tą starą krypą z portu.

Kapitan Kresca mówił inaczej, czemu nie można było się dziwić, gdyż pochodził z drugiej połowy świata, lecz niezwykle podobieństwo do przyjaciela Baraka, Gredlika, sprawiło, że Garion poczuł się nagle bardzo bezpiecznie. Zszedł pod pokład, by dołączyć do pozostałych.

- Mieliśmy szczęście - powiedział. - Nasz kapitan jest Melcenem. Nie ciąży na nim żadne zobowiązania i posiada mapy rafy. Jest również chyba jedynym człowiekiem pływającym po tych wodach, który takowe posiada. Zaoferował się ułatwić nam lądowanie, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

- To bardzo pomocne - rzekł Silk.

- Możliwe, choć najbardziej ma na względzie całość kadłuba swego statku.

- Rozumiem go w zupełności - odezwał się Silk. - Szczególnie, że też płynę tym

statkiem.

- Wychodzę na pokład - powiedział Garion. - Przebywanie w dusznej kajucie pierwszego dnia rejsu zawsze z jakiejś przyczyny przyprawia mnie o mdłości.

- I ty jesteś władcą wyspy? - rzekła Poledra.

- To kwestia przyzwyczajenia, babciu.

- Oczywiście.

Niebo i morze były niespokojne. Ciężkie chmury nadciągały złowieszczo z zachodu, wysyłając złowróżbne, wysokie fale upstrzone śnieżnobiałymi grzywaczami, fale, które prawdopodobnie brały początek gdzieś u wschodnich wybrzeży Cthol Murgos. Garion, jako król wyspy, zdawał sobie sprawę, że to zjawisko nie było niczym niezwykłym, lecz odczuwał pewną przesadną trwogę widząc, jak powierzchniowe wiatry mknęły w przeciwnym kierunku niż wschodnie wichry popychające wysoko dryfujące zwaliste chmury. Wielokrotnie obserwował podobne zjawiska, ale tym razem nie był pewien, czy widzi jedno z nich. Leniwie zastanawiał się, co uczyniłyby dwie wieczne świadomości, gdyby wraz z przyjaciółmi nie znaleźli statku. Przez chwilę wydawało mu się, że morze rozstępuje się robiąc szerokie, piaszczyste przejście, drogę pełną zdumionych ryb. Poczł, że to wszystko zupełnie już wymyka mu się z rąk. Podobnie jak w trakcie długiej podróży do Cthol Mishrak coraz bardziej upewniał się, że dwie przepowiednie kierowały go do Korim na spotkanie, które, choć sam go nie wybierał, było Ostatecznym Wydarzeniem, ku któremu zdązał cały wszechświat od początku dni. Pełne żalości „dlaczego ja?” znów cisnęło mu się na usta.

Wtem poczuł, jak Ce'Nedra wtula mu się pod ramię, podobnie jak w te pierwsze dni, kiedy odkryli łączące ich, gorące i namiętne uczucie.

- O czym myślisz, Garionie? - spytała ciepło. Zauważył, że pozbyła się antycznej zielonej sukni, którą nosiła w pałacu, i miała teraz na sobie szarą, wełnianą sukienkę.

- Właściwie nie myślę. Bardziej się martwię.

- Czym tu się martwić? Przecież zwyciężymy, prawda?

- Nie możemy być tego pewni.

- Oczywiście, że zwyciężysz. Zawsze tak się dzieje.

- Tym razem jest inaczej, Ce'Nedro. - Westchnął. - Nie chodzi tylko o spotkanie. Muszę wybrać swego następcę, a ten, którego wybiorę, będzie nowym Dzieckiem Światła i prawdopodobnie bogiem. Jeśli wybiorę nieodpowiednią osobę, możliwe, że stworzę boga, który przyniesie światu zagładę. Czy wyobrażasz sobie Silka jako boga? Okradałby kieszenie innych bogów i wypisywał na konstelacjach nieprzyzwoite wyrazy.

- Wydaje się, że nie ma odpowiedniego charakteru - zgodziła się. - Ja go lubię, lecz

sądzę, że UL nie przyjąłby go z aprobatą. Co jeszcze cię trapi?

- Wiesz przecież. Jeden z nas będzie żył tylko do jutra.

- Nie musisz się tym przejmować, Garionie - powiedziała pełnym zadumy głosem. -

To będę ja. Wiem o tym od samego początku.

- Absurd. Mogę cię zapewnić, że to nie będziesz ty.

- Och? W jaki sposób?

- Powiem im, że nie dokonam wyboru, jeśli w jakikolwiek sposób cię skrzywdzą.

- Garionie! - wysapała. - Nie możesz tego zrobić! Zniszczysz cały wszechświat!

- No i co? Wszechświat bez ciebie nic dla mnie nie znaczy.

- To bardzo miłe, lecz nie możesz tego zrobić. I tak byś tego nie zrobił. Masz zbyt duże poczucie odpowiedzialności.

- Dlaczego myślisz, że to ty?

- Zadania, Garionie. Wszyscy z nas mają określone zadania, niektórzy nawet więcej niż jedno. Belgarath musiał dowiedzieć się, gdzie ma odbyć się spotkanie. Velvet musiała zabić Harakana. Nawet Sadi wypełnił swoje zabijając Naradasa. Ja nie mam żadnego zadania, oprócz tego, że muszę umrzeć.

W tym momencie Garion zdecydował się wyjawić jej prawdę.

- Ty miałaś zadanie, Ce'Nedro - rzekł - i wypełniłaś je znakomicie.

- O czym ty mówisz?

- Nie możesz pamiętać. Gdy wyjechaliśmy z Kell, przez kilka dni byłaś bardzo senna.

- Tak, pamiętam.

- Nie dlatego, że brakowało ci snu. Zandramas manipulowała twoim umysłem. Już wcześniej to robiła. Pamiętasz, jak zachorowałaś po drodze do Rak Haggą?

- Tak.

- To również wpływ Zandramas. Od prawie roku próbuje zdobyć władzę nad tobą.

Ce'Nedra popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- W każdym razie, po opuszczeniu Kell udało jej się uspić twój umysł. Odłączyłaś się od nas i, tam w lesie, zdawało ci się, że spotkałaś Arell.

- Arell? Przecież ona nie żyje.

- Wiem, lecz sądziłaś, że ją spotkałaś, a ona dała ci coś, co jak sądziłaś było twoim dzieckiem. Następnie wyobrazenie Arell zadało ci pytania, na które ty odpowiedziałaś.

- Jakie pytania?

- Zandramas musiała się dowiedzieć, gdzie odbędzie się spotkanie, a nie mogła zbliżyć się do Kell. Wcieliła się w postać Arell, żeby zadać kilka pytań. Powiedziałaś jej o

Dal Perivor, o mapie i o rafie Korim. To było twoje zadanie.

- Zdradziłam was? - Na jej twarzy odmalowało się przerażenie i rozpacz.

- Nie. Uratowałaś wszechświat. Zandramas musi znaleźć się w Korim w odpowiednim czasie. Ktoś musiał jej powiedzieć, dokąd ma się udać, i ten obowiązek spoczął na tobie.

- Nic z tego nie pamiętam.

- Oczywiście, że nie. Polgara wymazała to wspomnienie z twojej pamięci. Nie ponosiłaś żadnej winy, a pogrzyżyłabyś się w ogromnej rozpacz, gdybyś pamiętała, co się stało.

- Mimo wszystko zdradziłam was.

- To musiało się wydarzyć, Ce'Nedro. - Garion uśmiechnął się w zadumie. - Wiesz, obydwie strony próbowały zrobić to samo. Zarówno my jak i Zandramas próbowaliśmy odnaleźć Korim, robiąc przy okazji wszystko, by druga strona nie dowiedziała się, gdzie znajduje się tajemnicze miejsce. Gdyby któreś z nas nie stawiało się o wyznaczonej porze, uznano by wybór obecnej osoby. Jednak nie tak zostało zapisane w gwiazdach. Cyradis może dokonać wyboru tylko podczas spotkania. Przepowiednie mówiły, że ma to się stać właśnie w taki sposób. Obie strony straciły mnóstwo czasu na zrobienie czegoś, co po prostu nie mogło zostać zrobione. Powinniśmy byli zdać sobie z tego sprawę na samym początku. Zaoszczędzilibyśmy sobie wiele kłopotów. Jedynym pocieszeniem jest to, że Zandramas włożyła dużo więcej daremnego wysiłku niż my.

- Nadal jestem pewna, że ja mam zginąć.

- Nonsens.

- Mam tylko nadzieję, że zanim umrę, pozwolą mi przytulić me dziecko - rzekła smutno.

- Nie umrzesz, Ce'Nedro. Zignorowała go.

- Chcę, żebyś dbał o siebie, Garionie - odezwała się stanowczo. - Odżywiaj się dobrze, ubieraj ciepło zimą i postaraj się, żeby nasz syn nie zapomniał o swej matce.

- Ce'Nedro, czy możesz przestać?

- Jeszcze jedno, Garionie - kontynuowała nieustępliwie. - Pragnę, byś po jakimś czasie ożenił się ponownie. Nie chcę, żebyś zachowywał się tak jak Belgarath przez, ostatnie trzy tysiące lat.

- Na pewno nie. Mówię ci, że nic ci się nie stanie.

- Zobaczymy. Obiecuj mi, Garionie. Nie pisana ci samotność i potrzebujesz kogoś, kto otoczy cię opieką.

- Czy już skończyłaś? - Poledra wyłoniła się zza potężnego masztu. - To wszystko brzmi wzruszająco i melancholijnie, ale czy nie dramatyzujesz zbyt? Garion ma rację,

Ce'Nedro. Nic ci się nie stanie, więc może zwiniesz w rulon te pogrzebowe nastroje i schowasz je gdzieś do szafki?

- Wiem swoje, Poledro - upierała się Ce'Nedra.

- Mam nadzieję, że nie będziesz zbyt rozczarowana, kiedy obudzisz się pojutrze i zauważysz, że zdrowie ci dopisuje.

- Kto zatem będzie tym nieszczęśnikiem?

- Ja - odparła Poledra. - Wiem o tym od ponad trzech tysięcy lat, więc miałam czas, by się oswoić z tą myślą. Przynajmniej przez ten dzień będę z moimi ukochanymi, zanim odejdę na dobre. Ce'Nedro, wiatr jest bardzo przenikliwy. Zejdźmy na dół, nie chcę, żebyś się przeziębiła.

- Jest taka sama jak ciocia Pol, prawda? - powiedziała przez ramię Ce'Nedra, kiedy Poledra stanowczo poprowadziła ją w kierunku schodów biegnących pod pokład.

- Naturalnie! - krzyknął Garion.

- Zaczęło się - odezwał się Silk.

- Co się zaczęło?

- Rzewne pożegnania. Mniej więcej każdy jest przekonany, że jest tym, który jutro nie ujrzy zachodu słońca. Przypuszczam, że będą się tu schodzić jeden po drugim i wygłaszać wruszające słowa pożegnania. Sądziłem, że będę pierwszy, żeby mieć to już z głowy, lecz jak widzę Ce'Nedra mnie ubiegła.

- Ty? Ciebie nic nie mogłoby zabić, Silku. Jesteś zbyt wielkim szczęściarzem.

- Sam stworzyłem sobie to szczęście, Garionie. Nie tak trudno jest wpłynąć na wynik rzutu kośćmi do gry. - Twarz małego człowieczka nabrała refleksyjnego wyrazu. - Przeżyliśmy sporo przyjemnych chwil, prawda? Myślę, że przeważają nad złymi, a nic więcej przecież nie potrzeba.

- Jesteś równie sentymentalny jak Ce'Nedra i moja babcia.

- Jednak tak jest. Nie smuć się, Garionie. Jeśli rzeczywiście padnie na mnie, zaoszczędzę sobie dyskomfortu podejmowania bardzo nieprzyjemnej decyzji.

- Jakiej znowu decyzji?

- Wiesz chyba o moich zapatrywaniach na małżeństwo, prawda?

- Och, tak. Wiele razy już o tym wspominałeś. Silk westchnął.

- No tak, ale z drugiej strony chyba będę musiał zdecydować się co do Liselle.

- Zastanawiałem się, ile czasu zajmie ci dojrzenie do tej decyzji.

- Wiedziałeś? - Silk popatrzył zdumiony.

- Wszyscy wiedzieli, Silku. Zamierzała cię zdobyć i dokładnie jej się udało.

- Jakież to przygnębiające wpaść w pułapkę. Jestem zaślepiony miłością.

- Myślę, że aż tak daleko nie zabrnąłeś.

- Chyba jednak tak, skoro w ogóle rozważam coś podobnego - westchnął Silk. - Liselle i ja moglibyśmy dalej ciągnąć to tak jak do tej pory, lecz przemykanie się korytarzem do jej sypialni w środku nocy wydaje mi się trochę niegodne, i za bardzo ją lubię, żeby tak postępować.

- Lubię?

- No dobrze - wyrzucił z siebie Silk. - Kocham ją. Czy lepiej ci, że przyparłeś mnie do muru, i powiedziałem ci to wprost?

- Chciałem tylko, żeby wszystko było jasne. Czy po raz pierwszy przyznajesz się do tego uczucia przed samym sobą?

- Próbowałem tego unikać. Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? - Rozejrzał się dokoła. - Cieszyłbym się, gdyby znalazł sobie jakiś inny kawałek przestrzeni, żeby sobie polatać - powiedział gderliwym tonem.

- Kto?

- Ten przeklęty albatros. Znowu tu jest. - Silk wskazał palcem. Garion odwróciwszy się ujrzał białocznego ptaka o olbrzymich skrzydłach lecącego tuż przed bukszprytem. Chmura na zachodzie rozrosła się jeszcze bardziej, w miarę upływu czasu nabierając ciemnopurpurowej barwy i na jej tle śnieżnobiały szybownik zdawał się świecić niezmierną poświatą.

- Bardzo dziwne - rzekł Garion.

- Chciałbym wiedzieć, co on knuje - powiedział Silk. - Schodzę na dół. Nie chcę już więcej na niego patrzeć. - Uścisnął dłoń Gariona. - Mieliśmy sporo dobrej zabawy - odezwał się. - Dbaj o siebie.

- Nie musisz odchodzić.

- Muszę zrobić miejsce dla pozostałych, czekających w kolejce, żeby się z tobą zobaczyć, wasza miłość. - Silk roześmiał się. - Myślę, że czeka cię przygnębiający dzień. Pójdę zobaczyć, czy Beldin znalazł już beczkę piwa. - Nonszalancko machnąwszy ręką mały człowieczek odwrócił się i skierował ku schodkom prowadzącym pod pokład.

Przewidywania Silka okazały się nadzwyczaj dokładne. Przyjaciele Gariona wychodzili jeden za drugim na pokład, żegnając się z nim rzewnie, a każdym powodowało przekonanie, że był tym, który ma umrzeć. Był to rzeczywiście wyjątkowo ponury dzień.

Zmierzchało już, kiedy ucichło ostatnie ze skomponowanych ekliwie epitafiów. Garion oparł się o reling patrząc na fosforyzujący ślad, jaki statek znaczył w

szmaragdowozielonym morzu.

- Kiepski dzień - zagaił Silk.

- Koszmarny. Czy Beldin znalazł piwo?

- Tak, ale nie polecam ci go. Będziesz potrzebował jutro świeżego umysłu. Przyszedłem tylko, żeby się upewnić, iż cały ciężar ponurości, jakim obdarzyli cię przyjaciele, nie zrodził w tobie chęci skoczenia za burtę. - Silk zmarszczył brwi. - Cóż to takiego? - spytał.

- Co?

- Ten odgłos bębnów. - Popatrzył na dziób statku. - Tam - powiedział napiętym głosem.

Purpurowe niebo przybrało obecnie prawie czarny kolor, jakby chciało zapowiedzieć nadchodzący wielkimi krokami zmierzch; czerń przetykana tu i ówdzie plamami gniewnej czerwieni, jaką rzucało światło zachodzącego słońca przebijając się przez chmury. Na horyzoncie pojawiła się rdzawa plama, którą opasał biały naszyjnik spienionych fal przyboju.

Kapitan Kresca nadszedł kołyszącym się krokiem człowieka, który spędza niewiele czasu na stałym lądzie.

- Otóż, moi panowie - zwrócił się do nich. - Rafa. Garion popatrzył na Miejsce, Którego Już Nie Ma, pełen kłębiących się myśli i uczuć.

Wtedy albatros wydał z siebie dziwny krzyk, który wydawał się okrzykiem triumfu. Wielki ptak zamachał dostojnie skrzydłami, po czym jak gdyby nigdy nic kontynuował lot w kierunku Rify Korim, pozornie nie wykonując najmniejszego ruchu.

Rozdział XIX

Oskatat zdeterminowany zdążył korytarzami pałacu Drojim w kierunku komnaty Urgita, wielkiego króla Cthol Murgos. Naznaczona bliznami twarz była nad wyraz posępna, a umysł wyraźnie strapiony. Zatrzymał się przed strzeżonymi przez zbrojnych drzwiami do sali tronowej.

- Będę rozmawiać z jego wysokością - oświadczył. Strażnicy pospiesznie otworzyli wielkie okute żelazem drzwi.

Choć z uwagi na wzajemne porozumienie między nim a królem Urgitem Oskatat nadal posiadał tylko tytuł senezala, strażnicy, podobnie jak wszyscy mieszkańcy pałacu, zdawali sobie sprawę, że był on drugi pod względem ważności po samym królu w całym Cthol Murgos.

Monarcha o szczurzej twarzy właśnie prowadził luźną rozmowę z królową Pralą i królową matką Tamazin, żoną Oskatata.

- Witaj, Oskatacie - odezwał się Urgit. - Teraz moja mała rodzina znajduje się w komplecie. Dyskutowaliśmy właśnie o poważnych zmianach w wyglądzie pałacu Drojim. Wszystkie te klejnoty i tony złota na sufitach są w strasznie złym guście, nie uważasz? Poza tym, potrzebuję pieniędzy, które spożytkuję na potrzeby wojny.

- Wydarzyło się coś ważnego, Urgicie - zwrócił się Oskatat do króla. Zgodnie z królewskim rozkazem Oskatat podczas prywatnych rozmów zwracał się do króla po imieniu.

- Brzmi przygnębiająco - stwierdził Urgit rozsiadając się wygodniej w miękkich poduszkach wyściełających tron. Taur Urgas, domniemany ojciec Urgita, ze wzgardą odrzucał podobne zbytki, wołał okazywać murgoską wytrzymałość siedząc przez długi czas na zimnym kamieniu. Ten bezsensowny upór sprawił, że obłąkany król nabawił się przetoki, która w późniejszych latach stanowiła zauważalny dodatek do jego ogólnego rozdrażnienia.

- Siedź prosto, Urgicie - odezwała się nieobecny głosem lady Tamazin, matka króla.

- Tak, matko - odparł Urgit prostując się lekko. - Mów, Oskatacie - powiedział - lecz proszę, przekaz tę wieść w miarę możliwości delikatnie. Zauważyłem ostatnio, że „ważne sprawy” zwykle przybierają rozmiary katastrof.

- Pozostaję w kontakcie z Jaharbem, starszym Dagashów - oznajmił Oskatat. - Na moją prośbę próbował ustalić miejsce pobytu hierarchy Agachaka. Znaleźliśmy go, a przynajmniej port, z którego wypłynął opuszczając Cthol Murgos.

- Niesamowite - powiedział Urgit uśmiechając się szeroko. - Choć raz przynosisz mi dobre nowiny. Więc Agachak opuścił Cthol Murgos. Możemy mieć nadzieję, że zamierza

popłynąć na koniec świata. Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś, Oskatacie. Teraz, kiedy już wiem, że ten chodzący trup nie zanieczyszcza więcej tego, co pozostało po moim królestwie, będę lepiej sypiał. Czy szpiegom Jarhaba udało się ustalić, dokąd zmierzał?

- Celem jego podróży jest Malloreia, Urgicie. Sądząc po jego poczynaniach zdaje się, że wierzy, iż tam właśnie znajduje się Sardion. Pojechał do Thull Mardu i przekonał króla Nathela, aby mu towarzyszył.

Urgit wybuchnął głośnym śmiechem.

- Naprawdę to zrobił! - wykrzyknął zachwycony.

- Nie całkiem rozumiem.

- Proponowałem mu kiedyś, żeby wziął Nathela zamiast mnie, kiedy wyruszy po Sardion. I teraz spiknął się z tym kretyńcem. Oddałbym wiele, żeby usłyszeć ich rozmowę. Jeśli przypadkiem mu się uda, uczyni Nathela wszechwładnym panem Angaraku, a Nathel nie potrafi nawet założyć porządnie butów.

- Nie myślisz chyba, że Nathelowi się powiedzie, prawda? - spytała królowa Prala, a na jej nieskazitelnie pięknym czole pojawiła się niewielka zmarszczka. Królowa Prala od kilku miesięcy spodziewała się potomka i ostatnio zaczęła się przejmować wieloma sprawami.

- Zwyciężyć? - parsknął Urgit. - Nie ma szans. Musi najpierw pokonać Belgariona, nie wspominając już o Belgaracie i Polgarze. Zamienią go w pył. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Jak miło mieć potężnych przyjaciół. - Przerwał marszcząc lekko brwi. - Naprawdę powinniśmy ostrzec Belgariona... i Kheldara - dodał. Rozciągnął się na poduszkach. - Ostatnim razem słyszeliśmy, że Belgarion i jego przyjaciele wyjechali z Rak Hagga z Kal Zakathem. Przypuszczaliśmy, że zmierzają do Mal Zeth, albo jako goście, albo jako więźniowie. - Pociągnął swym długim, spiczastym nosem. - Dość dobrze znam Belgariona, żeby wierzyć, iż pozostanie zbyt długo czyimś więźniem. Zakath prawdopodobnie wie, gdzie on się znajduje. Oskatacie, czy istnieje jakiś sposób, żeby wysłać Dagashi do Mal Zeth?

- Moglibyśmy spróbować, Urgicie, lecz szansę na sukces nie są zbyt duże, a Dagashi mógłby mieć trudności ze zbliżeniem się do cesarza. Zakath ma na głowie wojnę domową, więc najprawdopodobniej będzie porządnie zajęty.

- To prawda. - Urgit poklepał dłońmi w oparciu tronu. - On nadal jednak wie, co dzieje się tu, w Cthol Murgos, nie uważasz?

- Bez wątplenia.

- Może więc on zostanie naszym posłańcem do Belgariona?

- Twe myśli płyną zbyt szybko jak na mnie, Urgicie - wyznał Oskatat.

- Jakie jest najbliższe miasto zajęte przez Mallorealan?

- W Rak Cthaka stacjonuje mocno zredukowany garnizon. Moglibyśmy opanować je w niespełna pół dnia, lecz nie chcemy dawać Zakathowi powodu, aby powrócił do Cthol Murgos z większymi siłami.

Urgit wzdrygnął się.

- Bardzo się ku temu skłaniam - przyznał - lecz jestem dłużny Belgarionowi kilka przysług i chcę w miarę swoich możliwości ochraniać mego brata. Powiem ci, co zrobisz, Oskatacie. Weź trzy duże oddziały i udaj się do Rak Cthaka. Mallorealanie pobiegną do Rak Hagg, aby przekazać Kal Zakathowi wieść o naszym ataku. To powinno zwrócić jego uwagę. Pokręćcie się najpierw w pobliżu miasta, a następnie otoczcie je zwartym pierścieniem. Poproś o możliwość pertraktacji z dowódcą garnizonu. Wyjaśnij mu sytuację. Wystosuję list do Kal Zakatha wskazując na pewną wspólnotę interesów. Jestem pewien, że nie chce on Agachaka w Mallorei równie bardzo, jak ja nie chcę tego starego capa tu w Cthol Murgos. Zasugeruję, kładąc na to szczególnie nacisk, żeby przekazał wiadomość Belgarionowi. Wieści, jakie do tego czasu otrzyma o naszych wrogich poczynaniach, będą gwarancją tego, że przynajmniej spojrzy na mój list. Skontaktuje się z Belgarionem i wtedy możemy razem sobie usiąść i patrzeć, jak Zabójca Boga rozwiąże za nas problem. - Nagle roześmiał się. - Kto wie? Może to nawet być pierwszy krok w kierunku pojednania między Jego Cesarską Nieugiętością a mną. Sądzę, że najwyższy czas, aby Angarakowie przestali się nawzajem zabijać.

- Czy nie możesz wydusić z tej łajby trochę więcej życia? - spytał król Anheg kapitana Gredlika.

- Oczywiście, Anhegu - mruknął Gredlik. - Mógłbym rozwinąć więcej żagli i bylibyśmy szybcy niczym jaskółka, przez chwilę. Ze złamanym masztem, na samych wiosłach nie dotrzemy zbyt daleko. Na którą wachtę powinienem cię przydzielić?

- Gredliku, czy słyszałeś kiedykolwiek o królewskim majestacie?

- Często o rym wspominałeś, Anhegu, lecz czasem powinieneś popatrzeć na prawo morza. Na pokładzie statku na morzu mam nad tobą władzę bardziej absolutną, niż ty masz w Val Alorn. Jeśli powiem ci, że masz wiosłować, będziesz wiosłował... albo płynął wplaw.

Anheg odszedł mamrocząc przekleństwa pod nosem.

- No i jak? - spytał cesarz Varana, gdy król Alornów znalazł się na dziobie statku.

- Powiedział, żebym pilnował swoich spraw - burknął Anheg. - Potem zaoferował, że posadzi mnie przy wiosle, jeśli tak mi się spieszy.

- Czy kiedykolwiek wiosłowałaś?

- Raz. Cherekowie to ludzie morza i mój ojciec sądził, że wyjdzie mi na dobre, jeśli wyśle mnie na wyprawę jako majtka. Nie miałem nic przeciwko wiosłowaniu. Irytowała mnie natomiast chłosta.

- Naprawdę chłostali księcia? - spytał z niedowierzaniem Varana.

- Bardzo trudno dojrzeć twarz wioslarza, kiedy stoisz za jego plecami. - Anheg wrzucił ramionami. - Dowodzący wiosłarzami próbował wykrzesać z nas więcej siły. Ścigaliśmy wówczas tolnedrański statek handlowy i nie chcieliśmy, żeby wpłynął na bezpieczne, tolnedrańskie wody terytorialne.

- Anhegu! - krzyknął Varana.

- To miało miejsce wiele lat temu, Varana. Obecnie wydałem rozkazy, aby tolnedrańskie jednostki zostawiano w spokoju, przynajmniej na oczach świadków. Chodzi o to, że Gredlik prawdopodobnie ma rację. Jeśli rozstawi wszystkie żagle, wiatr połamie mu maszty i będziemy musieli zabrać się za wiosłowanie.

- A zatem nie mamy zbyt wiele szans na dogonienie Baraka?

- Nie byłbym taki pewny. Barak nie dorównuje w kunszcie żeglarskim Gredlikowi, a poza tym ta jego ogromna balia nie jest zbyt sterowna. Z każdym dniem zbliżamy się do niego. Kiedy dotrze do Mallorei, będzie musiał dobijać do każdego portu, aby zadawać pytania. Większość Mallorean nie rozpoznałaby Gariona, gdyby podszedł i splunął im w oczy. Kheldar to inna sprawa. Z tego, co wiem, ten mały złodziej posiada swoje biura w większości miast w Mallorei. Znam sposób rozumowania Baraka. Jak tylko dotrze do Mallorei, będzie szukał Silka, ponieważ Silk i Garion niewątpliwie będą trzymać się razem. Ja nie muszę jednak pytać o Silka. Wystarczy, że opiszę „Morskiego Ptaka” portowym próżniakom w kilku miastach. Za cenę kilku kufli cienkiego piwa znajdę trop Baraka bez względu na to, gdzie się udał. Miejmy nadzieję, że dostaniemy go, zanim znajdzie Gariona i wszystko zepsuje. Żałuję, że ta niewidoma dziewczyna nie zabroniła mu pozostania w domu. Z tego co wiem, najszybciej zmusi się Baraka do zrobienia czegoś, kiedy mu się tego zabroni. Gdyby był z Garionem, przynajmniej Belgarath trzymałby go pod kontrolą.

- Jak według ciebie go zatrzymamy, gdy już go dogonimy? Jego statek może jest wolniejszy niż ten, lecz jest o wiele większy i ma więcej ludzi na pokładzie.

- Gredlik i ja opracowaliśmy plan - odparł Anheg. - Gredlik ma specjalne przyrządy w ładowni. Są umocowane na dziobie statku. Jeśli Barak nie będzie chciał przyjść, kiedy mu rozkażę, Gredlik weźmie go na rogi. Nie odpłynie za daleko tonącym statkiem.

- Anhegu, to potworne!

- Podobnie jak to, co próbuje zrobić Barak. Jeśli uda mu się dostać do Gariona, Zandramas zwycięży, a my wszyscy skończymy w ręku kogoś o wiele gorszego niż sam Torak. Jeśli będę musiał zatopić „Morskiego Ptaka”, aby temu zapobiec, uczynię to dziesięciokrotnie. - Westchnął. - Będzie mi jednak brakowało mego kuzyna, gdyby przypadkiem utonął - przyznał.

Rankiem królowa Drasni Porenn wezwała margrabiego Khendona, szefa wywiadu, do swych prywatnych komnat i wydała jasne rozkazy.

- Wszystkich, Javelinie - powiedziała władcym tonem. - Do zmierzchu nie chcę ani jednego szpiega w tym skrzydle pałacu.

- Porenn! - wysapał Javelin. - To nie do pomyślenia!

- Mylisz się. Właśnie to usłyszałeś, z mych ust. Każ swoim ludziom wykurzyć stąd również wszystkich nieoficjalnych szpiegów. Chcę, żeby to skrzydło pałacu wyludniło się. Mam własnych szpiegów, Javelinie, i wiem, gdzie znajdują się wszystkie zwykłe kryjówki. Wyczyść każdą z nich.

- Jestem gorzko rozczarowany, Porenn. Monarchowie nie powinni w ten sposób traktować wywiadu. Czy masz pojęcie, jak taka akcja wpłynie na morale moich ludzi?

- Szczerze mówiąc, Khendonie, nie obchodzi mnie morale twoich ludzi. To niezwykle pilna sprawa.

- Czy kiedykolwiek cię zawiodłem, wasza miłość? - Javelin wydawał się lekko urażony.

- Przypominam sobie dwa takie przypadki. Czyż kult Niedźwiedzia nie przeniknął na twe podwórko? I czyż twoi ludzie nie zawalili dogłębnie sprawy, kiedy mieli mnie ostrzec o dezercji generała Haldara?

Javelin westchnął.

- Dobrze, Porenn, popełniliśmy kilka mało istotnych błędów.

- Nazywasz małym błędem dopuszczenie do przejścia Haldara do kultu Niedźwiedzia?

- Nie powinnaś tak krytycznie się do tego odnosić, Porenn.

- Chcę, żeby to skrzydło zostało oczyszczone, Javelinie. Czy chciałbyś, żebym wezwała swego syna? Napiszemy proklamację o stałym zakazie szpiegowania rodziny królewskiej.

- Nie zrobiłabyś tego! - twarz Javelina przybrała białą barwę. - Cały wywiad by upadł! Prawo szpiegowania rodziny królewskiej zawsze było najwyższą nagrodą za wzorowe usługi. Większość moich ludzi ubiega się o ten przywilej. - Lekko zmarszczył brwi. - Silk jednak

odrzucił go trzykrotnie - dodał.

- A zatem usuń ich, Javelinie, i nie zapomnij o tej skrytce za gobelinem w korytarzu.

- Jak się o tym dowiedziałaś?

- Nie ja. To Kheva.

Javelin jęknął.

Jakiś czas później Porenn spotkała się ze swym synem, królem Khewą, w bogato zdobionej komnacie. Kheva szybko dojrzewał. Jego głos ukształtował się w dźwięczny baryton, a na policzkach zaczęły mu się pojawiać pierwsze oznaki ciemnego zarostu. Jego matka, co kontrastowało dość znacznie z postępowaniem pozostałych monarchów, stopniowo zapoznawała go z działalnością rządu i zapraszała do uczestnictwa w negocjacjach z obcymi mocarstwami. Niebawem miał zasiąść na tronie i objąć władzę w królestwie. Uważała, że Kheva będzie dobrym królem. Bystrością umysłu dorównywał niemalże swemu ojcu i posiadał konieczne u panującego zalety, a mianowicie takt i dobre wyczucie.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

- Tak? - odparła Porenn.

- To ja, Porenn - odparł śmiało głos. - Yarblek.

- Wejdz, Yarbleku. Mamy o czym rozmawiać.

Yarblek popchnął drzwi i wszedł wraz z Vellą. Porenn westchnęła. Podczas pobytu w Gar og Nadrak wygląd Velli uległ radykalnej przemianie. Porzuciła cienką otoczkę delikatności, nad którą Porenn tak pieczołowicie pracowała, a jej strój świadczył niezbitcie, że ponownie stała się dzikim, niemożliwym do oswojenia stworzeniem, jakim zawsze była.

- Po co ten pośpiech, Porenn? - spytał Yarblek rzucając w kąt swój zniszczony płaszcz i zwichrowaną czapkę. - Twój posłaniec o mało co nie zajeździł konia pędząc do mnie z wezwaniem.

- Zdarzyło się coś ważnego - odparła królowa Drasni. - Myślę, że dotyczy to nas wszystkich. Chcę jednak, żebyście zatrzymali nowinę w najściślejszej tajemnicy.

- Tajemnicy? - Yarblek zaśmiał się sucho. - Wiesz, że w twoim pałacu nie ma żadnych sekretów.

- Tym razem będzie - rzekła przebiegle Porenn. - Dziś rano kazałam Javelinowi usunąć z tego skrzydła pałacu wszystkich szpiegów.

Yarblek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jak to przyjął?

- Nie najlepiej.

- To dobrze. Ostatnio zrobił się zbyt pewny siebie. A zatem w czym problem?

- Za chwilę ci wyjaśnię. Czy dowiedziałeś się, co knuje Drosta?

- Oczywiście. Próbuje zawrzeć pokój z Zakathem. Pertraktuje, na odległość, z Malloreaninem odpowiedzialnym za ich Biuro Spraw Wewnętrznych. Nazywa się chyba Brador. W każdym razie, Drosta pozwala malloreańskim szpiegom przedostawać się przez Gar og Nadrak, żeby przenikali na zachód.

Ton głosu Yableka bardziej niż wszystko inne ostrzegł Porenn, że kryło się za tym coś więcej.

- Wszystko, Yableku. Nie mówisz mi wszystkiego. Yablek westchnął.

- Nie cierpię mieć do czynienia z bystrymi kobietami - poskarżył się. - Wydaje się to takie nienaturalne. - Po tych słowach rozważnie usunął się z zasięgu sztyletów Velli. - No dobrze. - Poddał się. - Zakath potrzebuje pieniędzy i to mnóstwo pieniędzy na wojny, które prowadzi na dwóch różnych frontach. Drosta obciął cła importowe na malloreańskie dywany, przynajmniej kupcom, którzy płacą podatki do Mal Zeth. Ci Malloreanie stopniowo usuwali mnie i Silka z Arendii.

- Zakładam, że skorzystałeś z tej informacji?

- Naturalnie. - Pomyślał przez chwilę. - Oto szansa na spory zarobek, Porenn - zaproponował. - Drosta obciął cła importowe Malloreanom o piętnaście procent. Ty mogłabyś podnieść swoje o tę samą sumę. Zarobisz na tym spore pieniądze, a ja i Silk nadal pozostaniemy konkurencyjni.

- Myślę, że próbujesz mnie oszukać, Yableku - odezwała się podejrzliwie Porenn.

- Ja?

- Porozmawiamy o tym później. A teraz posłuchaj uważnie. Oto powód, dla którego posłałam po ciebie. Barak, Mandorallen, Hettar, Lelldorin i Relg płyną do Mallorei. Nie jesteśmy całkowicie pewni, lecz sadzimy, że planują wmieszać się w poszukiwania Belgariona. Byłeś w Rheon i wiesz, co powiedziała nam prorokini z Kell. Te gorące głowy za wszelką cenę muszą trzymać się z daleka od całej sprawy.

- Naturalnie się z tym zgadzam.

- Jak szybko potrafisz przesłać wiadomość twoim ludziom w Mallorei?

- W kilka tygodni. Może nieco szybciej, jeśli zrobię z tego sprawę niecierpiącą zwłoki.

- To jest sprawa niecierpiąca zwłoki, Yableku. Anheg i Varana ścigają Baraka, lecz nie możemy być pewni, że złapią go na czas. Musimy opóźnić Baraka, a najlepszy sposób, aby tego dokonać, to przekazać mu mylne informacje. Chcę, żebyś polecił swym ludziom w Mallorei, aby go zwodzili. Postaraj się, niech płynie w złym kierunku, jeśli tylko nadarzy się

taka okazja. Barak podąży za Kheldarem, a więc będzie sprawdzał każde biuro w Mallorei szukając informacji. Jeśli Kheldar i pozostali zmierzają do Maga Renn lub Penn Daka, każ swym ludziom powiedzieć Barakowi, że jadą do Mal Dariya.

- Znam tę metodę, Porenn - stwierdził Yarblek. Popatrzył na nią oceniająco. - Już niebawem przekażesz władzę w Drasni jego wysokości, prawda? - spytał.

- Tak, za kilka lat.

- Kiedy ta sprawa w Mallorei skończy się, myślę, że wraz z Silkiem będziemy chcieli przeprowadzić z tobą długą rozmowę.

- Och?

- Co sądzisz o pewnym układzie, gdy już wypełnisz wszystkie swoje obowiązki w Boktor?

- Pochlebiasz mi, Yarbleku. Co cię opętało, że myślisz o takiej możliwości?

- Jesteś bardzo mądra, Porenn, i masz wiele kontaktów. Może nawet otrzymasz aż pięć procent udziału.

- Wykluczone, Yarbleku - wtrącił niespodziewanie król Kheva. - Procent musiałby wynosić przynajmniej dwadzieścia.

- Dwadzieścia? - Yarblek o mało się nie zakrztusił.

- Muszę chronić interesy mojej matki - powiedział wprost Kheva. - Nie zawsze będzie młoda, jak wiesz, a nie chciałbym patrzeć, jak pod koniec swego życia szoruje podłogi.

- To rabunek, Kheva! - Twarz Yarbleka przybrała jasnoczerwony kolor.

- Nie trzymam ci noża na gardle, Yarbleku - rzekł Kheva. - Może byłoby lepiej, gdyby matka sama zajęła się handlem. Na pewno da sobie radę, szczególnie z uwagi na fakt, że wszyscy członkowie rodziny królewskiej są zwolnieni z drasańskich ceł importowych.

- Myślę, że właśnie trafiłeś na godnego przeciwnika, Yarbleku. - Vella zdobyła się na wymuszony uśmiech. - Skoro już otrzymujesz dzisiaj kiepskie wiadomości, równie dobrze mogę dodać swoją. Kiedy to wszystko się skończy, chcę, żebyś mnie sprzedał.

- Sprzedać cię? Komu?

- Powiem ci w odpowiednim czasie.

- Czy on ma pieniądze?

- Prawdę mówiąc nie wiem, lecz to nie ważne. Zapłacę ci sama.

- Naprawdę musisz mieć o nim wyjątkowo dobre zdanie, żeby decydować się na taki krok.

- Nie masz nawet pojęcia, Yarbleku. Zostałam stworzona dla tego człowieka.

- Powiedziano nam, żeby tu zostać, Atesco - upierał się Brador.

- To miało miejsce przed tą długą ciszą - odparł Atesca nerwowo przechadzając się po dużym namiocie. Generał miał na sobie mundur ze stalowym napierśnikiem zdobionym złotem. - Zapewnienie bezpieczeństwa cesarzowi należy do moich obowiązków.

- Tak samo do twoich jak do moich. - Brador w zamyśleniu drapał po brzuszku młodego kota z lubością poddającego się pieszczocie.

- W porządku, dlaczego zatem czegoś z tym nie zrobisz? Od tygodni nie mieliśmy od niego żadnych wieści. Nawet twoi szpiedzy nie potrafią ustalić, gdzie się teraz znajduje.

- Wiem, Atesco, lecz nie mam zamiaru nie posłuchać cesarskiego rozkazu tylko dlatego, że krew w tobie zaczyna kipieć, albo stygnąć.

- Może więc zostaniesz tu i otoczysz opieką te kociaki? - powiedział uszczypliwie Atesca. - Ja zamierzam wyruszyć z armią jutro o świcie.

- Nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie, Atesco.

- Wybacz, Bradorze. Ta przedłużająca się cisza sprawia, że staję się drażliwy i zapominam o dobrych manierach.

- Przejmuję się równie mocno jak ty - rzekł Brador - ale cała moja natura protestuje na myśl o niewykonaniu cesarskiego rozkazu. - Kociak na kolanach Bradora wtulił się w jego dłoń. - Wiesz co - odezwał się po chwili - myślę, że jak powróci jego wysokość, spytam, czy mogę zatrzymać tego malucha. Coraz bardziej ją lubię.

- To zależy od ciebie - stwierdził Atesca. - Poszukiwanie schronienia dla dwóch czy trzech miotów kociąt co roku mogłoby zaoszczędzić sporo kłopotu. - Generał ze złamanym nosem podrapał się w zadumie za uchem. - Może wobec tego kompromis? - zaproponował.

- Zawsze chętnie wysłucham ciekawej propozycji.

- Dobrze. Wiemy, że armia Urvona rozpierzchła się i istnieje duże prawdopodobieństwo, że Urvon nie żyje.

- Tak sędzę.

- A Zandramas przeniosła swe siły do Protektoratów Dalazjańskich.

- Takie otrzymuję raporty.

- A my obaj jesteśmy starszymi urzędnikami w rządzie jego cesarskiej mości, zgadza się?

- Tak.

- Czyż nie oznacza to, że oczekuje się od nas własnej inicjatywy, abyśmy wykorzystali nadarżającą się okazję bez uprzedniej konsultacji z Mal Zeth?

- Przypuszczam, że tak. Ty spędziłeś więcej czasu na polach bitewnych niż ja.

- To rutynowe posunięcie, Bradorze. A zatem dobrze. Darshiva jest zupełnie bezbronna. Sugeruję, żebyśmy przywrócili porządek na peldańskim brzegu rzeki i wkroczyli na terytorium Darshivy. W ten sposób odetniemy Zandramas od jej głównych sił. Utworzymy główną linię oporu wzdłuż krańca tych gór, aby odeprzeć jej wojska, gdyby zdecydowały się powrócić. I wzięlibyśmy te dwa księstwa z powrotem pod kontrolę cesarską. Moglibyśmy nawet dostać za to kilka odznaczeń.

- Jego wysokość byłby zadowolony, gdyby nam się powiodło, prawda?

- Nie posiadałby się z radości, Bradorze.

- Nadal nie rozumiem, w jaki sposób zajęcie Darshivy pomoże nam w zlokalizowaniu jego cesarskiej mości?

- Wszystko dlatego, że nie jesteś wojskowym, Bradorze. Musimy iść śladem wroga, co w tym przypadku oznacza darshivańską armię. Standardowa wojskowa procedura w takich sytuacjach nakazuje wysłać zbrojne zwiady, aby nawiązały kontakt z wrogiem i oceniły jego siłę i ewentualne zamiary. Jeśli te zwiady przypadkiem napotkają cesarza, no cóż... - Rozłożył wymownie ręce.

- Musiałbyś pokrótce poinformować dowódców o tych oddziałach - zauważył Brador.

- Niedoświadczony porucznik mógłby stracić głowę i ujawnić sprawy, o których lepiej by cesarz nie wiedział.

- Mówiąc o zbrojnych zwiadach, Bradorze - Atesca uśmiechnął się - miałem na myśli całe legiony. Legion jest dowodzony przez pułkownika, a ja mam wielu całkiem bystrych pułkowników.

Brador uśmiechnął się do swego przyjaciela. - Kiedy zaczynamy? - spytał.

- Czy planowałeś coś na jutro rano?

- Nic czego nie mógłbym odłożyć na później - odparł Brador.

- Ale dlaczego nie wiedziałeś, że nadciąga? - spytał Barak swego bosmana, Drolaga. Obaj mężczyźni stali na rufie statku smagani pędzonym przez wiatr deszczem, który ściekał strumieniami z ich gęstych bród.

Drolag otarł twarz dłonią.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, Baraku - przyznał. - Ta noga nigdy wcześniej mnie nie zawiodła.

Drolag należał do tych nieszczęśników, którzy w pewnym okresie swego życia doznali złamania nogi, co w przypadku Drolaga zdarzyło się podczas bójki w tawernie. Wkrótce potem odkrył, że po zrośnięciu się kości, noga wykazywała niezwykle wrażliwość

na zmiany pogody. Był w stanie przewidzieć z niezwykle dokładnością nadejście burzy, ulewy czy sztormu. Jego kompani żeglarze zawsze obserwowali go bacznie. Kiedy Drolag krzywił się przy każdym kroku, zaczęli na horyzoncie wypatrywać nadciągających chmur. Kiedy kuśtykał, skracali żagle i zaczęli wiązać liny bezpieczeństwa, a kiedy upadał z okrzykiem bólu na deski pokładu, natychmiast uszczelniali luki, rzucali kotwicę, stawali w dryf i schodzili pod pokład. W ten sposób bolesna dolegliwość Drolaga przyczyniła się do jego niezwyklej kariery. Otrzymywał najwyższy żołd, a nikt nie oczekiwał od niego, żeby cokolwiek robił. Musiał jedynie przechadzać się po pokładzie tak, aby go wszyscy widzieli. Cudowna noga umożliwiała nawet przewidywanie z dużą dokładnością nadejścia sztormu. Jednak nie tym razem. Burza, która wymiatała pokład „Morskiego Ptaka” porywistym wiatrem i tnącą ulewą, nadeszła niezapowiedzianie, a Drolag był nie mniej zdziwiony tym faktem niż pozostali żeglarze.

- A może spiłeś się, upadłeś i znów ją złamałeś, co? - spytał podejrzliwie Barak, który nie miał zbyt wielkiego pojęcia o anatomii ludzkiego ciała, a jego wiedza w tej materii ograniczała się do kilku miejsc najbardziej wrażliwych na ciosy topora czy cięcia miecza. Potężny rudobrody mężczyzna rozumował mgliście, że skoro Drolag osiągnął wrażliwość na zmiany pogody poprzez złamanie nogi, to powtórne złamanie mogło równie dobrze zlikwidować tę wrażliwość.

- Stanowczo nie, Baraku - odparł z niesmakiem Drolag. - Nigdy nie zaryzykowałem utraty źródła utrzymania dla kilku kufli tej parszywej brei zwanej piwem.

- A zatem w jaki sposób ta burza cię przechytrzyła?

- Nie wiem, Baraku. Może to nie jest zwykła burza. Mógł ją wywołać jakiś czarodziej. Nie wiem, czy moja noga powiedziała mi o czymś takim.

- To łatwa wymówka, Drolagu - zbeształ go Barak. - Za każdym razem, gdy jakiś ignorant nie potrafi czegoś wytłumaczyć, zrzuca wszystko na magię.

- Niczego nie zrzucam, Baraku - powiedział zapalczywie Drolag. - Zarabiam na życie przepowiadaniem pogody, ale nie odpowiadam za siły nadprzyrodzone.

- Zejdź pod pokład, Drolagu - rzekł Barak. - Porozmawiaj sobie z nogą, a może ci wymyśli lepszą wymówkę.

Drolag chwiejnym krokiem zszedł po stopniach mamrocząc coś do siebie.

Barak był w fatalnym nastroju. Zdawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Niedługo po tym, jak wraz z przyjaciółmi byli świadkami tragicznego końca Agachaka, „Morski Ptak” uderzył w ukryty pod powierzchnią rzeki pień drzewa, który pozostawił po sobie sporych rozmiarów dziurę w kadłubie. Nadludzkim wysiłkiem wylewali

wdzierającą się wodę i zdołali dotrzeć do Dal Zerba. Tam zaholowali przeciekający statek na błotnisty brzeg, gdzie został poddany koniecznej naprawie. Stracili dwa tygodnie, a teraz sztorm, który pojawił się znikąd, miał przyczynić się do jeszcze większego opóźnienia. Spod pokładu wyłonił się Unrak, ciągnięty przez króla Thullów, człowieka o apatycznej twarzy. Unrak z rozwianą grzywą jasno-rudych włosów rozejrzał się uważnie.

- Nie zanosi się na rychły koniec, prawda, ojcze? - zauważył.

- Raczej nie.

- Hettar chce z tobą rozmawiać.

- Muszę sterować tym kolosem.

- Twój zastępca może to zrobić, ojcze. Musi tylko prowadzić statek dziobem do wiatru. Hettar sprawdził mapę i uważa, że znajdujemy się w nie lada niebezpieczeństwie.

- Z powodu tej małej burzy? Nie wygłupiaj się.

- Czy kadłub „Morskiego Ptaka” jest na tyle solidny, by wytrzymać uderzenia o skały?

- Pod nami głębia.

- Nie na długo. Chodź na dół, ojcze. Hettar ci pokaże. Gderając, Barak przekazał ster w ręce wytrawnego żeglarza i podążył za synem. Nathel, król Thullów powlókł się za nimi, a jego twarz nie wykazywała śladu najmniejszego zainteresowania. Nathel był nieco starszy od Unraka, lecz polubił towarzystwo rudowłosego młodzieńca i chodził za nim krok w krok niczym zabłąkane szczenię. Unrak nie okazywał specjalnych względów nie chcianemu kompanowi.

- Co to wszystko ma znaczyć, Hettarze? - spytał Barak wchodząc do zagraconej kabiny.

- Podejź tu i sam zobacz - odrzekł wysoki Algar. Barak podszedł do stołu i przyjrzał się mapie.

- Wczoraj rano opuściliśmy Dal Zerba, prawda?

- Tak. Zrobilibyśmy to dużo wcześniej, gdyby ktoś patrzył, co jest na dnie rzeki.

Chyba dowiem się, kto miał wówczas wachtę na dziobie, i każę go przeciągnąć pod kilem.

- Co znaczy przeciągnąć pod kilem? - spytał Nathel Unraka.

- Coś bardzo nieprzyjemnego - odparł rudowłosy chłopak.

- Lepiej zatem mi nie tłumacz. Nie lubię nieprzyjemnych rzeczy.

- Jak sobie życzysz, wasza miłość. - Unrak umiał się czasem zachować.

- Nie mógłbyś po prostu nazywać mnie Nathel? - spytał proszącym głosem Thull. - Prawdę mówiąc nie jestem królem. Moja mama podejmuje wszystkie decyzje.

- Jak sobie życzysz, Nathelu. - Unrak powiedział to z pewnym żalem.

- Jak daleko, według ciebie, posunęliśmy się od wczoraj? - spytał Hettar Baraka.

- Och, może dwadzieścia mil. Wczorajszej nocy musieliśmy rzucić kotwicę, ponieważ wpłynęliśmy na dziwne wody.

- A więc oznacza to, że jesteśmy mniej więcej tutaj, tak? - Hettar wskazał złowieszczy symbol na mapie.

- Nie jesteśmy w pobliżu rafy, Hettarze. Popłynęliśmy na południowy wschód, jak tylko wydostaliśmy się z ujścia tej rzeki.

- Lecz nie posuwamy się w kierunku południowo-wschodnim, Baraku. Zdaje się, że jakiś wyjątkowo silny prąd wiezie wzdłuż zachodniego wybrzeża Mallorei. Sprawdziłem kilkakrotnie. Dziób jest skierowany na południowy wschód, lecz „Morski Ptak” dryfuje na południe wraz z masami wody popychanymi tym niezwykłym prądem.

- Odkąd to stałeś się takim wytrawnym żeglarzem?

- Nie trzeba być wytrawnym żeglarzem, Baraku. Weź kijek i wyrzuć go za burtę. Twój statek wnet dopłynie do kijka. Zdecydowanie dryfujemy na południe bez względu na to, w którą stronę obracasz ster. Przypuszczam, że za jakiś czas usłyszymy fale przyboju rozbijające się o rafę.

- Słowem rycerza ręczę, iż nasz zacny przyjaciel prawdziwie rzeczce, szlachetny panie Trelheimu - zapewnił go Mandorallen. - Na własne oczy widziałem, jako doświadczenia z owym kijkiem czynił. Prawdziwie rzeczce. Zmierzamy na południe.

- Co możemy uczynić? - spytał trwożliwie Lelldorin. Barak popatrzył posępnie na mapę.

- Nie mamy wyboru - zaopiniował. - Nie możemy zawrócić na pełne morze podczas tego sztormu. Będziemy musieli rzucić obie kotwice i mieć nadzieję, że znajdziemy dno, które nas utrzyma. Przeczekamy nawałnicę. Jak się nazywa ta rafa, Hettarze?

- Turim - odparł Algar.

Rozdział XX

Kajuta kapitana Kreski nie różniła się niczym wyjątkowym od kapitańskich kabin na innych statkach; nisko zawieszony strop z poplamionych ciemnych belek, meble przymocowane do podłogi, wąska koja. Zwieszające się z belek stropowych oliwne lampy kołysały się w rytm przechyłów stojącego na kotwicy statku, w którego burty uderzały raz po raz rozwścieczone grzywacze napływające od strony Morza Wschodniego. Garion lubił przebywać na morzu. Na głębokiej wodzie czuł głęboki spokój i w jakiś sposób ulatywały od niego wszelkie troski. Kiedy przebywał na lądzie, wydawało mu się, że pędzi z miejsca na miejsce pośród tłumu ludzi nie mogąc zaznać wymarzonego spokoju. Na morzu miał wiele czasu, by otoczyć się własnymi myślami, a równe, cierpliwe falowanie wód i powolny, miarowy ruch nieba nadawały tym rozmyśleniom głębokiego wymiaru.

Wieczorem spożyli prosty posiłek składający się z grochówki i grubych pajd ciemnego, razowego chleba. Po skromnej wieczerzy usiedli na ławkach dookoła prostego stołu gawędząc leniwie w oczekiwaniu na przybycie kapitana, który obiecał, że dołączy do nich, jak tylko zabezpieczy statek.

Pod stołem w pobliżu Ce'Nedry leżał wyrośnięty, młody wilk z prawie wyuczonym proszącym wyrazem oczu. Ce'Nedra rzucała mu kawałki jedzenia, kiedy sądziła, że nikt ich nie obserwuje. Wilki są jednak obdarzone nieprzeciętną inteligencją.

- Fale przyboju zdają się nad wyraz ciężkie - rzekł Zakath przechylając głowę, żeby posłuchać uderzeń morskich bałwanów o ostre skały rafy. - Możemy mieć spore problemy z wylądowaniem, nie uważacie?

- Raczej wątpię - odezwał się Belgarath. - Ta burza prawdopodobnie wisi tu w powietrzu od dnia stworzenia ziemi i nie popsuje nam szyków.

- Belgaracie, czyż nie przemawia przez ciebie fatalista? - bardziej stwierdził niż zapytał Beldin. - I do tego zbyt pewny siebie?

- Chyba nie. Dwie przepowiednie wymagają tego spotkania. Zdążyły do tego miejsca od początku czasu. Nie będą więc przeszkadzać komuś, kto ma tu przybyć.

- W takim razie po co ta burza?

- Burza nie miała nam przeszkodzić.

- Jaki jest więc jej cel?

- Jest prawdopodobnie po to, aby nie dopuszczać innych w pobliże rafy. Tylko wybrańcy mają jutro znaleźć się na tej wyspie. Przepowiednie zadbają już o to, żeby noga

żadnej innej istoty nie dotknęła tych skał do dnia, w którym wypełnimy nasze zadanie.

Garion spojrział na Cyradis, której twarz wyrażała wewnętrzny spokój, a nawet pogodę. Przepaska na oczach zawsze, przynajmniej częściowo, zakrywała jej rysy. W tym świetle zdał sobie nagle sprawę, jak była piękna.

- Poruszyłeś dość ważny problem, dziadku - powiedział. - Cyradis, czyż nie mówiłaś nam, że Dziecko Ciemności zawsze było samotnikiem? Czyż nie oznacza to, że jutro będzie musiała stawić nam czoło w pojedynkę?

- Źle odczytałeś myśli zawarte w mych słowach, Belgarionie z Rivy. Wasze imiona zostały zapisane w gwiazdach od początku dni. Towarzysze Dziecięcia Mroku nie mogą mieć wpływu na bieg zdarzeń. Ich imiona nie stoją zapisane w Księdze Niebios. Zandramas jest jedyną emisariuszką ciemnej przepowiedni. Pozostali, jakowych przywiedzie ze sobą, zostali bez wątpienia wybrani przypadkowo, liczbą swą nie górując nad wami.

- Zatem uczciwa walka - mruknęła z aprobatą Velvet. - Myślę, że możemy sobie poradzić.

- Nie rokuje to dla mnie zbyt wielkich nadziei - rzekł Beldin. - W Rheon dość dokładnie określiłaś ludzi, którzy mieli tu przybyć z Garionem. O ile sobie przypominam, nie wymieniałaś mego imienia. Sądzisz, że zapomnieli mi przysłać zaproszenia?

- Nie, zacny Beldinie. Wszakże twa obecność w owym skalistym zakątku jest niezbędna. Zandramas sprowadziła istotę, jakowa nie została objęta przepowiednią. Tyś jest tu po to, by wyrównać siły.

- Zandramas nie potrafi nie oszukiwać, prawda? - stwierdził Silk.

- A ty potrafisz? - spytała Velvet.

- To co innego. Ja gram o nieistotne stawki, kawałki nieważnego metalu. Stawka w tej grze jest dużo wyższa.

Drzwi kabiny otwarły się i wszedł kapitan Kresca niosąc pod pachą kilka zwojów pergaminu. Pozbył się swego grubego kubraka i miał teraz na sobie płócienny płaszcz żeglarski poplamiony smołą. Garion zauważył, że jego włosy były siwe jak czupryna Belgaratha i ostro kontrastowały z ogorzałą, zniszczoną morskimi wiatrami i słoną wodą twarzą.

- Wydaje się, że burza przycicha - oznajmił. - Przynajmniej dookoła rafy. Jak żyję nie widziałem takiej burzy.

- Byłbym zdziwiony, gdybyś widział, kapitanie - odrzekł Beldin. - O ile się orientujemy, jest to pierwsza, i prawdopodobnie ostatnia, burza tego rodzaju.

- Myślę, że się mylisz, przyjacielu - sprzeciwił się kapitan Kresca. - Nie ma nic

nowego w pogodzie na całym świecie. To wszystko już się kiedyś zdarzyło.

- Niech i tak będzie - powiedział cicho Belgarath do Beldina. - Jest Melcenem, nie jest więc przygotowany na to, co się tu dzieje.

- No dobrze - rzekł kapitan odsuwając na bok miski po zupie i rozkładając mapy na poplamionym stole. - Znajdujemy się mniej więcej tutaj. - Wskazał palcem. - W której części rafy chcesz wylądować?

- Interesuje nas najwyższa sterczyna - odparł Belgarath. Kresca westchnął.

- Mogłem przypuszczać - powiedział. - Jedyna część rafy, gdzie moje mapy nie są zbyt dokładne. Kiedy zabrałem się do badań w tamtym rejonie, pojawiła się znikąd straszna nawałnica i musiałem zawrócić. - Zastanowił się chwilę. - Nieważne - zdecydował. - Staniemy jakieś pół mili od brzegu i popłyniemy barkasem. Musicie jednak coś wiedzieć o tej części rafy.

- A mianowicie? - odezwał się Belgarath.

- Myślę, że są tam jacyś ludzie.

- Raczej wątpliwe.

- Ja przynajmniej nie znam innego stworzenia, które rozpala ogniska, a wy? W północnej części tej sterczyny znajduje się jaskinia i żeglarze od wielu lat widują światło dochodzące z jej wejścia. Zgaduję, że mieszka tam banda piratów. Pewnie wypływają w małych łodziach w ciemne noce i napadają na kupieckie statki przepływające wąskie cieśniny.

- Czy stąd widać ogień? - spytał Garion.

- Przypuszczam, że tak. Chodźmy na pokład i sprawdźmy.

Niewiasty wraz z Sadim i Tothem pozostały w kajucie, a Garion z resztą przyjaciół podążył za kapitanem Kreską na pokład. Wiatr hulający w takielunek, kiedy żeglarze rzucali kotwicę, osłabł znacznie, a spienione wcześniej fale nie rozbijały się już z taką przerażającą mocą o wystającą ponad powierzchnię rafę.

- Tam - rzekł Kresca wskazując. - Nie widać go zbyt dobrze z tego miejsca, lecz od biedy można coś dojrzeć.

Garion z trudem dostrzegł czerwoną poświatę po jednej stronie sporego wierzchołka wystającego z morza. Pozostałe skały tworzące rafę uderzały podobieństwem do smukłych wieżyc, lecz środkowy szczyt miał zupełnie inny kształt. Z jakiejś przyczyny przypominał Garionowi górę ze ściętym wierzchołkiem leżącą w odległym Prolgu.

- Jeszcze nikt nie potrafił mi wyjaśnić, w jaki sposób wierzchołek tej góry został tak ścięty - rzekł Kresca.

- To chyba długa historia - powiedział Silk. Mały człowieczek drżał lekko. - Jest dość

chłodno - zauważył. - Może zeszlibyśmy na dół?

Garion stał tuż za plecami Belgaratha.

- Cóż to za światło, dziadku? - spytał cicho.

- Nie jestem całkowicie pewny - odparł Belgarath - lecz sądzę, że to może być Sardion. Wiemy, że jest w jaskini.

- Wiemy?

- Oczywiście, że tak. Klejnot i Sardion muszą spotkać się tak samo jak ty z Zandramas. Melceński uczonec, który skradł Sardion, ten, o którym wspominał Senji, opłynął południowy kraniec Gandaharu i zniknął w tamtych wodach. Za bardzo to wszystko do siebie pasuje, żeby było jedynie zbiegiem okoliczności. Sardion manipulował uczonym, który dostarczył go dokładnie tam, gdzie chciał być dostarczony. Prawdopodobnie czeka na nas w tej jaskini od ponad pięciuset lat.

Garion spojrzał przez ramię. Rękojeść miecza pokrywał skórzany rękaw, lecz Garion był przekonany, że dostrzegłby poświatę, gdyby Klejnot nią emanował. - Czyż Klejnot nie reaguje zwykle na obecność Sardiona? - spytał.

- Możliwe, że znajdujemy się jeszcze zbyt daleko. Nie zapominaj także, że jesteśmy na morzu, a otwarte wody mylą Klejnot. A może próbuje ukryć się przed Sardionem.

- Czy mógłby aż tak rozsądnie rozpatrywać tę skomplikowaną sytuację? Zauważyłem, że zwykle zachowuje się dość dziecinnie.

- Nie oceniaj go zbyt nisko, Garionie.

- Wszystko do siebie pasuje, prawda?

- Musi, Garionie. W przeciwnym razie nie doszłoby do jutrzejszych wydarzeń.

- No i co, ojczu? - spytała Polgara, kiedy ponownie znaleźli się w niskiej kajucie.

- To prawda, że z tej jaskini bije jakiś blask - powiedział. - Porozmawiamy o tym dokładniej, gdy kapitan powróci do swych zajęć. - Przesłał myśl, a następnie zwrócił się do Kreski. - Kiedy nadejdzie następny niski odpływ?

Kresca zamrugał oczami zastanawiając się.

- Właśnie się spóźniliśmy - powiedział. - Teraz jest przyływ. Następny niski odpływ nadejdzie wraz ze świtem i jeśli się nie mylę w swych spostrzeżeniach, powinien to być mały kwadrowy pływ. No cóż, teraz was opuszczę i udam się na spoczynek. Domyślam się, że macie przed sobą pracowity dzień.

- Dziękujemy, kapitanie - rzekł Garion potrząsając rękę żeglarza.

- Nie ma za co, Garionie. - Kresca wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Król Peldane bardzo hojnie zapłacił mi za tę podróż, więc przysługa nic mnie nie kosztuje.

- Dobrze. - Garion odwzajemnił uśmiech. - Lubię, gdy przyjaciele nieźle radzą sobie na tym świecie.

Kapitan roześmiał się i wyszedł.

- O czym on mówił? - spytał Sadi. - Co to jest kwadrowy pływ?

- Zdarza się tylko kilka razy do roku - wytłumaczył Beldin. - To niesamowicie niski przypływ bądź odpływ. Wiąże się to z pozycją słońca i księżyca.

- Zdaje się, że wszystko dokoła wychodzi z siebie, żeby uczynić jutrzejszy dzień wyjątkowym - zauważył Silk.

- No dobrze, ojcie - rzekła szybko Polgara. - Co to za historia z ogniem w jaskini?

- Nie mam całkowitej pewności, Pol, ale podejrzewam, że to nie korsarze. Po trudach, jakie zadały sobie przepowiednie, żeby utrzymać ludzi z dala od jaskini, wydaje się to naprawdę mało prawdopodobne.

- A zatem, jak myślisz, co to jest?

- Prawdopodobnie Sardion.

- Czy emanowałby czerwoną poświatę? Starzec wzruszył ramionami.

- Klejnot żarzy się na niebiesko. Przypuszczam, że logiczne jest, aby Sardion płonął inną barwą.

- Czemu nie na zielono? - spytał Silk.

- Zieleń nie jest jednolitym kolorem - odparł Beldin. - To mieszanka niebieskiego i żółtego.

- Jesteś prawdziwą kopalnią złota, jeśli chodzi o bezużyteczne informacje, wiesz o tym, prawda, Beldinie? - stwierdził Silk.

- Nie ma czegoś takiego jak bezużyteczna informacja, Kheldarze. - Beldin pociągnął nosem.

- No dobrze - odezwał się Zakath - jak się do tego wszystkiego zabierzemy?

- Cyradis - zwrócił się Belgarath do prorokini - zgaduję teraz, ale chyba jestem bliski prawdy. Nikt nie dotrze do tej jaskini jako pierwszy, prawda? Chodzi mi o to, że przepowiednie nie pozwolą Zandramas dotrzeć tam przed nami, ani nam przed nią.

- Niesamowite - wymamrotał Beldin. - To zabrzmiało jak czysta logika. Czy dobrze się czujesz, Belgaracie?

- Mógłbyś przestać? - burknął Belgarath. - No i co, Cyradis? Nie odzywała się, jakby wcale jej z nimi nie było. Garionowi zdawało się, że słyszy słabe chóralne szemranie.

- Rozumowanie twe zaprawdę tchnie spójnością, Przedwieczny - przemówiła po chwili. - Wszakże zwierciadlana świadomość onegdaj zagościła w umyśle Zandramas, więc

nie odkrywam przed tobą prawdy, jakowa przed nią skryta w okowach tajemnicy pozostaje. Zandramas jednakoz odrzuciła owoce swego rozumowania i zмага się, aby przechytrzyć wnioski, do jakowych doszła.

- A zatem dobrze - rzekł Zakath - jako że wszyscy zamierzamy się tam dostać w tym samym czasie i jako że wszyscy o tym wiedzą, nie ma sensu się krygować, prawda? Uważam, że powinniśmy wylądować na tej plaży i udać się prosto do jaskini.

- Zatrzymując się tylko, abyśmy mogli założyć zbroję - dodał Garion. - Nasze okucie się w stal na statku mogłoby wyprowadzić Kreskę z równowagi.

- Twój plan wydaje mi się całkiem dobry, Zakacie - zgodził się Durnik.

- Nie jestem pewny - rzekł powątpiewająco Silk. - Myszkowanie ma pewne zalety.

- Drasanie - westchnęła Ce'Nedra.

- Posłuchaj, co ma do powiedzenia, zanim go ocenisz, Ce'Nedro - zaproponowała Velvet.

- Jest tak - kontynuował Silk. - Zandramas wie w głębi swej świadomości, że nie może przybyć szybciej do tej jaskini, lecz próbuje od wielu miesięcy tego samego w nadziei, że jest jakiś sposób na ominięcie reguł. Podążmy jej tokiem rozumowania.

- Prędeż bym się otruła - odezwała się Ce'Nedra wzdrygając się mimo woli.

- Robimy tak tylko dlatego, żeby zrozumieć przeciwnika, Ce'Nedro. A więc, Zandramas wbrew logice żywi nadzieję, że może przechytrzyć los i dotrzeć pierwsza do jaskini unikając w ten sposób spotkania z Garionem. On rzeczywiście zabił Toraka i nikt trzeźwo myślący nie paliłby się do konfrontacji z Zabójcą Boga.

- Zamierzam pozbyć się tego przydomka, kiedy znajdę się z powrotem w Rivie - rzucił kwaśno Garion.

- Możesz to zrobić później - powiedział Silk. - Co czułaby Zandramas, gdyby przybyła do wejścia do jaskini, rozejrzała się dookoła i nigdzie nas nie dostrzegła?

- Chyba zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz, Kheldarze - odezwał się z podziwem Sadi.

- To ty zaczynasz rozumieć - stwierdził sucho Zakath.

- To naprawdę wspaniałe, Kal Zakacie - odrzekł eunuch. - Zandramas odczuje dziki zachwył. Uwierzy, że udało jej się przechytrzyć przepowiednie i zwyciężyć wbrew nim.

- A wtedy co się stanie, gdy wszyscy wyjdziemy z za skały i dowie się, że musi jednak stawić czoło Garionowi i podporządkować się wyborowi Cyradis? - spytał Silk.

- Prawdopodobnie będzie bardzo rozczarowana - odparła Velvet.

- Myślę, że rozczarowanie może okazać się zbyt łagodnym określeniem - stwierdził

Silk. - Sądzę, że rozpacz lepiej oddałaby jej stan. Dodajmy do tego zaskoczenie i sporą dawkę strachu, a ujrzymy kogoś, kto nie będzie myślał zbyt jasno. Jest niemal pewne, że gdy tylko tam dotrzemy, dojdzie do walki, a zawsze lepiej, jeśli przeciwnik jest zdekoncentrowany i poddaje się emocjom.

- To podstawy taktyki, Garionie - podsumował Zakath.

- Podoba mi się - rzekł Belgarath. - Przynajmniej powinno mi to umożliwić odpłacenie Zandramas za te wszystkie chwile, kiedy mnie wyprowadzała z równowagi. Myślę, że nadal jestem jej coś winien za wycinanie całych wersetów z Ashabińskich Wyroczeni. Jutro o świcie porozmawiam z kapitanem Kreską i dowiem się, czy po wschodniej stronie sterczyny jest jakaś plaża. Przy kwadrowym przypływie mielibyśmy całkiem duże szanse. Następnie ruszymy wzdłuż bocznej ściany szczytu pozostając poza polem jej widzenia. Schronimy się nie opodal wejścia do jaskini i zaczekamy na Zandramas, a gdy się pojawi, wyjdziemy i zaskoczmy ją.

- Mogę wskazać jeszcze większą zaletę tego planu - odezwał się Beldin. - Udam się na zwiady i poinformuję was, gdzie ona wylądzuje. W ten sposób będziecie przygotowani.

- Ale nie jako jastrząb, wujku - rzekła Polgara.

- Czemu nie?

- Chyba nie doceniasz Zandramas. Co robiłby jastrząb na tej rafie? Nie miałby tu na co polować.

- Może pomyślałaby, że sztorm rzucił mnie na pełne morze.

- Czy chcesz ryzykować pióra w ogonie tym „może”? Mewa, wujku.

- Mewa? - sprzeciwił się. - Ależ one są głupie i takie brudne.

- Ty? Obawiający się brudu? - spytał Silk wznosząc oczy do nieba, mimo że wyraźnie był akurat pochłonięty liczeniem czegoś na palcach.

- Nie przeciągaj struny, Kheldarze - warknął złowieszczo Beldin.

- Którego dnia miesiąca urodził się książę Geran? - spytał Silk Ce'Nedry.

- Siódmego, a dlaczego pytasz?

- Okazuje się, że jutrzejszy dzień będzie po dwakroć niezwykle ważny. Jeśli dobrze policzyłem, jutro wypadają drugie urodziny twego syna.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła. - Moje dziecko urodziło się zimą.

- Ce'Nedro - rzekł delikatnie Garion - Riva znajduje się prawie na wierzchołku świata. Ta rafa leży prawie na dole. W Rivie panuje teraz zima. Policz miesiące od czasu urodzin Gerana, czas, jaki spędził z nami, zanim Zandramas go nam wykradła, do tego dodaj czas, jaki spędziliśmy w Rheonie, podróż do Prolgu, potem do Tol Honeth i dalej do Nyissy i

wszystkich innych miejsc, w których musieliśmy się zatrzymać. Myślę, że jeśli policzysz dokładnie, okaże się, że jest to czas bardzo zbliżony do dwóch lat.

Zmarszczyła brwi odliczając miesiące. W końcu oczy jej się rozszerzyły. - On chyba ma rację! - krzyknęła. - Geran jutro skończy dwa lata!

Durnik położył dłoń na ramieniu małej królowej.

- Zobaczę, czy uda mi się zrobić dla niego jakiś prezent, Ce'Nedro - powiedział delikatnie. - Chłopczyk powinien dostać prezent urodzinowy po tak długim okresie rozłąki z rodziną.

Oczy Ce'Nedry wypełniły się łzami.

- Och, Durniku! - Załkała obejmując go mocno. - Ty zawsze o wszystkim pomyślisz.

Garion spojrzał na Polgarę, poruszając lekko palcami.

- Może zabierzecie ją do łóżka? - zaproponował. - Wszystkim nam jest ciężko, a jeśli pozwolimy jej dłużej się wzruszać, doprowadzi się do rozstroju. Jutrzejszy dzień będzie dla niej i bez tego wystarczająco trudny.

- Chyba masz rację.

Po wyjściu kobiet Garion i pozostali mężczyźni usiedli dookoła przymocowanego do podłogi stołu. Ze szczegółami przeanalizowali szereg przygód, których doświadczyli od pamiętnej, szarganej wiatrem nocy, kiedy to Garion, Belgarath, wraz z Polgarą i Durnik wymknęli się z farmy Faldora i wkroczyli w świat, w którym możliwe w równym stopniu mieszało się z niemożliwym. Garion ponownie doznał dziwnego uczucia oczyszczenia i jakby podsumowania wszystkiego, co zdarzyło się w trakcie ich długiej podróży aż do tej rafy, leżącej teraz przed nimi w ciemności. W pewien sposób przypominali sobie wszystko, aby umocnić się w dążeniu do celu, i zdawało się, że z jakiejś przyczyny wspomnienia tchną w nich nowe siły.

- Myślę, że już dość - odezwał się wreszcie Belgarath wstając. - Teraz wiemy, co pozostało za nami. Najwyższy czas zapakować to szczelnie i spojrzeć przed siebie. Udajmy się na spoczynek.

Ce'Nedra poruszyła się niespokojnie, kiedy Garion wślizgnął się do łóżka.

- Sądziłam, że w ogóle nie pójdziecie spać - powiedziała sennie.

- Rozmawialiśmy.

- Wiem. Nawet tutaj dochodził szmer waszych głosów, a mężczyźni mówią, że to kobiety ciągle rozmawiają.

- A nie jest tak?

- Być może, lecz kobiety rozmawiają, a ich ręce są zajęte. Mężczyźni tak nie potrafią.

- Chyba masz rację. Nastąpiła chwila ciszy.

- Garionie - rzekła.

- Tak, Ce'Nedro?

- Czy mogę pożyczyć twego noża, tego małego, który podarował ci Durnik, kiedy byłeś jeszcze małym chłopcem?

- Jeśli chcesz coś uciąć, pokaż mi co, a ja to zrobię.

- Nic z tych rzeczy, Garionie. Ja po prostu chcę mieć jutro nóż przy sobie.

- Po co?

- Gdy tylko zobaczę Zandramas, zabiję ją.

- Ce'Nedro!

- Mam pełne prawo ją zabić, Garionie. Powiedziałeś Cyradis, że nie uczynisz tego, ponieważ Zandramas jest kobietą. Ja nie cierpię na tę samą delikatność co ty. Zamierzam wykroić jej serce, jeśli oczywiście je ma, i to powoli. - Wypowiedziała te słowa z zapalczywością, jakiej nie słyszał dotąd w jej głosie. - Pożądaj krwi, Garionie! Morza krwi, i chcę słyszeć jej wrzask, gdy będę obracać nóż w jej trzewiach. Dasz mi swój nóż, prawda?

- Stanowczo odmawiam!

- Dobrze, Garionie - powiedziała lodowatym tonem. - Jestem pewna, że Liselle pożycz mi swój. Liselle jest kobietą i wie, co ja czuję. - Odwróciła się do niego tyłem.

- Ce'Nedro - rzekł łagodząco.

- Tak? - odezwała się nadąsanym głosem.

- Bądź rozsądna.

- Nie chcę być rozsądna. Chcę zabić Zandramas.

- Nie pozwolę ci narażać się na takie niebezpieczeństwo. Mamy jutro do zrobienia o wiele ważniejsze rzeczy.

Westchnęła.

- Chyba masz rację. Ja po prostu...

- Po prostu co?

Odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nieważne, Garionie - powiedziała. - Prześpijmy się trochę. - Wtuliła się w niego i po chwili jej regularny oddech powiedział mu, że usnęła.

Powinieneś był dać jej ten nóż - odezwał się głos w jego umyśle. - Silk mógłby jej jutro jakoś go wykraść.

Ale...

Musimy porozmawiać, Garionie. Czy myślałeś już o swym następcy?

Hm... właściwie tak. Żaden z moich przyjaciół mi tu nie pasuje.

Czy zastanowiłeś się nad każdym?

Chyba tak, ale nie udało mi się podjąć konkretnej decyzji.

Nie musisz teraz dokonywać wyboru. Miałeś tylko pomyśleć dokładnie o każdym z nich, by mocno zapadli ci w umyśle.

Kiedy zatem dokonam wyboru?

W ostatnim momencie, Garionie. Zandramas może słyszeć twe myśli, lecz nie potrafi usłyszeć czegoś, o czym jeszcze nie pomyślałeś.

A jeśli popełnię błąd?

Nie sądzę, Garionie. Naprawdę nie sądzę.

Tej nocy Garion nie spał spokojnie. Chaotyczne, rwące się i płaczące sny sprawiały, że często powracał do rzeczywistości, po czym znów zapadał w drzemkę. Jak przez mgłę przypominał sobie dziwne sny, które nękały go dawno temu w noc spędzoną na Wyspie Wiatrów, tuż przed nieodwracalnymi zmianami w jego życiu. Pytanie „Czy jesteś gotów?” zdawało się rozbrzmiewać nieustannie w zakamarkach jego umysłu. Ujrzał Rundoriga i usłyszał, jak ciocia Pol przeraźliwym głosem każe mu zabić przyjaciela z lat chłopięcych. A potem niedźwiedź, którego spotkał w zaśnieżonym lesie za Val Alorn. Widział go teraz, jak grzebie pazurami w śniegu z oczami płonącymi od szału i nienawiści. „Czy jesteś gotów?” - spytał go Barak, zanim uśmiercił bestię. Następnie stanął na bezbarwnej równinie otoczonej urywkami niezrozumiałej gry, próbując zdecydować, który kawałek poruszyć, podczas gdy głos w jego umyśle nieprzerwanie go ponaglał.

Sny zmieniły się przybierając inne barwy. Nasze sny, bez względu na to, jakie są dziwne, wydają się znajome, ponieważ tworzone są i kształtowane przez nasze własne umysły. Zdawało się jednak, że obecne sny Gariona są tworzone przez jakąś nieznaną, nieprzyjazną świadomość, prawie w ten sam sposób, w jaki Torak mieszał się w jego sny i myśli tuż przed spotkaniem w Cthol Mishrak.

Ponownie stanął twarzą w twarz z Murgo Ashrakiem w iglastym Lesie Driad i powtórnie uwolnił swą wolę tym pojedynczym machnięciem otwartej dłoni i decydującym słowem „Płon!” Znajomy koszmar nocny, jaki od wielu lat nawiedzał sny Gariona. Zobaczył, jak policzek Ashraka zaczyna wrzeć i dymić. Usłyszał wrzask Grolima i ujrzał, jak chwyta się za płonącą twarz. Usłyszał przeraźliwe błaganie „Panie, miej litość!” Zignorował je i zintensyfikował płomienie, lecz tym razem czynowi temu nie towarzyszyło uczucie nienawiści do samego siebie, lecz pewien rodzaj okrutnej satysfakcji, ohydna radość z potwornej agonii płonącego na jego oczach wroga. Głęboko wewnątrz jego jaźni coś

krzyczało próbując odrzucić tę demoniczną radość.

Wtem znalazł się w Cthol Mishrak, a jego płonący miecz zagłębiał się raz po raz w ciele Jednookiego Boga. Desperacki krzyk Toraka „Matko!” tym razem nie napęłił go smutkiem, lecz ogromną satysfakcją. Poczul, jak ogarnia go dziki, niemiłosierny śmiech, który wymazuje w nim resztki człowieczeństwa.

Ogarnięty przerażeniem Garion wzdrygnął się, nie tyle z powodu przypomnienia straszliwych ofiar, ile własnej radości z ich bezgranicznej rozpacz.

Rozdział XXI

Kiedy nazajutrz tuż przed świtem zebrali się w głównej kajucie, na ich twarzach malowało się przygnębienie. Nagle, ku swemu zaskoczeniu, Garion poczuł wewnętrzne przekonanie, że nocne koszmary nie dręczyły wyłącznie jego. Intuicja i spostrzegawczość nie należały do wrodzonych cech Gariona. Jego rozsądek mający korzenie w sendarskim pochodzeniu odrzucał podobne sprawy jako w pewien szczególny sposób niemoralne.

Czy ty jesteś sprawcą tych snów - spytał głosu.

Nie. To dość dziwne, lecz sam sobie je zawdzięczasz. Zdaje się, że czynisz postępy, oczywiście powoli, lecz zawsze postępy.

Dzięki.

Nie ma za co.

Silk wyglądał na szczególnie wstrząśniętego, gdy wszedł do kabiny. Oczy małego człowieka były jak u nawiedzonego, a delikatne ręce drżały wyraźnie. Opadł ciężko na ławę i ukrył twarz w dłoniach.

- Czy masz jeszcze trochę piwa? - spytał Beldina szorstkim głosem.

- Roztrzęsiony od samego rana, Kheldarze? - spytał karzeł.

- Nie - rzekł Garion. - Gnębi go coś zupełnie innego. Zeszłej nocy śniły mu się koszmary.

Silk podniósł twarz.

- Skąd wiesz? - zapytał.

- Mnie również nękały. Przeżywałem powtórnie to, co uczyniłem Ashrakowi, i ponownie zabijałem Toraka.

- Ja wpadłem w pułapkę w jaskini - powiedział Silk wzdrygając się. - Nie było tam światła, lecz czułem, że ściany zaciskają się dookoła mnie. Myślę, że następnym razem, gdy spotkam Relga, uderzę go w twarz, oczywiście delikatnie. Relg jest bądź co bądź przyjacielem.

- Cieszę się, że nie tylko mnie się to przytrafiło - odezwał się Sadi.

Wcześniej eunuch postawił na stole miskę mleka i teraz Zith wraz z jej potomstwem zebrały się dookoła pochlipując jęczyczkami i mrużąc z zadowoleniem. Garion z lekkim zaskoczeniem zauważył, że nikt już nie zwraca uwagi na Zith i jej maleństwa, z czego wywnioskował, że ludzie mogą się do wszystkiego przyzwyczaić. Sadi długimi palcami podrapał się po ogolonej głowie.

- Wydawało mi się, że jestem na ulicach Sthiss Tor i próbuję przeżyć zebrząc. To było

ohydne.

- Widziałam, jak Zandramas składała moje dziecko na ofiarnym ołtarzu - rzekła wstrząśnięta Ce'Nedra. - Słyszałam rozrywający serce płacz i widziałam morze krwi, całe morze krwi.

- Przedziwna rzecz - odezwał, się Zakath. - Przewodniczyłem procesowi. Musiałem skazać wielu ludzi. Była tam jedna osoba, która bardzo wiele dla mnie znaczyła, lecz musiałem ją również skazać.

- Ja też miałam podobne sny - przyznała się Velvet.

- Spodziewam się, że wszyscy doświadczyliśmy tego samego - powiedział Garion. - To samo przydarzyło mi się w drodze do Cthol Mishrak. Torak nieprzerwanie nękał mnie w snach. - Spojrzał na Cyradis. - Czy Dziecko Ciemności zawsze tak postępuje? - spytał. - Te wydarzenia powtarzały się za każdym razem, kiedy miało dojść do podobnego spotkania. Czy to jedno z tych nieustannie powtarzających się wydarzeń?

- Jesteś niezwykle spostrzegawczy, Belgarionie z Rivy - rzekła prorokini. - Zaiste od niepamiętnych czasów, od kiedy zaczęły się owe spotkania, jesteś pierwszym z Dzieci Światła czy Ciemności, jakowe doznało natchnienia odkrywając nieustanność powtarzania się zdarzeń aż ku wielkiemu zakończeniu podziału.

- Nie jestem pewien, czy mogę sobie przypisać tę zasługę, Cyradis - przyznał. - Jak rozumiem, spotkania stają się coraz mniej od siebie oddalone w czasie. Jestem prawdopodobnie pierwszym w historii Dzieckiem Światła, czy Ciemności, które uczestniczyło w dwóch spotkaniach, a mimo to odkrycie prawdy zajęło mi sporo czasu. A zatem te koszmary nocne również są częścią ustalonego wzoru?

- W twym umyśle rodzą się bystre wnioski, Belgarionie. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Niestety czasami mijają się z prawdą. Wedle mnie wstyd to wielki marnować takowe bystre spostrzeżenie.

- Czy próbujesz sobie żartować, Święta Prorokini?

- Czy próbowałabym to czynić, zacny Belgarionie? - odparła doskonale naśladowując modulację głosu Silka.

- Należy jej się reprimenda - zasugerował Beldin.

- Przy tej górze mięśni, która stoi nad nią dając jej wszelką protekcję? - stwierdził powątpiewająco Garion szczerząc zęby do Totha. Zmrużył oczy. - Nie wolno ci udzielić nam pomocy, prawda, Cyradis? - spytał.

Westchnęła i pokręciła przecząco głową.

- Dobrze, Święta Prorokini - powiedział. - Myślę, że sami znajdziemy odpowiedź na

to pytanie. - Spojrzał na Belgaratha. - W porządku - odezwał się. - Torak próbował zastraszyć mnie koszmarami, a teraz okazuje się, że Zandramas próbuje uczynić to samo, tyle że tym razem szpikuje zmorami nas wszystkich. Jeśli to nie kolejne z powtórzeń, to cóż to jest innego?

- Zaczynam podejrzewać tego chłopaka o całkiem sprawnie działający umysł analityczny, Belgaracie - rzekł Beldin.

- Naturalnie - odparł skromnie starzec.

- Nie wysilaj się, żeby poklepać samego siebie po plecach - uciął kwaśno Beldin. Wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem, a jego czoło zmarszczyło się od intensywnego myślenia. - A więc - zaczął - po pierwsze: To nie jest jedno z tych nudnych powtórzeń, jakie prześladowały nas od samego początku, zgadza się?

- Zgadza się - przyznał Belgarath.

- Po drugie: Miało miejsce mniej więcej w tym samym okresie co ostatnie. - Spojrzał na Gariona. - Zgadza się? - spytał.

- Zgadza się - powiedział Garion.

- Tylko dwa razy. Dwa razy można uznać za zbieg okoliczności, lecz założmy, że tak nie jest. Wiemy, że Dziecko Światła zawsze występuje w towarzystwie przyjaciół, a Dziecko Ciemności pozostaje samotne.

- Tak twierdzi Cyradis - zgodził się Belgarath.

- Nie ma powodu, żeby nas okłamywać. A zatem, jeśli Dziecko Światła ma towarzyszy, a Dziecko Ciemności działa w pojedynkę, czyż nie stawiałoby to siły ciemności w gorszej pozycji?

- Na to wygląda.

- A jednak siły tych dwóch stron zawsze były tak wyrównane, że nawet bogowie nie potrafią przewidzieć wyniku konfrontacji. Dziecko Ciemności używa czegoś do wyrównania swej pozornej słabości. Myślę, że koszmary mogą być częścią tych zabiegów.

Silk wstał i podszedł do Gariona.

- Te dyskusje przyprawiają mnie o ból głowy - rzekł spokojnie. - Idę na chwilę na pokład. - Wyszedł z kabiny, a młody wilczek, nie wiedząc czemu, podążył jego śladem.

- Nie sądzę, by kilka koszmarów miało aż takie znaczenie, Beldinie - sprzeciwił się Belgarath.

- A jeśli koszmary są tylko częścią bardziej złożonej gry, stary wilku? - spytała Poledra. - Ty i Pol pod Vo Mimbre uczestniczyliście w jednym z takich spotkań. Wy dwoje dwukrotnie towarzyszyliście Dziecku Światła. Co zdarzyło się w Vo Mimbre?

- Istotnie nawiedzały nas nocne koszmary - Belgarath zwrócił się do Beldina.

- Coś jeszcze? - spytał ożywionym głosem karzeł.

- Widzieliśmy rzeczy, których tam nie było, lecz te obrazy mogli stworzyć okoliczni Grolimowie.

- I?

- I wszyscy jakby zwariowali. Było to jedyne co mogliśmy zrobić, aby powstrzymać Branda przed rzuceniem się na Toraka z zębami, a w Cthol Mishrak zamknęłam Belzedara w skale niczym w grobowcu, a potem Pol chciała go odkopać, żeby wypić jego krew.

- Ojczy! Wcale tak nie było! - zaprotestowała.

- Czyżby? Tego dnia ogarnął cię niezwykle gniew, Pol.

- To pasuje do wzoru, stary wilku - rzekła posępnie Poledra. - Nasza strona walczy normalną bronią. Miecz Gariona może wydawać się nieco niezwykle, lecz to mimo wszystko tylko miecz.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś była w Cthol Mishrak - powiedział jej mąż.

- Ja tam byłam, Belgaracie - odparła.

- Byłaś?

- Oczywiście. Obserwowałam wszystko ukrywając się w ruinach. W każdym razie, Dziecko Ciemności nie atakuje ciała, ono atakuje umysł. W ten właśnie sposób udaje mu się dotrzymać nam pola.

- Koszmary nocne, halucynacje i w końcu obłąkanie - rzekła Polgara. - To potężny arsenał, jaki można skierować przeciwko nam. Mógłby nawet okazać się skuteczny, gdyby Zandramas nie była taka niezdarna.

- Nie bardzo rozumiem, Pol - powiedział Durnik.

- Popęlniła błąd. - Polgara wzruszyła ramionami. - Jeśli tylko jednej osobie przyśni się koszmar, będzie próbowała się z tego otrząsnąć i pewnie nie wspomni o tym nazajutrz w dzień spotkania. Zandramas jednak nawiedziła koszmarami umysły nas wszystkich. Gdyby tak nie uczyniła, nie doszłoby do tej rozmowy.

- Miła jest świadomość, że i ona popełnia błędy - odezwał się Belgarath. - A zatem dobrze, wiemy już, że starała się nami manipulować. Najlepszym sposobem unieszkodliwienia tego rodzaju praktyk jest wyrzucenie koszmarów ze swego umysłu.

- I zachowanie niezwyklej ostrożności, gdybyśmy zaczęli widzieć rzeczy, których nie powinno tam być - dodała Polgara.

Silk wraz z wilkiem wrócili schodząc po schodkach do kajuty.

- Mamy wspaniałą pogodę - oznajmił radośnie pochylając się, aby podrapać

szczeniaka za uchem.

- Wyśmienicie - mruknął sucho Sadi, ostrożnie smarując niewielki sztylet świeżą trucizną. Miał na sobie skórzaną kurtkę i wysokie, skórzane buty sięgające do połowy uda. W Sthiss Tor Sadi wydawał się pomimo swej smukłości przycięzki i powolny, a nawet ślamazarny. Teraz wyglądał na twardego mężczyznę. Rok bez narkotyków, z narzuconym reżimem regularnych ćwiczeń, bardzo go zmieniły.

- Wspaniale - rzekł Silk. - Mamy mgłę, panie i panowie - powiedział - miłą, mokrą, szarą mgłę, prawie tak gęstą, że można po niej chodzić. Taka mgła jest rozkoszą dla włamywaczy.

- Silk od razu o tym pomyślał - uśmiechnął się Durnik. Kowal miał na sobie prosty chałat. Swój topór wręczył Tothowi, a sam dzierżył ciężki młot, którym rozprawił się z demonem Nahazem.

- Przepowiednie znów wodzą nas za nos - stwierdził poirytowanym głosem Beldin - ale przynajmniej okazuje się, że ubiegłego wieczoru podjęliśmy rozsądną decyzję. Dobra, gęsta mgła wprost narzuca ten sposób i podkradanie się chyłkiem jest w zasadzie nieuniknione. - Beldin wyglądał jak zawsze, w postrzępionych łachach, brudny i bardzo brzydki.

- Może próbują nam pomóc - zasugerowała Velvet. Jasnowłosa dziewczyna wprawiła wszystkich w osłupienie, gdy pojawiła się w kajucie. Miała na sobie obcisłe skórzane ubranie, podobne do tego, jakie zwykle nosiła nadracka tancerka Vella. Był to typowo męski ubiór. - Już wiele zrobiły, aby pomóc Zandramas. Może teraz spojrzą przychylniej na nas.

Czy ona ma rację? - spytał Garion obcą świadomością, która dzieliła z nim umysł. - Czy ty i twój odpowiednik po drugiej stronie pomagacie nam na przemian?

Nie wygłupiaj się, Garionie. Nikt nikomu nie pomaga. Wszelka pomoc jest zakazana. Szczególnie na tym etapie gry.

Skąd zatem wzięła się ta mgła?

A skąd zwykle bierze się mgła?

Skąd mogę wiedzieć?

Można było przypuszczać. Spytaj Beldina. On ci prawdopodobnie wyjaśni. Ta mgła jest najzupełniej naturalnym zjawiskiem.

- Liselle - odezwał się Garion. - Rozmawiałem z gościem w mojej głowie i powiedział mi, że ta mgła nie jest wynikiem żadnej nienaturalnej rozgrywki. To naturalny skutek burzy.

- Rozczarowałam się - przyznała.

Rankiem Ce'Nedra obudziła się ze stanowczym postanowieniem, że założy tunikę

Driady, czemu zdecydowanie sprzeciwił się Garion. Przywdziała więc prostą, szarą wełnianą suknię bez sztywnych krępujących ruchy halek. Była przygotowana do spotkania i Garion był całkowicie pewny, że ukrywała przynajmniej jeden nóż.

- Czemu jeszcze nie ruszamy? - zapytała niecierpliwie.

- Ponieważ jest jeszcze ciemno, kochanie - wytłumaczyła jej cierpliwie Polgara. - Musimy poczekać do pierwszego brzasku. - Polgara i Poledra miały na sobie prawie identyczne, proste suknie, Polgara szarą, a jej matka brązową.

- Garionie - odezwała się Poledra - może zejdiesz do kambuza i poprosisz o śniadanie? Powinniśmy coś zjeść; nie sądzę, żebyśmy mieli czas, a nawet chęć na obiad. - Poledra usiadła u boku Belgaratha i prawie nieświadomie wzięli się za ręce. Garion czuł się lekko urażony jej poleceniem. Był mimo wszystko królem, a nie chłopcem na posyłki. Wnet jednak zdał sobie sprawę, jak głupia była to myśl, i zaczął wstawać.

- Ja pójdę, Garionie - powstrzymał go Eriond. Zdawało się, że ten młody człowiek o płowych włosach przejrzał myśli Gariona. Eriond był odziany w proste, chłopskie szaty, jakie zawsze nosił, i nie miał przy sobie nic, co choćby przypominało broń.

Kiedy młodzieniec zniknął za drzwiami, Garionowi przyszła do głowy dziwna myśl. Dlaczego zwracał tak wiele uwagi na wygląd każdego ze swych przyjaciół? Widział ich już wcześniej w tych ubraniach. Ubrania i ich stroje nie powinny w ogóle zaprzętać jego uwagi. Wtem jednak doznał olśnienia. Jeden z nich miał dziś umrzeć i umieszczał ich wszystkich w pamięci, ażeby zapamiętać do końca życia tego, który miał się poświęcić. Spojrzał na Zakatha. Jego malloreański przyjaciel zgolił swą krótką brodę. Lekko oliwkowa skóra cesarza nie była już blada, lecz opalona i zahartowana przez słońce, zimno i wiatry, może oprócz jaśniejszych plam na świeżo ogolonym podbródku i szczęce. Miał na sobie prostą zgrzebną koszulę i płócienne spodnie takie same jak Garion, jako że po wylądowaniu na skalistej wyspie obaj będą musieli nałożyć zbroje.

Obojętny wyraz twarzy Totha świadczył o wypełniającym go spokoju. Ciało olbrzyma jak zawsze okrywały lniane szaty, na stopy nałożył skórzane sandały, a stroju dopełniał wełniany koc przewieszony przez jedno ramię. Nie miał jednak przy sobie swej ciężkiej maczugi. Zamiast niej na kolanach umieścił topór Durnika.

Prorokini Kell założyła swe zwykłe, białe szaty z kapturem. Połyskiwały lekko w półmroku kajuty. Gładka przepaska jak zawsze zasłaniała jej oczy. Garionowi przyszła do głowy leniwa myśl, czy zdejmując opaskę kładąc się spać. Nagle przebiegł go dreszcz. A jeśli Cyradis będzie tą, która nie przeżyje? Ona poświęciła wszystko dla dobra swego zadania. Dwie przepowiednie nie mogły chyba okazać się tak okrutne, aby wymagać jednego,

ostatniego, najwyższego poświęcenia od tej smukłej dziewczyny.

Belgarath oczywiście nie zmienił się ani trochę. Na nogach wciąż miał, dziwnie nie pasujące do reszty ubioru, połyskujące buty z wysokimi cholewami. Pocerowane rajtuzy i rdzawa tunika nie zmieniły się od czasu, gdy pojawił się na farmie Faldora jako Pan Wilk, gawędziarz. Jediną różnicą był fakt, że starzec nie trzymał, jak wówczas, wielkiego kufła z pokrywką. Podczas wieczerzy ubiegłego wieczoru prawie nieświadomie przysunął do siebie jeden kufel pieniącego się piwa. Poledra równie odruchowo, aczkolwiek stanowczo wyjęła mu kufel z ręki i wylała zawartość przez okrągły bulaj. Garion podejrzewał, że przesycone piwem dni Belgaratha nagle dobiegły końca. Zdecydował się odbyć z nim długą rozmowę, gdy już zupełnie wytrzeźwieje.

W milczeniu zjedli śniadanie; wydawało się, że już wszystko zostało powiedziane. Ce'Nedra nakarmiła szczeniaka, po czym popatrzyła smutno na Gariona.

- Proszę, opiekuj się nim - rzekła.

Nie było sensu się z nią sprzeczać. Przeświadczenie, że nie przeżyje tego dnia, tak silnie zakorzeniło się w jej umyśle, że żadne przekonywania nie były w stanie go usunąć.

- Może dasz go Geranowi - dodała. - Każdy chłopiec powinien mieć psa, a opiekowanie się nim nauczy naszego syna odpowiedzialności.

- Ja nigdy nie miałem psa - przyznał Garion.

- Nieładnie z twojej strony, ciociu Pol - stwierdziła Ce'Nedra nieświadomie, a może właśnie świadomie, zwracając się w ten sposób.

- Nie miałby czasu na zajmowanie się psem, Ce'Nedro - odpowiedziała Polgara. - Nasz Garion miał bardzo pracowity żywot.

- Miejmy nadzieję, że będzie mniej pracowity, jak to wszystko się już skończy - odezwał się Garion.

Gdy zjedli posilne śniadanie, do kajuty wszedł kapitan Kresca niosąc w ręku zrolowaną mapę.

- Nie jest zbyt dokładna - przeprosił. - Tak jak powiedziałem zeszłego wieczoru, nigdy nie udało mi się przeprowadzić dokładnych sondaży w pobliżu tej sterczyny. Możemy ostrożnie posuwać się cal po calu, aż znajdziemy się jakieś kilkaset kroków od plaży; potem użyjemy barkasa. Obawiam się, że ta mgła może sprawić wiele kłopotu.

- Czy wzdłuż wschodniej ściany biegnie jakaś plaża? - spytał Belgarath.

- Bardzo wąska - odparł Kresca. - Kwadrowy odpływ powinien jednak ją odsłonić.

- Dobrze. Będziemy musieli zabrać ze sobą na brzeg kilka rzeczy. - Belgarath wskazał na dwa płócienne worki zawierające zbroje Gariona i Zakatha.

- Każę kilku ludziom przenieść je do łodzi.

- Kiedy ruszamy? - spytała niecierpliwie Ce'Nedra.

- Słońce nie zdąży jeszcze dobrze wzejść, mała pani.

- To jeszcze tak długo? Skinął głową.

- Chyba że wiesz, jak przyspieszyć wschód złotego olbrzyma. Ce'Nedra spojrzała szybko na Belgaratha.

- Nie przejmuj się - pocieszył ją.

- Kapitanie - rzekła Poledra - czy mógłbyś poprosić kogoś, żeby zaopiekował się naszym ulubieńcem? - Wskazała na wilczka. - Czasami zachowuje się zbyt entuzjastycznie, a nie chcemy, żeby zaczął wyc w niewłaściwej chwili.

- Oczywiście, pani. - Kresca, jak się okazało, nie spędził na łodzi wystarczająco dużo czasu, żeby teraz rozpoznać wilka.

Posuwanie się „cal po calu” okazało się niezwykle żmudnym zajęciem. Żeglarze podnieśli kotwice, a następnie usiedli do wiosł. Co kilka uderzeń przerywali, a człowiek na dziobie podnosił obciążoną ołowiem linkę sondy.

- Wolno nam idzie - zauważył Silk, kiedy stali na pokładzie - ale przynajmniej cicho. Nie wiemy, kto znajduje się na tej rafie, a lepiej by było nie wzbudzić czujności tego kogoś.

- Woda robi się coraz płytsza, kapitanie - oznajmił człowiek sondujący dno. Jego głos nie był wiele głośniejszy od szeptu. Wojenne przygotowania Gariona i jego towarzyszy wskazywały na potrzebę zachowania ciszy bardziej niż jakiegokolwiek słowa. Żeglarz ponownie rzucił sondę. Czekali patrząc, jak statek dryfuje nad obciążoną liną. - Dno szybko się podnosi, kapitanie - odezwał się marynarz. - Na moje oko będzie jakieś dwa sążnie.

- Wiosła na pokład - rozkazał cicho Kresca. - Rzucić kotwicę. Dalej nie możemy płynąć. - Zwrócił się do swego zastępcy. - Gdy odpłyniemy w barkasie, cofnijcie się jakieś sto kroków i tam stańcie na kotwicy. Zagwiżdżemy, gdy będziemy wracać. Zwykły sygnał. Poprowadzicie nas.

- Aye, aye, kapitanie.

- Widzę, że już to wcześniej robiłeś - rzekł Silk do Kreski.

- Tak, kilkakrotnie - przyznał Kresca.

- Jeśli wszystko pójdzie dzisiaj dobrze, może porozmawiamy. Mam dla ciebie propozycję, która jak sądzę mogłaby cię zainteresować.

- Czy tylko o tym potrafisz myśleć? - spytała Velvet.

- Stracona okazja odchodzi na zawsze, moja droga Liselle - odparł butnie.

- Jesteś niepoprawny.

- Przypuszczam, że możesz tak sądzić.

Nasączony oliwą walek zrobiony z jutowego worka i wsadzony w kluzę kotwiczną stłumił pobrękiwanie łańcucha, kiedy żelazny hak zagłębiał się w ciemnej wodzie. Garion bardziej poczuł niż usłyszał ocieranie się końców kotwicy o skały leżące poniżej.

- Wsiądźmy na barkasa - powiedział Kresca. - Załoga spuści go na wodę, gdy znajdziemy się na pokładzie. - Popatrzył na nich przepraszająco. - Obawiam się, że ty i twoi przyjaciele będziecie mi musieli pomóc przy wiosłowaniu. Barkas może pomieścić ograniczoną liczbę osób.

- Oczywiście, kapitanie.

- Ja popłynę z wami, żeby się upewnić, iż bezpiecznie wylądujecie na brzegu.

- Kapitanie - odezwał się Belgarath - kiedy już znajdziemy się na brzegu, odpłynij łodzią trochę w morze. Damy ci znać, kiedy będziemy gotowi do powrotu.

- Dobrze.

- Jeśli nie dostrzeżesz sygnału do jutra rana, możesz wracać do Dal Perivor, ponieważ będzie to oznaczało, że nie wracamy.

Twarz Kreski nabrała poważnego wyrazu.

- Czy to, co zamierzacie uczynić na tej rafie, jest naprawdę aż tak niebezpieczne? - spytał.

- Prawdopodobnie jeszcze bardziej - odparł Silk. - Próbujemy nie myśleć, czym ryzykujemy.

Było coś upiornego w tym wiosłowaniu przez oleiste ciemne wody udekorowane szarawymi pnączami mgły wyrastającymi znad wzburzonych fal. Garion przypomniał sobie mglistą noc w Sthiss Tor, kiedy przemierzał Rzekę Węża. Prowadził ich wówczas, posiadający nieomyślne poczucie kierunku, jednooki zabójca Issus. Wiosłując, Garion zastanawiał się, co też się stało z Issusem.

Co dziesięć uderzeń wiosłem stojący przy sterze Kresca dawał sygnał, żeby przestali, i nastawiał czujnie ucho wsłuchując się w odgłos fal napierających na skalisty brzeg.

- Jeszcze ze dwieście kroków - powiedział cicho. - Ty tam - odezwał się do żeglarza na dziobie, który dzierżył linę sondy - pracuj tą liną. Nie chcę uderzyć w skały. Daj znać, jak zacznie się robić coraz płycej.

- Aye, aye, kapitanie.

Barkas brnął poprzez ciemność i mgłę zdążając ku niewidocznej plaży, gdzie ślizgające się po kamieniach fale wydawały ten szczególny dźwięk tarcia, jako że każda fala zabierała kamyczki z plaży na sam początek lądu, a potem z melancholią i żalostí odnosiła

je ponownie, jakby wiecznie zgłodniałe morze z żalem rezygnowało z kolejnej próby zagarnięcia całego lądu i przemienienia świata w jeden nie kończący się ocean, w którym olbrzymie fale bez przeszkód mogłyby przewalać się dokoła kuli ziemskiej.

Ciężki obłok mgły zawieszony na wschód od sterczyny zaczął rzednąć, w miarę jak świt rozjaśniał tajemniczą ciemność nocy.

- Jeszcze sto kroków - powiedział napiętym głosem Kresca.

- Kiedy tam dotrzemy, kapitanie - zwrócił się do niego Belgarath - zatrzymaj swych ludzi w łodzi. I tak nie wolno im wylądować, więc lepiej, jak nie będą próbować. Odepchniemy was z powrotem, gdy tylko znajdziemy się na brzegu.

Kresca ciężko przełknął ślinę i bez słowa skinął głową.

Garion słyszał teraz wyraźniej przybrzeżne fale. W nozdrzach poczuł specyficzny odór, jaki wydzielają wodorosty przy brzegu. Wtedy, zanim jeszcze mógł odróżnić ciemną linię plaży wciąż zatopionej we mgle, ciężkie, niebezpieczne fale opadły i morze dookoła barkasa uspokoiło się, stając się przejrzyste niczym tafla szkła.

- Miło z ich strony - zauważył Silk.

- Psst - syknęła Velvet przykładając palec do ust. - Próbuję się wsłuchać.

Kiedy dziób barkasa otarł się o złocisty piasek nabrzeżny, Durnik wyskoczył z łodzi i pociągnął ją dalej po kamyczkach. Pozostali również wysiedli wchodząc do sięgającej im po kostki wody i skierowali się ku skalistemu brzegowi.

- Do zobaczenia jutro o świcie, kapitanie - powiedział cicho Garion, kiedy Toth przygotował się, aby odepchnąć łódź z powrotem. - Mam nadzieję - dodał.

- Życzę szczęścia, Garionie - rzekł Kresca. - Kiedy już znajdziemy się znowu na pokładzie, musisz mi powiedzieć, o co tu w ogóle chodzi.

- Do tego czasu pewnie będę chciał już o tym zapomnieć - rzekł posepnie Garion.

- Nie, jeśli zwyciężysz - doleciał go spośród mgły głos Kreski

- Lubię tego człowieka - odezwał się Silk. - Ma miły, optymistyczny stosunek do życia.

- Zabierajmy się z tej otwartej plaży - doradził Belgarath. - Pomimo tego, co powiedział przyjaciel Gariona, wyczuwam w tej mgle zbyt rozrzedzenie. Poczuję się dużo lepiej, jeśli będziemy mieli jakieś skały, żeby się za nimi schować, kiedy mgła całkiem zrzednie.

Durnik i Toth zarzucili na plecy dwa płócienne worki zawierające stalowe pancerze. Garion i Zakath z obnażonymi mieczami poprowadzili po usianej drobnymi kamyczkami plaży. Góra, do której się zbliżyli, zdawała się być stworzona z granitu podzielonego na

nienaturalne bloki. Garion wielokrotnie widział granitowe skały i wiedział, iż te osobliwe kamienie zwykle ulegały kruszeniu, a wiatry i deszcze wygładzały ich kształty.

- Dziwne - mruknął Durnik i kopnął mokrym butem w idealnie prosty kraniec jednego z bloków. Opuścił worek i wyciągnął nóż. Przez chwilę dźgał nożem kamień.

- To nie granit - powiedział spokojnie. - A tylko wygląda jak granit, lecz jest dużo twardszy. To coś innego.

- Potem możemy się nad tym zastanowić - rzekł Beldin. - Znajdźmy schronienie na wypadek, gdyby podejrzenie Belgaratha na temat mgły okazało się trafne. Jak tylko się schowamy, przeleczę się kilka razy ponad tym szczytem.

- Nic nie zobaczysz - przewidział Silk.

- Ale mogę coś usłyszeć.

- Tam - wskazał Durnik młotem. - Wygląda jakby jeden z tych bloków spadł na plażę. Pod nim jest całkiem spora nisza.

- Póki co całkiem odpowiednia - przyznał Belgarath. - Beldinie, zachowaj ciszę, gdy będziesz się przeistaczał. Jestem pewien, że Zandramas wylądowała prawie w tym samym momencie co my i może cię usłyszeć.

- Wiem, jak to się robi, Belgaracie.

Nisza z jednej strony tego dziwnego szczytu o schodkowatych zboczach okazała się całkiem spora i weszli do niej ostrożnie.

- Dobrze - odezwał się Silk. - Może zaczekacie tu i złapiecie oddech? Beldin zamieni się w mewę i rozejrzy się po wyspie. Ja pójdę i znajdę odpowiedni szlak.

- Bądź ostrożny - powiedział Belgarath.

- Pewnego dnia zapomnisz tego powiedzieć, Belgaracie, i prawdopodobnie wszystkie drzewa na świecie uschną. - Mały człowieczek wy dostał się z niszy i zniknął we mgle.

- Ty naprawdę ciągle mu to powtarzasz - zwrócił się Beldin do Belgaratha.

- Silk jest narwany. Trzeba mu ciągle przypominać o ostrożności i rozwadze. Czy planujesz wyruszyć w ciągu najbliższych dziesięciu lat?

Beldin wyrzucił z siebie bardzo niepoehlebny epitet, zamigotał bardzo powoli i odleciał.

- Twój charakter nie poprawił się zbyt, stary wilku - rzekła do niego Poledra.

- A sądziłaś, że może się poprawić?

- Raczej nie - odparła - lecz zawsze można mieć nadzieję. Wbrew przeczuciom Belgaratha mgła nie ustępowała. Po jakimś czasie powrócił Beldin.

- Ktoś wylądował na zachodniej plaży - oznajmił. - Nie widziałem ich, lecz słyszałem.

Angarakowie mają problemy ze ściszeniem głosu. Przykro mi, Zakacie, lecz to prawda.

- Wydam cesarskie rozporządzenie, że następne trzy albo cztery generacje mają rozmawiać ze sobą szeptem, jeśli chcesz tego.

- Nie, Zakacie. - Karzeł wyszczerzył zęby. - O ile znajdę się po przeciwnej stronie wobec przynajmniej kilku Angaraków, lepiej, jeśli usłyszę, że nadchodzą. Czy Silk powrócił?

- Jeszcze nie - rzekł Garion.

- Co on może tam robić? Te kamienne bloki są o dużo za duże, żeby je ukraść.

Silk wyłonił się zza krawędzi niszy i zeskoczył lekko na kamienną podłogę.

- Nie uwierzycie - odezwał się.

- Prawdopodobnie nie - stwierdziła Velvet - ale może mimo to nam powiesz?

- Ten szczyt jest wytworem człowieka, lub jakiejś istoty, która go stworzyła. Te bloki otaczają go niczym tarasy, wszystkie proste i gładkie tak, że tworzą się schody prowadzące na kamienny płaskowyż. Na górze jest ołtarz i olbrzymi tron.

- A więc o to chodziło! - wrzasnął Beldin pstrykając palcami. - Belgaracie, czytałeś kiedykolwiek Księgę Toraka?

- Kilka razy próbowałem. Mój staroangaracki nie jest zbyt dobry.

- Potrafisz mówić językiem staroangarackim? - spytał zaskoczony Zakath. - To zakazany język w Mallorei. Podejrzewam, że Torak pozmieniał kilka rzeczy i nie chciał, żeby ktokolwiek go na tym przyłapał. .

- Nauczyłem się tego języka, zanim jeszcze zakazano go używać. Dlaczego pytasz, Beldinie?

- Pamiętasz ten rozdział blisko początku, pośrodku tego zarożumiałego paplania, kiedy Torak powiedział, że udał się na Wyżyny Korimu, aby sprzeczać się z UŁem na temat stworzenia świata?

- Bardzo słabo.

- W każdym razie, UŁ nie chciał o tym słyszeć, więc Torak odwrócił się od swego ojca, zebrał Angaraków i poprowadził ich z powrotem do Korimu. Powiedział im wówczas, co chce uczynić, a oni, jak przystało na prawdziwych Angaraków, padli na twarz i zaczęli się nawzajem zarzynać w ofierze. Pojawia się w tym rozdziale słowo Halagachak. Znaczy ono, ni mniej ni więcej, tyle co świątynia. Zawsze myślałem, że Torak używał wielu przenośni, lecz okazuje się, że nie tylko. Ten szczyt jest świątynią. Ołtarz, który znajduje się na górze, potwierdza tę tezę, a na tych tarasach stali Angarakowie patrząc, jak Grolimowie poświęcają ludzi swemu bogu. O ile się nie mylę, w tym właśnie miejscu, gdzie Torak rozmawiał ze swym ojcem. Bez względu na odczucia, jakimi darzysz Spaloną Twarz, jest to jedno z

najświętszych miejsc na ziemi.

- Ciągłe mówisz o ojcu Toraka - powiedział Zakath ze zdziwieniem. - Nie wiedziałem, że bogowie mają ojców.

- Oczywiście, że mają - wtrąciła Ce'Nedra. - Wszyscy o tym wiedzą.

- Ja nie wiedziałem.

- UL jest ich ojcem - powiedziała na pozór obojętnie.

- Czyż nie jest on bogiem Ulgów?

- Nie z własnego wyboru - odparł Belgarath. - Gorim go zastraszył.

- W jaki sposób zastrasza się boga?

- Ostrożnie - stwierdził Beldin. - Bardzo, bardzo ostrożnie.

- Spotkałam ULa - odezwała się nieproszona Ce'Nedra. - W pewien sposób mnie lubi.

- Ona czasami potrafi być niezwykle irytująca, prawda? - zwrócił się Zakath do Gariona.

- Widzę, że ty też zauważyłeś.

- Nie musicie wcale mnie lubić - powiedziała odrzucając w tył swe bujne loki - ani jeden, ani drugi. Jeśli bogowie lubią kobiety, ona zawsze sobie poradzi.

W Garionie zaczęło kiełkować ziarnko nadziei. Jeśli Ce'Nedra nabrała ochoty na przekomarzenie się z nim, świadczyło to, że nie brała przeczuć o swojej śmierci zbyt poważnie. Jednak koniecznie chciał zabrać jej jakoś ten nieszczęsny nóż.

- Czy podczas tych fascynujących badań udało ci się przypadkiem zlokalizować jaskinię? - spytał Belgarath Silka. - Myślałem, że raczej po to wybrałeś się na ten spacer we mgle.

- Jaskinia? - odezwał się Silk. - Och, znajduje się na północnej stronie. Przed nią wznosi się coś na kształt amfiteatru. Jest prawie pośrodku tej twarzy. Od razu ją znalazłem.

Belgarath popatrzył na niego piorunującym wzrokiem.

- To nie jest dokładnie jaskinia - dodał Silk. - Może pieczara wewnątrz wierzchołka; otwór bardziej przypomina szerokie wejście. Po obu stronach wspierają ją masywne filary, a nad wejściem widnieje znajoma twarz.

- Torak? - wyrwało się Garionowi i serce zamarło mu na chwilę.

- Nie inaczej.

- Chyba powinniśmy już ruszać? - zaproponował Durnik. - Jeśli Zandramas jest już na wyspie... - Rozłożył ramiona.

- To co? - spytał Beldin.

Wszyscy popatrzyli na groteskowego, małego karła.

- Zandramas nie może wejść do jaskini przed nami, prawda? - zwrócił się do Cyradis.

- Nie, Beldinie - odparła. - To zakazane.

- Dobrze. A zatem zaczekajmy. Jestem pewien, że spodoba jej się oczekiwanie. Czy ktoś pomyślał o czymś do jedzenia? Fakt, iż muszę być mewą, nie zobowiązuje mnie jeszcze do jedzenia surowych ryb.

Rozdział XXII

Czekali dość długo, aż Beldin zdecydował, że Zandramas musi być już podekscytowana do granic wytrzymałości. Garion i Zakath korzystając z opóźnienia przywdziali zbroję i sprawdzili swoją broń.

- Rozejrzę się - powiedział w końcu karzeł. Powoli zmienił się w buroskrzydłą mewę i odleciał znikając we mgle. Po chwili powrócił rechocząc złośliwie. - Nigdy nie słyszałem, żeby kobieta używała takich słów - rzekł. - Nawet ciebie by zawstydziała, Pol.

- Co ona robi? - spytał Belgarath.

- Stoi przed wejściem do jaskini, czy drzwiami, jak sobie chcecie to nazwać. Miała ze sobą około czterdziestu Grolimów.

- Czterdziestu? - wykrzyknął Garion i zwrócił się do Cyradis. - Wydawało mi się, że mówiłaś coś o równych szansach - przemówił oskarżycielsko.

- Czyż waleczny mąż, jakowym niewątpliwie, tyś jest, nie pokona przynajmniej pięciu, Belgarionie? - spytała łagodnie.

- No cóż...

- Powiedziałaś „miała” - odezwał się Belgarath do swego brata.

- Nasza ozdobiona gwiazdami przyjaciółka próbowała zmusić kilku z nich do przejścia przez owe drzwi, czy co to tam jest, które jak się okazało, były przed nią zamknięte. Nie jestem pewien, czy sprawiła to siła powstrzymująca drzwi, czy Zandramas wreszcie straciła panowanie nad sobą, kiedy zawiedli ją Grolimowie. Mniej więcej pięciu leży obecnie martwych, a nasza przyjaciółka stoi na zewnątrz bluzgając straszliwymi przekleństwami. Wewnętrzne strony kapturew tych Grolimów są purpurowe.

- Czarodzieje - rzekła posępnie Polgara.

- Grolimska magia nie jest zbyt potężna. - Beldin wzruszył ramionami.

- Czy dostrzegłeś u niej te światełka pod skórą? - spytał Garion.

- Och, tak. Jej twarz wygląda niczym łąka pełna świetlików w letni wieczór. Widziałem jeszcze kogoś. Jest tam ten albatros. Skinęliśmy do siebie głowami, lecz nie mieliśmy czasu zatrzymać się i porozmawiać.

- Co on robił? - spytał podejrzliwie Silk.

- Tylko szybował. Wiesz, jakie są albatrosy. Nie sędzę, żeby częściej niż raz w tygodniu poruszały skrzydłami. Mgła zaczyna się przersedzać. Może rozluźnimy się, staniemy na jednym z tych tarasów ponad amfiteatrem i zaczekamy, aż zupełnie się przejaśni.

Widok ciemnych postaci wynurzających się z mgły powinien ją trochę wyprowadzić z równowagi, nie uważacie?

- Widziałeś moje maleństwo? - spytała ze ściśniętym gardłem Ce'Nedra.

- Trudno go nazywać maleństwem, miła dziewczeczko. To silny młodzieniec z kręconymi włosami, które są tak jasne jak niegdyś włosy Erionda. Wywnioskowałem z wyrazu jego twarzy, że nie bardzo podoba mu się towarzystwo, w którym przebywa. Wygląda również na człowieka, który wyrośnie na kogoś tak skorego do gniewu jak pozostali członkowie jego rodziny. Garion mógłby tam pójść i wręczyć mu miecz, a wówczas prawdopodobnie moglibyśmy usiąść i popatrzeć, jak sobie radzi w tej przykrew sytuacji.

- Wolalbym, żeby nie zaczynał zabijać ludzi, zanim nie wypadną mu mleczone zęby - odezwał się stanowczo Garion. - Czy zauważyłeś tam jeszcze kogoś?

- Sądząc po opisie autorstwa jego żony, arcyksiężę Otrath. Ma na głowie jakąś tanią koronę i znoszone szaty królewskie. W jego oczach trudno znaleźć choć okrucuch inteligencji.

- Ten należy do mnie - wycedził przez zęby Zakath. - Nigdy dotąd nie miałem okazji osobiście wymierzać sprawiedliwości za najwyższą zdradę.

- Jego żona będzie ci dogonnie wdzięczna. - Beldin wyszczerzył zęby. - Może nawet zdecyduje się wybrać do Mal Zeth, aby ci osobiście podziękować. To śwarna, mogąca wiele w sobie wlać dziewczka, Zakacie. Radziłbym ci dobrze wypocząć przed jej wizytą.

- Mniemam, iż sens owej przemowy niewielką ma wartość - odezwała się Cyradis. - Dzień mija. Zabierzmy się do działania.

- Co tylko twe serduszko zapragnie, ma kochaneczko. - Beldin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Cyradis mimowolnie odwzajemniła uśmiech.

Ponownie zaczęli rozmawiać z żartobliwą odwagą. Zbliźali się do czegoś, co było zapewne najważniejszym wydarzeniem wszechczasów i trywializowanie wydawało się naturalną ludzką reakcją.

Silk wyprowadził ich z niszy; jego miękkie buty nie wydawały najmniejszego dźwięku na mokrych kamieniach. Garion i Zakath musieli jednak poruszać się ostrożnie, aby uniknąć pobrzękiwania ciężkiego żelastwa. Każdy ze spadzistych, wznoszących się ku górze, kamiennych tarasów miał około dziesięciu stóp wysokości, lecz w regularnych odstępach znajdowały się schodki prowadzące z jednego kamiennego bloku na drugi. Silk prowadził ich w górę około trzech poziomów, a następnie zaczął okrążyć swoistą piramidę. Kiedy dotarli do północno-wschodniego rogu, zatrzymał się.

- Teraz będzie lepiej, jeśli zachowamy ciszę - szepnął. - Znajdujemy się o jakieś sto

kroków od amfiteatru. Nie byłoby zbyt dobrze, gdyby jakiś ostrouchy Grolim nas usłyszał.

Wychynęli niczym duchy zza rogu i przez jakiś czas posuwali się ostrożnie wzdłuż północnej ściany piramidy. Po chwili Silk zatrzymał się ponownie i wychylił za krawędź przebijając wzrokiem rzadniejącą mgłę.

- Otóż to - szepnął. - Amfiteatr stanowi prostokątne wcięcie w bok wierzchołka. Ciągnie się od plaży aż do tego portalu, czy jak tam chcecie nazwać tę konstrukcję. Jeśli wyrzycie zza krawędzi, zobaczycie, że tarasy poniżej załamują się w tym miejscu. Amfiteatr znajduje się dokładnie pod nami. Jesteśmy teraz w odległości stu kroków od Zandramas.

Garion popatrzył w dół, pragnąc jednym wysiłkiem woli zmieść mgłę i spojrzeć w twarz swego przeciwnika.

- Spokojnie - szepnął Beldin. - Niedługo nadejdzie odpowiedni czas. Nie psujmy jej niespodzianki.

Urywane słowa dobiegły z głębi mgły; poznali szorstkie głosy Grolimów. Zdawało się, że wilgotna zasłona tłumi wszelkie dźwięki, więc Garion nie potrafił odróżnić poszczególnych słów.

Czekali.

Słońce zdążyło już wzejść ponad wschodnim horyzontem i jego blady dysk słabo rysował się we mgle i chmurach, pierzastych pozostałościach gwałtownej burzy. Mgła zaczęła nagle wirować, miotając się coraz bardziej w cichej przestrzeni. Stopniowo zaczęła się rozpraszać i Garion dostrzegł wreszcie częściowo zasnutą chmurami niebo. Gruba pokrywa ciemnoszarych postrzępionych bałwanów zawisła ponad rafą rozciągając się kilka mil na wschód. Słońce zaś nisko nad wschodnim horyzontem świeciło pod chmurami, malując na nich złowrogo czerwone plamy. Wydawało się, że nagle na niebie zakwitły ogniste płomienie.

- Barwnie - mruknął Sadi, nerwowo przekładając zatruty sztylet z jednej ręki do drugiej. Postawił na skale swoją czerwoną, skórzaną sakwę i otworzył ją. Następnie podniósł glinianą butelkę, odkorkował ją i położył na boku. - Na tej rafie powinny być myszy - odezwał się - albo jaja ptaków morskich. Zith i jej maluchom będzie tu dobrze. - Wyprostowawszy się, ostrożnie włożył małą torebkę, którą wyjął z worka, do kieszeni swej tuniki. - Niewielki środek ostrożności - szepnął dla wyjaśnienia.

Mgła unosiła się poniżej niczym perłowszary ocean w cieniu piramidy. Garion usłyszał dziwny, melancholijny krzyk i wzniosł oczy ku górze. Albatros wisiał w powietrzu na nieruchomych skrzydłach. Garion spojrział w dół starając się przeniknąć wzrokiem mgłę, bezwiednie ściągając skórzaną pochwę z rękojeści miecza. Klejnot żarzył się słabo nie błękitem, lecz gniewną czerwienią, prawie identyczną z kolorem płonącego nieba.

- To potwierdzenie, stary wilku - rzekła Poledra do męża. - W tej jaskini znajduje się Sardion.

Belgarath chrząknął. Jego srebrzyste włosy i broda płonęły czerwienią w świetle odbijanym od chmur zawieszonych ponad głowami.

Mgła poniżej zaczęła falować, a jej powierzchnia wyglądała niczym rozgniewane morze. Rzedła coraz bardziej. Garion rozróżniał już cieniste kształty pod nimi; rozmyte, niewyraźne i ciemne.

Mgła zmieniła się w przezroczystą wilgotną mgiełkę.

- Święta Czarodziejko! - wrzasnął Grolim w przerażeniu. - Spójrz!

Zakapturzona postać w lśniących, satynowych szatach obróciła się gwałtownie i Garion spojrzał prosto w twarz Dziecka Ciemności. Wielokrotnie słyszał opowieści o światłach pod jej skórą, lecz żaden opis nie przygotował go na to, co zobaczył. Światła w twarzy Zandramas nie stały w miejscu, lecz wirowały niespokojnie pod skórą. W cieniu prastarej piramidy rysy jej twarzy wydawały się ciemne, prawie niewidoczne, lecz kołujące światła zamieniały jej twarz w gwieździsty wszechświat.

Za plecami usłyszał ostry syk wstrzymywanego przez Ce'Nedre oddechu. Odwrócił głowę i zobaczył, jak jego mała królowa ze sztyletem w ręku i oczami płonącymi nienawiścią rzuciła się ku schodom prowadzącym w dół do amfiteatru. Polgara i Velvet, świadome jej desperackiego planu, niezwłocznie powstrzymały ją i rozbroiły.

Wtedy na skraj tarasu podeszła Poledra.

- A zatem wreszcie doszło do spotkania, Zandramas - powiedziała czystym głosem.

- Zaprawdę nie oczekiwałam, byś powiększyła owo grono nieszczęśników, Poledro - odparła czarodziejka złowróżbnym tonem. - Obawy mną targają, iż zabłądzić możesz. Teraz wszystko po trzykroć gotowe i czas najwyższy rozpocząć oną próbę.

- Przejmujesz się porządkiem troszkę poniewczasie, Zandramas - odparła Poledra - ale nie ważne. My wszyscy, jak głoszą słowa przepowiedni, przybyliśmy na wyznaczone miejsce w wyznaczonym czasie. Może odłożymy na bok te wszystkie głupstwa i wejdziemy do środka? Wszechświat musi się już niepokoić.

- Jeszcze nie, Poledro - odparła krótko Zandramas.

- To zaczyna być męczące - rzekła żona Belgaratha znużonym głosem. - Jest to chyba największa z twoich wad, Zandramas. Nawet jeśli coś się nie sprawdza, ty nadal musisz próbować. Właś się i troiłaś próbując uniknąć tego spotkania, ale wszystko na próżno. A wszystkie te wykręty jedynie sprowadziły cię szybciej do tego miejsca. Czyż nie czas najwyższy zrezygnować z wszelkich sztuczek i kroczyć dalej z godnie podniesionym czołem?

- Nie sędzę. Poledra westchnęła.

- No dobrze - rzekła zrezygnowanym tonem - jak sobie życzysz. - Wyciągnęła rękę wskazując na Gariona. - Skoro jesteś tak zdeterminowana, wzywam Zabójcę Boga.

Powoli, rozważnie, Garion sięgnął przez ramię i położył dłoń na rękojeści miecza. Wyślizgując się z pochwy Miecz Rivańskiego Króla wydał z siebie złowrogi syk i zapłonął intensywnym błękitem. Umysł Gariona był teraz lodowato spokojny. Odpłynęły wszelkie troski, zwątpienia i lęki, podobnie jak w Cthol Mishrak, i zawładnął nim całkowicie duch Dziecka Światła. Ujął rękojeść miecza w obie ręce i z wolna podniósł go kierując płonące ostrze w ogniste chmury ponad głowami.

- Oto i los twój, Zandramas! - ryknął straszliwym głosem, a archaiczne słowa same napłynęły mu do ust.

- O tem pewnośc przepelnić musi niechybnie umysł twój, Belgarionie. - Głos Zandramas zionął zapalczywością, jak można się było spodziewać, lecz kryło się za nim coś jeszcze. - Wszelako nie zawsze odczytać los łatwym bywa. - Wykonała władczy gest i jej Grolimowie ustawili się dookoła niej i zaczęli recytować ostro brzmiące zaklęcie w ohydny, starożytnym języku.

- Odsuńcie się! - ostrzegła Polgara i wszyscy cofnęli się od krawędzi tarasu.

Lekko migocząc, ciemny kształt zaczął jawić się na krańcu pola widzenia i Garion zaczął odczuwać niepojęte uczucie trwogi.

- Uważajcie na siebie - cicho ostrzegł przyjaciół. - Myślę, że tworzy jedną z tych iluzji, o których rozmawialiśmy zeszłej nocy. - Nagle poczuł silny przyływ woli i usłyszał grzmiący dźwięk. Fala absolutnej ciemności wypłynęła z wyciągniętych rąk Grolimów zebranych wokół Zandramas, lecz rozbiła się prawie natychmiast na czarne fragmenty, które skwiercząc rozbiegły się po amfiteatrze niczym przerażone myszy, gdy czworo czarodziejów rozdmuchało ją wzgardliwie jednym słowem wymówionym jednocześnie. Kilku Grolimów runęło na kamienną podłogę wijąc się w agonii, a pozostali cofnęli się z twarzami poszarzałymi ze strachu.

Beldin zachichotał złowieszczo.

- A może ponowić próbę raczysz, kochaneczko? - szydził z Zandramas. - Jeśli takowe są twe zamiary, powinnaś ciut więcej owych szarlatanów zaważwać. Zużywasz ich zbyt chyżo, wiesz sama.

- Lepiej tego nie rób - poradził mu Belgarath.

- To ona tak robi, jak miarkuję. Traktuje siebie bardzo poważnie i dobry żart zawsze zbija ją z tropu.

Nie zmieniając wyrazu twarzy Zandramas cisnęła w karła ognistą kulą, lecz on odbił ją od siebie, jakby odpędzał natrętnego owada.

Garion nagle zrozumiał. Pokrywa ciemności i ognista kula były jedynie podstępem, sposobem odciągnięcia uwagi od cienia, który dostrzegł kątem oka.

Usta czarodziejki z Darshivy wykrzywił chłodny uśmiezek.

- To nie istotne. - Wzruszyła ramionami. - Sprawdzałam jeno twe talenty, mój zabawny, mały garbusie. Śmieję się, Beldinie. Lubię patrzeć, jak ludzie umierają szczęśliwi.

- Prawda to - zgodził się. - Trochę się pośmiej, ma kochaneczko, i trochę się popatrzaj. Kiedy odwiedzisz słońce, pożegnaj się z nim, bo nie sądzę, byś zbyt długo je jeszcze oglądała.

- Czy te wszystkie groźby naprawdę są konieczne? - spytał znużonym głosem Belgarath.

- Taki zwyczaj - rzekł Beldin. - Zniewagi i przechwałki stanowią powszechnie preludium do poważniejszych rozpraw. A poza tym, to ona zaczęła. - Spojrzał na Grolimów Zandramas, którzy zaczęli posuwać się groźnie do przodu. - Myślę, że nadszedł czas. Może zejdziemy na dół i przygotujemy wielki garniec bigosu grolimowego? Lubię drobno posiekany. - Wyciągnął rękę, pstryknął palcami i w jego dłoni pojawił się zakończony hakiem ulgoski nóż.

Z Garionem na przedzie podążyli w kierunku schodów i zaczęli schodzić w dół, podczas gdy Grolimowie dzierżąc w rękach przeróżną broń popędzili ku dołowi.

- Cofnij się! - warknął Silk na Velvet, która dołączyła do nich trzymając nisko jeden ze swych sztyletów.

- Nie ma takiej możliwości - rzuciła ostro. - Ochraniam moją inwestycję.

- Jaką inwestycję?

- Porozmawiamy o tym później. Teraz jestem zajęta.

Na czoło Grolimów wysunął się olbrzymi mężczyzna, wzrostem i posturą dorównujący niemalże Tothowi. Wymachiwał ogromnym toporem, a jego oczy przepelniał obłęd. Kiedy znajdował się jakieś pięć stóp od Gariona, Sadi podszedł do króla Rivy i rzucił pełną garść dziwnie zabarwionego proszku wprost w twarz nadchodzącego Grolima. Mężczyzna potrząsnął głową chwytając się za oczy. Następnie kichnął. Wtedy właśnie jego oczy napełniły się przerażeniem i wrzasnął trwożliwie. Skowycząc z przerażenia odrzucił topór, odwrócił się i rzucił do ucieczki spychając swych towarzyszy ze stopni. Dotarł do amfiteatru, lecz nie zatrzymał się i biegł dalej w kierunku morza. Wpadł po pas do wody, po czym spadł ze skraju niewidzialnego tarasu i zniknął pod powierzchnią. Wydawało się, że umiejętność pływania jest mu całkiem obca.

- Sądziłem, że już wyczerpał ci się ten proszek - zwrócił się Silk do Sadiego wykonując długi, gładki rzut znad głowy jednym ze swych sztyletów. Grolim zachwiał się do tyłu łapiąc za rękojeść sztyletu wystającą z piersi, cofnął się, ale zabrakło mu ziemi pod nogami i spadł ciężko ze schodów.

- Zawsze trochę zostawiam na nieprzewidziane wypadki - odparł Sadi uchylając się przed cięciem miecza i bez zastanowienia rozcinając napastnikowi brzuch swym zatrutym sztyletem. Grolim zeszywniał, po czym wolno przechylił się i runął ze schodów. Wielu odzianych na czarno mężczyzn próbujących zaskoczyć ich z tyłu, wspinało się po szorstkich ścianach gigantycznych schodów. Velvet uklękła i z wielkim spokojem cisnęła jeden ze sztyletów prosto w środek skierowanej ku górze twarzy Grolima, który dotarł prawie do szczytu. Wydawszy z siebie ochrypy okrzyk chwycił się za twarz i odpadł od ściany zabierając ze sobą kilku towarzyszy.

Wtedy jasnowłosa drasanka skoczyła na drugą stronę schodów rozluźniając swój jedwabny sznur. Zarzuciła go na szyję Grolima w momencie, gdy wdrapywał się po schodach. Stała pod jego ramionami wymachującymi jak cepy, odwróciła się do niego tyłem i pochyliła do przodu. Bezradny Grolim nie mając oparcia dla stóp złapał obiema rękoma sznur zaciskający się na jego szyi. Przez chwilę wierzgał nogami nadaremnie w powietrzu, a jego twarz przybierała sinoczerwony kolor. Zamachał po raz ostatni nogami i jego bezwładnym ciałem targnęły agoniczne skurcze. Velvet odwróciła się, rozwiązała sznur i najspokojniej zepchnęła nogą nieruchome ciało z krawędzi.

Durnik i Toth zajęli pozycje obok Gariona i Zakatha i cała czwórka torowała sobie drogę w dół, schodek po schodku siekąc i druzgocząc odziane na czarno atakujące ich postacie. Młot Durnika wydawał się tylko odrobinę mniej przerażający od miecza króla Rivy. Grolimowie padali pod ich ciosami jak łany pszenicy pod uderzeniami sierpa, gdy w czwórkę nieubłaganie schodzili w dół. Toth wymachiwał toporem Durnika z twarzą tak obojętną jak twarz drwala ścinającego drzewo. Zakath zręcznie zadawał szybkie i przeważnie śmiertelne ciosy swym olbrzymim, lecz jakby nic nie ważącym mieczem. Stopnie poniżej przerażającego kwartetu były zasłane powykręcanyimi ciałami skąpanymi w morzu krwi.

- Uważaj pod nogi - ostrzegł Durnik rozłupując czaszkę kolejnego Grolima. - Schody robią się śliskie.

Garion wymachując straszliwym mieczem siał spustoszenie w szeregach napastników. W pewnym momencie zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię. Belgarath i Beldin dołączyli do Velvet i pomogli jej odeprzeć odzianych na czarno mężczyzn wdrapujących się po bocznej ścianie skalnego bloku. Zdawało się, że Beldin czerpie znikąd rozkosz z

wyłupywania oczu Grolimom swym zagiętym nożem. Belgarath czekał spokojnie z kciukami zatkniętymi za sznur opasujący jego talię i kiedy głowa Grolima pojawiała się nad krawędzią schodów, starzec najzwyczajniej strącał go nogą z powrotem w dół, a ponieważ odległość dzieląca schody od kamiennego amfiteatru wynosiła jakieś trzydzieści stóp, niewielu z nich ponawiało próbę.

Kiedy dotarli do podnóża schodów, prawie wszyscy czarni kapłani Zandramas leżeli martwi.

Zandramas była wyraźnie zaszokowana brutalnością, z jaką walczyli jej wrogowie, spoglądała jednak ze wzgardą, wciąż pewna swego zwycięstwa. Tuż za nią z otwartymi z przerażenia oczami i ustami stał człowiek w miedzianej koronie na głowie i mocno podniszczonych szatach królewskich. Jego rysy twarzy przypominały nieco twarz Zakatha, więc Garion utwierdził się w przekonaniu, że widzi arcyksięcia Otratha. Wtedy właśnie wzrok Gariona spoczął na własnym synu. Starał się nie patrzeć na chłopca w trakcie krwawego pochodu, ponieważ nie mógł przewidzieć swojej reakcji, a wiedział, że najistotniejsze było w tym momencie skupienie. Jak powiedział wcześniej Beldin, Geran przestał już być niemowlęciem. Jasne, kręcone włosy nadawały miękkości twarzyczce chłopca, lecz Garion nie zauważył cienia tej miękkości w jego oczach, gdy ich spojrzenia spotkały się. Gerana najwyraźniej trawiła nienawiść do kobiety, która stanowczo trzymała jego dłoń.

Z ponurym wyrazem twarzy Garion podniósł miecz na wysokość przyłbicy w geście pozdrowienia, a Geran, równie ponuro, podniósł wolną rękę w odpowiedzi.

Król Rivy zaczął nieubłaganie zbliżać się do Zandramas niczym gniewny wysłannik boga zemsty. Zniknęła zupełnie niepewność, jaką czuł w Dal Perivor. Zandramas stała nie dalej jak kilka kroków od niego i nie myślał już, że ma przed sobą kobietę. Nie zatrzymując się kroczył z podniesionym, płonącym mieczem.

Migoczący cień gdzieś z boku pociemniał nagle i Garion zawahał się na moment, ponieważ odczuł wzmagające się w jego umyśle osobliwe poczucie trwogi. Chociaż próbował ze wszystkich sił, nie potrafił tego przewyciężyć. Nogi ugięły się pod nim.

Cień, z początku niewyraźny, zaczął formować się w ohydny twarz, która wyrosła za odzianą na czarno czarodziejką. Bezduszne oczy wpatrywały się upiornie w Gariona, a rozdziawione usta wyrażały niewysłowioną rozpacz po stracie, jak gdyby właściciel twarzy z wyżyn światła i chwały został strącony w otchłanie trwogi i ciemności przerastające wszelkie wyobrażenie. Ta rozpacz nie miała jednak nic wspólnego ze skruchą i żalem, ujawniała raczej nieprzejednaną potrzebę pociągnięcia za sobą innych, by podzielili z potworem jego los.

- Ujrzyjcie Króla Piekieł! - wrzasnęła triumfująco Zandramas. - Umykajcie teraz i napawajcie się swymi ostatnimi chwilami, zanim wciągnie was wszystkich do krainy wiekuistej ciemności, wiekuistych płomieni i wiekuistej rozpacz!

Garion zatrzymał się. Nie potrafił się zmusić do zrobienia choć jednego kroku.

Nagle przywołany wspomnieniami głos przemówił w jego umyśle, a wraz z nim pojawiła się wizja. Zdawało mu się, że stoi na mokrej polanie gdzieś w gęstym, zielonym lesie. Lekka mżawka leciała z ciężkiego, nocnego nieba, pod stopami czuł przesycone wilgocią liście. Eriond niefrasobliwie przemawiał do słuchaczy. Garion zdał sobie sprawę, że miało to miejsce tuż po pierwszym spotkaniu z Zandramas, która przeistoczyła się wtedy w smoka, by ich zaatakować. - Lecz ten ogień nie był prawdziwy - tłumaczył młodzieniec. - Czyż wy wszyscy nie zdawaliście sobie z tego sprawy? - Wyglądał na nieco zdumionego ich niewiedzą. - To była tylko iluzja. Tym właśnie jest zło: iluzją, złudzeniem. Przykro mi jeśli ktokolwiek z was się martwił, lecz nie miałem czasu, żeby cokolwiek wytłumaczyć.

To był klucz do rozwiązania zagadki. Halucynacja była produktem obłąkania, lecz nie iluzja. On nie był szaleńcem.

Twarz Króla Piekieł nie była bardziej prawdziwa od wyobrażenia Arell, którą Ce'Nedra spotkała w lesie tuż za Kell. Jediną bronią Dziecka Ciemności w konfrontacji z Dzieckiem Światła była iluzja, misterne sztuczki mamiące umysł. Była to potężna broń, lecz również bardzo krucha. Jeden promyk światła mógł ją kompletnie zniszczyć. Rzucił się do przodu.

- Garionie! - krzyknął Silk.

- Zignorujcie tę twarz! - odkrzyknął mu Garion. - Nie jest prawdziwa. Zandramas próbuje przerazić nas, byśmy popadli w obłąd. Tam nie ma żadnej twarzy, a nawet zwykłego cienia.

Zandramas cofnęła się i olbrzymia twarz za nią zachwiała się i zniknęła. Oczy czarodziejki rzucały piorunujące spojrzenia na wszystkie strony. Zwlekała. Garionowi zdawało się, że coś widzi w portalu prowadzącym w głąb jaskini; wiedział, że było w tej jaskini coś, co stanowiło ostatnią linię obrony Zandramas. Wtedy, pozornie obojętna na porażkę, wykonała krótki gest w kierunku pozostałych Grolimów.

- Nie. - W przesyconym nienawiścią powietrzu rozległ się czysty acz chóralny głos Prorokini Kell. - Na to nie mogę zezwolić. Zwycięzca zostanie wyłoniony poprzez Wybór, a nie przez bezsensowne bitki. Odłóż miecz, Belgarionie z Rivy, a ty, Zandramas z Darshivy, oddal swych poddanych.

Garion odczuł nagle zdrętwienie mięśni nóg i zdał sobie sprawę, że nie może poruszyć

się nawet o krok. Z trudem pokonując ból odwrócił się. Cyradis schodziła po schodach prowadzona przez Erionda. Tuż za nimi podążały Polgara, Poledra i królowa Rivy.

- Zaprawdę zadanie, jakowe dzielicie w tymże miejscu - kontynuowała Cyradis chóralnym głosem - nie polega na unicestwieniu swego przeciwnika. Gdyby wszakże los tak zrządził i jedno z was odeszłoby do krainy wiecznej łagodności bądź do kraju, gdzie nijakiego światła nie uświadczysz, wasze zadania pozostałyby niewypełnione, jakoż i ja nie wypełniłabym swego. Tak więc, wszelakie dobra i istnienia, jakowe są, jakowe były i jakowe zapiszą się w przyszłości, zniknęłyby na zawsze. Odłóż swój miecz, Belgarionie, a ty, Zandramas, nie wskrzeszaj Grolimów. Udajmy się wspólnie do Miejsca, Którego Już Nie Ma, gdzie nastąpi wybór. Wszechświat zaczyna być znużony opóźnieniem.

Z zalem Garion wsunął do pochwy miecz, lecz oczy czarodziejki z Darshivy zwęziły się, zamieniając się w dwie pałające nienawiścią szparki.

- Zabijcie ją - rozkazała Grolimom lodowato stanowczym głosem. - Zabijcie tę ślepą wiedźmę w imię Nowego Boga Angaraku.

Pozostali przy życiu Grolimowie o twarzach przepełnionych religijną ekstazą rzucili się ku schodom. Eriond westchnąwszy postąpił w przód, by zasłonić sobą Cyradis.

- Nie musisz tego czynić, Właścicielu Klejnotu - rzekła Cyradis. Lekko pochyliła głowę, a chóralny głos wzmógł się wyraźnie. Grolimowie zawahali się, po czym zaczęli krążyć wokół Zandramas patrząc niewidzącymi oczami na otaczające ich światło dnia.

- To samo zakłęcie - szepnął Zakath. - To samo, które otacza Kell. Oni oślepli.

Tym razem niewidomi Grolimowie nie ujrzeli w swych wizjach wyobrażenia twarzy boga, jakie widział łagodny, stary kapłan Toraka, którego spotkali w obozowisku nie opodal Miasta Proroków, lecz coś zupełnie innego. Zakłęcie, jak się okazało, działało nie dokładnie tak samo. Najpierw Grolimowie wrzasnęli ogarnięci obawą, a następnie przerażeniem. Krzyczeli coraz głośniejsze i obracali się wpadając na siebie, po czym czołgając się na czworakach starali się uciec przed tym, co ujrzeli. Czołgali się w kierunku morza wyraźnie zdeterminowani, by pójść śladem Grolima, w którego twarz Sadi sypnął swój dziwny proszek. Zanurzali się w lekko falującej wodzie i jeden po drugim zagłębiali się w ciemną toń.

Ci, którzy umieli pływać, desperacko kierowali się na pełne morze; na spotkanie nieuniknionej śmierci. Ci, którzy nie potrafili, ginęli pod powierzchnią wyciągając błagalnie ręce nawet i wtedy, gdy woda zakryła im głowy. Po chwili ciemną taflę zmąciły setki bąbelków wypełnionych powietrzem, po czym wszystko ucichło. - Albatros szybował nad tą zbiorową mogiłą na swych wielkich, nieruchomych skrzydłach, a następnie dostojnie powrócił nad amfiteatr.

Rozdział XXIII

- A teraz tyś jest, jako i sama wybrałaś, Dziecię Mroku - rzekła srogo Cyradis.

- Nieistotni są ci, jakowi przybyli na ową wyspę wraz ze mną, Cyradis - odparła obojętnie Zandramas. - Wykonali swe zadanie i niech w popiół się obróć ich marne skorupy.

- Gotowaś zatem wkroczyć przez portal do Miejsca, Którego Już Nie Ma, aby stanąć w obecności Sardiona i tam dokonać wyboru?

- Niechaj tak się stanie, Święta Prorokini - zgodziła się Zandramas z zaskakującą łagodnością. - Z radością wielką, wspólnie z Dziecięciem Światła, pokonam progi Świątyni Toraka.

- Bądź czujny, Garionie - szepnął Silk. - Nie podoba mi się ton jej głosu. Ona coś knuje.

Cyradis jednak również wyczuła jakiś podstęp.

- Twa nagła zgoda zdumiewa mnie, Zandramas - powiedziała. - Na próżno żeś zmagala się tyle kwadr księżyca, by uniknąć owego spotkania, a teraz pragniesz ochoczo wejść do groty? Cóż cię tak odmieniło? Czyżby czaiło się w owej grocie jakoweś niebezpieczeństwo? Azaliż wciąż próbujesz zwabić Dziecię Światła w otchłanie ciemności myśląc, że w tenże sposób unikniesz konieczności Wyboru?

- Odpowiedź na twe pytanie, ślepa wiedźmo, leży za tym portalem - odparła Zandramas ochryłym głosem, po czym zwróciła swą migoczącą twarz w kierunku Gariona. - Niechybnie w sercu męznego Zabójcy Boga nie uwidzisz ni krztyny strachu - powiedziała. - A może ten, który uśmiercił Toraka, stał się nagle nieśmiały i trwożliwy? Jakąż to groźbę mogłabym ja, krucha kobieta, zgotować najpotężniejszemu wojownikowi na całym świecie? Zajrzyjmy wspólnie do groty. Z ufnością składam los mego żywota w twe ręce, Belgarionie z Rivy.

- Nie może tak być, Zandramas - oświadczyła Prorokini Kell. - Za późno na podstępny i oszukaństwa. Wszelako jeno Wybór może cię teraz uwolnić. - Przerwała i szybko skłoniła głowę. Garion ponownie usłyszał chóralne szemranie. - Aha - rzekła w końcu - ten rozdział w księdze niebios był niejasny, lecz teraz wszelkie słowa okryła chwała zrozumienia. - Zwróciła się w kierunku portalu. - Wyjdźże, Władco Demonów. Niechaj ciemności, jakowe skrywają Króla Podziemi oczekującego swej ofiary, rozstąpią się, abyśmy mogli go zobaczyć.

- Niej - wrzasnęła ochryple Zandramas.

Lecz było za późno. Niechętnie, prawie jakby go wyciągano, z maltretowany i w

połowie okaleczony smok wyszedł kuśtykając z grotu, rycząc i zionąc płomieniami i dymem.

- Znowu ten - jęknął Zakath.

Garion ujrzał jednak coś więcej niż smoka. Podobnie jak w okrytym śniegiem lesie za Val Alorn, kiedy to ujrzał wyobrażenie Baraka nałożone na obraz straszliwego niedźwiedzia pędzącego mu na pomoc po tym, jak przebił włócznią szablozębego knura, mając nie więcej niż czternaście lat; teraz ujrzał postać Władcy Demonów, Mordji, w kształcie smoka. Mordja, najgorszy wróg Nahaza, demon, który zrzucił Urvona w wieczną otchłań ciemności. Mordja, w sześciu węzowych ramionach dzierżący olbrzymi miecz, miecz, który Garion rozpoznał od pierwszego spojrzenia. Władca Demonów ukryty pod postacią smoka kroczył stawiając monstrualne kroki i trzymając w łapie Cthrek Goru, straszliwy miecz cieni Toraka.

Płonące, czerwone chmury ponad ich głowami przeszła błyskawica, gdy ohydnie wyglądająca bestia ruszyła w ich stronę.

- Rozdzielcie się! - zawołał Garion. - Silku! Powiedz im, co mają robić! - Wziął głęboki oddech, kiedy wielkie zygzaki błyskawic trysnęły z czerwonego nieba, roztrzaskując się o mury tarasowej piramidy przy wtórze wstrząsających ziemią grzmotów. - Chodźmy! - zawołał do Zakatha wyciągając ponownie miecz Rivy Żelaznopalcego.

Wtem Garion stanął oniemiały. Poledra spokojnie, jakby przechodziła przez łąkę pełną pachnących kwiatów, podeszła do obrzydliwego monstra. - Twym panem jest władca oszustw, Mordjo - rzekła do nagle znieruchomiałej kreatury stojącej tuż przed nią - wszelako czas oszustw dobiegł kresu. Od teraz z twej gardzieli jeno słowa prawdy mogą się wydobyć. Po coś tu przybył? Wyznaj cel, jakowy kieruje twym umysłem.

Władca Demonów zastygły w postaci smoka warczał z nienawiści kręcąc się i wijąc w daremnych próbach uwolnienia się od niewidzialnej sieci.

- Przemów, Mordja - rozkazała Poledra. Któż mógł posiadać aż taką moc?

- Nie przemówię. - Mordja wypluł z siebie słowa.

- Przemówisz - powiedziała kobieta straszliwie spokojnym głosem.

Mordja wrzasnął, a był to wrzask nadchodzącej agonii.

- Jakie jest twoje zadanie? - nalegała Poledra.

- Służę Królowi Ciemności! - zawołał demon.

- A czegoż szuka tu Król Ciemności?

- Posiądzie on Kamienie Władzy - zawył Mordja.

- Po co?

- Ażeby przerwać łańcuchy, łańcuchy którymi przeklęty UL spętał go przed wiekami.

- Z jakowej przyczyny zatem pomagałeś Dziecięciu Ciemności i dlaczego twój

zaciekły wróg, Nahaz, pomagał Uczniowi Toraka? Czyż twój pan nie wiedział, że każdy z nich chciał wynieść ponad wszystko nowego boga? Boga, jakowy spełniałby go jeszcze bardziej.

- Ich zamiary nie miały znaczenia - warczał Mordja. - Nahaz i ja rywalizowaliśmy ze sobą, lecz nie dla chwały szalonego Urvona czy plugawej Zandramas. W wypadku gdyby którekolwiek z nich zdobyło Sardion, Król Ciemności sięgnąłby moimi rękami, lub rękami Nahaza, i schwycił kamień. Wtedy jeden z nas wydobyłby Cthrag Yaska od Zabójcy Boga i dostarczył oba kamienie naszemu panu, który posiadłszy dwa kamienie stałby się Nowym Bogiem. Jego kajdany zostałyby przerwane i mógłby stanąć do walki z ULeM jak równy z równym, nie, nawet bardziej potężny, bóg, do którego należałoby wszystko co jest, wszystko co było i wszystko co będzie.

- Jaki los oczekiwałyby wówczas Dziecię Ciemności i Ucznia Toraka?

- Oni mieli być naszymi nagrodami. Nawet teraz Nahaz karmi się wiecznie szalonym Urvonem w najciemniejszej otchłani podziemnego świata. Ja będę karmił się Zandramas, jej wieczną męką.

Czarodziejka z Darshivy syknęła z przerażenia słysząc o planowanym dla niej tak okrutnym losie.

- Nie możesz mnie zatrzymać, Poledro - szydził Mordja - jako że Król Ciemności tchnął w me ramię moc, o jakowej nikomu się nie śniło.

- Twe ramię jest uwięzione w ciele tej przebrzydłej bestii - rzekła Poledra. - Jużeś dokonał swego wyboru, a wyboru dokonanego w tym miejscu nie można cofnąć. A zatem w tym miejscu staniesz do walki samotrzeć, mając za sprzymierzeńca nie Króla Ciemności, lecz ową bezmyślną kreaturę, jakową sam wybrałeś.

Demon wzniosł obrzydliwy, ziejący kłami pysk rycząc przeraźliwie i rzucając olbrzymim grzbietem na wszystkie strony w próbach pozbycia się kształtu, w którym był zamknięty.

- Czy to oznacza, że obaj musimy z nim walczyć? - spytał Zakath Gariona drżącym głosem.

- Obawiam się, że tak.

- Garionie, czy postradałeś zmysły?

- Musimy to zrobić, Zakacie. Poledra ograniczyła moc Mordji, nie wiem jak, lecz uczyniła to z pewnością. Skoro nie posiada swej normalnej mocy, przynajmniej mamy jakieś szanse. Chodźmy. - Garion opuścił przyłbicę i ruszył do przodu wymachując płonąącym mieczem.

Silk wraz z pozostałymi rozdzielili się podchodząc do smoka z boków i od tyłu.

Wtem król Rivy dostrzegł pewną szansę. Pomieszanie prymitywnego umysłu smoka i umysłu demona nie było całkowite. Smok z głupim uporem mógł skupiać swe jedyne oko na tych wrogach, którzy stali bezpośrednio przed nim i szarżował nie myśląc zupełnie o tych, którzy mieli zaatakować jego boki. Mordja zdawał sobie sprawę z czyhającego niebezpieczeństwa. Podział nienaturalnie połączonej jaźni olbrzymiej kreatury o skrzydłach nietoperza, wprowadził ją w szczególny stan wahania, a nawet braku zdecydowania. Wówczas Silk z mieczem zabranym z rąk martwego Grolima zaatakował z tyłu, mężnie siekąc w wijący się ogon.

Smok zawył z bólu, a z pyska i nozdrzy buchnęły mu kłęby płomieni. Lekceważąc słabą ingerencję Mordji smok obrócił się niezdarnie i odpowiedział na atak Silka. Mały złodziejasek umknął zwinnie z drogi, a pozostali korzystając z dogodnego momentu dopadli odsłoniętych boków smoka. Durnik rytmicznie walił młotem w jeden bok, podczas gdy Toth siekł nie mniej rytmicznie w drugi.

Garionowi przyszedł do głowy desperacki plan, kiedy zobaczył, jak bestia odwróciła się niemal całkowicie, próbując odeprzeć atak Silka.

- Zajmij się jego ogonem! - wrzasnął do Zakatha. Odszedł kilka kroków w tył, żeby mieć pole do rozbiegu, po czym popędził w przód, choć jego ruchy krępowała ciężka zbroja. Wskoczył na smagający we wszystkie strony ogon smoka i pobiegł w górę po grzbiecie bestii.

- Garionie! - usłyszał krzyk przerażenia Ce'Nedry. Nie zatrzymał się jednak wspinając się po pokrytym łuskami grzbiecie. W końcu znalazł stabilniejsze oparcie dla stóp na barkach, pomiędzy skrzydłami smoka. Zdawał sobie sprawę, że bestia nawet nie odczuje uderzeń jego płonącego miecza. Natomiast Mordja musiał je odczuć. Garion podniósł miecz i oburącz ugodził w podstawę łuskowatej szyi. Smok nie zwrócił nawet uwagi wymachując łbem i zionąc ogniem i dymem, by odpędzić atakujących. Mordja zawył w agonii, kiedy dosięgła go moc Klejnotu. Pozostawiony samemu sobie smok nie był w stanie odeprzeć zmasowanego ataku. Tylko inteligencja władcy demonów sprawiała, że był tak niebezpieczny, lecz Garion widział w przeszłości, jak Klejnot potrafi unicestwić demona. Pod tym względem posiadał nawet większą moc niż jakiś bóg. Demony uciekały przed bogami, lecz nie mogły uciec przed mocą Jabłka Aldura.

- Goręcej! - rozkazał kamieniowi podnosząc ponownie ostrze. Zadawał cios za ciosem. Wielkie ostrze nie odbijało się już od łusek smoka, ale torowało sobie drogę wgrzyzając się w jego ciało. Wyobrażenie Mordji w smoku ryczało, gdy miecz zagłębiał się w jego szyję. W połowie ciosu Garion zmienił lot miecza i ugodził w grzbiet smoka pomiędzy

szerokimi barkami.

Mordja zawył.

Garion zakręcił mieczem rozdzierając łuskowatą skórę. Smok ryknął przeraźliwie.

Garion podniósł miecz i ponownie zatopił w krwawiącej ranie; tym razem głębiej.

Smok i Mordja zawyli jednocześnie.

Garion przypomniał sobie, jak w czasach młodości obserwował starego Cralto kopiącego dziury pod słupki do ogrodzenia. Świadomie naśladował teraz rytmiczne ruchy starego farmera podnosząc swój miecz wysoko ponad głowę, tak jak Cralto podnosił łopatę, i wbijał ostrze głęboko w ciało smoka. Z każdym ciosem rana pogłębiała się i krew tryskała z drżącego ciała. Przez chwilę ujrzał białą kość i zmienił cel.

Przyjaciele na moment przerwali atak zaskoczeni szaleńczą śmiałością rivańskiego króla. Następnie ujrzeni, jak wężowa głowa smoka uniosła się wysoko i bestia próbowała desperacko odwrócić łeb i chwycić natręta. Ruszyli ponownie do ataku tnąc i siekąc w bardziej miękkie łuski pokrywające gardło, brzuch i boki smoka. Rzucając się w przód i odskakując szybko, aby uniknąć stratowania, Silk, Velvet i Sadi atakowali nie chronione niczym podbrzusze smoka. Durnik łamał zebra jedno po drugim, a Toth rąbał z drugiej strony. Belgarath i Poledra przeistoczywszy się w wilki kąsali wijący się ogon.

Garion dostrzegł grube niczym cuma okrętowa ścięgno prowadzące wprost do jednego z ogromnych skrzydeł.

- Goręcej! - zawołał do Klejnotu.

Miecz zapłonął na nowo i tym razem Garion zadał straszliwy cios. Ścięgno pękło, a jego odcięte końcówki wślizgły się wężowym ruchem do krwawiącego ciała.

Ryk bólu, jaki wydobył się z wypełnionej płomieniami paszczy, był rozdzierający. Smok cofnął się i po chwili runął ciężko na ziemię w straszliwej agonii.

Garion spadł na kamienie z głuchym chrzęstem stalowego ubioru, lecz natychmiast przetoczył się na bok próbując umknąć przed ostrymi pazurami. Zakath natychmiast pojawił się przy nim podnosząc go na nogi.

- Postradałeś zmysły, Garionie! - zawołał szorstko. - Nic ci nie jest?

- W porządku - odparł Garion głosem pełnym napięcia. - Skończmy z tym.

Toth stał w cieniu olbrzymiej głowy smoka na szeroko rozstawionych nogach wznosząc w górę ciężki topór. Straszliwe uderzenie w gardło nie zdruzgotało jednak grubej niczym beczka tchawicy. Pomimo wzmożonych wysiłków, Garion i jego przyjaciele zadali smokowi przede wszystkim ból. Pojedynczy atak Totha zagroził bezpośrednio życiu smoka i gdyby olbrzymowi udało się przeciąć albo nawet nadszarpnąć grubą ściankę tchawicy, walka

dobiegłaby końca. Z wysiłkiem bestia stanęła na tylnych łapach rzucając cień na dzielnego Totha.

- Toth! - krzyknął Durnik. - Uciekaj!

Niewyraźnie, wewnątrz krwawiącego cielska Garion ujrzał ledwo widoczny kształt Mordji, który w geście największej desperacji wznosił Cthrek Goru, Miecz Cieni. Niematerialne ostrze wyłoniło się z klatki piersiowej bestii i równie gładko zagłębiło się w piersi Totha wychodząc z pleców. Niemowa zeszywniał, po czym ześlizgnął się bezwładnie z miecza, nie będąc nawet w stanie wydać z siebie ostatniego okrzyku.

- Nie! - wrzasnął Durnik głosem przepelnionym bezgraniczną boleścią.

Umysł Gariona otoczyła lodowata zasłona.

- Postaraj się, żeby nie dosięgły mnie jego zęby - rzekł do Zakatha stanowczym, obojętnym głosem, po czym rzucił się do przodu z mieczem przygotowanym do ciosu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zadał. Wycelował nie w ranę, którą otworzył Toth, lecz w szeroką klatkę piersiową smoka.

Cthrek Goru zamigotał, lecz Garion odparował rozpaczliwy obronny cios, po czym stając bokiem wznosił ku niebu gorejący miecz. Popatrzył na skurczonego demona spojrzeniem pełnym nienawiści, następnie zagłębił ostrze w pierś smoka z całą siłą, a wielki przypływ woli, gdy Klejnot uwolnił swą moc, prawie zwałił go z nóg.

Straszliwy ryk smoka i władcy demonów załamał się nagle w rzęzącym westchnieniu.

Garion ponuro wyciągnął miecz i odstąpił od targanej konwulsjami bestii. Potem niczym płonący dom, smok zwałił się na ziemię, szarpnął kilkakrotnie i znieruchomiał.

Garion odwrócił się posępnie.

Twarz Totha była spokojna. Niewidoma Cyradis uklękła po jednej stronie jego ciała, a Durnik po drugiej. Obydwoje łkali.

Wysoko ponad ich głowami albatros wydał okrzyk przesycony bólem.

Przepaska Cyradis nasiąkła słonymi łzami.

Wydawało się, że pomarańczowe niebo spowiły kłęby dymu. Granatowoczarne plamy wtulone w zagłębienia chmur zmieniały swą pozycję, kołując i falując, podczas gdy pierzaste obłoki wciąż splamione promieniami wschodzącego słońca wirowały na niebie. W pewnej chwili cofnęły się, a z ich wnętrzości wytrysnęła pojedyncza błyskawica, która błysnąwszy na ciemnym niebie uderzyła dziko w ołtarz Jednookiego Boga.

Regularne kamienie stanowiące podłogę amfiteatru nadal były mokre od opadającej mgły, jaka spowijała budzącą się do życia rafę. Białe plamki w twardych niczym żelazo skalnych blokach lśniły niczym gwiazdy pod wilgotnym okryciem.

Garion wziął głęboki oddech i rozejrzył się po amfiteatrze. Nie uważał go teraz za tak okazały, jak mu się wcześniej wydawało. Na pewno nie na tyle duży, aby stać się areną tej walki. Ale może cały świat nie był wystarczająco duży. Ujrzał skąpane w ognistej poświacie płynącej z nieba twarze swoich przyjaciół, które oblewały się trupią bladością w błyskach niebieskawych piorunów, wciąż przepełnione grozą minionych wydarzeń. Amfiteatr wypełniały poskręcane trupy Grolimów; skurczone, czarne plamy na kamieniach i skalnych schodach. Garion usłyszał szczególne, bezgłośnie dudnienie, które zamarło w coś przypominającego westchnienie. Spojrzył na smoka. Jęzor bestii wysunął się z otwartej paszczy, a oczy spoziały niewidząco na Gariona. Dźwięk dochodził z brzucha ogromnej padliny. Wnętrznosci potwora, nadal nieświadome końca, kontynuowały swą pracę trawienną. Zandramas stała osłupiała z zaskoczenia. Bestia, którą stworzyła, i demon, którego wysłała, żeby bestią ovladnął, nie żyły, a jej desperacki wysiłek, by uniknąć osobliwej, ostatecznej już walki w Miejscu Wyboru, poszedł na marne. Nadzieje czarodziejki zawaliły się niczym zamek z piasku rozpadający się pod naporem nadchodzącej fali. Syn Gariona popatrzył na ojca z ufnością i dumą. Garion patrzył w jasne oczy chłopca czerpiąc pocieszenie z tego czystego spojrzenia.

Cyradis wciąż zanosila się płaczem. W umyśle Gariona pojawiły się refleksyjne myśli. Widział ogromną rozpacz i boleść prorokini z Kell. W tym szczególnym momencie ona była najważniejszą osobą we wszechświecie i może zawsze tak było. Garion pomyślał, że świat stworzono dla jednego celu, a mianowicie sprowadzenia tej delikatnej dziewczyny do tego miejsca, w tym czasie, ażeby dokonała tego jednego Wyboru. Czy mogła jednak wypełnić swe zadanie? Czyż śmierć jej przewodnika i opiekuna, jedynej osoby na całym świecie, jaką prawdziwie kochała, sprawiła, że teraz opanowała ją niemoc i nie potrafiła dokonać ostatecznego wyboru?

Czas wypełniony płaczem Cyradis mijał nieubłaganie. Garion zobaczył teraz tak wyraźnie, jak gdyby czytał Księgę Niebios, która prowadziła proroków, że czas Spotkania i Wyboru nie został określony na pewien dzień, lecz miał nadejść w konkretnym momencie owego dnia i jeśli Cyradis pogrążona w nieprzejednanym żalu nie byłaby w stanie dokonać wyboru w tej oczekiwanej chwili, wszystko co było, wszystko co jest i co będzie, zamigocze i zniknie niczym efemeryczny sen. Jej łkanie musi dobiec kresu; w przeciwnym razie świat zatraci się na wieki.

Zaczęło się od pojedynczego, czystego głosu, głosu, który narastał i narastał w elegii smutku zawierającym w sobie całą ludzką żalność. Wnet pojawiły się inne głosy; pojedyncze lub w triach czy oktetch, dołączając po kolei do pieśni bólu. Chór grupowego umysłu

proroków zgłębił głębie żalu prorokini z Kell, a następnie zatopił się w czarnej rozpacz i odpłynął w ciszy większej niż cisza grobowa.

Łzy płynęły Cyradis po policzkach, lecz nie była osamotniona w swym bólu. Jej naród płakał wraz z nią.

Samotny głos rozbrzmiał ponownie, melodią podobną do tej, która właśnie zamarła. Dla nie wyćwiczonego ucha Gariona wydawał się taki sam, lecz dokonała się w nim pewna zmiana i w miarę jak dołączały inne głosy, coraz więcej akordów jednoczyło się w pieśni i niewysłowionej rozpacz.

Pieśń zamigotała znowu, tym razem nie zrodził jej pojedynczy tembr, lecz potężny akord, który zdawał się wstrząsnąć podstawami niebios swą triumfującą afirmacją. Melodia pozostała taka sama, lecz tym razem tchnęła uniesieniem radości.

Cyradis położyła Totha na jego szerokiej piersi, przygładziła jego włosy i sięgnęła, by na znak pocieszenia dotknąć mokrej od łez twarzy Durnika.

Wstała powstrzymując ostatnie łzy, a obawy Gariona rozproszyły się i ustąpiły niczym poranna, okrywająca rafę mgła, pod naporem słońca.

- Idź - powiedziała spokojnym głosem wskazując niestrzeżony portal. - Czas dobiega kresu. Idźcie, Dziecię Światła, i ty, Dziecię Mroku, pokonajcie progi onej groty, jako że nadeszła chwila wyboru, jakowy cofnięty być nie może. Podążajcie zatem ze mną do Miejsca, Którego Już Nie Ma, aby tam zadecydować o losie wszelkiego istnienia. - Stanowczym, niezachwianym krokiem Prorokini Kell poprowadziła ich ku monumentalnemu wejściu, nad którym widniała kamienna podobizna twarzy Toraka.

Garion poczuł bezsilność wobec tego czystego głosu i szedł ramię w ramię z odzianą w satynowe szaty Zandramas podążając za filigranową prorokinią. Poczł delikatne muśnięcie o prawe ramię, kiedy wraz z Dzieckiem Ciemności przechodzili przez portal. Niemal z rozbawieniem zdał sobie sprawę, że moce kontrolujące spotkanie nie były do końca pewne siebie; umieściły niewidzialną barierę między nim a czarodziejką z Darshivy. Odsłonięte gardło Zandramas znajdowało się w zasięgu jego mściwych dłoni, lecz bariera czyniła kapłankę tak nietykalną, jakby znajdowała się ona po drugiej stronie świata. Był świadom, że pozostali szli za nimi; jego przyjaciele podążali za nim, a Geran i trzęsący się Otrath kroczyli za Zandramas.

- Zaprawdę nie może tak być, Belgarionie z Rivy - szepnęła zapalczywie Zandramas. - Czyż my, dwie najpotężniejsze istoty w całym wszechświecie, poddamy się wyborowi owej dziewczyni chorej na umyśle? Razem dokonajmy wyboru, a wtedy spłynie na nasze ciała splendor boskości. Z łatwością pokonamy ULa i innych, by wspólnie władać wszelakim

stworzeniem. - Kołujące światełka pod skórą jej twarzy wirowały coraz szybciej, a oczy płonęły czerwienią. - Osiągnąwszy boskość zapomnisz o swej ziemskiej połowicy i zjednoczymy nasze ziemskie ciała w jedno. Stałbyś się ojcem wielu bogów, jakowi wyszliby z mego łona, Belgarionie, a rozkosz nieziemskich wspaniałości otwarłaby przed nami swe odrzwia. Ujrzysz mą sprawiedliwość, królu Rivy, a dnie nasze wypełnimy boską namiętnością Światła i Ciemności.

Gariona zdumiała, a nawet nieco zatrwożyła szczerość Dziecka Ciemności. Zandramas była równie niezmienna i nieprzejednana jak twarda skała. Uświadomił sobie, że nie zmieniała się, ponieważ nie mogła. Zaczął podążać ku czemuś, co wydawało mu się niezwykle istotne. Światło może się zmieniać. Każdy dzień jest tego świadectwem. Ciemność jednak nie mogła. Wreszcie pojął prawdziwe znaczenie wiecznego rozdziału, który podzielił wszechświat. Ciemność poszukiwała nieruchomego zastoju, Światło szukało postępu. Ciemność kulila się w uświadomionej doskonałości, Światło pędziło przed siebie pobudzane koncepcją perfekcyjności. Garion przemówił, nie udzielając odpowiedzi na propozycje Zandramas, lecz w odpowiedzi Duchowi Ciemności.

- To się zmieni - powiedział. - Nic co uczynisz, nie nadwątlisz mej wiary. Torak mamiał, że będzie mi ojcem, a teraz Zandramas kusi obietnicą małżeństwa. Odrzuciłem Toraka i odrzucam Zandramas. Nie możesz mnie zamknąć w Znieruchomieniu. Idź i powstrzymaj przyływ, jeśli chcesz, i pozwól mi wykonać zadanie.

Z gardła Zandramas wydobył się nieludzki dźwięk zdziwienia. Jasność umysłu Gariona zdumiała Ciemność, a nie tylko narzędzie Ciemności. Uczuł delikatne niczym muśnięcie piórka badanie i nie wysiłał się, by je odeprzeć.

Zandramas syknęła, a jej oczy zapłonęły z pełną nienawiści frustracją.

- Czyż nie znalazłaś tego, czego szukałaś? - spytał Garion. Tym razem z jej ust dobył się suchy, pozbawiony emocji głos.

- Wszelako w końcu dokonasz wyboru - powiedział. Równie suchy głos pochodzący z ust Gariona nie był jego głosem.

- Mam mnóstwo czasu - odparł. - Moje narzędzie dokona wyboru, kiedy zajdzie potrzeba.

- Sprytne posunięcie, lecz nie oznacza to jeszcze końca gry.

- Oczywiście, że nie. Ostatni ruch należy do Prorokini Kell.

- Niech i tak będzie.

Szli długim, cuchnącym pleśnią korytarzem.

- Nie cierpię tego - Garion usłyszał, jak Silk sapie za jego plecami.

- Wszystko będzie dobrze, Kheldarze - pocieszyła go Velvet. - Nie pozwolę, żeby ci się coś przytrafiło.

Na końcu korytarza ujrzeli sporych rozmiarów grotę o chropowatych, nieregularnych ścianach. W wyłobionej przez naturę pieczarze panował chłód. Woda sączyła się po przeciwległej ścianie srebrzystym strumieniem, który wpadał do ciemnego stawu. Wewnątrz rozchodził się nieprzyjemny zapach padliny, a na kamiennym podłożu walały się zbielełe kości. Ku ironii losu siedlisko Boga Smoka stało się legowiskiem smoka. Nie trzeba było lepszego stróża, aby ochraniać to miejsce.

Na podwyższeniu stał ogromny tron wyrzeźbiony w litej skale, a przed nim znajdował się jeden z tak dobrze znanych ołtarzy. Pośrodku ołtarza leżał kamień, nieco większy od ludzkiej głowy. Kamień płonął brzydką czerwonałą poświatą, która rozjaśniała wnętrze groty. Po jednej stronie ołtarza ujrzeli ludzki szkielet z ramionami rozpostartymi w tęsknym geście. Garion zmarszczył brwi. Czyżby ofiara złożona Tomkowi? A może tylko ofiara smoka? Wtem domyślił się. Był to szkielet melceńskiego uczonego; człowiek ów wykradł Sardion z uniwersytetu i uciekł z nim, aby tu umrzeć adorując kamień, który go zabił. Tuż za plecami Garion usłyszał, podobne do zwierzęcego, warczenie dobywające się z Klejnotu. Czerwony kamień leżący na ołtarzu zamruczał groźnie w odpowiedzi. Po krótkim wstępie nastąpiła dziwna płatanina dźwięków niezliczonej liczby dialektów; niektóre, jak mógł przypuszczać Garion, pochodziły z najdalszych stron wszechświata. Migoczące smugi błękitu wystrzeliwały przez mlecznoczerwony Sardion, a gniewna czerwień kapała Klejnot w kłębiących się falach, kiedy wiekowe konflikty skumulowały się na tak małej, zamkniętej przestrzeni.

- Kontroluj go, Garionie! - rzekł ostro Belgarath. - Jeśli tego nie zrobisz, zniszczą się wzajemnie, a przy okazji cały wszechświat!

Garion sięgnął przez ramię i położył rękę na Klejnocie przemawiając cicho do gniewnego kamienia.

- Jeszcze nie - poprosił. - Wszystko w swoim czasie. - Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego wybrał akurat te słowa. Niczym potulne dziecko Klejnot ucichł, a Sardion przerwał głuche warczenie. Światła jednak nieprzerwanie migotały na powierzchni obu kamieni.

Wypadłeś całkiem dobrze - pogratulował głos w umyśle Gariona. - Nasz wróg został wyprowadzony z równowagi. Nie bądź jednak zbyt pewny siebie, ponieważ Duch Dziecka Ciemności posiada ogromną moc w tej grocie.

Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś?

Czy zwróciłeś wówczas uwagę na moje słowa? Słuchaj uważnie, Garionie. Moja

przeciwna strona zgodziła się pozostawić wybór w rękach Cyradis. Zandramas nie wyraziła jednak takiej zgody. Prawdopodobnie zrobi ostatnią próbę. Ustaw się między nią a Sardionem. Bez względu na to, co się stanie, nie pozwól jej osiągnąć tego kamienia.

Dobrze - odparł posępnie Garion. Doszedł do wniosku, że powolne przesuwanie się do tego miejsca nie uszłoby uwadze czarodziejki z Darshivy. Zamiast tego spokojnie i świadomie stanął przed ołtarzem, wyciągnął miecz i oparł ostrzem o podłogę groty, trzymając skrzyżowane ręce na gałce rękojeści.

- Do czegoś zmierzasz? - zapytała Zandramas ostrym, podejrzliwym tonem.

- Dokładnie wiesz, co robię, Zandramas - odparł Garion. - Dwa duchy zgodziły się, aby pozostawić decyzję Cyradis. Nie słyszałem jeszcze twego przyzwolenia. Czy nadal uważasz, że możesz uniknąć Wyboru?

Na cętkowaną światłem twarz wykrzywił grymas nienawiści.

- Zapłacisz za to, Belgarionie - odpowiedziała. - Wszystko czym jesteś i wszystko co kochasz zniknie w tymże miejscu.

- O tym zdecyduje Cyradis, nie ty. Tymczasem nikt nie dotknie Sardiona, aż Cyradis nie dokona wyboru.

Zandramas zazgrzytała zębami w nagłej, bezsilnej furii. Wtedy Poledra podeszła bliżej, a światło Sardiona pląsało w jej jasnobrązowych włosach.

- Dobra robota, młody wilku - zwróciła się do Gariona.

- Wszelaka moc opuściła cię, Poledro. - Dziwnie rozproszone słowa wypłynęły z nieruchomych ust Zandramas.

- Punkt. - Znajomy suchy głos przemówił ustami Poledry.

- Nie widzę tu żadnego punktu.

- To dlatego, że zawsze porzucałaś swe narzędzia, kiedy już nie mogłaś ich bardziej wykorzystać. Poledra jako Dziecko Światła w Vo Mimbri mogła pokonać Toraka, a przynajmniej na jakiś czas go unieszkodliwić. Kiedy już raz moc zostanie nałożona, nie może zostać całkowicie odebrana. Czyż jej kontrola nad Władcą Demonów nie wzbudziła w tobie ciekawości? Czyż nie jest to wystarczający dowód?

Świat dookoła Gariona zawirował, gdy młody władca usłyszał te słowa. Poledra? Dziecko Światła podczas tej straszliwej bitwy, jaka rozegrała się pięćset lat temu?

Głos mówił dalej.

- Czy uznajesz ten punkt? - spytał swego przeciwnika.

- Jaką to robi różnicę? Gra wkrótce dobiegnie końca.

- Chodzi mi o punkt. Reguły wymagają, abyś go uznał.

- Dobrze. Uznaję punkt. Naprawdę stałeś się pod tym względem niezwykle dziecinny.

- Reguła jest regułą, a gra nie jest jeszcze skończona. Garion zaczął bacznie obserwować Zandramas; chciał dostrzec każdy nagły gest, jaki mogła zrobić w kierunku Sardiona.

- Kiedy nadejdzie czas, Cyradis? - Belgarath spytał szeptem Prorokinię Kell.

- Niebawem - odparła. - Niebawem.

- Wszyscy tu jesteśmy - powiedział Silk, nerwowo spoglądając na nierówne sklepienie. - Może byśmy to załatwili?

- Nadszedł ów dzień, Kheldarze - rzekła - lecz nie owa chwila. - W wyznaczonym Momencie Wyboru zapłonie wielkie światło, światło, jakowe ujrzą nawet ja.

Osobliwa, odległa fala spokoju spłynęła na Gariona uświadamiając mu, że zbliża się Ostateczne Wydarzenie. Był to ten sam spokój, który ogarnął go w ruinach Cthol Mishrak, kiedy spotkał się z Torakiem.

Wtem, jakby wspomnienie tego imienia wywołało z wiecznej otchłani ducha jednookiego boga. Garionowi wydawało się, że słyszy straszliwy głos Toraka intonujący proroczy fragment z ostatniej strony Wyroczni Ashabińskich:

„Wiedz, żeśmy braćmi, Belgarionie, chociaż nasza nienawiść do siebie może pewnego dnia rozłączyć niebiosy. Współ dzielimy straszliwe zadanie. To, że czytasz me słowa, oznacza, że jesteś moim zabójcą. A zatem na twe barki spada wykonanie onego zadania. Przepowiednia na onych stronicach jest obrzydliwym. Nie pozwól, żeby do tego doszło. Zniszcz świat. Zniszcz wszechświat, jeśli zajdzie taka potrzeba, lecz nie pozwól, żeby to się stało. W twoich rękach jest los wszystkiego co było, wszystkiego co jest i wszystkiego co będzie. Pozdrawiam cię, mój zniechęcony bracie, i żegnam. Spotkamy się, lub spotkaliśmy, w Mieście Nie Kończącej Się Nocy i tam nasz spór zostanie rozstrzygnięty. Zadanie nadal leży przed nami w Miejsce, Którego Już Nie Ma. Jeden z nas musi się tam udać, aby stanąć twarzą w twarz z Ostatecznym Przeznaczeniem. Jeśli to będziesz ty, nie zawieź nas. Musisz uśmiercić twego jedyne syna, jako mnie uśmierciłeś.”

Tym razem słowa Toraka nie napełniły Gariona smutkiem. Wzmocniły w nim przeświadczenie, które wreszcie zaczynał rozumieć. Wizja, jaka pojawiła się w umyśle Toraka w Ashabie, była tak przerażająca, że w momencie przebudzenia z owego proroczego snu oszepecony bóg czuł przymus obarczenia zadaniem swego najbardziej zniechęconego wroga. Chwilowe przerażenie przyćmiło bezmierną dumę Toraka. Dopiero później, kiedy duma na powrót zajęła swoje dawne miejsce, Torak okroił strony wyroczni. W tym jednym, ponurym momencie normalności, okaleczony bóg powiedział prawdę, prawdopodobnie po raz

pierwszy i ostatni w swym życiu. Garion mógł sobie wyobrazić ból samoupokorzenia, jaki ta pojedyncza chwila prawdy kosztowała Toraka. W ciszy swego umysłu Garion dochował wierności zadaniu, jakie nałożył na niego najstarszy z wrogów.

- Zrobię co tylko w mojej mocy, aby nie doszło do tej potworności, mój bracie - cisnął myśl do ducha Toraka. - Wracaj do miejsca twego spoczynku, jako że ja tutaj biorę na swe barki ów ciężar.

Czerwona poświata Sardiona stłumiła kołujące światełka w ciele Zandramas i Garion widział teraz jej rysy bardzo dokładnie. Na twarzy kapłanki malowało się zmartwienie. Najwyraźniej nie była przygotowana na nagłą zgodę ducha, który kontrolował jej umysł. Wszechwładna żądza zwycięstwa za wszelką cenę została stłumiona brakiem poparcia tajemniczego istnienia. Jej własny umysł, czy raczej to co z niego zostało, nadal pragnął uniknąć oblicza Wyboru. Dwie przepowiednie zgodziły się u zarania czasu, aby Wybór pozostawić Prorokini z Kell. Podstępny i niezliczone okrucieństwa znaczyły pochod Dziecka Ciemności, lecz w tym momencie Zandramas była bardziej niebezpieczna niż kiedykolwiek wcześniej.

- A zatem, Zandramas - rzekła Poledra - czy nie nadeszła pora, jaką ty wybrałaś na spotkanie? Czy mamy się nawzajem zniszczyć teraz, kiedy dotarliśmy tak blisko ostatecznej chwili? Jeśli zaczekasz na Wybór Cyradis, będziesz miała równe szanse otrzymania tego, czego tak desperacko poszukiwałaś. Jeśli jednak chcesz się zmierzyć ze mną, rzucisz nasz los w ramiona przypadku. Czyż więc odrzucisz pół szansy sukcesu w zamian za całkowitą niepewność?

- Moc we mnie potężniejsza niżli w tobie, Poledro - oświadczyła Zandramas zuchwale. - Jam jest Dziecią Ciemności.

- A ja byłam Dzieckiem Światła. Nadal potrafię zebrać w sobie siłę i moc. Czy postawisz na szali wszystko, Zandramas? Absolutnie wszystko?

Oczy Zandramas zwęziły się i Garion czuł gromadzenie się woli. Nagle z druzgoczącym przyplływem energii i przeraźliwym rykiem uwolniła swą moc. Otoczyła ją aura ciemności. Kapłanka schwyciła syna Gariona i uniosła go ku górze.

- Tak więc pokonam cię, Poledro! - syknęła. Zacisnęła dłoń na nadgarstku chłopca i popchnęła jego rękę przed siebie. - Gdy ramię potomka Belgariona dotknie Sardiona, zwyciężę.

Nieubłaganie, krok po kroku posuwała się naprzód.

Garion uniósł miecz i wymierzył w nią końcem ostrza.

- Odepchnij ją - rozkazał Klejnotowi i błysk intensywnego, błękitnego światła

wystrzelił z czubka miecza, lecz rozszczepił się uderzywszy w ciemną aurę, za jaką schroniła się Zandramas, nie powstrzymując jej bezlitosnego pochodu.

Zrób coś! - zawołał w myślach Garion. Nie mogę ingerować - odrzekł głos.

- Czy to wszystko, na co cię stać, Zandramas? - spytała spokojnie Poledra. Garion często słyszał podobną nutę w głosie Polgary, lecz nigdy z tak nieposkromioną determinacją. Poledra prawie obojętnie uniosła rękę i uwolniła swą wolę. Przyływ i dźwięk uwalniającej mocy niemal zwałił Gariona z nóg. Aura ciemności otaczająca Zandramas i Gerana zniknęła. Czarodziejka z Darshivy nie zawahała się jednak, lecz kontynuowała powolny marsz ku przeznaczeniu.

- Czy zabijesz swego syna, Belgarionie z Rivy? - spytała. - Jako że krzywdę mnie czyniąc uśmiercisz potomka królów.

- Nie mogę tego zrobić! - krzyknął Garion z oczami pełnymi łez. - Nie mogę!

- Musisz. Ostrzeżono cię, że coś podobnego może się wydarzyć. Jeśli jej się uda i położy rękę twego syna na Sardionie, będzie to o wiele gorsze, niż gdyby ostał się przy życiu. Zrób co musi zostać zrobione, Garionie.

Nie mogąc powstrzymać łez Garion podniósł miecz. Geran bez obawy patrzył mu prosto w oczy.

- Nie! - Ce'Nedra przebiegła błyskawicznie dzielącą ich przestrzeń i rzuciła się na kamienną posadzkę tuż przed Zandramas. Jej twarz była śmiertelnie blada. - Jeśli zamierzasz zabić me dziecko, będziesz musiał zabić również mnie, Garionie - zawołała rozpaczliwie. Odwróciła się plecami do Gariona i skłoniła głowę.

- Tym lepiej - uradowała się Zandramas. - Czyż uśmiercisz swego syna, a wraz z nim swą żonę, Belgarionie z Rivy? Czy zabierzesz winę ze sobą do grobu?

Na twarzy Gariona pojawił się straszliwy grymas. Ścisnął mocniej rękojeść swego płonącego miecza. Jednym uderzeniem zniszczyłby całe swe życie.

Zandramas wciąż trzymając Gerana spojrzała na Gariona niedowierzająco.

- Nie uczynisz tego! - wrzasnęła. - Nie możesz! Garion zacisnął zęby i jeszcze wyżej podniósł miecz. Niedowierzanie Zandramas nagle przerodziło się w trwogę.

Zatrzymała się i zaczęła wycofywać się w obawie straszliwego uderzenia.

- Teraz, Ce'Nedro! - głos Polgary ciął niczym trzaśnięcie bicia.

Rivańska królowa, skulona w sobie w niemym poddaniu się losowi, wybuchła. Jednym skokiem wyrwała Gerana z rąk Zandramas i uciekła z nim do Polgary.

Zandramas zawyła i próbowała rzucić się za nimi. Jej twarz promieniowała szalem nienawiści.

- Nie, Zandramas - rzekła Poledra. - Jeśli to uczynisz, zabiję cię, albo zrobi to Belgarion. Mimowolnie ujawniłaś swą decyzję. Dokonałaś już swego wyboru i nie jesteś już Dzieckiem Ciemności, lecz zwykłą grolimską kapłanką. Jesteś już niepotrzebna i możesz teraz odejść. Lub umrzeć.

Zandramas zastygła w bezruchu.

- Wszystkie twoje podstępny i uniki spełzły na niczym, Zandramas. Nie masz już żadnego wyboru. Czy teraz poddasz się decyzji Prorokini z Kell?

Zandramas popatrzyła na nią, a na jej gwieździstym obliczu malowała się mieszanka trwogi i nienawiści.

- No i cóż, Zandramas - ponagliła Poledra - czy umrzesz tak bliska obiecanego wyniesienia? - Złotawe oczy Poledry penetrowały głęboko twarz grolimskiej kapłanki. - Och, nie - rzekła całkiem spokojnie - widzę, że nie. Ty nie możesz tego uczynić. Lecz usłyszę słowa prawdy z twych własnych ust, Zandramas. Czy teraz przyjmiesz decyzję Cyradis?

Zandramas zacisnęła zęby.

- Tak - wycedziła.

Rozdział XXIV

Z zewnątrz wciąż dochodziły odgłosy grzmotów, a wiatr szalejący na ziemi od czasu jej stworzenia zawodził w przejściu prowadzącym do groty z amfiteatru. Wyjmując z pochwy miecz, Garion czuł, co odczuwa jego jaźń. W przeszłości zdarzało mu się to tak często, że zastanowił się, czemu nie przewidział tego osobliwego sprzężenia. Okoliczności wymagały podjęcia decyzji. Fakt, że jedynie koncentrował się na wnikliwym obserwowaniu otoczenia, wskazywał, że już w głębi swego umysłu dokonał wyboru, wyboru, którego umysł nie zarejestrował na powierzchni. Doszedł do wniosku, że istniał ku temu jakiś bardzo ważny powód. Myślenie o grożącym niebezpieczeństwie mogłoby jedynie jeszcze bardziej pogmatwać kłębiące się myśli i w końcu zaczęłyby go nękać wątpliwości, które z łatwością zrodziłyby straszliwy brak zdecydowania. Trafnie czy nie, dokonał wyboru i dalsze zamartwianie się nie miałoby żadnego sensu. Wiedział, że wybór nie opierał się jedynie na dokładnym rozumowaniu, lecz również na głębokich uczuciach. Gariona przepelniał pogodny, wewnętrzny spokój, który wypływał ze świadomości, że dokonał właściwego wyboru. Ze spokojem skupił więc swą uwagę na zatopionym w półmroku wnętrzu groty.

Okazało się, choć trudno było mieć pewność z powodu czerwonej poświaty Sardiona dość słabo rozpraszającej wieczne ciemności, że chropowate ściany jaskini zostały zbudowane z bazaltu, który rozszczepił się na mnóstwo płaskich powierzchni o ostrych krawędziach. Podłoże zachwycało idealną gładkością; rezultat wieków cierplivej erozji wody - lub jednej myśli Toraka podczas jego pobytu w pieczarze, gdy stanął do konfrontacji z ULem, swym ojcem. Z kamiennej podłogi wytryskiwały strumyczki wody kończąc swą szemrzącą wędrówkę w niewielkim stawiku wtulonym w zagłębienie na przeciwległym krańcu groty. Z niewyjaśnionych przyczyn woda brała swe początki w najwyższym punkcie rafy i powinna spływać stamtąd w dół, a nie podążać w górę do ukrytego źródelka w ścianie. Prawdopodobnie Beldin albo Durnik mogliby udzielić satysfakcjonujących wyjaśnień. Garion zdawał sobie sprawę, że w tym dziwnym miejscu musiał zachować czujność. Nie chciał zaprzętać umysłu przemyślnymi na temat tajników hydrauliki.

Wtedy właśnie, jako jedyne źródło światła w mrocznej grocie, Sardion przyciągnął wzrok Gariona. Kamień nie zachwycał szczególnym pięknem. Jego powierzchnia migotała bladopomarańczowymi i mlecznobiałymi smugami światła, do których obecnie dołączył migotliwy błękit emanujący z Klejnotu. Był równie gładki i wypolerowany jak kamień na rękojeści Miecza Rivańskiego Króla. Klejnot polerowała ręka Aldura, lecz któż wygładził

powierzchnię Sardiona? Jakiś nieznany bóg? Jakiś nieznany szczep okrutnych przodków człowieka kuczających z tępą cierpliwością nad kamieniem, poświęcających generację po generacji jednemu niezrozumiałemu zadaniu pocierania pomarańczowych i białych powierzchni zrogowaciałymi rękami, które bardziej przypominały łapy niż ludzkie kończyny? Nawet tak bezmyślne stworzenia musiały odczuć moc tego kamienia - jako bogu, lub przynajmniej posłańcowi boga tym bezmyślnym polerowaniem oddawały mu cześć.

Garion przebiegł wzrokiem po twarzach przyjaciół, po znajomych twarzach tych, którzy w odpowiedzi na przeznaczenie zapisane w gwiazdach od początku dni, towarzyszyli mu do tego miejsca i przybyli z nim w określonym dniu. Śmierć Totha odpowiedziała na jedno nękające ich wszystkich pytanie i teraz wszystko powróciło na swoje miejsce.

Cyradis z zapłakaną i pogrążoną w smutku twarzą podeszła do ołtarza i stanęła przed nimi.

- Czas się zbliża - rzekła jasnym, stanowczym głosem. - Zaprawdę spotkają się teraz wybór Dziecięcia Światła i wybór Dziecięcia Mroku. Wszelakie zadania spełnione być muszą, kiedy nadejdzie chwila mego wyboru. Wiecie obydwójce, że kiedy już raz dokonacie wyboru, nie będzie od niego odwrotu.

- Dokonałam wyboru u zarania czasu - oświadczyła Zandramas. - Przez wszystkie, nieskończone korytarze chaosu brzmiało imię syna Belgariona, jako że on dotknął Cthrag Yaska, jakowy odrzucił ze wzdargą insze dłonie z wyjątkiem rąk samego Belgariona. Gdy Geran dotknie Cthrag Sardius, stanie się wszechpotężnym bogiem, stojącym ponad wszystkimi innymi i posiadzie władzę nad wszelakim stworzeniem. Wyjdź, Dziecię Ciemności. Zajmij miejsce u stóp ołtarza Toraka, aby oczekiwać Wyboru Prorokini z Kell. W chwili gdy ciebie wybierze, wyciągnij rękę i chwyć swe przeznaczenie.

To była ostatnia wskazówka. Garion wcześniej już dokonał wyboru w głębokich, cichych przestworzach swego umysłu. Wiedział również, dlaczego była to tak dobra decyzja. Z pewnym oporem Geran podszedł do ołtarza, zatrzymał się, a następnie odwrócił. Jego mała twarzyczka była ponura.

- A teraz, Dziecię Światła - powiedziała Cyradis - nadszedł czas, abyś ty dokonał swego wyboru. Na którego ze swych przyjaciół nałożysz ów ciężar?

Garion nie przepadał za wzruszającymi przemowami. Ce'Nedra, a nawet czasem Polgara potrafiły wycisnąć ostatnią cząstkę dramatu z każdej sytuacji, podczas gdy on, stały, praktyczny Sendar przejawiał inklinacje do odrzucania patosu. Gnębiło go jednak przekonanie, że Zandramas już znała jego decyzję. Wiedział, że chociaż odziana w czarne szaty czarodziejka zgodziła się, by wyboru dokonała Prorokini z Kell, wciąż była zdolna do

jakiegoś ostatecznego podstępu. Musiał coś zrobić, żeby wyprowadzić ją z równowagi; ażeby w ostatecznym, decydującym momencie zawahała się. Gdyby wydało się jej, że balansuje na krawędzi, że lada chwila dokona złego wyboru, czarodziejka nie posiadałaby się z radości myśląc, iż w końcu odniesie sukces. Wtedy, w ostatnim momencie mógłby dokonać jedyne, odpowiednie wyboru. Chwila zaskoczenia mogłaby zamrozić rękę Dziecka Ciemności i dać Garionowi czas, aby ją zablokować. Uważnie ocenił pozycję Zandramas, a także pozycję Gerana i Otratha. Chłopiec stał jakieś dziesięć stóp przed ołtarzem, a Zandramas nie dalej niż kilka stóp za nim. Otrath kulił się za szorstką, kamienną ścianą w najciemniejszym zakamarku groty.

Musiał działać dbając o najmniejszy nawet szczegół. Musiał zbudować w Zandramas trudne do wytrzymania napięcie, a potem jednym słowem zniweczyć wszelkie jej nadzieje. Po mistrzowsku nadał swej twarzy wyraz rozpaczliwego braku zdecydowania. Chodził między przyjaciółmi jakby przepelniony zakłopotaniem. Od czasu do czasu zatrzymywał się, aby zajrzeć głęboko w ich oczy, posuwając się aż tak daleko, że od czasu do czasu zaczynał podnosić rękę, jak gdyby dojrzał do podjęcia wyboru. Za każdym razem wyraźnie odczuwał dziki przypływ radości emanujący od Zandramas. Nawet nie próbowała skrywać swych emocji. Była coraz bliżej celu. Jego przeciwnik przestał być racjonalnie myślącą istotą.

- Co ty wyprawiasz? - szepnęła Polgara, gdy zatrzymał się przed nią.

- Później wytłumaczę - mruknął. - To konieczne i bardzo ważne. Musisz mi zaufać, ciociu Pol. - Poszedł dalej. Kiedy stanął przy Belgaracie, poczuł trwogę emanującą z Zandramas. Wieczny Człowiek był z pewnością kimś, kogo należało brać pod uwagę, i gdyby dodać do tego sławę Dziecka Światła, i potencjalną boskość, starzec mógłby być poważnym przeciwnikiem.

- Czy pośpieszysz się wreszcie, Garionie? - mruknął Belgarath.

- Próbuję wyprowadzić Zandramas z równowagi - odszepnął jego wnuk. - Proszę, obserwuj ją bacznie, gdy już dokonam wyboru. Może czegoś próbować.

- A zatem już wiesz kto?

- Oczywiście. Próbuję jednak o tym nie myśleć. Nie chcę, żeby wyczytała to z mego umysłu.

Starzec skrzywił się.

- Czyń co uważasz za słuszne, Garionie. Tylko nie przeciągaj zbytnio struny. Nie drażnijmy Cyradis i Zandramas.

Garion skinął głową. Minął Sadiego i Velvet, starając się zbliżyć umysłem do Zandramas. Jej emocje burzyły się dziko. Czuł, że weszła w fazę maksymalnego

podekscytowania. Mocniejsze przeciąganie struny nie miałyby sensu. Zatrzymał się przed Silkiem i Eriondem.

- Trzymaj się - ostrzegł małego człowieczka o szczurzej twarzy. - Nie pozwól, aby Zandramas dostrzegła jakakolwiek zmianę na twoim obliczu, bez względu na to, co zrobisz.

- Nie popełnij błędu, Garionie - ostrzegł Silk. - Nie oczekuję żadnych promocji.

Garion skinął głową. Gra dobiegała końca. Spojrzał na Erionda, młodego człowieka, którego traktował jak brata.

- Wybacz mi, Eriondzie - przeprosił w cichym pomruku. - Prawdopodobnie nie podziękujesz mi za to, co mam zamiar zrobić.

- W porządku, Belgarionie. - Eriond uśmiechnął się. - Od jakiegoś czasu wiedziałem, co ma się zdarzyć. Jestem gotów.

To zaważyło. Eriond odpowiedział na nękające pytanie „Czy jesteś gotowy?” prawdopodobnie po raz ostatni. Okazało się, że Eriond był gotów prawdopodobnie od dnia swoich narodzin. Wszystko wskoczyło na swoje miejsce, dopasowując się tak dokładnie, że nic nie mogło tego rozerwać.

- Wybieraj, Belgarionie - ponagliła Cyradis.

- Już to zrobiłem, Cyradis - rzekł prosto Belgarion i wyciągnąwszy rękę dotknął ramienia Erionda. - Oto mój wybór. Oto Dziecko Światła.

- Doskonale! - wykrzyknął Belgarath.

Dokonało się! - zgodził się głos w umyśle Gariona. Garion poczuł szczególne, bolesne szarpnięcie, po którym nastąpiła żalosna pustka. Już nie był Dzieckiem Światła. Teraz wszelkie obowiązki przejął Eriond, lecz Garion zdawał sobie sprawę z ostatniej odpowiedzialności, jaka spoczywała na jego barkach. Odwrócił się wolno, jakby od niechcenia. Na mieniącej się tysiadcem światełek twarzy Zandramas ujrzał mieszaninę szalu, strachu i frustracji. Widok ten potwierdził słuszność wyboru. Nigdy dotąd jednak nie uczynił tego, co miał zamiar właśnie zrobić, a co wielokrotnie widział w wykonaniu Polgary. Niestety nie był to odpowiedni moment na przypadkowe eksperymenty. Ostrożnie sondował swym umysłem, tym razem nie po to, by zbadać emocjonalny stan Zandramas. Chciał poznać szczegóły. Musiał poznać jej zamiary, zanim zdążyłaby je zrealizować.

W umyśle Czarodziejki z Darshivy kłębiły się różnorakie myśli i emocje. Dzika nadzieja, jaką wzbudził w niej podstęp Gariona, spełniła swoje zadanie. Zandramas wahała się, nie będąc w stanie skoncentrować się na kolejnym kroku. Musiała jednak go zrobić. Garion uświadomił sobie, że Zandramas nie chce i nie może pozostawić decyzji w rękach Prorokini z Kell.

- Ruszaj zaś, Dziecko Światła, i stań obok Dziecka Ciemności, abym mogła dokonać między wami wyboru - rzekła Cyradis.

Eriond skinął głową, odwrócił się i swobodnym krokiem przemierzył grootę, aby stanąć u boku Gerana.

- Dokonało się, Cyradis - odezwała się Poledra. - Wszelkie wybory zostały uczynione, oprócz twego. Oto wyznaczone miejsce i wyznaczony dzień. Nadszedł moment, abyś ty wykonała swoje zadanie.

- Jeszcze nie, Poledro - rzekła Cyradis trzęsącym się ze wzruszenia głosem. - Sygnał, że nadeszła Chwila Wyboru, musi nadejść z Księgi Niebios.

- Lecz ty nie widzisz niebios, Cyradis - przypomniała jej babcia Gariona. - Jesteśmy pod ziemią. Księga Niebios nie jest widoczna.

- Nie muszę wędrować ku Księdze Niebios, albowiem ona przybędzie do mnie.

- Rozważ dobrze swą decyzję, Cyradis - ponagliła Zandramas bałamutnym głosem. - Rozważ me słowa. Nie ma innego wyboru ponad syna Belgariona.

Umysł Gariona zrobił się nagle niezwykle czujny. Zandramas podjęła decyzję. Wiedziała, co zamierza uczynić, lecz w jakiś sposób udało jej się to przed nim ukryć. Odczuł niemalże podziw dla swego wroga. Z istic wojskową precyzją przygotowała każdy ruch od samego początku i każdą możliwość obrony. W miarę jak obrona zawodziła, sięgała po kolejny sposób. Dlatego nie mógł wysondować jej umysłu. Ona wiedziała, co robić, więc nawet nie musiała się nad tym zastanawiać. Wyczuwał jednak, że jej następny krok wiązał się w pewien sposób z Cyradis. To była ostatnia linia obrony Zandramas.

- Nie rób tego, Zandramas - odezwał się do czarodziejki. - Wiesz, że to nieprawda. Zostaw ją w spokoju.

- A zatem wybieraj, Cyradis - rozkazała czarodziejka.

- Wszelako nie mogę. Ów moment jeszcze nie nadszedł. - Na twarzy Cyradis zagościł grymas nieludzkiej rozpacz.

Garion poczuł, jak fale niezdecydowania i wątpliwości emanowały z Zandramas skupiając się na prorokini z przepaską na oczach. Ostatnia, desperacka próba Zandramas. Skoro zawiodła broń wymierzona w nich, spróbowała zaatakować Cyradis.

- Pomóż jej, ciociu Pol - Garion wysiał desperacką myśl. - Zandramas próbuje powstrzymać ją od dokonania Wyboru.

- Tak, Garionie - usłyszał spokojną odpowiedź Polgary. - Wiem o tym.

- Zrób coś!

- Jeszcze nie nadszedł czas. Musi przyjść w momencie Wyboru. Jeśli spróbuję zrobić

coś wcześniej, Zandramas zacznie się zaciekle bronić.

- Coś się dzieje na zewnątrz - odezwał się nagle Durnik. - Jakieś światło dochodzi z korytarza.

Garion spojrział szybko. Światło wydawało się ponure i niewyraźne, i nie przypominało światła, jakie widział wcześniej w swoim życiu.

- Nadszedł czas Wyboru, Cyradis - powiedziała Zandramas okrutnym głosem. - Wybieraj!

- Nie mogę! - zatkała prorokini odwracając głowę w kierunku wzmagającej się poświaty. - Jeszcze nie! Jeszcze nie gotowa! - zachwiała się załamując ręce. - Nie jestem jeszcze gotowa! Nie mogę dokonać Wyboru!

- Wybieraj! - powtórzyła nieubłaganie Zandramas.

- Gdybym tylko mogła ich zobaczyć! - płakała Cyradis. - Gdybym mogła ich ujrzeć!

Wtedy rozległ się jasny głos Polgary.

- To proste, Cyradis - odezwała się spokojnym, dziwnie pocieszającym tonem. - Twoja wizja zaciemnia twój wzrok. To wszystko. - Wyciągnęła rękę i delikatnie usunęła przepaskę. - Popatrz zatem ludzkimi oczami i dokonaj wyboru.

- To zabronione! - Zandramas zaprotestowała gwałtownie widząc, jak traci ostatnią szansę.

- Nie - odparła Polgara. - Gdyby to było zakazane, nie mogłabym tego uczynić.

Cyradis cofnęła się porażona światłem w grocie, choć było tak nikłe.

- Nie mogę! - krzyczała zakrywając oczy rękami. - Nie mogę!

Oczy Zandramas nagle zabłysnęły.

- Nadeszła chwila triumfu! - zawołała uradowanym głosem. - Wybór musi zostać dokonany, lecz teraz dokonany będzie przez tego drugiego. Już nie należy do Cyradis, jako że brak decyzji stał się wyborem.

- Czy to prawda? - spytał szybko Garion Beldina.

- Są dwie możliwości.

- Tak czy nie, Beldinie.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem, Garionie.

Nagle w oblanym ponurą poświatą korytarzu wybuchło bezgłośnie intensywne światło, jaśniejszy od słońca blask narastał i pęczniał. Niesamowita intensywność światła sprawiła, że nawet szczeliny między kamieniami w grocie zajaśniały wszystkimi kolorami tęczy.

- Wreszcie nadeszła. - Z ust Erionda wydobył się obojętny głos; znajomy głos z

umysłu Gariona. - To chwila Wyboru. Wybieraj, Cyradis, w przeciwnym razie wszystko ulegnie zagładzie.

- Nadeszła - równie bez emocji głos wydobył się z ust syna Gariona. - To chwila Wyboru. Wybieraj, Cyradis, w przeciwnym razie wszystko ulegnie zagładzie.

Cyradis zachwiała się targana brakiem zdecydowania, a jej oczy rzucały naprzemienne spojrzenia na dwie twarze przed nią. Ponownie załamała ręce.

- Nie może! - krzyknął cesarz Mallorei rzucając się impulsywnie do przodu.

- Musi! - zawołał Garion łapiąc przyjaciela za ramię. - Jeśli tego nie uczyni, wszystko zostanie stracone!

Oczy Zandramas ponownie rozgorzały bezbożną radością.

- To dla niej zbyt wiele! - prawie zapiała kapłanka. - Już dokonałaś wyboru, Cyradis - krzyknęła. - Nie można cofnąć decyzji. Teraz ja dokonani wyboru za ciebie i ja dostąpię zaszczytu wraz z nadejściem Boga Ciemności!

Zandramas popełniła ostatni i najgorszy błąd. Cyradis wyprostowała się i z promieniejącymi oczami spojrzała prosto w świetlistą twarz czarodziejki.

- Nie, Zandramas - rzekła lodowatym głosem. - Zaprawdę był to jeno brak zdecydowania, nie Wybór, a odpowiednia chwila jeszcze nie minęła. - Podniosła swą piękną twarz i zamknęła oczy. Wielki chór proroków Kell zabrzmiał w ciasnych przestworzach groty i umilkł po chwili, pozostawiając wszechobecną nutę pytania.

- A zatem decyzja należy całkowicie do mnie - oświadczyła Cyradis. - Czy wszystkie warunki zostały spełnione? - Zadała to pytanie dwóm niewidzialnym świadomościom unoszącym się między Eriondem i Geranem.

- Tak - odparła jedna ustami Erionda.

- Tak - rzekła druga ustami Gerana.

- A zatem słuchajcie mego Wyboru - powiedziała. Ponownie spojrzała prosto w twarze małego chłopczyka i młodzieńca. Następnie z okrzykiem nie ludzkiej rozpaczycy rzuciła się w objęcia Erionda. - Ciebie wybieram! - załkała. - Na dobre czy złe, ciebie wybieram!

Grotą zatrzęsło, lecz nie z powodu trzęsienia ziemi, ponieważ nawet najmniejszy kamyczek nie drgnął i nie powstała żadna szczelina w grubych ścianach pieczary. Z jakiejś przyczyny Gariona ogarnęło przekonanie, że cały świat się poruszył; może o cale, o kroki, lub o cale mile. W głębi jego umysłu zrodziło się podejrzenie, że wszechświat również odczuł ten potężny wstrząs. Moc, jaką uwolniła rozpaczliwa decyzja Cyradis, wykraczała poza granice ludzkiego zrozumienia.

Stopniowo promieniujące światło zaczęło słabnąć, podobnie jak poświata obmywająca

Sardion. Gdy Prorokini z Kell dokonała Wyboru, Zandramas skurczyła się w sobie i zdawało się, że kołujące światełka pod skórą jej twarzy zamigotały, a następnie zaczęły wirować i jaśnieć coraz bardziej.

- Nie! - wrzasnęła. - Nie!

- Może światła w twym ciele są twą nagrodą, Zandramas - rzekła Poledra. - Może będziesz świeciła jaśniej niżli jakaś konstelacja. Dobrześ służyła Wyroczeni Ciemności i może znajdzie ona jakiś sposób, aby cię wynagrodzić. - Po tych słowach babcia Gariona podeszła do odzianej w satynowe, czarne szaty czarodziejki.

Zandramas skurczyła się jeszcze bardziej.

- Nie dotykaj mnie - rzekła.

- Nie ciebie dotknę, Zandramas, lecz twego ubioru. Ujrzę, jak otrzymujesz swe zaszczyty i nagrodę. - Poledra zdarła satynowy kaptur i czarne szaty opadły na kamienną posadzkę. Zandramas nie próbowała ukrywać swej nagości; w rzeczy samej nie miała bowiem czego ukrywać. Była teraz niczym więcej jak słabym zarysem, skorupką napelnioną wirującymi światełkami, które jaśniały coraz intensywniej.

Geran rzucił się w ramiona matki, która łkając z radości przytuliła go mocno.

- Czy coś mu się stanie? - Garion zwrócił się do Erionda. - Mimo wszystko jest Dzieckiem Ciemności.

- Nie ma już Dziecka Ciemności, Garionie. - Eriond spokojnie udzielił tej odpowiedzi. - Twój syn jest bezpieczny.

Garion poczuł olbrzymią ulgę. Nagle coś, co poczuł w Momencie Wyboru, zaczęło coraz bardziej wdzierać się do jego świadomości. Było to przepelniające poczucie obecności, które zawsze odczuwał, kiedy stawał twarzą w twarz z bogiem. Spojrzał bacznie na Erionda i poczucie to umocniło się jeszcze bardziej. Jego młody przyjaciel wyglądał inaczej. Wcześniej był młodym, dwudziestoletnim mężczyzną. Teraz wydawało się, że wiekiem zrównał się z Garionem, mimo że jego twarz zdawała się jaśnieć przedziwnym wiecznie młodym blaskiem. Jeszcze niedawno niewinnie słodki, teraz stał się poważny, a z jego oczu emanowała mądrość.

- Mamy tu do zrobienia jeszcze jedną, ostatnią rzecz, Belgarionie - powiedział uroczystym głosem. Wykonał gest w kierunku Zakatha, po czym delikatnie popchnął płaczącą Cyradis w ramiona Mallooreanina. - Opiekuj się nią, proszę - powiedział.

- Do końca dni swoich, Eriondzie - obiecał Zakath przytulając łkającą dziewczynę.

- A teraz, Belgarionie - kontynuował Eriond - daj mi Jabłko mego brata z rękojeści miecza Rivy Żelaznopalcego. Najwyższy czas zakończyć to, co wzięło tu swój początek.

- Oczywiście - odparł Garion. Sięgnął przez ramię i położył rękę na gałce miecza. -

Wyjdź - powiedział do Klejnotu i gdy kamień znalazł się w jego dłoni, wręczył go młodemu bogu.

Eriond wziął gorejący błękitem kamień, odwrócił się w kierunku Sardiona, po czym ponownie spojrzął na Jabłko. Coś niewyjaśnionego pojawiło się w jego twarzy, gdy tak patrzył na dwa kamienie, które zapoczątkowały całą historię. Na chwilę uniósł twarz, a na jego obliczu malowała się radość.

- Niech i tak będzie - powiedział wreszcie.

Wtedy ku przerażeniu Gariona schwycił Klejnot jeszcze mocniej i zupełnie świadomie wyciągnął rękę w kierunku pałającego Sardiona.

Czerwonawy kamień zdawał się cofać. Podobnie jak Ctuchik w ostatnim momencie swego życia najpierw rozrósł się, a potem skurczył. Potem rozrósł się raz jeszcze, ostatni raz i jak Ctuchik eksplodował tysiącem barw. Jakaś niewidzialna, wszechpotężna moc pochodząca prawdopodobnie od woli Erionda, lub od mocy Klejnotu, albo z jakiegoś innego źródła, stłumiła gigantyczny wybuch. Garion wiedział, że gdyby nie ona, świat zostałby rozbity na miriady kawałków.

Mimo że eksplozję zdławiło nieśmiertelne i niezniszczalne ciało Erionda, podmuch cisnął wszystkich na podłogę i kamienne ściany groty. Skały i kamienie posypały się deszczem ze sklepienia i piramidalną wysepką, jaka pozostała po Korim, targnął wstrząs silniejszy niż trzęsienie ziemi, które zniszczyło Rak Cthol. Dźwięk zamknięty w małej przestrzeni groty wydawał się nie do wytrzymania. Bez chwili zastanowienia Garion przetoczył się po rozedrganej podłodze, aby zakryć okutym w pancerz ciałem Ce'Nedre i Gerana, dostrzegając kątem oka, że wielu przyjaciół postąpiło tak samo, osłaniając swych najbliższych.

Targana konwulsjami ziemia nie przestawała się trząść. Ręka Erionda niknęła w tym, co jeszcze przed chwilą było Sardionem, a teraz przeistoczyło się w kulę intensywnej energii tysiąc razy jaśniejszej niż słońce.

Eriond ze spokojem na twarzy wycofał rękę ze środka mieniącego się obłoku. Unicestwienie Jabłka Aldura usunęło więzi, jakie utrzymywały Sardion w jednym kształcie i miejscu, i płonące kawałki Cthrag Sardiusa buchnęły w górę przez sklepienie groty rozrywając wierzchołek piramidy i wyrzucając w powietrze olbrzymie, kamienne bloki, jakby nie były czymś większym od morskich kamyków.

Nagle odsłonięte niebo rozbłysło światłem jaśniejszym niż słońce, światłem, które rozpościerało się od horyzontu po horyzont. Fragmenty Sardiona płynęły strumieniami ku górze zatracając się w tym intensywnym blasku.

Zandramas załkała nieczłowiecznym, zwierzęcym głosem. Słaby zarys niegdyś pięknej kobiety wił się i wykręcał w agonii.

- Nie! - wrzasnęła. - Tak nie może być! Obiecałeś! - Garion nie wiedział, nie mógł wiedzieć, z kim rozmawiała. Wyciągnęła ręce do Erionda w błagalnym geście. - Pomóż mi, Boże Angaraku! - zawołała. - Nie pozwól mi wpaść w cuchnące łapy Mordji czy Króla Ciemności! Oszczędź mnie!

Wtem jej przezrzysta skóra - wszystko co zostało z jej ciała - pękła niczym mydlana bańka, a wirujące światełka popłynęły nieubłaganie ku górze śladem okruchów Sardiona prosto w objęcia oślepiającego blasku ogarniającego niebo.

To co zostało z Czarodziejki z Darshivy, opadło na kamienną płytę niczym zapomniany strój; zmietoszony i poszarpany jak nikomu niepotrzebny strzęp materiału.

Garion poznał od razu głos, który dobył się z ust Erionda. Słuchał go przez całe swoje życie.

- Punkt - rzekł odległym, pozbawionym emocji tonem. - Punkt i koniec gry.

Rozdział XXV

W grocie zaległa upiorna cisza. Garion podniósł się z trudem i pomógł wstać Ce'Nedrze. - Nic ci nie jest? - zapytał ściszym głosem. Ce'Nedra skinęła głową. Z przejściem na osmalonej twarzy badała swego małego chłopca. Garion rozejrzał się dookoła. - Czy nikomu nic się nie stało?

- Czy trzęsienie ziemi już się skończyło? - spytał Silk nie przestając osłaniać Velvet własnym ciałem.

- Już minęło, Kheldarze - rzekł młody bóg, po czym odwrócił się i oddał Garionowi Jabłko.

- Czy nie w twoich rękach ma pozostać? - spytał Garion. - Sądziłem...

- Nie, Garionie. Nadal jesteś Strażnikiem Klejnotu.

Nie wiedzieć z jakiej przyczyny Garion poczuł się lepiej słysząc te słowa. Nawet teraz po niesamowitych przeżyciach odczuwał pustkę nieopisaną straty. Był przekonany, że będzie musiał oddać Klejnot. Chciwość nie leżała w naturze Gariona, lecz przez te wszystkie lata Jabłko Aldura stało się dla niego bardziej przyjacielem niż przedmiotem.

- Czyż nie opuścimy owego miejsca? - spytała Cyradis głosem pełnym głębokiego smutku. - Pragnę roztoczyć opiekę nad moim wiernym przyjacielem.

Durnik delikatnie dotknął jej ramienia, po czym wszyscy odwrócili się i cicho zaczęli zagłębiać się w mroczny korytarz zmierzając w stronę światła nadziei migoczącego na jego krańcu.

Na zewnątrz zmrużyli oczy przed światłem silniejszym niż światło dnia. Intensywna poświata, która dotarła do mrocznej groty, zbladła jednak i przestała być oślepiająca. Garion rozejrzał się uważnie. Chociaż pora dnia na pewno była inna, ponownie doznał tego szczególnego wrażenia czasu zataczającego koła. Burza i błyskawice, które jeszcze niedawno szalały nad Miejscem, Którego Już Nie Ma, zniknęły. Chmury odpłynęły, a wiatr hulający nad rafą podczas walki ze smokiem i demonem zmienił się w delikatny zefirek. Po śmierci Toraka w Cthol Mishrak Garion w dziwny sposób odczuwał, że jest świadkiem brzasku pierwszego dnia. Teraz samo południe, wiele lat później, wydawało mu się południem tego samego dnia. Dzieło zapoczątkowane w Cthol Mishrak zostało teraz dokończony. Skończyło się i Garion odczuwał z tego powodu wielką ulgę. Czuł również lekkie zawroty głowy. Energia emocjonalna i fizyczna, którą wykorzystywał od pierwszego światła najbardziej pamiętnego dnia, który wpełzł na pokryte mgłą morze, wyczerpała się i poczuł ogarniającą go

słabość. Bardziej niż czegokolwiek pragnął wydostać się ze zbroi, lecz myśl o tym, jak wiele wysiłku będzie go kosztowało zdjęcie stalowego pancerza, przyprawiała go o dreszcze. Poprzestał na zdjęciu hełmu. Jeszcze raz popatrzył w twarze swych przyjaciół.

Chociaż Geran potrafił już chodzić, Ce'Nedra nalegała, że będzie go nosić, i nieustannie przytulała swój policzek do jego buzi całując go czule. Geran najwidoczniej nie miał nic przeciwko.

Zakath objął ramieniem Prorokinię z Kell, a wyraz jego twarzy jasno wskazywał, że nie miał zamiaru jej puścić. Garion przypomniał sobie z uśmiechem, jak w pierwszych chwilach ich otwarcie wyznanej miłości. Ce'Nedra wciąż wtulała mu się pod ramię. Znużonym krokiem podszedł do Erionda i zapatrzył się na skąpane w słońcu fale.

- Czy mogę cię o coś zapytać? - spytał.

- Oczywiście.

Garion spojrzał wymownie na Zakatha i Cyradis.

- Czy tak mniej więcej miały ułożyć się sprawy? - spytał. - Chodzi mi o to, że w młodości Zakath stracił kogoś bardzo bliskiego. Jeśli teraz straci Cyradis, może go to zniszczyć. Nie chciałbym, żeby tak się stało.

- Uspokój umysł, Garionie. - Eriond uśmiechnął się. - Nic nie rozdzieli tych dwoje, a przepowiednie są nieomyślne.

- To dobrze. Czy oni o tym wiedzą?

- Cyradis wie i w odpowiednim czasie wyjaśni wszystko Zakathowi.

- A zatem nadal jest prorokinią?

- Nie. Ta część jej życia skończyła się, gdy Polgara usunęła jej przepaskę z oczu. Cyradis jednak wcześniej zajrzała w przyszłość, a wie, że ma niezwykłą pamięć.

Garion zastanowił się przez chwilę i oczy otworzyły mu się szeroko.

- Czy chcesz powiedzieć, że los całego wszechświata zależał od wyboru zwykłej ludzkiej istoty? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie nazwałbym Cyradis zwykłą. Od dziecka przygotowywała się do tego zadania. Lecz w pewnym sensie masz rację. Wybór musiał zostać dokonany przez istotę ludzką, i to bez żadnej pomocy. Nawet jej naród nie mógł w owym momencie pomóc Cyradis.

Garion wzdrygnął się.

- To musiało napawać ją przerażeniem; to niesłychane osamotnienie.

- W istocie, lecz ludziom dokonującym wyboru zawsze towarzyszy podobne odczucie.

- Nie wybrała przypadkowo, prawda?

- Nie. Nie wybierała jednak między twym synem a mną. Wybierała między Światłem i

Ciemnością.

- Nie rozumiem zatem, skąd wzięły się te rozterki. Czyż nie wszyscy wolą światło od ciemności?

- Może ty i ja tak, lecz Prorocy zawsze znali Światło i Ciemność jako przeciwne strony tej samej materii. Nie martw się zbytnio o Zakatha i Cyradis, Garionie - rzekł Eriond wracając do początkowego tematu. - Nasz wspólny przyjaciel tutaj - postukał się palcem w czoło - poczynił kilka przygotowań względem ich przyszłości. Zakath będzie odgrywał niezwykle ważną rolę do końca swego życia, a nasz przyjaciel ma wiele sposobów zachęcania ludzi do robienia koniecznych rzeczy obdarowując ich czasem nagrodami.

- Tak jak w przypadku Relga i Taiby?

- Albo ciebie i Ce'Nedry, czy Polgary i Durnika.

- Czy możesz mi wyjawić, co ma zrobić Zakath?

- Zakończy to, co ty zacząłeś.

- Czy ja nie spisałem się dobrze?

- Oczywiście, że się spisałeś, lecz nie jesteś Angarakiem. Myślę, że zrozumiesz to w odpowiednim czasie, a nie jest to takie skomplikowane.

Garionowi przyszła do głowy myśl, która natychmiast rozjaśniła jego umysł wykluczając możliwość omyłki.

- Wiedziałeś o wszystkim, prawda? To znaczy, kim naprawdę jesteś.

- Wiedziałem, że istnieje taka możliwość. Nie miała się jednak urzeczywistnić, zanim Cyradis dokona Wyboru. - Popatrzył, jak pozostali otaczają znieruchomiałe ciało Totha. - Myślę, że potrzebują nas teraz - powiedział.

Twarz Totha zastygła w ciszy i spokoju; ręce miał złożone na piersiach, gdzie zakrywały śmiertelną ranę zadaną przez Cthrek Goru. Cyradis wtulona w objęcia Zakatha stała z twarzą mokrą od świeżych łez.

- Jesteś pewny, że to dobry pomysł? - spytał Beldin Durnika.

- Tak - odparł kowal. - Widzisz...

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać, Durniku - rzekł garbus. - Chciałem tylko wiedzieć, czy jesteś pewny. Zbudujmy dla niego lektykę. Będzie dostojniej. - Wykonał szybki gest i przy ciele Totha pojawiło się kilka gładkich, prostych drągów i zwój liny. Szybko związali gładkie drzewca, aby tworzyły wygodną lektykę, a następnie złożyli na niej olbrzymie ciało niemowy. - Belgaracie, Garionie - odezwał się Beldin - będziemy potrzebowali pomocy.

Chociaż każdy z nich był w stanie przemieścić ciało Totha do wnętrza groty, czterej

czarodzieje zdecydowali się zanieść je na miejsce ostatecznego spoczynku odprawiając ceremonię starą jak sama ludzkość.

Jako że eksplozja zrobiła olbrzymią wyrwę w sklepieniu groty, południowe słońce wypełniło światłem poprzednio mroczną jaskinię. Cyradis zadrżała widząc ponury ołtarz, na którym leżał Sardion.

- Wydaje się tak ciemny i wstrętny - rzekła żalonym głosem.

- Rzeczywiście nie jest zbyt atrakcyjny - potwierdziła krytycznie Ce'Nedra, po czym zwróciła się do Erionda. - Czy sądzisz...?

- Oczywiście - zgodził się. Pobieźnie rzucił okiem na prosty, kamienny ołtarz, który zamigotał zmieniając się w gładkie mury ze śnieżnobiałego marmuru.

- Tak jest dużo lepiej - powiedziała. - Dziękuję ci.

- On był również moim przyjacielem, Ce'Nedro - odparł młody bóg.

Pod żadnym względem nie był to oficjalny pogrzeb. Garion wraz z przyjaciółmi zebrali się wokół mar i patrzyli na twarz przyjaciela, który odszedł do innego świata. W niewielkiej grocie znajdowało się tak duże skupisko energii, że Garion nie wiedział, kto stworzył pierwszy kwiatek. Pnącza, niczym ożywiony wiosną bluszcz, zaczęły nagle rosnąć i pięć się po ścianach, a jego pędy pokryte były pysznie pachnącym, białym kwieciem. Pomiędzy jednym a drugim oddechem podłoga pokryła się kobiercem soczysto zielonego mchu. Kwiaty wspięły się na mury, a Cyradis postąpiła krok naprzód, aby położyć na piersi olbrzyma skromną, białą różę, którą podała jej Poledra. Ucałowała zimne czoło mężczyzny i westchnęła.

- Myślę, że te kwiaty uschną i przeminą zbyt prędko.

- Nie, Cyradis - odezwał się miękko Eriond - nie stanie się tak. Zachowają świeżość i młodość aż po kraniec dni.

- Niezmiernie ci wdzięczna, Boże Angaraku - rzekła ze słabym uśmiechem.

Durnik i Beldin odeszli w kąt w pobliże stawiku, aby porozmawiać na osobności. Następnie spojrzeli w górę, skoncentrowali się na chwilę i zadaszyli groty połyskującym kwarcem, który rozszczepiał światło w tęcze wielobarwne promienie.

- Czas ruszać, Cyradis - odezwała się Polgara do filigranowej dziewczyny. - Zrobiliśmy co w naszej mocy.

Po tych słowach wraz z matką wzięły pod ramię płaczącą prorokinię i wolno poprowadziły ją z powrotem ku wyjściu. Pozostali podążyli powoli za nimi.

Durnik stał przy marach trzymając dłoń na nieruchomym ramieniu Totha. W końcu cofnął rękę, w której niemalże natychmiast zmateriałizowało się długie wędzisko. Delikatnie

położył je przy ciele przyjaciela, poklepał ogromne skrzyżowane ręce, po czym odwrócił się i wyszedł.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Beldin i kowal zapieczętowali wyjście kwarcem.

- A to miła niespodzianka - Silk smutno przemówił do Gariona wskazując na miejsce ponad portalem. - Który z was o tym pomyślał?

Garion odwrócił się i spojrział w miejsce, gdzie jeszcze niedawno wisiał wizerunek Toraka, a teraz wpatrywała się w nich błogosławiąca twarz Erionda.

- Nie jestem do końca pewny - odparł - i nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie. - Poklepał palcami po napierśniku swej zbroi. - Mógłbyś mi z tym pomóc? - spytał. - Chyba już nie będę potrzebował tego żelastwa.

- Tak - zgodził się Silk - prawdopodobnie nie będziesz. Z tego co widzę zabrakło ludzi, z którymi mógłbyś walczyć.

- Miejmy nadzieję.

Tuż przed zmierzchem skończyli usuwać ciała Grolimów z amfiteatru i uprzątać kamienną podłogę. Nie mieli jednak pojęcia, co zrobić z ogromną padliną smoka. Garion usiadł na najniższym stopniu schodów prowadzących do amfiteatru. Ce'Nedra, tuląc śpiące dziecko, zasnęła w ramionach męża.

- Całkiem nieźle - przemówił do niego znajomy głos; tym razem nie rozbrzmiał w głębiach jego umysłu, lecz zdawał się być tuż przy nim.

- Sądziłem, że odszedłeś - odparł Garion mówiąc cicho, aby nie zbudzić żony i syna.

- Nie odszedłem - rzekł głos.

- Zdaje się, że przypominam sobie, jak kiedyś powiedziałeś, że powstanie nowy głos - świadomość jest chyba lepszym określeniem.

- Zgadza się. Jestem jej częścią.

- Nie do końca rozumiem.

- Nie jest to wcale takie skomplikowane, Garionie. Przed tym zdarzeniem istniała tylko jedna świadomość, lecz potem została podzielona w ten sam sposób jak wszystko inne. Teraz zaistniała na powrót, lecz ponieważ byłem częścią oryginału, dołączyłem do niej i jesteśmy znowu jednością.

- Co to znaczy: „nie skomplikowane”?

- Naprawdę chcesz, żebym tłumaczył dalej? Garion zaczął coś mówić, lecz szybko zrezygnował.

- Nadal jednak możesz się dzielić?

- Nie. Taka możliwość doprowadziłaby jedynie do kolejnego podziału.

- A zatem w jaki sposób... - W ostatniej chwili Garion stwierdził, że nie chce zadawać tego pytania. - Może damy temu spokój? - zaproponował. - Co to było za światło?

- Wstrząs, który rozdzielił wszechświat, jak również oddzielił mnie od mojego przeciwieństwa i Jabłko od Sardiona.

- Sądziłem, że miało to miejsce dawno temu.

- W istocie. Bardzo dawno temu.

- Ale...

- Posłuchaj, Garionie. Czy wiesz cokolwiek na temat światła?

- Światło... to po prostu światło, czyż nie?

- Jest jeszcze coś więcej. Czy kiedykolwiek przyglądałeś się z daleka komuś rąbiącemu drwa?

- Tak.

- Zauważyłeś, że dopiero w chwilę po uderzeniu słyszałeś dźwięk?

- Tak, teraz kiedy o tym mówisz, przypominam sobie. Dlaczego tak się dzieje?

- Przerwa jest równa ilości czasu potrzebnej, aby dźwięk dotarł do ciebie. Światło porusza się dużo szybciej niż dźwięk, lecz mimo to przemieszczenie się z jednego miejsca do drugiego zajmuje mu trochę czasu.

- Wierzę ci na słowo.

- Czy wiesz, co to był za wstrząs?

- Coś co zdarzyło się pośród gwiazd.

- Dokładnie. Umierająca gwiazda umarła w miejscu, w którym nie miało się to zdarzyć. Umierająca gwiazda eksplodowała w nieodpowiednim miejscu rozpalając swym ogniem całe zgrupowanie gwiazd - galaktykę. Wybuch galaktyki rozdarł strukturę wszechświata, który rozdzielił się w obronie. To właśnie stało się przyczynkiem rozwoju wydarzeń.

- Dlaczego zatem mówiliśmy o świetle?

- Tym właśnie było to nagłe światło. Światłem pochodzącym z wybuchającej galaktyki - wstrząsem, wypadkiem. Dopiero teraz dotarło ono do ziemi.

Garion z trudem przełknął ślinę. - A jak daleko zdarzył się ten wypadek?

- Liczby nic ci nie powiedzą.

- Jak dawno temu?

- Kolejna liczba, której byś nie zrozumiał. Możesz spytać Cyradis. Prawdopodobnie byłaby w stanie udzielić ci wyjaśnienia. Miała jakiś szczególny powód, aby obliczyć to dość dokładnie.

Garion powoli zaczynał rozumieć.

- A zatem to tak - rzekł zadowolony z siebie. - Chwila Wyboru była chwilą, kiedy światło z wybuchu dotarło do tego świata.

- Świetnie, Garionie.

- Czy to zgrupowanie gwiazd, które wybuchło, zjednoczyło się ponownie po tym, jak Cyradis dokonała Wyboru? Chodzi mi o to, że musi istnieć coś, co załata tę dziurę we wszechświecie, nieprawdaż?

- Coraz lepiej, Garionie. Jestem z ciebie dumny. Pamiętasz, jak Sardion i Zandramas rozpadli się na małe cząstki silnego światła?

- Takich rzeczy się nie zapomina. - Garion wzdrygnął się na samą myśl.

- Nie stało się to bez powodu. Zandramas i Sardion, albo raczej ich cząstki, są w drodze do tej, jak to określiłeś, „dziury”. Właśnie oni będą stanowili łatkę. Oczywiście po drodze będą się powiększali.

- A jak długo... - Garion przerwał. - Kolejna nie mająca znaczenia liczba, jak sądzę?

- Wyjątkowo nie mająca znaczenia.

- Tam w grocie dostrzegłem pewne rzeczy, jeśli chodzi o Zandramas. Wszystko zostało zaplanowane, prawda? Od samego początku?

- Moje przeciwieństwo zawsze było niezwykle metodologiczne.

- Miałem na myśli, że ona zaplanowała wcześniej rozwój wypadków. Wszystko miała zaaranżowane już w Nyissa, zanim jeszcze udała się do Chereku na spotkanie z wyznawcami kultu Niedźwiedzia. Kiedy wyruszyła do Rivy, aby wykraść Gerana, też była przygotowana na wszystko. Nawet zorganizowała wszystko tak, abyśmy podejrzewali wyznawców kultu, a nie ją.

- Byłby z niej prawdopodobnie niezwykle utalentowany przywódca.

- Posunęła się jeszcze dalej. Bez względu na to, jak dobre były jej plany, zawsze miała jeszcze jakieś odwody na wypadek, gdyby początkowe zamierzenie się nie powiodło. - Nagle przyszło mu coś do głowy. - Czy wpadła w łapy Mordji? To znaczy, rozpadła się na cząstki, kiedy eksplodował Sardion, prawda? Czy jej duch nęka się wśród gwiazd, czy został wciągnięty do świata podziemi? Zanim się rozproszyła, sprawiała wrażenie bardzo zatrwożonej.

- Naprawdę nie wiem, Garionie. Wraz z moim przeciwieństwem zajmowaliśmy się tym wszechświatem, a nie światem ciemności, który stanowi odrębny wszechświat.

- Co by się stało, gdyby Cyradis wybrała Gerana zamiast Erionda?

- Ty i Klejnot poruszalibyście się teraz w nieco innym kierunku.

Garion poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach.

- I ty mnie nie ostrzegłeś? - spytał z niedowierzaniem.

- Czy naprawdę chciałbyś znać prawdę? Jaką to czyniłoby różnicę?

Garion pozostawił pytanie bez odpowiedzi.

- Czy Eriond zawsze był bogiem? - zapytał.

- Czy nie słuchałeś, jak wcześniej wyjaśniał? Eriond miał być siódmym bogiem.

Torak był błędem zrodzonym przez wstrząs.

- A więc on zawsze brał udział we wszystkich wydarzeniach? Mam na myśli Erionda.

- Zawsze, to niezwykle rozległy okres, Garionie. Eriond był obecny, duchem, od czasu wstrząsu. Wraz z twymi narodzinami zaistniał ciałem w tym świecie.

- A zatem jesteśmy w tym samym wieku?

- Wiek nie ma znaczenia w przypadku bogów. Mogą być w każdym wieku, jaki sobie wybiorą. Kradzież Klejnotu sprawiła, że sprawy zaczęły się posuwać w kierunku dzisiejszych zdarzeń. Zedar chciał skraść Klejnot, więc Eriond znalazł go i pokazał mu, jak to zrobić. To właśnie sprawiło, że zacząłeś działać. Gdyby Zedar nie ukradł Klejnotu, ty prawdopodobnie nadal mieszkałbyś na farmie Faldora i Zubrette. Możesz mieć na ten temat własne zdanie, Garionie, lecz ten świat został ukształtowany tak, abyś miał na czym stać, gdy będziesz rozwiązywał wszelkie problemy.

- Proszę, skończ z tymi żartami.

- Nie żartuję, Garionie. Jesteś najważniejszą osobą jaka kiedykolwiek żyła, czy kiedykolwiek będzie żyła, może z wyjątkiem Cyradis. Zabiłeś złego boga i zastąpiłeś go dobrym. Pokonując przeszkody brnąłeś uparcie do celu, lecz w końcu zdołałeś sobie ze wszystkim poradzić. W pewnym sensie jestem z ciebie dumny. Mimo wszystko spisałeś się świetnie.

- Nie dałbym sobie rady bez pomocy.

- Zgadza się, ale masz prawo do odrobiny zarozumiałości. Oczywiście nie przesadzaj z nią. Nie jest to zbyt piękna cecha.

Garion powstrzymał uśmiech.

- Dlaczego ja? - Jego pytanie zabrzmiało żałośnie i głupkowato.

Nastąpiła chwila zdziwienia, a potem głos roześmiał się.

- Proszę, nie zaczynaj znów, Garionie.

- Wybacz mi. A co teraz?

- Musisz wracać do domu.

- Chodzi mi o los świata.

- Wiele będzie w tej materii zależało od Zakatha. Eriond jest bogiem Angaraku, a pomimo Urgita, Drosty i Nathela prawdziwym władcą Angaraku jest Zakath. Możliwe, że zajmie mu to sporo czasu i może będzie musiał wykorzystać w tym procesie wielu Grolimów, lecz zanim skończy, Zakath wtłoczy Erionda do gardła wszystkim Angarakom żyjącym na świecie.

- Poradzi sobie. - Garion wzruszył ramionami. - Zakath jest bardzo dobry we wtłaczaniu ludziom do gardła różnych rzeczy.

- Przypuszczam, że Cyradis uda się złagodzić tę cechę charakteru cesarza.

- A co później? Gdy już wszyscy Angarakowie zaakceptują Erionda?

- Ruch rozprzestrzeni się. Prawdopodobnie będziesz żył na tyle długo, aby ujrzeć dzień, w którym Eriond stanie się rzeczywiście bogiem całego świata. Takie właśnie było zamierzenie. Od samego początku.

- „I będzie miał panowanie i zwierzchnictwo”? - zacytował Garion z zamierającym sercem przypominając sobie przepowiednie Grolimów..

- Dobrze znasz Erionda. Czy wyobrażasz go sobie, jak siedzi na tronie i rozkoszuje się widokiem składanych mu ofiar?

- Nie, z pewnością nie. Co zatem stanie się z innymi bogami? Z Aldurem i całą resztą?

- Ustąpią. Wykonali swoje zadania, a we wszechświecie istnieje przecież mnóstwo innych światów.

- A UL? Czy on również odejdzie?

- UL nie opuszcza żadnego miejsca, Garionie. On jest wszędzie. Czy mniej więcej uzyskałeś odpowiedź na wszystkie swoje pytania? Muszę jeszcze poczynić ustalenia co do wielu innych istot. Och, przy okazji, moje gratulacje z okazji narodzin córek.

- Córek?

- Małe dzieci rodzaju żeńskiego. Są przebiegłe, lecz dużo ładniejsze od synów i ładniej pachną.

- Dwie? - spytał Garion wstrzymując powietrze.

- Całkiem sporo. Nie podam ci dokładnej liczby. Nie chciałbym ci psuć niespodzianki, lecz kiedy wrócisz do Rivy, lepiej zacznij rozbudowywać królewską bawialnię. - Nastąpiła długa przerwa. - A teraz żegnaj, Garionie - rzekł głos już nie tak sucho. - Bądź zdrow.

Po tych słowach głos odszedł.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Garion, Ce’Nedra i Geran dołączyli do reszty zebranych przy monumentalnym wejściu do grotty. Wszyscy siedzieli nieco markotni nie opodal olbrzymiego cielska martwego smoka.

- Powinniśmy coś z tym zrobić - mruknął Belgarath. - Nie był w istocie takim brutalem. Głupota nie jest przecież występkiem. Zawsze mu współczułem, więc nie chcę, żeby na tej otwartej przestrzeni rozdziobały go ptaki.

- Z twego głosu przebija sentymentalna nuta, Belgaracie - zauważył Beldin. - Bardzo mnie rozczarowujesz.

- Z wiekiem stajemy się coraz bardziej sentymentalni. - Belgarath wzruszył ramionami.

- Czy ona ma się dobrze? - spytała Velvet Sadię, kiedy eunuch powrócił z małą buteleczką, w której mieszkała Zith. - Długo cię nie było.

- W porządku - odparł Sadi. - Jedno z małych chciało się bawić. Stwierdziło, że będzie zabawnie, jak się przede mną schowa. Trochę potrwało, zanim je znalazłem.

- Czy jest jakiś konkretny powód przemawiający za tym, abyśmy tu zostali? - spytał Silk. - Moglibyśmy zaświecić tą latarenką i może kapitanowi Kresce uda się nas zabrać przed zmierzchem.

- Będziemy mieli towarzystwo, Kheldarze - rzekł Eriond.

- My? Kogo oczekujemy?

- Pewni przyjaciele zamierzają się tu zatrzymać.

- Twoi czy moi przyjaciele?

- Prawdę mówiąc i tacy, i tacy. - Eriond wskazał na morze. Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku.

Nagle Silk roześmiał się głośno.

- Powinniśmy się byli tego spodziewać - powiedział. - Czy Barak kiedyś posłuchał rozkazu?

Wszyscy wpatrywali się w delikatnie falujący przestwór oceanu. „Morski Ptak” nie wyglądał co prawda najlepiej, lecz uparcie płynął halsem omijając rafę.

- Beldinie - zaproponował Silk - a może zejdziemy na brzeg i rozpalimy ognisko?

- Nie możesz sam tego zrobić?

- Z wielką przyjemnością, jeśli tylko nauczysz mnie, jak się rozpala ogień na skałach.

- Och, chyba o tym nie pomyślałem.

- Jesteś pewien, że nie jesteś starszy od Belgaratha? Zdaje się, że pamięć cię trochę zawodzi, stary wygo.

- Nie przesadzaj, Silku. Chodźmy zobaczyć, czy uda nam się sygnałem ściągnąć tę dużo za dużą kryptę w pobliże brzegu.

Obydwaj ruszyli ochoczo w kierunku skalistej plaży.

- Czy to też było zaaranżowane? - spytał Garion Erionda. - Chodzi mi o pojawienie się Baraka.

- Przyczyniliśmy się do tego, to prawda - przyznał Eriond. - Będziecie potrzebować transportu z powrotem do Rivy, a Barak i jego towarzysze w pewnym sensie są upoważnieni, aby dowiedzieć się, co tu się wydarzyło.

- Pozostali również? Czy tu wszystko rzeczywiście jest w porządku? Przecież w Rheon Cyradis powiedziała...

- Teraz ten problem przestał istnieć. - Eriond uśmiechnął się. - Wybór został dokonany. Wielu ludzi jest w drodze, aby się z nami spotkać. Nasz wspólny przyjaciel pasjami lubi związywać luźne końce.

- Jak widzę, już zdążyłeś poznać jego słabości.

„Morski Ptak” stanął po zawietrznej stronie rafy, a z jego sterburty spuszczone pękaty barkas, który sprawnie ruszył w stronę brzegu po czymś, co wydawało się Garionowi ciekłą, oleistą plamą migoczącą szkarłatem zachodzącego słońca. Wszyscy wstali, by dołączyć do Silka i Beldina, kiedy barkas gładko wślizgnął się na brzeg rafy.

- Co cię zatrzymało?! - zawołał Silk przekrzykując szum fal.

Barak z brodą płonąca czerwienią stał na dziobie łodzi opierając jedną nogę o wysoką burtę i szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jak się wam powiodło?! - odkrzyknął.

- Całkiem nieźle - odparł Silk, lecz nagle przypomniał sobie o czymś. - Wybacz, Cyradis - rzekł do Prorokini. - Postąpiłem jak ostatni gbur, prawda?

- Nie do końca, książę Kheldarze. Mój przyjaciel świadomie i z własnej woli złożył siebie w ofierze i mniemam, iż jego duch raduje się naszym sukcesem tak jak my sami.

Garion dostrzegł pozostałych przyjaciół. Zbroja Mandorallena lśniła tuż za olbrzymem Cherekiem. Był z nimi szczupły i podobny do bicza Hettar, Lelldorin, a nawet Relg. Syn Baraka Unrak stał przykuty łańcuchem do steru. Unrak wyrósł i zmężniał, lecz zadziwiająca pozycja młodzieńca zdumiała zgromadzonych na plaży.

Barak postawił swą olbrzymią stopę na okrężnicy przygotowując się do skoku.

- Ostrożnie - przestrzegł Silk. - Tu jest głęboko. Wielu Grolimów przekonało się o tym w mało przyjemny sposób.

- Powrzucaliście ich do wody? - spytał Barak.

- Sami powskakiwali.

Kil barkasa zazgrzytał na kamieniach i Barak wraz z przyjaciółmi wydostali się z łodzi.

- Dużo straciliśmy? - spytał olbrzym.

- Raczej nie - odparł ze wzruszeniem ramion Silk. - Przeciętne ratowanie wszechświata. Wiesz jak jest. Czy twój syn ma kłopoty? - Silk wskazał na Unraka, który sprawiał wrażenie przygnębionego w tych żelaznych pętach.

- Nie dokładnie - odparł Barak. - Koło południa zamienił się w niedźwiedzia. To wszystko. Sądziłem więc, że należy przedsięwziąć pewne kroki.

- To cecha twojego rodu, jak widzę. Po co jednak teraz go więzić?

- Żeglarze odmówili wejścia do łodzi w jego towarzystwie, dopóki my nie wejdziemy.

- Nie bardzo to wszystko rozumiem - mruknął Zakath do Gariona.

- To dziedziczna cecha - wytłumaczył Garion. - Członkowie rodziny Baraka są Opiekunami Króla Rivy. Kiedy okoliczności tego wymagają, przeistaczają się w niedźwiedzie. Barak zrobił to już kilkakrotnie, gdy znajdowałem się w niebezpieczeństwie. Okazuje się, że przeniósł tę cechę na swego syna Unraka.

- Unrak jest teraz twoim opiekunem? Wygląda na młodzika, a poza tym wcale nie potrzebujesz jakiegokolwiek protekcji.

- Nie. On prawdopodobnie jest opiekunem Gerana, a Geranowi w tej grocie groziło pewne niebezpieczeństwo.

- Panowie - odezwała się triumfalnie Ce'Nedra - czy mogę przedstawić wam Księcia Rivy? - Podniosła Gerana tak, żeby wszyscy go mogli zobaczyć.

- On zapomni, jak się chodzi, jeśli od czasu do czasu nie postawi go na ziemi - mruknął Beldin do Belgaratha.

- Wkrótce ramiona jej omdleją - odparł Belgarath.

Barak i pozostali zebrali się dookoła małej królowej, a wioślarze z niechęcią wyswobodzili syna Baraka z łańcuchów.

- Unraku! - wrzasnął Barak. - Podejdź tutaj!

- Tak, ojczu. - Chłopiec wyskoczył z łodzi i zbliżył się do nich.

- Na twych barkach spoczywa odpowiedzialność za tego młodziana - odezwał się Barak wskazując na Gerana. - Będę bardzo zły, jeśli pozwolisz, aby mu się cokolwiek stało.

Unrak skłonił się Ce'Nedrze.

- Wasza miłość - pozdrowił ją - Wspaniale wyglądasz.

- Dziękuję, Unraku. - Uśmiechnęła się.

- Czy mogę? - spytał Unrak wyciągając ręce w kierunku Gerana. - Jego wysokość i ja powinniśmy chyba się zapoznać.

- Oczywiście - odparła Ce'Nedra oddając Gerana młodemu Cherekowi.

- Tęskniliśmy za tobą, wasza wysokość. - Unrak wyszczerzył zęby do małego chłopca i przytulił go do siebie. - Następnym razem, jak będziesz planował podobną wycieczkę, powinienes wcześniej dać nam znać. Trochę się martwiliśmy.

Geran zachichotał, po czym wyciągnął rączki i pociągnął Unraka za rzadką, rudą brodę.

Unrak uśmiechnął się krzywo.

Ce'Nedra obejmowała po kolei każdego z przyjaciół całując ich od czasu do czasu. Mandorallen oczywiście płakał otwarcie, zbyt wzruszony, żeby wygłosić jakąś kwiecistą przemowę. Lelldorin znajdował się dokładnie w takim samym stanie. Relg tym razem nie wzdragał się przed uściskami królowej Rivy; będąc mężem Taiby przeszedł pewne filozoficzne przemiany.

- Zdaje się, że widzę tu kilku nieznajomych - zauważył Hettar swym cichym głosem.

Silk otwartą dłonią walnął się w czoło.

- Ależ ze mnie niedojda - rzucił. - Jak mogłem zapomnieć? Oto lady Poledra, żona Belgaratha i matka Polgary. Pogłoski o jej rzekomym zgonie okazały się mocno przesadzone.

- Może będziesz poważny? - wymamrotał Belgarath, kiedy przyjaciele z pewną trwogą witali brązowowłosą kobietę.

- Zapomnij - odparł szelmowsko Silk. - Za bardzo mnie to bawi, a właśnie zaczynam się rozgrzewać. Proszę, panowie - zwrócił się do nowo przybyłych - pozwólcie, że będę kontynuował. W przeciwnym razie przeciagnie się to do północy. Oto Sadi. Powinniście go pamiętać, Główny Eunuch w pałacu królowej Salmisry.

- Były Główny Eunuch, Kheldarze - poprawił Sadi kłaniając się wytwornie.

- Wasza ekscelencjo - powitał go Hettar. - Jestem pewien, że później będzie sporo czasu na wszelkie wyjaśnienia.

- Wszyscy pamiętacie Cyradis - kontynuował Silk - Świętą Prorokinię z Kell. Obecnie jest trochę zmęczona. Dzisiaj około południa musiała podjąć niezwykle ważną decyzję.

- Gdzie podziewa się ten olbrzym, który był z tobą w Rheon, Cyradis? - spytał Barak.

- Ku mej wielkiej rozpacz, jarlu Trelheim - rzekła - mój przewodnik i opiekun oddał życie, aby zesłać na nas ocalenie.

- Strasznie mi przykro - odparł Barak.

- A to, oczywiście - powiedział obojętnym tonem Silk - jego cesarska mość Kal Zakath, władca Mallorei. Od czasu do czasu okazywał się całkiem pomocny.

Przyjaciele Gariona popatrzyli na Zakatha oczami pełnymi zdumienia.

- Przypuszczam, że możemy odłożyć na bok pewne nieprzyjemne sprawy z

przeszłości - rzekł grzecznie Zakath. - Garion i ja mniej więcej załatwiliśmy między sobą kwestie sporne.

- Raduje mnie wielce, wasza cesarska mość - powiedział Mandorallen kłaniając się nisko - iż dożyłem owej chwili, kiedy oczy me zaznają ukojenia powszechnym pokojem, jakowy na nowo zapanował na świecie.

- Twa reputacja, ów cud cudów świata, wyprzedza cię, szlachetny panie z Mandor - odparł Zakath naśladując z powodzeniem mimbracki akcent. - Wszelako dostrzegam, iż owa reputacja skrywa się w cieniu głębokim takż znamienitej rzeczywistości.

Mandorallen rozpromienił się.

- Świetnie sobie radzisz - mruknął Hettar do Zakatha. Zakath wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym spojrział na Baraka.

- Następnym razem, jak zobaczysz się z Anhegiem, mój panie z Trelheim, powiedz mu, że nadal mam zamiar wysłać mu cennik, należy mi się coś niecoś za wszystkie moje statki, które zatopił w Morzu Wschodnim po Thull Mardu. Myślę, że należałoby dokonać pewnych reparacji.

- Życzę ci wiele szczęścia, wasza miłość... - Barak roześmiał się - ...lecz sędzę, że przekonasz się, jak bardzo niechętnie Anheg uchyla bramy swego skarbcu.

- Spokojnie - odezwał się cicho Garion do Lelldorina, który zeszywniał, poblądł, a wściekłość wykrzywiła jego oblicze, gdy usłyszał, z kim ma do czynienia.

- Ale...

- To nie była jego wina - rzekł Garion. - Twój kuzyn został zabity w walce. Takie rzeczy się zdarzają i nie ma co żywić urazy. Szukanie zemsty sprawiło, że w Arendii nieustannie wrze od jakichś dwudziestu pięciu setek lat.

- Jestem pewien, że wszyscy rozpoznacie Erionda, dawniej zwanego Podarkiem - odezwał się znów obojętnym tonem Silk. - Obecnie: Boga Angaraku.

- Co takiego?! - krzyknął Barak.

- Naprawdę powinieneś być bardziej na bieżąco, drogi Baraku - odezwał się Silk polerując paznokcie o przód swej tuniki.

- Silku - odrzekł z dezaprobatą Eriond.

- Przepraszam. - Silk wyszczerzył zęby. - Nie mogłem się powstrzymać. Czy możesz w swym sercu znaleźć miejsce na przebaczenie mi, wasza boskowatość? - Zmarszczył brwi. - A to ciekawe. Jak powinienem się do ciebie zwracać?

- A może po prostu Eriond?

Relg poblądł na twarzy i prawie instynktownie padł na kolana.

- Proszę, nie rób tego, Relgu - rzekł Eriond. - Mimo wszystko, znasz mnie od dzieciństwa, prawda?

- Ale...

- Powstań, Relgu - powiedział Eriond pomagając Ulgowi wstać. - Och, mój ojciec przesyła pozdrowienia i dobre słowo.

Relg popatrzył z trwogą.

- No cóż - odezwał się Silk kwaśno - równie dobrze możemy wynieść to na światło dzienne. Przyjaciele - powiedział - jestem pewien, że wszyscy pamiętacie margrabinę Liselle, moją narzeczoną.

- Twoją co? - zawołał zdumiony Barak.

- Wszyscy musimy się kiedyś ustatkować. - Silk wzruszył ramionami.

Zebrawi się, aby mu pogratulować. Velvet nie wyglądała jednak na zadowoloną.

- Czy coś nie tak, kochanie? - spytał niewinnie Silk.

- Nie uważasz, że o czymś zapomniałeś, Kheldarze? - spytała kwaśno.

- Nie przypominam sobie.

- Zapomniałeś mnie poprosić o rękę.

- Naprawdę? Czy mogłem o tym zapomnieć? Przecież nie zamierzałaś odmówić, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- A zatem...

- Jeszcze nie koniec, Kheldarze - rzekła złowieszczo.

- Chyba zanosi się na niezłą burę - zauważył.

- Mało powiedziane - zgodziła się z błyskiem w oku.

Na kamiennej scenie amfiteatru, opodal olbrzymiego cielska smoka, rozpalili spore ognisko. Durnik z nieco zawstydzoną miną przemieścił sporą kupkę drewna wyrzuconego przez fale na brzeg. Garion spojrzał krytycznie na stertę wilgotnych badyli.

- Przypominają mi się deszczowe wieczory, kiedy wraz z Eriondem spędziliśmy wiele czasu poszukując suchego drewna na opał. - Spojrzał na swego przyjaciela.

- To szczególna okazja, Garionie - wyjaśnił ze skrucą Durnik. - Poza tym, gdybyś wówczas chciał, też mógłbyś w jakiś sposób to zorganizować, prawda?

Garion popatrzył na niego i nagle wybuchnął gromkim śmiechem.

- Tak, Durniku - przyznał. - Chyba mogłem sam to zorganizować. Nie wiem jednak, co powiemy Eriondowi.

- Naprawdę sądzisz, że on nie wie?

Rozmawiali do późna. Od czasu kiedy widzieli się po raz ostatni, tak wiele się zdarzyło. Wreszcie ogarnęła ich senność i jeden po drugim zaczęli udawać się na spoczynek.

Na długo przed świtem Garion otworzył nagle powieki.

Nie obudził go dźwięk, lecz światło. Pojedynczy promień intensywnie błękitnego światła, który rozjarzył skalny amfiteatr. Wkrótce dołączyły do niego inne, wystrzelając lśniącymi kolumnami z nocnego nieba; czerwone, żółte, zielone i odcienie, których nazw nawet nie znał. Słupy światła stały w półkolu w pobliżu brzegu obmywanego potulnymi falami. Pośrodku tęczowej poświaty unosił się na nieruchomych, serafinowych skrzydłach znajomy biały albatros. Żarzące się kształty, jakie Garion widział wcześniej w Cthol Mishrak, zaczęły się pojawiać w kolumnach czystego światła: Aldur i Mara, Issa i Nedra, Chaldan i Belar. Bogowie stali z twarzami promieniującymi radością powitania.

- Nadszedł czas - westchnęła Poledra wtulona w ramiona Belgaratha. Stanowczym ruchem zdjęła jego ręce ze swych ramion i wstała.

- Nie! - zaprotestował Belgarath rozpaczliwym głosem, z oczami pełnymi łez. - Jeszcze jest czas.

- Wiedziałeś, że nadejdzie ta chwila, stary wilku - powiedziała delikatnie. - Musi tak być, wiesz o tym.

- Nie mogę cię znowu stracić - oświadczył wstając. - Teraz nie ma to już takiego znaczenia jak dawniej. - Popatrzył na swą córkę. - Pol - powiedział.

- Tak, ojczy - odparła wstając, a wraz z nią wstał Durnik.

- Teraz ty będziesz musiała zadbać o wszystko. Beldin, Durnik i bliźniaki pomogą ci.

- Czy osierocisz mnie, ojczy? - Głos dławiły jej tłumione łzy.

- Jesteś silna, Pol, i wytrzymasz. W przeciwnym razie twoja mama i ja będziemy niepocieszeni. Bądź zdrowa.

- Nie wygłupiaj się, Belgaracie - rzekła stanowczo Poledra.

- Nie wygłupiam się. Nie chcę już żyć bez ciebie.

- Tak nie wolno.

- Nikt mnie nie powstrzyma. Nawet nasz Pan nie może mnie teraz powstrzymać. Nie odejdiesz stąd sama, Poledro. Idę z tobą. - Objął czule żonę i spojrzał głęboko w jej złotawe oczy. - Tak będzie lepiej.

- Jak zadecydujesz, mój mężu - odrzekła wreszcie. - Musimy działać, zanim przybędzie UL. On jest w stanie cię powstrzymać bez względu na to, jak bardzo byś wysiłał swą wolę.

Nagle stanął przed nimi Eriond.

- Czy naprawdę dobrze to rozważyłeś, Belgaracie? - spytał.

- Miałem wiele okazji w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat. Musiałem jednak poczekać na Gariona. Teraz stoi obok, więc nic już mnie tu nie trzyma.

- Co mogłoby wpłynąć na zmianę twojej decyzji?

- Nic. Nic mnie już z nią nie rozdzieli.

- A zatem chyba będę musiał się za to wziąć.

- Nie wolno ci, Eriondzie - sprzeciwiła się Poledra. - Zgodziłam się, kiedy nałożono na mnie zadanie.

- Ugody zawsze podlegają ponownym negocjacjom, Poledro - powiedział. - Poza tym, mój ojciec i moi bracia zapomnieli poradzić się mnie w tej sprawie, a zatem będę musiał rozwiązać ją bez ich rady.

- Nie możesz postępować wbrew woli swego ojca - sprzeciwiła się.

- Jeszcze nie znam woli mego ojca. Oczywiście poproszę go o przebaczenie. Jestem pewien, że jego gniew nie będzie zbyt wielki. Poza tym nikt nie gniewa się po wieczne czasy, nawet mój ojciec, i żadna decyzja nie jest nieodwołalna. Jeśli zajdzie taka konieczność, przypomnę mu o zmianie, jaka zaszła w jego sercu w Prolgu, kiedy Gorim przekonał go, aby ojciec dał się ubłagać.

- Brzmi dziwnie znajomo - mruknął Barak do Hettara. - Może się wydawać, że nowy bóg Angaraku spędził zbyt wiele czasu z naszym księciem Kheldarem.

- To może być zaraźliwe - zgodził się Hettar.

Wielka nadzieja zrodziła się w sercu Gariona.

- Czy możesz ponownie użyć mi Klejnotu, Garionie? - spytał grzecznie Eriond.

- Oczywiście. - Garion natychmiast uwolnił kamień z gałki miecza i wręczył go młodemu bogu.

Eriond ujął płonący Klejnot i podszedł do Belgaratha i Poledry. Następnie wyciągnął rękę i delikatnie dotknął nim czoła każdego z nich. Garion skoczył ze zdławionym okrzykiem wiedząc, że dotknięcie Klejnotu oznaczało śmierć, lecz było za późno.

Belgarath i Poledra zaczęli płonąć błękitnym światłem patrząc sobie głęboko w oczy. Eriond oddał Klejnot rivańskiemu królowi.

- Czy nie będziesz miał kłopotów z tego powodu? - spytał Garion.

- Wszystko będzie dobrze, Garionie - zapewnił go Eriond. - Przez następnych kilka lat prawdopodobnie będę musiał łamać wszelkie reguły, więc równie dobrze mogę zacząć natychmiast.

Głęboki jęk organów rozbrzmiał wśród rozmigotanych kolumn światła unoszących się

tuż nad wodą. Garion starał się spojrzeć na zebranych bogów, lecz niezwykle blask bijący od albatrosa kazał mu opuścić powieki.

Wtedy albatros znikł, a w miejscu, gdzie poprzednio unosił się ptak, stał Ojciec Bogów otoczony synami.

- Dobra robota, synu - rzekł UL.

- Zaprawdę świadomość twego zamiaru odbyła zmuszoną wędrówkę, zanim zagościła w mej jaźni, ojcze - wytłumaczył się ze skruchą Eriond. - Wybacz, iż ma bystrość skryła się w głębokim mroku niewiedzy.

- Nie zwyczajnyś w takowych sprawach, mój synu - przebaczył mu UL. - Używając Jabłka swego brata wykazałeś się nieoczekiwaną i nadzwyczajną pomysłowością. - Słaby uśmiech rozjaśnił oblicze Wiecznego. - Azaliż nawet gdyby zamiar przebaczenia wygasł w czeluściach mego jestestwa, czyż twa roztropność nie zmiękczyłaby mego serca?

- Zaprawdę właśnie tak przypuszczałem, ojcze.

- Zaklinam cię, Poledro - odezwał się UL - byś przebaczyła mi ów fortel, jakowy okrucieństwem przesycen wydawać się może. Wiedz, iż nie chciałem oszukać ciebie, lecz syna swego. Zawsze z ociąganiem i niechęcią ćwiczył swą wolę, jego wola wszakże stać będzie ponad światem i musi pojąć tajniki jej uwalniania i pętania niewidzialnymi nićmi.

- A zatem był to sprawdzian, o Najświętszy? - zapytał z niezadowoleniem w głosie Belgarath.

- Czyż wszystko nie jest sprawdzianem i próbą, Belgaracie? - zapytał spokojnie UL. - Pragnę, byś pojął, iż ty i twa połowica spisaliście się nadzwyczaj dobrze, albowiem wasza wspólna decyzja zmusiła mego syna do działania. A teraz, Eriondzie, dołącz do mnie i mych braci. Rozsuńmy się trochę, aby powitać Nowego Boga w świecie, jakowy jemu przekazujemy.

Rozdział XXVI

Poranne słońce wyglądało niczym złoty dysk zawieszony nisko nad wschodnim horyzontem. Niebo powitało ich intensywnym błękitem, a delikatny wietrzyk dmuchający z zachodu zdobił białymi grzywaczami wierzchołki fal. W powietrzu nadal unosiła się słaba, wilgotna woń mgły z poprzedniego dnia, która osiadła na kamieniach dziwnie ukształtowanej piramidy wystającej z morza w samym środku rafy.

Garion czuł ogarniające go wyczerpanie. Jego ciało domagało się odpoczynku, lecz wzburzony wspomnieniami umysł nie pozwalał mu zapaść w krzepiący sen. Będzie jeszcze czas w przyszłości, aby przemyśleć wszystko, co zdarzyło się w Miejscu, Którego Już Nie Ma. Zastanowił się chwilę. Jeśli w ogóle kiedykolwiek istniało Miejsce, Które Było Zawsze, to musiało być właśnie to miejsce - Korim. Korim było bardziej wieczne niż Tol Honeth, Mal Zeth czy Val Alorn. Przygarnął do siebie śpiącą żonę i syna. Poczul ich miły zapach. Włosy Ce'Nedry były przesycone wonią kwiatów, a Geran pachniał jak każdy mały chłopiec; małe stworzonko, które już trochę potrzebowało kąpieli. Garion stwierdził, że sam również potrzebował kąpieli, i to nie tylko trochę. Wczorajszy dzień okazał się niezwykle wyczerpujący.

Jego przyjaciele zebrali się w małych grupkach w różnych miejscach amfiteatru. Barak, Hettar i Mandorallen rozmawiali z Zakathem. Liselle siedziała z wyrazem skupienia na twarzy rozczesując włosy Cyradis. Wszystkie kobiety wydawały się przekonane, że teraz najważniejszą sprawą jest wesprzeć Prorokinię z Kell. Sadi i Beldin leżeli rozciągnięci na kamieniach w pobliżu cielska smoka, popijając cienkie marynarskie piwo. Na twarzy Sadiego gościł wyraz uprzejmości, lecz widać było wyraźnie, że oddawał się temu zajęciu bardziej z grzeczności niż z upodobania. Unrak, z depczącym mu po piętach Nathelem, młodym królem Thullów, przeszukiwał teren dookoła. Arcyksiążę Otrath z widocznym przerażeniem w oczach stał samotnie nie opodal zamkniętego wejścia grotty. Kal Zakath stwierdził, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia pora, aby przedyskutować pewne nurtujące sprawy ze swym krewnym, który niewątpliwie wcale nie oczekiwał z niecierpliwością tej chwili. Eriond rozmawiał cicho z Polgarą, Durnikiem, Belgarathem i Poledrą. Młodego boga otaczał nimb bladej poświaty. Ku swemu zdziwieniu, Garion nigdzie nie mógł dostrzec Silka.

Nagle mały człowieczek wyłonił się zza ściany piramidy. Tuż za nim, na dalekim końcu wierzchołka, wyrosła kolumna ciemnego dymu. Zszedł po schodkach do amfiteatru i zbliżył się do Gariona.

- Co robiłeś? - spytał król Rivy.

- Wysłałem sygnał dla kapitana Kreski - odparł Silk. - On zna drogę do Perivoru. Niestety miałem już okazję poznać zdolności nawigatorskie Baraka w takich ciasnych przesmykach. „Morski Ptak” to dalekomorski statek przystosowany do pływania po głębokich wodach, a nie zwinne, sterowne czółno.

- Twe słowa mogłyby go zranić.

- Nie zamierzam mu tego mówić. - Mały człowieczek o szczurzej twarzy rozciągnął się na kamieniach obok Gariona i jego rodziny.

- Czy Liselle ucięła już sobie z tobą zamierzoną pogawędkę? - spytał Garion.

- Myślę, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment. Chce mieć na nią sporo czasu i to takiego, żeby nam nikt nie przeszkadzał. Czy małżeństwo zawsze tak wygląda? Chodzi mi o to, czy zawsze żyje się w nieustannym strachu, oczekując podobnych rozmów?

- Nie należą one do rzadkości, ale przecież nie jesteś jeszcze żonaty.

- Jestem bliżej tego stanu, niż byłem kiedykolwiek.

- Czy cierpisz z tego powodu?

- Nie, raczej nie. Liselle i ja pasujemy do siebie. Mamy ze sobą wiele wspólnego. Pragnę tylko, żeby tak nie odwlekała pewnych spraw. - Silk rozejrzał się z kwaśną miną po amfiteatrze. - Czy on musi tak płonąć? - spytał wskazując na Erionda.

- Prawdopodobnie nawet nie zdaje sobie sprawy z tej poświaty. Jest jeszcze niedoświadczony. Wyrobi się z czasem.

- Czy wiesz, że siedzimy sobie w najlepsze i obmawiamy boga?

- Przede wszystkim przyjaciela, Silku. Przyjaciół można obmawiać bez urazy.

- Jejku, filozofia od samego rana? Serce mi stanęło, kiedy dziś rano dotknął Klejnotem Belgaratha i Poledry.

- Ja poczułem się podobnie - przyznał Garion - lecz okazuje się, że wiedział, co robi. - Westchnął.

- W czym problem?

- Już po wszystkim. Chyba będzie mi tego brakowało, a przynajmniej jak tylko się wyśpię.

- Ostatnie dni rzeczywiście były nieco gorączkowe. Myślę jednak, że jeśli zbierzemy się do kupy, możemy wymyślić jakieś ciekawe zajęcia.

- Ja już wiem, co chcę robić - stwierdził Garion.

- Cóż takiego?

- Oczekują mnie obowiązki ojca.

- Twój syn nie będzie wiecznie dzieckiem, Garionie.

- Geran nie będzie jedynym synem. Mój przyjaciel zamieszkujący w mej głowie ostrzegł mnie przed sporą liczbą córek.

- To dobrze. Może się trochę ustatkujesz. Nie chcę być zrzędlivy, Garionie, lecz czasami wydajesz się strasznie niestały. Nie minie rok, a popędzisz na jakiś kraniec świata z tym płonącym mieczem w dłoni.

- Próbujesz być zabawny?

- Ja? - Silk wyciągnął się wygodnie. - Nie zamierzasz mieć chyba aż tylu córek, co? Chodzi mi o to, że kobiety zbyt długo pozostają w wieku odpowiednim do rodzenia dzieci.

- Silku - odezwał się Garion - pamiętasz Xbell, tę Driadę, którą spotkaliśmy w pobliżu rzeki Lasu w południowej Tolnedrze?

- Tę, która tak bardzo lubiła mężczyzn, wszystkich mężczyzn?

- Właśnie tę. Czy powiedziałbyś, że ona nadal jest w wieku odpowiednim do rodzenia dzieci?

- Czyżby?

- Xbell ma ponad trzysta lat. W żyłach Ce'Nedry również płynie krew Driad.

- No cóż, może ty zrobisz się zbyt stary, aby... - Silk przerwał i spojrzał na Belgaratha.

- Och - odezwał się. - Ty masz dopiero problem, co?

Późnym popołudniem weszli na pokład „Morskiego Ptaka”. Barak zgodził się, choć nieco niechętnie, aby płynąć za kapitanem Kreską do Dal Perivor. Gdy dwa morskie wilki obejrzały nawzajem swe statki, sprawy potoczyły się gładko. Kresca nie szczędził pochwał pod adresem „Morskiego Ptaka”, co zawsze było świetnym sposobem na udobruchanie Baraka.

Kiedy podnieśli kotwicę, Garion przechylił się przez reling sterburty spoglądając na wystającą z morza osobliwą piramidę z pióropuszem czarnego dymu kłębiącym się na jej północnej stronie.

- Dałbym wiele, żeby wówczas tam być - rzekł cicho Hettar opierając się łokciami o wysoką burtę, tuż obok Gariona. - Jak było?

- Hałaśliwie - odparł Garion.

- Dlaczego Belgarath nalegał na spalenie smoka?

- Odczuwał współczucie dla niego.

- Belgarath czasami potrafi być zabawny.

- W istocie, przyjacielu. Jak się ma Adara i dzieci?

- Dobrze. Znow jest przy nadziei.

- Znów? Hettarze, wy dwoje prawie dorównujecie Relgowi i Taibie.

- Nie dokładnie - odparł skromnie Hettar. - Nadal wyprzedzają nas o kilkoro. - Zmarszczył sceptycznie brwi, a jego twarz o sokolich rysach zarysowała się ostro na tle słońca. - Myślę, że ktoś tu oszukuje. Taiba rodzi po dwoje i troje dzieci. Dlatego też Adara ma trudności z dotrzymaniem jej kroku.

- Nie chciałbym nikogo obwiniać, lecz podejrzewam, że Mara maczał w tym palce. Ponowne zaludnienie Maragoru zajmie trochę czasu. - Garion spojrzął na Unraka, za którym podążał jak cień Nathel. - O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał.

- Nie jestem pewien - odrzekł Hettar. - Nathel jest wzruszającym chłopcem i Unrakowi jest go żal. Myślę, że życie nie rozpieszczało Nathela i teraz chętnie akceptuje nawet współczucie. Odkąd się poznali, chodzi za Unrakiem jak szczeniak. - Wysoki Algar spojrzął na Gariona. - Wyglądasz na zmęczonego - powiedział. - Powinieneś się trochę przespać.

- Jestem wyczerpany - przyznał Garion - a nie chciałbym, żeby mi się poprzestawiał dzień z nocą. Chodźmy porozmawiać z Barakiem. Sprawiał wrażenie zasmuconego, kiedy wyszedł na brzeg.

- Wiesz, jaki jest Barak. Ominięcie walki zawsze wprawia go w niezadowolenie. Opowiedz mu parę historyjek. Lubi dobre opowieści prawie na równi z tęgą bitką.

Miło było znów przebywać wśród starych przyjaciół. Od czasu gdy Garion rozstał się z nimi w Rheon, odczuwał szczególną pustkę. Częściowo wiązało się to z brakiem ich nieugiętej pewności siebie, lecz nawet bardziej brakowało mu braterstwa, tej szczerzej przyjaźni, która kryła się za powierzchownymi żartami. Kiedy przeszli na rufę, gdzie Barak trzymał jedną ręką solidny rumpel, Garion dostrzegł Zakatha i Cyradis stojących na zawietrznej stronie barkasa. Nakazał Hettarowi, aby się zatrzymał, i przyłożył palec do ust.

- Nie przystoi podsłuchiwać, Garionie - szepnął wysoki Algar.

- Nie można tego nazwać podsłuchiowaniem - odszepnął Garion. - Chcę się najzwyczajniej upewnić, że nie będę musiał przedsięwziąć żadnych kroków.

- Kroków?

- Później ci wytłumaczę.

- Co zamierzasz, Święta Prorokini? - pytał ze ściśniętym sercem Zakath.

- Świat leży przede mną otworem, Kal Zakacie.- odparła ze smutkiem. - Ciężar zadania został odjęty z mych barków i nie musisz już zwracać się do mnie w tenże sposób. Oczy me sycą się światłem dnia i teraz jestem jeno prostą, zwyczajną kobietą.

- Ani prostą, ani zwyczajną, Cyradis.

- Tve słowa są odbiciem szlachetnego serca, Kal Zakacie.

- Może darujemy sobie to „Kal”, dobrze? Ten sztuczny przydomek oznacza ni mniej ni więcej tylko król i bóg. Teraz kiedy ujrzałem prawdziwych bogów, widzę, jak śmieszny i pyszałkowaty byłem używając go. Wróćmy jednak do sprawy. Tve oczy przez wiele lat były zakryte, prawda?

- Zaiste.

- A zatem nie miałaś ostatnio okazji popatrzeć w zwierciadło, prawda?

- Ani okazji, ani potrzeby.

Zakath, jako niezwykle bystry człowiek, zdawał sobie jasno sprawę, że nadszedł czas na odrobinę ekstrawagancji.

- A zatem pozwól, że me oczy będą dla ciebie zwierciadłem, Cyradis - powiedział. - Wejrzyj w ich głębię i przekonaj się, jakie piękne są tve lica.

Cyradis spłonila się.

- Tve pochlebstwa odbierają mi oddech, Zakacie.

- To nie pochlebstwa, Cyradis - odparł wzruszonym głosem. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, i myśl o tym, że musisz wracać do Kell, czy gdziekolwiek indziej, napęlnia me serce ogromną pustką i boleścią. Straciłaś swego przewodnika i opiekuna. Pozwól, że stanę się dla ciebie jednym i drugim. Udaj się wraz ze mną do Mal Zeth. Mamy dużo do omówienia i może to nam zająć całe życie.

Cyradis lekko odwróciła swą bladą twarz, a lekki, zwyczajski uśmiech, który musnął jej usta, mówił jasno, że widziała dużo więcej niż chciała ujawnić. Odwróciła się ponownie i spojrzała na malloreńskiego cesarza szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

- Azaliż naprawdę radować cię będzie ma obecność? - zapytała.

- Twa osoba wypełni blaskiem dni moje, Cyradis - odparł.

- A zatem z radością wyruszę z tobą do Mal Zeth - rzekła - jako żeś mi najprawdziwszym przyjacielem i kompanem najdroższym.

Garion wskazał głową i wraz z Hettarem skierowali się ku rufie.

- Dlaczego nie odeszliśmy wcześniej? - zapytał Hettar. - To wyglądało na bardzo osobistą rozmowę.

- Bo taka była - rzekł Garion. - Po prostu musiałem się upewnić, że do takiej rozmowy doszło. To wszystko. Mówiono mi, że ma do tego dojść, ale od czasu do czasu muszę się upewnić.

Hettar sprawiał wrażenie zdumionego.

- Zakath był do tej pory najbardziej samotnym człowiekiem na świecie - wyjaśnił

Garion. - Samotność sprawiała, że był tak pusty w środku i pozbawiony duszy... i tak niebezpieczny. Teraz wszystko się odmieniło. Przystanie odczuwać samotność, a nowe uczucie pozwoli mu zrealizować to co mu pisane.

- Garionie, jesteś strasznie tajemniczy. Ja widziałem jedynie młodą kobietę zręcznie owijającą sobie mężczyznę wokół palca.

- Właściwie mogło tak wyglądać, prawda?

Nazajutrz wczesnym rankiem Ce'Nedra wyskoczyła z wąskiej koi i wbiegła po schodach na pokład. Garion ruszył za nią przerażony.

- Przepraszam - rzuciła do Polgary, która wychylała się za burtę. Następnie stanęła obok Wiecznej Kobiety i obydwie przez jakiś czas z pobielającymi twarzami wpatrywały się w rozkołysane morze.

- Ty także? - spytała Ce'Nedra ze słabym uśmiechem. Polgara wytarła chusteczką usta i skinęła głową. Popatrzyły na siebie, po czym padły sobie w objęcia i wybuchły niepohamowanym śmiechem.

- Czy z nimi wszystko w porządku? - spytał Garion Poledry, która właśnie wyszła na pokład w towarzystwie młodego wilczka. - Żadna z nich zwykle nie cierpi na chorobę morską.

- To nie choroba morską, Garionie - odrzekła Poledra z tajemniczym uśmiechem.

- To dlaczego...

- Wszystko będzie dobrze, Garionie. Nawet więcej niż dobrze. Wracaj do kajuty, a ja się nimi zaopiekuję.

W umyśle Gariona kołowały jeszcze resztki snów, więc sprawiał wrażenie lekko oszołomionego. Mniej więcej w połowie drogi po schodach powoli spłynęło na niego olśnienie. Zatrzymał się otwierając oczy.

- Ce'Nedra?! - wykrzyknął. - I ciocia Pol? - Śmiał się długo i głośno.

Przybycie Mandorallena, niepokonanego barona z Vo Mandor, na dwór króla Oldorina wywołało trwożliwą ciszę. Z uwagi na odległe położenie Perivor legendarna reputacja Mandorallena nie dosięgła wyspy, lecz sama jego obecność, wszechogarniające poczucie dostojeństwa i perfekcji, zdumiało dwór królewski. Mandorallen był Mimbratem w całym tego słowa znaczeniu i to się czuło.

Garion i Zakath, ponownie w zbroi, zbliżyli się do tronu idąc po obu stronach niesamowitego rycerza.

- Wasza miłość - odezwał się Garion kłaniając się nisko - raduję się ponad wszelką miarę, iż mogę ci obwieścić o szczęśliwym zakończeniu naszych poszukiwań. Bestia, jakowa

pustoszyła wybrzeże tegoż pięknego królestwa, wydała z siebie ostatnie tchnienie, a zło uciskające świat zostało wypędzone. Fortuna, jakowa czasem sprzyja naszym żywotom, połączyła naszych przyjaciół, mnie obdarzywszy radością ze spotkania starych, drogich mi druhów, jakowych imiona i oblicza niebawem waszej mości przedstawię. Wiadomość, która jak mniemam okaże się być ważką niezmiernie dla ciebie i dworu twego, skłania mnie jednak do przedstawienia ci natychmiast możnego rycerza z dalekiej Arendii, jakowy stoi po prawej stronie jego miłości, króla Korodullina, i który niewątpliwie powita cię z przyjaźnią i oddanym sercem. Wasza miłość, mam zaszczyt przedstawić szlachetnego Mandorallena, barona Vo Mandor, najwspanialszego rycerza na świecie.

- Coraz lepiej sobie poczynasz - szepnął Zakath.

- Doświadczenie - odparł z zadowoleniem Garion.

- Ozdobo tegoż zakątka - rzekł Mandorallen dźwięcznym głosem kłaniając się przed monarchą - z radością wielką witam ciebie i członków twego dworu i ośmielam się nazywać was moimi powinowatymi. Przekazuję najgorętsze pozdrowienia od ich miłości króla Korodullina i królowej Mayaserany, monarchów ukochanej Arendii, jako że niewątpliwie, gdy tylko wrócę do Vo Mimbri i rozpowiem o tych co onegdaj zagubieni teraz znów się znaleźli, ich królewskie moście rozrzewnią się z bezmiernej radości owych nowin, a jak tylko wielki Chaldan da mi siłę, powrócę do onego wspaniałego miasta z pismem oficjalnym wypełnionym pozdrowieniami i uczuciem, które poprzedzą, jak sądzę, niebawem mające nastąpić pojednanie nasze, pojednanie oderwanych gałęzi świętej krwi świętej Arendii.

- Udało mu się to powiedzieć jednym zdaniem? - mruknął Zakath do Gariona z pewną trwogą w głosie.

- Chyba w dwóch - odszepnął Garion. - Mandorallen znalazł się w swoim żywiole. Myślę, że spędzimy tu trochę czasu, pewnie jakieś dwa, trzy dni.

Garion nie pomylił się zbyt wiele. Kwieciste przemowy arystokratów z Dal Perivor na początku zdradzały niejaki wahanie, ponieważ niespodziewane pojawienie się i wystąpienie Mandorallena przesycone na wskroś zamorską elokwencją związało im języki w gardle. Bezsenna noc spędzona na gorączkowym komponowaniu pozwoliła jednak nadrobić straty i cały kolejny dzień upłynął na kwiecistych przemowach, przedłużonej uczcie okraszonej przeróżnymi rozrywkami. Nalegano, aby Belgarath przedstawił tylko trochę upiększone sprawozdanie z wydarzeń, które miały miejsce na rafie. Starzec rozsądnie unikał wzmianek o bardziej niewiarygodnych wypadkach. Nagłe pojawienie się bogów w środku opowieści czasami wznieca sceptycyzm w nawet najbardziej ufnej publiczności.

Garion pochylił się lekko w przód, aby porozmawiać z Eriondem, który siedział po

przeciwnej stronie stołu.

- Przynajmniej ochronił twą anonimowość - odezwał się cicho.

- Tak - zgodził się Eriond. - Będę musiał wymyślić jakiś sposób, aby mu za to podziękować.

- Odzyskanie Poledry jest dla niego chyba największym podziękowaniem, jakiego mógłby oczekiwać. Myślę jednak, że w końcu i tak to wyjdzie na jaw. Mam na myśli twoją tożsamość.

- Myślę, że pierwiej należy przygotować odpowiedni grunt. Muszę odbyć długą rozmowę z Ce'Nedrą.

- Z Ce'Nedrą?

- Chcę się dowiedzieć, od czego zaczęła, kiedy zwołała armię, którą zabrała do Thull Mardu. Wydaje mi się, że zaczęła niewinnie, posuwając się systematycznie do przodu. To chyba najlepsza taktyka.

- Odzywa się w tobie sendarska krew. - Garion roześmiał się. - Durnik pozostawił ślad na was obojgu, prawda? - Odchrząknął z zakłopotaniem. - Znów to robisz - ostrzegł.

- Co robię?

- Świecisz.

- Czy to widać? Garion skinął głową.

- Obawiam się, że tak.

- Będę musiał nad tym popracować.

Uczta przeciągnęła się przez kilka następnych dni, lecz jako że arystokraci nie zwykli zrywać się wraz z paniem kurów, Garion i jego przyjaciele mieli sporo czasu rankami, aby rozprawiać o tym, co wydarzyło się od czasu, gdy rozstali się w Rheon. Relacje tych, którzy pozostali w domach, wypełnione były ciepłem rodzinnym - dzieci, śluby, sprawy państwa. Garion z zadowoleniem usłyszał, że syn Branda, Kail, zarządzał królestwem Rivy prawdopodobnie równie dobrze jak on sam. Co więcej, ponieważ Murgowie zajęci byli obecnością Mallorean w południowo-wschodnim Cthol Murgos, w zachodnich królestwach zagościł długo oczekiwany pokój, a handel kwitł tam lepiej niż kiedykolwiek. Nos Silka poruszył się niespokojnie.

- A może - rzekł Barak - przestaniemy rozprawiać o tym, co dzieje się w domu, i przejdziemy do najważniejszej sprawy? Wprost umieram z ciekawości.

Z ochotą przystano na jego propozycję. Nie próbowano ubarwiać żadnych informacji i wkrótce przekazano im wszelkie szczegóły.

- Naprawdę to zrobiłeś? - spytał Lelldorin Gariona po tym, jak Silk opisał pierwsze

spotkanie z Zandramas, która przybrała postać smoka na pogórzcu ponad równiną arendyjską.

- No cóż - odparł skromnie Garion - nie cały ogon, a tylko jakieś cztery stopy długości. To jednak zwróciło jej uwagę.

- Kiedy nasz wspaniały bohater powróci do domu, na pewno zainteresuje się zdobywaniem sławy mecząc przeróżne smoki - Silk roześmiał się.

- Przecież nie ma już więcej smoków, Kheldarze - zauważyła Velvet.

- Och, zgadza się, Liselle. - Wyszczrzył zęby. - Może Eriond będzie mógł kilka dla niego zrobić.

- Niekoniecznie - odezwał się Garion. Kontynuowano opowieść i w pewnym momencie wszyscy zgodnie stwierdzili, że muszą zobaczyć Zith. Sadi z dumą pokazał swą małą, zieloną zmijkę wraz z wijącym się potomstwem.

- Nie wygląda zbyt groźnie - chrząknął Barak.

- Powiedz to Harakanowi. - Silk wyszczrzył ponownie zęby. - W Ashabie Liselle rzuciła mu to maleństwo prosto w twarz. Zith ukąsiła go kilkakrotnie i niemalże w tej samej chwili padł na ziemię.

- Umarł? - spytał potężny mężczyzna.

- Nigdy nie widziałem kogoś bardziej nieżywego.

- Wyprzedziłeś nieco fakty - przypomniał Hettar.

- Niemożliwe jest opowiedzenie podczas jednego ranka wszystkiego, co się zdarzyło, Hettarze - stwierdził Durnik.

- Zgadza się, Durniku - powiedział Barak. - Czeka nas długa droga do domu, a na morzu będziemy mieć dużo czasu.

Jeszcze tego samego popołudnia na prośbę większości Beldin został zobligowany, aby powtórzyć przedstawienie, które dał na rafie w wieczór przed wyruszeniem. Chcąc zademonstrować uzdolnienia swych przyjaciół, Garion zaproponował, aby przenieśli się na plac turniejowy, gdzie mogli do woli rozwinąć swoje talenty. Lelldorin dał przed królem i dworzanami popis, prezentując niektóre z bardziej spektakularnych umiejętności w łucznictwie i kończąc przedstawienie pokazem całkowicie nowego sposobu zbierania śliwek z odległego drzewa. Barak wygiął żelazny pręt w coś, co przypominało precelka, a Hettar wprawił wyspiarzy w stan zbliżony do osłupienia niesłychanym opanowaniem sztuki jazdy konnej. Finał nie wypadł jednak najlepiej. Kiedy Relg przeniknął przez gruby kamienny mur, wiele kobiet zemdłało, a kilkoro młodszych członków dworu uciekło w popłochu, drąc się wniebogłosy.

- Zdaje się, że nie są na to przygotowani - stwierdził Silk, który roztropnie odwrócił

się tyłem, kiedy Relg przechodził przez mur. - Ja przynajmniej wiem, że nie jestem - dodał.

Kilka dni później około południa do portu wpłynęły dwa statki. Jeden był znajomym chereckim okrętem wojennym, z którego wysiedli na brzeg generał Atesca i szef Biura Spraw Wewnętrznych, Brador. Greldik sprowadził króla Anhega i cesarza Varanę po chybotliwym trapie.

- Barak! - wrzasnął Anheg, kiedy znalazł się na dole. - Czy możesz mi podać przynajmniej jeden powód, dla którego nie miałbym cię odtransportować do Val Alorn w łańcuchach?

- Ale zaciętrzewiony, co? - zauważył Hettar stukając łokciem rudobrodego mężczyznę.

- Uspokoi się, jak tylko go upiję. - Barak wzruszył ramionami.

- Przykro mi, Garionie - rzekł Anheg grzmiącym głosem. - Wraz z Varaną próbowaliśmy go złapać, lecz ta jego wielka, płaskodenna krypa porusza się szybciej, niż sądziliśmy.

- Płaskodenna krypa? - zaprotestował łagodnie Barak.

- W porządku, Anhegu - odparł Garion. - przybyli już po wszystkim.

- A zatem odzyskałeś swego syna?

- Tak.

- No to pochwal się nim, chłopcze. Wszyscyśmy dokładali wszelkich starań, aby go odnaleźć.

Ce'Nedra wystąpiła do przodu trzymając na ręku Gerana i Anheg objął ich oboje.

- Wasza miłość - pozdrowił królową Rivy - i ty, wasza wysokość. - Wyszczrzył zęby i połaskotał małego chłopca. Geran zachichotał.

Ce'Nedra próbowała dygnąć.

- Nie rób tego, Ce'Nedro - rzekł Anheg. - Upuścisz dziecko. Ce'Nedra roześmiała się, po czym uśmiechnęła do cesarza Varany.

- Wuju - odezwała się.

- Ce'Nedro - odparł cesarz o srebrzystych włosach. - Dobrze wyglądasz. - Mrugnął do niej. - Czy to moja wyobraźnia tak działa, czy twa kibić staje się obszerniejsza?

- To minie za kilka miesięcy, wuju - odparła. - Wyjaśnię ci później.

Brador i Atesca zbliżyli się do Zakatha.

- Wasza cesarska mość - odezwał się generał lekko zdumionym głosem. - Nie przypuszczałem, że cię tu spotkamy.

- Generale Atesca - powiedział Zakath. - Czyż nie znamy się na tyle dobrze, by dać

sobie spokój z tymi wybiegami?

- Martwiliśmy się o ciebie, wasza miłość - stwierdził Brador. - A ponieważ znajdowaliśmy się w pobliżu... - Łysy mężczyzna rozłożył ręce.

- A co wy dwaj robiliście tu w pobliżu? Czyż nie kazałem wam pozostać na brzegu Magan?

- Wydarzenia potoczyły się nieco odmiennie, niż oczekiwaliśmy, wasza miłość - wtrącił Atesca. - Armia Urvona rozdzieliła się i Darshivanie zdawali się niezwykle zaskoczeni tym faktem. Brador i ja skorzystaliśmy z okazji, aby przyłączyć Peldane i Darshiwę z powrotem do cesarstwa i ścigaliśmy resztki darshivańskiej armii po całej wschodniej Dalazji.

- Świetnie, moi drodzy - pochwalił Zakath. - Bardzo dobrze. Powinienem częściej wypoczywać.

- On tak sobie wyobraża wypoczynek? - mruknął Sadi.

- Oczywiście - odparł Silk. - Walki ze smokami mogą dodać nieco animuszu.

Zakath i Varana patrzyli na siebie krytycznie.

- Wasze cesarskie moście - odezwał się uprzejmie Garion - prawdopodobnie powinienem was przedstawić. Cesarzu Varana, oto jego cesarska mość Kal Zakath z Mallorei. Cesarzu Zakacie, oto jego cesarska mość, Ran Borune XXIV, władca imperium tolnedrańskiego.

- Varana wystarczy, Garionie - rzekł Tolnedranin. - Wiele o tobie słyszeliśmy, Kal Zakacie - powiedział wyciągając rękę.

- Nic dobrego, jak się domyślam, Varano. - Zakath uśmiechnął się potrząsając ciepło rękę cesarza.

- Pogłoski rzadko są prawdziwe, Zakacie.

- Mamy wiele do omówienia, wasza cesarska mość - rzekł Zakath.

- W istocie, wasza cesarska mość.

Król Perivoru, Oldorin znajdował się w stanie nerwowego wyczerpania. Jego wyspiarskie królestwo przeżywało swoisty najazd monarchów. Garion starał się ze wszelkich miar przedstawiać ich z niezwykłym wyczuciem delikatności, by nie pogłębić rozterek gościnnego króla, który wybąkał kilka pozdrowień, zupełnie zapominając elokwencji, tak charakterystycznej dla jego narodu. Garion odciągnął go na stronę.

- Niezwykle to podniosła chwila, wasza miłość - powiedział. - Obecność w jednym miejscu Zakatha z Mallorei, Varany z Tolnedry i Anhega z Chereku niesie ze sobą nadzieję na rychły pokój, na jakowy świat czekał od wieków całych.

- Twa obecność jednak ozdabia ów spektakl, Belgarionie z Rivy.

Garion skłonił się.

- Choć kurtuazja i gościnność twego dworu są cudem nie znanym w szerokim świecie, wasza miłość - powiedział - byłoby niemądrym z naszej strony nie skorzystać z tak wielkiej okazji. Tak więc błagam ja ciebie, abyśmy wraz z przyjaciółmi mymi czas jakowyś prywatności nieskrępowanej zaznać mogli, aby pomiarkować wszelakie możliwości, jakowe ujawnia owo przypadkowe spotkanie, chociaż wierzaj mi, iż nie uważam, aby jeno wolą przypadku zrządzone. Zaiste bogowie sami maczali w tym palce.

- Jestem o tym przekonany, wasza miłość - zgodził się Oldorin. - Na najwyższej kondygnacji znajdują się komnaty rady, królu Belgarionie. Są one do dyspozycji twojej i twych przyjaciół. Nie ma cienia wątpliwości, że niezwykle doniosłe wnioski mogą wypłynąć z owego spotkania i zaszczyt, jaki mnie spotyka, iż odbędzie się ono pod moim dachem, przepełnia mnie radością wielką.

Wkrótce w komnatach na górze odbyło się zaimprovizowane spotkanie. Przewodniczył mu za powszechną zgodą Belgarath.

Garion zgodził się dbać o sprawy królowej Porenn, a Durnik reprezentował interesy króla Fulracha. Relg przemawiał w imieniu Ulgów i Maragoru. Mandorallen reprezentował Arendię, Hettar mówił w imieniu swego ojca, a Silk swego brata Urgita. Sadi wystąpił w roli mediatora Salmissry, a Nathel mówił za Thullów, chociaż odzywał się niezwykle rzadko. Nikt jednak nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za Drostę lek Thuna z Gar og Nadrak.

Od samego początku ku zrozumiętemu rozczarowaniu Varany zgodzono się, że sprawy handlu powinno się wykluczyć z dyskusji.

Okolo południa następnego dnia Garion zamyślił się głęboko, słuchając jednym uchem, jak Silk i Zakath targowali się niezmordowanie w kwestii paktu pokojowego między Malloreą a Cthol Murgos. Garion westchnął w zadumie. Jeszcze kilka dni temu on i jego przyjaciele uczestniczyli w najbardziej niesamowitym Wydarzeniu w dziejach wszechświata, a teraz siedzieli za stołem całkowicie pochłonięci ziemskimi sprawami polityki międzynarodowej. Miał wrażenie, że przekroczył wielką przepaść pomiędzy nastrojem doniosłym a przyziemnym. Zdawał sobie jednak sprawę, że większość ludzi na świecie bardziej będzie zainteresowana decyzjami podjętymi przy tym okrągłym stole niż wydarzeniami, jakie miały miejsce w Korim.

Rozmowy zakończyły się ugodami z Dal Perivor. Ten swoisty rozejm jedynie w ogólnym zarysie ustalał porządek rzeczy i oczywiście mógł być później ratyfikowany przez nieobecnych monarchów. Ogólne postanowienia bardziej opierały się na dobrej woli niż na racjonalnych, prawdziwych politycznych negocjacjach. Zapowiadały jednak, jak wnioskował

Garion, nadzieję dla ludzkości. Powołano skrybów, aby skopiowali przepastne notatki Beldina, i zdecydowano, że dokument będzie strzegła pieczęć króla Oldorina z Perivoru jako monarchy gospodarza.

Ceremonię podpisania dokumentów otaczał niezmierny splendor. Mimbraci są niedoścignieni w organizowaniu niesłychanych ceremonii.

Następnego dnia nadszedł czas na pożegnania. Zakath, Cyradis, Eriond, Atesca i Brador wyruszyli do Mal Zeth, podczas gdy reszta na pokładzie „Morskiego Ptaka” miała pokonać bezmiar oceanu zmierzając ku upragnionym domostwom. Garion długo rozmawiał z Zakathem. Obydwaj obiecali, że będą utrzymywali kontakt śląc wieści przez umyślnych posłańców, a kiedy sprawy państwa na to pozwolą, będą się odwiedzać wzajemnie. Zdawali sobie jednak sprawę, że odwiedziny będą stanowiły dużo większy problem niż przesyłanie wieści.

Garion i jego rodzina pożegnali się z Eriondem. Następnie król Rivy odprowadził młodego i jeszcze nie znanego boga Angaraku na pomost, przy którym cumował statek Ateski.

- Przebyliśmy ze sobą długą drogę, Eriondzie - powiedział.
- W istocie - zgodził się Eriond.
- Masz jeszcze wiele przed sobą.
- Prawdopodobnie więcej, niżli możesz sobie wyobrazić, Garionie.
- Jesteś gotów?
- Tak, Garionie, jestem gotów.
- To dobrze. Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebował, daj znać. Przybędę czym prędzej.
- Będę pamiętał.
- I nie bądź na tyle zajęty, żeby Koń zbyt przytył. Eriond uśmiechnął się.
- Nie grozi mu to - powiedział. - Konia i mnie czeka długa droga.
- Bądź zdrow, Eriondzie.
- Ty również, Garionie.

Uścisnęli sobie ręce i Eriond wszedł po chybliwym trapie na pokład oczekującego statku.

Garion westchnął i skierował się ku „Morskiemu Ptakowi”. Wszedł po drewnianych schodkach nabrzeża, aby dołączyć do pozostałych, którzy obserwowali, jak statek Ateski powoli wypływa z portu omijając dostojnie statek Gredika, czekający z niecierpliwością ogara uwiązanego na smyczy.

Żeglarze Baraka rzucili cumy, chwycili za wiosła i wkrótce wypłynęli z portu. Podniesiono żagle i „Morski Ptak” zwrócił swój dziób w kierunku domu.

Rozdział XXVII

Radosne słońce ogrzewało twarde karki żeglarzy, a silna bryza wypełniała żagle „Morskiego Ptaka” popychając połatany i zniszczony przez sztormy i deszcze okręt wojenny Gredlika. Unrak nalegał, ażeby dwa statki popłynęły razem do Mishrak ac Thull, by zostawić Nathela w jego własnym królestwie.

Długie, wypełnione słońcem dni przesycił ostry zapach słonej wody. Podróżnicy spędzili większość czasu w słonecznej, głównej kajucie. Opowieść o poszukiwaniach uwiecznionych dotarciem do Wyżyn Korimu okazała się długa i złożona, lecz ci, którzy nie brali w niej udziału, chłonęli z wypiekami na twarzach każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Częste zapytania prowadziły do nie kończących się dygresji i opowieść skacząc to w przód, to w tył w czasie, posuwała się mozolnie do przodu, choć często w isticie żółwym tempie. Dużo zdarzeń zwykły słuchacz mógłby uznać za mało wiarygodne. Barak i pozostali przyjmowali jednak wszystko, co odbierały ich uszy; wystarczająco dużo czasu spędzili z Belgarathem, Polgarą i Garionem, aby przekonać się, że nie ma rzeczy niemożliwych. Jedyny wyjątek stanowił cesarz Varana, który zachował swój zdecydowanie sceptyczny stosunek, bardziej ze względów filozoficznych, jak podejrzewał Garion, niż z prawdziwej niewiary.

Unrak udzielił Nathelowi wielu porad, zanim król Thullów rozstał się z nimi w portowym mieście swego własnego królestwa. Rady te dotyczyły większej wiary w siebie i przełamania dominacji matki. Po pożegnaniu się z młodym Thullem Unrak nie sprawiał jednak wrażenia optymisty.

„Morski Ptak” skierował się na południe, nadal płynąc za Gredlikiem wzdłuż jałowego, skalistego wybrzeża Goska w północno-wschodnim Cthol Murgos.

- To haniebne, nieprawdaż? - rzekł Barak do Gariona wskazując na statek Gredlika. - Wygląda jak unoszący się na wodzie wrak.

- Gredlik dość mocno eksploatuje swój statek - zgodził się Garion. - Kilkakrotnie już z nim pływałem.

- Ten człowiek nie ma szacunku dla morza - mruknął Barak - i zbyt dużo pije.

Garion zamrugał oczami.

- Wybacz, ale chyba się przesłyszałem? - spytał.

- Och, ja sam wypiję od czasu do czasu kufelek piwa, lecz Gredlik pije na morzu. To odrażające, Garionie, a nawet pokusiłbym się o nazwanie tego bezbożnym.

- Znasz morze dużo lepiej niż ja - przyznał Garion. Statek Gredlika i „Morski Ptak”

żeglowały wąską cieśniną między Wyspą Verkat a południowym wybrzeżem Hagga i Gorut. Na południowej półkuli panowało lato, więc pogoda sprzyjała szybkiej żegludze. Minąwszy niebezpieczne zgrupowanie skalistych wysepek będących przedłużeniem koniuszka półwyspu urgaskiego, Silk wyszedł na pokład.

- Chyba zdecydowaliście się tu mieszkać we dwójkę - zwrócił się do Gariona i Baraka.

- Lubię przebywać na pokładzie, gdy ląd jest w zasięgu wzroku - stwierdził Garion. - Kiedy widzisz, jak zmienia się linia brzegowa, czujesz, że dokądsz zdążasz. Co porabia Polgara?

- Robi na drutach. - Silk wzruszył ramionami. - Uczy Ce'Nedre i Liselle. Wytwarzają całe sterty malutkich ubiorków.

- Ciekawe po co? - na twarzy Gariona nie drgnął ani jeden mięsień.

- Chciałbym cię prosić o pewną przysługę, Baraku - rzekł Silk.

- O co chodzi?

- Chciałbym, żebyśmy zatrzymali się w Rak Urga. Muszę wręczyć Urgitowi kopię Ugody, a w Dal Perivor Zakath przedstawił kilka takich propozycji, że lepiej, aby mój brat o nich wiedział.

- Pomożesz przywiązać Hettara do masztu, gdy znajdziemy się w porcie? - zapytał Barak.

Silk lekko zmarszczył brwi, po czym nagle zrozumiał.

- Och - odezwał się. - Chyba o tym zapomniałem. Zabranie Hettara do miasta pełnego Murgów nie byłoby najlepszym pomysłem, prawda?

- Byłoby fatalnym pomysłem, Silku. Katastrofalnym, to chyba jest jeszcze lepsze określenie.

- Pozwól, że z nim porozmawiam - zaproponował Garion. - Może uda mi się go nieco uspokoić.

- Jeśli ci się powiedzie, zawołam cię na pokład, żebyś porozmawiał z kolejnym sztormem, na jaki się napatoczymy - stwierdził Barak. - Gdzie w grę wchodzi Murgowie, Hettar jest prawie równie rozsądny jak pogoda.

Wysoki Algar nie przybrał jednak kamiennej twarzy i nie sięgnął po miecz na wspomnienie słowa „Murgo”. Podczas podróży powiedzieli mu o prawdziwym pochodzeniu Urgita, a jego sokola twarz ożywiła się z ciekawości, kiedy Garion, dość niepewnie, poinformował go o planie postoju w Rak Urga.

- Będę kontrolował swoje instynkty, Garionie - obiecał. - Myślę, że naprawdę chciałbym spotkać tego Drasanina, któremu udało się zostać królem Murgów.

Z uwagi na dziedziczną, a do teraz prawie instynktowną nienawiść między Murgami i Alornami, Belgarath radził zachować dużą ostrożność w Rak Urga.

- Teraz jest spokojnie - mówił. - Nie wznecajmy więc zamętu. Baraku, wywieś białą flagę, a kiedy znajdziemy się w odległości umożliwiającej ustne porozumienie się, wyślę po Oskatata, zarządcę dworu Urgita.

- Czy można mu ufać? - zapytał powątpiewająco Barak.

- Myślę, że tak. Nie udamy się jednak wszyscy do Drojim. Każ, aby „Morski Ptak” i statek Gredlika wycofały się z portu, jak tylko zjedziemy na brzeg. Nawet najbardziej zapalczywy murgoski kapitan nie zaatakuje dwóch chereckich okrętów wojennych. Pozostaną w kontakcie z Pol i pošlemy po pomoc, jeśli zajdzie taka konieczność.

Musieli się nieźle nakrzyczeć z pokładu statku, ażeby przekonać murgoskiego pułkownika, by posłał do Pałacu Drojim po Oskatata. Na przyśpieszenie decyzji żołdaka wpłynął niewątpliwie rozkaz Baraka, po którym ciężkie, okrągłe głązy spoczęły na wyżłobionych łykach katapult. Rak Urga nie emanowało specjalnym pięknem, lecz pułkownik najwyraźniej nie chciał, żeby miasto zostało zrównane z ziemią.

- Już wróciliście?! - ryknął Oskatat przez wodę, kiedy wreszcie pojawił się na nabrzeżu.

- Byliśmy w pobliżu, więc postanowiliśmy złożyć wizytę - odezwał się swobodnie Silk. - Jeśli to możliwe, chcielibyśmy porozmawiać z jego miłością. Będziemy mieć pod kontrolą tych Alornów, jeżeli wam uda się trzymać na smyczy waszych Murgów.

Oskatat wydał kilka krótkich i zdecydowanych rozkazów, którym towarzyszyły dość przerażające groźby, i Garion, Belgarath i Silk wsiedli na barkasa z „Morskiego Ptaka”. Towarzyszyli im Barak, który pozostawił Unrakowi dowództwo statku, oraz Hettar i Mandorallen.

- Jak poszło? - spytał Silka Oskatat, kiedy grupa przy asyście odzianych na czarno strażników króla Urgita oddaliła się od portu zmierzając w kierunku Drojim.

- Wszystko zakończyło się dość pomyślnie - odezwał się Silk.

- Jego miłość powinien być z tego zadowolony.

Weszli do jaskrawego Pałacu Drojim i Oskatat poprowadził ich długim, zadymionym korytarzem oświetlonym płomieniami pochodni, w kierunku komnaty tronowej.

- Jego miłość oczekuje tych ludzi - zakomunikował ostro Oskatat strażnikom. - Przyjmie ich niezwłocznie. Otwórzcie drzwi.

Jeden ze strażników wydawał się nie mieć zbyt dużego doświadczenia. - Ależ to Alornowie, lordzie Oskatat - sprzeciwił się.

- To co? Otwieraj drzwi.

- Ale...

Oskatat chłodnym ruchem wyciągnął swój ciężki miecz.

- Tak? - rzekł zwodniczo łagodnym tonem.

- Och, nic takiego, lordzie Oskatat - wysapał strażnik. - Nic takiego.

- Dlaczego więc drzwi są nadal zamknięte? Drzwi zostały otwarte prawie natychmiast.

- Kheldarze! - Dźwięczne zawołanie dobiegło z samego końca komnaty tronowej.

Król Urgit zeskoczył ze schodków podwyższenia zrzucając w biegu koronę z głowy. Chwycił Silka w objęcia śmiejąc się niepohamowanie. - Sądziłem, że nie żyjesz - jęknął.

- Dobrze wyglądasz, Urgicie - powiedział spokojnie Silk. Urgit lekko wykrzywił twarz.

- Wiesz, jestem teraz żonaty - powiedział.

- Obawiałem się, że Prala w końcu cię dopadnie. Ja również wkrótce się żenię.

- Z tą jasnowłosą? Prala mówiła mi, jakie ma zdanie o tobie. Coś podobnego.

Niepokonany Kheldar w końcu się żeni.

- Jeszcze nie rób zbyt dużych zakładów, Urgicie - rzekł Silk swemu bratu. - Mogę jeszcze wybrać swój miecz. Czy jesteśmy tu sami? Mamy ci pewne rzeczy do powiedzenia, a czas nas nagli.

- Są tu matka i Prala - powiedział Urgit - oraz, oczywiście, mój ojczym.

- Ojczym? - wykrzyknął Silk patrząc w zdumieniu na Oskatata.

- Matce przykrzyło się samej. Tęskniła za obelgami i złorzeczeniami, jakimi zwykł ją obsypywać Taur Urgas. Użyłem swych wpływów, aby poślubiła Oskatata. Obawiam się jednak, że straszliwie ją rozczarował. Z tego, co wiem, ani razu nie okazał się choć trochę tak brutalny jak jej pierwszy wybraniec.

- On jest czasami niemożliwy - usprawiedliwił króla Oskatat.

- Po prostu promieniuję dobrym humorem, Oskatacie. - Roześmiał się Urgit. - Na wrzące oko Toraka, brakowało mi cię, Kheldarze. - Po tych słowach powitał Gariona i Belgaratha i spojrzał pytająco na Baraka, Mandorallena i Hettara.

- Barak, księżę Trelleimu - Silk przedstawił rudobrodego olbrzymia.

- Jest większy, niż powiadają - zauważył Urgit.

- Szlachetny Mandorallen, baron Vo Mimbri - kontynuował Silk.

- Boska szlachetność - rzekł Urgit.

- Oraz Hettar, syn króla Algarii, Cho-Haga.

Urgit skurczył się w sobie, a w jego oczach nagle pojawił się strach. Nawet Oskatat

cofnął się krok w tył.

- Nie ma powodów do obaw, Urgicie - rzekł uroczyście Silk. - Hettar przeszedł ulicami miasta i nie zabił nawet jednego z twych poddanych.

- Zdumiewające - wymamrotał nieco roztrzęsiony Urgit. - Zmieniłeś się, lordzie Hettarze - odezwał się. - Według legend masz tysiąc stóp wysokości i nosisz na piersiach naszyjnik z czaszek Murgów.

- Wypoczywam obecnie - odparł sucho Hettar. Urgit wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie będziemy chyba dla siebie niemili, prawda? - spytał wciąż z lekką obawą.

- Nie, wasza miłość - stwierdził Hettar - a przynajmniej nie sądzę. Z jakiegoś powodu intrygujesz mnie.

- Ulżyło mi - rzekł Urgit. - Jeśli jednak zauważysz, że zaczynasz tracić opanowanie, koniecznie daj mi znać. W Drojim czai się kilkunastu generałów mego ojca. Oskatat nie dopatrzył się jeszcze przyczyny, by ich ściąć. Wyślę wówczas po nich i będziesz miał możliwość stłumienia swego gniewu. Dla mnie są tylko kłopotem. - Zmarszczył brwi. - Szkoda, że nie wiedziałem o waszym przybyciu - powiedział. - Od lat chciałem przesłać twemu ojcu prezent.

Hettar spojrział na niego unosząc lekko brwi.

- Uczynił mi największą przysługę, jaką jakikolwiek człowiek może wyświadczyć drugiemu człowiekowi. Rozpruł mieczem bebechy Taura Urgasa. Możesz mu przekazać, że po nim posprzątałem.

- Och? Mój ojciec zwykle nie potrzebuje, aby po nim sprzątano.

- Hm, Taur Urgas był wystarczająco martwy - zapewnił go Urgit - lecz nie chciałem, żeby jacyś Grolimowie przyszli i przypadkiem go wskrzesili, więc zanim go pogrzebaliśmy, poderżnąłem mu gardło.

- Poderżnąłeś mu gardło? - Nawet Hettar zdawał się być zdumiony.

- Od ucha do ucha - powiedział radośnie Urgit. - Jako dziesięcioletni chłopiec skradłem mały nóż i ostrzyłem go przez następnych kilka lat. Po tym jak przeciąłem mu tchawicę, przebiłem mu serce i zakopałem go głową w dół siedemnaście stóp pod ziemią. Już dawno nie wyglądał tak dobrze jak wtedy ze stopami wystającymi z czarnej ziemi. Rozkoszowałem się tym widokiem, kiedy znużyło mnie machanie łopata.

- Sam go zakopałeś? - spytał Barak.

- Oczywiście. Nie pozwoliłbym komu innemu tego robić. Chciałem mieć pewność. Po zakopaniu przegoniłem kilkakrotnie przez jego grób konie, aby ukryć to miejsce. Jak możecie się domyślać, nie miałem najlepszych stosunków z moim ojcem. Czerpię pewną radość ze

świadomości, że ani jeden Murgo nie wie, gdzie leży pogrzebany Taur Urgas. Może dołączymy do mej matki i siostry? Wtedy podzielicie się z nami wspaniałymi wieściami, bez względu na to jakie są. Ośmielam się mieć nadzieję, iż Kal Zakath spoczywa w objęciach Toraka?

- Raczej nie.

- Wielka szkoda - stwierdził Urgit.

Gdy okazało się, że Polgara, Ce'Nedra i Velvet znajdują się na pokładzie „Morskiego Ptaka”, królowa Prala i królowa matka Tamazin przeprosiły wszystkich i opuściły komnatę tronową, aby odnowić stare znajomości.

- Usiądźcie, proszę - odezwał się Urgit po wyjściu kobiet. Rozparł się na tronie. - Cóż to chciałeś mi powiedzieć, Kheldarze?

Silk usiadł na brzegu podwyższenia i sięgnął pod fałdy tuniki.

- Proszę, nie rób tego, Kheldarze - powiedział Urgit uchylając się. - Wiem dobrze, ile nosisz przy sobie sztyletów.

- Tym razem to nie sztylet, Urgicie - zapewnił go Silk - a tylko pergamin. - Wręczył zapieczętowany rulon.

Urgit złamał pieczęć, rozwinął pergamin i przeczytał szybko.

- Kim jest Oldorin z Perivoru? - zapytał.

- Król wyspy leżącej u południowych wybrzeży Mallorei - odparł Garion. - Spotkanie naszej grupy odbyło się w jego pałacu.

- Spora to była grupa - odezwał się Urgit patrząc na podpisy. Zmarszczył brwi. - Widzę również, że reprezentowałeś moją osobę - zwrócił się do Silka.

- Całkiem dobrze bronił twych spraw, Urgicie - zapewnił go Belgarath. - Poczyniliśmy tylko kilka ogólnych ustaleń, lecz to dopiero początek.

- W rzeczy samej, Belgaracie - zgodził się Urgit. - Widzę, że nikt nie reprezentował Drosty.

- Król Gar og Nadrak nie był przez nikogo reprezentowany, wasza miłość - oświadczył Mandorallen.

- Biedny, stary Drosta. - Urgit zachichotał. - Zawsze zdaje się być pomijany. Wszystko więc wygląda wspaniale, i nawet na jakąś dekadę na świecie może zapanować pokój, pod warunkiem, że nie obiecaliście Zakathowi mojej głowy, aby zdobyła którąś zapomnianą komnatę w jego pałacu w Mal Zeth.

- Ta właśnie sprawa skierowała tu nasze kroki - rzekł Silk. - Zakath powrócił do Mal Zeth, lecz zanim się rozstaliśmy, odbyłem z nim długą rozmowę i wreszcie zgodził się

przystać na wstępne rokowania pokojowe.

- Pokojowe? - zachnął się Urgit. - Jedyne pokój, jakiego pragnie Zakath, to pokój wieczny dla każdego żywego Murga, a ja znajduję się na początku tej listy.

- On się trochę zmienił - powiedział Garion. - Ma teraz coś znacznie ważniejszego na głowie niż wytępienie Murgów.

- Nonsens, Garionie. Wszyscy chcą wytępić Murgów. Nawet ja chcę ich wytępić, a ja przecież jestem ich królem.

- Poślij ambasadorów do Mal Zeth - poradził mu Silk. - Dodaj im dość siły, aby negocjowali w dobrej wierze.

- Dodać Murgowi siły? Kheldarze, czyś postradał zmysły?

- Ja mogę znaleźć kilku zaufanych ludzi, Urgicie - zapewnił Oskatat.

- W Cthol Murgos? Gdzie? Pod jakąś zmokłą skałą?

- Musisz zacząć ufać ludziom, Urgicie - rzekł Belgarath.

- Och, oczywiście, Belgaracie - odparł sarkastycznie Urgit. - W pewnym sensie muszę ufać tobie, bo w przeciwnym razie zmienisz mnie w żabę.

- Po prostu wyślij swych ambasadorów do Mal Zeth, Urgicie - powiedział cierpliwie Silk. - Wynik rozmów może cię przyjemnie zaskoczyć.

- Każdy wynik, który pozostawi mnie z głową na karku, będzie przyjemny. - Urgit łypnął bystro na swego brata. - Chowasz jeszcze coś w zanadrzu, Kheldarze - powiedział. - No dalej, wyrzuć to z siebie.

- Świat znajduje się na krawędzi niekorzystnego pokoju - stwierdził Silk. - Mój partner i ja od wielu lat opieramy nasz handel na towarach związanych z wojną. Nasze interesy prawdopodobnie upadną, jeśli nie znajdziemy nowych rynków, rynków na pokojowe towary. Cthol Murgos od pokoleń znajduje się w stanie wojny.

- Prawdę mówiąc, dłużej. Praktycznie, stan wojny utrzymuje się tu od czasu wstąpienia na tron dynastii Uрга, którą mam szczególną nieprzyjemność reprezentować.

- A zatem w twoim kraju musi być porządny głód pokojowych rozkoszy, takich jak dachy dla domów, garnki do gotowania, jakiś wypełniacz do garnków, i tym podobne artykuły.

- Chyba tak.

- Więc dobrze. Wraz z Yarblekiem możemy przewozić towary do Cthol Murgos drogą morską i zamienić Rak Uрга w największy ośrodek handlowy na południowej półkuli kontynentu.

- Nie rozumiem. Cthol Murgos jest w stanie bankructwa.

- Bezdenne kopalnie nadal tu są, prawda?

- Oczywiście, lecz wszystkie znajdują się na terytoriach kontrolowanych przez Mallorean.

- Lecz jeśli zawrzesz pokój z Zakathem, Malloreanie zaczną opuszczać te obszary, prawda? Będziemy musieli wziąć się ostro do pracy, Urgicie. Jak tylko Malloreanie się wycofają, ty będziesz musiał wkroczyć, nie tylko z wojskiem, lecz z gwarkami.

- Co będę z tego miał?

- Podatki, bracie, podatki. Możesz obciążyć podatkami gwarków, mnie oraz moich klientów. Za kilka lat będziesz opływał w dobrobyt.

- A Tolnedranie? W ciągu kilku tygodni wyszwindlują mnie z tego interesu.

- Mało możliwe. - Silk uśmiechnął się szelmowsko. - Varana jest jedynym Tolnedraninem na świecie, który o tym wie, a znajduje się teraz na statku Baraka w porcie. Jeszcze przez kilka tygodni nie dotrze do Tol Honeth.

- Cóż za różnica? Nikt nie może wykonać żadnego ruchu, zanim nie podpiszę traktatu pokojowego z Zakathem, prawda?

- To nie do końca prawda, Urgicie. My możemy zawrzeć porozumienie gwarantujące mi wyłączny dostęp na murgoskie rynki. Zapłacę ci za to hojnie, a porozumienie będzie najzupełniej prawne i obwarowane odpowiednimi przepisami. Zawarłem już w życiu wystarczająco dużo porozumień, aby wiedzieć dokładnie, jak to się robi. Później możemy dogadać szczegóły, lecz teraz najważniejsza sprawa to stworzyć pismo zaopatrzone w nasze podpisy. A kiedy zapanuje pokój, Tolnedranie popędzą tutaj, a ty pokażesz im dokument i odeślesz ich z kwitkiem do domu. Jeśli ja będę miał wyłączny dostęp, zarobimy miliony. Miliony, Urgicie, miliony!

Nosy obydwu mężczyzn kręciły się niespokojnie.

- Jakie zastrzeżenia chcesz nałożyć na to porozumienie o wyłączności? - zapytał z zaciekawieniem Urgit.

Silk wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i sięgnął ponownie pod swój kubrak.

- Pozwoliłem sobie naszkicować tymczasowy dokument - powiedział wyciągając kolejny pergamin. - Żeby zaoszczędzić czasu.

Kiedy żeglarze Baraka zacumowali „Morskiego Ptaka” przy znajomym nabrzeżu w drasańskiej enklawie handlowej, Garion zauważył, że Sthiss Tor wciąż nie utraciło swego nieciekawego charakteru. Jeszcze nie zdążono położyć trapu, a Silk już zeskoczył na brzeg i pomknął ulicą.

- Czy może mieć jakieś problemy? - spytał Garion.

- Raczej nie - odparł Sadi kuląc się za burtą pękatego barkasa. - Salmisra wie, kim on jest, a ja znam moją królową. Z jej twarzy nie odczytasz żadnych uczuć, lecz jej ciekawość jest ogromna. Tworzyłem ten list przez ostatnie trzy dni. Zgodzi się widzieć ze mną. Praktycznie mogę to zagwarantować. Czy moglibyśmy zejść pod pokład, Garionie? Naprawdę wolałbym, żeby mnie nikt nie zobaczył.

Silk powrócił jakiś czas później w towarzystwie oddziału nyissańskich wojowników. Dowódca wydawał się osobliwie znajomy.

- Czy to ty, Issusie? - zawołał Sadi wytykając nos przez bulaj kabiny, w której się chował. - Sądziłem, że do tego czasu już nie będziesz żył.

- Żyję - rzekł jednooki zabójca.

- Służysz teraz w pałacu?

- Tak.

- Dla królowej?

- Między innymi. Od czasu do czasu wykonuję jakieś dziwne prace dla Javelina.

- Czy królowa o tym wie?

- Oczywiście. No dobrze, Sadi. Królowa wyraziła zgodę na krótką rozmowę. Lepiej, jak się pośpieszymy. Jestem pewien, że będziesz chciał stąd się zebrać, zanim minie wyznaczony czas. Kły świerzbią królową za każdym razem, gdy słyszy twe imię, a więc chodźmy, chyba że chcesz ponownie rozważyć swą decyzję i od razu zacząć uciekać.

- Nie - odparł Sadi. - Przybędę niezwłocznie. Wezmę ze sobą Polgarę i Belgariona, jeśli ci to nie przeszkadza.

- Jak chcesz - odparł Issus z obojętnym wzruszeniem ramion. Pałac nadał wypełniony był wężami i mglistookimi eunuchami. Urzędnik o szerokich biodrach i groteskowo ozdobionej makijażem, krostowatej twarzy zatrzymał ich przy wejściu do pałacu.

- No cóż, Sadi - powiedział przenikliwym sopranem. - Widzę, że wróciłeś.

- A ja widzę, że udało ci się przeżyć, Y'sth - odparł chłodno Sadi. - To prawdziwy wstyd.

Oczy Y'stha zwęziły się w nie skrywanej nienawiści. - Na twoim miejscu zważałbym na słowa, Sadi - pisnął. - Już nie jesteś Głównym Eunuchem. Prawdę mówiąc możliwe, że ja wkrótce obejmę to stanowisko.

- Niech niebiosa bronią wówczas biednej Nyissy - mruknął Sadi.

- Słyszałeś o rozkazie królowej, że należy zapewnić Sadiemu bezpieczne przejście? - spytał Issus eunucha.

- Nie z jej własnych ust.

- Salmisra nie ma ust, Y'sth, i właśnie usłyszałeś to z moich. A teraz zejdziesz z drogi, czy mam cię rozplatać na pół?

Y'sth cofnął się.

- Nie możesz mi grozić, Issusie.

- Nie groziłem ci. Zadawałem tylko pytanie. - Zabójca poprowadził ich korytarzem zbudowanym z wypolerowanych kamieni, który prowadził do sali tronowej.

Komnata, do której weszli, pozostała w takim stanie, jaką zapamiętał Sadi. Ten swoisty stigmatyzm zapewniała ponad tysiącletnia tradycja. Na osobliwym tronie spoczywała Salmisra kręcąc się niespokojnie i poruszając swą ukoronowaną główką przed lustrem.

- Eunuch Sadi, szlachetna królowo - zaanonsował Issus kłaniając się. Garion zauważył, że Issus nie płaszczył się przed tronem tak jak pozostali Nyissanie.

- Ach - syknęła Salmisra - i piękna Polgara, i król Belgarion. Poznałeś niezwykle, ważne istoty od czasu, gdy porzuciłeś służbę u mnie, Sadi.

- Czysty przypadek, królowo - skłamał świadomie.

- Cóż za istotna sprawa kazała ci ryzykować życiem i stawić się przed moim obliczem?

- Jedynie to, Wieczna Salmisro - odparł Sadi, po czym postawił swą czerwoną, skórzaną torbę na podłodze, otworzył ją i wyjął zwinięty pergamin. Wymierzył lekkiego kopniaka w biodro czołgającego się eunucha. - Zanieś to królowej - rozkazał.

- Nie zyskujesz popularności, Sadi - ostrzegł cicho Garion.

- Nie staram się o posadę urzędnika, Garionie. Mogę być tak przykry jak mi się podoba.

Salmisra szybko przeczytała Ugody z Dal Perivor.

- Interesujące - syknęła.

- Jestem pewien, że wasza miłość postrzega możliwości, jakie roztaczają te Ugody - powiedział Sadi. - Czuję powinność zapoznania waszej miłości z ich treścią.

- Oczywiście, że widzę, co to za sobą niesie, Sadi - rzekła. - Jestem zmiłą, nie głuptakiem.

- A zatem chcę cię pożegnać, królowo. Spełniłem wobec ciebie mój ostatni obowiązek.

Oczy Salmisry wyrażały najwyższe skupienie.

- Jeszcze nie, drogi Sadi - odezwała się szeptem podobnym do pomruku. - Podejdź trochę bliżej.

- Dałaś słowo, Salmisro - powiedział trwożliwie.

- Och, bądź rozsądny, Sadi - odparła. - Nie zamierzam cię ukąsić. Obmyśliłeś

wszystko, prawda? Wcześniej odkryłeś, że może dojść do takich uгод, i świadomie popadłeś w niełaszkę, abyś mógł podążyć ich tropem. Tve negocjacje w moim imieniu wypadły wspaniale, przyznaję. Bardzo dobrze się spisałeś, Sadi, pomimo tego, że twoje czyny wymagały oszukania własnej królowej. Jestem z ciebie zadowolona. Czy zgodziłbyś się powrócić na swoje dawne stanowisko w moim pałacu?

- Zgodzić się, królowo? - wykrzyknął jak mały chłopiec. - Byłbym uradowany. Żyję po to, by ci służyć.

Salmisra obróciła głowę dookoła, aby popatrzeć na płaszczących się eunuchów.

- Wyjdźcie wszyscy - rozkazała. - Chcę, żebyście rozeszli się po pałacu i ogłosili, że Sadi został zrehabilitowany i że przywróciłam go na stanowisko. Jeśli komukolwiek nie podoba się moja decyzja, przyślijcie go do mnie, a wyjaśnię mu co trzeba.

Patrzyli na nią i Garion dostrzegł, że wiele twarzy wyrażało smutek.

- To męczące - westchnęła Salmisra. - Są zbyt zachwyceni, aby się w ogóle poruszyć. Proszę, wyprowadź ich, Issusie.

- Wedle życzenia, królowo - powiedział Issus wyciągając miecz. - Czy chcesz, żeby wszyscy przeżyli?

- Kilku, Issusie, ci bardziej zwinni.

Komnata tronowa opustoszała prawie natychmiast.

- Nie posiadam się z wdzięczności, wasza miłość - rzekł Sadi.

- Pomyślę o sposobie, w jaki mógłbyś się odwdziżyć, Sadi. Przede wszystkim oboje będziemy udawać, że to, co zaproponowałam przed chwilą, było prawdziwe, dobrze?

- Rozumiem doskonale, boska Salmisro.

- Mimo wszystko - dodała - musimy bronić dostojęstwa tronu. Powrócisz do poprzednich obowiązków i poprzednich komnat. Później pomyślimy o odpowiednich zaszczytach i nagrodach. - Przerwała. - Brakowało mi cię, mój Sadi. Nie sądzę, żeby ktokolwiek kiedykolwiek wiedział tak dużo. - Jej głowa powoli okręciła się dookoła i spojrzała na Polgarę. - A jak przebiegało wasze spotkanie z Zandramas, Polgaro? - spytała.

- Nie ma już wśród nas Zandramas, Salmisro.

- Wspaniale. Nigdy jej nie lubiłam. Czy wszechświat został ponownie odnowiony?

- Tak, Salmisro.

- Myślę, że cieszę się z tego. Chaos i rozdziały są irytujące dla węża. Mamy sentyment do spokoju i porządku.

Garion zauważył, jak mały, zielony wąż wypełził spod tronu Salmisry i zbliżył się do czerwonej, skórzanej sakwy Sadiego, która leżała otwarta i zapomniana na marmurowej

podłódze. Mały wąż podniósł się, aby zająrzeć do glinianej butelki. Mruczał uwodzicielsko.

- Czy odzyskałeś swego syna, wasza miłość? - zapytała Salmisra Gariona.

- Tak, wasza miłość.

- Moje gratulacje. Przekaż pozdrowienia swej wybrance.

- Z pewnością to uczynię, Salmisro.

- Musimy już iść - powiedziała Polgara. - Żegnaj, Sadi.

- Żegnaj, lady Polgaro. - Sadi popatrzył na Gariona. - Bywaj, Garionie - rzekł. -

Mieliśmy sporo dobrej zabawy, co?

- Zgadza się - potwierdził Garion potrząsając ramię eunucha.

- Pożegnaj ode mnie pozostałych. Myślę, że od czasu do czasu będziemy się widywać z uwagi na sprawy państwowe, lecz nie będzie już tak jak niegdyś, prawda?

- Chyba nie. - Garion odwrócił się i podążył za Polgarą i Issusem.

- Jedną chwilkę, Polgaro - odezwała się Salmisra.

- Tak?

- Dokonałaś tu wielu zmian. Z początku byłam na ciebie zła, lecz teraz miałam czas, aby to wszystko rozważyć. Dziękuję.

Polgara skłoniła głowę.

- Moje gratulacje z okazji boskiego daru - dodała Salmisra. Twarz Polgary nie zdradziła najmniejszego zaskoczenia.

- Dziękuję, Salmisro - powiedziała.

Zatrzymali się w Tol Honeth, gdzie wznosił się okazały pałac cesarza Varany. Garion zauważył, że barczysty żołnierz zdawał się nieco roztargniony. Powiedział coś szybko urzędnikowi pałacowemu, kiedy grupa skierowała się ku jego kwaterze, i ten umknął w pośpiechu.

Pożegnanie było krótkie, a nawet dość nagłe. Varana, człowiek wielkiej kurtuazji, nie stanął na wysokości zadania, wyraźnie jego uwagę zaprzętały już inne sprawy.

Ce'Nedra zawrzała, kiedy wyszli z pałacu. Jak zawsze niosła swego syna i bezwiednie przeczesywała palcami jego jasne loki.

- On był prawie niegrzeczny - stwierdziła oburzona.

Silk spojrział na szeroki, marmurowy podjazd prowadzący do pałacu. Na północnych obszarach nastąpiła wiosna i na drzewach rosnących rzędem wzdłuż podjazdu zaczęły pojawiać się zielone pąki liści. Wielu bogato odzianych Tolnedran biegło w kierunku pałacu.

- Twój wuj, czy brat, jakkolwiek go chcesz nazywać, ma jakieś niezwykle ważne sprawy na głowie - odezwał się mały człowieczek do Ce'Nedry.

- Co mogłoby być na tyle ważne, żeby zapomnieć o tradycyjnej kurtuazji?

- W tym momencie Cthol Murgos.

- Nie rozumiem.

- Jeśli Zakath i Urgit zawrą traktat pokojowy, w Cthol Murgos zrodzi się mnóstwo możliwości handlowych.

- To potrafię zrozumieć - rzekła sucho.

- Oczywiście. Jesteś przecież Tolnedranką.

- A dlaczego ty się tym nie zajmiesz?

- Już to zrobiłem, Ce'Nedro. - Uśmiechnął się polerując do błysku duży pierścień o przód swego perłowoszarego kubraka. - Varana może się na mnie bardzo rozgniewać, kiedy dowie się, co zrobiłem.

- A co dokładnie?

- Powiem ci, jak już znajdziemy się na pełnym morzu. Jesteś z domu Borune, więc może dojdą u ciebie do głosu jakieś rodzinne lojalności. Nie chciałbym, żebyś zepsuła niespodziankę, jaką zgotowałem twemu wujkowi.

Pożeglowali na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża, a następnie w górę rzeki Arend, aż do płycizn, kilka mil na zachód od Vo Mimbire. Dalej dosiedli wierzchowców i ruszyli w wiosennym słońcu ku legendarnemu miastu mimbrackich Arendów.

Dworzanie króla Korodullina otwierali w osłupieniu oczy, kiedy Mandorallen ogłosił, że na dalekim krańcu świata zamieszkują mimbraccy Arendowie. Dworzanie zostali natychmiast wysłani do zasobnych w księgi bibliotek, aby skomponować stosowne odpowiedzi na życzenia przesyłane przez króla Oldorina.

Kopia Ugod z Dal Perivor dostarczona przez Lelldorina wywołała jednak zmartwienie na twarzach kilku dworzan.

- Obawa targa mym sercem, wasza miłość - rzekł pewien starszy dworzanin do Korodullina i Mayaserany - iż nasza biedna Arendia raz wtóry skryta ostała w cieniu cywilizowanego świata. Onegdaj dusze nasze radością wypełniała odwieczna walka między Alornami i Angarakami, jako i ostatni konflikt między Mallorealanami i Murgosami. Mniemaliśmy poniekąd, iż ich niezgoda w pewnym stopniu usprawiedliwia właśnie nasze. Wszelako niewielkie owo pocieszenie zgaśnie niczym iskra kroplą deszczu nakryta. Czyż pozwolimy, by mówiono, iż w tym najtragiczniejszym z królestw rozgoryczenie i wojna nadal przeważa? Jak możemy nosić dumnie głowy nasze uniesione w świecie, w jakowym pokój gości, jeśli dziecinne zwady i idiotyczna, bratobójcza wojna zaciemniają nasze wzajemne stosunki?

- Uważam, iż słowa twe wielce urażają honor przyjaciół naszych, mój lordzie - odparł nieustępliwy baron. - Azaliż prawdziwy Mimbrat mógłby obojętność w sercu zachować w obliczu honoru?

- Wszakże me słowa nie jeno Mimbratów imiona na swych skrzydłach niosą, mój lordzie - odparł łagodnie starzec. - Mówię ja o wszelakich Arendach, Asturach jako i o Mimbratach.

- Asturowie w ogóle nie mają honoru - zadrwił młody baron stojący obok.

Lelldorin natychmiast chwycił za miecz.

- Nie, młody przyjacielu - odezwał się Mandorallen powstrzymując zapalczywego młodzieńca. - Obraza dokonana się tutaj, na mimbrackiej ziemi. Jest więc moim obowiązkiem, i przyjemnością, godnie na nią odpowiedzieć. - Postąpił krok w przód. - Twe słowa były zapewne zbyt pochopne, szlachetny lordzie - rzekł grzecznie aroganckiemu baronowi. - Proszę, rozważ je po raz wtóry.

- Rzekłem com rzekł, szlachetny rycerzu - oświadczył zagorzalec.

- Mowa twa uraziła szczodrobliwą duszę doradcy króla - stwierdził stanowczo Mandorallen - i obelgę cisnąłeś w oblicze naszego brata z północy.

- Nie mam żadnych braci wśród Asturów - utrzymywał rycerz. - Nie przyjmuję do wiadomości pokrewieństwa z niegodziwcami i zdrajcami.

Mandorallen westchnął.

- Błagam cię, przebacz mi, wasza miłość - przeprosił króla. - Może poprosisz, aby damy opuścić raczyły ową komnatę, jako że będę mówił wprost.

Żadna siła nie potrafiłaby wywlec kobiet z sali tronowej w tym właśnie momencie.

Mandorallen odwrócił się tyłem do butnego barona.

- Szlachetny lordzie - powiedział donośnie wielki rycerz - mniemam, iż twarz na podobieństwo małpiej twarzy została stworzona, a ciało twe ohydłą niekształtnością razi poczciwe oczy nasze. Co więcej, twa broda jest obrazą przyzwoitości, jako że przypomina bardziej szorstkie futro, jakowe zdobi zadnią część kundla, niżli odpowiednie upiększenie dla ludzkiej twarzy. Czyż możliwe, iż rodzicielka twa wiedziona jakowąś nieludzką żądzą dała upust swym chuciom z pożądlivym kozłem?

Baron posiniał z wściekłości i pryskając śliną wybełkotał coś niewyraźnie nie mogąc wypowiedzieć słowa.

- Wydajesz się rozedrgany, szlachetny lordzie - kontynuował Mandorallen tym samym zwodniczo łagodnym tonem - alboż to twe niejasne pochodzenie pozbawia twój język ludzkiej mowy? - Popatrzył krytycznie na barona. - Naprawdę świadom jestem, mój lordzie,

żeś sparaliżowan tchórzostwem jako i brakiem odpowiedniego pochodzenia, jako że po prawdzie, żaden człowiek honoru nie wytrzymałby bez odpowiedzi takich śmiertelnych obelg, jakowymi ja tu przed chwilą raczyłem cię obrzucić. A zatem obawy umysłem mym targają, iż obrazy końca nie uwidzisz. - Zdjął rękawicę.

Jak świat długi i szeroki wiadomo było, że zwyczaj nakazywał rzucić komuś rękawicę na podłogę jako wyzwanie. Mandorallen jakimś sposobem nie trafił jednak w podłogę. Młody baron zachwiał się w tył plując własnymi zębami i krwią.

- Nie pierwszej żeś młodości, Mandorallenie - wrzasnął wściekły. - Długoś już używał jedynie twej kwestionowanej reputacji, aby unikać uczciwej walki. Mniemam, iż najwyższy czas, abyś prawdziwie się spróbował.

- To gada - odezwał się Mandorallen z udawanym zdumieniem. - Ujrzyjcie ów cud niezwykły: gadający pies.

Dwór zatrzęsł się od śmiechu.

- Przejdźmy do niższego dworu, Władco Pcheł - kontynuował Mandorallen. - Może walka z tak starym i słabym rycerzem przysporzy ci rozrywki.

Kolejne chwile niesłuchanie dłużyły się młodemu, butnemu baronowi. Mandorallen, który niechybnie mógł rozplatać go jednym uderzeniem miecza, bawił się z nim zadając liczne, bolesne i upokarzające rany. Żadna z kości, które połamał mu wielki rycerz, nie była absolutnie niezbędna i żadne z obrażeń nie czyniło młodzieńca niezdolnym do dalszej walki. Baron obracał się desperacko próbując się bronić, podczas gdy Mandorallen zręcznie obrał go ze zbroi pozostawiając z niej jedynie kawałki. W końcu najwyraźniej znudzony mistrz Arendii jednym zwinnym chwytem wykręcił ręce młodego człowieka. Padając na podłogę baron wył z bólu.

- Zaklinam ja ciebie, mój lordzie - strofował go Mandorallen - zmoduluj twe wrzaski rozpacz, w przeciwnym razie przestraszysz damy. Jęcz cicho i proszę nie kalaj tego szlachtetnego miejsca nędznymi wrzaskami. - Odwrócił się stanowczo do uciszonego, lekko zatrwożonego tłumu. - A - dodał - jeśli ktokolwiek inny podziela uprzedzenia owego gorączkowego młodzieńca, niechaj przemówi teraz, zanim miecz mój skryje blask swój w mrokach onego futerału, jako że po prawdzie wyciąganie i wkładanie broni z powrotem jest niezwykle męczącym zajęciem. - Rozejrzał się dookoła. - Czekam, szlachetni panowie, albowiem ta głupota męczy mnie i nuży i wkrótce moja drażliwość wzrośnie.

Jakiegokolwiek były poglądy zgromadzonych rycerzy dworu królewskiego, zdecydowali się zatrzymać je dla siebie.

Ce'Nedra ponuro wystąpiła naprzód.

- Mój rycerzu - odezwała się dumnie do Mandorallena, po czym jej oczy rozbłysły figlarnymi iskierkami. - Świadomam, iż twa waleczność nie zbladła, mimo iż okrutna starość dotyka paralizem twych członków i pokrywa srebrzystobiałą barwą tve kruczocharne loki.

- Starość? - zaprotestował Mandorallen.

- Dokuczam ci tylko, Mandorallenie. - Roześmiała się. - Odłóż miecz. Nikt już nie chce się z tobą dzisiaj bawić.

Pożegnali się z Mandorallenem, Lelldorinem i Relgiem, który zamierzał powrócić do Taiby i swoich dzieci w Maragorze w Vo Mimbre.

- Mandorallenie! - ryknął król Anheg, kiedy opuszczali miasto. - Kiedy dotrze tu zima, przybądź do Val Alorn. Zabierzemy Baraka na polowanie na niedźwiedzie.

- Na pewno tak uczynię, wasza miłość - obiecał Mandorallen spoglądając w dół z murów obronnych.

- Lubię tego człowieka - rzekł szczerze król.

Ponownie weszli na pokład statku i pożeglowali na północ do miasta Sendar, aby powiadomić króla Fulracha o Ugodach z Dal Perivor. Silk i Velvet mieli pożeglować na „Morskim Ptaku” z Barakiem i Anhegiem, reszta zaś planowała niespiesznie pojechać konno przez góry do Algarii, a stamtąd do Vale.

Pożegnali się krótko na brzegu, po części dlatego, że wkrótce mieli znów się zobaczyć, a po części dlatego, że nikt nie chciał okazywać zbyt wielkich emocji. Garion niechętnie żegnał się z Silkiem i Barakiem. Ci dwaj dziwnie nie pasujący do siebie kompani byli jego przyjaciółmi więcej niż pół życia i perspektywa rozłąki sprawiała szczególny ból. Przeżyli wspólnie niesamowite przygody, które zostawiły na nich niezatarte piętno.

- Myślisz, że teraz uda ci się unikać kłopotów? - zapytał go Barak. - Merel denerwuje się, kiedy budząc się rano dostrzega, że tej nocy dzieliła łóżko z niedźwiedziem.

- Postaram się - obiecał Garion.

- Pamiętasz, co powiedziałem ci wtedy za Winold w ten mroźny ranek? - zapytał Silk.

Garion zmarszczył brwi próbując sobie przypomnieć.

- Powiedziałem, że żyjemy w szczególnych czasach i że teraz trzeba żyć, aby móc uczestniczyć wspólnie w tych wydarzeniach.

- Och, tak, teraz sobie przypominam.

- Miałem sporo czasu, żeby sobie to przemyśleć, i muszę ci powiedzieć, że ponownie to rozważę. - Silk nagle roześmiał się i Garion zrozumiał, że słowa tego małego człowieczka wcale nie odzwierciedlały jego myśli.

- Zobaczymy się latem na Zgromadzeniu Alornów, Garionie - zawołał Anheg, kiedy

„Morski Ptak” zaczął odbijać od brzegu. - W tym roku odbędzie się u ciebie. Może przy odrobinie silnej woli nauczymy cię ładnie śpiewać.

Nazajutrz wczesnym rankiem opuścili miasto Sendar i ruszyli w górę do Murgo. Chociaż prawdę mówiąc nie było to konieczne, Garion zdecydował, że odprowadzi wszystkich swych przyjaciół do domu. Kolejne rozstania w miarę jak płynęli na północ stawały się coraz bardziej przygnębiające i młody król nie czuł się jeszcze gotów, aby rozstać się ze wszystkimi.

Przebyli obszary Sendarii szamerowane późnowiosennymi promieniami słońca, przecięli pas wyżyn, góry udekorowane strzelistymi szczytami i wreszcie wjechali do Algarii. Jakiś tydzień później stanęli u wrót Twierdzy. Król Cho-Hag nie posiadał się z radości usłyszawszy o wyniku spotkania w Korim i okazał wielkie zdumienie słysząc o rezultatach zaimprovizowanej konferencji w Dal Perivor. Ponieważ Cho-Hag bardziej słynął z żelaznej stałości niż błyskotliwości, Anheg, Belgarath i Garion ze szczegółami opisali zaskakujące wyniesienie Erionda.

- Zawsze był dziwnym chłopcem - ocenił zamyślonym, głębokim, pełnym spokoju głosem Cho-Hag, kiedy skończyli opowieść - lecz również ten cały łańcuch zdarzeń był dziwny. Doznaliśmy przywileju żyjąc w tak doniosłych czasach, drodzy przyjaciele.

- To prawda - zgodził się Belgarath. - Miejmy nadzieję, że teraz wszystko się uspokoi, przynajmniej na jakiś czas.

- Ojciec - odezwał się Hettar. - Król Murgów Urgit prosił, abym przekazał ci jego podziękowanie.

- Spotkałeś króla Murgów? Czyż nie jesteśmy w stanie wojny? - Cho-Hag nie posiadał się ze zdziwienia.

- Urgit nie przypomina żadnego Murga, jakiego do tej pory spotkałeś, ojciec - odparł Hettar. - Chciał ci podziękować za zglądzenie Taura Urgasa.

- Niezwykły sentyment jak na syna.

Garion wyjaśnił szczególne pochodzenie Urgita i zwykle opanowany król Algarii wybuchał raz po raz śmiechem.

- Znałem ojca księcia Kheldara - powiedział. - To dokładnie do niego pasuje.

Damy zebrały się wokół Gerana i coraz liczniejszego potomstwa Adary. Kuzynka Gariona wyraźnie spodziewała się następnego potomka i spędzała większość czasu z rozmarzonymi oczami wsłuchana w niesamowite zmiany, które natura dokonywała w jej ciele. Stan, w jakim znajdowały się Ce'Nedra i Polgara, napełnił zdziwieniem Adarę i królową Silar, Poledra siedziała między nimi uśmiechając się tajemniczo. Garion był pewien,

że Poledra wiedziała dużo więcej, niż dawała po sobie poznać.

Nie minęło dziesięć dni, a Durnik zaczął się niecierpliwić.

- Już zbyt długo jesteśmy z dala od domu, Pol - rzekł pewnego ranka. - Jeszcze czas, aby zdążyć zasiać pole, i jestem pewien, że trzeba będzie trochę posprzątać, naprawić ogrodzenie, sprawdzić dachy i...

- Co tylko sobie zyczysz, kochanie - zgodziła się łagodnie. Cięża wyraźnie zmieniła Polgarę. Zdawało się, że nic już jej nie irytuje.

W dzień odjazdu Garion udał się na podwórze, aby osiodłać Chretienne. Choć w Twierdzy znajdowało się wielu członków klanu Algarów, którzy pragnęliby zrobić to za niego, udał, że wyjątkowo sam chciał przygotować do drogi swego wierzchowca. Pozostali, pochłonięci przedłużającymi się pożegnaniami, nie przeszkadzali Garionowi, który wiedział, że jeszcze jedno „żegnaj” mogłoby przyprawić go o łzy.

- To wspomniały koń, Garionie.

Obok niego stała kuzynka Adara. Jej twarz emanowała radością, jaka zwykle gości na obliczach kobiet w stanie odmiennym, i jedno spojrzenie przekonało Gariona, jak szczęśliwy był Hettar. Od pierwszego spotkania poczuli szczególną więź i miłość.

- Podarował mi go Zakath - odparł. Gdyby skończyło się na rozmowie o koniach, był pewien, że potrafiłby kontrolować swe emocje.

Adara jednak nie przyszła do niego, aby rozmawiać o koniach. Położyła ręce delikatnie na szyi Gariona i pocałowała go.

- Żegnaj, krewniaku - rzekła miękko.

- Bywaj, Adaro - powiedział lekko stłumionym głosem. - Bywaj.

Rozdział XXVIII

Belgarion, Król Rivy, Władca Zachodu, Pan Morza Wschodniego, Zabójca Boga, prowadził długą dysputę ze swą żoną, Ce'Nedra, Królową Rivy, Cesarską Księżniczką Imperium Tolnedrańskiego, Klejnotem Domu Borune. Przedmiotem ich dyskusji była odpowiedź na pytanie, kto powinien posiadać przywilej noszenia Księcia Gerana, Następcy Rivańskiego Tronu, Dziedzicznego Nosiciela Klejnotu i, do niedawna, Dziecka Ciemności. Dyskusja trwała od czasu, gdy królewska para przybyła wraz ze swoją rodziną ze Stronholdu do Doliny Aldura.

Ostatecznie, aczkolwiek niechętnie, królowa Ce'Nedra ustąpiła. Jak przepowiedział Belgarath, ramiona królowej osłabły od ciągłego noszenia małego synka i w końcu, z pewną ulgą postawiła go na ziemi.

- Pilnuj, żeby się nie przewrócił - ostrzegła męża.

- Oczywiście, kochanie - odparł Garion, sadzając go na szyi Chretienne tuż przed siodłem.

- I nie pozwól, by opalił się zbyt mocno.

Teraz, gdy wydostali Gerana z rąk Zandramas, chłopiec był dobrodusznym, małym brzdącem. Mówił półsłówkami z niezwykle poważnym wyrazem twarzy, gdy starał się wytłumaczyć coś swemu ojcu. Z wielką powagą wskazywał jelenia czy króliki, kiedy jechali stępą na południe, od czasu do czasu zapadał w drzemkę, z zadowoleniem opierając na piersi swego ojca małą główkę z jasnymi kędziorkami włosów. Pewnego ranka zachowywał się bardzo niespokojnie i Garion nie zastanawiając się wiele zdjął Klejnot z rękojeści miecza i wręczył go synowi. Geran z niemym zachwytem trzymał w rękach migoczący Klejnot; zafascynowany wpatrywał się w jego głębię. Często przykładł kamień do ucha wsłuchując się w jego pieśń.

Jak się okazało, Klejnot był nawet bardziej zachwycony niż chłopiec.

- To naprawdę bardzo niepokojące, Garionie - zbeształ go Beldin. - Zmieniłeś najpotężniejszy przedmiot we wszechświecie w dziecięcą zabawkę.

- Należy do niego, a w każdym razie będzie do niego należeć. Powinni się poznać wzajemnie, nie sądzisz?

- A co się stanie, jeśli go zgubi?

- Beldinie, czy naprawdę sądzisz, że Klejnot można zgubić? Zabawa zakończyła się raczej gwałtownie, kiedy Poledra ściągnęła cugle swemu koniowi zatrzymując się przy Władcy Zachodu.

- On jest zbyt młody, żeby bawić się podobną rzeczą, Garionie - powiedziała z wyrzutem. Wyciągnęła przed siebie rękę i na otwartej dłoni pojawił się osobliwie poskręcany i węzłowaty patyk. Odłóż Klejnot na miejsce, Garionie - powiedziała. - A w zamian daj mu to do zabawy.

- To kij o jednym końcu, prawda? - powiedział nieufnie Garion przypominając sobie zabawkę, jaką Belgarath pokazywał mu w zaśmieconej wieży, zabawkę, która zaprzętała myśli Polgary w czasach jej dzieciństwa.

Poledra skinęła głową.

- Powinna go zająć - powiedziała.

Geran ochoczo zrezygnował z Klejnotu na rzecz nowej zabawki. Przez pół dnia Klejnot mamrotał skargi do ucha Gariona.

Dzień później dotarli do gospodarstwa. Poledra spojrzała krytycznie ze wzgórza.

- Widzę, że dokonałaś pewnych zmian - zwróciła się do swej córki.

- Przeszkadza ci to, mamó? - spytała Polgara.

- Oczywiście, że nie. Dom powinien odzwierciedlać charakter jego właściciela.

- Jestem pewien, że jest tu mnóstwo rzeczy do zrobienia - odezwał się Durnik. - Te ogrodzenia wymagają naprawy. Jeśli się za nie nie weźmiemy, będziemy mieć na podwórzu setki algarskich krów.

- I jestem pewna, że dom wymaga dokładnego posprzątania - dodała jego żona.

Zjechali ze wzgórza, zsiadli z koni i weszli do chłodnego wnętrza budynku.

- Niemożliwe - krzyknęła Polgara patrząc z niesmakiem na wszechobecną, grubą powłokę kurzu. - Będziemy potrzebować mioteł, Durniku - powiedziała.

- Oczywiście, kochanie - zgodził się. Belgarath szperał w spiżarni.

- Nic z tych rzeczy, ojczu - rzekła ostro Polgara. - Chcę, żebyście wraz z wujkiem Beldinem i Garionem wypielili chwasty w ogrodzie.

- Co? - z jego głosu przebijało wyłącznie niedowierzenie.

- Jutro będę chciała coś zasadzić - odparła. - Skop ziemię, ojczu.

Garion, Beldin i Belgarath wyszli niepokieszeni do przybudówki, w której Durnik trzymał swe narzędzia.

Garion popatrzył z goryczą na „przykuchenny ogródek” Polgary, który wydawał się wystarczająco duży, aby dostarczyć oprowiantowanie dla małej armii.

Beldin dziabnął przez chwilę motyką.

- To absurdalne! - wykrzyknął. Rzucił motykę i wskazał jednym palcem na ziemię. Kiedy poruszał palcem, przez ogródek zaczęła przebiegać zgrabna bruzda świeżo przeoranej

ziemi.

- Ciocia Pol będzie się gniewać - ostrzegł garbusa Garion.

- Tylko jeśli nas przyłapie - burknął Beldin patrząc na domek, gdzie Polgara, Poledra i rivańska królowa krzątały się z miotłami i ściereczkami do wycierania kurzu. - Twoja kolej, Belgaracie - rzekł. - Postaraj się zrobić proste grządki.

- Zorientujmy się, czy uda nam się wymusić na Pol trochę piwa, zanim zabierzemy się do grabienia - zaproponował Beldin, kiedy skończyli. - To męcząca praca, nawet jeśli robi się to w ten sposób.

Durnik poszedł do domku, żeby się orzeźwić w przerwie naprawiania ogrodzenia. Niewiasty machały zawzięcie miodami wzniecając tumany kurzu, który, jak zauważył Garion, uparcie z powrotem osiadał w miejscach już wcześniej odkurzanych. Kurz czasem tak lubi.

- Gdzie jest Geran? - krzyknęła nagle Ce'Nedra upuszczając miotłę i rozglądając się dookoła z przerażeniem.

Oczy Polgary zamglily się na chwilę.

- Och, moje kochanie - westchnęła. - Durniku - powiedziała spokojnie - idź, proszę, i wyłów go z tej zatoczki.

- Co takiego?! - Ce'Nedra wrzasnęła, kiedy Durnik szybko wyszedł na zewnątrz.

- Nic mu nie będzie, Ce'Nedro - zapewniła ją Polgara. - Po prostu wpadł do zatoczki. To wszystko.

- To wszystko? - Głos Ce'Nedry podniósł się o kolejną oktawę.

- Przecież chłopcy właśnie w ten sposób spędzają wolny czas - odezwała się Polgara. - Garion to robił, Eriond też, a teraz Geran. Nie martw się. Pływa całkiem dobrze.

- Jak nauczył się pływać?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Może mali chłopcy rodzą się z tą zdolnością, a przynajmniej niektórzy z nich. Garion był jedynym, który próbował się przy tej okazji utopić.

- Właśnie zaczynałem pojmować zasady pływania, ciociu Pol - sprzeciwił się - lecz wpadłem pod ten pień i uderzyłem się w głowę.

Ce'Nedra popatrzyła na niego z przerażeniem, po czym nagle załamała się i wybuchła płaczem.

Durnik niósł Gerana za tył tuniki. Malec ociekał wodą, lecz sprawiał wrażenie szczęśliwego.

- Porządnie się ubłocił, Pol - zauważył kowal. - Eriond też kiedyś przemakał, lecz nie sądzę, żeby aż tak taplał się w błocie.

- Weź go na zewnątrz, Ce'Nedro - poleciała Polgara. - Błoto kapie na świeżo umytą

podłogę. Garionie, w przybudówce jest balia. Wystaw ją na podwórze i napełnij wodą. - Uśmiechnęła się do matki Gerana. - I tak najwyższy czas, aby się wykąpał. Z jakiejś przyczyny mali chłopcy zawsze potrzebują kąpieli. Garion brudził się kiedyś nawet podczas snu.

Pewnego pięknego wieczora Garion dołączył do Belgaratha, który siedział na progu drewnianego domku.

- Wydajesz się trochę zamyślony, dziadku. Nęka cię jakiś problem?

- Myślałem o naszym gniazdku. Poledra wprowadzi się do wieży.

- Więc co?

- Czeką nas tam mniej więcej dziesięć lat sprzątania i zawieszania zasłon w oknach. Jak człowiek może wyglądać oknem mając przed nosem zasłony?

- Może nie będzie przywiązywała do tego aż takiej wagi. W Dal Perivor mówiła, że wilki nie są tak przesadnie czyste jak ptaki.

- Kłamała, Garionie. Wierz mi, że kłamała.

Kilka dni później w wysprzątanym gospodarstwie pojawiło się dwóch gości. Pomimo ciepłego końca wiosny Yarblek nadal miał na sobie zniszczony płaszcz, wyświechtaną futrzaną czapę, a przede wszystkim niepokieszony wyraz twarzy. Vella, zmysłowa nadracka tancerka, odziana była w swe tradycyjne obcisłe czarne skóry.

- Co ty knujesz, Yarbleku? - spytał Belgarath.

- To nie był mój pomysł, Belgaracie. Vella nalegała.

- W porządku - rzekła Vella rozkazującym tonem - mamy mało czasu. Przejdźmy do rzeczy. Niech wszyscy wyjdą z domu. Chcę mieć świadków.

- Czego dokładnie będziemy świadkami, Vello? - spytała Ce'Nedra ciemnowłosej dziewczyny.

- Yarblek zamierza mnie sprzedać.

- Vello! - krzyknęła Ce'Nedra szczerze oburzona. - To odrażające!

- Och, niech to licho porwie - warknęła Vella dodając pod nosem kilka innych wyrażeń, po czym rozejrzała się. - Czy wszyscy są?

- Wszyscy - odparł Belgarath.

- Dobrze. - Zsunęła się z siodła i usiadła ze skrzyżowanymi nogami na trawie. - Zabierzmy się do interesu. Ty, Beldinie czy Feldegaście, czy jak tam chcesz się nazywać, powiedziałeś kiedyś w Mallorei, że chcesz mnie kupić. Czy mówiłeś poważnie?

Beldin zamrugał oczami.

- No cóż... - zawahał się. - Przypuszczam, że właściwie tak.

- Tak czy nie, Beldinie? - rzekła ostro.

- A zatem niechaj będzie, że tak. Niczego sobie z ciebie śwarna dziuszka i przeklinasz niezgorzej.

- Dobrze. Co jesteś gotów dać w zamian? Beldin zakrztusił się i poczerwieniał na twarzy.

- Nie marnuj czasu, Beldinie - powiedziała. - Nie mamy na to całego dnia. Złóż ofertę Yarblekowi.

- Mówisz poważnie?! - wrzasnął Yarblek.

- W ciągu całego swego życia nie byłam nigdy bardziej poważna. Ile możesz za mnie zapłacić, Beldinie?

- Vello - zaprotestował Yarblek - to zupełny absurd.

- Zamknij się, Yarbleku. A więc, Beldinie? Ile?

- Wszystko co posiadam - odparł z oczami pełnymi zdumienia.

- To mało konkretne. Podaj liczbę. Nie możemy się targować bez liczby.

Beldin podrapał się po swej matowej brodzie.

- Belgaracie - rzekł - czy wciąż masz ten diament, który znalazłeś w Maragor przed inwazją tolnedrańską?

- Chyba tak. Sądzę, że jest gdzieś w mojej wieży.

- Jest tam również połowa śmieci z całego świata.

- Jest w szafce z książkami na południowej ścianie - pomogła Poledra - za tą na wpół zjedzoną przez szczury kopię Kodeksu Darińskiego.

- Naprawdę? - zdumiał się Belgarath. - Skąd o tym wiesz?

- Pamiętasz, jak Cyradis nazwała mnie kiedyś?

- Kobieta, Która Patrzy, czy jakoś tak.

- Czy znalazłeś odpowiedź na swoje pytanie?

- Pożyczyłbyś mi go? - spytał Beldin brata. - Przypuszczam, że „podarował” byłoby lepszym określeniem. Wątpię, czy kiedykolwiek będę w stanie ci spłacić tę pożyczkę.

- Oczywiście, Beldinie - rzekł Belgarath. - I tak go nie używałem.

- Mógłbyś go tu ściągnąć?

Belgarath skinął głową, po czym skoncentrował się wyciągając w przód rękę.

Nagle na jego rozwartej dłoni pojawił się podobny do kostki lodu klejnot, który emanował ciepłym różem.

Był nieco większy od jabłka.

- Na zęby i paznokcie u nóg Toraka! - wykrzyknął Yarblek.

- Czyż przesycony chciwością kupiec zechce przyjąć tę maluczką rzecz jako odpowiednią zapłatę za tę tu dziewczkę, którą chcesz sprzedać? - rzekł Beldin wpadając w gwarę Feldegasta i wskazując na kamień spoczywający na dłoni Belgaratha.

- Jest wart sto razy więcej niż ktokolwiek kiedykolwiek zapłacił za kobietę od początku czasu - rzekł zatrwożonym głosem Yarblek.

- A zatem będzie to odpowiednia cena - odezwała się triumfującym głosem Vella. - Yarbleku, kiedy wrócisz do Gar og Nadrak, chcę, żebyś rozpowiedział o tym. Chcę, żeby każda kobieta w tym królestwie przez następne sto lat roniła łzy co noc, myśląc tylko o cenie, jaką otrzymałam.

- Jesteś okrutną kobietą, Vello. - Yarblek wyszczerzył zęby.

- To kwestia dumy - rzekła odrzucając niebieskoczarne włosy. - No tak, nie zajęło to nam zbyt wiele czasu, prawda? - Wstała i zatarła dłonie. - Yarbleku - powiedziała - masz moje papiery własności?

- Tak.

- Przynieś je i przepisz mnie nowemu właścicielowi.

- Musimy najpierw podzielić się tą ceną, Vello. - Spojrzał ze smutkiem na różowy kamień. - Naprawdę wstyd rozpoławiać taki cud - odezwał się.

- Zatrzymaj go dla siebie - powiedziała obojętnie. - Mnie nie jest potrzebny.

- Jesteś pewna?

- Jest twój. Przynieś papiery, Yarbleku.

- Czy naprawdę jesteś pewna, Vello? - spytał ponownie.

- Nigdy niczego nie byłam bardziej pewna.

- Ale on jest tak brzydki, przepraszam, Beldinie, lecz to prawda. Vello, co sprawiło, że właśnie jego wybrałaś?

- Tylko jedna rzecz - odparła.

- Jaka?

- Potrafi latać. - Ton jej głosu zdradzał szczery podziw.

Yarblek pokręcił głową i skierował się ku jukom przytroczonym do siodła. Przyniósł podniszczony dokument i przepisał go na Beldina.

- A cóż miałbym niby z tym zrobić? - spytał Beldin. Garion dostrzegł, że szczególna gwara była sposobem skrywania emocji, tak głębokich, że napawały pokrzywionego człowieka obawą.

- Zatrzymaj je albo zniszcz. - Vella wzruszyła ramionami. - Nie mają już dla mnie żadnego znaczenia.

- A zatem świetnie, ma kochaneczko - powiedział. Zwinął papiery w kulę, po czym położył ją na otwartej dłoni. Zwitek papieru wybuchnął płomieniem i spalił się doszczętnie pozostawiając po sobie jedynie popiół. - Proszę bardzo - odezwał się zdmuchując popiół. - Teraz nie będą nas już martwić. Czy to wszystko? Czy nic więcej nie muszę robić?

- Nie wszystko - stwierdziła i pochyliwszy się wyjęła dwa sztylety ze swych wysokich butów. Następnie wyjęła kolejne dwa z pasa. - Proszę bardzo - powiedziała, a jej oczy patrzyły łagodnie - nie będą mi już potrzebne. - Wręczyła sztylety swemu nowemu właścicielowi.

- Och - odezwała się Polgara ze łzami w oczach.

- Co się stało, Pol? - spytał Durnik z zatroskanym spojrzeniem.

- To najświętsza rzecz, jaką potrafi zrobić nadracka kobieta - odpowiedziała Polgara dotykając oczu rąbkiem fartucha. - Ona po prostu oddała się całkowicie Beldinowi. To wspaniale.

- A po cóż mnie takie noże? - spytał Beldin delikatnie się uśmiechając. Wyrzucił sztylety jeden po drugim w powietrze, gdzie znikwały zamieniając się w małe kłębki dymu. Odwrócił się. - Żegnaj, Belgaracie - rzekł do starego czarodzieja. - Mieliśmy sporo dobrej zabawy, co?

- Dobrze się bawiłem. To prawda. - W oczach Belgaratha kręciły się łzy.

- Durniku - rzekł Beldin - zdaje się, że ty masz zająć me miejsce.

- Mówisz jak człowiek stojący nad własnym grobem - stwierdził Durnik.

- Och, nie, Durniku, nie zamierzam umierać, a tylko zmienić się odrobinę. Pożegnajcie ode mnie bliźniaki. Wytlumaczcie im, jak sprawy stoją. Życzę szczęścia, Yarbleku, lecz nadal uważam, że lepiej na tym wyszedłem. Garionie, zadbaj o to, żeby ten świat kręcił się spokojnie.

- Eriond ma się tym zająć.

- Wiem, lecz miej go na oku. Postaraj się, by nie wpadał w tarapaty.

Beldin nie powiedział nic do Ce'Nedry. Pocałował ją dość głośno, a następnie podszedł do Poledry i złożył siarczysty pocałunek na jej policzku. Przytuliła go czule, a jej złote oczy przepelniała miłość.

- Żegnaj, stara krowo - rzekł wreszcie do Polgary poklepując ją poufale po pupie. Spojrzał wymownie na talię. - Mówiłem ci, że jak będziesz jadła tyle słodczy to się roztyjesz.

Pocałowała go ze łzami w oczach.

- A teraz, ma kochaneczko - zwrócił się do Velli - odejźmy żdziebko na bok. Sporo

nam trza pogawędzić, zanim wyruszymy. - Oboje podążyli w stronę wzgórza trzymając się za ręce. Kiedy dotarli na szczyt zatrzymali się i chwilę ze sobą rozmawiali. Następnie objęli się i pocałowali, a trzeba wiedzieć, że był to niezwykle długi i płomienny pocałunek. Kiedy stali tak objęci, nagle zamigotali i zdawało się, że rozplynęli się w powietrzu.

Jeden jastrząb wyglądał znajomo. Smugi na jego skrzydłach emanowały silnie błękitną barwą. Drugi ptak miał lawendowo-brązowe ubarwienie. Zatrzepotawszy skrzydłami wzniesli się bez wysiłku w górę, coraz wyżej i wyżej. Wirowali w powietrzu w tym szczególnym tańcu godowym, aż w końcu na błękitnym niebie widać było tylko dwie ciemne plamki unoszące się ponad Doliną.

Potem zniknęli zupełnie z pola widzenia i nigdy już nie wrócili.

Kolejne dwa tygodnie przyjaciele spędzili w gościnnym domu, a gdy zauważyli, że gospodarze zaczynają zdradzać oznaki tęsknoty za odrobiną samotności, Poledra zaproponowała, żeby wyruszyć w dalszą drogę. Obiecawszy, że wrócą tego wieczora, Garion i Ce'Nedra zabrali ze sobą syna i prawie dorosłego wilka i wraz z Belgarathem i Poledrą powędrowali do serca Vale.

Około południa dotarli do znajomej wieży Belgaratha i ruszyli w górę po pokrytych kurzem schodach ku okrągłemu pomieszczeniu na szczycie.

- Uważajcie na ten schodek - powiedział odruchowo starzec. Tym jednak razem Garion zatrzymał się przepuszczając resztę. Sięgnął pod stopień i podniósł kamienną płytkę, która stanowiła część stopnia. Zajrzał pod spód i ujrzał okrągły kamień wielkości laskowego orzecha. Garion wsadził go do kieszeni i położył płytkę na swoim miejscu. Zauważył, że dwa inne stopnie były zniszczone w środku, lecz ten nie, i zastanowił się, przez ile lat, a może wieków starzec po nim stapał. Podążył na górę czując wewnętrzne zadowolenie.

- Co robiłeś? - spytał Belgarath.

- Mocowałem ten stopień - odparł Garion. Wręczył starcowi okrągły kamyk. - Chwiał się, ponieważ pod spodem leżał ten kamyk. Teraz jest nieruchomy.

- Będzie mi brakowało tego schodka, Garionie - poskarżył się dziadek. Marszcząc brwi popatrzył na kamyk. - Och - powiedział - teraz pamiętam. Położyłem go pod tym schodkiem celowo.

- Po co? - spytała Ce'Nedra.

- To diament, Ce'Nedro. - Belgarath wzruszył ramionami. - Chciałem zobaczyć, ile czasu zajmie rozdrobnienie go na proszek.

- Diament? - wysapała z błyskiem w oczach.

- Możesz go wziąć, jeśli chcesz - rzekł rzucając go do niej. Jeśli wziąć pod uwagę

tolnedrańskie pochodzenie Ce'Nedry, zachowała się niezwykle.

- Nie, dziękuję, Belgaracie - rzekła. - Nie chcę, byś rozstawał się ze starym przyjacielem. Gdy będziemy wracać, położymy go tam, gdzie był.

Belgarath roześmiał się.

Geran i młody wilczek bawili się przy jednym z okien. Zabawa wymagała sporo zręczności i wilk oszukiwał, ile się dało, starając się skorzystać z każdej okazji, aby polizać twarz i szyję Gerana, co zawsze wywoływało u chłopca salwy chichotów.

Poledra rozglądała się po zaśmieconym pokoju.

- Dobrze jest znaleźć się z powrotem w domu - odezwała się. Czule głaskała oparcie krzesła podrapanego sowimi szponami. - Prawie tysiąc lat spędziłam w tym miejscu - powiedziała Garionowi.

- Co tu robiłaś, babciu? - spytała Ce'Nedra, która zaczęła bezwiednie naśladować Gariona.

- Obserwowałam go - powiedziała kobieta o brązowych włosach. - Wiedziałam, że w końcu odwróci się i mnie dostrzeże. Nie sądziłam naprawdę, że zabierze mu to tak wiele czasu. W końcu musiałam zrobić coś niezwykłego, aby zwrócić na siebie uwagę.

- Co takiego?

- Zmieniłam to - rzekła Poledra dotykając jedną ręką piersi. - Wydawał się bardziej zainteresowany mną jako kobietą niż wtedy, kiedy byłam sową, czy wilkiem.

- Zawsze chciałem cię o coś zapytać - powiedział Belgarath. - Kiedy się spotkaliśmy, nie było w pobliżu innych wilków. Co ty tam robiłaś?

- Czekałam na ciebie. Zamrugał oczami.

- Wiedziałaś, że nadchodzę?

- Oczywiście.

- Kiedy to było? - spytała Ce'Nedra.

- Tuż po tym, jak Torak skradł Aldurowi Klejnot - odparł Belgarath, wyraźnie zaprzętnięty czymś innym. - Mój Pan wysłał mnie na północ, abym poinformował Belara o tym, co się stało. Przeistoczyłem się w wilka, aby szybciej się tam dostać. Spotkaliśmy się z Poledrą mniej więcej tam, gdzie teraz jest północna Algaria. - Spojrzał na swą żonę. - Kto ci powiedział, że nadchodzę? - spytał.

- Nikt nie musiał mi tego mówić, Belgaracie - odparła. - Rodząc się wiedziałam, że przyjdiesz pewnego dnia. Oczywiście zajęło ci to trochę czasu. - Rozejrzała się krytycznie. - Myślę, że powinniśmy trochę tu posprzątać - zaproponowała. - A te okna koniecznie wymagają zasłon.

- Widzisz? - zwrócił się Belgarath do Gariona.

Po wielu pocałunkach, przytulaniach i odrobinie łez, Ce'Nedra wzięła na ręce Gerana, Garion zawołał wilka i zaczęli schodzić po schodach.

- Och - odezwał się Garion mniej więcej w połowie drogi - Daj mi ten diament. Połóż go tam, gdzie jego miejsce.

- Czy zwykły kamyczek nie przyniosłby tego samego skutku, Garionie? - W jej oczach pojawiły się nagle tolnedrańskie błyski.

- Ce'Nedro, jeśli tak bardzo chcesz mieć diament, kupię ci.

- Wiem, Garionie, lecz jeśli zatrzymam ten, będę mieć dwa. Roześmiał się, stanowczo wyjął diament z zaciśniętej pięści i położył go pod stopniem.

Dosiedli koni i oddalili się wolno, ogrzewani jasnym wiosennym słońcem. Ce'Nedra trzymała Gerana przed sobą, a wilk biegł obok, od czasu do czasu odskakując w bok w pogoni za zwinnymi zającami.

Odjechawszy spory kawałek Garion usłyszał znajomy szept. Powstrzymał Chretienne.

- Ce'Nedro - rzekł wskazując do tyłu na wieżę - popatrz. Odwróciła się.

- Nic nie widzę.

- Poczekaj. Zaraz wyjdą.

- Wyjdą?

- Babcia i dziadek. O, wychodzą.

Dwa wilki wyskoczyły z otwartych drzwi wieży i puściły się pędem przez trawiastą równinę biegnąc łeb w łeb. W ich ruchach widać było bezgraniczną radość.

- Myślałam, że zabiorą się do sprzątnięcia - powiedziała Ce'Nedra.

- To jest ważniejsze, Ce'Nedro. Znacznie ważniejsze. Dotarli do domu tuż przez zachodem słońca. Durnik nadal pracował w polu. Z kuchni doleciał ich słodki śpiew Polgary i odgłosy wieczornej krzątaczki. Ce'Nedra weszła do środka, a Garion i wilczek pobiegli do Durnika.

Tego wieczoru posiłek składał się z pieczonej gęsi i wszelkich pasujących do niej dodatków, czyli gęstego sosu, przeróżnych warzyw i świeżo wypieczonego chleba, jeszcze gorącego tuż po wyjęciu z pieca i okapującego masłem.

- Skąd wzięłaś gęś, Pol? - spytał Durnik.

- Oszukałam - przyznała spokojnie.

- Pol!

- Wyjaśnię ci kiedy indziej, kochanie. Zjedźmy, zanim ostygnie.

Po sutej wieczerzy usiedli przed kominkiem. Tak naprawdę nie potrzebowali ogniska.

Drzwi i okna były pootwierane na oścież, lecz ogień w palenisku wydawał się nieodłączną częścią domu.

Polgara trzymała Gerana przytulając policzek do jego loczków z wyrazem błęgiego rozmarzenia na twarzy.

- Przypominam sobie - rzekła cicho do Ce'Nedry.

- Nie ma sposobu, żebyś kiedykolwiek zapomniała, ciociu Pol - powiedziała rivańska królowa. - Wychowałam setki małych chłopców.

- No cóż, nie aż tylu, kochanie, lecz nie zaszkodzi powoli się przyzwyczajać.

Wilk spał smacznie, a blask płomieni odbijał się echem od czarnego, zawsze wilgotnego nosa. Popiskiwał od czasu do czasu i szybko przebierał łapami.

- Coś mu się śni. - Durnik uśmiechnął się.

- Nie dziwię się - powiedział Garion. - Przez całą powrotną drogę ścigał zające. Nie złapał jednak ani jednego. Nie sądzę, żeby naprawdę próbował to zrobić.

- Skoro mówimy o snach - rzekła Polgara wstając. - Rano musicie wstąpić. Może udacie się na spoczynek?

Wstali o pierwszym brzasku, zjedli solidne śniadanie, po czym Garion i Durnik udali się do stajni, gdzie oporzędzili i przygotowali do drogi zniecierpliwione konie.

Nie przedłużano pożegnań; w przypadku tej czwórki nie istniała taka potrzeba, ponieważ tak naprawdę nigdy się nie rozdzielali. Kilka krótkich słów, parę pocałunków, mocne uściśnięcie dłoni między Durnikiem i Garionem i rivański król wraz z rodziną podążyli szlakiem wiodącym po łagodnym zboczu pobliskiego wzgórza.

W połowie drogi do szczytu Ce'Nedra odwróciła się w siodle.

- Polgaro! - zawołała. - Kocham cię.

- Tak, skarbie! - odkrzyknęła Polgara. - Ja też cię kocham. Garion musnął łydkami boki Chretienne i wierzchowiec przyśpieszył kroku zmierzając do swego nowego domu.

EPILOG

Zgromadzenie Alornów odbyło się w Rivie dość późno tego lata i miało burzliwy, a nawet awanturniczny przebieg. Znalazło się na nim wielu, którzy zwykle nie byli obecni. Damy z całego Zachodu obieżyły Ce’Nedrę i Polgarę prześcigając się w gratulacjach, a małe dzieci zgromadziły się wokół Gerana zwabiono pogodnym usposobieniem chłopca, a także faktem, iż w jakiś sposób udało mu się odkryć dawno nie uczęszczaną drogę do kuchni, w której znajdowało się mnóstwo słodkich skarbów. Prawdę mówiąc niewiele zdarzyło się w tym roku, jeśli chodzi o handel. Następnie, jak zwykle, późnoletnie burze obwieściły, że spotkanie zbliża się ku końcowi i że nadszedł czas, aby goście zaczęli poważnie myśleć o powrocie do domu. Była to zawsze nie lada korzyść z organizowania zgromadzenia w Rivie. Chociaż goście woleliby pozostać dłużej, nieubłagany pochód pór roku przekonywał niezbitnie, że czas najwyższy wracać.

Sprawy w Rivie unormowały się. Powrotowi króla i jego żony wraz z księciem Geranem towarzyszyły huczne uroczystości, lecz przecież nikt, choćby nawet najbardziej emocjonalnie związany, nie może bawić się bez końca, więc po kilku tygodniach życie powróciło do normy.

Garion spędzał większość czasu konferując na osobności z Kailem. Podczas jego nieobecności podjęto wiele decyzji. Chociaż prawie bez wyjątku aprobował sposób zarządzania Kaila, chciał pokrótce zaznajomić się z ważniejszymi postanowieniami, a niektóre decyzje wymagały ratyfikowania królewskim podpisem.

Ciąża Ce’Nedry przebiegała bez żadnych niespodzianek. Mała królowa kwitła, pulchniała i stawała się coraz bardziej drażliwa. Specyficzne zachcianki na egzotyczne jedzenie, które czasem towarzyszą paniom w tym szczególnym stanie, nie były aż tak zabawne dla rivańskiej królowej co dla pozostałych dam dworu. Od dawna wśród męskiej części populacji istniało podejrzenie, jakoby te gastronomiczne pragnienia nie były w rzeczywistości niczym innym jak tylko szczególną formą rozrywki żon. Im bardziej egzotyczne i niedostępne były potrawy i im większą pomysłowością musieli się wykazać mężowie w ich zdobyciu, tym bardziej panie lamentowały, że niechybnie umarłyby, gdyby nie dostarczono im owych przysmaków w całej obfitości. Garion osobiście podejrzewał, że wynikało to po prostu z organicznej potrzeby nieustannego przekonywania się o niezachwianym oddaniu mężów. Jeśli mąż wykazał chęci do rozebrania świata na kawałki w celu zdobycia truskawek poza sezonem, albo wymyślnych owoców morza, które zwykle

znaleźć można było wyłącznie w wodach drugiej półkuli, był to widoczny znak, że nadal kocha swą żonę, pomimo zanikania uroczego wcięcia w jej talii. W przypadku Ce'Nedry tego rodzaju gra nie mogła spełnić swego zadania, ponieważ za każdym razem, kiedy przedstawiała mężowi kolejną, pozornie niemożliwą do zrealizowania prośbę, Garion po prostu wychodził z pokoju, na korytarzu tworzył wymarzone dania i podawał je żonie na srebrnej paterze. Ce'Nedra stawała się coraz bardziej nadąsana, aż w końcu zrezygnowała ze swoich zachcianek.

Pewnego późnego i niezwykle mroźnego jesiennego wieczoru do portu zawitał pokryty lodem statek malloreański. Kapitan wręczył królowi schludnie zwinięty pergamin, na którym widniała pieczęć Zakatha, cesarza Mallorei. Garion serdecznie podziękował marynarzowi, oferując przy tym jemu i całej załodze gościnę w Twierdzy, a następnie szybko podążył z listem Zakatha do swych komnat. Ce'Nedra siedziała przy kominku robiąc na drutach. Geran i młody wilczek drzemali naprzeciwko paleniska, wierząc się i mrucząc przez sen. Zawsze spali we dwójkę. Ce'Nedra w końcu zrezygnowała z prób separowania ich w nocy, jako że żadnych drzwi nie dało się skutecznie zamknąć z dwóch stron.

- Co się stało, kochanie? - spytała, kiedy Garion wszedł do komnaty.

- Właśnie otrzymaliśmy list od Zakatha - odparł.

- Och? Co pisze?

- Jeszcze nie zdążyłem przeczytać.

- Otwórz list, Garionie. Umieram z ciekawości, co też może się dzieć w Mal Zeth.

Garion złamał pieczęć i rozwinął pergamin.

- Do Jego Miłości, Króla Belgariona z Rivy - przeczytał głośno - Władcy Zachodu, Zabójcy Boga, Władcy Morza Zachodniego oraz do jego szlachetnej małżonki, Królowej Ce'Nedry, Władczyni Wyspy Wiatrów, Księżniczki Cesarstwa Tolnedrańskiego i Klejnotu Domu Borune, od Zakatha, Cesarza całego Angaraku.

Mam nadzieję, że list ten znajdzie was oboje w dobrym zdrowiu. Przesyłam pozdrowienia dla waszej córki, bez względu na to, czy przyszła już na świat, czy też nadal dnia tego z radością oczekujecie. (Zapewniam was, że nie stałem się nagle jasnovidzem. Cyradis powiedziała kiedyś, że nie posiada już błogosławieństwa prorokowania. Zaczęłam podejrzewać, że nie do końca mówiła prawdę.)

Wiele się tu zdarzyło od czasu naszego rozstania. Sądzę, że dwór cesarski ze znacznym zadowoleniem przyjął zmianę, jaka dokonana się w mej osobowości, a jaka była bezpośrednim rezultatem naszej podróży do Korim i tego co się tam wydarzyło. Niewątpliwie wcześniej

byłem władcą, z którym trudno było wytrzymać. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że życie w Mal Zeth nabrało cech wyłącznie baśniowych i sielankowych. Generalicja z dużym oburzeniem przyjęła moje oświadczenie dotyczące podpisania traktatu pokojowego z królem Urgitem. Wiecie, jacy są generalowie. Kiedy zabrać im ulubioną wojnę, biadolą, narzekają i robią nadąsane miny jak rozpieszczone dzieci. Musiałem więc podjąć w paru przypadkach dość stanowcze kroki. Przy okazji, ostatnio awansowałem Ateskę na naczelnego dowódcę wojsk Mallorei. Fakt ten również wzburzył pozostałych członków generalicji, lecz nie da się przecież zadowolić wszystkich naraz.

Urgit i ja pozostajemy w stałym kontakcie i uważam go za pierwszorzędno kompana, prawie równie komicznego jak jego brat. Przypuszczam, że stosunki między nami będą się dobrze układały. Cała biurokracja doznała zbiorowej apopleksji, kiedy ogłosiłem autonomię Protektoratów Dalazjańskich. Czuję w głębi duszy, że Dalowie powinni mieć możliwość pójścia swoją drogą, lecz wielu biurokratów prowadzi tam interesy, więc biadolili, narzekali i robili nadąsane miny, prawie w tym dorównując generalom. Narzekania urwały się jednak dość ostro, kiedy ogłosiłem, że wyznaczam Bradora do wykonania dogłębnej rewizji majątków każdego szefa biura w rządzie. Jęk zbiorowego żalu w przeczuciu pozbawienia ich „dorobku” całego życia w protektoratach był wprost ogłuszający.

Ku ogólnemu zdziwieniu, wkrótce po naszym powrocie z Dal Perivor do pałacu przybył wiekowy Grolim. Już go miałem odesłać z niczym, lecz Eriond zaczął dość mocno nalegać, abym pozwolił mu pozostać. Starzec miał jakieś niewymawialne grolimskie imię, lecz Eriond nie wiedząc z jakiej przyczyny zmienił je na Pelath. Staruszka cechuje wprost słodkie usposobienie, choć czasami mówi bardzo dziwnie. Język, którym się posługuje, brzmi niezwykle podobnie do języka Ashabińskich Wyrocni czy Mallorekańskich Ewangelii Dalów. Bardzo dziwne.

- Prawie o tym zapomniałem - wtrącił Garion przerywając czytanie.
- Co takiego, kochanie? - spytała Ce'Nedra spoglądając znad swej robótki.
- Pamiętasz tego starego Grolima, którego spotkaliśmy w Peldane? Tej nocy, kiedy dziobnął cię kurczak.
- Tak. Wydawał się bardzo miłym starcem.
- Był kimś więcej, Ce'Nedro. Był również prorokiem, a Głos powiedział mi, że zostanie on pierwszym uczniem Erionda.
- Eriond ma bardzo długie ramię, prawda? Czytaj dalej, Garionie.

Cyradis, Pelath i ja długo rozmawialiśmy z Eriondem i wszyscy doszliśmy do wniosku, że obecny stan rzeczy, przynajmniej przez jakiś czas, powinien pozostać tajemnicą. Ten człowiek jest taką chodzącą niewinnością, że nie chcę narażać go na zdeprawowanie i szykany. Lepiej nie zniechęcać go na samym początku kariery. Wszyscy pamiętaliśmy Toraka wraz z tą wszechogarniającą żądzą czci, lecz kiedy zaproponowaliśmy oddawanie czci Eriondowi, wyśmiał nas. Może Polgara coś pominęła, kiedy go wychowywała?

Zrobiliśmy jednak jeden mały wyjątek. Nasza grupa w towarzystwie trzeciej, siódmej i dziewiątej armii odwiedziła Mal Yaska. Strażnicy Świątyni i Chandimowie próbowali uciec, lecz Atesca całkiem skutecznie zamknął ich w okrążeniu. Zaczekałem, aż Eriond wyjedzie na poranną przejażdżkę na tym swoim bezimiennym koniu, i porozmawiałem stanowczo z zebranymi Grolimami. Nie chciałem denerwować Erionda, lecz zasygnalizowałem Grolimom, że byłbym niepokieszony, gdyby nie zmienili swych religijnych przekonań. Atesca stał u mojego boku bawiąc się mieczem, więc natychmiast pojęli sens mojej wypowiedzi. Wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, w Świątyni pojawił się Eriond. (Jak to możliwe, że ten jego koń tak szybko się porusza? Ostatnim razem tego ranka widziano go ponad trzy mile od miasta.) Powiedział im, że te czarne szaty wcale nie wyglądają atrakcyjnie, są niemodne, i że białe dużo bardziej by im pasowały. Następnie, ze słabym uśmiechem, zmienił kolor szaty każdego Grolima. Na tym zapewne polega zachowywanie anonimowości przez boga. Następnie powiedział im, że już więcej nie będą potrzebować noży, a po tych słowach zniknęły wszystkie sztylety. Potem wygasił ogień w sanktuarium i udekorował ołtarz kwiatami. Mówiono mi, że takie modyfikacje stały się wkrótce powszechne w całej Mallorei. Urgit obecnie próbuje określić, czy podobnie dzieje się w Cthol Murgos. Myślę jednak, że przyzwyczajenie się do naszego nowego boga zajmie trochę czasu.

Krótko mówiąc wszyscy Grolimowie padli na twarze. Nadal podejrzewam, że przynajmniej kilka z tych nawróceń mogło być fałszywych, więc nie myślę jeszcze o demobilizacji wojska. Eriond kazał im wstać, rozejść się i otoczyć opieką chorych, biednych, osieroconych i bezdomnych.

W drodze powrotnej do Mal Zeth, Pelath podjechał do mnie na koniu, obdarzył mnie tym swoim zniewalającym słodkim uśmiechem i rzekł:

- Mój Pan uważa, iż nadszedł czas, abys zmienił swój status, cesarzu Mallorei.

Trochę mnie zaskoczyły jego słowa. Po części martwiłem się, że Eriond może zaproponować, abym abdykował i zajął się wypasaniem owiec czy czymś takim. Pelath jednak kontynuował.

- Mój Pan sady, iż odwlekasz coś już zbyt długo.

- Czyżby? - zapytałem ostrożnie.

- Ta zwłoka martwi Prorokinię z Kell. Mój Pan stanowczo doradza, abyś poprosił ją o rękę. Chce on, abyś uczynił to, zanim coś temu stanie na drodze.

Kiedy więc dotarliśmy do Mal Zeth, oświadczyłem się w bardzo, według mnie, rozsądny sposób... i dostałem, kosza! Myślałem, że serce przestanie mi bić. Wtedy nasza mała, uduchowiona prorokini zezłościła się nie na żarty. Zrobiła mi długi wykład na temat, co myśli o takim rozsądnym podejściu do sprawy. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby się podobnie zachowywała. Miotaly nią emocje i niektóre słowa, których używała, mimo że archaiczne, nie były wcale komplementami. Kilka z nich musiałem sprawdzić w księgach. Takie były niezrozumiałe.

- Dobrze zrobiła - rzekła zapalczywie Ce'Nedra.

- Żeby załagodzić sprawę, padłem na kolana i wykonałem durnowate i żenująco wylewne oświadczenie, a ona, poruszona do żywego moją elokwencją, zmiękła i przyjęła je.

- Mężczyźni! - zachnęła się Ce'Nedra.

- Koszty wesela prawie doprowadziły mnie do bankructwa. Musiałem nawet pożyczać pieniądze od jednego ze współników Kheldara. Na ogromny procent. Oczywiście ceremonii przewodził Eriond i ten fakt naprawdę stał się ostatnim gwoździem do mej trumny. W każdym razie, w zeszłym miesiącu wziąłem ślub z Cyradis i mogę szczerze stwierdzić, że nigdy w życiu nie byłem bardziej szczęśliwy.

- Och - odezwała się Ce'Nedra ze znajomą nutą w głosie - to cudowne. - Jej ręka powędrowała w poszukiwaniu chusteczki.

- To nie wszystko - rzekł Garion.

- Czytaj więc dalej - odparła ocierając wilgotne oczy.

Angaraccy Malloreanie nie byli szczególnie zadowoleni, że zdecydowałem się poślubić kobietę Dalów, lecz mądrze zatrzymają swoje dąsy dla siebie. To prawda, że bardzo się zmieniłem, ale nie aż tak. Cyradis ma pewne kłopoty z przystosowaniem się do swej nowej roli, a ja po prostu nie potrafię jej przekonać, że klejnoty stanowią niezbędny element dekoracji cesarzowej. Zamiast nich nosi kwiaty, a wprost niewolnicze wzorowanie się na jej stylu pozostałych dam dworu spowodowało powszechną rozpacz w sercach jubilerów w Mal Zeth.

Jeśli chodzi o mojego dalekiego kuzyna arcyksięcia Otratha, to zamierzałem skrócić go o głowę, lecz jest on tak żalonym głupcem, że odrzuciłem ten pomysł i wysłałem tego durnia do domu. Idąc za propozycją, jaką złożył w Dal Perivor wasz przyjaciel Beldin, kazałem kretynowi pozostawić jego żonie pałac w mieście Melcene i do końca życia nie zbliżyć się do niej na krok. Rozumiem, że ta dama może wzbudzać oburzenie w Melcene, lecz prawdopodobnie zasługuje ona na pewną rekompensatę za wszystkie lata spędzone z tym głupim osłem.

To już chyba wszystko, Garionie. Bardzo ciekawi jesteśmy, co słyhać u naszych przyjaciół, i przy okazji przesyłamy im nasze najgorętsze życzenia i uściski.

Z poważaniem,

~~Kat~~ Zakath i cesarzowa Cyradis.

PS. Zwróć uwagę, że skreśliłem ten patetyczny tytuł. Och, przy okazji, kilka miesięcy temu moja kotka znów okazała się niewierna. Czy Ce'Nedra zechciałaby kociaka? A może jednego dla twej przyszłej córki? Jeśli chcecie, mogę przesłać dwa.

Wczesną wiosną rivańska królowa stała się jeszcze bardziej drażliwa, a jej drażliwość i uszczypliwość osy szły niemal w parze ze zwiększającym się obwodem pasa. Niewykłuczone, że pewnym kobietom stan błogosławiony służy; lecz rivańska królowa na pewno nie zaliczała się do takich. Była opryskliwa w stosunku do męża, ostra wobec syna, a przy pewnej okazji próbowała nawet niezdarnie kopnąć nikomu nie wadzącego wilczka. Zwierzak zręcznie uniknął kopniaka, po czym popatrzył z pewnym zdumieniem na Gariona.

- Czy kogoś obraziłem? - spytał.

- Nie - odparł Garion. - Tylko moja towarzyszka jest niepocieszona. Nadchodzi czas porodu, a wtedy kobiety stają się drażliwe i zatroskane.

- Aha - rzekł wilczek. - Ludzie to bardzo dziwne stworzenia.

- Zgadza się - przyznał Garion.

Naturalnie to Gredlik dostarczył Poledrę na Wyspę Wiatrów w samym środku szalejącej burzy.

- W jaki sposób znalazłeś drogę? - zapytał Garion odzianego w futra żeglarza, kiedy obydwaj, trzymając w rękach kufle pełne piwa, usiedli przy kominku w jadalni o niskim sklepieniu z długich, drewnianych bali.

- Żona Belgaratha wskazała drogę. - Gredlik wzruszył ramionami. - To nadzwyczajna kobieta.

- O, tak.

- Wyobrazasz sobie, że ani jeden człowiek z mojej załogi nie wypił łyka gorzałki, kiedy byliśmy na morzu? Nawet ja. Nie wiedzieć z jakiej przyczyny, w ogóle nam się nie chciało.

- Moja babcia ma silne uprzedzenia. Mogę cię zostawić samego? Chcę pójść na górę i porozmawiać z nią.

- Nie ma sprawy, Garionie. - Gredlik wyszczerzył zęby w uśmiechu poklepując czule bezczulkę piwa. - Poradzę sobie.

Garion wszedł po schodach i skierował się ku komnatom królewskim.

Kobieta o brązowych włosach siedziała przy ognisku, leniwie drapiąc za uchem młodego wilczka. Ce'Nedra spoczywała usadowiona dość niezgrabnie na otomanie.

- Aha, jesteś Garionie - rzekła Poledra. Delikatnie wciągnęła powietrze. - Widzę, że piłeś. - Ton jej głosu wyrażał dezaprobatę.

- Wypiłem jeden kufel z Gredikiem.

- Czy mógłbyś usiąść w drugim końcu pokoju? Mam wyostrzony zmysł węchu, a odór tego piwa przyprawia mnie o mdłości.

- Czy dlatego nie aprobujesz picia mocnych trunków?

- Oczywiście. Jaka inna mogłaby być przyczyna?

- Myślę, że ciocia Pol nie aprobuje tego z przyczyn moralnych.

- Polgara ma pewne niejasne uprzedzenia. A teraz do rzeczy - kontynuowała poważnie. - Moja córka nie może podróżować, więc jestem tu, aby odebrać dziecko Ce'Nedry. Pol przekazała mi wszelkie instrukcje, z których większość mam zamiar zlekceważyć. Rodzenie to naturalny proces, więc im mniejsza ingerencja z zewnątrz, tym lepiej. Kiedy się zacznie, chcę, żebyś wziął Gerana i tego młodego wilka i udał się wraz z nimi na daleki kraniec Twierdzy. Poślę po was, kiedy będzie po wszystkim.

- Tak, babciu.

- To miły chłopak - zwróciła się Poledra do rivańskiej królowej.

- Raczej go lubię.

- Mam taką nadzieję. A zatem dobrze, Garionie, jak tylko dziecko się urodzi i przekonam się, że wszystko jest w porządku, ty i ja wrócimy do Vale. Polgara jest kilka tygodni za Ce'Nedrą, lecz nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia. Pol chce, żebyś tam był, kiedy będzie rodzić.

- Musisz iść, Garionie - powiedziała Ce'Nedra. - Gdybym tylko mogła też tam być.

Garion z wahaniem przystał na propozycję wyruszenia i opuszczenia żony tak szybko

po rozwiązaniu, lecz zdecydowanie chciał również być w Vale przy narodzinach dziecka Polgary.

Trzy noce później Garion miał wspaniały sen, w którym zjeżdżali konno wraz z Eriondem z długiego, trawiastego wzgórza.

- Garionie - rzekła Ce'Nedra szturchając go w żebro.

- Tak, kochanie? - Nadal był pogrążony w półśnie.

- Chyba powinieneś pójść po babcię. Natychmiast się przebudził.

- Jesteś pewna?

- Już kiedyś to przeżywałam, kochanie - odparła. Błyskawicznie wyskoczył z łóżka.

- Pocałuj mnie, zanim pójdziesz - poprosiła. Spełnił jej prośbę.

- I nie zapomnij wziąć Gerana i wilczka, kiedy pójdziesz w drugi koniec budynku.

Położy Gerana do łóżka.

- Oczywiście.

Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- Chyba lepiej będzie, jak się pośpieszysz, Garionie - zasugerowała.

Garion ruszył pędem.

Tuż przed świtem królowa Rivy powiła dziewczynkę. Niemowlę miało krótkie, mocno rude włoski i zielone oczy. W jej żyłach płynęła krew Driad. Poledra zanosła owinięte w koc maleństwo cichymi korytarzami do komnaty, gdzie przy kominku siedział Garion, a Geran i wilk spali na otomanie przytulając się mocno do siebie.

- Czy z Ce'Nedrą wszystko dobrze? - spytał Garion zerwawszy się na równe nogi.

- Nic jej nie jest - zapewniła go Poledra. - Jest tylko trochę zmęczona. To był dość łatwy poród.

Garion odetchnął z ulgą, po czym odsłonił rąbek koca, by spojrzeć na malutką twarzyczkę swej córki.

- Jest bardzo podobna do mamy - powiedział. Jak świat długi i szeroki ludzie czynią to pierwsze spostrzeżenie wskazując na podobieństwo noworodka do jednego lub drugiego rodzica, tak jakby podobieństwo było w jakimś sensie istotne. Garion delikatnie wziął dziecko w ramiona, a ono obdarzyło go nieugiętym spojrzeniem zielonych oczu. Spojrzenie wydawało mu się niezwykle znajome. - Witaj, Beldaran - odezwał się miękko. Podjął tę decyzję już dawno temu. Będzie jeszcze wiele córek i będą one nosiły imiona po żeńskich krewnych obu stron rodziny, lecz w pewnym sensie czuł, że jego pierwsza córka powinna nosić imię jasnowłosej, bliźniaczej siostry Polgary, kobiety, która była nadzwyczaj istotna w ich życiu, pomimo iż Garion widział ją tylko raz i to jedynie na wizerunku.

- Dziękuję, Garionie - rzekła Poledra.

- Wydaje mi się, że właśnie tak powinienem uczynić - odparł Garion.

Książę Geran nie był zbyt zachwycony swoją maleńką siostrzyczką, lecz przecież chłopcy rzadko bywają w takim momencie zachwyceni.

- Czyż nie jest strasznie mała? - zapytał, kiedy ojciec zbudził go, aby mógł się przywitać z nowym członkiem rodziny.

- Niemowlęta z natury są małe. Urośnie.

- Całe szczęście. - Geran popatrzył na nią ponuro. Następnie, widocznie czując, że powinien powiedzieć o niej coś miłego, dodał: - Ma ładne włosy. Tego samego koloru, co mamusia, prawda?

- Też to zauważyłem.

Tego ranka w Rivie rozbrzmiały uroczyście wszystkie dzwony, a wyspiarze radowali się szczęściem królewskiej pary, choć część z nich, a może nawet wielu, w głębi duszy żywiło nadzieję, że potomkiem będzie kolejny chłopiec - w imię bezpieczeństwa dynastii. Mieszkańcy Rivy przez wiele wieków nie mieli swego króla, więc byli przewrażliwieni w tej materii.

Ce'Nedra promieniała. Wyraziła jedynie lekkie rozczarowanie słysząc, jakie imię Garion wybrał dla ich córeczki. Jej dziedzictwo domagało się dość silnie, żeby imię zaczynało się tradycyjnie od „X”. Myślała nad tym intensywnie i po jakimś czasie doszła do całkiem satysfakcjonującego rozwiązania. Garion miał całkowitą pewność, że w głębi swego umysłu umieściła gdzieś w wyrazie Beldaran literę „X”, lecz postanowił, że nie będzie w to wnikać.

Rivańska królowa była młoda i zdrowa, więc szybko wróciła do sił. Przez kilka dni leżała w łóżku, głównie po to, aby wyrzucić dramatyczne wrażenie na potoku rivańskiej arystokracji i zagranicznych dygnitarzy zalewającym królewską sypialnię, w celu ujżenia malutkiej królowej i jeszcze niniejszej księżniczki.

Po kilku dniach Poledra przeprowadziła z Garionem poważną rozmowę.

- Narodziny twej córki stały się głównym wydarzeniem w tym królestwie - odezwała się - więc naprawdę powinniśmy wyruszyć do Vale. Czas Polgary się zbliża.

Garion skinął głową.

- Poprosiłem Gredlika, żeby został - powiedział do niej. - On dowiezie nas do Sendarii szybciej niż ktokolwiek inny.

- Jest chyba najbardziej nieodpowiedzialnym człowiekiem.

- Ciocia Pol wyraziła o nim podobną opinię. Jest jednak najlepszym żeglarzem na świecie. Każę wprowadzić konie na pokład.

- Nie - ucięła krótko. - Musimy się śpieszyć, Garionie. Konie tylko opóźniłyby naszą podróż.

- Chcesz biec całą drogę z wybrzeży Sendarii aż do Vale? - zapytał lekko zdumiony.

- To nie jest aż tak daleko, Garionie. - Uśmiechnęła się.

- A zapasy żywności?

Obdarzyła go zdziwionym spojrzeniem i nagle poczuł się wyjątkowo głupio.

Pożegnanie Gariona z rodziną było pełne uczuć, lecz krótkie.

- Ubieraj się ciepło - przypomniała Ce'Nedra. - Jest zima. Zdecydował, że nie będzie jej mówił, w jaki sposób zamierzają podróżować.

- Och - powiedziała wręczając mu zwój pergaminu - przekaz to cioci Pol.

Garion popatrzył na pergamin. Widniał na nim dość ładny, artystyczny szkic przedstawiający jego żonę i córkę.

- Całkiem niezły, prawda? - spytała Ce'Nedra.

- Bardzo ładny - przyznał.

- Ruszaj - rzekła. - Jeżeli jeszcze trochę tu zostaniesz, w ogóle nie pozwolę ci odejść.

- Trzymaj się ciepło, Ce'Nedro - dodał - i opiekuj się dziećmi.

- Naturalnie. Kocham cię, wasza miłość.

- Ja też cię kocham, wasza wysokość. - Pocałował ją, syna i córeczkę, po czym cicho wyszedł z komnaty.

Morze powitało ich łoskotem burzy, lecz wojowniczy zapaleniec Greldik zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na pogodę. Jego połatana i mocno podniszczona łajba gnała popychana wiatrem poprzez spienione morze pod całym mnóstwem żagli i w rezultacie po dwóch dniach dotarli do wybrzeży Sendarii.

- Jakies bezludne wybrzeże, Greldiku - powiedział Garion. - Porządnie się śpieszmy, a jeśli zatrzymamy się w stolicy, Fulrach i Layla nie dadzą nam spokoju zasypując nas gratulacjami i uctami.

- Jak sobie wyobrażasz podróż bez koni? - zapytał wprost Greldik.

- Istnieją pewne sposoby - odparł Garion.

- A więc nadal te sposoby? - rzekł Greldik z pewnym niesmakiem.

Garion skinął głową.

- Zdajesz sobie sprawę, że to nienaturalne?

- Pochodzę z dość nienaturalnej rodziny.

Greldik chrząknął na znak dezaprobaty, po czym skierował statek ku wymiecionej wiatrem plaży, ograniczonej na wyższym krańcu cuchnącymi wodorostami.

- Czy ta ci odpowiada? - spytał.

- Może być - odparł Garion.

Garion i Poledra czekali na targanej wiatrem plaży, aż Gredlik wypłynie na pełne morze, a ich peleryny trzepotały we wszystkie strony. - Myślę, że możemy ruszać - rzekł Garion układając swój miecz w bardziej dogodnej pozycji.

- Nie wiem, po co go ze sobą taszczysz - stwierdziła Poledra.

- Klejnot chce ujrzeć dziecko Polgary. - Wzruszył ramionami.

- To chyba najbardziej irracjonalna rzecz, jaką w życiu słyszałam, Garionie. Ruszamy?

Zamigotali i w chwilę później dwa wilki pognały plażą w kierunku słonych wodorostów i dalej w głąb lądu.

Dotarcie do Vale zajęło im trochę ponad tydzień. Zatrzymywali się rzadko i wyłącznie po to, aby coś upolować, a jeszcze rzadziej, aby odpocząć. Podczas tego tygodnia Garion wiele nauczył się o życiu wilka. Już wcześniej Belgarath dał mu wiele praktycznych wskazówek, lecz Belgarath stał się wilkiem będąc w pełni dojrzałym człowiekiem. Poledra natomiast miała na wskroś wilczą naturę.

Pewnego śnieżnego wieczoru wbiegli na wzgórze górujące nad domkiem i spojrzeli w dół na schludne obejście, którego ogrodzenie do połowy zakrywał śnieg, a okna chaty zapraszały migotliwym, żółtym ciepłem.

- Zdążyliśmy na czas? - spytał Garion złotoookiej wilczycy.

- Tak - odparła Poledra. - Sądzę, że podjęliśmy mądrą decyzję, żeby nie brać tych czworonogich bestii. Wyznaczony czas jest blisko. Zbiegnijmy na dół i zorientujmy się, co się dzieje.

Zbiegli ze wzgórza pośród wirujących płatków śniegu i tuż przed drzwiami chatki przybrali na powrót ludzkie kształty.

Wnętrze domostwa powitało ich przytulnym ciepłem i radosnym światłem. Polgara, poruszając się nieco niezgrabnie, nakryła do stołu dla Gariona i swej matki. Belgarath siedział przy kominku, a Durnik cierpliwie naprawiał uprząż.

- Zostawiłam dla was wieszak - Polgara zwróciła się do Gariona i Poledry. - My już jedliśmy.

- Wiedzieliście, że przybędziemy dziś wieczorem? - spytał Garion.

- Oczywiście, mój drogi. Mama i ja zawsze pozostajemy w kontakcie. Jak się czuje Ce'Nedra?

- Ona i Beldaran czują się dobrze - odparł obojętnym tonem. - Polgara często robiła

mu w przeszłości niespodzianki. Teraz nadeszła jego kolej.

Talerz prawie wypadł jej z ręki, a jej cudowne oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Och, Garionie - powiedziała obejmując go nagle.

- Czy jesteś zadowolona z tego imienia? Chociaż trochę?

- Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

- Jak się czujesz? - spytała Poledra zdejmując pelerynę.

- Myślę... że dobrze. - Polgara uśmiechnęła się. - Oczywiście wiem, jak wyglądają narodziny dziecka, lecz po raz pierwszy doświadczam tego osobiście. Na tym etapie dziecko porusza się i kopie, nieprawdaż? Przed chwilą moje kopnęło mnie w trzy różne miejsca jednocześnie.

- Może on bije również piąstkami? - zasugerował Durnik.

- On? - uśmiechnęła się.

- No cóż, tak mi było wygodniej, Pol.

- Jeślibyś chciał, mógłbym spojrzeć i powiedzieć ci, czy to chłopiec czy dziewczynka - zaproponował Belgarath.

- Ani mi się waź! - Polgara spojrzała na niego groźnie. - Sama chcę się przekonać.

Śnieg przestał prószyć wczesnym świtem, a wkrótce potem rozwiały się zakrywające niebo chmury. Wyszło słońce, a jego promienie migotały wesoło na śnieżnym kobiercu. Niebo emanowało intensywnym błękitem i chociaż dzionek był zimny, przenikliwy chłód łagodniał pod wpływem ciepła bijącego od złocistej tarczy na niebie.

O świcie Garion, Durnik i Belgarath zostali wyproszeni z domu i wąsali się z dziwnym poczuciem bezużyteczności, jaką mężczyźni zwykle odczuwają w takich okolicznościach. W pewnym momencie zatrzymali się nad brzegiem małego strumienia torującego sobie drogę przez obejście. Belgarath spojrzał na przezroczystą wodę, dostrzegając tuż pod powierzchnią sporo ciemnych, szczupłych kształtów.

- Miałeś ostatnio czas na łowienie ryb? - spytał Durnika.

- Nie - przyznał ze smutkiem Durnik - i najwidoczniej nie pałam takim entuzjazmem jak kiedyś.

Wszyscy wiedzieli dlaczego, lecz nikt nie chciał o tym głośno wspominać. Poledra przyniosła im posiłek stanowczo nalegając, żeby pozostali na zewnątrz. Późnym popołudniem kazała im zagotować wodę nad paleniskiem w kuźni Durnika.

- Nigdy nie zrozumiałem, po co im ta woda - wyznał Durnik podnosząc kolejny parujący kociołek znad paleniska. - Dlaczego zawsze potrzebują tyle wrzątku?

- Nie potrzebują - sprostował Belgarath. - Belgarath siedział wygodnie rozpostarty na

stercie drewna i przyglądał się wymyślnie skleconej kołysce zbudowanej przez Durnika. - To sposób, aby trzymać z dala mężczyzn. Wiele tysięcy lat temu jakiś kobiecy geniusz wpadł na ten wspaniały pomysł i od tego czasu kobiety praktykują ten zwyczaj. Zagotuj wody, Durniku. Nie jest to czynność nader kłopotliwa, a zawsze cieszy kobiety.

Księżyc pojawił się na niebie późno, lecz gwiazdy rozjaśniły śnieg srebrzystym blaskiem i cały świat wydawał się być skąpany w delikatnej błękitnobiałej poświacie. Ze wszystkich nocy, jakie Garion widział do tej pory, ta była najbardziej zbliżona do doskonałej i cała natura zdawała się powstrzymywać oddech oczarowana jej urokiem.

Garion i Belgarath, dostrzegając rosnącą drażliwość Durnika, zaproponowali spacer na wzgórze, by tam spożyć wieczerzę. Już w przeszłości wielokrotnie zauważali, że Durnik wynajdywał sobie najprzeróżniejsze zajęcia, aby odpędzić troski czy zmartwienia.

Kowal spojrzał na niebo, kiedy brnęli przez śnieg w kierunku szczytu wzgórza.

- To rzeczywiście szczególna noc, prawda? - Roześmiał się nieco głupkowato. - Przypuszczam, że nawet gdyby teraz lało, też bym tak sądził - powiedział.

- Wiem - rzekł Garion. - Ze mną zawsze było podobnie. - Po tych słowach również roześmiał się wysyłając w chłodne powietrze kłęby pary. - Nie wiem, czy dwa razy można określić jako zawsze - stwierdził - ale wiem, co czujesz, ponieważ odczuwałem podobnie. - Spojrzał na domek przez zaśnieżoną równinę leżącą niczym nieruchoma biała plama pod rozgwieżdżonym niebem. - Czy też wydaje się wam, że jest niezwykle, niezwykle spokojnie?

- Nawet śladu wiatru - zgodził się Durnik - a śnieg tłumi wszelkie inne dźwięki. - Podniósł twarz ku górze. - Kiedy o tym wspomniałeś, naprawdę czuję, że jest niebywale spokojnie, a gwiazdy świecą tej nocy wyjątkowo jasno. Myślę, że istnieje logiczne wytłumaczenie tej sytuacji.

Belgarath uśmiechnął się do nich.

- W żadnym z was nie ma krztyny romantyzmu. Czy nie przyszło wam do głowy, że może to naprawdę jest niezwykła noc?

Popatrzyli na niego zdziwieni.

- Pomyślcie o tym - powiedział. - Pol poświęciła większość życia na wychowywanie nie swoich dzieci. Obserwowałem, jak to robi, i czułem jakiś nieokreślony ból, który towarzyszył jej za każdym razem, kiedy brała w ramiona niemowlę. Tej nocy się to zmieni, a więc w pewien szczególny sposób jest to niezwykła noc. Dzisiaj Polgara narodzi własne dziecko. Może nie znaczy to aż tak wiele dla całego świata, lecz na pewno dla nas jest to niezwykle.

- To prawda - przyznał z uniesieniem Durnik, a w jego oczach pojawił się wyraz

zadumy. - Ostatnio nad czymś pracowałem, Belgaracie.

- Tak, słyszałem.

- Czyż nie wydaje ci się, że w pewnym sensie wszyscy wracamy do miejsc, z których wyruszyliśmy? Oczywiście nie jest dokładnie tak samo, lecz czuje się, że to co nas otacza jest znajome.

- Właściwie to odnoszę takie samo wrażenie - przyznał Garion. - Nieustannie towarzyszy mi to dziwne uczucie.

- To naturalne, że ludzie wracają do domu po długiej podróży - stwierdził Belgarath kopiąc grudę śniegu.

- Nie sądzę, że to takie proste, dziadku.

- Ani ja - zgodził się Durnik. - Z jakiegoś powodu wydaje się to bardziej skomplikowane.

Belgarath zmarszczył brwi.

- Chyba dla mnie również - przyznał. - Szkoda, że nie ma tu Beldina. Wy tłumaczyłby to w jednej chwili. Oczywiście żaden z nas nie zrozumiałby tego wyjaśnienia, ale mimo wszystko byłoby to wyjaśnienie. - Podrapał się po brodzie. - Wpadłem na coś, co mogłoby pomóc nam zrozumieć - odezwał się z wahaniem.

- Co to takiego? - zapytał Durnik.

- Przez ostatni rok prowadziliśmy z Garionem długie rozmowy. Zauważył, że wydarzenia powtarzają się co jakiś czas. Pewnie słyszałeś, jak o tym rozmawialiśmy.

Durnik skinął głową.

- Między nami mówiąc, doszliśmy do wniosku, że wydarzenia powtarzają się, ponieważ wstrząs sprawił, że przeszłość nie może zaistnieć.

- Brzmi przekonująco.

- Jednak teraz uległo to zmianie. Cyradis dokonała Wyboru i skutki wstrząsu zostały usunięte. Przyszłość może teraz zaistnieć.

- A zatem dlaczego wszyscy powracają do miejsca, skąd wyruszyli? - spytał Garion.

- To logiczne, Garionie - odezwał się poważnie Durnik. - Kiedy zaczynasz coś robić, nawet budować swoją przyszłość, musisz znaleźć się na początku, nieprawdaż?

- Może więc założymy, że to jest wytłumaczenie - rzekł Belgarath. - Wydarzenia się zatrzymały, a teraz ponownie ruszają i każdy dostaje to, na co zasłużył. My otrzymaliśmy dobre rzeczy, a strona przeciwna złe. To w pewien sposób dowodzi, że opowiedzieliśmy się po właściwej stronie, prawda?

Garion nagle roześmiał się.

- Co cię tak śmieszy? - spytał Durnik.

- Tuż przed narodzinami naszego dziecka Ce'Nedra otrzymała list od Velvet, która zdołała zmusić Silka do wyznaczenia daty ślubu. Prawdopodobnie to jest to, na co sobie zasłużył, lecz sądzę, że serce mu przestaje bić z przerażenia za każdym razem, kiedy sobie pomyśli co zrobił.

- Kiedy wesele? - spytał Durnik.

- Latem w przyszłym roku. Liselle chce mieć pewność, że wszyscy zjawią się w Boktor, aby ujrzeć jej triumf nad naszym przyjacielem.

- Złośliwe słowa, Garionie - zganił go Durnik.

- Lecz prawdopodobnie prawdziwe. - Belgarath wyszczerzył zęby w uśmiechu. Sięgnął w głąb swojej tuniki i wyciągnął gliniany flakon. - Coś na odpędzenie chłodu? - zaoferował. - Mam tu trochę ulgoskiej gorzałki.

- Babcia by tego nie pochwaliła - ostrzegł Garion.

- Nie ma tu jej, Garionie. Jest teraz zajęta czymś innym.

Mężczyźni stali na szczycie zaśnieżonego wzgórza spoglądając na obejście. Na pokrytym strzechą dachu leżała gruba czapa śniegu, a sople lodu zwisały się z okapu niczym błyszczące klejnoty. Małe szyby rozjaśniał złocisty blask lampy oliwnej, padający na lekko pofałdowany śnieg na podwórzu mieszając się z rumianą poświatą promieniującą z kuźni, w której mężczyźni spędzili popołudnie na gotowaniu niepotrzebnej wody. Błękitny dym z komina unosił się prosto ku niebu i wydawało się, że niknie wśród gwiazd. Osobliwy dźwięk wypełnił uszy Gariona, lecz dopiero po chwili rozpoznał pieśń Klejnotu. Pieśń o niewypowiedzianej tęsknocie.

Panująca dookoła cisza wydawała się prawie namacalna, a migoczące gwiazdy zbliżyły się do pokrytej białym puchem ziemi. Wtem z oddalonej chatki wyrwał się pojedynczy krzyk. Krzyk niemowlęcia nie był przepełniony oburzeniem i niezadowoleniem zwykłym u noworodków, lecz zdziwieniem i niewysłowioną radością. Delikatna, niebieska poświata wypłynęła z Klejnotu, a radość zajęła miejsce tęsknoty.

Gdy pieśń Klejnotu zatarła się w oddali, Durnik wziął głęboki oddech.

- Może zejdziemy na dół? - zaproponował.

- Lepiej, jak trochę poczekamy - zasugerował Belgarath. - Na tym etapie należy posprzątać, a oprócz tego powinniśmy dać Pol szansę na uczesanie włosów.

- Nie obchodzi mnie, czy jej włosy będą w nieładzie - powiedział Durnik.

- Ale ją obchodzi. Zaczekajmy.

Ku ich zdziwieniu Klejnot powtórzył tęskną melodię. Cisza potem stała się tak

namacalna jak poprzednio, przerywana teraz radosnym płaczem dziecka.

Trójka przyjaciół stała na wzgórzu, a ich oddechy malowały mroźne, nocne powietrze kłębamii pary, gdy wsłuchiwali się w odległy krzyk maleństwa.

- Zdrowe płuca. - Garion pochwalił świeżo upieczonego ojca.

Durnik uśmiechnął się promiennie słuchając z napięciem głosu swego dziecka. Wtem do pojedynczego krzyku dołączył jeszcze jeden. Tym razem Klejnot eksplodował niebieskim blaskiem rozświetlając śnieg dookoła, a w radosnej pieśni pojawiła się nuta triumfu.

- Wiedziałem! - wykrzyknął zachwycony Belgarath.

- Bliźniaki? - wysapał Durnik.

- To rodzinna cecha, Durniku - roześmiał się Belgarath obejmując kowala w mocnym uścisku.

- Chłopcy czy dziewczynki?! - zakrzyknął Durnik.

- Możemy zejść i się dowiedzieć.

Nagle zauważyli, że w pobliżu chatki dzieje się coś dziwnego. Z rozgwieżdżonego nieba powoli zstępował pojedynczy snop intensywnie niebieskiego światła. Po chwili dołączyły do niego inne i chatka została skąpana w lazurowym blasku, gdy migotliwe kolumny dotknęły śniegu. Były tam światła czerwone, żółte, lawendowe i odcień, którego Garion nie potrafił nawet nazwać. W końcu do świetlanych kolumn dołączył słup oślepiającej bieli. Niczym kolory tęczy, światła ustawiły się w półkole, a wspaniałe kolumny, z których zstąpiły, wzniosły się ponad nimi, aby wypełnić nocne niebo pulsującą, wielobarwną zasłoną.

Bogowie stanęli przed wejściem do chatki dołączając swe pieśni do pieśni Klejnotu.

Eriond spojrział na stojących na wzgórzu mężczyzn. Jego delikatna twarz jaśniała uśmiechem najczystszej radości.

- Przyłączcie się do nas - powiedział.

- A zatem dokonało się. - Głos ULa również był przesycony radością. - Teraz wszystko jest jak należy.

Skąpane w boskim świetle trzy postacie ruszyły po stoku ośnieżonego wzgórza, żeby ujrzeć cud, który, choć jest jednym z najpowszechniejszych zjawisk, niemniej jednak jest cudem.

I tak, drogie dzieci, nadszedł czas, by zamknąć księgę. Wkrótce nadejdą nowe dni, nowe historie, lecz ta baśń dobiegła końca.